

Mieszko Zagańczyk

Czarna Ikona

Tom 1

Prolog

Mnich oderwał wzrok od księgi. Wzniósł oczy do nieba i powtarzając w ustach ciche słowa modlitwy, podźwignął się z klęcznika.

– Amen – szepnął.

Szurając sandałami, ruszył w stronę schodów.

Ta część monastynu, jego ostatnia kondygnacja, nie miała okien. Jasność wnikała do środka przez niewielki dymnik wybity w suficie, oświetlając klęcznik i pulpit z modlitewnikiem. Były to jeno pojedyncze smugi słoneczne, rozbite na pasma wąskie jak włosy aniołów. W celi panował półmrok, a światła padało tylko tyle, ile trzeba, by zajrzeć na karty księgi. W powietrzu wirowały drobinki pyłu, rozjaśnione tworzyły leniwie sunącą zawiesinę. Idąc, starzec w czarnym habicie rozbił ją, tworząc nowe konstelacje kurzu.

Na dole ciągnęła się galeria długa na jakieś sto kroków. Tutaj światło nie znajdowało już barier – zalewało wszystkie kąty, bijąc blaskiem od zbielałych ścian. W pierwszym odruchu zakonnik aż przysłonił oczy; godziny spędzone w mrocznej samotni odzwyczyły go od słońca. Nie zatrzymywał się jednak, wkrótce zaś mrowienie pod powiekami zelżało. Przywykł do jasności.

Przeciął podwórzec, idąc do następnych schodów. Mijał korytarze, krużganki, sale – jak cały monastyr wykute w tufowych skałach. Tam, gdzie nie docierało słońce, wszystko tu miało piaskowoszarą barwę, zaś w miejscach nieustannie wystawionych na działanie promieni – trupioblada. Podeszedł do balustrady i wyjrzał na zewnątrz.

Co w tym jest, że ci wszyscy biedni głupcy wybierają zawsze tę drogę? – pomyślał.

Owszem – toż tędy prowadziła aleja do głównej bramy, a stamtąd – do zewnętrznej galerii monastynu. Siedem kondygnacji, siedemset siedemdziesiąt siedem schodów, wyniosłe

skały wyżłobione przez ludzkie mrówki na chwałę Pana i wszechobecny blask słońca odbijającego się od białych kamieni. To robiło wrażenie i odbierało zdolność myślenia. Przyciągało obcych intruzów jak nocne motyle do kaganka, choć to przecie nie była jedyna droga. Jednak szli zawsze tędy, tracąc swoją śmiałość i wyuczzone instynkty.

Mnich spojrział w dół. Dwie przyczajone postaci w zakurzonych strojach, z prostymi mieczami przy pasach. Domyślał się, co czują: uderzyło ich piękno monastyru. Onieśmieliła wyniosłość białych skał. I zaniepokoiła cisza tylko z rzadka mącona potępieńczym jękiem wiatru.

Wzniósł do góry ramię i wskazał na wędrowców.

Zza jego pleców cicho wychynęli braciszkwowie. Tak jak i on, odziani byli w czarne habitury z głębokimi kapturami, tyle że ich strój – i tu się różnili – nosił wyraźne ślady zużycia. Czerń zszarzała, zaś postrzępione brzegi odzienia w szybkim marszu furkotały niczym małe proporce.

Zakonnicy sunęli w milczącym kondukcje, jeden za drugim, krok za krokiem. Zeszli po kręconych schodach na niższy poziom, gdzie spotkali się z następną grupą. Z każdej celi, którą mijała ta milcząca procesja, wychodzili kolejni braciszkwowie, dołączali do innych z dłońmi skrytymi w rękawach habitów, z twarzami pod kapturami, bez słowa, za to z cichym trzepotem porozdzieranego materiału.

Starzec spokojnie obserwował bieg wydarzeń. Niespodziewani goście zagłębili się pomiędzy skały wypełniające wąwóz przed bramą. Wreszcie dotarli i do niej. Przeszli, nic nie zauważając.

Trzeba zadbać o to, by brama odzyskała dawną świetność – pomyślał z troską. – Teraz nie różni się niczym szczególnym od skalnych rzeźb wiatru, wody i powietrza. Nie dziwne, że nic nie spostrzegli – trudno, by baczyli na spróchniałe, przekrzywione pale, na garść wyblakłego popiołu, na zetlałe szczątki szmat.

Tamci szli dalej. Z początku jeszcze rozglądali się, wietrząc niebezpieczeństwo, jednak niezmacona cisza najwyraźniej ich uspokoiła. Przestali rzucać spojrzenia na boki, skupiając wzrok na wspaniałej budowli ponad nimi. *A i owszem – myślał mnich – tak misternie wykutego monastyru nie znajdziecie w całej Kapadocji. W całym Cesarstwie ani poza nim, na ziemiach Persów, Egipcjan, ani u Łacinników, Bułgarów i Rusów. Nigdzie. Tak pięknie kutych galerii, spiętrzeń stopni, rzeźb natury i malowideł czynionych ręką człowieka na chwałę Pana. Oj, moi drodzy przybysze, takich cudów nie uświadczycie nigdzie na tym świecie, więc patrzcie, póki możecie! Patrzcie teraz, bo później będzie za późno.*

W tej samej chwili braciszkwowie zeszli na sam dół, pokonawszy jakieś pięć setek krętych stopni. Ile cel minęli po drodze? Któżby to liczył. Ilu zakonników w turkoczających habitach dołączyło się do procesji? Tego też nikt nie ogarniał, dość powiedzieć, że było ich wielu. Przystanęli zwartą ławą na placu przed monastyrem.

Przystanęli też wędrowcy.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! – zawołał jeden z nich, unosząc prawą dłoń w przyjacielskim geście. Był krępy, nabity w sobie, a jego twarz znaczyły podłużne blizny.

Są zaskoczeni – skonstatował mnich. – *Spodziewali się Pan wie czego, może demonów, może smoków i bazyliżków, może zbrojnych siekących powietrze ostrzami. A tymczasem na ich powitanie wychodzą rozmodleni zakonnicy.*

– Niech będzie pochwalony – powtórzył jak echo drugi z wędrowców, nieco wyższy i nie tak pocięty, jednak ostatnie słowa uwięzły mu w gardle.

Już wiedzieli, że nie doczekają się odpowiedzi. Że nie usłyszą: *Na wieki wieków...*

Wędrowcy w zakurzonych strojach jak na komendę oparli dłonie na głowniach mieczy. Cofnęli się kilka kroków, jednak nie dali się ogarnąć panice.

– Niech będzie pochwalony... – krępy z bliznami przemówił tym razem po armeńsku, jednak i te słowa padły w próżnię.

Wtedy braciszczowie ruszyli do przodu. Przybysze jeszcze przez chwilę stali wpatrzeni w nadchodzącą procesję, w końcu jednak pojęli, w czym rzecz.

Obydwaj zatoczyli się ze strachu. Kilka kroków w tył, wykrzywione twarze, zbielełe knykcie na rękojęściach mieczy.

– Co jest, co to jest...? – bełkotał ten wyższy.

Zakonnicy parli do przodu. W milczeniu, szeroką ławą, jeden za drugim, ramię przy ramieniu. Nagle ciszę monasteru wypełnił narastający śpiew. Mnisi zaintonowali swoją modlitwę jednym basowym głosem.

– Zabiiij! – ryknął krępy w nagłym porywie odwagi. Wzniósł swój zakrzywiony miecz i rzucił się w stronę mnichów. Chwilę później do boju ruszył jego towarzysz, przesywając powietrze jazgotliwym okrzykiem.

Braciszczowie nie ustąpili. Żaden nie cofnął się nawet o krok. Szli naprzód, coraz głośniejsz wznosząc swoją pieśń. Monotonne nuty wibrowały wśród skał, rezonując w najdalszych zakamarkach klasztoru.

Napastnik z bliznami dopadł pierwszego zakonnika. Sieknął go mieczem przez łeb. Ten padł. W ciszy, bez wrzasku, bez krwi. Zaraz jego miejsce zajął inny. Obok szli następni, jeden przy drugim, niczym jedno. Zamach i cios. Krępy przybysz sieknął raz, drugi, trzeci. Odcinane członki padały w biały kurz dziedzińca, jednak nie było krwi. Rąbani przez łeb mnisi chwiali się, później osuwali w dół, a na ich miejsce wchodziłi kolejni. Powoli osaczali przybyszów, zachodząc ich z boku.

Tamci spostrzegli, co się święci. Nie przerywając rzeźnickiej roboty, jęli się powoli cofać, by zająć lepszą pozycję. Na to wzniesienie, tam parę kroków dalej, między skały, gdzie jednolity szyk zakonników musiał, siłą rzeczy, ulec rozbiciu.

Braciszczowie szli za nimi, wyciągając w przód nagie, pozbawione broni ramiona. Rozczapierzone palce chwytały brzegi kubraków, próbowały przyciągnąć intruzów lub przewrócić ich na ziemię. Przybysze opierali się temu, jednak ich ruchy zdradzały już

pierwsze oznaki osłabienia. Siekli ostrzami, wyszarpywali swe odzienie z uścisku, jednak zakonników było coraz więcej. Napierali niekończącą się falą, spychając wędrowców w stronę litej skały. Tam, przyparci do ściany, nie będą mieli gdzie się cofnąć, ani nawet wziąć solidnego zamachu, by zadać kolejny cios.

Stary mnich obserwował ten manewr niczym strateg podczas bitwy. Ciekawiło go, czy intruzi dostrzegą, co tak naprawdę im grozi, czy też tak zatracili się już w wywijaniu mieczami, że sami przyśpieszą swój koniec.

– Maksymus! Uciekamy! – wrzasnął wyższy z przybyszów, a jego głos odbił się wielokrotnym echem po tufowych ścianach monasteru. – Osaczają nas! Ściana!

A jednak! – pomyślał z uznaniem mnich. – *Czyli jeszcze nie koniec. Jeszcze mogą wygrać swój los.*

Krępy z bliźniami ryknął coś niezrozumiale. Obydwaj nagle skierowali się w bok, ramię przy ramieniu wyrąbując sobie przejście. Dostrzegli dla siebie nową szansę i uderzyli w braciszków z nowymi siłami. Wydostawszy się z pierścienia, biegiem popędzili przed siebie. W dół doliny, byle dalej od tego miejsca!

Zakonnicy nie gonili ich. Tylko kilku ruszyło w ślad za zbiegami, jednak i oni po paru krokach przystanęli z obojętnością, w której kryła się rezygnacja.

Tamci minęli skalną bramę i dopiero wtedy, nie słysząc za sobą odgłosów pogoni, odważyli się spojrzeć w tył.

Byli wolni! Ocaleni! Mnisi odpuścili. Nie gonili ich.

Nie gonili. Tak, to prawda.

Spomiędzy skał, jak spod ziemi, przecinając drogę uciekinierom, wychynęła szóstka braciszków. Skąd się wzięli, przekłęci? I co niosą, łypiąc chytrym wzrokiem na swoje ofiary?

– *Gamoto!* – przeklął ten z bliźniami. – Mają sieć! – ryknął, ale było za późno. Na głowy przybyszów spadła wielka pajęczyna sznurów, w jednej chwili krępując ich ruchy.

Próbowali się ratować. Cięli mieczami, wściekle rycząc, jednak na próżno. Napastnicy zarzucili na nich sieć, omotali. W końcu wędrowcy padli okręceni sznurami i nic już nie mogło im pomóc. Gdy na ich głowy poleciały krótkie ciosy drewnianych pałek, znieruchomieli, pozwalając się spętać do reszty.

Mnich spoglądał na to z satysfakcją. Kiwając z zadowoleniem głową, patrzył, jak braciszki czynią przygotowania. Nieprzytomni jeńcy zostali odplątani z sieci. Przeguby więźniów ścisnęły powrozy, jednak nogi pozostały wolne, zwisały z nich tylko swobodne liny. Zakonnicy powlekli ich w stronę bramy. Tam już pracowała druga grupa.

Struganie drewna ciosanego ostrzami odebranymi wędrowcom odbijało się od skał niczym w wyschniętej studni. Braciszki nie tracili czasu: gdy jedni pracowali nad drewnem, inni kopali doły. I jedni, i drudzy uwinęli się z tą robotą w try miga.

Wtedy bliźnowaty wrócił do przytomności. Ale braciszki trzymali go mocno, więc tylko przewracał oczami. Gdy zobaczył, co się dzieje, wrzasnął:

– Jezu Chryste! Co wy robicie, pomiłujcie! Niece!

Szarpał się, jednak trzy pary ramion przygwoździły go do ziemi.

– Niece, litości, na rany Chrystusa!

Już szli do niego ze świeżo wystruganym palem. Wrazili ostry koniec między nogi, przymierzyli i ciągnąc za liny, nabili przybysza na sam koniec drąga.

Bliznowaty zawył jak zarzynane koźle. Jego wrzask obił się o ściany wężowozu i wypełnił wszystkie cele monasteru.

Harmider oprzytomnił tego drugiego. Widząc, jak zakonnicy stawiają pal z nadzianym kompanem do dołu, jak zasypują jego podstawę ziemią i kamieniami, jak ciągnąc za powrozy, wbijają drąg głęboko w jelita Maksymusa, porzygał się ze strachu i obrzydzenia. Później zawył. Jeszcze głośniejsze niż jego towarzysz.

Przestał dopiero, gdy przebijający mu wnętrzności pal rozsadził też płuca.

– Amen – szepnął stary mnich. Teraz brama znów została ozdobiona jak należy. Chwilę patrzył na braciszków uprzątających pobożowisko, zabierających liny, sieć i miecze, po czym udał się z powrotem do swojej samotni.

Rozdział 1

Kupiec z Rusi widział Konstantynopol po raz pierwszy. Dopłynął tu z Perejasławia, najpierw rzeką Dniepr, później przez Morze Ruskie, na które *Romaioi* mówili Czarne albo też Pont. Jego galera miała pomyślne prądy, a towar w całości dotarł na miejsce. Teraz należało dobra sprzedać, jednak kupiec, a zwano go Włodzimierz po wielkim władcy Rusi, zaś po ojcu – Igorowicz, zdał się w tej materii na swego współnika i szwagra, który w stolicy imperium Greków bywał nieraz.

Szedł tedy Włodzimierz Igorowicz po Konstantynopolu w towarzystwie dwóch wareskich najemników przydzielonych mu do ochrony. O tym mieście słyszał opowieści pełne zachwytu, jednak to, co ujrzał, wprawiało go w największe osłupienie. Już sam port zapierał dech: kotwiczyły tu setki, jeżeli nie tysiące jednostek najróżniejszych konstrukcji i wymiarów. Galery, dromony, liburny – małe, duże, średnie. Na ich pokładach, na nabrzeżu i przy portowych tawernach niósł się wielojęzyczny harmider ludzkich głosów – w grece, po łacinie, mowie Bułgarów, jak również, a jakżeby inaczej, Rusów. Marynarze, handlarze, robotnicy, pijacy i portowe dziewczki. Rejwach ludzkiego mrowiska. Aż kręciło się od tego w głowie.

Opuścił port i szedł dalej w miasto. Kroczył kupiec Włodzimierz, z podziwem oglądając zdobne pałace pokryte geometrycznymi, barwnymi ornamentami. Rzymskie łuki triumfalne, ciągnące się bez końca akwedukty, pachnące kwieciem ocienione ogrody i bogate cerkwie. Wkrótce dotarł do solidnego starożytnego muru obronnego, zwanego tu Murem Septymiusza Sewera. Idąc wzdłuż niego, doszedł do Forum Konstantyna, gdzie spędził dłuższy czas, kontemplując umieszczoną pośrodku placu kolumnę. Gdy nacieszył oczy, ruszył dalej: na szeroką, reprezentacyjną ulicę Mese. Ta aleja nie przypominała niczego, co znał z Rusi, z ziem Bułgarów, Lachów czy nawet miast Cesarstwa Niemieckiego. Rozumiał teraz, dlaczego Konstantynopol zwali stolicą świata. Tylu wysmukłych kolumn, tylu mozaik na murach domów, tylu błyszczących cerkwi nie widział nigdy i nigdzie.

Tu już obserwowały Włodzimierza Igorowicza uważne oczy. Obserwowały jego samego, jak również towarzyszącą mu ochronę. Patrzyły uważnie na miecze Waregów, na toporki o długich drzewcach zatknięte za pas, na długie tuniki do kolan wykonane z grubej, mięsistej materii, przykryte z wierzchu kolczugami, na jasne brody zaplecione w warkoczyki. Woje sprawiali groźne wrażenie, jednak widać było, że przybyli z Północy i nie znają zbyt dobrze miejscowych warunków. Spod hełmów ściekały na ich ogorzałe twarze strużki potu. Czyli oni też, jak ich pan, byli tu po raz pierwszy. Warescy najemnicy służący u *basileusa* nosili się lżej, ich przewiewne tuniki miały krótsze rękawy i nigdy nie schodziły poniżej kolan.

Równie wnikliwie oczy obserwowały kupca. Zwłaszcza tłusty mieszek tworzący kuliste zgrubienie pod lekką szatą. Rus, niesiony zachwytem jak na skrzydłach, dotarł do szerokiego placu, Forum Teodozjusza, pełnego rozkrzyczanych głosów mieszkańców Konstantynopola, cudzoziemskich kupców, majtków z portu...

Chwilę później przybysz stał się świadkiem intrygującego zdarzenia.

Tłum na przeciwległym krańcu placu zafalował i naraz huknął niespodziewanym hałasem. Z narastającego wrzasku wybił się pełen wściekłości i rozpaczony głos:

– Złodziej! Okradł mnie! Trzymać złodzieja!

Spośród gawiedzi wyskoczył masywny drab. Opuchnięta od licznych bójek gęba, łysy łeb i szerokie bary ledwie okryte krótką tuniką. W ruchach dryblasza była pewna ociężałość, niedźwiedziowatość naturalna dla chłopca o takich gabarytach. Oprych sadził wielkimi kroczykami, wprawiając ziemię w dudnienie. Nie miał żadnej broni ani niczego, co – sądząc po zamieszaniu – właśnie skradł.

Zaraz z tłumu wybiegł drugi, ten, co krzyczał. Dostatnio odziany paniczyk, młody, o miłej twarzy ozdobionej misternie wyciętą bródką. Jego wzorzysta dalmatyka bordowej barwy, lamowana na złoto, sugerowała, że okradziony jest synem jakiegoś wielmoży, jednak niezbyt wysoko postawionego, skoro bez eskorty.

– Złodziej! Okradł mnie! – wrzeszczał młodzian. – Trzymajcie go!

Włodzimierz Igorowicz patrzył na to jak na bezpłatne widowisko. Zaiste – sprawdziło się. Sprawdziło się, że Konstantynopol to miasto tysiąca uciech, setek rozrywek, cudów z całego świata. Podróżni z Rusi, którzy w swych eskapadach zahaczyli o stolicę imperium Greków, opowiadali o saraceńskich piratach, którzy tu potrafili zapomnieć o swoim surowym bogu, pijąc na umór. O miejscowych żołnierzach, którzy ze świętym obrazkiem na szyi i nabożnym śpiewem na ustach szli w bój na chwałę swojego *basileusa*. O bezlitosnych rzezimieszkach, którzy potrafią w biały dzień nieźle poharatać nieostrożnych mieszczan. O fortunach, jakie przetracili lekkomyślni kupcy wiozący towary z Lewantu na Północ i z krain Wikingów do Persji.

Z zainteresowaniem patrzył Włodzimierz, jak wielkie bydlę ludzkie gna przed siebie, roztrącając gawieź. Trzasnął potrącony stragan z owocami: po bruku z głuchym dudnieniem poleciały przejrzałe arbuzy. Połowa pękła od razu, tuż po zderzeniu z wyłożoną kamieniami ulicą. Reszta rozbiła się o marmurowe podmurówki otaczające Łuk Teodozjusza. Plac spłynął słodką, nieco wodnistą czerwienią.

– Ejże, ćwoku! – ryknął ktoś. – Czekaj no, niech ja sięgnę po pałkę...!

– Straż! Straż! Co to za porządek! – wtórował mu inny głos. – Do czego to podobne...

Tanie pogrożki... Pokrzykujący za złodziejem mieszczanie mieli pewność, że osilek nie zawróci, by rozkwasić parę nosów, połamać kilka kości, obić żebra czy chociażby rzucić grube słowo. Wprost przeciwnie: im bardziej się drab oddalał, tym donośniej rozbrzmiewały wrzaski:

– Złodziej! Bandyta! Straż! Kiedy ktoś zrobi z tym porządek!?

Włodzimierz Igorowicz również znajdował w tym uciechę. Sam by zakrzyknął niesiony świętym oburzeniem tłumu, gdyby nie pewien drobiazg. Nagle zdał sobie sprawę, że oprych gna w jego kierunku. Najwyraźniej uciekał do portu, by tam zanurkować w ciasne uliczki nadbrzeżnej dzielnicy.

Po chwili kupiec poczuł niepokój. Złodziej pędził jak wściekły bawół, jakby żadna przeszkoda dla niego nie istniała. W dodatku najbliższą przeszkodą stojącą mu na drodze był on sam, przybysz z Rusi, Włodzimierz Igorowicz.

I jego obstawa.

– Odsuniecie się, panie – rzekł jeden z Waregów. Delikatnie, ale stanowczo odsunął kupca w bok, sam stając na drodze rozpędzonego dryblasa. Gdy zyskał pewność, że ten nadal nie zamierza zmienić kierunku, wy dobył miecz i znacząco uniósł ostrze na wysokość oczu.

– Trzymajcie go! Wal go! W łeb! – darł się paniczyk, licząc na to, że chociaż w najemnikach znajdzie jakąś pomoc. Nie, Waregowie mieli swoją robotę: chronić kupca. Rozstrzyganie awantur wśród mieszkańców Konstantynopola nie należało do ich powinności. Tym bardziej, że angażowanie się w takie spory stało w jawnej sprzeczności z rozkazami: nie odstępować swojego pana.

Jednak drab parł dalej do przodu, roztrącając wszystko, co stało na jego drodze. Miecz wojownika z kupieckiej obstawy nie zrobił na nim wrażenia. Opuchniętą gębę skrzywił grymas, który przy odrobinie dobrych chęci można było określić jako uśmiech. Jeszcze kilka kroków. Zdawało się, że aż tu dochodzi odór skwaśniałego wina, jakim wionął osiłek.

Wareg wziął zamach i ciął powietrze. Na postrach, nie brał przecież pod uwagę, że złodziej zaryzykuje walkę. I jeszcze raz, aż zahuczało. Trzeci cios wymierzył tak, by zdzielić dryblasa przez wielki jak ceber łeb.

Tamten był o trzy kroki. O dwa. Tuż.

Najemnik wyprowadził cios.

Niespodziewanie oprych odbił w lewo. Zrobił zwód i zanurkował pod idącym po łuku ostrzem. Odbił się lekko od bruku i mijając o dwa palce klingę, gdzie tam! – o jeden palec, o pół – uderzył Warega łbem. Prosto w pierś, aż ten stracił równowagę. Mimo kolczugi najemnik poczuł się tak, jakby staranował go rozjuszony byk. Miecz przeciął pustkę. Wojak poleciał w tył, z chrzęstem padając na bruk.

Złodziej upadł razem z nim, jednak od razu skoczył na nogi i poprawił pięścią w nieosłonięty niczym podbródek najemnika. Mógł już na tym poprzestać i uciekać dalej, jednak chwycił jeszcze za nadgarstek Warega i przekręcił. Chrupnęła łamana kość. Miecz zabrzczał o kamienie.

Osiłek porwał go i pomknął dalej, niemal o włos unikając ciosu topora drugiego ze zbrojnych.

Kto przy zdrowych zmysłach rzuciłby się z gołymi pięściami na wyćwiczonego w boju,

osłoniętego kolczugą najemnika z dalekiej Północy? Kto ryzykowałby uderzenie z byka w pierś wojaka, nie mając stracha, że pierwiej napotka na swej drodze ostrze duńskiego topora? Lub nadzieje się na głównię miecza? Kto, uciekając pogoni, gnałby naprzeciw zbrojnych Waregów, którym źle z oczu patrzy, a na których twarzach nie znalazłbyś nawet śladu uśmiechu?

Nikt, jako żywo.

A jednak konstantynopoliński oprych nie miał takich obiekcji. I dlatego był górą.

Kupiec Włodzimierz przyglądał się temu w osłupieniu, niezbyt zdając sobie sprawę, czego właściwie jest świadkiem. No owszem – hecne mordobicie na ulicach Konstantynopola? Czemu nie, będzie o czym opowiadać w Perejasławiu. Ale żeby aż tak? I żeby zwykły miejski opryszek zrównał z brukiem wygę, który przemierzył z mieczem w ręku pół świata? To do niczego niepodobne.

Włodzimierz Igorowicz dopiero teraz spostrzegł, że łysy łeb oprycha zdobił tatuaż. Czy też raczej: na łysym łbie umieszczona była górna część tatuażu przedstawiającego węża grubego jak udo dorosłego mężczyzny. Reszta stwora niknęła gdzieś pod porwaną tuniką uciekającego.

Tymczasem powalony najemnik powstał z ziemi i z wściekłością ryknął coś w swoim północnym języku za uciekającym drabem. Ocierając krew z rozkwaszonej wargi, rzucił się w pogoń. Razem ze swym kompanem, drugim z najemników.

Wtedy kupiec doświadczył czegoś, co zaskoczyło go jeszcze bardziej niż wszystkie wydarzenia, których był dotychczas świadkiem. Safandulowaty paniczyk we wzorzystym stroju, dotąd biegnący gdzieś w tyle, nagle wyrósł tuż przed nim z nagim kindżalem w ręku. Złowrogi błysk w jego oczach mówił, że nie ma dobrych zamiarów. Wyprowadził dwa cięcia. Pierwsze, krótsze, rozcięło kosztowną szatę Włodzimierza Igorowicza. Drugie, nieco bardziej mozolne, ale i tak na tyle szybkie, że kupiec nie zdążył zareagować, pozbawiło go sakiewki suto nabitej złotymi monetami. Dwa czy trzy krążki metalu padły na kamień, którym wyłożony był plac, z cichym brzęczeniem łapiąc odbłaski słońca. Reszta, czule przyciskana przez paniczyka do piersi, szybko oddalała się w kierunku, w którym zniknęła pierwszy drab.

– Łapaj złodzieja! – uciekając, nadal ryczał strojniś w bordowej tunice. – Straż, trzymać złodzieja! – Złodziej! Trzymać go! – zawtórował kupiec. – Trzymać złodzieja!

Za chwilę stał się świadkiem kolejnego cudu: paniczyk i osiłek nagle pobiegli w dwie różne strony. Po chwili zniknęli, jakby ich nigdy tutaj nie było.

* * *

Spotkali się kwadrans później na tyłach portowej tawerny „U Epifaniasza”.

Paniczyk i osiłek.

– *Gamoto!* Przekleństwo z tą szmatą – zaklął ten pierwszy, rozdiewając się z bordowej, lamowanej, złoto dalmatyki. Szaty zdjętej tego ranka z wystawy kupca z dobrej dzielnicy. –

Patrz no! Złachala się, jak uciekałem. Szkoda, bobyśmy jeszcze odstawili jakiś numer.

– Dobra, co tam szmata! Pokazuj, ile mamy! – burknął niecierpliwie jego kompan, znany jako Nicetas Wielka Pięść. W jego przypadku kupiec z Rusi się nie mylił: był to oprych i bandzior. Paskudna gęba nie pozostawiała wątpliwości. Tego nie szło oszukać.

A paniczyk? Nie, tu ocena Włodzimierza Iwanowicza była nietrafiona, o czym on sam też się zresztą przekonał. Tyle że zbyt późno.

Kalikst Belzebub, konstantynopoliński złodziej, zmiął zdobną szatę o barwie czerwonego wina i cisnął ją na stertę potłuczonych skorup oblepionych rybimi łbami. Śmietnisko za tawerną nie było zbyt przyjemnym miejscem, ale przynajmniej dawało pewność, że nie wlezie tu nikt nieproszony. I nie przerwie podziału łupów.

– Jak się w tym w ogóle pany bujają?! Długie, ciasne i z miejsca w strzęp idzie – mruknął Kalikst. Jego strój, założony pod dalmatyką wielmożątka, był bardziej praktyczny. Zgrzebna tunika do połowy ud i saraceńskie portki. Nieco przyszarzałe, gdzieniegdzie porozdzierane, ale wygodne. Do tego szeroki pas nabijany żelaznymi ćwiekami i przytroczony u boku wielki na łokieć seldzucki kindżał.

– Dawaj! Ile masz?!

– Na! Lipaj! – Kalikst sięgnął za pazuchę, gdzie w drugim mieszku, wzmocnionym metalową siateczką, spoczęła sakiewka oderżnięta od pasa kupca. – Policzmy.

Było tego sporo, jednak nie tak dużo, jak wskazywała na to liczba monet. Ponad sto dwadzieścia *follis* i pięć solidów. Co dawało razem niepełne sześć solidów. Widać kupiec nie planował większych zakupów, skoro zabrał jeno drobniaki.

– Same obierki! To już szmata była więcej warta...

– Ty! – warknął osiłek. – A może ty tam jeszcze gdzieś pokitrałeś więcej z tego, co?

– Wal w dupę osła! Nic nie kitram.

– A sprawdź w swoim mieszku! Na pewno coś się rozsypało!

– Ty, gruby! Przecie mówię! To jest wszystko.

Nicetas nie był do końca przekonany, ale machnął ręką. Czasem Kalikst doprowadzał go do szału, jednak znał kompana dobrze: jemu nie wciskałby kitu. Innym – owszem, jak najbardziej tak, kiedy należało. Ale między nimi dwoma była sztama. Bo jak inaczej mogliby chodzić razem na robotę?

Osiłek odebrał więc swoją część. Splunął i burcząc z niezadowolenia, poczłapał do wyjścia z zaułka.

Belzebub za nim.

– Ale rację masz... To jest gówno, nie robota! Widzisz takiego, mózgujesz, że to jakiś nadziany mudak, a tu marne parę solidów. To już byle chłystek szwendający się po porcie, jak ma kapkę sprytu i zręczności w łapach, więcej chowa w sakiewce.

– Chcesz zarobić więcej? – dobiegł go nagle obcy głos z tyłu.

Kalikst przystanął. Nicetas również. Obaj odruchowo sięgnęli do pasa, opierając dłonie na

rękojeściach noży.

– No, obaj możecie zarobić...

U wylotu zaułka zamajaczyła postać odziana na czarno mimo gorąca lejącego się z nieba. Nieznajomy od samych stóp aż po czubek głowy spowity był w gruby płaszcz. Spod szerokiego kaptura wystawały kłębki zmierzwionej, niechlujnej brody. Twarzy nie było widać.

– Ten numer... Zwiecie go *na złodzieja*, czyż nie? Jeden ucieka, drugi drze mordę: *Łapaj złodzieja!* i sam kradnie... Zmyślny sposób, ale w gruncie rzeczy mało finezyjny. No, no, no...

– Nieznajomy uniósł pojednawczo dłonie, widząc ponury grymas na gębie Nicetasa. Drab miał wielką ochotę zakończyć tę niespodziewaną rozmowę, waląc gościa pięścią między oczy. – Najważniejsze jest to, że to pomysł nader skuteczny! – kontynuował nieproszony kompan. – Sposoby same w sobie, nawet najbardziej wykoncypowane i zmyślne, na nic się zdają, gdy nie masz z nich efektu. Więc patrzmy tu na problem czysto teoretycznie, z punktu widzenia taktyki, rzekłbym nawet – filozofii tego szlachetnego zawodu, jakim jest zacne złodziejstwo, jednak... Chodzi o to, żeście zrobili, co było w planach, i zatem to należy brać pod uwagę. I w tym kontekście to było doskonałe. Mistrzowskie. Godne największego podziwu.

Przerwał na chwilę, by zaczerpnąć powietrza, lecz nim Nicetas zdążył otworzyć usta i warknąć swoje: *Spadaj, pierdziel, albo ci piąchnę*, podjął dalszą mowę:

– Ale, jak sami widzicie, zarobek z tego nijaki. Kupiec z Rusi nie miał zbyt wiele w swoim trzosiku. Czy to pierwszy raz? Chyba nie. Sami wiecie, że to robota do dupy. Okradanie kupców na placu czy paniątek, które zbłąkały się przez pomyłkę do niewłaściwej dzielnicy... Nieee, to jest żaden zarobek.

Nicetas trzasnął pięścią w otwartą dłoń. Płasnęło. Splunął i burknął:

– Ej, *malakas!* A ty skąd to w ogóle o nas wiesz? Skąd wiesz o tym kupcu? I czy on tam Rus, czy Italczyk? Szpiegujesz nas!

Nieznajomy nie uląkł się. Spokojnie odparł:

– Nie szpieguję, lecz dyskretnie obserwuję. I nie tylko was. By nie odchodzić zanedo od faktów: szukałem takich zmyślnych mistrzów wytrycha jak wy. Którzy potrafią wykazać się swą zręcznością, odwagą i nie jest im obca sztuka improwizacji...

– Do rzeczy, panie – warknął niecierpliwie Belzebub. – Kapuję, że coś masz dla nas, więc nawijaj.

Tamten skinął głową.

– Mam coś dla was, ale nie tu. Wybaczcie – skinął głową na rybie resztki – ten smród mąci me myśli, zatem chodźmy w miejsce równie dyskretne, ale nieco mniej uciążliwe dla zmysłu powonienia.

* * *

Smoła. To była smoła.

Kalikst Belzebub zaklął ze złością. Jego prawa ręka przylepiła się do klejowatej mazi. Zaraz dołączyła do niej lewa. Obie były teraz czarne i lepkie.

– *Gamoto!* – syknął.

Nicetas Wielka Pięść rzucił kompanowi piorunujące spojrzenie. Wyszczерzył z wściekłością zęby. Ciemność niezmiennie trzymała okolicę w swych wielkich łapskach, toteż takie zabiegi nie mogły odnieść skutku. Osilek mruknął więc zduszonym głosem:

– Cśśś... Zawrzyj japę!

Belzebub podniósł dłonie do oczu: nic. Nic nie widział. Powąchał: no po prostu smoła. Nie znosił tego zapachu. Przynajmniej wtedy, gdy gęsta maź zlepiła palce. Jego precyzyjne narzędzie pracy.

– *Gamoto!* – powtórzył mimowolnie.

Partacz, który zabezpieczał drewno łodzi, pociągnął deski smołą nie tylko na zewnątrz. Nieregularne plamy czarnej mazi pokrywały też środek krypy, rozlane, jakby rzemieślnik zdecydowanie nadużył wina podczas pracy. Nic to – łódka i tak była kradziona.

Tym razem Nicetas tylko kopnął go znacząco. Cisza, ziomek, przecież jesteśmy już w pobliżu!

Kalikst ledwie powstrzymał się, by nie oddać. Otarł dłonie o burtę krypy, jednak wciąż czuł maź. Miał nią wysmarowane całe ręce. Między palcami. Środki dłoni. Przeguby. Nieraz bywało, że pociągał smołą podeszwy sandałów. Na stromych dachach, podczas wspinaczki na gładkie mury lepka substancja pomagała zachować większą przyczepność. Ale dłonie? To ograniczało ruchy i nie pozwalało na precyzyjne pochwycenie narzędzi.

Starannie wycierał palce o rękaw, jeden po drugim, z prawej dłoni, z lewej dłoni, tak długo, aż lepkość ustąpiła. Czy też raczej: aż stała się mniej odczuwalna, bo nim skóra stanie się znów gładka i czuła na dotyk, minie kilka dni.

Wielka Pięść powoli przebierał wiosłami. Owinięte szmatami nawet nie plusnęły. W oddali zamajaczyły podłużne sylwety statków.

Bezksiężycowa noc sprzyjała im, zapewniając osłonę. Za plecami lśniły pojedyncze blade światła Konstantynopola. Przed nimi – nieco jaśniejsze ogniki rozświetlające Galatę, osadę po drugiej stronie Złotego Rogu. Tam mieli swój port weneccy i genueńscy kupcy podróżujący z dobrami na Morze Czarne. Tam też oni dwaj – Kalikst i Nicetas – mieli dotrzeć.

Płynęli w milczeniu, powolutku. Tuż przed celem swej drogi Nicetas złożył wiosła we wnętrzu łodzi. Sunęli po wodzie samą tylko siłą rozpędu, aż dobili do łańcucha przecinającego Złoty Róg.

Pokryte warstewką rdzy i bliżej nieokreślonego nalotu ogniwa tarły jedno o drugie, wydając tłumiony przez wodę zgrzyt.

Płynęli od beczki do beczki. Nicetas chwycił łańcuch, ciągnąc za sobą całą łódź. Tym

sposobem dotarli do pierwszego okrętu. Ciemności już nieco zrzędyły: na wodzie lśniły odblaski latarni strażników patrolujących port w Galacie.

To ten? Czy tamten? – zapytał na migi Nicetas. Belzebub rozejrzył się. Ich tajemniczy zleceniodawca powiedział: w Galacie stoi sześć jednostek. Dwie dromony, trzy galery i jedna mała liburna. Dromony i liburna nas nie interesują, z galer tylko ta, która ma na dziobie figurę Neptuna.

Kalikst dał znać Nicetasowi: *Płyniemy do tej drugiej.* Z otwartego morza zerwał się wiatr wzniesający niewielkie fale, więc mogli śmielej wywijać wiosłami bez obawy, że ich plusk zwróci czyjąś uwagę. Musieli: u wyjścia z zatoki wyraźnie było już czuć prądy Bosforu. Nicetas kilkoma energicznymi ruchami doprowadził łódź do burty galery. Przyczaili się i czekali. Nasłuchiwali.

Głosy strażników na nabrzeżu szły echem po zabudowaniach Galaty. Jeden ze zbrojnych opowiadał jakąś facecję. Pozostali rechotali cicho, nie przerywając mu. Wreszcie doszli do puenty: mówca zakończył historię, podnosząc głos niczym kapłan na mszy, na koniec ryknął śmiechem. Tamci zawtórowali mu. Przez dłuższy czas gulgotali z uciechy, wreszcie zamilkli. W porcie zapadła cisza.

Strażnicy ruszyli na obchód portu.

Belzebub czuł, że teren nie jest do końca czysty. Że w pobliżu jest jeszcze ktoś.

Naciągnął na twarz czarny zawój. Nasłuchiwał jeszcze chwilę, po czym sięgnął po sznur. Przymierzył się i zarzucił hak na olinowanie galery. Żelazny szpon, nawet owinięty szmatami, narobiłby zbyt dużo hałasu, gdyby zaczepić go o drewno burty. Mając pewność, że hak znalazł mocny punkt zaczepienia, podciągnął się i wspiał na górę. Chwytał linę i powoli sunął w górę. Tuż przy pokładzie przystanął. Znieruchomiał, łowiąc dochodzące z niego dźwięki.

Nad sobą posłyszał westchnienie. Ostrożnie wychylił głowę ponad pokład. Dojrzał nieruchomy cień rosłego mężczyzny zbrojnego w perski czekan. Spał? Chyba nie. Głowę trzymał prosto, jednak nie ruszał się, siedząc oparty o maszt.

Jeszcze jeden – dał znak Nicetasowi.

Załatw go – odpowiedział osiłek wymownym gestem podrzynanego gardła.

Nie, nie ma potrzeby.

Sięgnął na plecy, do pasa, do którego przytroczył rząd strzałek. Na tyle ostrych, by przebić skórzany kaftan czy zbroję, na tyle krótkich, by nie zabić, lecz dosięgnąć mięśni. Ich siłą było co innego: bezwonny, ale zdradziecki dekokt, nazywany mlekiem czarownic. Dobrze posłana strzałka z ostrzem połączonym ze zbiorniczkiem wypełnionym białą cieczą potrafiła uśpić wołu na pół dnia.

Kalikst wyciągnął dwie. Doszły celu. Mężczyzna nawet nie jęknął. Powoli osunął się na deski pokładu.

Strażnicy na nabrzeżu doszli do końca galery i nim zdążyli zawrócić, Belzebub przeskoczył przez burtę na pokład. Przyłgął do desek i bezgłośnie przepełził do leżącego pod

masztem człowieka. Ogolonego na łyso mocarza, niemal tak rosłego jak Nicetas.

Obrócił go twarzą do góry: mleko czarownic zrobiło swoje. Sądząc z rysów, był to Turek, zapewne jeden z najemników pracujących dla kupców. Jego czekan ze zdobnymi okuciami na rękojeści, z misternym ornamentem wytrawionym na żelźcu lśnił w słabym blasku przybrzeżnych latarni, jakby rozświetlała go od wewnątrz pulsująca magia.

To złudzenie – pomyślał Kalikst, z trudem odrywając wzrok od ostrza. Gdy strażnicy zawrócili, idąc ku dromonie na końcu portu, przemknął pod osłoną cienia na rufę statku. Tam też w szerokiej nadbudówce osłoniętej od frontu namiotem znajdowały się umieszczone pod kątem podwójne drzwi prowadzące pod pokład. Zdobne proporce zawieszzone nad drewnianą konstrukcją furkotały cicho targane wiatrem.

Przyłożył ucho do drewna, nasłuchując głosów z wewnątrz. Tylko jednostajny stukot trących o siebie beczek rozkołysanych falami gdzieś głęboko w ładowni. I chłupot wody uderzającej o boki statku. Uniósł lekko jedną część włazu. Pordzewiałe zawiasy jęknęły cicho. Belzebub rzucił spłoszone spojrzenie w kierunku straży: byli daleko, więc nie zwlekając dłużej, odchylił drzwi i wskoczył do środka.

Zszedł po stromych schodkach w dół, aż trafił do wąskiego korytarzyka. Tuż przy zejściu z pokładu znajdowało się przejście do ładowni. Zaś na końcu korytarza, na wprost schodów – za solidnymi drzwiami z dębowego drewna okutego lśniącymi guzami ze stali – była kajuta właściciela statku, kupca z Genui, Rodriga Luigiego.

Belzebub przemknął przez korytarz i zbliżył ucho do dębowych desek. Ostrożnie nacisnął klamkę i pchnął drzwi. Zamknięte. Nie mogło być inaczej. Sięgnął do pasa po lewej stronie, gdzie nosił przyborek z wytrychami. Wyciągnął środkowy, przymierzył. Nie, za mały! Wybrał kolejny i wsunął do zamka. Chwilę badał konstrukcję mechanizmu. Wstrzymując powietrze, delikatnie obracał narzędziem, podnosząc kolejne zapadki.

Robota zajęła mu kilka dobrych minut, nieco więcej, niż zamierzał. W końcu zamek cicho szczęknął i drzwi stanęły otworem. Ostrożnie wsunął się do wnętrza. Chwilę stał tuż za progiem, przenikając wzrokiem ciemność.

Na lewo prosta koja. Obok niej zdobny okrągły stolik. Za stoliczkiem niewielka szafa wbudowana w ścianę statku. Kalikst otworzył wąskie drzwiczki pokryte ornamentami: w środku leżały równo ułożone koszule. Obszukiwał tylną ściankę, aż wymacał deskę, która nieznacznie odstawała od pozostałych.

Pchnął ją. Odchyliła się bezgłośnie, odsłaniając skrytkę. Sięgnął do środka. Pusto. Tak jak przewidział tajemniczy zleceniodawca. Belzebub obmacał dno schowka. Gładka powierzchnia drewna i niewielki sęczonek w rogu. Podważył go paznokciem – wieczko odkryło kolejną skrytkę.

Była tam. Płaska, misternie rzeźbiona szkatułka z twardego drewna. Kalikst musnął opuszkami palców zawijasy na wieczku. Nacisnął mocniej, próbując zarysować powierzchnię. Heban. Znał ten dotyk i zapach.

Odchylił górną część i zbadał zawartość. Jedwabny woreczek z ciężkim, drobnym przedmiotem wewnątrz. I skórzana tuba, lekko spłaszczona, tak by pasowała swym kształtem do hebanowego pudełka.

– Wszystko jest, jak nawijał nieznajomy – mruknął cicho Belzebub i zatrzasnąwszy wieko, schował szkatułę do szerokiej kieszeni na piersi.

Mógł wracać, ale postanowił wyszukać coś jeszcze dla siebie. Sprawdził skrupulatnie wszystkie zakamarki szafy, przetrząsając ubrania, jednak nic nie znalazł. Począł badać meble, ale jedynym, co odkrył, była mała szufladka pod blatem stoliczka. Pusta.

W przeciwległym kącie kajuty odkrył pojemnik na mapy, tkwiło tam kilka zniszczonych od częstego używania rulonów. Obok stolik, w którego zagłębieniu leżały narzędzia nawigacyjne. Nic interesującego.

Niewielka skrzyneczka obok również była pusta. Nie dziw: kupiec niechybnie wszelkie dobra o większej wartości zabierał do swojej rezydencji w Galacie, włączając w to złoto i dokumenty. Rzecz jasna – poza szkatułą, która teraz spoczywała w kieszeni Kaliksta.

Przejrzał pozostałe zakamarki, jednak nic już więcej nie znalazł. Wrócił za drzwi, dobył wytrych i z powrotem zamknął zamek. Nim odchylił wierzeje prowadzące na pokład, nadstawił ucha. Wspiął się po schodkach i po chwili siedział już w łodzi z Nicetasem.

Płyniemy – dał mu znak. Osilek zanurzył wiosła. Głosy strażników na nabrzeżu cichły w oddali, teraz towarzyszył im tylko cichy szum wiatru i pluskanie fal.

– Masz? – zapytał Nicetas zduszonym szeptem, gdy już odплыnęli na bezpieczną odległość.

– Mam – odrzekł Belzebub, zsuwając z twarzy zawój.

– Co to jest?

– Szkatuła.

– Otwieraj!

– Nie tu, za ciemno. Podpłyn bliżej brzegu, tam gdzie pada światło z murów.

Wielka Pięść ochoczo naparł na wiosła. Wkrótce łódka zanurzyła się w lekkiej poświacie padającej z latarni umieszczonych wzdłuż nabrzeża.

– Otwieraj!

Kalikst odchylił wieko i wydobył woreczek z jedwabiu. Sięgnął do wnętrza: pierścień. Uniósł go do światła: może mu się zdawało, może było tam zbyt ciemno, ale mógłby przysiąc, że metal, z którego jubiler wykonał to kunsztowne dzieło, jest przezroczysty. Jak włos anioła. Musnął palcem drobne napisy na powierzchni metalu. Nie potrafił ich odczytać. Były zbyt obce.

Zajrzał do skórzanej tuby. W środku tkwił zrolowany kawałek papieru, saraceńskiego pergaminu. Belzebub rozwinął go i wygiął usta ze zdziwienia. Przed laty pobierał nauki u *grammatistesa*, czytać i pisać jako tako potrafił, znał nawet alfabet barbarzyńców z Zachodu, łacinników, ale te litery były mu obce.

– Co to? Co to za pismo?

– Nie idzie odczytać. Pewnie po arabsku, takich zawijasów używają jeno Saraceni. To nie po naszymu.

– Musi to być znaczny dokument. Może opis, jak dojść do starożytnego skarbcza pełnego złota i drogich kamieni. Nie ma na tym mapy?

– Nie, nie ma żadnej mapy.

– A pierścień? Musi sporo wart, skoro tyle z tym zachodu.

– Nieznajomy w kapturze stosownie sypnie nam grosiwem. Za pierścień i za pergamin.

Nicetas nie dawał za wygraną.

– A złota tam nie było? Na krypie?

– Kupiec komaruje na ładzie, w rezydencji. Tam kitra swoje fanty. Oddajmy po prostu szkatułę, odbierzmy solidy i sprawa zamknięta.

Płynęli w milczeniu. Wielka Pięść prowadził łódź energicznymi, długimi ruchami wiosł. Teraz obrali inną drogę. Zachowując odpowiednią odległość od brzegu, ruszyli w głąb Złotego Rogu. Opłynęli port z drugiej strony i przybili do nabrzeża, kryjąc się za remontowaną galerią okrytą rusztowaniami i pajęczyną lin. Tam porzucili łódkę, po czym przemknęli chyłkiem do miasta.

Omijając patrole strażników, doszli do niskiego domu z kamienia, przytulonego do murów obronnych. Kalikst zastukał w drzwi trzy razy, umówionym znakiem.

Rozdział 2

Morski potwór miał kształt wielkiej ryby z monstrualnymi kłami sterczącymi z szeroko rozwartej paszczy jak rząd seldżuckich szabli. Na grzbiecie stwora, niczym na suchym lądzie, rosły palmy, zaś między ich liśćmi figlowało stado małych o złośliwych i bezmyślnych twarzach. Bestia lekko unosiła się ponad falami, rozbryzgując wodę w pogoni za stadem pierzchających delfinów. Między nimi dryfował statek całkowicie zdany na kaprysy żywiołu i kły lewiatana.

Nim jednak potwór pochwycił statek między szczęki, mozaika, na której był wyobrazony, zatonała we mgle. Para wodna buchnęła z niewidocznych otworów w kamieniu i otoczyła wszystko bielą.

Po chwili z kłębow pary wychynał Eutymiusz Kassidos, drugi mistrz gildii złodziei w Konstantynopolu.

– Według mnie to jest błąd – powiedział. – Nic dobrego z tego nie wyniknie.

Wydobył spod gorącej mgły pęk związanych ze sobą witek i zaczął leniwie smagać plecy. Na jego skórze wykwitły czerwone pręgi, na twarzy – wyraz delikatnej rozkoszy.

– Takie zlecenie oznacza zaangażowanie gildii w jakąś pokrętną politykę – mówił dalej – jaka się dzieje za naszymi plecami, przy naszej niewiedzy. Ze złodziejów czyni najemnych zbirów. A nie takie jest powołanie złodzieja. Nie jesteśmy gildią zabójców. Nie chcemy zdobywać murów niedostępnych miast, nie pożądamy bogactw przynależnych do władców odległych krain. Nie jesteśmy też rycerzami ani wojskiem zaciężnym, ani też...

– To zlecenie to kawał dobrej złodziejskiej roboty! – przerwał mu Atanazy Meklidos, wielki mistrz złodziejskiej gildii. – Niczym się nie różni od tego, co robimy dotychczas! A że daleko? To nie jest przeszkoda. Wprost przeciwnie. Szansa dla nas!

Eutymiusz zaczął energiczniej okładać się wtkami. Para wodna opadła już nieco, ponownie odsłaniając marmurową mozaikę z morskim potworem. Drugi mistrz usiadł tuż pod nią na ławie i z rezygnacją słuchał argumentów rozmówcy.

– To jest szansa dla nas, by rosnąć w siłę – ciągnął dalej Atanazy. – Opróżnianie sakiewek kupcom z Italii to dobre dla drobnych obwiesiów z portu. Właśnie dla tych tam twoich szajek. Naszą organizację stać na więcej. Mamy w naszych szeregach tak wybitne postaci, wybitne w swych fachu, że marnowanie ich talentów dla równie podłej roboty to rzucanie złota w morskie fale.

– Trywializujesz, Atanazy. Mamy znaczące osiągnięcia, jak choćby... A zresztą, co ja będę przypominał, przecież dobrze wiesz, mistrzu. Rzecz w tym, że jako gildia złodziei musimy się trzymać pewnych kanonów. Owszem, drobne odstępstwa zawsze przynoszą

ożywczy powiew w naszej robocie, toteż nie protestuję przeciwko gościnnym występom w Nicei czy w Tesalonice. Ale nie możemy podejmować bezcelowego ryzyka, do jakiego ty nas namawiasz. Czy aż do tego stopnia zaślepią cię żądza zysku, że stałeś się głuchy na to, co mówi rozum? Na głos rozsądku, który głośno woła: ta sprawa śmierdzi.

Żądza zysku! Eutymiusz, ten próżniak i utracjusz będzie mnie pouczał, co słuszne, a co nie?! – pomyślał Atanazy. Sięgnął po pęk witek i jął z wściekłością smagać się po plecach.

– Pozostając przy tym, co ty proponujesz, skazani jesteśmy raczej na utratę pozycji. I co z tego, że coraz więcej kupców wozi ikrę od Rusów, len i zboże z Egiptu, a z Macedonii rudy żelaza? I co z tego, że jest coraz więcej spichrzy do opróżniania, kiedy my możemy sięgnąć do niewielkiej tylko ich części? Osiągnęliśmy punkt, poza który już się nie rozwijamy. Nie idziemy do przodu, tylko chodzimy w kółko. Powiem ci, co jest moim pragnieniem.

Mistrz Atanazy odrzucił witki i nie bacząc, że tkanina okrywająca jego przyrodzenie niebezpiecznie zsuwa się w dół, stanął na środku łaźni, po czym uniósł ramiona w teatralnym geście.

Eutymiusz uznał, że najwyższy czas napuścić do pomieszczenia więcej pary. Skinął na eunucha obsługującego salę. Ten skwapliwie przystąpił do swoich powinności – po chwili łeb potwora z palmami na grzbiecie ponownie zniknął pod kłębami rozgrzanej mgły.

– Otóż moim pragnieniem, inaczej rzeknę: marzeniem, jest wyjść poza Konstantynopol – wyznał otwarcie wielki mistrz. – Gildia złodziei winna zaistnieć w Cezarei, Nicei, Smyrnie i gdzie tam jeszcze. To są tereny dziewicze, które nie zniosą pustki. Chciałbym zorganizować miejscowych złodziei w sprawny organizm, dać im wyższy cel i perspektywy do działania. To zlecenie pozwoli nam na zdobycie większych środków, umożliwi obsadzenie naszych ludzi w tych miejscach. To będzie prawdziwe umacnianie pozycji, tak jak umacnia się cesarstwo. Tam gdzie *basileus*, tam i my.

– Nie przeczę, jest to kusząca perspektywa – odparł Eutymiusz – ale nie mówimy przecież o Cezarei czy Nicei. To jest wyprawa pomiędzy siedliska demonów, to już igranie z siłami zła i diabelskich wysłańców. To wyprawa do samego piekła, między czarty plujące siarką i wiecznie gorejącym ogniem. Co nieco słyszałem o tamtym miejscu, jego zła sława pozwala mi przypuszczać, że nie będzie to, tak jak ty byś chciał, li tylko złodziejska robota.

Atanazy spojrział nań z politowaniem.

– Lud gada różne rzeczy, nigdy nie wiesz, ile w tym prawdy. Odsiejmy bajędy od tego, co wiemy na pewno. A wiemy sporo. Zapewniam cię jednak, przyjacielu, że ma się to nijak do tego, co gada pospólstwo. Ale tam pospólstwo! Toż i nie tylko przekupnie na targu i gawieź przy kubku wina powtarza te facecje, ale i sam drugi mistrz gildii złodziei, Eutymiusz Kassidos. Pomyślałby kto, człek odważny, a przy tym kształcony i niechętny bajdom gminu.

Ten poczerwieniał, choć w kłębach pary ta nagła zmiana pozostała niezauważona.

– Mijasz się z prawdą, nie wiem, czy świadomie, w jakimś niepojętym dla mnie celu, czy przez swoją niewiedzę – zaatakował Atanazego, odrzucając witki.

Dał znać eunuchowi: więcej pary. Łaziebny posłusznie posłał w ich stronę kolejną porcję rozgrzanego powietrza.

– Narażasz ludzi – mówił dalej Eutymiusz – bo co się tam naprawdę kryje, wie sam Bóg w niebie. Dziwi mnie tylko jedno: teraz demonstracyjnie okazujesz nadmierną odwagę wobec sił nieczystych. A pamiętam, że nie zawsze takim byłeś. A może... A może to dlatego, że jesteś odważny, szafując życiem innych? Poślesz naszych ludzi na zatracenie. Uda się albo i nie. Jeżeli tak, to zdobędziemy fortunę. Jeżeli nie – to trudno.

Skąd ci u Eutymiusza ta niespodziana troska o ludzi i gildię? – rozmyślał z rozdrażnieniem mistrz Meklidos. – Jak dotąd więcej wagi przywiązywał do swych korzyści, a dobro naszych ludzi i interesy gildii były jedynie środkiem do celu. Ale nie celem samym w sobie.

Atanazy ściągnął gniewnie brwi. Od dawna już nie potrafił nawiązać z Eutymiuszem nici porozumienia. Nici, która winna łączyć ludzi o takim doświadczeniu, o wspólnym interesie, ludzi stojących na czele tajnej gildii. A przecież nie zawsze tak było. Lata temu rzeczy wyglądały zupełnie inaczej. Bądź co bądź, to Kassidos wraz z nim współtworzył organizację od jej podstaw. Wtedy wszystko zdawało się prostsze. Ale teraz... Wielki mistrz miał wrażenie, że tamten w głębi duszy podziela jego przekonania, wie, że ma rację, jednak zbytnio dał się ponieść rywalizacji.

Jego ambicja doprowadzi go kiedyś do zguby, bo brak mu cierpliwości i opanowania, to pewne jak Bóg na niebie – uznał.

Meklidos podciągnął okrywający go zwój i rzekł:

– Nasz zleceniodawca dostarczył nam plany tego miejsca. Jest skłonny wyjawić więcej, gdy zdecydujemy się podjąć tego zadania. To jest nasz atut: możemy działać z zaskoczenia, w pełni przygotowani. Możemy zaplanować całą akcję w najdrobniejszych detalach, a zważ, że to spryt, działanie w grupie i właśnie dokładne rozpoznanie terenu uczyniły nas tym, czym jesteśmy. Siła gildii złodziei nie polega na mieczu ani na czarnoksiężstwie. Działając wedle ustalonej strategii, dysponując dobranym zespołem, możemy to zrobić z łatwością, z jaką ty pochłaniasz wędzone makrele i garniec wina na kolację. Nie podejmując ryzyka, skazani jesteśmy na sakiewki i nigdy nie sięgniemy większych zaszczytów.

Eutymiusz wycedził, nie kryjąc ironii:

– Oczywiście, będzie, jak ty uważasz, mistrzu. Moje zdanie znasz. Jestem pełen wiary, że weźmiesz je pod uwagę.

– Nie należy się śpieszyć. Wysłałem do Kapadocji dwóch szpiegów, którzy mają baczenie się przyjrzeć, co nas tam czeka. To doświadczeni ludzie, będą więc w stanie wyczuć niebezpieczeństwa. Jeżeli znajdą cokolwiek lub, nie daj Boże, nie powrócą, zapomnimy o sprawie.

Może powinieneś założyć własną gildię najemnych zbirów – pomyślał Eutymiusz, jednak nie powiedział tego na głos. Entuzjazm i dobre samopoczucie mistrza nie przekonywały go,

choć widział też tutaj pewną sposobność dla siebie.

* * *

Po wyjściu z łaźni Eutymiusz skinął na rozpartego na murku Metodego. Karzeł, krzywiąc się niemiłosiernie, dłużył końcem noża między zębami. Wciąż nie mógł wydobyć resztek pieczonej baraniny, którą przekąsił był na śniadanie.

Gdy owionął go aromat wonności, jakimi skropił się mistrz, mimowolnie wygiął usta w wyrazie niechęci. Nie rozumiał tego uwielbienia do kąpieli i pachnideł. Jemu starczyło ostrze noża, którym potrafił usunąć nie tylko resztki posiłku, ale także brud z paznokci.

Ruszyli aleją wzdłuż akweduktu, po to by dwieście kroków dalej skręcić w boczną ulicę biegnącą do portu. Tu rozłożyli swe kramy kupcy handlujący towarami przynoszonymi prosto z zawijających do miasta statków. Było wszystko. Ryby, ikra, garnki, wełna i bawełna, jedwab, damasceńskie kindżały, skóry i kosztowności z najdalszych zakątków świata. Metody aż zapłonął z radości: targ oblegały tłumy mieszkańców Konstantynopola. Wystarczyło jedno spojrzenie, a w jego głowie powstała precyzyjna mapa sakiewek noszonych przez gawieź na wyciągnięcie jego skorych do roboty dłoni.

– Atanazy upiera się przy swoim – rzekł Eutymiusz, gdy palce karła wyłuskały pierwszą garść złota od mijanego przechodnia. – To dobrze. Sam podsuwa nam nowe rozwiązanie. Wykorzystamy to do naszych celów.

– Głupiec... – mruknął Metody.

Kassidos przyznał mu rację.

– Tak. Choć swoją inteligencją mógłby obdzielić dziesięciu takich nikczemnych pokurczów jak ty, nie potrafi ustrzec się przed błędami. Gubi go pycha i nadmierna duma. Ale dla nas to łaska Boża.

Karzeł przytaknął w milczeniu: do jego sakiewki trafiły kolejne złote monety, wyprute z rękawów płaszcza jakiegoś wysokiego, jasnowłosego pielgrzyma. Nim je schował, zdążył poczynić spostrzeżenie, że takiego pieniądza jeszcze w życiu nie widział. To musiał być przybysz z bardzo daleka.

– Pozwolimy mu więc się pograć. Zginie przy tym paru ludzi, ale jego władza dobiegnie końca. Im dłużej o tym myślę, tym bardziej jestem kontent. Nawet nie musimy mu w tym pomagać, wystarczy jeno obserwować. Kiedy ta szaleńcza wyprawa przyniesie samą śmierć i hańbę, poparcie dla jego dalszej władzy w gildii spadnie do poziomu dna morskiego.

Wtedy większość zapamięta mnie jako zdecydowanego przeciwnika tego zlecenia – myślał z narastającą radością. – Nie do wiary, że jeszcze kilka dni temu rozważałem, czy nie załatwić sprawy przez najemnych skrytobójców. Tylko wówczas stronnicy Atanazego nie omieszkaliby mnie oskarżyć. Nic by na tym nie zyskali, bo i tak nie ma lepszego kandydata na mistrza niż ja. Ale to zrodziłoby nieprzyjemne przypuszczenia. Szeptaliby za plecami. Nie ufali. Kto wie,

może doszłoby nawet do jakichś buntów. W końcu Atanazy ma paru oddanych stronników. Ale na bunty jest tylko jedna rada: wypalić je w zarodku mieczem i ogniem. Nauczeni przykładem pozostali nie mieliby wątpliwości, komu należna jest władza.

– Przyjmiemy więc taką strategię – powiedział do Karła, który tym razem bezczelnie, pod okiem wynajętych strażników, ściągnął z mijanego kramu, otoczonego miejskimi elegantkami, wielki pierścień ze srebra, z lśniącym rubinem pośrodku. – Będziemy sprzeciwiać się planom Atanazego. Na tyle głośno, by wszyscy to zapamiętali. Jednak niezbyt wytrwale, żeby przypadkiem mistrz nie odstąpił od swoich zamierzeń. To akurat nie jest w ogóle możliwe, więc pozwólmy mu przegrać w wielkim stylu. Gdy zginie ostatni z jego ludzi, zwołamy radę gildii, na której ktoś z naszego stronnictwa wysunie wnioski wzywający Atanazego do rezygnacji. Czy ty się możesz, nikczemny mały kurdupłu, wreszcie opanować? – dodał Eutymiusz, gdy Karzeł ściągnął z kramu kolejny łup: wielki bochen ciepłego jeszcze chleba.

– No co? Ćwiczę palce. Doskonałą fach.

– Ale chleb? Bochen niemal większy od ciebie? Czasem zdaje mi się, że mistrz ma jednak rację. Może okradanie pospólstwa to nie jest dobry koncept na dalsze działanie gildii. Zostaw to i pozwól mi zebrać myśli!

– Eeee – mruknął tylko Metody, odrywając wielki kęs pieczywa. Wpakował chleb do ust i żuł w milczeniu.

Kassidos powrócił do swoich rozważań:

– Wobec tego, co musi nadejść. Wobec klęski, o jaką on się prosi... Wniosek przejdzie jednogłośnie, no, powiedzmy: większością głosów. Zresztą nie zamierzamy przecież przywiązywać wagi do takich szczegółów. Głosowanie będzie tylko formalnością, przecież trudno sobie wyobrazić inny wybór.

– Ale... Co będzie, jak oskubią klechę na cacy? Wszystkie mu moniaki z kufrów wyłuskają, wszystkie złoto wyczyszczą z tajnych skrytków? I zarobią, i wyjdzie na ich, a nie na nasze.

– Głupis! Tu nie chodzi o złoto. Choć z drugiej strony... – Eutymiusz potarł brodę z frasunku. – Masz trochę racji. Jest cień szansy, że ten szaleńczy plan powiedzie się i przyniesie Atanazemu chwałę miast hańby i wstydu. Hmm... To jeszcze rozważymy. Przygotujemy to tak, by taka ewentualność nie zaszła.

– Kosę im we flaki tuż za murami miasta i wszystko będzie jasne. Albo damy tamtemu cynk, że tu rzezimieszki z Konstantynopola chcą mu moniaki spod poduszki wyciągnąć. Jak klecha ma co chować, jak taki bogaty, to najmie zbrojnych do ochrony i po ziolkach. Najemnicy im zgotują powitanie jak nasz cesarz Turkom pod Manzikert.

Manzikert... To już siedem lat miało, odkąd cesarz Roman IV Diogenes rozbił w puch armię seldżuckiego sultana Alp Arslana. Bitwa nieopodal tamtej twierdzy powstrzymała ciągnący z Azji żywioł, od miesięcy przelewający się przez wschodnie granice cesarstwa. Jak

to z emfazą i znaczną przesadą opiewali kronikarze, owego roku, 1071, Roman IV Diogenes zmienił historię, odsuwając w głąb stepów zagrożenie wymierzone nie tylko w cesarstwo, lecz cały świat chrześcijański. Owego roku władca zmienił świat, realizując wolę Bożą. Po prawdzie wojskowi taktycy nie uważają bitwy pod Manzikert za tak ważką, w istocie – jak twierdzą – była ona niezbyt istotną potyczką, a w razie, nie daj Boże, przegranej cesarstwo miałoby dosyć sił i solidnych twierdz w Armenii i na granicy z Syrią, by długo jeszcze trzymać seldżuckich najeźdźców poza granicami imperium. Jednakowoż, co również przyznają taktycy, bitwa była przełomem. Roman Diogenes, kapadocki generał, trzy lata wcześniej wybrany na cesarza głosami armii, udowodnił, że – mimo umiarkowanych sukcesów w pierwszej fazie wojny – jest właściwą osobą na tronie. Zamknął usta przeciwnikom na dworze, wzbudził entuzjazm wśród wojsk. Po Manzikercie były następne bitwy, wszystkie zwycięskie, a Turcy cofnęli się daleko za Eufrat, do Persji. To umocniło panowanie cesarstwa na wschodzie.

Jednak Eutymiuszowi przyszło na myśl co innego. Czy w tym porównaniu Karła nie było jakiejś aluzji? Pod Manzikert wielką niesławą okrył się Andronik Dukas. Młodszy syn poprzedniego cesarza, Konstantyna X. Zdradziecki dowódca tylnej straży nie ustawał w spiskach, by odebrać tron, przynależny – jak twierdził – rodzinie Dukasów. Gdyby cesarz nie opanował paniki wśród uciekającej piechoty i kawalerii, do której powstania osobiście i z rozmysłem przyczynił się Andronik, sułtan Alp Arslan zamiast mało zaszczytnej śmierci miałby zapewnione zwycięstwo. Czy w ten sposób Karzeł nie próbuje porównać Eutymiusza do Andronika? To znaczy – do zdrajcy knującego przeciwko *basileusowi*? Czy w tym nie było złowrogiej wróżby, że Eutymiusza również czeka wygnanie i niesława?

Nie, chyba nie. Metody nie wdawał się w tak zawile ciągi myślowe, a jego porównania były znacznie prostsze.

– W dupę ich szablą i greckim ogniem przez łeb! Zasypią ich rojem zatrutych strzał, a gdy już padną, wyłupią oczy, uszy poodcinają, łby poodcinają i nadzieją na włócznie, a gnijące członki wystawią na pożarcie krukowi, szczerom i robakom.

– Wiesz co, karyplu? Jesteś równie nikczemnego charakteru, jak i postury, ale chyba właśnie dlatego cię trzymam przy swoim boku. Twoje uwagi mają pewien powiew świeżości, na którą ja już się nie zawsze potrafię zdobyć. Tak, dobrze to ująłeś, sprawę trzeba załatwić prosto, bez zbędnego wahania.

Chwilę szli w milczeniu, przeciskając się przez rozkrzyczany tłum. Metody pogryzał chleb, a gdy już zaspokoił głód, cisnął niedojedzoną połówkę bochna na stertę śmieci, między bezpańskie psy buszujące w przegniłych resztkach warzyw.

– Atanazy wysłał tam szpiegów. Mają dokonać oględzin, popatrzeć, jak rzeczy stoją. Nie wiem, co z tym zrobić... – myślał na głos Eutymiusz. – Z jednej strony wskazane jest w naszej obecnej sytuacji, by dostarczyli raport zachęcający do podjęcia wyprawy. Z drugiej strony, skoro uznaliśmy ją za szansę, która się przed nami rysuje, mogą działać nam na szkodę. Bo

raz: albo dostarczą cennych informacji, które stronnikom Atanazego pozwolą na dokładne zaplanowanie wyprawy, a w rezultacie – wykonanie roboty. Bo dwa: dostarczą takich informacji, które jednak odwiodą mistrza od podjęcia tego wyzwania. Nie wiem, co gorsze... A jak nie wrócą, to być może mistrz też będzie mniej skory, by na to pójść. Druga taka okazja może się niezbyt szybko trafić.

Karzeł miał już na ten temat wyrobione zdanie.

– Skoro tak, skoro jest, jak widać, to po mojemu lepiej zadbać o to, coby nie dotarli ze złymi informacjami. Że klecha to mocarz i nie idzie go oskubać z piórek. A to, że nie wrócą w ogóle? Może wdali się w grandę gdzieś po drodze, próbując zwinąć złoto z sakiewek butnych najemników z Zachodu? Albo coś. Ja w każdym razie posłałem za nimi swoich ludzi.

Eutymiusz aż przystanął.

– Co zrobiłeś?

– No, posłałem za nimi swoich szpiegów, dziarmagi spoza gildii, nieznane na mieście, ale mi osobiście dłużną robótkę. Mają filować na tamtych...

– Skąd wiedziałeś? Dlaczego nie zostałem o tym powiadomiony?

– Eee, to tylko tak. Różne rzeczy się dzieją, czasem nie warto sobie zawracać tym bańki. A że widziałem dwóch łepków, jak o świcie ruszają z ekwipunkiem, szepcząc coś na odchodne z mistrzem... Tego samego dnia w południe już posłałem swoich.

– Z jakimi instrukcjami?

– Na razie mają tylko dobrze gałami obracać. Wtedy jeszcze nie szczałem, że to chodzi o tego klechę. Patrzą: coś knują. Większa sprawa jakaś. No to myślę: my też musimy wiedzieć, co się kroi. No źle zrobiłem?

– Nie, dobrze. Mam nadzieję, że twoi chłopcy nie będą działać pochopnie. Nic, zobaczymy, co z tego wyniknie. Poczekajmy kilka dni. Pozwólmy im się bardziej odsłonić: mistrz dziś chce zebrać radę gildii i omówić bieżące interesy. Na pewno powie coś jeszcze i o tej sprawie.

– Sie wie.

– Tylko, Metody, ty mi się coś ostatnio rozbisurmaniłeś! Dobrze się spisujesz, ale, na Boga, ja muszę o wszystkim wiedzieć. Na bieżąco! Nie możesz działać na własną rękę.

– No sie wie. Nie ma stracha, przecież nie kazałem ich zabić.

– To dobrze.

* * *

Zmierzył wzrokiem odległość. *Marne szanse* – pomyślał z rezygnacją. Nie do trafienia. Zakręcił procą. Zwolnił naciąg i wypuścił kamień.

Pocisk poleciał dwieście kroków i zniknął w falach, mijając beczkę o jakieś dwie stopy.

Kalikst Belzebub zaklął.

– *Gamo*, jest za daleko! Prąd znosi ją w morze. Tak to nie idzie przywalić.

Nicetas zarechotał. Zerwał się z nagrzanego muru i wyciągnął rękę.

– Akurat, za daleko! Nawet z procy to trzeba umieć pakować. Dawaj ją!

Kalikst przekazał broń przyjacielowi i zrezygnowany przysiadł na kamieniach. Kwestia, kto będzie stawiał tego wieczoru wino w tawernie, wciąż pozostawała nierozwiązana. Kiedy beczka odpłynie dalej od brzegu, trzeba będzie znaleźć inny sposób na rozstrzygnięcie sporu.

Osilek wszedł po kostki do wody, szukając najlepszego pocisku. Sięgnął po gładkiego otoczaka i załadował go do procy. Szybko zakręcił, by posłać kamień w stronę beczki.

Pocisk minimalnie przeleciał nad celem.

– *Gamoto!* To przez te fale! – ryknął Nicetas. – Wymierzyłem błatnie, ale w ostatniej chwili beczkę zniosła fala. Widziałeś to? Widziałeś?

– Na pewno, chłopie. Też uważam, że to przekłete morze powinno być proste jak stół i nie robić nam na złość falami. Ale popatrz, jest wredne i uparte. Faluje dalej.

– Dajcie mi – powiedziała cicho Zoe. Zeskoczyła z murka i pochwyciła jeden z kamieni spod nóg. Niewielka plaża przylegająca do portu w południowej części miasta była nimi całkowicie wypełniona. Kamieniami i śmieciami przyniesionymi przez wodę.

– Sprawa tyczy mnie i Kaliksta – oponował Nicetas. – Nastukaliśmy co nieco w nocy, teraz powstała pałaca potrzeba rozdysponowania nadmiaru grosiwa. Pytanie: z czyjej kiesy. Mojej, czy raczej jego?

Zoe nie dała się zbyć.

– Doskonale, to zawrzyjmy układ. Jak teraz nie trafię, to stawiam. Cały wieczór. Może to rozwiąże wasz problem.

– Chcesz stawiać, dziewczyno? No, ja nie mówię nie. He, he, no racja! Problem będzie z głowy, w istocie.

– Nie chcę stawiać, ciołku, tylko rozwalić tę cholerną beczkę. Daj mi procę lepiej, co?

– Masz, masz. Hej, Belzebub, to sobie dziś popijem, bracie! Dziewczyna zatrząśnie sakiewką. A my...

Przestał się śmiać, gdy kamień wystrzelony przez Zoe trafił w sam środek beczki. Co gorsza, klepki były na tyle spróchniałe i rozmiękłe, że jeden pocisk wystarczył, by wybić w niej dziurę. Powoli zaczęła nabierać wody.

Zoe spojrzała na Nicetasa z mściwą satysfakcją.

– Przypatrz się dobrze, bo zaraz pójdzie na dno – powiedziała. – Przypatrz się dobrze, bo zaraz powiesz, że tu nigdy nie było żadnej beczki.

Wielka Pięść prychnął z pogardą:

– Co ty mi tu, mała...? Raz miałaś szczęście, a teraz strugasz cwaną gapę. Raz pierdyknąć procą to nawet baba z targu da radę. Akurat mniejsza fala podeszła, wiatr słabszy zawiał, ot co.

Dziewczyna pokiwała głową z pełną dezaprobatą.

– Nie rób z siebie durnia, proszę. Może lepiej nic nie mów i nie wprawiaj w śmiech zebranej tutaj widowni. I sędziów jednocześnie.

Sięgnęła po kolejny kamień. Załadowała do procy i wskazała tonącą beczkę.

– Widzisz ją jeszcze? Trafię ją teraz. Patrz uważnie, bo po tym uderzeniu już na amen pójdzie na dno.

I tak się stało. Dziewczyna zakręciła procą i precyzyjnie posłała pocisk w wystający bok beczki. Teraz uderzenie było jeszcze trudniejsze: nasiąkającą wodą baryłkę już niemal w całości przykryły fale zatoki. Trafiona przez Zoe beczka momentalnie poszła na dno. Jakby jej nigdy tutaj nie było.

– *Diabolos*, nie kobieta – jęknął zrezygnowany Nicetas. – Istny *diabolos* i tyle powiem.

Kalikst patrzył na to bez emocji. Zdążył już na tyle poznać Zoe, że wiedział, czego się po niej spodziewać. Miła buzia aniołka zwiodła wielu, choć męski strój prowokował do niewybrednych żartów. Już niejeden marynarz, tracąc po kolejnym garncu wina zdolność właściwej oceny sytuacji, miał okazję pobrać spóźnioną nieco naukę, że to, co wbiło się pomiędzy jego nogi, zdecydowanie nie było lekkim kobiecym trzewikiem na delikatnej stopce. Potrafiła przykopać i dokładnie wiedziała, gdzie trafić. Potrafiła też kilka innych rzeczy. Jak widać, także strzelać z procy.

– Ech, głupia jestem. Mogliśmy inaczej ten zakład postawić. Nie trafiam, to stawiam. Jak trafiam, stawia Nicetas. Nie byłoby już problemu, a tak kwestia wina wciąż pozostaje otwarta.

Osilek obruszył się.

– Ja? A dlaczego ja, a nie Kalikst?

– Bo Kalikst wie, że jak ktoś mnie wpieni, to lepiej mordę zawrzcąć i być cicho. Nie?

Rozgrzane w słońcu powietrze falowało, gnąc maszty galer leniwie sunących po zatoce. Słaby powiew znad morza dawał nieznaczną tylko ochłodę, jednak w mieście było jeszcze gorzej. Nawet w cieniu. Wysokie mury otaczające Konstantynopol, kościoły i domy, wszystko wstrzymywało ruch rozpalonego powietrza. W porcie niekiedy zjawiał się wiatr, niczym dobry duch niosący orzeźwienie. To było ich ulubione miejsce: niewielka kamienista plaża szerokości zaledwie czterech kroków, ulokowana w trójkącie wyznaczonym przez Morze Marmara, niewielki Port Hormisdasa i mury obronne miasta, które w dalszej części, idąc w stronę cypla Saragikos, wyrastały wprost z fal. W samym porcie, między murem a wodą, dostępny był jedynie niewielki fragment lądu, nieco szerszy naprzeciwko bramy, do której biegł zwodzony pomost. Port pozostawał nieosłonięty i w razie najazdu wrogowie mieli do niego pełny dostęp. Nic jednak na tym nie zyskiwali. Przystań nie stanowiła miejsca strategicznego. Tutaj wylądowywane były statki towarowe dowożące drewno do warsztatów rzemieślników czy ozdobny kamień na budowę kościołów. Po opróżnieniu ładowni jednostki opuszczały port, zaś w razie zagrożenia opuszczano kratę bramy i podnoszono pomost.

Tego dnia nie mieli nic do roboty. Nie było żadnych zleceń, a po nocnej robocie w Galacie w sakiewkach brzęczało tyle *nummi*, że nie musieli łuskać z monet kupców

i mieszczan.

– Atanazy coś ma na stanie – przerwał ciszę Kalikst. – Coś się szykuje. Jakaś blatna robota, za duże moniaki. Ponoć coś większego.

Nicetas, rozparty na murku, nie podnosząc nawet głowy, mruknął:

– Mnicha idą oskubać jakiegoś... Czy innego klechę.

– Mnicha?

– No, mnicha. Coś mu tam trzeba wyjąć. Ale nie wiem, co za jeden. Mamy w mieście jakiegoś mnicha wartego trudu czy tylko zbieraninę umartwiających się obdartusów i wyrzutek, uciekających pod habit przed długami i zaciągiem?

– Ja słyszałam – wtrąciła Zoe – że mistrz posłał szpiegów, by zbadali grunt. Ponoć do Kapadocji, tak mówili.

Nicetas skoczył w górę.

– Tak mówili? Kto mówił? Skąd ty to w ogóle wiesz, dziewczyno?

Jej twarz rozjaśnił uśmiech triumfu.

– Moje zainteresowania nie kończą się na dnie dzbana z winem i sięgają o wiele dalej niż najbliższa tawerna. Nieważne kto. Wiem, co mówię.

– Bajdurzysz. Ja tam nie słyszałem, żeby mistrz kogokolwiek posyłał.

– Twoją uwagę za bardzo zaprzętała myśl, kto będzie trząśł sakiewką w szynku. Tak jak co dzień. Nie zauważyłbyś armii seldzuckiego sułtana, nawet jakby ci przedefilowała nad dzbanem.

– No, być może nie jestem aż tak zorientowany. Dupy nadstawiam w prawdziwej robocie, pod strzały strażników, a nie w łożu z baldachimem.

Kalikst prychnął z niesmakiem. Nieustanne kłótnie tych dwojga zaczynały go już nużyć. Może Nicetas nie znał Zoe tak dobrze jak on, ale te kilka upokorzeń, których doznał choćby już tylko tego dnia, powinny powstrzymać go przed dalszym pograżaniem się w bagnie.

– Zoe, powiedz, co jeszcze wiesz.

– No, w zasadzie to niewiele. Jakiś wielmoża, jakiś bardzo tajemniczy pan o nieujawnionym imieniu, oferuje znaczną kwotę w złocie za zdobycie fantu z jakiegoś monasteru w Kapadocji.

– W Kapadocji? To kilka dni drogi stąd i nieznany teren. Nie mamy tam wpływów ani naszych ludzi. Musi nieźle płacić, skoro mistrz rozważa taką ofertę.

– Dlatego posłał ludzi na przeszpiegi.

– Kogo?

– Nie wiem. Nie znam. Nic więcej nie wiem.

Belzebub popadł w zadumę. Drobne kradzieże kupieckiego złota i włóczenie się całymi dniami po Konstantynopolu pozwalały żyć łatwo, wygodnie i przyjemnie, jednak jego zaczęło to już nużyć. Uciskać jak skurczony od wody i słońca skórzany kubrak. Dla gildii działał już od – a kiedyż to było? – od ponad dziesięciu lat, chwytając każdą robotę, jaką naraił mu

mistrz. Marzył jednak o czymś znaczniejszym. O czymś, co przyniesie mu więcej chwały i pieniędzy i stanowić będzie prawdziwe wyzwanie. Trzepanie sakiewek na rynku w Konstantynopolu dobre było dla kilkuletnich nicponi, dzieciarni z rynsztoka albo najmniej zdolnych kieszonkowców.

Problem brał się stąd, że gildią nie rządził już Atanazy. Nie, Eutymiusz też nie, choć perspektywa pozyskania władzy była siłą sprawczą wszelkich jego działań. Gildią rządziły intrygi i cicha rywalizacja jej dwóch przywódców. Cicha, bo z wierzchu obydwaj zachowywali pozory zgody i harmonii. Jednak pod tym toczyła się bezgłośna wojna na wpływy i sukcesy. Atanazy Meklidos, snujący wielkie plany, kreślący imperialne wizje gildii jako ponadmiejskiego przymierza sięgającego mackami najdalszych zakątków cesarstwa, szansę na dalsze zachowanie zwierzchnictwa widział w spektakularnych sukcesach. Przy winie chodziły różne opowieści o kolejnych tajemnych zleceniach, jakie mistrz dawał swoim najbardziej zaufanym ludziom, nawet jeżeli ich talenty i oddanie należało poddać pod dyskusję. Gildia robiła już nie tylko w Konstantynopolu, Chalcedonie i Chryzopolis. Mistrz posyłał ludzi do Nicei i z misjami do innych prowincji cesarstwa. Bywało, że nie wszyscy wrócili z nich w jednym kawałku, a nawet z głową na karku. Cena ryzyka, jakie wiązało się z tym fachem.

Eutymiusz podobnie. Zgromadziwszy wokół siebie grono zaufanych, starał się ubiec Atanazego na drodze do sukcesów, a co za tym idzie – do poparcia najbardziej wpływowych członków gildii. Wszelakimi sposobami usiłował przejąć najbardziej intratne zlecenia lub też – w razie porażki na tym polu – pomniejszyć zasługi Atanazego.

W efekcie nie było dobrej roboty. To znaczy – była, ale tylko dla zaufanych stronników obydwu mistrzów. Nie dla Kaliksta. I cóż z tego, że przez lata pozostawał wierny Atanazemu, nie tylko jako wielkiemu mistrzowi gildii. Od roku, a nawet prawie dwóch lat, wszystko szło nie tak, jak powinno. Chociaż on sam nie zmienił się przez ten czas, to zmienił się świat wokół niego. Atanazy nie darzył go już zaufaniem. Eutymiusz? Tym bardziej. Z drugim mistrzem zamienił w życiu ledwie kilka słów. Kalikst nie uczestniczył w intrygach, nie stosował forteli i wybiegów. Atmosfera nieustannego spiskowania męczyła go, czuł instynktowną niechęć do tego typu korowodów. Stąd też pozostawał na uboczu, coraz bardziej oddalając się od Atanazego, nie zyskując również uznania w oczach Eutymiusza.

– Mistrzu – prosił nieraz – chciałbym też brać udział w tych lepszych zleceniach. Wiem, że innych darzysz niemałym zaufaniem. Dlaczego ja nie mogę mieć w tym udziału?

Atanazy patrzył na niego łagodnie i niezmiennie odpowiadał to samo:

– Cierpliwości, chłopcze. Jeszcze przyjdzie twój czas. Jeszcze przyjdzie dzień, gdy powierzę ci odpowiedzialność. Ale teraz... To nie jest dobry czas. To nie jest czas chwały...

Próbował więc działać na własną rękę. Szybko okazało się jednak, że tajna gildia złodziei w Konstantynopolu ma wśród zainteresowanych tak dużą sławę i renomę, że tylko tam docierały kluczowe informacje i najlepsze zlecenia. Raz z pomocą Zoe na własną rękę zdobył

cynk o egipskich kupcach, którzy podczas sztormu na Morzu Marmara nieznacznie uszkodzili galery. Lekko, więc nie zatonęli, jednak o usterka była na tyle poważna, że statek nie zdołał dojść do portu w Konstantynopolu. Stał na przystani w Chalcedonie, na przeciwległym brzegu.

Zajęli się tym jeszcze tego samego wieczoru, całe popołudnie poświęcając na przygotowania. Gdy dotarli do galery, na miejscu zastali już tylko splądrowaną ładownię – ich ziomkowie z gildii zostawili co prawda większość ładunku, ale dla złodzieja nie było z tego żadnego pożytku: beczki z winem, wory ze zbożem, bele materiałów. Poznikała za to cenna broń i osobiste dobra kupców. By ukość żal, wytoczyli z kompanem małą beczkę z kreteńską retsiną i rozpili ją na skałach. Belzebub nie za bardzo pamiętał, jak później wrócili do miasta.

– Dzisiaj będą radzić o tym mnichu – dodała Zoe. – Może wtedy coś wymyślą.

W głowie Kaliksta rodził się plan. Diabelsko dobry plan, jeżeli tylko nie skrewi.

Rozdział 3

To, co zwano Wielkim Pałacem, w istocie tworzył zespół kilku pałaców i kościołów stanowiących główny ośrodek reprezentacji i ceremoniału cesarskiego. Było to istne miasto w mieście, oddzielone i niezależne od stolicy imperium. Wielki Pałac posiadał sieć własnych wodociągów, cystern i łaźni, otaczały go niedostępne dla ogółu ogrody, ba, były tu nawet stadiony i areny, na których odbywały się widowiska cyrkowe przeznaczone tylko dla oczu *basileusa*, jego dworu oraz oficjalnych gości, posłów z dalekich krain.

Do Wielkiego Pałacu wiodła droga przez *Chalke*, wielki gmach o spiżowych bramach. Przechodząc przez pierwszą z nich, trafiało się do hali, którą zdobiły posągi cesarzy, wodzów oraz najdoskonalsze rzeźby stworzone przez świat hellenistyczny. Ot, chociażby dwa konie z brązu, sprowadzone z Efezu jeszcze przez Justyniana, sześć wieków temu. Tu też stała statua mężów podających sobie dłonie – Aristogejtona i Harmodiosa, zabójców ateńskiego tyrana Hippiasza.

Z hali wejściowej zadziwieni tyłoma wspaniałościami przybysze i nawykli do nich dworacy wchodzili do Sali Trybunału, rzeźbiście oświetlonej wieloramiennymi kandelabrami. Tutaj miały swe miejsce posiedzenia sądu, jak również oficjalne ceremonie mniejszej rangi.

Dalej zaś była Sala Dziewiętnastu Łóż, gdzie organizowano cesarskie uczyty i bankiety; zgodnie z dawnym zwyczajem władca i jego goście biesiadowali tu, spoczywając na obszernych sofach.

Tu też *basileus* Diogenes miał teraz przyjąć fatymidzkiego posła Al-Idrisiego.

Marszałek dworu dał znak: trębacze, fantazyjnie odziani w niebiesko-złote stroje, unieśli swe instrumenty i zadęli w ustniki. Salę Dziewiętnastu Łóż wypełnił wibrujący dźwięk fanfar. Ucichły rozmowy, zdużone niczym wiotkie płomyki świec na wietrze. Roześmiane twarze, powtarzające wieści zasłyszane na mieście czy dworskie plotki, zastygły. Grzmienie fanfar – zdało się – nie miało końca, a gdy ucichło, długo jeszcze rozbrzmiewało echem odbijane od ścian z porfiru. Trębacze opuścili instrumenty.

W tej samej chwili w sali rozbrzmiał chóralny śpiew. Młodzi eunuchowie, ledwie trzynasto – czy czternastoletni, wystrojeni w białe tuniki o złoconych brzegach, z czuprynymi trefionymi w blond loki, słodkimi anielskimi głosami wznieśli swą pieśń:

*Pan zwycięski, pan pobożny,
Cesarz wszystkich narodów.
Pan łaskawy, pan miłościwy –
Jego władza jest władza Boga...*

Gdy skończyli ostatnią, czternastą zwrotkę, trębacze po raz wtóry unieśli swe instrumenty. Tym razem fanfary były krótkie, a przy tym o całą oktawę wyższe. Gdy echo trąb ucichło, marszałek dworu, rumiany od nadmiaru wina i tłustego jadła, zakrzyknął:

– Wstańcie, poddani, i oddajcie hołd, bo oto nadchodzi nasz pan, miłosiernie nam panujący autokrator *basileus Rhomaiôn, hagios, niketes*, Roman IV Diogenes, *pistos en Christo*, wraz z *basilissą*, Eudoksją Macrembolitissą.

Dworzanie, najbardziej zasłużeni i najwyższej rangi *archontes*, wojskowi, cywilni i kościelni, powstali i posłusznie zgięli karki w *proskynesis*, hołdzie oddawanym cesarzowi, który w tych mniej oficjalnych okolicznościach ograniczył się tylko do głębokiego ukłonu. Chwilę tak stali bez ruchu i szeptu, wręcz wstrzymując oddechy, aż wreszcie na szczycie szerokich schodów ukazał się cesarz wraz z małżonką. *Basileus* odziany był w błękitną, przesywaną złotem dalmatykę z jedwabiu, zaś barki i szyję osłaniał mu kołnierz z litego złota, wysadzany perłami. Na to narzucone miał *paludamentum* – inkrustowany rzadkimi kruszcami, zdobiony orłami Jowisza płaszcz starorzymskich wodzów. Już sam strój robił wrażenie, a co dopiero marsowa mina władcy!

Roman IV Diogenes przystanął, obrzucając surowym wzrokiem zgromadzonych. Z tej perspektywy jego dwór przypominał wojsko równo ustawione w kolumny, gotowe do walki. Tyle że tutaj jego poddani nie mieli mieczy i kusz, lecz noże stołowe, kielichy i talerze. A wrogiem był nie Seldżuk, lecz pieczone mięsiwo, chleby i wino. Stali jednak gotowi, by ruszyć do boju, wypatrywali jeno znaku swego dowódcy.

Basileus nie zamierzał ich zmuszać do długiego czekania, choć tego wymagała dworska celebra. Sam też chętnie by umoczył usta w chłodnym winie z Rodos. Ruszył w dół, a wraz z nimi cesarzowa Eudoksja.

Cesarska para zeszła po szerokich stopniach z różowego marmuru i skierowała się w stronę stołu. Po schodach tych, nazywanych cesarskimi, mogły stąpać jedynie stopy *basileusa* i *basilissy*. Nikt inny nie miał prawa ich skalać, a jeżeli stan rzeczy wymagał, by wszedł na nie sługa polerujący kamień do blasku, wolno mu było to uczynić jedynie na kolanach.

U dołu schodów pełnili swą powinność dwaj *candidati*, strażnicy pałacowi odziani w białe galowe uniformy, złożone zbroje i hełmy, białe pasy, także płaszcze i trzymający w dłoniach paradne włócznie przystrojone proporczykami z wizerunkiem orła.

Gdy władca i jego małżonka zeszli z ostatniego stopnia, wokół cesarskiej pary natychmiast zakręcili się *silentiari*, szambelani. Doprowadzili *basileusa* oraz *basilissę* do półkolistego stołu pokrytego lśniącym złotem.

Roman Diogenes zdjął płaszcz i zasiadł przy stole. Marszałek dworu klasnął dwa razy. Na ten znak w sali zaroilo się od sług wnoszących misy z jadłem.

Obok cesarza, po lewej jego stronie, zajął miejsce fatymidzki poseł, Ahmed Al-Idrisi,

herold egipskiego kalifa Al-Mustansira. Towarzysząca mu osobista obstawa, trzech Saracenów z diablami błyskami w oczach, nie uczestniczyła w uczcie – Fatymidzi stali z boku, pod balkonem wiszącym nad główną salą. Z rękami splecionymi na piersiach czekali rozkazów swojego pana. Reszta egipskiej świty siedziała przy bocznych stołach razem z poddanymi cesarza.

Władca skinął na Dozyteusza, zaufanego eunucha o farbowanych na czerwono lokach. Ten, rozumiejąc bez słowa pragnienie swego pana, sięgnął po kryształową karafę z winem. Nalał sobie znaczną porcję do pucharka i starannie rozcierając napój po podniebieniu, opróżnił naczynie. Skłonił się i napełnił kielich cesarza.

On zwilżył usta, pociągnął tęgi łyk i ocierając usta jedwabną chusteczką, rzekł do Al-Idrisiego:

– Rozważamy propozycję, jaką złożył nam szacowny Al-Mustansir. Wciąż jednak nie zapadła decyzja, a wszystko pozostaje jeszcze do przemyślenia.

Fatymidzki poseł skłonił się. Gestem odmówił wina, którego chciał mu nalać eunuch, po czym przemówił czystą greką:

– Zechciej, panie, wyrazić swe wątpliwości. Co sprawia, że ta propozycja, korzystna tak dla cesarstwa, jak i kalifatu, budzi twe obiekcje? Kalif dał mi pełnomocnictwa, możemy więc pertraktować...

Basileus pokiwał ze zrozumieniem głową.

– Seldżuckie zagrożenie poznałem na własnej skórze. Zaiste niewiele brakowało, a turecki sułtan siedziałby dziś przy tym stole, chwając sobie rozkosze podniebienia, jakie są naszym udziałem. Jednak Bóg zlitował się nad swym wiernym sługą i nie pozwolił, by cesarstwo upadło. Jestem świadom, że prędzej czy później przyjdzie mi stanąć przeciw następcy Alp Arslana, a najeźdźca ze stepu nie przestanie myśleć o złocie i skarbach Konstantynopola.

Roman Diogenes skinął na sługę, wskazując misę z mięsiwem. Ten odkroił niewielki kawałek udka i nadziawszy go na długi szpikulec, skierował do ust. Chwilę rozcierał mięso między zębami, gdy zaś uznał, że nie jest zatrute i odpowiada wymogom cesarskiego podniebienia, odkroił większy kawał i nałożył go na szczerozłoty talerz władcy. Al-Idrisi wykorzystał tę chwilę, by wtrącić dwa zdania.

– Zechciej zauważyć, panie, że oto najwyraźniej nadszedł czas, by się z tym zmierzyć. Seldżucy od lat kilku łupią Syrię, są tuż za granicami cesarstwa, a teraz biją się z nami w Palestynie.

Cesarz pokiwał ze zrozumieniem głową. Gestem zachęcił gościa, by nie przerywał swojej mowy.

– Zważ panie na dwie rzeczy. Najeźdźca ze stepów nie ma szacunku dla innych niż on sam. Kalif Al-Mustansir pozwala żyć w pokoju zarówno błądzącym sunnitom, jak i chrześcijanom. Jedni i drudzy mogą w spokoju wieść swój żywot: odbywać pielgrzymki,

prowadzić własne interesy i korzystać z pełni danych im praw, o ile wnoszą podatek *dzizzija*. Chrześcijanie pod panowaniem kalifa mogą bez obaw pielgrzymować do Jerozolimy i tam oddawać się swoim świętym rytuałom. Jednak Seldżuk nie ma w sobie tyle miłosierdzia...

– Tak jak nie miał Al-Hakim? – w pół zdania przerwał mu *basileus*. – Kalif bądź co bądź z fatymidzkiej dynastii. Zniszczył Grób Boży. I okrutnie mordował chrześcijan.

– Panie! To było osiem dziesiątek lat temu! Al-Hakim był szaleńcem, niezdrowym na umyśle uzurpatorem, który siebie samego obwołał bogiem, zaś religię pchnął na manowce herezji druzów. Teraz nadeszły inne czasy. Druzowie są źle widziani przez kalifa, zaś zniszczona świątynia chrześcijan została – jak powszechnie wiadomo – odbudowana dzięki wsparciu następnych kalifów. Chrześcijanie nie mają się co obawiać Fatymidów. Seldżuci. To Seldżuci są złem wcielonym.

Ahmed Al-Idrisi sięgnął po pieczoną jagnięcinę otoczoną wiankiem papryki i pomidorów. Odciął nożem kawał mięsa i wsadził go do ust.

– Jest też druga rzecz – powiedział, gdy przełknął kęs. – Seldżuci w Syrii to niebezpieczeństwo dla cesarstwa. Sultán umacnia się tam, tworzy własne państwo rosnące w dostatek. Syria do reszty zduszona przez Seldżuków oznaczać będzie, że u bram imperium staną hordy nieokrzesanych, nieznających litości barbarzyńców ze stepów. Ile trzeba będzie czekać, by ten żywioł przelał się przez granice cesarstwa?

Diogenes pokręcił głową.

– Odkąd cesarstwo wyparło z Armenii, z Bożą pomocą, wojska sultana, umacniamy na granicy ciąg twierdz i fortyfikacji. Umocnione są nawet najmniejsze wioski, tak więc w razie ataku powstrzymają oblężenie, nim nadejdzie pomoc. Pomiędzy wioskami góry i puste tereny, gdzie nie usłyszysz ani żywej duszy. Nie nakarmisz też jadącej na koniach armii. Przez granicę się nie przedrą.

Tej wymiany zdań bacznie słuchali dwaj inni uczestnicy uczty. Po lewej stronie, zajmując miejsce tuż za Al-Idrisim, siedział Jan Italos, filozof, uczeń Michała Psellosa. O Italosisie, który przybył do Konstantynopola z Kalabrii blisko trzy dekady wcześniej, krążyły najróżniejsze wieści. Mimo lat spędzonych na dworze kolejnych cesarzy pozostawał postacią tajemniczą, o sposobie bycia nie dla wszystkich zrozumiałym. Italos nigdy nie opanował wytwornej greki, był też nieco chropawy, ba, niekiedy gburowaty w obejściu, zaś przedmiot jego zainteresowań stał w jaskrawej sprzeczności z oficjalnie przyjętymi interpretacjami nauk Ojców Kościoła. Jako spadkobierca tytułu *Konsula Filozofów* cieszył się względami cesarza, poważaniem wielu uczonych i dużą popularnością wśród studentów. Jednak ten syn normańskiego najemnika był solą w oku dostojników kościelnych. Powiadano, że wzorem Psellosa Italos nie tylko zgłębiał filozofię i nauki przyrodnicze, lecz także doktryny chaldejskie, astrologię i demonologię. Rok temu dygnitarze kościelni doprowadzili do oskarżenia Italosa o bezbożność. Według nich miał on kultywować w cichości herezje, a ich jad sączyć powoli w serca i umysły oddanych mu bezgranicznie uczniów. Zarzuty były

poważne: stosowanie dialektyki wobec tajemnicy wcielenia Chrystusa, dopuszczenie idei wędrówki dusz, wyznawanie poglądu głoszącego wieczność świata. To już zakrawało na jawne pogaństwo. Szeptano też, że Italos powątpiewał w cuda Chrystusa, jak również w cuda czynione przez świętych. Ile było w tym prawdy, wiedział chyba tylko sam oskarżony, jednak do procesu nie doszło. Cesarz Roman IV Diogenes zbyt cenił filozofa, by oddać go na pożarcie dworskim intrygantom. Wiedział, że zarzuty były w dużej mierze spreparowane. Zresztą nawet jeżeli oskarżyciele mieli rację, to nie chodziło im przecież o religię czy filozofię, lecz o politykę. Dwór w Konstantynopolu był polem nieustannych potyczek i walk o wpływy. Ścierały się tutaj najróżniejsze frakcje, dążąc do siebie tylko wiadomych celów. *Basileus* świadom był tego, że pałacowe intrygi w jakimś tam stopniu wymierzone są także w niego osobiście. Rodzina Dukasów nigdy nie zaprzestała marzeń o powrocie na tron. Ucieczka Andronika Dukasa i skazanie na śmierć jego stryja Jana nie powstrzymało ich krewnych i stronników przed dalszymi knowaniami.

Inny interes w ataku na *Konsula Filozofów* miał Kościół. Duchowni nie mogli dłużej tolerować sytuacji, w której kontrola nad nauczaniem pozostawała poza ich wpływem, będąc w gestii człowieka, którego przynależność duchowa, intencje i cele nigdy nie były przez nich do końca zrozumiałe. Italos stanowił ostatnią przeszkodę w scaleniu nauczania świeckiego i religijnego w jeden nierozzerwalny monolit. Cesarz wiedział jednak, że w Janie może znaleźć sprzymierzeńca, toteż zatuszował sprawę. Nie dopuścił do procesu i oddalił zarzuty.

Co sądził Italos o prośbie fatymidzkiego kalifa wyrażonej ustami Ahmeda Al-Idrisiego? Jako człek uczony i myśliciel nie zwykł wyciągać zbyt śpiesznych wniosków. Widział tu pewne za i przeciw, tezę i antytezę, wszelako nie zamierzał teraz roztrząsać problemu. Pragnął spojrzeć na mapy, w gwiazdy i w ogień. Wiedział, że argumenty filozofa muszą rozmijać się z oczekiwaniami i dążeniami żołnierza, toteż istotną kwestią było nie tyle, co on sam, Jan, uczeń Michała Psellosa, uczyniłby na miejscu Romana IV, lecz co powinien doradzić mu jako cesarzowi, generałowi, wodzowi. Nadrzędną sprawą było jednak to, co może wydarzyć się w przyszłości, jaką wybierze władca. Italos wiedział, że musi wskazać cesarzowi wszystkie możliwe drogi rozwoju sytuacji. To wymagało jednak czasu spędzonego w pracowni.

Po prawicy cesarza, tuż obok Eudoksji, zasiadał największy antagonistą Jana, patriarcha Kosma. Nie, osobiście nie uczestniczył w oskarżeniach przeciwko *Konsulowi Filozofów*, jednak nie było tajemnicą, że wszelkie zarzuty powstawały z jego inspiracji. Kosma pryncypialnie strzegł czystości wiary, w herezjach i nieprawomyślnych filozofiach postrzegając większą szkodliwość dla wiary Chrystusowej niż w religii niesionej na tureckich szablach. Roman Diogenes – w ocenie patriarchy – wykazywał znaczną *eusebeia*, pobożność, która objawiała się szacunkiem i hojnością dla Kościoła. W głębi duszy Kosma żywił jednak niechęć do cesarza: owszem, *basileus* strzegł imperium przed zagrożeniami czyhającymi z zewnątrz. Rozgromił Seldżuków, spychając ich w głąb Azji, a także – co bardziej cieszyło

patriarchę – pobił normańskich panów na Sycylii. Tym samym umacniał potęgę Kościoła, prawdziwego Kościoła, jednak z drugiej strony Roman – i o to Kosma miał żal – zaniedbywał sprawy wewnętrzne. Z Bułgarii, Frygii i Pizydii ściekały do Konstantynopola najbardziej jadowne herezje. Bogomili byli tak bezkarni, że głosili swe plugawe słowa już nie tylko w zaciszach swoich monasterów, lecz także w samej stolicy. Paulicjanie, messalianie – gnostycko-manichejski jad sączył się powoli do dusz wiernych chrześcijan, zatruwając ich myśli, słowa i czyny. No i ten Italos! Wyniosły i kłótniwy barbarzyńca, który nie wiedzieć jakim sposobem zdobył tak duże zaufanie cesarza. Patriarcha zdawał sobie sprawę, że niektóre z zarzutów kierowanych wobec filozofa to nadinterpretacja, jednak zważywszy na wyższy cel, nie widział w tym nic niestosownego. Nie miał jednak wątpliwości, że w oskarżeniach o magię i kontakty z demonami nie było ani krzty przesady. Bo jak inaczej uczeń Psellosa zdobyłby tak duże uznanie u Romana Diogenesa, bądź co bądź wojskowego i stratega, a nie miłośnika dysput o naturze bytu?

Jak zatem odnieść się do słów saraceńskiego posła? Najeźdźcy ze stepów niewątpliwie stanowili powód do niepokoju, zwłaszcza jeżeli mieli wtargnąć do miasta, w którym stał Święty Grób. Do Jerozolimy. Obca religia, która za swego proroka uznała pastucha z plemienia arabskich nomadów, była jawną obelgą wobec Chrystusa. Pan zapowiedział przecież, że przyjdą fałszywi prorocy. *Powstaną bowiem fałszywi mesjasze i fałszywi prorocy i czynić będą wielkie znaki i cuda, aby, o ile można, zwieść i wybranych. Oto przepowiedziałem wam. Gdyby więc wam powiedzieli: Oto jest na pustyni – nie wychodźcie; oto jest w kryjówce – nie wierzcie.* Tak powiedział Pan.

Ale, po prawdzie, ten dziki lud żył w grzechu wynikającym z niewiedzy. Toteż słowo Chrystusowe, a nie miecz, należało nieść na stepy, Ewangelię głosić, a nie chwałę cesarstwa. Jeden władca, jedna religia, jedno państwo – tak, te słowa miałyby rację bytu, a więc wyprawa wojenna *basileusa* przeciwko wyznawcom Allaha z samej definicji byłaby krzewieniem słowa Chrystusowego. Byłaby, gdyby w istocie *jedno państwo* znaczyło *jedna religia*. Ale czy można zrównać tę wielogłową hydrę z Bożym państwem? Hydrę, w której głodne łby herezji zjadają coraz większe obszary imperium, wydzierają dusze, ciągnąc je w swoją stronę? Nie, tolerancja czy też może zaniedbanie – Diogenesa wobec nieprawomyślnych doktryn pseudochrześcijańskich nie pozwalała w spokoju ducha kierować myśli ku ewangelizacji stepów. Bo jak można głosić chwałę Chrystusa, gdy tuż pod bokiem kwitnie bluźnierstwo, które głosi, że Nasz Pan, Zbawiciel, to Logos, brat Satanaela, który udawał Boga ze Starego Testamentu i przekazał prawo Mojżeszowi? Nie! Kosma nie miał już wątpliwości. Wysłək należy kierować ku samooczyszczeniu, dopiero wówczas cesarstwo zyska moralne prawo, by palić żywym ogniem innowierców od Mahometa.

Nie – myślał dalej patriarcha. – *Seldżucki poseł nie przynosi nic, co dałoby korzyść wierze chrześcijańskiej. Korzyść będzie miał jeno kalif Al-Mustansir, który chce rękami chrześcijan załatwić odwieczne spory ze swoimi braćmi w wierze, choć niezgodnymi politycznie. Seldżuk*

gorszy od Fatymida? Jeden i drugi trwa w pogaństwie, a kto wie czy za czas jakiś nie pojawi się nowy Al-Hakim, gotów zrównać Grób Pański z ziemią. W takiej sytuacji prawy philochristos winien skierować swe ostrze ku innym zagrożeniom. A nie ku uludzie roztaczanej przez Saracena.

Tak rozmyślał patriarcha Kosma, coraz bardziej przychyłając się do zdania, że cesarz powinien odprawić gościa z Egiptu z niczym.

Ten zaś po chwili milczenia tak odparł na ostatnie słowa *basileusa*:

– Zechciej, panie, zważyć na jedno. Gdy nie przystąpisz do wojny... Gdy nie przystąpisz do wojny, wojska z Bożej łaski kalifa Al-Mustansira zmobilizują się i wyprą najeźdźców w głąb kontynentu. Ale na jak długo? Seldżycy to naród, który nie orze i nie sieje, nie zbiera plonów, nie wytwarza rzemiosła, nie uprawia handlu, sztuki, nie prowadzi racjonalnej polityki. Ich jedynym talentem jest wojna, ich jedynym powołaniem jest sianie śmierci i łez. Racz wziąć pod rozwagę, panie, ile lat minie, nim Turcy znów staną u granic twych ziem. Jeżeli teraz nie zdołają, przyjdą za dwa lata, mocniejsi w dwójnasób, w trójnasób. Jeszcze bardziej zdesperowani. Puszczą z ogniem ziemie, na których żyje lud miłujący pokój, zabarwią rzeki czerwienią, a my wtedy zapytamy: *Dlaczego nie podnieśliśmy miecza, gdy była ku temu okazja? Teraz już za późno, przyjdzie się oddać w niewolę i hańbę.* Panie! Oto nadeszła ta chwila, gdy dwa wielkie mocarstwa mogą na wieki ustanowić pokój na świecie. Zgnieceni teraz Seldżycy nie wstaną przez dekady, może stulecia, historia o nich zapomni, a kronikarze będą mogli pisać w annałach: *Nastąpiła epoka szczęścia i spokoju.*

Roman IV pokiwał z uznaniem głową. Gdy eunuch napełnił mu puchar winem, jął powoli sączyć trunk, bijąc się z myślami. Sytuacja była bardziej napięta, niż wcześniej sądził. Fatymidzi wysłali do niego posła z rodu kalifów, co nie jest tylko oznaką kurtuazji i szacunku należnego cesarzowi. Gra idzie o większą stawkę. Kalif mógłby równie dobrze kierować przemawiających tak gorącymi słowami posłów do Seldżuków, by zmówić się przeciwko imperium. Przecież łączyła ich religia, przynajmniej w podstawach, łączyły ich mimo wszystko bliższe kręgi duchowej kultury i zapewne jeszcze wiele innych rzeczy. A jednak Ahmed Al-Idrisi gorliwie zachęcał do sojuszu cesarza, a nie Wielkiego Seldżuka. Znaczy, że nie wszystkie słowa zostały jeszcze wypowiedziane, że nie padły jeszcze wszystkie argumenty, że nie wiadomo jeszcze wszystkiego.

– Zaiste – odparł władca – widzę, że sułtan przysłał na mój dwór zręcznego mówcę, który potrafi zgrabnymi słowami odmalować ogrom knowań, jakie grożą pokojowi mego państwa i ludów przynależnych do cesarstwa.

Ahmed Al-Idrisi zgiął kark w milczącym podziękowaniu.

– Wiedz – ciągnął *basileus* – że twe słowa zostaną przez nas z wnikliwością rozpatrzone, a nasi *strategosi* rozważą je w swoich kalkulacjach. Jaka będzie moja decyzja w tej materii, ujawnię już wkrótce. Na razie jednak cieszymy się wyborym trunkiem i jadłem, melodiami granymi przez muzykantów i wzajemnym towarzyszeniem. Co zostanie postanowione,

oświadczyć jutrzejszego wieczoru. Może później.

Potem Diogenes oszczędnym gestem potwierdził milczące pytanie sług: *Tak, podajcie następne dania.*

– Jak każesz, panie – zgodził się cicho poseł i wbił zęby w następną porcję mięsa.

* * *

Ruszył w mrok. Ostatnie promienie słońca przeświecały zza linii Muru Konstantyna, zza wież kościołów; ich długie cienie rozmyły się i wessała je szarość nadchodzącej nocy. Księżyc spoglądał na miasto z wąskim, szyderczym uśmiechem, w niemej wróżbie: *Nie dasz rady.* W oddali ujadały bezpańskie psy, słychać było muzykę dochodzącą z którejś tawerny, stłumione głosy biesiadników i odległy szum morza.

Był odziany jak na każdą złodziejską robotę, w czarny ubiór wzorowany na stroju noszonym przez saraceńskich rozbójników. Luźne, ale nie nazbyt szerokie spodnie, krótka tunika, pas z narzędziami. Na głowie długi zawój szczelnie okrywający twarz. Tylko oczy błyszczały w mroku.

Biegł cicho wąskimi uliczkami dzielnicy portowej. Tutaj życie tętniło niemal do rana, a tawerny stały otworem dla każdego spragnionego, głodnego; dla każdego podróżnego. Ale jakież podróżny mógłby się tu zabłąkać o tej porze? Tylko pijani marynarze, czyhające na ich miedziaki drobne opryszki, wszelacy awanturnicy, żebracy, prostytutki i wszystkie te inne ludzkie męty, które wypełniają zaułki jak brudny ściek zalewający rynsztok.

Nie chciał być widziany przez nikogo z tych ludzi ani tym bardziej przez nielicznych strażników patrolujących te rejony. Przemykał od muru do muru, od bramy do bramy, mijając w cieniu nieświadomych tego nocnych przechodniów.

Szyderca na niebie zniknął za chmurami i na miasto spadła ciemność, niczym czarny płaszcz otulając domy i ulice.

Kalikst biegł dalej. Wkrótce duszne powietrze nocy wypełnił ostry zapach gnijących ryb. Zbliżał się do placu, na którym za dnia stał targ z płodami morza; miejsce to nazywano po prostu Rybim Targiem. Minął jeszcze dwa zaułki i ostrożnie wyjrzał na odkryty teren.

W oddali zobaczył sylwetki żebraków walczących ze zdziczałymi kundlami o resztki towarów porzucone przez handlarzy. Pośrodku targu wały się szczątki drewnianych skrzynek. Połamane deszczułki, rybie łby i ogony – wszystko to zalane było słoną wodą z beczek, w której morskie towary moczyły się cały dzień, aby nie zepsuć się zbyt szybko. Ciecz nie zdążyła jeszcze ściec do kanałów, rozmywając resztki po bruku. Wokół placu wiał się obezwładniający smród: sprzątacze przychodzili tu dopiero przed świtem, gdy większość resztek wybrali już nędzarze.

Przemknął wschodnią stroną placu. Biegł wzdłuż ściany domów. Nagle przystanął.

W wąskiej uliczce, która odchodziła w bok od targu, dostrzegł ciemne postaci. Doszły go

odgłosy szamotaniny i czyjś zduszony jęk.

– O Boże! Bracia, za co? – posłyszał.

– Morda! Anim ci ja bratem, ani kamratem – odpowiedział na to chropawy głos w głębi. Kalikst znał go, przynajmniej tak mniemał. Choć to nie był jego interes, zakradł się ostrożnie. Nic nie widział, tylko majaczące w mroku sylwetki.

Spojrzał po dachach domów. Były zbyt odległe od ziemi, jednak z drugiej strony dostrzegł nieco niższą przybudówkę, wysoką na dwu chłopa. Zatoczył szeroki łuk i dopadł do ściany. Wspierając nogi na stercie pustych skrzynek, wdrapał się kilka stóp do góry. Wystarczyło, by chwycić szeroki daszek. Wisiał na nim chwilę, równając oddech.

Jedna ze skrzynek, poruszona wcześniej, runęła z głośnym plaśnięciem.

– Kto tam? Ej, Heretyk, idź no, lipaj, co tam, a jak trza, to przyżeń kosałkę!

– Pewno jakiś łach w syfie grzebie – odpowiedział Heretyk lekceważąco, jednak ruszył sprawdzić.

Belzebub wślizgnął się na dach. Jego nozdrza drażnił zapach smoły, którą pokryto deski przybudówki. Posłyszał łomot rozbijanych skrzynek i przyspieszone dyszenie rzezimieszka.

– Kundel jaki szukał szamy albo co...

Kalikst wstrzymał oddech i nasłuchiwał. Gdy opryszek wrócił do kamratów, ostrożnie wychylił głowę znad daszka. W ciemnościach zaułka dojrzał cztery postaci.

Mimo mroku poznał tych ludzi. Wszyscy należeli do gildii. Złodzieje. Jednak nie wyglądało to na przyjacielską pogawędkę.

– No, nawijaj, eunuchu! Albo ci koskę w grdykę zapodam jak twemu kompanowi. Nawijaj albo ci fafle pourydam kozikiem!

Ten głos, chrapliwy bas, należał do wysokiego, wygolonego na łyso typu z wygiętym, podrdzewiałym kawałem żelastwa zamiast lewej dłoni. W prawej, która mu się jeszcze ostała, tkwił mocno wygięty kindzał zbroczony krwią. Tak, Belzebub nie miał wątpliwości. To był Leon Hakoręki, który wysoką pozycję w gildii zawdzięczał swojemu bezmyślnemu okrucieństwu.

Obok niego stali – jak się wkrótce zorientował Kalikst – jego wierni kompani: Filip Heretyk, chudy i wysuszony milczek, który jako jedyny uszedł z rzezi mnichów z monasteru Satanaela w Pizydii, a teraz odnalazł swe powołanie jako konstantynopolitański złodziej, i Paisjusz Cesarczyk, który uparcie twierdził, że wywodzi się z macedońskiej dynastii władców.

Wszyscy trzej byli zaufanymi ludźmi mistrza Eutymiusza. Czy raczej – należeli do popierającej go frakcji w wyniszczającej, choć dotąd raczej bezkrwawej wojnie wewnątrz gildii. Pełnili raczej rolę ostrzy do czarnej roboty, których zadaniem było krzyżowanie posunięć partii Atanazego.

Najwyraźniej teraz właśnie Belzebub stał się świadkiem takiego zajścia. Mocno obitym człowiekiem zalany krwią z rozciętego łuku brwiowego był ponad wszelką wątpliwość

Tryfon Szachista – nieco pierdołowaty sekretarz Atanazego, pomagier raczej od główkowania niż wywijania majchrem czy kręcenia wytrychem. Bóg raczy wiedzieć co robił o tej porze w okolicach Targu Rybnego.

Wtedy niemrawy powiew wiatru przegonił chmury i na środek nieba znów wychynął szyderyczy uśmiech księżyca. Zrobiło się o ćwierć tonu jaśniej i Kalikst dojrzał na bruku skuloną postać w kałuży krwi. Nie wiedział, kto zacz, ale leżący zdecydowanie wyglądał na nieboszczyka.

– Masz na talerzu – perorował Łysol – gadkie z moim hakiem albo nożyk w dupie. Hak, jak widzisz, jest zardzewiały i odziubinkę tępy. A jużci, zaniedbałem go co nieco! – Leon sieknął powietrze. Tryfon Szachista aż się skulił ze strachu. – Ale myślę se... Taki tępy rdzewiuch, jak go wbiję komuś we flaki albo w dupsko wrażę, czyni ból taki, że nie ma dziarmagi, co by nie wyśpiewał wszystkiego jak na spowiedzi. Zatem nawijaj, *koproskilo!*

– Nie zabijaj, bracie, przecież my jedno...

– Jakie jedno, jakie jedno, jak ta wesz Atanazy swoje kręci na boku i mistrza Eutymiusza nie szanuje?! A nam z takim gnidą nie po drodze! – Leon wbił koniec kindżału w podbródek Tryfona. Krew pociekła cienką strużką, chlapiąc tunikę nieboraka.

Przekonany tym argumentem Szachista zaczął śpiewać:

– O północy, za kościołem Pantokratora. Miałem być ja, no i... – Tryfon spojrzał znacząco na zwłoki u swoich stóp. – No i on. Hasło jest *Efez*, odzew *Antiochia*. Mieliśmy dostać te dokumenta, wtedy Ośle Ucho mógłby przekonać innych na radzie, że tamta wpadka to była zdrada Turka, a nie nasze zaniedbanie. Gdyby były jeszcze jakieś problemy, mieliśmy odszukać tę dziwkę z portu, taką rudą, z wielkimi cyckami. Ona robi wśród kupców, nie szlaja się po szynkach, ale jest do kupienia. No więc mieliśmy ją odnaleźć i podsypać tyle *nummi*, ile zawoła, żeby tylko gadała po naszymu. Ośle Ucho powiedział, że wtedy tamci już się przymkną, ale zostanie smród, więc dla pewności chcieliśmy jeszcze uciszyć tamtego kurwiego syna...

Hakoręki burknął coś niezrozumiale i dołożył Szachiście pięścią między oczy. Ten z cichym jękiem osunął się na bruk. Łysol dał znak Cesarczykowi.

– Dziargaj go i noga.

Wojna wewnątrz gildii rozgorzała na dobre – pomyślał Belzebub i sięgnął po strzałki nasączone mlekiem czarownic. Wyciągnął cztery i nim Paisjusz zdążył wydobyć zza pasa nóż, by poderznąć gardło Tryfona, wyrzucił je jedna po drugiej w stronę zbirów na dole.

Pierwsze dwie strzałki uderzyły prosto w lśniącą w słabym blasku księżyca łysinę Leona. Obydwie weszły w kość, ale nie przebiły jej, tylko tkwiły na podobieństwo diabelskich rogów. Zaskoczony Hakoręki ryknął z bólu i wypuściwszy z dłoni kindżał, zatoczył się w tył. Uniósł zdrową rękę, znaczy tę bez haka, by strząsnąć tkwiące w czaszce ostrza, jednak mleko czarownic zdążyło zatruć krew. Ramię dosięgło ucha, jednak wyżej już nie poszło. Zabrakło sił, a mięśnie stężały. Próbował jeszcze dostać sztywniejącą dłońią do głowy, ale nawet

słabnący ryk wściekłości i bólu, który teraz przeszedł w dychawiczne rżenie, zwiastował to, co nieuchronne. I stało się: Leon Hakoręki runął z łoskotem na ziemię tuż obok swojego kindżału.

Z resztą nie poszło tak prosto. Strzałka wyrzucona w stronę Cesarczyka doszła celu, ale nie dość dokładnie. Utonęła w fałdach jego tuniki i najwyraźniej nie weszła w ciało. Musiała jednak lekko drasnąć skórę, bo ramię, które już zacisnęło się na rękojeści noża za pasem, zwiotczało i opadło bezwładne. Paisjusz jednak nie stracił przytomności, wciąż stał na nogach.

Ostatnia, czwarta strzałka minimalnie chybiła celu, którym były plecy Filipa Heretyka. Zbir w ostatniej chwili, wiedziony instynktem, a może przez przypadek, obrócił się w bok, tak że szpikulec tylko musnął jego okrycie.

Kalikst skoczył mu na plecy. Heretyk sapnął: siła uderzenia wybiła zbirowi powietrze z płuc. Zatoczył się w przód, padając prosto na wciąż skulonego na bruku półprzytomnego Szachistę. To zamortyzowało upadek i pozwoliło Filipowi odzyskać równowagę. Wierzgnął, próbując strącić Belzebuba.

Przez ten czas doszedł do siebie Cesarczyk. Prawa dłoń zdrętwiała mu na amen, zwisając niczym niezgrabnie ostrugany klocek drewna. Druga jednak pozostała sprawna i to w niej znalazł się nóż, który wcześniej miał rozciąć gardło Tryfona.

Paisjusz ryknął z wściekłością i niezgrabnie młócił powietrze nad głową Kaliksta. Widać było, że do walki lewą nienawykły. Jeden z ciosów chybił o włos, ledwie tnąc zawój osłaniający twarz Belzebuba.

Ten wyszarpnął zza pazuchy swoje ostrze – długi puginał skrytobójcy. Dźgnął nim w plecy szamoczącego się pod nim Heretyka, niezbyt głęboko, omijając serce. Nie chciał zabijać, choć powinien, dziabnął więc wysoko, pod łopatkę. Filip oklapł nagle, a z rany trysnęła ciepła krew.

Kalikst zeskoczył z niego i ruszył na Cesarczyka. Ten, jak się okazało, nie był tak słabym przeciwnikiem, jak by sugerowało bezwładne ramię. Wywijał ostrzem przed nosem Belzebuba, w końcu jednak jeden dobrze wymierzony kopniak posłał go na bruk. Kolejny wytrącił z dłoni nóż.

Nie było już czasu na dalszą bijatykę. Kalikst złapał za ramię zdrętwiałego ze strachu Tryfona, zalanego krwią, umazanego błotem, zaślinionego, i pociągnął go w stronę wyjścia z zaułka. Początkowo Szachista stawiał opór, odruchowo, w końcu nie wiedział, z kim ma do czynienia, jednak zdecydowane szarpnięcie poparte cichym, acz stanowczym: *Chodu!* przekonało go, że nie ma co zwlekać. Ruszył przez Targ Rybny zgięty wpół jak szmaciana lalka.

Trzy ulice dalej Belzebub przystanął i puścił rękaw Tryfona.

– Stąd masz już prosto do Pantokratora – rzekł mu. – Ale może zapomnij już o tej sprawie i ratuj skórę. Tamci trochę dostali, ale zaraz się podniosą. Będą cię szukać.

– Kim jesteś? – wystękał Szachista.

– Nieważne. Nikim.

– Jesteś z gildii – zauważył Tryfon, zaskakująco trzeźwo jak na swój obecny stan. – Twój nocny strój... Ja chyba cię znam. Jesteś z frakcji Atanazego?

– Nie interesuj się tym aż tak bardzo. Zabieraj stąd swoją dupę i wuj. Drugi raz ci nie pomogę, niech cię szlachtują jak barana. Bywaj!

Nie czekając na odpowiedź, Kalikst zniknął w cieniu najbliższych zabudowań. Niespodziewana awantura tylko zabrała mu cenny czas – czuł, że już może być za późno.

– Eee, dzięki! – posłyszał za sobą słaby głos Szachisty. Spojrzał nań kątem oka: Tryfon stał niezdecydowany pośrodku ulicy, zastanawiając się, gdzie iść.

On nie przeżyje dzisiejszej nocy – pomyślał z rezygnacją Belzebub i przyspieszywszy kroku, zniknął w cieniu muru mijanego kościoła.

Rozdział 4

Dobra gildii złodziei w Konstantynopolu można było znaleźć we wszystkich częściach stolicy, począwszy od dzielnic portowych, na Blachernie i Galacie skończywszy. Były to zazwyczaj nierzucające się w oczy domostwa, sklepy, magazyny i spichlerze. Część z nich pełniła swą rzeczywistą rolę, jednak w większości w budynkach tych składowano łupy pozyskane podczas wypraw. Znajdowali tam również schronienie członkowie organizacji, ich goście; tam też złodzieje doskonalili swe umiejętności w fechtunku, strzelaniu z łuków i kusz, otwieraniu zamków czy patroszeniu sakiewek.

Głównym punktem kontaktowym gildii, który stanowił też nieoficjalne biuro, gdzie przyjmowano zaufanych interesantów, był skład o pospolitej nazwie MIECZE I INNA BRONŃ, ulokowany w V dzielnicy. W obszernym magazynie zebrane zostały niemal wszystkie znane rodzaje uzbrojenia. Włócznie jazdy *klibanophoroi*, dziryty, kontariony, spathiony, machairy, toporki, maczugi, proste miecze piechoty, tureckie i greckie łuki, kusze, dębowe tarcze piechoty temowej, metalowe puklerze, armeńskie zbroje łuskowe, spiegelhelmy Waregów, kapaliny, hełmy żebrowe, segmentowe... Nieprzebrane dobra o nieustalonym pochodzeniu, większość jednak, wbrew mniemaniom, pochodziła z uczciwej działalności handlowej. Została nabyta od kupców, jako że legalność legitymizowała dalsze istnienie tego miejsca.

Między stołami i stojakami z uzbrojeniem chodziły w milczeniu dwa ponure oprychy, Ignacy Połamkość i Gabriel Okrutnik. Już ich przydomki wystarczały, by utrzymać porządek w składzie, chroniąc go przed potencjalnymi awanturnikami, którym – dajmy na to – przyszloby do głowy wyklócać się o niższą cenę za turecki kiścień albo perski czekan. Wystarczyło wówczas jedno warknięcie wyplute spod kulfoniastego, bezkształtnego nosa Gabriela, by zapal delikwenta do targów szybko minął. Naznaczona bliznami, pocięta w licznych mordobiciach gęba Okrutnika starczyła za resztę: zaraz z sakiewki wyskakiwał żądany stosik solidów, po czym awanturnik dawał nogę, jakby go gonili.

Rzecz jasna, nie Połamkościem i Okrutnikiem stał ten interes. Nawet jeżeli fasadowy, to musiał na siebie zarabiać. Ponure draby były przydatne, gdy zaistniała potrzeba zdyscyplinowania miejskich obwiesiów, jednak nad całością czuwał rosty Bułgar – Nicefor Góra. Nie pierwszej młodości, ale wciąż sprawny i dobrze umięśniony. Wyróżniał się łagodniejszym obliczem – choć twarz naznaczyły mu już pierwsze zmarszczki, to przynajmniej nie szpeciły jej blizny jak u tamtych. Góra ujmował gości spokojem i to on robił interesy ze znacznie szerszymi klientami. Załatwiał też bieżące sprawy gildii: wydawał broń i wyposażenie złodziejom podążającym na akcje, wypłacał należności za fanty lub wykonaną robotę. Przyjmował też zlecenia od zaufanych lub poleconych ludzi, umawiał ich na spotkania

z Atanazym lub Eutymiuszem.

Dwaj mistrzowie gildii złodziei w Konstantynopolu nigdy jednak tu nie bywali. Główna siedziba organizacji, w której załatwiano najpoważniejsze sprawy i gdzie odbywały się narady, ulokowana była zupełnie gdzie indziej.

* * *

Belzebub przeciął Mese i ruszył do zachodniej części miasta. Niczym nocny łowca przemykał niezauważony między patrolami straży, wrzeszczącymi pijakami, dziwkami oraz grasującymi w ciemnościach łotrzykami – zbirami najgorszego autoramentu, którzy kradli bez żadnych zasad i talentu. Te szumowiny nie miały skrupułów, by ograbić z paru miedziaków bezdomnego ślepca czy żebrzącą matkę z dzieckiem. Szanujący się złodzieje z gildii plwali na nich z pogardą. Szczury buszujące w kanałach! Kalikst szczególnie nie chciał mieć tej nocy z takimi do czynienia.

Biegł do zachodniej części miasta. Minął Mur Konstantyna – dawną linię obronną miasta, która już wieki temu straciła na znaczeniu po wzniesieniu zewnętrznych umocnień Teodozjusza. Dawne fortyfikacje stanowiły linię oddzielającą ściśle miejską, zwartą część Konstantynopola od tego, co poza nią.

Spalone mury klasztoru w woskowym świetle księżyca wyglądały jak brama do piekieł. Okoliczni mieszkańcy opowiadali, że coraz to wiatr niesie stamtąd zawrodozenie i piekielny śmiech przyprawiający o ciarki na plecach. Bardziej dociekliwi, zaglądając przez szczeliny w skruszałych kamieniach muru, widzieli tam też trupioblade błyski, nieziemskie światła. *Niechybnie demony rajcują* – mówili ludzie, choć odprawiane za dnia egzorcyzmy nie wykazały, by miały przebywać tam jakiegokolwiek istoty piekielne.

Przed laty, za czasów świetności tego klasztoru i kościoła Świętego Michała, zagnieżdżyła się tu herezja wyznawców aniołów. Stara apostazja, która przed wiekami wzrosła we Frygii, już w cztery wieki po Chrystusie zesłała na manowce gnostycyzmu, twierdząc, że to aniołowie stworzyli świat i obdarzyli ludzkość Mojżeszowym prawem pochodzącym od Boga. Kult ten potępił oficjalnie synod w Laodycei, wydając ostrzeżenie: *Chrześcijanie nie powinni przyzywać aniołów i otaczać ich kultem, którego zakazano. Niech będzie wyklęty ten, kto skrycie oddał duszę temu bałwochwalstwu.* Potępienie z ust świętych mężów nie przeszkadzało dalej rozkwitać herezji, a w całym cesarstwie, także w Konstantynopolu, przez kolejne stulecia powstawały liczne kościoły Świętego Michała. Później kult aniołów zanikł, czy też może dobrze się skrył już nie w kościołach, lecz w zamkniętych murach klasztoru.

Tutaj odszczepieńcy długi czas w tajemnicy wyznawali swoją apostazję, jednak za czasów poprzedniego patriarchy, Jana VIII Xifilinsa, klasztor spalono, a heretyków przepędzono. Dotąd nikt nie miał tyle odwagi, by odbudować to miejsce – ponure ruiny na obrzeżach miasta powoli zarastały zielskiem i legendami powtarzanymi przez miejscowych.

Opowieści nie brały się znikąd. Ta brama do piekieł była w istocie wejściem do tajnej siedziby gildii złodziei w Konstantynopolu. Głosy demonów? Światła diabłów? Teraz Kalikst Belzebub miał być takim diabłem.

Począł, aż księżyc zajdzie za porozdzierane chmury, i odwinął z pasa linę. Wziął krótki zamach, po czym zarzucił hak na szczyt muru. Metal cicho zazgrzytał o kamień. Kalikst wspiął się na górę i miękko wskoczył na podwórze. Zwinął linę. Nasłuchiwał.

Wiatr cicho szeleścił wyschniętymi wiechciami traw, gdzieś w oddali wyły bezpańskie psy. Cykady grały swój nocny koncert i wydawało się, że wokół klasztornych murów nie ma żywej duszy.

Ruszył w stronę ruin. Przeskoczył rząd zeschniętego zielska i przemknął zapuszczoną alejką pełną kamieni i chwastów. Nagle przypadł do ziemi. Zza wiszących strzępów chmur wychynął szyderyczy sierp księżyc, a na klasztorny dziedziniec padła smuga bladego światła.

Pośrodku stał mnich. Postać w czarnym habicie z kapturem naciągniętym głęboko na oczy i rękoma splecionymi w fałdach szerokich rękawów. Stał nieruchomo niczym kamienna figura. Posąg? Nie, Kalikst znał to miejsce. Nigdy nie było tu żadnego posągu.

Widział mnie – rozmyślał z niepokojem Belzebub. – To jeden z nich i musiał mnie widzieć. Albo usłyszał chrzęst haka zaczepianego o mur.

Sięgnął do pasa i wydobył dwie strzałki. Pogłaskał opuszkami palców ich lotki, sprawdzając, czy się nie zwichrowały. Były dobre, ale mnich stał za daleko. W półmroku trudno będzie trafić.

Przywarł twarzą do ziemi. Serce łomotało tak, że – myślał – słysząc je jak bicie kościelnych dzwonów. Granie cykad przybrało na mocy, jakby w przeczuciu krwi, która zostanie przelana. Złowróżbne tony buczące monotonną wibracją, drażniące uszy, idące głębiej, do samego środka głowy. *Widział mnie? Nie, to niemożliwe. Chociaż... Jest zbyt spokojny, ale... Chce mnie zwieść, udając obojętność. I co robić? Szybki skok w przód i nóż w serce. Albo czekać dalej i zasypać mnicha strzałkami. Wrócić, okrążyć z drugiej strony i wtedy uderzyć? Nie, to niewykonalne, suche trawy czynią zbyt wiele hałasu.* Więc czekał.

Nagle postać w habicie drgnęła i ruszyła prosto na Kaliksta. Drobne kamyczki chrzęściły pod sandałami mnicha, pod kapturem – przysiągłbyś – zaśniły złe oczy. Złodziej odczekał chwilę, licząc kroki tamtego.

Raz, dwa, trzy.

Cztery.

Pięć. Sześć.

Teraz!

Nie!!!

Powstrzymał się w ostatniej chwili. Mnich, czy też należy powiedzieć – strażnik z gildii przebrany w mnisi habit, przeszedł obok niego obojętnym krokiem i skręcił w boczną alejkę. Po chwili wchłonął go półmrok.

Belzebub nie tracił czasu. Kilkoma susami przeskoczył przez dziedziniec i dopadł bocznego wejścia do ruin. Wślizgnął się do środka, lawirując między kupami gruzu, połamanymi deskami i skorupami pozostałymi po rozbitych naczyniach. Klasztor go nie interesował – tutaj nic nie było. Tylko śmieci i wszechobecny, wżarty na stałe swąd spalenizny.

Pobiegł ku wejściu do podziemi. Żelazne drzwiczki były lekko uchylone. Ostrożnie pociągnął za masywną klamkę. Drzwi lekko, bez jednego dźwięku odsłoniły mroczną czeluść lochów.

* * *

Po kilkunastu krokach w absolutnych ciemnościach dostrzegł w oddali blask nierównego światła. Przyłgnął do ściany i powoli pełził w jego kierunku. Z zewnątrz nie dochodził tu żaden dźwięk, tylko bicie jego serca szło echem po korytarzach. Przynajmniej tak mu się zdawało, dopóki nie posłyszał przed sobą cichego skwierczenia. Pochodnia!

Sunąc wzdłuż ściany, dotarł do rozwidlenia korytarzy. Żagiew tkwiła w stalowej obręczy wbitej w ścianę. Oświetlała rozstaje podziemnych dróg. Belzebub wybrał tę na wprost.

Po stu krokach doszedł do niewielkiej komory rozjaśnionej przez kolejną pochodnię. Wysoki sufit i dwie umieszczone symetrycznie kolumny. Szedł dalej i szybko dotarł do drugiej, bliźniaczej sali. Minął ją.

Wkrótce posłyszał cichą rozmowę, zaś na kamieniach zaśniły odległe blaski ognia. Przywarł do muru i ostrożnie sunął w stronę światła. Gdy ściana skończyła się, przyklękła i wyjrzał zza rogu.

I od razu skoczył w tył, przylegając płasko do muru. Strażnicy! Widać tym razem mistrzowie rozprawiali o sprawach szczególnej wagi. Dotąd nie zadawali sobie trudu wystawiania aż takiej ochrony. Jeden na górze i góra trzech gdzieś tam, pośrodku Wielkiej Sali, krążących w mroku wokół stołu, przy którym odbywała się rada.

Teraz jednak u wejścia stanęło dwóch ludzi odzianych jak ich kompan przed klasztorem w mnisie habity, tyle że prostsze, pozbawione kapturów. Na to mieli nałożone pasy z przytroczonymi toporkami i, zważywszy na ich masywne sylwetki i kanciaste gęby drabów, stroje zakonników stawały się całkowicie zbędne. Nikt, patrząc na tych tutaj, nie miał wątpliwości, że to nieznające miłosierdzia oprychy.

Kalikst nasłuchiwał. Strażnicy zamilkli. Krążyli w promieniu kilku kroków od wejścia nieśpiesznym, leniwym krokiem. Gdy odgłosy stąpania znikły w oddali, ponownie wyjrzał zza rogu.

Wielka Sala miała kształt prostokąta i tylko pośrodku sklepienie wybrzuszało się do góry niczym kopuła katedry. Na całej długości sufit podierały masywne, walcowate kolumny zwieńczone kwadratowymi głowicami. Gdyby je wyjąć, byłoby tu tyle miejsca, że stanęłyby

cała Hagia Sofia. Ta olbrzymia komnata, cały system korytarzy, pustych zaułków, odnóg i komór tworzyły pod Konstantynopolem małe miasto. Kto, kiedy i po co je wybudował? Na to pytanie nie było odpowiedzi. Tego nie wiedział nikt, choć patrząc po starych murach, zatartych inskrypcjach, szczątkach rzeźb, należało sądzić, że miejsce to powstało jeszcze w czasach starożytnych, może jeszcze przedtem, nim na górze dawni Grecy wybudowali swą kolonię *Byzantion*.

Powiadano, że w Wielkiej Sali, pod kopułowym zwieńczeniem, miały swe miejsce pogańskie rytuały, w których składano ludzi w ofierze ku czci żądnych krwi bogów. Kapłani kamiennymi nożami wydzielali serca płaczących dziewczyc i młodych chłopców, czemu przyglądał się tłum mamroczący w opętaniu słowa modlitwy. Tak gadano, choć przecie nikt nie znał prawdziwej historii tego miejsca. Gdy odkryła je gildia, już po wypędzeniu z klasztoru na górze wyznawców aniołów, w korytarzach i salkach buszowały szczury biegające między potrzaskanymi szczątkami marmurowych rzeźb.

Teraz pośrodku sali, przy porfirowym stole w kształcie oktagonu, siedziała Wielka Rada gildii złodziei w Konstantynopolu. Kalikst widział tylko cienie, ruchome w blasku pochodni zatkniętych na kolumnach. Na blacie, obok lampki oliwnej pełgającej ruchliwym światłem, leżały zwoje pergaminów, niechybnie mapy jakoweś albo insze plany; dalej stała fantazyjnie zdobiona amfora, z której co jakiś czas nalewano rubinowego wina do rżniętych w kryształ kielichów.

Osobistej ochrony mistrzów Kalikst nie dostrzegł nigdzie, wiedział jednak, że gdzieś w ciemnościach krążą najlepsze ostrza gildii, przygotowane, by szybko i bez hałasu zlikwidować intruzów. Takich jak on.

Nie zbliżając się już ani o krok do linii straży przy wejściu, wrócił w głąb korytarza, zastanawiając się, co dalej. Mógł pójść jeszcze inną drogą... Tyle że było to przejście, którego istnienia się domyślał, jednak nigdy dotąd nie zbadał i nawet nie brał pod uwagę.

Nie pozostawało jednak nic innego. Wrócił do komory z pochodnią. Wyrwał ją ze szczeliny i poświecił. Pośrodku, między dwiema kolumnami, w suficie ział otwór przewodu wentylacyjnego. Dość szeroki, by przecisnął się nim człowiek. Tyle że umieszczony był jakieś dwadzieścia stóp nad podłogą pomieszczenia, zaś od każdego z kamiennych słupów dzieliły go co najmniej trzy kroki. Belzebub poświecił w górę, jednak nigdzie nie dostrzegł najmniejszego punktu zaczepienia.

Następna komora. To samo. Wysoki sufit, czarna dziura i dwie oddalone od siebie kolumny. Musiał szukać innego wejścia.

Znalazł je po dłuższym krążeniu po korytarzach w jednej ze ślepych odnóg. Zawalony sufit trójkolumnowej komory grodził dalsze przejście, ułatwiając przy tym dostęp do czarnego gardła systemu wentylacji.

Wdrapał się po gruzach aż pod sufit. Z góry szedł lekki powiew. Znak, że przewód jest drożny. Można iść.

Przyległ plecami do ściany komina. Stopy oparł z drugiej strony i tak sunął w górę.

Gdy dotarł do poziomego korytarza, stanął wobec kolejnej trudności. Którędy teraz? Klucząc w podziemiach, skręcał tyle razy, że zatracił już poczucie przestrzeni. Próbując odtworzyć w myślach mapę korytarzy, ruszył w kierunku, z którego przyszedł.

Pełził na czworakach, bijąc głową o niski sufit wąskiego tunelu. Kilka razy mijał wejścia, które prowadziły do innych komór. Przechodził nad nimi i szedł dalej.

Kiedy niemal zyskał już pewność, że zabłądził, zobaczył słabe światło sączące się z kolejnego otworu. Dotarł tam i wyjrzał.

Był dokładnie na szczycie kopuły, która przydawała Wielkiej Sali podobieństwa do katedry. Na dole, jakieś sto pięćdziesiąt stóp poniżej, stał porfirowy stół w kształcie oktagonu. Przy nim zaś radzili mistrzowie gildii złodziei w Konstantynopolu. Kalikst nadstawił ucha.

Mówił mistrz Atanazy Meklidos. Jego głos, tylko nieznacznie zniekształcony przez echo, rozbijał się o kopułę:

– Nasz człowiek na dworze donosi, że cesarz nie podjął jeszcze decyzji. Obiecał wzmocnić posterunki na granicy i w razie potrzeby wysłać do Syrii oddziały najemników. Zestawiwszy to z wcześniejszymi informacjami, nie sposób wykluczyć, że cesarz będzie chciał w ten sposób pozbyć się żądających coraz więcej rycerzy z Zachodu. Tu nie mamy jeszcze pełni obrazu sytuacji, ale wszystko wskazuje na to, że oddziały pozostające pod dowództwem Roussela de Bailleula posłane zostaną na wyniszczający bój. Nasz szpieg twierdzi, że de Bailleul ma coraz większe oczekiwania, żąda więcej złota i więcej zaszczytów, zaś skarbiec *basileusa* zbytnio by ucierpiał, gdyby sprostać jego apetytom. Inaczej rzecz ujmując: skarbiec został poważnie uszczuplony przez wojny prowadzone w ciągu ostatnich kilku lat, w dużej części jest to zasługą najemników. Co więcej, cesarz powątpiewa w lojalność Normanów, którzy niezadowoleni z opóźnień w wypłatach są coraz bardziej podatni na podszepty jego przeciwników.

– Dukasowie? Ród Komnenów? – wtrącił Eutymiusz Kassidos. – Nie pogrzebali marzeń o tronie?

– Cesarz ma wielu przeciwników, choć pozornie jego pozycja jest niezachwiana. Jednak dług u najemników może doprowadzić do buntu czy zdrady.

– Dlaczego zatem nie naślą skrytobójcy? – zapytał ktoś chrapliwym basem.

Belzebub nie potrafił zidentyfikować tego głosu. Radę gildii tworzyło ośmiu ludzi, z których osobiście znał trzech. Pięciu pozostałych – z widzenia. Lub słyszenia. Nie był w stanie rozpoznać ich głosów.

– Mniemam, że cesarz jest chroniony przez jakiegoś rodzaju magię.

Na te słowa pomieszczenie rozbrzmiało gwarem podekscytowanych głosów. Atanazy uciszył zebranych i kontynuował:

– Jej natura jest nieznana, nieznane jest też pochodzenie owej magii, ale ona istnieje, o tym świadczą ostatnie wydarzenia. Do pałacu cesarskiego zakradł się skrytobójca. A może

tylko złodziej? Nie z naszej gildii, nikt, kogo byśmy znali. Ponoć jakiś Trak. Słudzy przez dwa dni ścierali jego krew i flaki rozprysnięte na suficie w przedsionku sypialni cesarza. Co chciał ten nieszczęśnik osiągnąć, nie dowiemy się już nigdy, jednak nie sądzę, by miał wielu naśladowców... Ale wracając do meritum. Najnowsze informacje pozyskane przez naszego człowieka wskazują no to, że cesarz jak na razie nie zamierza przystępować do większej kampanii przeciwko Seldżukom. Wyśle prawdopodobnie swoich przeciwników politycznych, w tym niewygodnych Normanów, na wyniszczającą wojnę w Syrii. Tym ostatnim, jak wskazują nasze wnioski, zamierza obiecać wszystkie łupy, jakie zdobędą podczas wyprawy. Czyli dla Normanów będzie to wyprawa po złoto. Tym sposobem cesarz zapewni sobie, że albo najemnicy oddadzą życie, walcząc w słusznej sprawie, albo też zdobędą okupowane tereny i wypłacą sobie należność z tego, co tam znajdą. W obydwu wariantach cesarz ma szansę zyskać.

Kalikst zaniepokoił się. Czyżby rada gildii zamierzała ograniczyć swoje spotkanie li tylko do omówienia sytuacji na dworze *basileusa*? Niewiele go ona obchodziła. No owszem, takie historie to doskonała opowieść przy dzbanie wina, ale nie po to przecież przemykał przez ponure kazamaty Konstantynopola, żeby wynieść stąd tylko krwawe historie o skrytobójcy rozprysniętym na suficie. Z narastającą rezygnacją słuchał, o czym prawią członkowie rady: w dalszym ciągu to samo! Jakie reperkusje będzie miał sukces najemników w tej fazie wojny? Na jak długo cesarz zamierza oddać najemnikom wyłączność na łupy? Na ile można oszacować wartość tego, co Normani mogą zdobyć w Syrii?

Pytań było więcej, a na każde padała odpowiedź. Długa i wyczerpująca, zaś głos mistrza Atanazego brzęczał niczym rój pszczoł. Belzebub, rozplaszczony nad otworem wentylacyjnym, popadł w otępienie graniczące ze snem. Z tego stanu wyrwały go dopiero słowa:

– Czarny Mnich?

– Tak, Czarny Mnich.

– Czy zdajesz sobie, mistrzu Atanazy, sprawę z tego, kto zacz i czym grozi podejmowanie jakichkolwiek działań wobec niego?

– Drogi Eutymiuszu, moja odpowiedź brzmi: *Tak*. I uprzedzając twoje następne pytania, odpowiem, że dzięki tej robocie nasza gildia ma szansę nabrać wiatru w żagle. Może więcej zyskać, niż stracić.

– Nie jesteśmy gildią zabójców magów. Złodziejstwo to szlachetny zawód, o ile stoimy przy pewnych zasadach i nie przekraczamy granicy, za którą mistrz wytrycha staje się pospolitym mordercą, najemnikiem w cudzych wojnach czy najpospolitszym rozbójnikiem łupiącym podróżnych na trakcie.

Atanazy przerwał mu:

– Eutymiuszu, dobrze znam twe argumenty i doprawdy chciałbym, abyś w rzeczy samej miał tyle troski o losy gildii. Co do tego można jednak powątpiewać...

Drugi mistrz nie dał się zbić z tropu.

– Ty znasz, Atanazy – powiedział – ale może nasi szacunku godni towarzysze nie zostali z nimi zaznajomieni. Mam prawo wyrazić to, co myślę, a ty niechybnie próbujesz sztuczkami retorycznymi zmienić bieg dysputy.

– Tak, niech mówi – zaburczał kolejny bas. Maksymus Tefrikos albo Teolept Mędrzec. Obaj podobnie bełkotali, połykając głoski. – Niech mówi, co ma przeciw, chcemy wiedzieć.

– Tak, tak – poparły go inne głosy.

Atanazy skinął głową w przyzwoleniu i Eutymiusz ciągnął:

– Ja również jestem za tym, by nasza gildia rozkwitała. Utrzymujesz, że twą troską jest to, by gildia rozwinęła się także w Cezarei czy Smyrnie, i my też uważamy, że nasza nieobecność w tych miastach to strata kolejnych solidów. Musimy zatem robić wszystko, by zdobyć na tych terenach nowych ludzi, wysłać tam naszych nadzorców, zorganizować strukturę... Mistrzu, co ty nam miast tego proponujesz? Igranie z magią. Wyprawę do serca Kapadocji, gdzie w swym niedostępnym, opuszczonym monasterze żyje Czarny Mnich. Co wiemy o tym apostacie? Bardzo niewiele, ale jedno jest pewne: stamtąd nikt nie wraca żywy. Czarny Mnich włada nieznaną, ale potężną magią, ma na swych usługach demony i diabły, a stawanie przeciw nim to przywilej magów, czarnoksiężników, ale nie złodziei. Nie chcemy się do tego mieszać, nie chcemy ściągnąć na nasze głowy nieszczęść z czystej chciwości.

Wielki mistrz dłużej tego nie zdzierzył.

– Wstyd, Eutymiuszu, że powtarzasz bujdy, które gawiedź rozpowiada przy kwaśnym winie. Demony, magia? Owszem, jest pewne ryzyko, ale kto jego nie podejmuje, ten nie ma szans na zwycięstwo. Co do faktów, Czarny Mnich żyje w eremie, gdzie tylko wiatr wyje, hulając po pustych celach, jakie pozostały po jego współbraciach. A tych się jeno garstka ostała, ubogich mnichów w porwanych habitach. Jego strażnikami są strach i plotki rozsiewane przez maluczkich. My zaś dysponujemy dokładnym planem monastynu Czarnego Mnicha! To raz. Dwa, nasz zleceniodawca zapewnił nas, że udzieli nam wszelkich dodatkowych informacji o rozlokowaniu ewentualnych pułapek, straży czy – jak ty tam chcesz – diabłów i demonów, które bronić mają dostępu do monastynu. Trzeba jeno wysłać czterech – pięciu ludzi, wskazać im drogę. Wykradną, co jest do ukradzenia, i wrócą. Jednym słowem: czysta złodziejska robota. Przy tej wiedzy, jaką już częściowo zyskaliśmy i jeszcze zyskamy, gdy weźmiemy to zlecenie, będzie to minimum ryzyka, zupełnie niczym rzezanie sakiewek kupcom. No i najważniejsze: za taką wycieczkę dostaniemy tyle złota, że wystarczy na to, by kupić trzy... no, może przesadzam, niech będzie – dwie posiadłości w Cezarei i zorganizować tamtejszych łotrzyków w sprawnie działający organizm – gildię złodziei.

Sięgnął po jeden ze zwojów leżących na stole. Rozpostarł go szerzej i stukając palcem w mapę, prawił:

– Tu jest wszystko. Wiemy, jak tam dojść, znamy sekretne przejście, wiemy, gdzie dokładnie znajduje się fant do zdobycia. Chyba nie jest to coś, co przekracza możliwości

i talenty naszej gildii.

Eutymiusz pokiwał głową.

– Tak, tak, dobrze, żeś przypomniał, mistrzu. Fant do zdobycia. Może przypomnisz, co mają zdobyć nasi zdolni chłopcy?

Atanazy wzruszył ramionami.

– Ikona Upadłego Anioła – odparł krótko.

– Ikona Upadłego Anioła... Otóż to! Zatem... Racz przybliżyć naszym drogim mistrzom, cóż to za drogocenna rzecz.

– Heretycka ikona przedstawiająca Satanaela, który wedle odszczepieńczych religii jest złym synem Boga, bratem Jezusa Chrystusa. Apostata, który namalował ten obraz, pochodził z najbardziej skrajnej i odległej od prawowitej religii herezji. Jej zwolennicy nazywają siebie chrystomachowie, przeciwnicy Chrystusa. Powstała tylko jedna kopia obrazu Satanaela. Ikona jest zakazana, a jej wartość, jak widać, ogromna.

– Zapomniałeś dodać dlaczego, mistrzu. Kto tylko dotknie ikony dłonią, nie osłoniwszy jej wprzód, na tego spada czarna śmierć, pomór, który przyprawia o straszliwe męczarnie, ból i łzy. Pomór, który zamienia ciało człowieka w cuchnącą galaretę. Czarna jest ona i smród zgnilizny toczy tak silny, że zdolny zabić.

– Znowu powtarzasz pijackie bajdy z tawerny. Taka gadanina może zwieść jeno drobnych łotrzyków czyhających w zaułku na pijanych marynarzy. Nasza gildia jest organizacją skupiającą ludzi wyszkolonych i odważnych, a naszą powinnością jest właśnie podejmowanie takich wyzwań. Gdyby trwać przy twoim planie, Eutymiuszu, gildia przestałaby istnieć. Nie mielibyśmy ani tej podziemnej świątyni, ani domów i posiadłości w całym Konstantynopolu. Wszystko związane jest z pewnym ryzykiem, ale jak dotąd wychodziliśmy z takich przygód zwycięsko. Ty zaś boisz się, obleciał cię strach! Tak, boisz się! – powtórzył Atanazy, widząc, że te słowa wywarły należyte wrażenie. – Drzysz jak królik w norze. Nieee, my nie jesteśmy królikami. Lisami raczej, sprytnymi i mądrymi. Nasze działanie oparte jest na dokładnie przemyślanym planie. Będzie to operacja przeprowadzona przez najlepszych złodziei gildii. Razem, bez brawury, bez ryzyka, z pełnią naszej wiedzy i doświadczenia.

– Nie obleciał mnie strach, mistrzu. To jest rozwaga! Wspomnisz jeszcze moje słowa, przypomnisz sobie dzisiejszy wieczór, gdy nawoływałem do opamiętania. Ale wtedy będzie za późno! – Eutymiusz, demonstrując rezygnację, nalał sobie wina z amfory i opróżnił kielich jednym haustem.

– Dobrze, zatem uznaję, że wszyscy zostali zaznajomieni z materią sprawy – powrócił do tematu Atanazy. – Dodam jeszcze, że do Kapadocji wysłani zostali szpiedzy, których zadaniem jest obserwacja okolicy, w której żyje Czarny Mnich. Nasi ludzie mają zweryfikować zgodność map, a także poczynić własne spostrzeżenia dotyczące zabezpieczeń. Szpiedzy wyruszyli tydzień temu. Dajmy im jeszcze kilka dni na robotę i na powrót. Za jakieś dziesięć dni, na następnym naradzie, winniśmy już mieć szczegółowy raport. Do tego czasu

proponuję wstrzymać się z decyzją i przemyśleć to wszystko, co dzisiaj zostało powiedziane.
Czy są jeszcze jakieś uwagi?

Uwag nie było i kiedy rada gildii powróciła do omawiania niuansów dworskiej polityki cesarza, Kalikst cicho wycofał się do zaspanej komory.

Rozdział 5

Patriarcha Kosma przywołał sługę, Aleksandryjczyka o imieniu Marcjan.

– Pójdź do biblioteki i znajdź mi księgę „Hexameron”. Później przynieś więcej oliwy do kaganków oraz uzupełnij wodę w dzbanie. Pragnę ten wieczór spędzić na lekturze, zatem nie chcę, by mi przeszkadzano.

Marcjan skłonił się i oddalił, by wykonać polecenia. Szedł chłod, więc patriarcha narzucił szeroki płaszcz z wełny. Podszedł do okna. Cykady jak co noc grały swój koncert; księżyc, wąski niczym sierp wykuty przez niezbyt zdolnego ucznia kowala, krył się za rozproszonymi chmurami pchanymi po niebie przez nagle powiewy wiatru.

Nie – powrócił myślami do propozycji posła Fatymidów, Ahmeda Al-Idrisiego. – Nie powinien basileus iść na rękę kalifowi z Egiptu, toż Święty Grób dalej pozostanie pod panowaniem obcej religii. Chyba że cesarz ruszy przeciw kalifowi, jak już przepędzi Seldżuków z Palestyny. Jednak ten Saracen nazbyt mu schlebia, a on bierze to za dobrą monetę. Sądzi, że te holdy i grzeczności to gwarancje przyjaźni, a powinien zachować wstrzeźliwość i daleko idący sceptycyzm. Lepiej by już było, gdyby basileus pozwolił wyznawcom Mahometa niszczyć się wzajemnie. Nie, Diogenes nie powinien przystępować do wojny między saraceńskimi odłamami. Winien wzmocnić tylko granice i na razie poprzestać na tępieniu heretyckiej zarazy, która truje cesarstwo od środka. Gdy wycieknie krew barbarzyńców, to wtedy. Wtedy wyzwolić Grób Pana z pomocą rycerstwa z Zachodu. Też barbarzyńców, ale w takiej sytuacji...

Przybył Marcjan, dźwigając pod pachą „Hexameron”. W ręku trzymał dzban świeżej wody źródlanej i naczynie z oliwą. Patriarcha machinalnie sięgnął po księgę, otworzył ją i wziął puchar. Napełnił go wodą, po czym odczekawszy, aż ucichnie człapanie sandałów aleksandryjskiego sługi, zatopił się w lekturze.

Po chwili powrócił do rozmyślań: Z drugiej strony, trzeba przyznać, jest w tym pewna rozwaga ze strony cesarza. Nie jest skłonny angażować wszystkich sił, dba też o dobre stosunki z sąsiednimi władcami. Nawet jeżeli są to tylko barbarzyńscy wyznawcy Mahometa, nieuznający Jezusa Chrystusa za Syna Bożego, to rozsądek nakazuje nie wszczynać wojny bez potrzeby. Ale czy z tych samych względów trzeba wiązać aż tak bliskie sojusze?

Nagle patriarcha poczuł się nieswojo. Na jego gardle spoczął czubek oksydowanego na czarno puginału. Zamarł, bojąc się wziąć głębszy oddech: ostrze przy najmniejszym ruchu niechybnie przebiłoby skórę i weszło głębiej. Czoło Kosmy zrosił pot.

– Racz wybaczyć, panie, to najście. Nie jestem tym, za kogo mnie bierzesz – usłyszał cichy głos. – Nie jestem skrytobójcą, choć mój strój, droga, którą się tu dostałem, oraz

manieri pozwalają ci żywić najgorsze obawy. Nie, wprost przeciwnie, panie. Jestem przyjacielem. Nóż podsunąłem z obawy, że widząc mnie wchodzącego przez okno, wzniesiesz zbyteczne larum i przywołasz sługi. A tego przecież nie chcemy. Czyż nie?

– Nie – wychrypiał Kosma. – Nie chcemy.

– Doskonale. Cieszy mnie, panie, to, że tak szybko doszliśmy do porozumienia. A teraz racz posłuchać. Zamiaruję odjąć ostrze od twej krtani. Gdy to już uczynię, pragnę powiedzieć ci parę zdań, które winny cię zainteresować. Nie wątpię, że zaciekawią cię niezmiernie. Niemniej zechceij, panie, potwierdzić, że nie będziesz wzniecał niepotrzebnej wrzawy, bym nie musiał ponownie dobywać noża. A więc chowam nóż, a ty, panie, nie czynisz niepotrzebnych ruchów, nie wołasz sług, nie wołasz pomocy. Czym mam rację?

– Tak – wystękał cicho patriarcha.

Nieznajomy odjął ostrze od gardła Kosmy i schował je za pas. Złożył ukłon i jeszcze raz przeprosił:

– Wybaczcie, panie. To było konieczne. Jestem posłańcem i mam dla was wieści nadzwyczajnej rangi. Na pewno zechcecie się tym zainteresować. Rzecz dotyczy propozycji składanych przez posła z Egiptu.

Patriarcha otarł pot z czoła. Jego serce powoli odzyskiwało swój naturalny rytm; mógł już też odetchnąć pełną piersią. Spojrzał na niecodziennego gościa.

Posłaniec odziany był w czarny strój skrytobójcy, nocnego łotrzyka. Przy pasie tkwiły dwa długie noże, oksydowany puginał i kindżał ze zdobioną rękojeścią. Twarz nieznajomego skrywał arabski zawój okręcony wokół głowy tak, że tylko oczy błyskały. Złe oczy.

– Zwą mnie Symeon Złe Oko. Jestem tu po to, by przedstawić ci pewną propozycję. Przysłał mnie tu pan mój, Michał Dukas. Sprawa, jak wspomniałem, dotyczy aktualnych zdarzeń na rubieżach cesarstwa.

Kosma sięgnął po dzban z wodą. Nappełnił kielich i duszkiem wypił. Odkaslnął i rzekł:

– Nie nawykłem do takich najść i do takiej śmiałości. Taki postępek godzien jest najsurowszej kary, moralnego i fizycznego potępienia, jednak to, co mówisz, Symeonie, zdaje się być intrygujące i godne mej uwagi. Michał Dukas, powiadasz. Ile to już lat...

Przez chwilę dyszał, bezskutecznie próbując wyrównać oddech. niespodziewane najście, nie ma co ukrywać, nadwreżyło jego nerwy i zmąciło spokój ducha, jaki daje wieczorna lektura, rozmyślanie i modlitwa do Boga. Wreszcie zebrał się w sobie.

– Tak, ma to pewien walor, mów więc. Mów, człowieku, niech twe wieści w rzeczy samej będą usprawiedliwieniem dla twych manier.

Posłaniec odwinął zawój z głowy, odsłaniając twarz. Wręczył patriarsze pismo opatrzone pieczęcią.

– Panie, przeczytaj list od mojego pana. A następnie pozwól, że ja dodam coś od siebie.

Cztery kwadranse później patriarcha Konstantynopola powiedział:

– To, co mówisz, jest poruszające. Poruszające i wstrząsające jest również pismo twojego

pana, którego dobrze pamiętam sprzed lat. Pamiętam również ojca twojego pana, świętej pamięci. Jemu jestem szczególnie dużo winien... Poruszające jest to wszystko, ale niepozbawione pewnej logiki. Dobrze. Powiedz Michałowi, że się z nim spotkam. Na miejsce spotkania wyznaczam Niceę. Będę tam w sprawach Kościoła za cztery dni.

* * *

W tym samym czasie Roman IV Diogenes radził się *Konsula Filozofów*, Jana Italosa.

– Panie, nie oczekuj ode mnie gotowej odpowiedzi – rzekł gniewnie mędrzec, gdy *basileus* zapytał go o zdanie na temat prośby fatymidzkiego posła. – Gdybym był taki mądry, gdybym zjadł wszystkie rozумы na śniadanie, pewnie to ja byłbym na tronie i władał imperium miast ciebie.

Cesarz westchnął z niecierpliwością. Puszczając mimo uszu grubiaństwo Italosa, podszedł do stolika i nalał sobie z karafy wina. Sączyl trunek w zamyśleniu. Jako generał i wódz wiedział, co należy uczynić. Przystąpić do wojny i zdobywać jak największe połączenie terenów; przyłączać je do cesarstwa. Wypierać i niszczyć wrogów. Jednak jako władca imperium musiał się liczyć także z innymi aspektami. Finansami. Polityką. Szansą na utrzymanie zdobytych terenów dłużej niż przez miesiąc czy dwa. Musiał odpowiedzieć sobie na pytanie: czy sojusz z kalifem Egiptu gwarantuje trwałą pokój, czy też oznacza jeno kolejne wojny i kolejne wydatki? Te ostatnie władcę najbardziej trapiły. Poprzednia wojna z Turkami przyniosła tak duże spustoszenie w skarbcu, że po dziś dzień zbieranie wielotysięcznej armii zakrawało na zbytnią śmiałość. Najemnicy normańscy, gwardia wareska, rozmaite hufce rycerzy z Zachodu – te siły gwarantowały największą moc bojową. Piechota temowa, tworzona przez kolonów, rycerzy-chłopów, którzy posiadli swoją ziemię w zamian za udział w operacjach wojennych, to rozwiązanie dobre na czas obrony, gdy przez granicę wdzierają się najeźdźcy, pustosząc kraj. Ale teraz? Teraz to szykował się atak na ziemie wroga. Piechota temowa była niezdatna do takich wypraw, toteż trzeba będzie oprzeć się na wojskach najemnych. Ale skąd na to brać pieniądze? Wycisnąć poprzez nowe podatki z tych samych kolonów w zamian za odstąpienie od udziału w wojnie? Ale toż to warstwa zubożała do tego stopnia, że dalsze nakładanie danin doprowadzi do ucieczki ludności ze wsi do miast, upadku gospodarstw i w rezultacie sprawi, że zabraknie siły, która mogłaby wypracować odpowiedni dochód.

A do tego *basileus* musiał się liczyć z niepokorną postawą wielkich rodów. Fokasowie, Dukasowie, Komnenowie, Maleinosowie – rodziny wywodzące się z dawnych dowódców temowych i drobnych posiadaczy ziemskich rosły w siłę, łaknąc przy tym coraz większej władzy. By zadać kłam swemu niskiemu pochodzeniu, chętnie splatali swe korzenie z antenatami starożytnych rodów, tworzyli zmyślane genealogie i coraz częściej równali się z cesarzami. W przeszłości bywało, że rody prowadziły swoją własną politykę, nawet swoje

własne działania wojenne, podjazdy w Syrii czy na krańcach Persji. Rodów cesarz nie był pewien – niezadowolone z rosnących podatków czy wasalnych powinności równie dobrze mogły zebrać normańskich najemników i ruszyć miast na wschód, przeciwko Seldżukom – na Konstantynopol. By dokonać przewrotu.

Władca nalał jeszcze jeden kielich wina i pogrążony w myślach błdził wzrokiem po pracowni Italosa. *Konsul Filozofów* mieszkał w starej, kruszej latarni morskiej wzniesionej na cyplu Saragikos, nad samym Bosforem. Wtopiona w linię murów obronnych budowla już przed wielu laty przestała pełnić swoją właściwą funkcję, zaś okolica – choć to niedaleko centrum miasta – straszyla pustką i nienaturalną ciszą, maconą jeno przez ponure zawodzenie wiatru od morza. Dziwne miejsce, niezbyt bezpieczne, ale Italos nie chciał słyszeć o apartamentach w pałacu.

Na pierwszej kondygnacji latarni ulokowane były pomieszczenia mieszkalne, kuchnia, wielka izba, w której filozof przyjmował gości, zaś drugie piętro, gdzie wchodziło się po krętych schodkach z marmuru, zajmowała pracownia. Wypełniały ją książki ustawione rzędami na półkach, starożytne papirusy, zwoje, mapy, szkice. Spomiędzy nich wyzierały globusy, instrumenty astronomiczne i pomiarowe, jakieś tajemne przyrządy o zagadkowym przeznaczeniu, ba, w jednym z kątów cesarz dostrzegł nawet alembik i nieznane mu z nazwy szklane naczynia alchemików; ponad tym zwisały z powały zioła.

– Dobrze, filozofie. Zaczynaj. Nie ma czasu na czczą gadaninę.

Italos w zamyśleniu przeglądał jakieś grube tomiszcze z rogami okutymi zaśnieżonym metalem. Śliniąc palec, przewracał grube strony i szeptał do siebie w obcym języku.

Roman Diogenes z brzękiem odstawił pusty kielich.

– Mistrzu?

– Tak? Hmmm, wybacz, panie, zajrzałem do „Wojen” Prokopiusza. W dawnych dziejach największą można znaleźć inspirację do tego, z czym mamy do czynienia dziś. Choć w kolejnym swoim dziele, „Historii sekretnej”, Prokopiusz daje się poznać z nieco innej strony, co rzuca odmienne światło na twierdzenia zawarte w „Wojnach”... Jednak w sumie lektura ta pozwala na pewne przemyślenia.

Uczony z trzaskiem zamknął księgę. Potargał brodę i sowim wzrokiem spojrzął na cesarza.

– Panie, czy jesteśmy w tej chwili bezpieczni? Mam na myśli: czy możemy oddać się, hmm, ceremonii bez obaw, że wtargnie tu któryś z twych nadgorliwych sług lub też, co gorsza, informator na usługach patriarchy czy któregoś z twych przeciwników na dworze?

Basileus wszedł mu w słowo:

– Możesz robić, co trzeba. Wejścia na dole pilnują moi zaufani ludzie. Jednocześnie mają zakaz wchodzenia tu, choćby nie wiem co.

– Znakomicie. Zaczynajmy zatem.

Jan Italos podszedł do biblioteczki i wszedł na drabinkę. Zdjął oprawiony w czarną skórę

tom. Wolumin bez tytułu: zarówno okładka, jak i stronice, gdzie zazwyczaj wyczytać można wszelkie informacje o dziele, były puste. Cesarz zwrócił uwagę na jeszcze jeden szczegół: karty książki zapisane zostały pismem arabskim. Czego już nie mógł wiedzieć – był to w rzeczywistości język perski.

– Zechciej, panie, spocząć wygodnie, o tu, na sofie – rzekł filozof.

Roman Diogenes skinął głową i podciągając poły swej szaty, zajął wskazane miejsce. Italos rozłożył tom na stole. Śliniąc palec, przerzucał karty, aż trafił na właściwy ustęp. Czytał go powoli, kiwając głową. Mruczał niezrozumiałe słowa, skubiąc brodę.

Wreszcie odłożył księgę. Zatrzasnął okiennice z grubego, okutego żelazem drewna. Od środka dodatkowo spuścił na okno grubą kotarę.

– Jeszcze drzwi – mruknął do siebie Italos. Zaryglował wszystkie zamki i szarpnął za klamkę, jakby nie wierzył, że trzy żelazne sztaby na pewno dobrze trzymają. Zaciągnął na drzwi grubą kotarę i rzekł:

– Już wszystko gotowe. Jeno światło.

Przygasił lampki oliwne, które dotąd rześście rozświetlały pomieszczenie. Na chwilę zapadła ciemność, którą rozproszyło zielone, chybotliwe światełko.

Cesarz spostrzegł, że jego źródłem jest świeca w kształcie jakiejś postaci. Pytanie o naturę istoty rzeźbionej w wosku zamarło mu na ustach. Słodki zapach wijący się ciężko wokół zielonej poświaty oszołomił go i zniewolił.

– Patrz w płomień, panie – rzekł filozof, jednak była to zbędna prośba. Zielony ognik zniewalał oczy, nie pozwalał spojrzeć w inną stronę. Zresztą gdzie – w mrok? W ciemne zakamarki komnaty zalewanej słabymi zielonkawymi błyskami? Ognik nie pozwalał na odwrócenie wzroku, usypiając zmysły.

Italos powtarzał z pamięci:

– *Atar. Atar. Atar. Zurwan...*

Władca próbował uchwycić sens słyszanych słów: na próżno. Wymawiane przez Italosa zdania nie przypominały mu niczego, co wcześniej słyszał: obce dźwięki były dla jego umysłu niczym uderzenie bicia, drażniły słuch, rezonowały wewnątrz czaszki jak kamienie rzucone o blachę. Zdało mu się, że rozpoznaje słowa perskie, arabskie i żydowskie, był pewien, że filozof powtórzył kilka razy imię Ahura-Mazda, nim jednak *basileus* zdążył zebrać myśli i przypomnieć sobie, skąd je zna – a raczej: dlaczego je pamięta – płomień świecy zaczął rosnąć.

Stracił też swoją barwę. Nagle zbieła, zalewając komnatę trupioblady światłem. Cesarz cofnął się instynktownie, to jednak było na nic: eksplodująca jasność załapała go niczym wybuch greckiego ognia na polu bitwy. Poczul mocarne uderzenie w pierś, aż stracił dech, a twarz nabiegła mu krwią. Przed oczami zatańczyły pstrokate płatki, uszy wypełnił monotonny łomot. Ogarnął go strach, uczucie obezwładniającej paniki, nim jednak zawładnęło nim na dobre, obraz przejaśniał, zaś łoskot w głowie ustąpił.

Roman Diogenes poczuł niespodziewaną euforię. Zobaczył przyszłość.

* * *

Jan Italos napełnił kielich winem i podał go *basileusowi*.

– Nie może to być – sapnął gniewnie władca, przyjmując naczynie. Upił tęgi łyk i rzekł: – Po raz wtóry widzę to samo. Ta sama wizja, Italosie, i nie mogę powiedzieć, żeby mnie to radowało. Wprost przeciwnie. Jestem wielce nierad.

Filozof łyknął ptasimi oczami i potargał brodę. Tego się spodziewał, a jeżeli nawet nie – to brał ten wariant pod uwagę. Przyszłość można zmienić, ale to, co nieuniknione, wcześniej czy później powróci.

– To samo... – mruknął uczony. – To samo, co siedem lat temu. Pierwsza wizja.

– Tak. Wtedy ukazałeś mi zdradę Dukasów i... – Cesarz zadrżał i osuszył do końca kielich. – Teraz widziałem podobne rzeczy. Michał Dukas cesarzem! Imperium pustoszone przez Seldżuków z jednej strony, jakieś bandy, bezładne zbieraniny, pozostałości mojej armii z drugiej. Ormianie w Anatolii podnieśli bunt, no i najemnicy... Normañscy zdrajcy z tym de Bailleulem na czele. O nie! Nie myliłem się co do niego, to nie jest człek godny zaufania! Grabieże, gwałt, krew, chaos. A później... To już inny obraz, jakby po latach. Wielka krucjata rycerzy z Zachodu. Dumnych, wyniosłych, pogardliwych. Wdziałem ich, jak szli: zjednoczeni pod znakiem krzyża, maszerujący, by ocalić Grób Pański. Zniszczenie, pożoga, zatracenie... Krew!

Roman Diogenes nie wyglądał zbyt dobrze. Italos nalał mu kolejny kielich wina, po namyśle sięgnął po inne naczynie i wypełnił je zimną wodą. Podał władcy.

– I moi synowie – ciągnął roztrzęsiony cesarz. – Widziałem ich! Widziałem, Italosie! Nicefor umierający gdzieś w kazamatach, skuty łańcuchami, poraniony... Komu tak zawinił? Komu?! I Leon na wygnaniu u obcych. Ruś to była. Daleko od Konstantynopola... Podłe miejsce.

– To tylko jedna z możliwych dróg, choć bardzo prawdopodobna. Przyszłość nie idzie jednym szlakiem, lecz w każdej chwili może podążać we wszystkie możliwe strony. Ty widziałeś taką przyszłość, jaka może, ale nie musi się zdarzyć, gdy pozostawimy sprawy własnemu losowi. Ale nawet wówczas może nadejść coś, czego tutaj nie dojrzałeś, coś, co zmieniłoby ten obraz dzień czy dwa później. I już miałbyś, panie, nową przyszłość, zupełnie inne obrazy. W każdej chwili możesz dokonać też własnej ingerencji, jednak wtedy twoje czyny i układ planet tworzą nową konfigurację i wszystko rusza od nowa.

Basileus zanurzył usta w kielichu z wodą. Skrzywił się. Oddał naczynie filozofowi, nie dopijając. Gestem wskazał na puchar z winem.

To, co zobaczył w wizji, nakazywało pójść na rękę egipskiemu kalifowi. Czyżby Seldżuci stanowili aż tak wielką siłę? Po przegranych wojnach w ostatnich dziesięciu latach

powinni sami błagać o pokój. Lizać rany, zapominając na lata o skarbach Konstantynopola. A jednak tak się nie stało. *Ten naród jest przerażający – pomyślał z niepokojem cesarz. – Teraz wspólnie z Fatymidami, jak Bóg da, odeprę ich po raz kolejny. Ale co będzie za sto lat? Dwieście? Trzysta?*

Zapytany o to Italos tylko pokręcił głową.

– Nie, panie. To zbyt odległa przyszłość. Każdego dnia mogą powstawać nowe rozgałęzienia. Rozgałęzienia, czyli możliwe drogi rozwoju sytuacji – dodał tytułem wyjaśnienia, widząc w oczach władcy niepewność. – Miesiące, lata, dekady... Po tym czasie rozgałęzień będzie tak wiele, że wyłuskanie z tego rzeczywistego, to znaczy najbardziej logicznego i prawdopodobnego obrazu przyszłości graniczy z cudem. Nie potrafię wskazać tej najbardziej prawdopodobnej przyszłości dalej niż na miesiąc czy dwa do przodu.

Cesarz pokiwał ze zrozumieniem głową, choć w duchu wciąż dręczyły go te same pytania: *Cóż stanie się, gdy mnie zabraknie? Gdy zabraknie Italosa? Leon i Nicefor są jeszcze za młodzi, ledwie po parę lat mają, więc nie dla nich wojaczka. Nie dla nich tron, nie teraz. Czy moi następcy będą mieli w sobie tyle siły, determinacji i talentu wojennego, by powstrzymać turecką dzicz ze stepów? A może nie? Może nieznający prawdziwego Boga najeżdźcy, barbarzyńcy niemający poważania i szacunku dla imperium, przyjdą w takiej gromadzie, w takich hordach, że na nic zdadzą się grube mury Konstantynopola, na nic zda się bohaterska obrona mieszkańców miasta. Na nic oddanie Waregów, na nic poświęcenie Normanów, na nic przelana krew. Konstantynopol stolicą tureckiego imperium? Nazwaliby to, powiedzmy, Eis tin poli czy jakoś równie niedorzecznie.*

Roman Diogenes aż zadrzał na tę myśl. Imperia upadają, tego uczy historia. Nic nie trwa wiecznie. Czas upadku przyjdzie też dla cesarstwa. Ale co po nim? Imperium Seldżuków? To wprost niewyobrażalne. Musiał temu zapobiec! Powstrzymać dzicz. Zmiażdżyć. Rozbić.

Władca poderwał się.

– Italosie! Ukaż mi teraz inną przyszłość. Taką, w której wyruszę naprzeciw barbarzyńskim hordom. Chcę wiedzieć wszystko! Wszystko, filozofie, rozumiesz?

Panie, toż powtarzam – pomyślał z lekkim rozdrażnieniem uczony. Tylko pomyślał. – Toż powtarzam, że ja nie pokazuję przyszłości, jeno wskazuję drogi. A jak się los potoczy, to wie tylko Bóg w niebiesiach.

– Michał Dukas cesarzem! – burknął *basileus*. – Ukochany syn Eudoksji znów daje znać o sobie mimo wygnania z Konstantynopola! Bóg mi świadkiem, gdyby nie łyzy cesarzowej, skazałbym jej zdradzieckich synalków na śmierć. Michała, Andronika, a nawet Konstantyna, choć nic jeszcze nie zawinił. Michał Dukas cesarzem! Ale czy coś ponad to? Czy przystępować do wielkiej kampanii? Pokażże mi, Italosie, co dla mnie z tego wyniknie!

Filozof burknął coś niezrozumiale i z ociąganiem zaczął wygaszać lampki oliwne. Nim zdusił ostatnią, odpalił od niej nową świecę. Również rzeźbioną na kształt ludzkiej postaci. Lecz teraz ogień jaśniał niebieskim światłem.

Było to inne uczucie: cesarz poczuł nagłą ociążałość. Niebieski, pełgający płomyk usypiał go, odebrał myślom jasność, choć z drugiej strony władca odnalazł w tym pewną przyjemność. Nim zdążył się nią nasycić, Italos rozpoczął recytację. Obce słowa kłuły niczym szpileczki. Początkowo było to nawet przyjemne, lekkie drażnienie, jednak im więcej słów, tym ból stawał się bardziej uciążliwy. Przy ostatnich zdaniach udręczony nim Roman ledwo tłumiał okrzyk. Wreszcie poczuł, że już dłużej nie wytrzyma, jednak w tej samej chwili ogarnęła go euforia. Jęk bólu zamarł mu na ustach, przerodził się w uśmiech. Niebieskie światło świecy zbiegło i zalało komnatę jasnym blaskiem.

Tym razem *basileus* widział zupełnie inny obraz: obóz wojskowy, on sam w swym namiocie w otoczeniu generałów i strategów. Na stole mapy oświetlone chybottliwym światłem lampek. Obok, na drugim, niewielkim stolczku, srebrna taca z białym chlebem, misą pełną oliwek, kozim serem i zimną pieczenią. Cesarz z wizji sięgnął po mięswo i odrywając niewielkie kęsy, słuchał relacji strategosa.

– Panie – prawil tamten – Seldżycy już nie wytrzymają długo. Jutro, jak Bóg pozwoli, Baalbek będzie nasze. Mamy już Gibelet, Bejrut, Sydon. Turcy nie mają już żadnego punktu oparcia aż do Damaszku. Nasi szpiedzy donoszą, że Fatymidzi z Egiptu są bliscy zdobycia Hebronu, toteż kleszcze zaciskają się.

– Hebron? To nie zaszli daleko. Tu należy pomyśleć, czy kalif nie gra na zwłokę, szcędząc własnych żołnierzy. Liczy na to, że nasze wojska zrobią to, co powinien zrobić on? – Władca sięgnął po chleb i kilka oliwek. Przekąsił, myśląc nad czymś, marszcząc czoło, po czym rzekł: – Ale z drugiej strony odwlekanie ze strony kalifa ofensywy na Palestynę grozi mu utratą kontroli nad tymi terytoriami. Czy zamierza zdobyć Jerozolimę, czy to również pozostawia nam?

Strateg uderzył palcem w zwoje rozłożone na stole.

– Panie, jakkolwiek by było, widać dla nas nową sposobność. Kalif nie kwapi się z wprowadzeniem swoich wojsk do Palestyny, choć nie wiemy, czy ze słabości, czy z rozmysłu. Cokolwiek knuje, pozwala nam to z większą śmiałością spojrzeć na przyszłą mapę świata. Jest to mapa, w której Palestyna stanowi część cesarstwa, jak za Justyniana.

– Hmm, taką właśnie mapę zawsze chciałem wyrysować!

Obraz rozmył się i ściemniał.

Teraz Roman Diogenes widział co innego: noc. Cisza, cesarz z wizji śpi, a na zewnątrz straż. Co ma znaczyć ta scena? Cóż jest osobliwego w odpoczynku przed decydującym uderzeniem na Baalbek?

Nagle w ciemnościach zamajaczył niewyraźny cień. Złudzenie? Senna mara? Nie, oto z za zasłony mroku wychynęła odziana na czarno postać. Mężczyzna w ciemnym stroju skrytobójcy. Podszedł do władcy i chwilę tak stał, patrząc na cesarskie oblicze. Błysnął puginał. Ostrze zatopiło się w sercu śpiącego. Cicho i skutecznie: cesarz z wizji nawet nie jęknął. W ciemnościach jego krew miała barwę smoły.

– Niece! – krzyknął *basileus*, strącając ze stołu świecę. Zapadła ciemność. Italos chwycił rozżarzony węgielek skrywany w żelaznej skrzynce. Za jego pomocą zapalił oliwne lampki.

Komnatę wypełnił ciepły blask. Filozof podbiegł do cesarza: ten patrzył w sufit nieobecny wzrokiem.

– Panie! Zbudź się!

Podsunał władcy kielich z winem. On, nieświadom, co czyni, wytrącił naczynie z dłoni uczonego. Ten szybko ocenił sytuację: inaczej się nie da. Klepnął Romana dłonią w policzki. Pomogło.

– Italosisie, przerażają mnie te wizje, którymi mnie tu mamisz – rzekł cesarz po dłuższej chwili. Pił łapczywie wino, mimowolnie kręcąc głową z dezaprobaty. – To nie może być! Widziałem własną śmierć! Żeby na polu walki! To byłby honor. Ale gdzie tam! Śmierć z ręki skrytobójcy. Italosisie, wyobrażasz to sobie? Ktoś chce mi zdradziecko, z ukrycia, zadać śmierć. Podczas wojennej kampanii przeciwko Seldżukom. Judasze tylko czekają, aż się odsłonię! Tak było podczas wyprawy na Sycylię, tak było, gdym toczył bój w Bułgarii, tak jest i teraz. Nigdy jednak ta wizja nie była tak prawdziwa! Tak namacalna! Tak dosłowna!

Basileus sięgnął pod dalmatykę w okolicach serca, jeszcze czując w nim chłód puginału. Jednak nie... To tylko mara.

Filozof uspokajał władcę:

– Panie, wiesz, że tutaj nic ci nie grozi. Tak jak sobie życzyłeś, w Konstantynopolu twojego bezpieczeństwa pilnują posłuszne demony. Zmuszone do służby łańcuchami starożytnych zaklęć. Osiem demonów, każdy ma pieczę nad inną stroną świata. Nie masz się co obawiać, panie.

– Ale to nie było w Konstantynopolu! Tak, wiem, jak to jest! Nie mogę wyjechać poza mury miasta! Bo nie mam pewności, czy któryś z moich zaufanych ludzi nie jest zdrajcą i nie zechce na mnie nasłać płatnego mordercy?

– Panie, toż takie było twoje życzenie. Zrobiłem, co mogłem. Sprawilem, że aniołowie ciemności będą roztaczać nad tobą baldachim swojej mocy... Miałeś ostatnio okazję ocenić, jak bardzo są skuteczne. Nie wiem, czy do dzisiaj słudzy zdołali zeskrobać z sufitu resztki tego Traka. Jeżeli rzeczywiście był to Trak, jak mówili, bo skąd taki wniosek, tego nie wiem. Niewiele z niego zostało, toż mógł być tak samo Saracenenem czy innym Bułgarem.

Cesarz posłał mu zniecierpliwione spojrzenie: *Tamto teraz nie ma znaczenia, Trak to czy Bułgar, nie o tym teraz mówimy.*

– Dlaczego twoje demony nie mogą strzec mnie nieustannie, niezależnie od tego, gdzie przebywam? To jak to jest: tu, w Konstantynopolu, są pełne mocy i dopadną, kiedy trzeba, każdego spiskowca, ale wystarczy, że przepłynę do Chalcedonu, i już te potężne stworzenia spoza światów są bezbronnie niczym jagnięta?

Italos westchnął ciężko. Tłumaczył już to władcy nieraz i zawsze słuchał tych samych zarzutów.

– Panie, to nie jest tak. Demony mają moc wszędzie i nic nie odbierze im ich siły. Jednakowoż tylko tutaj, w mieście, przywiązane są do twojej osoby. Udało mi się tego dokonać poprzez rozmieszczenie w ściśle określonych punktach wokół Konstantynopola ośmiu kamieni z piekieł. Każdy z nich został oznaczony inną, stosowną dla tego miejsca inskrypcją. Trudno takie same działania podejmować w terenie. Musiałbym za każdym razem układać osiem kamieni, a na każdym wyryć odpowiednie słowa.

– Toż to gorsze niżli więzienie! Bez twych demonów może byłbym mniej bezpieczny, ale zdany na siebie. To samo groziłoby mi i tu, w pałacu, i na polu walki. Skrytobójca! W pałacu tak! Ale na polu bitwy? Podczas wyprawy przeciwko najeźdźcom ze stepów?

– Ta wizja pozwala nam przygotować siły na to, co może nadejść – klarował filozof. – Jak na Sycylii i w Bułgarii. Zresztą błędem jest traktowanie tych obrazów zbyt dosłownie. Tak się może stać, ale nie musi.

Roman Diogenes przerwał mu.

– Tak, tak, słyszałem to już tysiąc razy. I cóż z tego!?! Nie musi, ale może. Co mnie obejdą twoje teorie, gdy w moim sercu zatopi się puginał zdrajcy? Dlaczego moje straże nie potrafiły mnie przypilnować? I kto to mógł być? Dukasowie? Komnenowie? Botaniates? Którzy z dworskich intrygantów? Mów, Italosie! Chcę wiedzieć, jaka jest przyszłość i kto za tym stoi.

Uczony wzruszył ramionami. Tego już nie był w stanie powiedzieć.

– Do diabła z tym! – zakrzyknął gniewnie cesarz i ruszył w stronę wyjścia. – Zgromadziłeś wokół siebie tyle ksiąg, ale pożytku z tego nie ma zbyt wiele. Twe nauki mówią mi to, co mogę sam wywnioskować, patrząc na mapę i słuchając szpiegów. Nie są jednak w stanie wskazać mi rozsądnego rozwiązania. Tego jedynego możliwego, a nie dziesiątek wariantów.

Basileus wściekłym ruchem odciągnął kotarę. Chwilę zmagął się ze sztabami zamków, nim jednak Italos zdążył przyjść mu z pomocą, władca szarpnął drzwiami, objając je z trzaskiem o mur, i bez słowa zniknął w korytarzu.

Rozdział 6

Nicetas zdążył się już narąbać jak sterta drewna na opał. Belzebub pokręcił z niedowierzaniem głową: przecież zostawił przyjaciela na całkiem krótko.

– Więc przepuszczasz solidy na dziewczki, miast w wybornej kompanii wina pochłać! A my tu na ciebie czekamy. Ja, Zoe. A ty chędożysz w najlepsze!

Dziewczyna spojrzała na Kaliksta z wściekłością, której nie mógł skryć nawet dym snujący się pod powałą. Małe puginały w jej oczach były gotowe, by zadać śmiertelny cios. Po chwili cięższej jak kamień młyński Zoe fuknęła i odwróciła wzrok, udając, że bardziej od przybyłego ziomka ciekawi ją spór dwóch pijanych majtków. Belzebub klapnął obok niej.

– Takie przyjemności zostawiam sobie na dalszą część wieczoru. Na razie, przyjacielu, miałem małą robótkę do zrobienia.

– Hę? Jeszcze ci nie styka? Mało wczoraj naskubaliśmy? A co to za fucha?

Kalikst przeklinał swoją nieostrożność. Zapomniał, że Nicetas po paru kubkach wina potrafił być niewyobrażalnie namolny.

– Dajże mi lepiej gardło przepłukać – rzekł wymijająco i zmienił temat: – Hej, Zoe, coś taka struta?

Dziewczyna posłała mu szybkie spojrzenie. Już nie było w nim puginałów, ale wciąż wyginała usta w podkówkę.

Portowa tawerna „U Epifaniusza” huczała dziesiątkami głosów zlewających się w jedno pijackie brzęczenie. Powiedzieć: *jak w ulu* to za mało. To było gniazdo rozochoconych szerszeni. Awantura wisiała w powietrzu: trzy ławy dalej dwóch ogolonych na łyso, wytatuowanych wioślarzy z galery już wszczeło burdę, plując sobie w twarz przekleństwa. Nie było w tym prawdziwej agresji ani nienawiści. Raczej ta typowa pijacka zawziętość, gdy brat w mgnieniu oka może stać się wrogiem, a łyk wina później znów jest najlepszym druhem wysłuchującym wynurzeń od serca.

Chwilę był spokój, po czym jeden z awanturników rozpoczął opowieść. Nieco bełkotliwą, ale zebrani w tawernie pijacy chętnie nadstawili uszu.

– Na własne oczy widziałem! I cała kompania, co ze mną była, może zaświadczyć! Było to na wiosnę, gdyśmy się najęli u perskiego kupca. Wieźli my po Morzu Czerwonym ikrę od Rusów, a także wino i oliwę z Grecji. Płynęliśmy w stronę słońca, gdzie ludy czarne i dzikie. I tam, po czterech dniach żeglugi, przyszła burza. Posejdon wzburzył wodę, a fale były takie, że nasz kapitan, a był to Syryjczyk, chytry i podstępny, ale nie głupi przecie, dał rozkaz, coby płynąć do brzegu, szukać zatoki. Bijąc się z falami i burzą, łykając słońca wodę, dotarliśmy do wybrzeży krainy, która nie ma imienia, gdzie żyją czarni ludzie biegający nago, obwieszeni

jeno ozdobami ze szczerego złota. I tam, wtedy, stojąc na cichych wodach zatoki, zobaczyli my jednoroźca. No, wszyscy go widzieli! Stał na brzegu, ziejąc ogniem. Łeb miał niczym smok, paskudny i pokryty guzami. Z czoła wyrastał mu róg, lekko zakręcony, a długi jak me ramię, gruby u podstawy, a na końcu ostrzejszy niżli puginał. Mógłby tym rogiem przebić dwa lwy naraz albo słonia i nawet by się nie ugiął. Miał też brodę, długą szyję, z postawy podobny był do jelenia, jeno ze dwa razy większy, zaś nogi jak u lwa – mocarne i giętkie. Stał ten jednorożec, mierząc nas wzrokiem, pluł ogniem i wtedy, powiadam wam, wszyscy wznosili modły do swych bogów, nie wiedząc, co gorsze: bestia na brzegu czy sztorm na otwartym morzu.

Tyradę przerwał chrapliwy rechot.

– He, he, łzesz jak pies, Szczerebul! Gdzieś ty pływał? Do Libii i Egiptu najdalej, a reszta przyśniła ci się, gdyś tam na słońcu wina zbytńo pochłał, poprawiając rakiją. Owszem, jednoroźce żyją w kraju czarnych ludzi, ale nie mają brody! Ha, ha, może kożę żeś widział, koza też ma róg, a nawet dwa, i brodę. Jam widział prawdziwego jednoroźca!

Belzebub kątem oka popatrzył na rozmówców. Dwóch ślaniających się z przepicia wioślarzy z galery otoczonych zasłuchanymi plugawymi gębami takich samych najemnych majtków z kupieckich statków jak oni. Ten, którego zwano Szczerebulem (trafnie – spod wygiętych wściekle warg wystawały trzy... nie, cztery gnijące zęby!), pokryty był mozaiką tatuaży nieudolnie zrobionych przez niego samego lub równie mało utalentowanego kompana. Nadmiernie rozwinięte od wiosel mięśnie jeszcze bardziej zniekształcały te sinoszare rysunki syren, morskich węży i zębatach ryb.

Drugi galernik, który przerwał Szczerebulowi opowieść, różnił się tylko tym, że nie miał oka. Łysy łeb przecinała mu czarna opaska, tył głowy zdobiła niewielka szrama, jednak poza tym obaj wyglądali jak bliźniacy.

– Jam widział jednoroźca na targu w Aleksandrii. Nubijczycy przywieźli go w klatce na sprzedaż, a złowili w głębi łądu, daleko za pustynią, którą Saraceni zwą AsSahra. Nie miał on brody, zaś jego róg był prosty i strzelisty jak Kolumna Konstantyna. Łeb miał jak koń, ale kły jak krokodyl, zaś jego szyja była krótka i krępa. Dolna część ciała przypominała lwa, a jego umaszczenie było czarne, czarne jako węgiel, zaś na końcu miał on ogon niczym skorpion, gruby i zakończony kolcem pełnym jadu. I nie jest prawdą, co Szczerebul głędzi, że...

Co nie jest prawdą, tego już nie dokończył. Na łbie galernika wylądował dzban z winem, ciśnięty z rozmachem dłonią pierwszego majtka. Czerwień trunku zmieszala się z krwią. To wystarczyło za sygnał. Chwilę później przy ławie wioślarzy wybuchła regularna bitwa. Początkowo na pięści, dzbany, michy i kubki, jednak gdy ten oręż okazał się za słaby, w ruch poszły noże.

Zupełnie niezrażony tym wszystkim Nicetas Wielka Pięść wznosił kubek pełen wina i zakrzyknął:

– Zdrowie najlepszego złodzieja w Konstantynopolu! No, żebyście wiedzieli, do czego

ten chłopak jest zdolny! Nie ma takiego drugiego w tym mieście, klnę się na Boga, niech mnie diabli w kotle smażą, jeżeli łzę! Pijemy! Dziś ja stawiam, a co tam!

Z tyłu posłyszeli nagle złowrogie mruknięcie.

– Taa, doprawdy? Taki z niego cwany gość? Te, a to może on mi buchnął?

Kalikst zerknął za siebie kątem oka. Zobaczył jakiegoś nabitego w sobie kurdupla o gębie pociętej bliznami. Tylko nieznacznie przykrywały je wypielęgnowane długie wąsy na turecką modłę. Zza pasa sterczały mu dwa zakręcone noże kute na wschodni sposób i zdobione arabeskami.

– Musi on mi buchnął, skoro taki zdolny.

Nicetas wlał w siebie następną porcję wina i ryknął na całą tawernę:

– No co, kurdupel?! Co ci buchnął? A jeżeli nawet, to co? Zdolny jest chłopak, to oskubał gęś do gołej skóry. O, prze-ep-praszam... Widzę, że nie do gołej. Się wąchy ostały, jak u Huna na koniku, co ze stepu tu do nas galopem.

Belzebub rzucił mu ostrzegawcze spojrzenie: *Dajże spokój, dopiero co zaczęliśmy, a już mordobicie?*

Na próżno. Wielka Pięść wiedział swoje. Wypadł zza stołu i chwiejnym krokiem dopłynął do człowieczka z bliznami na gębie.

– No co tam, aleksandryjski eunuchu? Co ci mój kompan Kalikst z sakiewki wydobył? Solidy, które zbierałeś na zakup kozy? Mówisz: *Trudno*, zaciskasz zęby i płaczesz! Nie będzie chędożenia!

Kurdupel z bliznami nie dał się sprowokować. Zlustrował Nicetasa pełnym pogardy wzrokiem i grzecznie rzekł:

– Jedno albo drugie, kupo tłuszczu. Albo jestem eunuchem, albo gromadziłem miedziaki na kozę do chędożenia. Jedno albo drugie, inaczej być nie może.

Wielka Pięść stracił rezon. Mimo harmidru panującego w tawernie zdawało się, że słyszc, jak w głowie osiłka powoli przeskakują tryby ciężkich myśli.

Wtedy z pomocą przyszła Zoe. Wyskoczyła zza ławy i huknęła Nicetasa w ucho.

– Siadaj, ciołku! Zawsze z tobą to samo.

Drab posłusznie poczłapał na swoje miejsce. Ciężko klapnął na ławie i chwycił dzban z winem. Dziewczyna odwróciła się do bliznowatego.

– Wybacz mu, przyjacielu. Nicetas, ten wielki dryblas jednym ciosem zabijający rozsierdzone byki, rozrywający lwy na strzępy, dziś stanowczo za dużo wychylił trunków mimo wczesnej pory. Nie miał wobec ciebie złych zamiarów, wybacz mu więc.

Pocięta gęba zmarszczył gniewnie czoło, jedyne miejsce na jego facjacie, gdzie nie było śladów po nożach. Chytre oczka latały to w tę, to we w tę.

– A ty co za jedna? Dziewka w męskim stroju? Jakaś jego dupodajka udająca chłopca i niańka zarazem? Dupy dajesz, a jak przyjdzie potrzeba, bronisz przed wciarami w tawernie?

Zoe zacisnęła zęby i przełknęła tę ostentacyjną zniewagę.

– Przyjacielu, przeprosiłam cię w jego imieniu. Więc siądź, gdzie twoje miejsce, i zapomnij o całym zajściu.

Bliznowaty kurdupel rozkręcił się jednak. Wyszedł zza stołu i stanął przed dziewczyną.

– Skoro ta spasiona świnia woli chłopców, to dlaczego chędoży ciebie, a nie tego drugiego, co to niby złodziejem jest jakimś wielce cwany? A może was oboje posuwa? Na zmianę. He, he!

Belzebub chwycił dzban. Nie mógł dłużej tkwić w tawernie „U Epifaniusza” tak całkiem na trzeźwo. Awantury toczyły się własnym rytmem, rządziły swoistą logiką, jakiej nie mógł pojąć człowiek, który od rana pił tylko wodę.

Tymczasem Zoe zbliżyła swoją twarz aniołka do pociętej gęby.

– Bój się, karle! On miał chętkę na twój zadek. Ciekawe, czy też tak pociachany jak twoja facjata, ha? Wiem, żeś na to liczył, ale musisz wiedzieć jedno: jakby ci wsadził w tyłek, rozerwałoby cię od środka. Winienesz całować me stopy za to, że cię ustrzegła od straszliwej śmierci w cierpieniach i wiecznej pogardy twych kompanów.

Kalikst znał tę melodię. Zoe dała się sprowokować i sama prowokowała. Z zainteresowaniem patrzyła, co dalej.

Kurdupel poczerwieniał i drgnął. Tylko drgnął, choć zapewne chciał więcej: najpewniej dobyć swych ostrzy wygiętych na saraceński sposób. Zresztą cokolwiek zamierzał – Zoe nie pozwoliła mu na to.

Skoczyła w stronę bliznowatego jak dziki kot. Jednym ruchem wyszarpnęła mu zza pasa ostrza. Cofnęła się o pół kroku, jednocześnie unosząc klingi w górę, na sztorc. Płynnie skoczyła w bok, unikając spodziewanego ciosu w twarz, co i tak nie nastąpiło. Jeden krótki skok. I już była za nim. Ostrza tylko załśniły w świetle lamp oliwnych. Pierwszy nóż – między nogami kurdupła. Drugi nóż – przy jego szyi. Na twarzy niewysokiego wykwitł wyraz niedowierzania powoli przeradzający się w czerwoną wściekłość.

Nawet galernicy od jednorożca przestali wywijać kosami. Kobieta jak demon, to było coś!

Zoe lekko drasnęła bliznowatego w podbródek. Cienka strużka krwi pociekła mu za kaftan. Jakby się zaciął przy goleniu. Gwar w gnieździe szerszeni przycichł nieco – kilku gości tawerny zasiadających przy najbliższych stolikach z zaciekawieniem patrzyło, co jeszcze im pokaże ta cwana mała.

– He, he – zarechotał ktoś w odległym kącie sali. – Zoe znowu daje popalić jakiemuś ciulowi.

Wtedy kurdupel szarpnął się zupełnie bez pomysłu, jakby stracił zdrowy rozsądek.

– Spokojnie, przyjacielu. Nie fikaj, bo cię drasnę głębiej – usłyszał.

Belzebub wiedział, co robić. Pociągnął Nicetasa w stronę wyjścia z tawerny.

– Już kończymy?

– Ty może i tak. Ale na razie zmieniamy melinę. Zbieraj dupsko.

Osilek doturlał się do drzwi. Kalikst za nim.

Zza tłumu pijących wyleciał jak kula z katapulty szynkarz w towarzystwie dwóch pomocników – wysokich bliźniaków o żyłastych ramionach, przedłużonych o nabijane kamieniami pałki.

– Hola, Nicetasie! A kto za napitek będzie płacił?

Wielka Pięść zaszczycił go mętnym spojrzeniem swych pijanych oczek. O co temu chodzi? O co się awanturuje ten rumiany kiep? Napitek? Płacił? A tak.

– A masz, chytry Syryjczyku! – Nicetas dobył sakwę i grzebiąc w niej niedbale, wyłuskał kilka *nummi*. Cisnął je szynkarzowi pod nogi. – Ano masz. Masz i udław się!

Jeden z bliźniaków ruszył w ich stronę z groźną miną. Właściciel tawerny wstrzymał go krótkim ruchem pulchnych dłoni i wskazał podbródkiem na monety.

Dryblas, zaciskając zęby, niezgrabnie przysiadł i zaczął zbierać rozrzucone miedziaki.

Belzebub skinął na Zoe: *Możemy wiać*.

Dziewczyna puściła bliźnowatego i zabierając ze sobą jego noże, wskoczyła na stół.

– Aleee, co to, do siedmiuset diabłów, ma być? – wybełkotał któryś z portowych robotników zupełnie nieświadom, co się dzieje i do kogo mówi. Pocięło rozlane wino.

Zoe odskoczyła od blatu i jednym zwinnym skokiem przemknęła nad głowami pijących. Wylądowała dwa kroki od Kaliksta.

Po chwili całą trójką zniknęli za drzwiami tawerny.

– Zabiję! Stój, ty sprzedajna wszetecznicu!

Na nic krzyki. Nim kurdupel z bliźnami wyskoczył na ulicę, po trójce złodziei nie było już śladu.

* * *

Później zaszli jeszcze do tawerny „Pod Czarnym Krabem” trzy ulice dalej. A na koniec do dwu innych stojących wzdłuż nabrzeża: „Bezgłowego Scyty” i „U Teofilakta”. Tam też Kalikst wyrównał do Nicetasa, choć nie był aż tak skory do awantur. Nie licząc drobnej szarpaniny, podczas której Wielka Pięść wybił dwa przednie zęby jakiemuś przybłądzie z egipskiej galery, tej nocy nie działo się nic, o czym mogliby wspominać kronikarze.

To zaś, co działo się rano w głowie Belzebuba, gdy już wino wywietrzało – a pozostały tylko smutne realia, jakie dopadają po nocy każdego hulakę – również nie znalazłoby się w sferze zainteresowań pisarza. Nawet jeżeli Kalikst uważał, że takiej burzy, że takiego sztormu, że takiej zawieruchy nie widział nikt ani tu, ani na całym Morzu Marmara – ach, gdzie tam! – na całym Morzu Śródziemnym, a kto wie – zapewne i na wszystkich morzach świata, jakie Pan Bóg stworzył i dał człowiekowi na użytkowanie. I owszem – gdyby te straszne żywioły szalały nie tylko w głowie Kaliksta, żaden szacowny kronikarz nie omieszkiałby zawrzeć w swych księgach szczegółowego opisu tego wydarzenia. Jednak nie

mówimy o tym, co *gdyby*, lecz o tym, co było.

Sztormy sztormami, ale jeszcze inna rzecz nie dawała spokoju Belzebubowi. Obudził się w łóżku, które bez wątplenia nie należało do niego. Jedno spojrzenie i już nie miał wątpliwości: to było niewielkie pomieszczenie mieszkalne w przybudówce przylegającej do portowych magazynów, dobrze mu znana izba Zoe. Ona sama zaś, całkiem naga, leżała rozciągnięta obok, bezwstydnie, acz nieświadomie wystawiając mu pod oczy swe foremne, choć dosyć drobne piersi. Wciąż spała, a na jej twarzy, okolonej ciemnymi kosmykami przylepionymi do czoła, malował się wyraz błęgiego szczęścia.

Kalikst zapytany w tej chwili, co było w nocy, nie potrafiłby odpowiedzieć. Wyteżałby pamięć, dociekając, co miało miejsce po tym, gdy opuścili tawernę „U Teofilakta”. Próżne wysiłki. Drzwi, które zatrzęsnęły się za nimi, gdy umknęli z winiarni, odgrodziły go od wspomnień wieczoru. Powstrzymując sztorm w głowie, próbował przeniknąć mrok niepamięci. Zoe była naga, jednak on sam spał w ubraniu, nawet butów nie zdjął. Niby w niczym to nie przeszkadza, a niekiedy nawet bywa o wiele bardziej praktyczne. Ale w tych okolicznościach... Sam już nie wiedział. Co gorsza, taka sytuacja miała miejsce nie pierwszy raz. Znowu budził się z kuszącą nagą Zoe u boku, z szumem w głowie, bez pamięci. Los tak chciał, że nigdy nie było między nimi nic bez winy. A po winie – co było, tego nie wiedział. Nie pamiętał, ona też pewnie nie. Albo nie chciała powiedzieć.

Nie, Kalikst Belzebub nie miał problemów z dziewczkami. Potrafił je bałamucić jak mało który. Gdy sięgał pamięcią, było ich... No, zresztą kto by tam liczył. Był czas, że każdą większą popijawę w wesołej kompanii z portu kończył w objęciach jakiejś pięknej dzierlatki. Czasem wymagało to pewnego uszczuplenia kiesy, brzęknięcia paroma solidami, jednak zasadniczo nie było to potrzebne. Smagłe, czarnowłose dziewczęta z Konstantynopola lub nieco dzikie Turczynki. Była też pewna Bułgarka, z którą miewał spotkania nie tylko po biesiadach w tawernie. Zaznał miłości ze zmysłowymi Nubijkami, nieśmiałyymi Syryjkami... no i z Anną. Ta kobieta z dalekiej Północy przybyła na ziemię cesarstwa z pewnym najemnikiem, Armeńczykiem, który wygrał niebieskooką białogłową w kości od perskiego handlarza niewolników. Zdarzyło się, że Kalikst w pozbawionej sensu ulicznej awanturze dziabnął najemnika kindziałem w grdykę. Jeden cios i od razu śmiertelny, niezamierzony i chyba całkiem niepotrzebny. Ten czyn, poza pragnieniem zemsty kompanów Armeńczyka, zapewnił Belzebubowi gorącą, pełną oddania miłość Anny. Korzystał z tego dobra bez jakichkolwiek obiekcji, łapczywie zrywając soczyste owoce ich uczucia. Niebieskookiej białogłowie dopiero wówczas się odwidziało, gdy na jej wymruczane pytanie odpowiedział, krzycząc z przerażeniem: *Małżeństwo? Dzieci? Niech mnie diabli przed tym bronią!*

Żal po zniknięciu Anny koił w objęciach kolejnych dzierlatek z tawern na nabrzeżu. One już nie miały takich oczekiwań. Wystarczył dzban wina i gorąca noc spędzona w zatęchłej izbie.

Ale z Zoe było inaczej. Gdy ją poznał, zdała mu się mało atrakcyjna. Sam był wtedy

młodziakiem, a ona wyglądała bardziej jak młody łobuziak z portowych dzielnic niż jak kobieta. Krótka obcięta, zawsze umorusana, poobijana, klnąca jak chłopak. Dobry kumpel, towarzysz zabaw, pierwszych popijaw. Ale obiekt pożądania? Nie, na pewno nie wtedy!

Jednak z czasem... Kalikst długo nie mógł zrozumieć, co się z nim dzieje. Chciał widzieć w Zoe kompana do pijaństw, ziomka, z którym mógł kraść sakiewki nieostrożnym mieszczanom. Ale kobieta? I do tego coraz powabniejsza, o delikatnym licu i pięknych czarnych oczach. Odpychał od siebie tę myśl, a ta wraz przychodziła: że tego, co czuł do Zoe, nie można porównać do kumplowskiej sztamy, jaką trzymał z Nicetasem. Dziewczyna budziła w nim uczucia, jakich zapewne oczekiwała Anna. To było jeszcze głęboko ukryte, odpychane, jednak coraz częściej dawało znać o sobie. Co gorsza, im bardziej rosło w siłę, tym bardziej odbierało mu rezon. Z Zoe nie potrafił tak, jak z portowymi ladacznicami. W ogóle z nią nie potrafił. I choć nieraz kończyli popijawy we wspólnym łóżu, nie potrafił nigdy odpowiedzieć sobie na pytanie, co właściwie działo się w nocy.

Tak też było i teraz.

Dogorywając, leżał ze wzrokiem zawieszonym na sęczkach drewna w belce podtrzymującej sufit. Próbował jeszcze zasnąć, jednak bez efektu.

Zoe obudziła się akurat wtedy, gdy po raz kolejny skupił wzrok na jej kształtnym ciele. Podziwiał płaski brzuch dziewczyny i dwa wzgórki ponad nim, rozważając, czy jest szansa na to, by prześcieradło, którym była przykryta, zjechało jeszcze niżej. Zaczął wyobrażać sobie, jak sunie językiem po jej gładkiej skórze, jak pieści te piękne ciemnobrązowe guziczki, a później schodzi niżej i niżej...

– Ej, a ty co? Wlepiasz gały jak osioł w worek owsa – mruknęła z udawaną złością Zoe, wstając z taką energią, jakby problem sztormów w głowie w ogóle jej nie dotyczył. Owinęła się prześcieradłem, zeskoczyła z łóżka i złapała dzban z wodą.

Długo piła, a potem rzuciła z przekąsem:

– Jestem pewna, że nic nie pamiętasz z nocy. A jak zwykle dużo się działo. No, minę masz, jakby cię żywym ogniem w pięty piekli. W głowie sztorm?

– Sztorm – przyznał z niechęcią Kalikst, roztrząsając, czy w tej uwadze o nocy ukryta była jakaś głębsza treść. Noc w ogóle? Czy noc z Zoe, w łóżku? Czy może jedno i drugie?

Niestety, Zoe najwyraźniej bawiła się jego niewiedzą i brakiem pewności. Znaczący – coś musiało być, bo jaki by miała w tym interes? Zresztą... Zawsze było tak samo. Ciekawe, co ona czuła w takich chwilach? Kątem oka patrzył, jak dziewczyna narzuca na siebie tunikę, zwiewną i tak lekką, że jej ciało jeszcze bardziej kusilo niż wtedy, gdy spała. Rzadko widywał ją w takim stroju. Po mieście nosiła się po męsku, na tyle skutecznie maskując swą kobiecość, że zazwyczaj brano ją za młodego wyrostka. To też prowadziło niekiedy do zabawnych konsekwencji: Zoe miała największe powodzenie wśród portowych dziewczek, jak również dworzan i kapłanów gustujących raczej w chłopcach. Do czasu, oczywiście, gdy to, kim jest, nie wyszło na jaw.

A może nic nie było, a zabawa niepewnością Kaliksta to tylko jego wymysł? Już miał się zapytać – w końcu jeżeli spędzili razem noc, kto wie, może już kolejną, zakończoną aktem pełnego oddania, to Zoe nie ma nic przeciw temu, by o tym najnormalniej pod słońcem pomówić. Otworzył usta, ale ona go ubiegła.

– Słuchajże no, kochasiu – rzuciła niedbale przez ramię, przetrząsając fatalaszki w skrzyni pod ścianą. – Nie chcę cię wyrzucać, twoje towarzystwo jest całkiem miłe, jednak teraz chciałabym poświęcić czas na parę spraw. Rozumiesz? Nie musisz mi przy nich towarzyszyć, więc jak chcesz, możemy spotkać się za kwadrans u Jednookiego na śniadaniu. Możesz nawet dla mnie od razu coś zamówić. Niech będą smażone jajka i chleb do tego. A teraz idź już.

No tak, zawsze go zbywała w ten sam sposób. Belzebub zmył się jak niepyszny, myśląc o tym, co mogło być, a nie było. A może było?

Nie wiedział.

* * *

Niedługo później, kiedy zobaczył ją, jak idzie, jego myśli zaprzętały już zupełnie inne sprawy. Skinął na Jednookiego: *Dawaj śniadanie!* Ledwie Zoe usiadła na miejscu, jak zwykle ubrana w strój miejskiego łotrzyka, oberżysta przyniósł dwa wielkie talerze wypełnione smażonymi jajkami. Do tego chleb pocięty na grube pajdy i piwo. Belzebub zaczął od napitku. Dopiero osuszywszy jeden kubek, poczuł, że sztorm w jego głowie uspokaja się, a w brzuchu narasta głód.

Dziewczyna wcinała bez słowa, wpychając pełne łychy jajek i wielkie kęsy chleba. Kalikst uzmysłowił sobie, że od poprzedniego południa w ustach miał tylko kolejne kubki z winem. Nic do jedzenia, bo zazwyczaj zapominał o takich detalach. Skinął na Jednookiego, żeby połał więcej piwa. Potem, nie zwlekając, zajął się śniadaniem.

Jadło zapchało ssącą dziurę w żołądku, a piwo miło rozleniwiło. Belzebub popatrzył po okolicy. Oberża Jednookiego stała nad samym brzegiem Złotego Rogu. Z drugiej strony zatoki lekko chygotały się weneckie statki, między którymi robili swoje z Nicetasem dwie noce temu. Obok tawerny był targ, na którym rybacy sprzedawali, co tam tylko wydobyli sieciami z morza. Fakt, trochę za bardzo jechało rybami, ale z czasem człowiek przywyka i nie może bez tego żyć. Czuć było też smołę, morską sól, bryzę i rozgrzane przez słońce kamienie. Zapachy, które towarzyszyły Kalikstowi od dziecka.

Leniwie patrzył na tłumy chodzące pobliskimi uliczkami. Wioślarze z galer, rybacy, kupcy, gospodynie uzupełniające od rana domowe zapasy, między nimi drobne złodziejzki, które w życiu nawet nie słyszały o czymś takim jak gildia. Mieszkańcy Konstantynopola szybko załatwiali swoje sprawy i szli dalej, na ich miejsce spływały nowe masy ludzkie. Brzęczały monety, trzeszczały skrzynie z dostawami towarów. Pokrzykiwania robotników

portowych mieszały się z zawodzeniem kramarzy i jazgotem przekupek. Greka pobrzmiewała na równi z mową Syryjczyków, śpiewnym językiem Rusów, łacinników, Żydów, Egipcjan, Ormian, a nawet Persów. Wszystkie języki ludzkości, wszystkie nacje, wszystkie kolory twarzy; rozmaite obyczaje, o jakich nie pisały jeszcze kroniki historyków. Konstantynopol, wieczna stolica świata.

Oderwał wzrok od tego barwnego widowiska portowej codzienności i jakby mimochodem rzekł do Zoe:

– Jakbym gdzieś zniknął na kilka dni... to znaczy, że zniknąłem.

Dziewczyna spojrzała na niego jak na wiejskiego przygłupa.

– Co?

Zreflektował się. Z wysiłkiem zebrał myśli i zaczął jeszcze raz:

– Jakbym gdzieś zniknął na kilka dni z miasta, to znaczy, że mam coś na oku. Robotę. Nie ma obaw.

– Masz robotę? I chcesz ją wziąć, dając chodu bez słowa?

– No, nie bez słowa. Przecież właśnie mówię.

– Gównu mówisz! Co to za fucha?

Uznał, że jednak już powiedział zbyt wiele. Trzeba było trzymać gębę na kłódkę, przynajmniej ani słowa Zoe. Nicetas by to pewnie szybciej zrozumiał.

– Eee, od razu tam! Tak tylko mówię, na wszelki wypadek. No, różne mam sprawy na oku, takie tam... Może zajdzie taka konieczność, że parę dzionków będę w podróży, więc nawijam, cobyś później nie musiała po ludziach rozpytywać.

Nie tak prosto było jednak uspić jej czujność. Dziewczyna już wietrzyła, co jest grane.

– Ty! Co ty mi tu wciskasz? Albo powiesz mi, co to za sprawa, co za cholerną fuchę dorwałeś za miastem za tłuste solidy, albo zabieraj stąd dupę i nie chcę cię znać!

Zoe była stanowczo zbyt inteligentna i nazbyt impulsywna. Groźna mieszanka, zwłaszcza gdy chce się coś ukryć.

– Eee tam, Zoe! Spokojnie. Na razie nie mam roboty. Może nie będę miał, wtedy tej rozmowy w ogóle nie było. Ale jakby co, to chcę, żebyś wiedziała, że jest u mnie jak trza.

Dziewczyna poczerwieniła z wściekłości.

– Jeżeli natychmiast nie powiesz mi, o co chodzi, nie chcę cię więcej znać!

– Zoe, nie mogę nic powiedzieć. Jakby co, to obiecuję, że będziesz wiedziała o tym pierwsza. Ale teraz gęba na kłódkę. Ani mru-mru. Cisza na morzu.

Zerwała się z krzesła. Nie powiedziała jednego słowa, ale wygięte w podkówkę usta i błyskawice ciskane z oczu były aż nadto wymowne. Chwilę mierzyła go morderczym wzrokiem, zabijając w myślach co najmniej tuzin razy, po czym lawirując zgrabnie między stołami, wyskoczyła na ulicę i nie patrząc za siebie, zniknęła w tłumie.

Pokręcił z niedowierzaniem głową. *Jak to jest – myślał – że zawsze dają się w to wciągnąć? Co bym nie powiedział, zawsze jest nie tak, nawet jak chcę dobrze. Nic nie powiem*

– *jest źle. Powiem – jest jeszcze gorzej. Kobiety!*

* * *

Resztę dnia spędził na przygotowaniach. Po pierwsze, odwiedził skład Nicefora Góry, gdzie uzupełnił zapas strzałek do rzucania i zakupił pewną ilość mleka czarownic. Szybko zapłacił i ograniczając się do zdawkowych pozdrowień, ruszył po dalsze sprawunki. W składzie było wszystko, czego potrzebował, jednak zgromadzenie pełnego ekwipunku, broni i stroju niepotrzebnie zwróciłoby uwagę Góry. Zaraz zaczęłyby się komentarze: *Ooo, to widzę, że znaczna sprawa jest na rzeczy. No musi być to poważne zlecenie, skoro tyle nummi idzie na obstalunek. Albo jeszcze inaczej: Ten to zawsze wie, gdzie ucho przyłożyć! No to powiedzże, gdzie teraz można zarobić parę solidów.*

Tego chciał uniknąć, zresztą po co w ogóle ma ktoś wiedzieć, że coś szykuje? Na dalsze zakupy zaszedł do znajomego Syryjczyka, który miał asortyment znacznie skromniejszy niż Nicefor, ale dyskrecja była zapewniona. Kalikst wybrał u niego mamelucki bułat, broń dosyć nietypową jak na te strony, ale w ocenie Belzebuba takie ostrze było wygodniejsze w użyciu niż nieporęczne *spathiony*. Do tego niewielki łuk refleksyjny z sajdakiem, wzorowany na tureckim, ale wyrabiany przez miejscowych rzemieślników, bardziej staranny niż ci ze stepów. Dla ochrony lekką kolczugę z rękawami po łokcie. Na to wszystko wydał aż siedem solidów. Syryjczyk drogo sobie liczył, niechybnie po to, by się targować. Kalikst niechętnie dał mu tę przyjemność – zbił cenę o dwa solidy i choć czuł, że kramarz skłonny był obniżyć ją jeszcze bardziej, machnął na to ręką i zapłacił. Tamten nie krył rozczarowania – oczekiwał, że rytuał hałaśliwego przebijania cen potrwa dłużej. Sam więc obniżył należność o jeszcze jednego solida, co i tak w sumie dawało więcej, niż się należało. Belzebub jednak nie czuł uwagi do zbyt długiego handlowania, chciał tylko kupić co trzeba i pójść w swoją stronę.

Kolejne solidy – pięć monet – wydał na konia. Po uważnych oględzinach zrezygnował z zachwalanych przez żydowskiego kupca szlachetnych rumaków z Anatolii i Iranu. Wybrał miejscową odmianę, nawykłą do długich podróży i jedzenia przydrożnych chwastów. Nie potrzebował konia na paradę.

Na załatwianiu takich spraw zeszła Kalikstowi reszta dnia. Był już gotów do podróży, ale przedtem czekało go jeszcze jedno zadanie. Tu, w Konstantynopolu.

– Wybacz, mistrzu, ale sam mnie do tego zmusiłeś. Muszę to zrobić – mruknął sam do siebie pod nosem.

Gdy zapadł zmrok, naciągnął czarny strój nocnego złodzieja i dobrał zestaw narzędzi: wytrychy, piłki, haczyki i strzałki do rzucania. Owinął twarz zawojem, po czym ruszył w miasto, jak zawsze unikając wzroku mijanych przechodniów.

Kierował się w stronę rezydencji mistrza Atanazego.

Rozdział 7

– Demon?

– Ano tak. Demon. Zabija wszystkich, co tylko za blisko podejda.

Cykady grały swój popołudniowy koncert. Słowa kupca z trudem przebijały się przez natarczywą muzykę owadów.

– Ludzie miejscowe gadają, że to wszystko ze studni wyszło.

Popatrzył na gadatliwego człowieczka. Rysy twarzy i akcent zdradzały, że to Syryjczyk, chociaż odziany był na modłę konstantynopolitańską. Długa tunika w kolorze czerwonego wina, zdobiona złotymi nitkami nie była najlepszym strojem na podróż przez zakurzone drogi Anatolii. Do tego rumiane policzki, krótkie rączki i wyraz naiwnej ufności, jaki malował się na twarzy kupca. Wszystko wołało: *Mam ci ja tu wypchany solidami mieszek, proszę, panie zbóju, obrabuj mnie i pozbaw wszelkiego dobra. Możesz nawet zabrać mój piękny strój w kolorze rubinów, a na pewno odsprzedasz go z zyskiem.*

Kalikst Belzebub z trudem powstrzymał odruch, który nakazywał mu spełnić tę prośbę.

– Ze studni? – zapytał.

– A jużci. Miejscowi gadali. Tutejszy przeor, bo to ziemia monastynu, kazał kopać zbiornik na wodę, by do źródła się dogrzebać. Żeby okoliczne pola wodą napoić, bo deszcze tu nieczęsto padają. No i ten przeor, znaczy jego robotnicy zaczęli kopać. Kopia, kopia, nagle patrzą: ruiny. Musi jakaś pogańska świątynia albo co, bo znaleźli wielkie kamienne płyty z osobliwymi znakami i napisami, których nikt nie potrafił odczytać. No i miejscowi, znaczy ci kopacze, a właściwie ten przeor, Bogu jęli radośnie dziękować, że będzie z tego dobry budulec, lepszy niż tutejsze skały, coby umocnienia porobić i wznieść solidne budowle. Kazał kopać dalej, a płyty wydobyć i odciągnąć na posiadłości monastynu. Ruszyli pierwszą płytę: nic. Drugą, trzecią: nic. Dopiero czwarta, rozumiesz, chroniła wejście do lochu. Do lochu tej świątyni. Kiedy parobcy ją podnieśli, z wnętrza zabrzmiał chichot diabelski...

Kupiec przeżegnał się nerwowo. Rzucił na boki szybkie spojrzenia, niechybnie w obawie, że zza skałek wyskoczy nagle gromada smolistych szatanów.

– Diabelski... Po prostu... No, znać, że tu diabli. Eee... – grubasek najwyraźniej stracił wątek swej opowieści.

– Diabelski chichot. Zabrzmiał z wnętrza... – Kalikst naprowadził go na właściwy trop.

– Ano chichot! – Kupiec odzyskał rezon. – I jak mówią, ciemność na chwilę zapadła. Z dziury w ziemi, z tej świątyni dawnej pogańskiej, wyskoczyła gromada demonów, które tam były uwięzione. Pochwyciły ciała parobków i ich opętały. A jeden, dla którego zabrakło ciał ludzi, czmychnął do tego drzewa. O tam! I nie chce wyjść.

Belzebub spojrział w ślad za pulchnym paluszkiem kupca. W tym miejscu droga wiodła na niewielki pagórek, tak jak cała okolica porośnięty zeschłymi trawami, karłowatymi drzewkami i poznaczony rozrzuconymi bezładnie skałkami. Jakies pięćdziesiąt kroków dalej szlak dochodził do rozstajów. Tu krzyżowały się drogi wiodące do Kapadocji i Paflagonii.

Na prawo od skrzyżowania, pośród wydeptanych traw, stało pięć wozów kupieckich, wokół których łąziło bez celu kilku zbrojnych dźwigających długie miecze. Przy bokach przytroczone mieli sajdaki z lukami, zaś na plecach – kołczany pełne strzał. Ich szyje wręcz uginały się pod talizmanami zawieszonymi na rzemykach i srebrnych łańcuszkach. Medaliki, święte obrazki, krzyżyki – wszystko, co mogło zapewnić pomyślność i Boską ochronę. Czule całowane, przyciskane do serca, pieszczone w trakcie cichej modlitwy.

Teraz Kalikst zrozumiał niefrasobliwy strój swojego rozmówcy. Grubasek miał solidną ochronę, poza zbrojnymi podróżowało wraz z nim kilku innych kupców odzianych równie pięknie i bogato.

Odciągnął wierzchowca na bok i przywiązał cugle do wyschniętego, pozbawionego gałęzi pieńka. Nie był to zbyt dobry punkt zaczepienia. Gdyby koń przestraszył się – dajmy na to – demona albo innego złego ducha, o którym prawił kupiec, to dalszą część drogi Belzebub musiałby pokonać pieszo. Jednak poza skarłałym drzewkiem nie było tu nic lepszego. Tylko skały, marne poletka i trawy niemrawo szeleszczące w powiewach wiatru.

– Wieziemy do Konstantynopola kitajski jedwab i pachnidła z Indii. Drogocenny ładunek, z którym idziemy od samego Damaszku – wyjaśnił Syryjczyk. – I tu nas demon zatrzymał. Ostatni z tych demonów, który skrył się w tym drzewie.

Sto kroków dalej, na lewo od traktu, stał wysoki, nieco poskręcany cyprys. Jego żywe gałęzie zupełnie nie pasowały do jałowej okolicy, do suchej ziemi i traw poruszanych ganiem cykad. Kalikst dopiero po chwili dojrzał wśród zeschniętych wiechci nieruchome ciała – koni, które ciągnęły pierwszy wóz kupieckiej karawany. Rozszarpane – zdało się – pazurami jakiegoś potężnego drapieznika. Zakrwawione, z rozwleczonymi wnętrznościami, wciąż uwiązane w skórzanej uprzęży. Muchy krążące nad zwłokami. Kilkanaście kroków dalej w trawie leżały ciała ludzi, tak samo rozszarpanych, obleczonych zakrzepłą czerwienią. Pięć, dziesięć, nie – więcej trupów wygiętych w nienaturalnych pozach. Cierpieli. Przed śmiercią cierpieli, to było widać.

Popatrzył uważniej na ciała. Z tej odległości trudno było dojrzeć szczegóły, jednak zauważył, że pośród zakonników, robotników rolnych, kolonów zabitych przez demona leżała także kobieta. Luźna tunika zachlapaną krwią ledwie zakrywała kształtne ciało o wyraźnych krągłościach. Twarzy jednak nie szło się przyjrzeć. Nie, inaczej: tam, gdzie niegdyś musiała być głowa niewiasty, teraz straszył bezkształtny rudoczerwony strzęp. Belzebub mimowolnie zadrżał. Coś ścisnęło go w żołądku.

– Zabija wszystkich. Ludzi, zwierzęta... Kto tylko podejdzie bliżej, tak jak nasze koniki z pierwszego wozu. I przednia straż karawany. Woźnica, który prowadził wóz. Tylko much

nie zabija. Much jest coraz więcej i więcej, i chyba jeszcze ani jedna nie padła. Podle stworzenia, musi z samych piekieł, z tej tam dziury co i demon...

– Jak to zabija? Czym zabija?

– Ano... No po prostu zabija. Idą koniki, idą, wóz prowadzą, nagle coś, taka jakby siła od tego drzewa się zakotłowała, coś jakby podmuch śmiertelnego wiatru, jak wybuch białych płomieni, tylko że bez żaru. I nagle nasze zwierzęta rozerwało coś. Ta siła. Łby pourywała, wnętrzności wywlekła... Ludzie tak samo. Padli, brocząc krwią, dobrze, że głów przynajmniej im nie poodcinał. Jeden dychał jeszcze, czołgał się, ale umarł, bo tyle krwi mu wyciekło.

Wokół obstawy karawany chodzili miejscowi. Koloni o rumianych twarzach i kilku mnichów w przybrudzonych habitach. Żywo o czymś rozprawiali.

– A ci co? Co to za zbieranina? – zapytał Kalikst.

– No, naszło się ich tu, kiedy demon zaatakował pierwszy wóz. Powiadają, że zły rośnie w siłę. Bo dotąd zabijał tych, którzy podchodzili pod samo drzewo, zbaczając ze szlaku. Widać jednak wzbiera w nim siła: jak kogo ubije, to wysysa jego duszę, pożera i w ten sposób coraz dalej może zabijać. A teraz aż do traktu i atakuje przejeżdżających Bogu jeno ducha winnych kupców.

– Nie można przejechać?

– Nie idzie. Znaczący można obrać drogę naokoło, idąc szerokim łukiem przez pola. I gdyby nie nasz wóz, tak byśmy poczynili. Ale tam nasze cenne towary. Zbyt cenne. Jeden wóz mniej i nasza wyprawa będzie nieopłacalna, bo nie weźmiemy już za nasze dobra więcej solidów. I tak ceny wzrosły, odkąd w Syrii i Persji panoszą się Seldżuce. To dziki naród, żyje jeno z grabieży i śmierci. Wszystkie szlaki handlowe muszą iść teraz drogami naokoło.

Skinąwszy głową Syryjczykowi, Belzebub podszedł do grupki rozgadanych miejscowych. Jakiś chudy mnich, żwawy starzec w skufii na tysej głowie, perorował w uniesieniu:

– To hardy demon, przyjezdny, pewnikiem z Kapadocji, bo tam złe duchy już zupełnie nie mają posłuchu i poważania dla świętych ludzi. Spójrzcie po tych polach, po tych łąkach i trawach wysuszonych przez słońce. Tu demony przybierają postać jaszczurek, zajęcy i koszatek, bywa też, że pcheł. Łatwo je rozpoznać i łatwo przegonić. Tak jak zajęce, są one płochliwe i niezdecydowane. Święty człek, wystarczy, nakaże im: *Idź precz, siło nieczysta, odpuść, odejź i nie wracaj!* I słuchają, bo są stworzeniami o słabej woli. Ale ten... Doprawdy, to musi jakiś silny demon z Kapadocji. Najpierw zajął jako swoją siedzibę uschnięte drzewo, cyprys, który zasługiwał już tylko na ścięcie, bo nadto wyrósł i ta niezbyt urodzajna ziemia nie mogła mu już dać wody. Demon zajął drzewo, czyniąc sobie kpinę z Boga. W ciągu jednej nocy gałęzie drzewa, dotąd usychające i pożółkłe, pokryły się żywą zielenią. Oto bluźnierstwo przeciwko Panu! Kpina z Wszechmogącego! Tym aktem powiada sprytny demon: *Jam ci posiadał taką samą moc jak Stwórca.* Mogę dawać życie i mogę je odbierać.

Zasłuchana w słowa starca gawiedź zaczęła szeptać nerwowo. Kilku przeżegnało się

z niepokojem.

– *Mogę dawać życie i mogę je odbierać* – perorował dalej mnich. – *Czy to drzewo, czy zając, czy człek. Każde stworzenie Boże.* Kpina i bluźnierstwo!

– Koniec świata! To musi koniec świata i dzień Sądu nadchodzi – jęknął ktoś w trwodze.

Starzec w skufii obruszył się. Ściągnął gniewnie brwi i potoczył wzrokiem ponad głowami słuchaczy.

– Który? Który to powiedział? Demon bluźni swoimi czynami, ale to, te słowa, to jest dopiero bluźnierstwo! Myślicie, że co? Że byle demon, byle diabelski posługacz, pierwszy lepszy szatański parobek, który na co dzień zamiata podłogę między kotłami w piekle, może zwiastować dzień Sądu? Niedoczekanie! Niedoczekanie, powiadam. To jeno kpiny i harce złego, żarty czynione z pobożnego ludu.

Tłumek kolonów i wiejskich obwiesiów umilkł. Nikt się nie chciał przyznać do słów, które wyrażały obawy wszystkich. Mnich sapnął gniewnie, gromiąc spojrzeniem gawieź, po czym znów przemówił:

– To ziemia monastynu i takie rzeczy nie mają prawa tu zachodzić. Przyjezdny demon z Kapadocji, nawet najbardziej hardy, nie będzie dłużej plwał na słowa Pana. To ziemia monastynu! Nasz przeor, gdy tylko spostrzegł, do jakiej zguby doprowadziła nieroztropność kopaczy, zawezwał świętego męża. Święty mąż przybędzie z miasta Ancyra i odprawi egzorcyzmy, które wygnają nieczystą siłę z tego oto drzewa. Przybędzie święty Eustracjusz Garidas!

Eustracjusz Garidas, biskup z Ancyry. Święty człowiek – mówił o nim lud, zaś opowieści o czynionych przezeń cudach powtarzano tak w tawernach, jak i w murach kościołów. Eustracjusz znany był ze swych egzorcyzmów, chętnie jeździł po ziemiach imperium, Anatolii, Kapadocji, Paflagonii, przepędzając demony i zbłąkane duchy kuszące do zła spokojnych poddanych cesarstwa. Kościelni i dworscy dostojnicy z Konstantynopola wyrażali się o nim już bardziej powściągliwie, widząc w nim jednego z kandydatów na patriarchę. Sam Eustracjusz Garidas niechętnie podejmował ten temat. Powiadał: *Patriarchą Konstantynopola jest Kostna i póki czyni swoją posługę, takie słowa nie przystoją.* Taka postawa jeszcze bardziej zjednywała mu zwolenników i tylko nieliczni utrzymywali, że za tym kryje się przemyślana kalkulacja.

Stary mnich prawił dalej:

– Święty Eustracjusz Garidas w swej walce przeciwko demonom, w swej krucjacie przeciwko siłom nieczystym, w swych egzorcyzmach przywołuje imię naszego patrona, świętego Teodora z Sykeon. Już dziecięciem będąc, pokazał Eustracjusz, że złe duchy mu niestraszne. Nieopodal wioski, w której mieszkał, zwykły gromadzić się demony nękające miejscową ludność pod postacią wilków i inszych dzikich zwierząt. Tam też, na jedno ze wzgórz, przybywała Artemida w otoczeniu złych duchów, w południe i o północy czyniąc istne sabaty, a każdy, kto chciał tam podejść, padał trupem na miejscu zupełnie jak tutaj.

Święty Eustracjusz nakazał wtedy: *Wykopcie mi jamę w ziemi, najbliżej, jak się da, tak bym mógł przepędzić złe duchy z powrotem do piekieł.* I mimo że był dziecięciem jeszcze, posłuchali go, bo taka była moc z jego słów. Wykopali jamę nieopodal miejsca, gdzie harcowały stworzenia z piekieł. Święty pozostał w tej jamie od Bożego Narodzenia do Niedzieli Palmowej, utrzymując post, spędzając czas na modlitwach do świętego Teodora. Miejscowi słyszeli jęki i lamenty. To złe duchy, demony przeklęte, tak cierpiały niepokojone obecnością świętego męża, który wtedy, jak powiadam, jeszcze dziecięciem był. Aż wreszcie nadszedł ten dzień! Dzień triumfu, dzień chwały, dzień, w którym uciekł ostatni ze złych duchów i już nigdy to miejsce nie było nawiedzane. I więcej rzeknę: owo wzgórze stało się świętym miejscem, gdzie wybudowano świątynię, a garstka ziemi spod jej murów, zmieszana z jadem i napitkiem, pozwala wypędzić wszelkie choroby tak ludzi, jak i zwierząt.

– Nie może to być! – jęknął z przestachem któryś ze słuchaczy. Belzebub spojrział w tłum: odezwał się ten sam człek, co wcześniej szeptał o końcu świata i Sądzie Ostatecznym – umorusany pylistą ziemią kolon w podartej sukmanie.

Jednak mnich nie był tak spostrzegawczy.

– Który? Który to powiedział? – wykrzyknął ze złością. Potoczył gniewnym wzrokiem po zasłuchanej gawiedzi, zaś ta zmalęła i zbiła się pod tym srogim spojrzeniem w zwartą, cichą gromadkę. Nawet kupiec-gaduła, co to chwilę wcześniej ust nie zamykał, umilkł pod wrażeniem marsowego oblicza pobożnego starca.

– To święty Teodor – podjął mnich po chwili – pokazał Eustracjuszowi, jak zwyciężać demony. Święty Teodor z Sykeon, patron naszego bractwa.

Ta opowieść zaciekała Kaliksta. Nie to, żeby natchnione słowa o wyczynach świętego Eustracjusza wywarły na nim aż takie wrażenie jak na miejscowych. W stolicy różne rzeczy opowiadano, wieczorami w tawernach słychać było nie takie historie. Bajarzy równie dobrych jak mnich znał co najmniej kilku, a każdy z nich, dzierżąc w garści dzban z winem, mógł gadać całą noc, do pierwszych promieni słońca opiewając czyny świętych, wprawiając słuchaczy w zdumienie wieściami z dalekich krain. Bywało, że swe opowieści snuli też Italczyki albo normańscy najemnicy z Sycylii. Ci lubowali się w innych gadkach: prawili o wyczynach rycerzy, odważnych panów wywijających mieczem na polach bitew, w zmaganiach ze smokami, z dzikimi Saracenami. Albo jeszcze insi: majtkowie czy wioślarze z galer bajający o morskich potworach, piratach grasujących po śródziemnych morzach, o syrenach zwodzących statki na skały. Znał te opowieści i to, co mówił starzec w podartym habicie, nie mogło go w niczym zadziwić.

Jednako niespodziewane spotkanie w sercu Anatolii stanowiło miłą odmianę po nużącej podróży. Mijał już piąty dzień, odkąd opuścił Konstantynopol. Zatrzymywał się tylko na krótkie odpoczynki nocą, bardziej w trosce o konia niż o siebie. Unikał miast i wsi, śpiąc z dala od traktu, w trawach, pod osłoną wzgórz i drzew. Zbytek bezpieczeństwa? A nawet jeżeli – lepiej, by nikt nie widział go na szlaku. By nikt pytany później nie mógł wyjawić:

A jużci, jechał tu taki jeden cudak, dziwacznie odziany, musi z miasta wielkiego. Jechał sam na koniu, uzbrojony jak na wojnę. Kalikst wolał pozostać niezauważony, ograniczając swoje kontakty z miejscowymi do niezbędnego minimum. Kilka razy, dostrzegając w dali patrole gwardzistów z mijanych miast albo wieśniaków wędrujących do sąsiednich temów, zbaczał z drogi.

Ale teraz było już za późno na takie wybiegi. Już i tak go widzieli, najpierw gadatliwy kupiec, który – traf chciał – oddalił się od reszty za potrzebą. A później cała ta zbieranina... *No nic* – pomyślał Belzebub. – *Nie zawadzi trochę odpocząć, poczekać, aż nadjedzie święty.*

Słońce powoli opadało za ciemne wzgórza na horyzoncie. Nim zapadnie mrok, minie najwyżej godzina lub dwie, w tych okolicznościach mógł sobie pozwolić na odpoczynek. Kupcy najwyraźniej też doszli do wniosku, że na dalszą podróż tego dnia nie mają już co liczyć. Pokrzykując na woźniców, nakazali wycofać wozy na bezpieczną odległość. Byle z dala od diabelskiego cyprysu. Ich obwieszona świętymi medalikami obstawa z wyraźną ulgą przyjęła taki obrót spraw. Zbrojni ochoczo ruszyli w ślad za wozami, prowadząc swe konie na sąsiednie wzgórze, jakieś dwieście kroków od rozstajów.

Wróciwszy po konia, Kalikst odwiązał go od suchego drzewka. Zauważył przy tym, że zostawione tu zwierzę zdążyło wyżreć szeroki krąg trawy niemal na całą długość uzdy. *To był dobry zakup* – pomyślał z zadowoleniem. – *Wierzchowiec może niezbyt paradny, ostatniej rasy, ale za to wytrzymały i mało wymagający.* Belzebub poprowadził go w stronę wozów.

– Zapraszamy – przemówił uprzejmie kupiec. – Tyle już przegadaliśmy, a ja się jeszcze nie przedstawiłem. Jestem Antymos z Laodycei, kupiec, no zresztą to widać, jaki fach mój.

– Kalikst z Konstantynopola – złodziej również się przedstawił, jednak swego rzemiosła nie ujawnił. No i nie dodał: *Kalikst zwany Belzebubem*, choć uśmiechnął się w duchu na myśl, jakie w tych okolicznościach wrażenie zrobiłby jego diabelski przydomek.

– Złe czasy nastały, złe... Wojna i niepokój... Za panów fatymidzkich narzekaliśmy. Narzekałem ja, jak i moi współnicy. Egipski kalif nałożył nieludzkie podatki, a i bywało, że nie zawsze miał poważanie dla praw, które wobec nas stanowił. Bywało, że musieliśmy płacić dwa razy zamiast raz, a pewnych towarów nie mogliśmy przywozić bez wniesienia cła tak wysokiego, że nie szło handlować. Ale odkąd przyszli nowi panowie, Seldżucy, i zajęli Damaszek, Laodycę i inne piękne miasta, jest jeszcze gorzej. Nałożyli trybuty po dwakroć większe, zajęli wszystkie statki handlowe na potrzeby wojska, bywa, że grabią towary, a i wiarę trza ukrywać. Gorzej jest niż za Fatymidów...

Kupiec zmarkotniał i przez dłuższy czas milczał. Tarł w zamyśleniu czoło, wreszcie zapytał:

– A ty, przyjacielu, jedziesz przecież z Konstantynopola. Jakie tam nowe wieści? Co cesarz na to? Będzie wojna?

– Różne rzeczy ludzie gadają... – rzekł Kalikst wymijająco.

– Ale jak? Chyba pójdzie *basileus* rozprawić się z Seldżukami? Zbierze wojska z całego

imperium, zbierze najemnych rycerzy łacinników, zbierze zbuntowane plemiona tureckie, zbierze wojów z Bułgarii, Pieczyngów, Armeńczyków...

Belzebub przerwał tę wyliczankę:

– Poseł przybył z Egiptu i obiecując sojusz, namawia na wspólną wojnę z Turkami. Ponoć, tak mówią, cesarz chce umocnić granicę i wysłać w okolice normañskich najemników. Ale co więcej, to nie wiem.

– Czyli będzie wojna! – krzyknął z entuzjazmem Antymos. – Niech Bóg da, żeby cesarz ocalił Syrię. Bo jak tak dalej pójdzie, to interes trza będzie zamknąć. Albo opuścić rodzinne strony i z Rusi towary wozić.

Jeszcze chwil kilka omawiali sprawy polityki, po czym kupiec zniknął we wnętrzu wozu. Tymczasem reszta karawany zajęła się ustawianiem obozowiska. Zbrojni, pohukując na woźniców, nakazali ustawić wozy w półkołu, by osłoniły ludzi i zwierzęta od widoku demonicznego cyprysa i pokrwawionych ciał w jego zasięgu. Wyprężone konie poszły na bok, gdzie zbudowano im prowizoryczną zagrodę ulokowaną między kilkoma skałkami i ciągiem kolczastych krzewów. W półkołu wozów rozpalono ogniska – najemnicy pracowicie rąbali zeschnięte pieńki, karczując niemal wszystkie drzewka w okolicy. W tym czasie kupcy zajęli miejsce wokół płomieni. Kalikst dołączył do nich.

Gdy czerwieniejąca kula słońca schyliła się za horyzont, koloni i mnisi, dotąd zawzięcie dyskutujący, przytaczając kolejne opowieści o świętych i demonach, zaczęli wznosić modły. Wkrótce dołączyli do nich wojacy z obstawy. Modły prowadził stary mnich, wnosząc wysoko krzyż z przypiętym do niego różańcem. Modulując głos, śpiewał z pamięci kolejne psalmy. Wzywał Boga, by przyjął do siebie dusze zabitych przez demona, wzywał imię świętego Teodora, by przegnał złego ducha, by zapewnił spokój i dobrobyt mieszkańcom tej ziemi.

Kalikst zaległ przy ognisku, okrył się cienką derką i zapadł w sen.

* * *

Michał Dukas gestem odprawił szpiega.

– Dziękuję, Symeonie. Dobrze się sprawiłeś. Póki cię nie wezwę, możesz swawolić i hulać. Dwa dni, może trzy...

Symeon Złe Oko złożył ukłon i odszedł. Za drzwiami komnaty odebrał od dowódcy straży swoją broń: dwa długie noże, oksydowany puginał i kindżał ze zdobioną rękojeścią. Posłał mu pełne wyższości spojrzenie, po czym zbiegł po schodach w dół.

Wtedy Michał wstał z tronu osadzonego na okrągłej płycie z czerwonego porfiru, z niemal identycznej kopii cesarskiego siedziska w pałacu. Sięgnął do wazy z owocami i wybrał stamtąd kiść winogron.

– Wszystko idzie po naszej myśli, bracie. Słyszałeś, co nam doniósł wierny Symeon.

Italczycy są skłonni stanąć po naszej stronie. I nie dziwne! Diogenes tak ciśnie ich cłami i podatkami, że nie mają nic do stracenia. Za to wiele do zyskania. Zniesienie opłat za towary sprowadzane z Lewantu i z Rusi oraz prawo nieograniczonego osiedlania się w stolicy. To niewiele, sam przyznasz. Ich poparcie nie kosztuje nas ani jednego solida. Jutro, drogi bracie, wyruszam więc na umówione spotkanie w porcie w Selucji. Wyłożę im sprawę i przedstawię gwarancje na piśmie, gdyż bez tego nie będą tak skłonni nadstawiać za nas karku.

Andronik Dukas odrzucił okrywający go dotąd płaszcz na sofę i stanął przy oknie, patrząc na ogród rezydencji.

– Przywileje dla kupców... Gwarantowane na piśmie. To cię kiedyś może kosztować jeszcze więcej solidów, niż mieści cesarski skarbiec.

– Przywileje można odebrać – klarował Michał, pojedynczo, z wielkim namaszczeniem pakował je do ust i powoli rozgryzał, sycąc się smakiem soku na języku. – Oczywiście nie wprost, w końcu umowy zobowiązują, a przecież nie chcemy bez potrzeby narażać na szwank naszego słowa i czynić sobie nowych wrogów. Można więc odebrać korzyści płynące z przywilejów. Zamiast ceł jakiś nowy podatek, na przykład *masztowy*, od każdego masztu każdej jednostki wpływającej do portu. Albo podatek *za ochronę dróg morskich*, a na tych, którym się to nie będzie podobać, wyślę najemnych piratów. Jak złupią parę italskich statków, to jedynym, o czym Italczycy będą marzyć, stanie się ochrona przez cesarza ich szlaków handlowych.

Drugi z Dukasów w milczeniu spoglądał przez okno. Obserwował, jak Symeon Złe Oko nieśpiesznie prowadzi konia do wschodniej części rezydencji, gdzie znajdowały się stajnie. Gdy szpieg zniknął za rogiem, powiedział:

– Italczycy to kupcy. Dla nich ważny jest jeno interes. Ale w dalszym ciągu nie wiem, jak zdołałeś przekonać patriarchę. To surowy człowiek, znany ze swych zasad.

Michał zaśmiał się. Opłukał ręce w misie z wodą, strzepnął jej nadmiar i wszedł na porfirowy podest. Zasiadł na tronie.

– Owszem, znany ze swych zasad i znany ze swej niechęci do herezji. Chcesz znać szczegóły naszego spotkania w Nicei? Wyłożyłem mu szczerze nasze racje. Pomnij, bracie, że patriarcha pamięta jeszcze czasy, gdy na cesarskim tronie zasiadał nasz świętej pamięci ojciec. To za jego panowania Kosma doszedł do wysokich godności, właśnie dzięki poparciu naszej rodziny. Co prawda łaskę patriarchy otrzymał za Diogenesa, ale to nie umniejsza zasług Dukasów. Zaś Diogenes nie potrafi ustrzec się przed licznymi błędami, które w oczach Kosmy urastają do rozmiarów grzechu śmiertelnego. Weźmy pobłażliwość wobec herezji. Pobłażliwość wiele mówiącą. Znaczącą. Jakże wymowną. Obiecałem patriarche, że przywrócę właściwy porządek rzeczy. Że gdy odzyskam władzę, niezwłocznie przystąpię do karczowania tego ugoru. Wyplenię plugawe i jadowite herezje manichejskiej proveniencji. Paulicjan, bogomiłów, messalian i kogo tam jeszcze. Albo się nawrócą, albo śmierć!

Andronik skinął ze zrozumieniem głową. Co jak co, ale taki argument musiał przemawiać

do bogobojnego patriarchy. Ale czy to wystarczy, by zjednać go do spiskowych planów?

Brat jakby czytał w jego myślach.

– Oczywiście, to nie wszystko. Jest coś, co Kosmę bardziej uwiera, choć nie wyzna tego nawet na mękach. To sprawa natury bardziej osobistej. Ten barbarzyńca Italos! Italos, który na cesarskim dworze para się czarną magią i herezjami. Dlaczego nasza matka po śmierci ojca zamiast mnie na cesarza wybrała Diogenesa? Człowieka oskarżonego o zdradę stanu, który nagle uszedł katu prosto w małżeńskie objęcia cesarzowej! Zasugerowałem Kosmie, że Diogenes wszedł w konszachty z siłami nieczystymi, stąd jego droga z kazamatów na tron. Na patriarsze zrobiło to duże wrażenie.

Michał Dukas przymknął powieki. Znów stanął mu przed oczami ten poranek, gdy matka, cesarzowa Eudoksja, weszła do jego komnaty sypialnej, usiadła na łożu i nazwała go *najlepszym ze swoich synów* oraz *swoim imperatorem*. Później jednak usłyszał słowa, które oznaczały dlań początek całego nieszczęścia: *Wstań i poznaj swojego ojczyzna. Mimo że zajmie miejsce twojego ojca, Konstancyntyna X, będzie poddanym, a nie władcą. Ja zachowam tron, a gdy przyjdzie czas – przejmiesz go ty*. Na swoje nieszczęście uwierzył w to. Diogenes szybko zyskał wysoką pozycję, zaś wpływy Michała malały. Ojczym zyskał miłość matki, poparcie wśród dworu, a także – co najgorsze – jako generał mógł liczyć na pełne oddanie wojska. Później sprawy już całkiem wymknęły się spod kontroli. Najazd barbarzyńskich Seldżuków, oddanie pełnej władzy w ręce Diogenesa, by poprowadził przeciwko nim kampanię. Nieudana dywersja Andronika pod Manzikert, skazanie na śmierć stryja Jana – za kierowanie spiskiem. Potem uwięzienie i śmierć z wycieńczenia Psellosa, filozofa i doradcy rodu – oskarżonego o sianie intryg. A później łzy matki i wygnanie Dukasów z Konstantynopola.

Otrząsnął się z tych rozmyślań. Spojrzał na stojącego przy oknie brata. Ten odstał od okna i podszedł do tronu. Rzekł z przekąsem:

– Ale ty czynisz to samo. Konszachty z siłami nieczystymi. Czarna magia. Herezje.

Starszy z Dukasów pokręcił z dezaprobatą głową. Nie mógł zrozumieć niechęci Andronika do ich nowego sprzymierzenia.

– Z całym szacunkiem, drogi bracie. Jesteś doskonałym dowódcą, żołnierzem, *strategosem*, ale brak ci zmysłu polityki. Nie umiesz spojrzeć na rzecz z szerszej perspektywy. Innymi słowy mówiąc, jesteś zbyt prostoliniowy, Androniku. *Basileus* byłby z ciebie żaden.

– Daruj sobie.

Michał zerwał się. Odwinął połę płaszcza i żywo gestykułując, tłumaczył:

– Czarny Mnich jest mi potrzebny teraz. Później... Nie, nie zamierzam korzystać z jego magii. Tak, masz rację, czynię to samo co uzurpator. Z tą różnicą, że Diogenes jest zbyt słaby, by uwolnić się od wpływów tego barbarzyńcy. Jest zbyt słaby, by rządzić bez pomocy sił nieczystych. My zaś zrobimy inaczej. Zawrzemy jednorazowy układ z Czarnym Mniczem.

Tylko w jednym celu. Później nasze drogi się rozejdą. Tylko w jednym celu...

Andronik z niepokojem rozejrzał się po komnacie. Zawsze, kiedy mówili na ten temat, przechodziły go dreszcze. Jakby w pomieszczeniu był jeszcze ktoś.

– Tak, tak, słyszałem to już kilka razy. Ale wciąż nie wiem, jaki masz w tym cel – powiedział.

Jego brat zatrzęsł się w bezgłośnym śmiechu.

– Jaki cel...? Otóż ten najważniejszy! On zapewni nam to, czego nie zdołaliśmy dokonać tradycyjnymi środkami. Już nie mówię o tych desperatach, jak ten Trak, którzy nie baczą na demony pilnujące pałacu uzurpatora. Wspomnij jednak wyprawy na Sycylię i do Bułgarii, gdzie Diogenesa nie chroniła żadna magia, a jednak zawsze wychodził z opresji obronną ręką. Nie sposób wykluczyć, że jest to sprawka tego barbarzyńcy Italosa. Musimy mieć kogoś, kto jest w stanie pokonać jego magię. Chciałbym więc, Androniku, żebyś... – Nabrał tchu i począł mówić, starając się nie pominąć żadnego elementu swej układanki: – W czasie gdy ja będę układał się z Komnenami, a wiedz, że kapadockie i anatolijskie rody także są skłonne nas poprzeć, więc gdy ja będę przekonywał Aleksego Komnena, by także przyjął naszą linię polityczną, ty będziesz musiał dopilnować tej najważniejszej sprawy.

Andronik skrył niechęć do tego pomysłu. Z kamienną twarzą rzekł:

– Jak sobie życzysz, bracie. Co mam więc zrobić?

– Chcę, żebyś pojechał do niego i nadzorował postęp prac. Możesz wziąć Symeona, by ci przybliżył materię dzieła. Chociaż obiecałem mu wolne, to jakbyś potrzebował, Symeon będzie na twoje wezwanie. Pamiętaj o jednym, Androniku. Potrzebujemy każdego wsparcia, nawet za cenę obietnic, których nigdy nie zamierzamy spełnić. Jak będzie trzeba, to za sojuszników weźmiemy Seldżuków i ich Mahometa. Heretyków czy choćby czarnych magów. Mnich może być po prostu dogodnym narzędziem. Jeno trzeba się nim nauczyć odpowiednio posługiwać.

Młodszy brat pokręcił głową. Skrzywił usta w dezaprobachie.

– To nie ma sensu. Skoro jest tak, jak prawisz, to czego on od ciebie oczekuje, Michale?

– Dobre pytanie. Co mnie dziwi, on nie wysuwa na razie żadnych żądań.

– Żadnych?

– Najmniejszych. Nie domaga się dla siebie żadnych korzyści... Z jednym tylko, niewielkim wyjątkiem.

– A jednak! Jakim?

– Potrzebna mu jest krew cesarza. Uzurpatora. Krew Diogenesa.

Rozdział 8

Obudził go gwar podekscytowanych głosów. Ognisko już dogasło, tylko kilka bierwion tliło się jeszcze na pomarańczowo, wznecając cienką smużkę dymu.

Był świt. I chłód. Obozowisko przemierzali ospali najemnicy z obstawy kupców, jednak to nie oni czynili harmider. Nieco dalej, tam gdzie wieczorem odprawiali modły mnisi, teraz stanęła niewielka grupa jeźdźców. Otaczali ich braciszkiwie zasłuchani w słowa mówcy na koniu.

– Całą noc jechałem na wieść o tym przypadku, choć moi wierni towarzysze radzili mi, bym zaczekał do rana. Mówili: *Ojcie, to nie jest dobry zwyczaj, by jeździć po zmroku. Drogę łatwo zgubić, diabolos sprowadzi ze szlaku na pustkowia, a tam zbójnicy ograbią. Ale mnie niestraszne demony, a Bóg jeden wie ile jeszcze śmierci przyniesie ze sobą przeklęty zły duch, do którego mnie wezwaliście.*

Eustracjusz Garidas. Biskup Ancyry. Święty. Postawny starzec z długą brodą, skromnie odziany w czarną, nieco wyblakłą riasę, prostą i skromną sutannę. Z twarzy świętego bił spokój, pogoda ducha i pewność siebie. Towarzyszył mu mnich otulony płaszczem o barwie czerwonego wina – ten dla odmiany minę miał posępną, jakby zmartwioną – i czterech wareskich gwardzistów. Na ich piersiach osłoniętych kolczugami zwisały rzemyki i łańcuszki z dewocjonaliami, które różniły się od krzyżyków i łańcuszków na szyjach zbrojnych z kupieckiej obstawy tym, że wykonano je ze złota. Moda z Konstantynopola dotarła nawet do Waregów. Belzebub pokręcił z niedowierzaniem głową.

Mnich, który w nocy prowadził modły, pomógł zsiąść Eustracjuszowi i zaczął mu objaśniać sytuację.

– Jestem brat Bazyli z monasteru Świętego Teodora. To nieopodal, ot tam, za tymi wzgórzami. Nasz przeor wyznaczył mnie, żebym doglądał tej sprawy, i to ja pozwoliłem sobie prosić o pomoc waszą wielebność. Wszystko stąd, że okoliczni koloni w swej zupełnej bezmyślności zaczęli drążyć dół w ziemi, by dokopać się do źródła. To jeszcze nic złego, jednak ci nieroztropni ludzie miast wody znaleźli kamienne płyty, musi z jakiejś świątyni pogańskiej albo grobowca. No i ci głupi chłopci, miast poprzestać swojego kopania, miast zasypać dziurę, jęli drążyć dalej, radując się znaleziskiem. Wydobyli płyty z jakiegoś szlachetnego marmuru i zaciągnęli na swoje podwórka, by z nich chlewiki i stajenki porobić.

Kalikst nie słuchał dalej. Przypominał sobie, że Antymos, powtarzając opowieści miejscowych kolonów, inaczej przedstawiał tę historię, ale teraz to już nie miało znaczenia. Myślał, co dalej. Demon w cyprysie, egzorcysta, kupcy – gdyby nie miał nic lepszego do roboty, zostałby na pewno popatrzeć, jak biskup Eustracjusz wygania z drzewa złego ducha.

Jak *diabolos* ucieka z wrzaskiem i wyciem przed siłą modlitwy i słów świętego. Ale z drugiej strony każdy dzień zwłoki, każde pół dnia to większa szansa, że z Konstantynopola wyruszy za nim pościg. Że gildia pokrzyżuje jego plany.

Nie, nie mogę tu zostać – zdecydował. – Jadę dalej, do Kapadocji. Wszystko według planu.

Słońce zaczęło świecić coraz silniej. Chłód poranka ustąpił, z wozów i znad ognisk zaczęli wstawać kupcy, ich zbrojna ochrona i woźnice. Wszyscy, widząc, że przybył długo oczekiwany gość, szybko strząsali sen z powiek i przyłączali się do zebranego za obozowiskiem tłumu.

– Niezwłocznie! Przystąpię do egzorcyzmów niezwłocznie – zapewnił Eustracjusz Garidas w odpowiedzi na pytanie brata Bazylego, czym wywołał szum aprobaty. – Pozwólcie mi jeno poczynić przygotowania. Jak już rzekłem, byłem w podróży całą noc i choć nie czuję zdrożenia, to jednak chciałbym się nieco posilić i pomodlić w cichości. By wyciszyć umysł przed walką z demonem.

No to zaczekam – pomyślał Belzebub.

* * *

Biskup Eustracjusz postąpił kilka kroków w przód. Nic. Nic się nie stało, choć już, można by przysiąc, święty przekroczył granicę, do której sięga moc demona.

Jeszcze krok i doszedł do poskręcanych zwłok żołnierza, tego, co zginął od utraty krwi, pełną po ataku złęgo. Przybysz stanął i wznosił wysoko rękę z wielkim krzyżem ze złota.

– Demon cicho, nawet nie jęknie – stwierdził brat Bazyli. – Widać czuje potęgę świętego męża. Patrzcie! Nawet gałązka nie drgnie. A taki był hardy.

Gawiedź zaczęła szeptać z podziwem. Zebrani w bezpiecznej odległości kupcy, mnisi, żołnierze i koloni z zapartym tchem obserwowali każdy krok egzorcysty.

– Dzień Sądu, koniec świata! – wyrwało się któremuś. Brat Bazyli ściągnął gniewnie brwi. Byłbyż to ten sam defetysta, który mu nieustannie przerywał?

Tymczasem biskup Eustracjusz szedł dalej. Minął wóz kupców i rozszarpane truchła koni. Ścisnął mocniej krzyż, zaczął cicho szeptać słowa modlitwy.

– Cud, istny cud – szepnął Antymos. – Przecie jak on, no ten demon znaczy, wtedy cisnął takim bezgłośnym gromem, to aż ich tam wszystkich, no tych moich żołnierzy i koniki, w powietrze uniosło. A święty śmiało kroczy do przodu, a demon ani piśnie.

Egzorcysta przystanął, mając u swych stóp poskręcane ciała wcześniejszych ofiar. Potoczył wzrokiem po polu i zadrżał mimowolnie na widok zmasakrowanej kobiety bez głowy. Roje much, krążąc nad trupami, bzycały nieprzyjemnie. Czarne, tłuste owady o lśniących odwłokach przywierały do ciał w miejscach, gdzie jeszcze ostała się niezaschnięta krew.

– Odejdź! Uciekaj! Niech ogarnie cię lęk! – zakrzyknął gromko Eustracjusz z krzyżem wysoko wzniesionym ponad głowę. – Czy przyjmujesz postać węża, oblicze bestii, czy jesteś jak opary lub ptak albo drzewo! Czy jesteś tu na stałe, czy przybywasz o świcie, w południe lub o północy. Czyś jest w morzu, czy w rzece, w studni czy pod ziemią, nad przepaścią, w fosie czy w jeziorze, w trzcinach, a może na dachu łaźni, w kałuży wody, w grzmocie, w burzy, czy też w gaju lub gęstwinie, w ptaku lub drzewie, w suchych trawach na łąkach. Wiemy czy nie wiemy, skąd przybywasz – odejdź! Uciekaj! Wracaj na pustynię bez wody, na ziemi niezorań, tam, gdzie nie mieszka człowiek. Niech ogarnie cię lęk!

Nagle drzewo zaszumiało jak pod podmuchem wiatru, choć powietrze wokół stało duszne i gęste. Gałązki cyprysa zadrgały, szeleszcząc igłami. Roje much zaczęły podrywać się z ciał i wirować z wściekłym bzyčeniem, niechętnie porzucając zaschnięte plamy krwi, wyżarte oczodoły i gnijące wnętrzości. Wkrótce już wszystkie wlatywały nad ziemią w ciemnym roju, na podobieństwo deszczowej chmury.

– Odejdź! Uciekaj! Niech ogarnie cię lęk! – powtórzył egzorcysta i drzewo zadrgało jak pod uderzeniem burzy. Rój much zbił się w gęstniejącą kulę, coraz mniejszą, coraz bardziej zwartą. Bzyczały z narastającą furią rozwścieczone niczym byk na arenie, jak głodny lew goniący antylozę.

– Jezu Chryste! Zaraz opadną zgrają na niego! To *diabolos*, nie muchy! – zakrzyknął ktoś z tłumu.

I miał rację. Kula czarnych owadów nagle poderwała się w górę, nabierając prędkości, i pomknęła po skosie w dół, prosto na świętego męża. Pęd powietrza spłaszczył rój na podobieństwo wielkiego jaja i tak uderzyły na Eustracjusza.

Biskup, osłaniając twarz krzyżem, zakrzyknął tylko:

– Odejdź!

Z dala wyglądało to, jakby bucząca czarna chmura połknęła egzorcystę. Połknęła go i wessała w siebie, rozdzierając w mgnieniu oka na setki tysięcy drobnych strzępków. Rozszarpując i pożerając.

Złudzenie. Muchy tylko przemknęły mimo biskupa, przelatując pod nim, nad nim, obok, jedynie lekko muskając go swymi ohydnyimi skrzydełkami i trupim smrodem niesionym na lśniących odwłokach.

Przemknęły, po czym zatoczyły krąg i chwilę jeszcze wibrowały w zwartej kuli. Wreszcie rój się rozsypał. Muchy pomknęły we wszystkie strony świata i zapadła niczym niezmacona cisza poranka.

Eustracjusz zmówił podziękowanie Bogu, po czym ruszył w stronę cyprysa. Teraz nic już nie mogło go zatrzymać. Szedł, powtarzając słowa egzorcyzmu:

– Odejdź! Uciekaj! Niech ogarnie cię lęk!

Tłum szeptał:

– Tak daleko jeszcze nikt nie dotarł! Cud! Cud! Panie, wybaw nas od złego!

Święty minął ostatnie ciało. Między nim a drzewem znajdowały się już tylko stojące na baczność trawy i porozrzucane bez ładu kamienie.

Cyprys zafalował. To już nie było łagodne kiwanie gałązkami jak przy wietrze. Teraz młócił konarami jak zapaśnik podczas igrzysk na hipodromie, z taką siłą, że aż słycać było tarcie kory, aż źdźbła traw przyłgnęły do ziemi, jakby też ogarnął je lęk przed *diabolosem*.

To jednak nie przestraszyło świętego. Podszedł do samego drzewa i stojąc o krok od niego, wyrecytował:

– Czy jesteś tu na stałe, czy przybywasz o świcie, w południe lub o północy. Czy jesteś w wietrze, w ptaku lub drzewie, czy suchych trawach na łąkach. Gdziekolwiek się ukrywasz. Skądkolwiek przybywasz. Niech ogarnie cię lęk! Odejdź!

Wzniósł złoty krzyż i zaczepił go na gałęzi, unikając ciosów konara. Pochwyił obydwoma dłońmi siekiere trzymaną dotąd w lewej ręce. Nie przerywając słów modlitwy, uderzył w korę drzewa.

Po okolicy rozeszło się wściekłe wycie demona. Już nie tylko bzyczenie much, już nie tylko gniewny szum cyprysowych igiełek, nie tylko trzeszczenie gałęzi. Prawdziwy ryk złego ducha, głęboki, wychodzący jakby spod ziemi, nieprzyjemny, przesywający.

Mnisi i koloni padli na kolana i czynili modły:

– Jezu Chryste, trzymaj nas w swojej opiece.

Eustracjusz Garidas zadał kolejny cios, a z drzewa odpadł kawałek kory wielki jak dwie dłonie. Uderzał raz po razie, wybijając ostrzem siekiery coraz większe drzazgi. Demon ryczał, trzęsąc konarem, na którym zawieszony był krzyż. Na próżno. Z każdym uderzeniem żelaza jego siły słabły. Egzorcysta nie przestawał: wytrwale rąbał z modlitwą na ustach. Zły duch umilkł.

Nagle zaszło coś niepojętego. Ziemia zadrżała lekko, a spod cyprysu dał się słyszeć stłumiony ryk przesywający jelita i ściskający serce. Gwałtowny podmuch wiatru odepchnął Eustracjusza od pnia, wytrącił mu z dłoni siekiere i wniósł go wysoko ponad koronę drzewa. Egzorcysta wisiał chwilę w powietrzu, w niemym zdziwieniu, z szeroko rozpostartymi ramionami. Nagle zaczął wirować jak listek rzucony w prąd rzeki, furkocząc szatą. Kręcił się tak dobre kilka chwil, bezradnie próbując odzyskać panowanie nad swym ciałem, po czym ta sama siła, która wyniosła biskupa pod niebiosa, rozerwała go na strzępy. Jak szmacianego pajacyka szarpanego przez znużone dziecko. Najpierw ręce wyrwane w ramionach. I nogi odrzucone wraz z dolną częścią tuniki. Z otwartych ran buchnęła krew malująca powietrze spiralnymi wzorami. Pozbawiony członków kadłubek wirował jeszcze chwilę, po czym od ciała oderwała się głowa. Wystrzelona jak z katapulty pomknęła w stronę zgromadzonych nieopodal ludzi.

– Jezu Chryste! – jęknął brat Bazyli. – Demon zabił świętego! Rozerwał go na strzępy!

Pod jego nogami wylądowała głowa Eustracjusza, znacząc suchą trawę żywą czerwienią.

Mnich z ciężkim łomotem opadł na ziemię.

* * *

Jeździec w zielonym stroju gwałtownym ruchem ściągnął wodze konia. Wierzchowiec zarżał przejmująco, odsłaniając rząd żółtych zębów, po czym stanął na tylnych nogach. Trwał tak chwilę, kiwając łbem, i wyuczonym ruchem zrobił obrót w tył.

Jego pan cofnął się, powstrzymując swojego wierzchowca. Zwierzę zaryło kopytami w ziemi.

Zielono odziany jeździec poluzował wodze. Szybko ocenił sytuację: piłka była precyzyjnie wystawiona do strzału. Wziął zamach i z całej siły uderzył ją końcem kija. Biała kula ze skóry poszybowała prosto między tyczki wyznaczające bramkę.

– Trafiona! – obwieścił sędzia w rydwaniu, po czym gestem nakazał wznowić grę.

Karzeł Metody zaklął szpetnie i splunął pod nogi.

– Musi ustawione! Przecież Bułgar już trzeci raz oddaje piłkę Krótkiej Nodze, kiedy nie musiał. A Krótka Noga, to mu trza przyznać, umie pierdyknąć, jak już tylko dobrze podjedzie.

Eutymiusz pokręcił w milczeniu głową. Rozgrywka prowadzona na hipodromie tylko w niewielkiej części przykuwała jego uwagę, ale w tym przypadku skłonny był przyznać rację Metodemu. Zawodnicy nie grali czysto.

Po chwili jego myśli powróciły do właściwego tematu. Sytuacja w gildii zaczynała się coraz bardziej komplikować. Czuł, że traci z trudem zdobyte przyczółki władzy. No i cała ta sprawa z diabelską ikoną!

– Czyli mówisz, nie wrócili – zagadnął karła.

– Ano nie.

– Żadnych wieści?

– Nic.

– Przyznaj się, kazałeś tym swoim wyrznąć szpiegów Atanazego.

Metody przeżegnał się ostentacyjnie.

– Niech Bóg broni! Zabić szpiega, zanim przyniesie wieści, to grzech śmiertelny. Moje chłopaki miały za tamtymi iść krok w krok. Lipić. Zapisywać sobie w pamięci.

– Ręczysz za nich? Może oskubali tamtych ze złota czy broni i poszli w swoją stronę.

– Rzekłem im, że jak się akuratnie sprawią, to mój pan kopsnie im po dwadzieścia solidów na pacynę. To więcej warte niż koń i stary miecz.

Drugi mistrz gildii złodziei w Konstantynopolu spojrział na karła z wściekłością. Metody stanowczo za śmiało sobie poczyna.

– Twój pan? Dwadzieścia solidów? Takiś hojny z cudzej sakiewki? Niedoczekanie!

– Eee, to tylko tak. Na zachętę. Coby nie robili na boku.

– Zgoda, ale gdy zachęceni przyniosą wieści, to z czyjej kiesy zapłacisz? Zgaduję, że ze swojej. I oddając im każdego brzęczącego solida, będziesz miał niczym niezmaconą pewność,

że to, co od nich słyszysz, to nie łągarstwa wymyślone na poczekaniu, by tylko dostać złoto?

Karzeł nie stracił rezonu.

– Jak przyjdą z wieściami, to im powiem, że źle słyszeli i chodziło o dwa solidy, i to do podziału. A jakby łągarstwa zamiast prawdy... O nie, co to, to nie! Wtedy w tym mieście mają przechłapanie. Naślę na nich swoje dziarmagi. Przysmażą im jajca żywym ogniem, to się w try miga przyznają do każdej picerki.

Pokurcz przerwał na chwilę, patrząc, jak niebieski jeździec gna z piłką w stronę bramki zielonych.

– Diabła tam! Tego też trza przysmażyć! – krzyknął, gdy zawodnik spudłował.

Eutymiusz przywołał go do porządku.

– Więc, noo... – ciągnął dalej Metody. – Jestem więc pewien, że przynieśliby wieści. I to prawdziwe wieści. Po mojemu to jeszcze mają czas. Cały czas mogą jeszcze wrócić. Może jutro? Albo za dwa dni.

Mistrz zapadł w zadumę. Misterne plany, które układał, rozsypywały się jak dziecięce klocki. Niewyjaśniona kradzież dokumentów z domu Atanazego zmieniła układ sił. Wszyscy zapamiętali, że to właśnie Eutymiusz był największym przeciwnikiem wyprawy do Kapadocji. Nie znalazł zrozumienia wśród członków rady gildii, więc gdy z tajnej skrytki wielkiego mistrza zniknął plan tamtego miejsca, tamci uznali, że to właśnie Eutymiusz sięgnął po ostateczne środki. Ale przecież tak nie było, bo to niedorzeczne: zleceniodawca tej roboty mógł dostarczyć nową mapę, skoro i tak miał jeszcze wyjawic dodatkowe szczegóły: dokładne rozmieszczenie pułapek i tajnych przejść. Ale – jak mniemali oskarżyciele Eutymiusza – chodziło mu o wzbudzenie fermentu i zasianie podejrzeń. O poniżenie Atanazego, puszczenie w miasto dowcipów o tym, że, patrzcie, niby wielki mistrz gildii złodziei w Konstantynopolu, a jego też okradli.

Eutymiusz pokiwał z podziwem głową. Tak, to w sumie szczytny cel i ten zamiar się komuś powiódł. Gorzej, że uderzał też w niego samego. Obaj na tym stracili.

Chyba że to podstęp samego Atanazego. Sfingował kradzież dokumentów, by rzucić podejrzenia na przeciwników tej szaleńczej wyprawy. Aby skierować rozmowę z zagadnień merytorycznych na wzajemne oskarżenia. *Widzicie, mamy w naszych szeregach zdrajcę, który skierował swe ostrze przeciwko gildii...* I wychodzi, rzecz jasna, że to on, Eutymiusz, drugi mistrz, posunął się do tak podłych czynów. Ta wersja była dosyć prawdopodobna – bo nikt wiary by nie dał, że Atanazy trzymałby tak ważne pergaminy w miejscu dostępnym dla byle łachmyty. Taka niefrasobliwość wydawałaby się wielce niepokojąca. Więc albo wielki mistrz lekce sobie ważył sprawy bezpieczeństwa, albo sam ukartował włamanie. *Muszę poruszyć tę kwestię na najbliższym spotkaniu rady* – stwierdził w myślach Eutymiusz.

– A w mieście? Co mówią twoi ludzie w mieście? – zapytał Metodego.

Karzeł w roztargnieniu oderwał wzrok od jeźdźców goniących za piłką.

– Chodzi o te pergaminy Atanazego? No, to jest bardzo dziwna sprawa. Niech mnie diabli

porwą, ale to nikt z naszych ludzi. Nikt nie zdradził, nikt nie działał na własną rękę.

– To wiem, ale nie o to pytam. – Drugi mistrz utrzymywał też własnych donosicieli, o których Metody nie miał nawet pojęcia. Z ich pomocą Eutymiusz wyjaśnił tę sprawę w pierwszej kolejności. Zdecydowanie wykluczał, żeby zaszła tu jakaś samowola któregoś z jego stronników.

– Znaczy od Atanazego? Że niby sam się okradł? Chyba nie, jest zaprawdę wściekły i zapędził swoich do szukania złodzieja. Krążą po mieście, wypytują, szpiegują nawzajem jeden drugiego... My też krążymy i jestem pewien, że dopadniemy łobuza wcześniej czy później.

– Lepiej wcześniej – mruknął drugi mistrz. Krótka Noga posłał między tyczki kolejną piłkę. Karzeł aż podskoczył z wściekłości.

– Ustawiony, nie ma co! Trzy solidy postawiłem! Trzy solidy, a oni co...

– Lepiej wcześniej – powtórzył Eutymiusz.

* * *

Brat Bazyli klęczał przy drodze i bijąc się kułakiem w pierś, wznosił żarliwe modły do Boga. Obok niego w pyle i kurzu klęczeli braciszczowie od świętego Teodora. Oraz tajemniczy mnich w białym habicie, który przybył tu wraz z Eustracjuszem Garidasem, warescy gwardziści z ochrony biskupa, zaś nieco dalej – miejscowi koloni, którzy zeszli się tu na wieść o egzorcyzmach.

– Panie, to musi być znak jakiś! – zawodził Bazyli. – Za jakie grzechy doświadczasz nas tak ciężko?

– Dzień Sądu nadchodzi – jęknął ktoś z tyłu, jednak tym razem mnich nie zareagował. Kto wie, może śmierć świętego istotnie zwiastuje nadchodzący koniec świata? Nikt nie znał Bożych planów.

Kalikst wskoczył na konia i skinął uprzejmie do Antymosa.

– Bywaj, kupcze! Wierzę, że zdołasz jakoś wyjść z opresji. Ja muszę już jechać w swoją stronę.

– Ale wozu mi już nikt nie zwróci – biadolił Syryjczyk, łapiąc się za głowę. Jego twarz zszarzała jak popiół z ogniska, podkrążone oczy zdradzały, że niewiele spał. – Nikt mi nie odda cennych towarów, które wiozę z samego Damaszku. Teraz nasza wyprawa jest już niemal nieopłacalna. Turek ze swoimi cłami, grabieżcy na drogach i morzach, a teraz demony!

– Może demon odpuści i uwolni twój wóz – dodał mu otuchy Belzebub. – W końcu przecie musi mu się znudzić, ile można siedzieć w poskręcany cyprysie na środku pola. Bywaj! – powtórzył i lekko uderzył kolanami bok konia. Zwierzę ruszyło lekkim klusem, omijając z dala obóz kupców, rozmodlonych mnichów i krąg mocy demona.

Dopiero kilkaset kroków dalej Kalikst powrócił na właściwy szlak i już nie zwlekając, pomknął w stronę Kapadocji. Słońce wzeszło wysoko na nieboskłon, skracając cienie i wypędzając ze wszelkich zakamarków poranny chłód. Robiło się coraz cieplej, cykady zachęczone narastającym żarem rozpoczęły swój codzienny koncert.

Jak ostro popędzę konia, nie przystając już nigdzie po drodze... – zaczął kalkulować w myślach Belzebub – to do jutra powinienem dotrzeć na miejsce. Jutro przed południem najpóźniej.

Z naprzeciwka ciągnęła kolejna grupa mnichów odzianych w postrzępione habity. Szli miarowym krokiem, niosąc krzyż oraz ikonę z wizerunkiem świętego Teodora z Sykeon, a nad polami i łąkami zabrzmiała ich surowa pieśń. Pochód zamykało kilku chłopów. Na ich ogorzałych od słońca twarzach malował się strach, ale też i zaciekawienie.

Ominął ich galopem, naraz jednak przystanął. Chwilę w zamyśleniu patrzył na otoczoną chmurą pyłu procesję, po czym zawrócił konia i pognał z powrotem do obozowiska.

– Kupcze – powiedział do Antymosa – wiem, jak przepędzić demona. Masz oliwę?

Tamten aż wybałuszył oczy.

– Niewie, panie. Jak już rzekłem, wiozę kitajski jedwab i pachnidła z Indii. W tamtym wozie, tym, co demon uwięził, miałem też ładunek czerwonych sandałów z drogiej skóry babilońskiej, jednak...

– Nie to mam na myśli – wszedł mu w słowo Belzebub. – Pytam, czy masz w swoich wozach trochę oliwy. Dzban wystarczy. Wystarczy zwykła oliwa używana w kuchni.

– W kuchni? Chcesz wywabić demona smakowitymi zapachami potraw? – Syryjczyk już całkiem stracił nadzieję. Jedyne, na co było go stać, to sarkazm. – Przyznam, że dla mnie byłaby to pokusa, bo lubię dobrze zjeść – to mówiąc, znacząco poklepał się po brzuchu – jednak zły duch chyba zwykł inaczej przekąszać. Tym go nie przepędzisz.

Belzebub zeskoczył z konia.

– Znajdź dzban, pół dzbana oliwy, a dokończymy to, co zaczął egzorcysta. Odzyskasz swój wóz, Antymosie.

– Powiadasz, Kalikście? – W oczach kupca załśnił ogień nadziei. – No, mam gdzieś w zapasach, pośród suszonego mięsiva i ryb, niewielką flaszkę z oliwą. Czy się nada?

– Przynieś szybko! Całą oliwę, jaką masz.

Syryjczyk ruszył do wozu, zaś młody złodziej poszedł porozmawiać z żołnierzami z eskorty karawany. Chwilę klarował im, na czym polega plan. Zbrojni bez specjalnego entuzjazmu, ale zgodnie ruszyli do wozów i sakw przy koniach. Po dwóch pacierzach zaczęli wracać, niosąc naręcza strzał do łuku.

Przeglądał je. Nie były tak dobre jak jego własne, ale tutaj nie chodziło o jakąś szczególną precyzję. Przeliczył: było ich siedem dziesiątek i jeszcze sześć. Powinno wystarczyć.

– Doskonale – pochwalił kupca, gdy ten przyniósł mu zatkane wielkim korkiem gliniane

naczynie wypełnione oliwą. Nie było tego zbyt dużo, ot, ilości takie, aby pokropić zbyt wysuszone mięso lub zamoczyć chleb. Ale powinno wystarczyć. – Teraz daj mi kawałek jakiejś szmaty. I nie mam na myśli kitajskich jedwabii. Jakieś stare odzienie, cokolwiek.

Antymos przyniósł jedną ze swoich tunik.

– O tak. To właśnie miałem na myśli.

Sięgnął po nóż. Kilkoma sprawnymi cięciami pociął szatę na pasy. Później każdy z kawałków rozdzielił na trzy części. Zebrał skrawki i zawiązał je na końcach strzał. Starczyło na cztery dziesiątki. Niezbyt wiele, ale przy takich ilościach oliwy wystarczająco.

Mnisi, nie zwracając na niego uwagi, dalej wznosili swe modły, przyzywając świętego Teodora i Jezusa Chrystusa. Tylko kilku wieśniaków powstało z klęczek, przyglądając się z dala, co tam pan ze stolicy wydumał.

Przelał oliwę do pustego kociołka, w którym gotowano wodę podczas nocnej warty. Umieścił naczynie nad ogniem i delikatnie podgrzewał. Gdy tłuszcz zaczął parować, zmniejszył ogień, rozsuwając bierwiona, i przywołał dwóch zbrojnych z obstawy Antymosa. Wysokiemu chudzielcowi o imieniu Syzyniusz zlecił maczanie szmat w gorącej oliwie. Jego niższy kompan, Izydora, o szkaradnej gębie podziabanej przez komary, miał przypalać strzały i podawać Kalikstowi.

– Gotowi? – zapytał ten, ściągając łuk z pleców.

Tamci odpowiedzieli mu niepewnym mruknięciem.

Pierwsza strzała pomknęła prosto w stronę cyprysa. Wbiła się w górną część pnia tuż pod iglastymi gałęziami, chwilę płonęła i zgasła.

– *Gamo!* – mruknął Belzebub. Czyżby coś było nie tak? Skinął na Izydora. Następną strzała w ogień. Na cięciwę. Naciągnięcie i strzał.

Nim doleciała do celu, Kalikst nakładał już następną. I jeszcze jedną. Piątą, szóstą, ósmą, jedenastą.

Trzy minimalnie chybiły celu, muskając konary, ale pozostałe wbiły się tam, gdzie pierwsza. Płonęły. To jednak było za mało.

Syzyniusz sięgnął po kolejne naręcze strzał i podawał je jedna po drugiej Makaremu. Belzebub szył równo, tym razem naciągając cięciwę nieco lżej. Mierzył wyżej – nie w pień, lecz w gęstwę gałęzi, tak żeby strzały mogły się w nie zaplątać.

Drzewo zapłonęło.

Ogień rozgorzał w jego koronie. Pierwsza partia strzał tylko niegroźnie opaliła korę, choć i tam wykwiwały już pierwsze ogniki.

– Dalej! – zakomenderował Belzebub. Pomocnicy uwijali się coraz raźniej.

Wtedy obudził się demon. Cyprys zadrżał, wygiął konary, trzeszcząc przejmująco, jakby to on sam cierpiał, a nie ukryty w nim zły duch. Poruszył konarami, strząsając strzały spomiędzy igieł.

Belzebub zaklął. Wiedział, że ogień ogarniający gałęzie był jeszcze słaby, więc każdy

gwałtowny ruch tylko przygaszał płomienie. To jeszcze nie była ta chwila, w której potrząsanie konarami będzie rozniecać ogień, dopuszczając między igliwie powietrze i zarażając żarem inne gałęzie.

Trzeci pęk strzał: zaczął równo szyc z łuku. Dwie w pień. Trzy lekko w gałęzie, tam gdzie wisiały poprzednie. Pozostałe w te miejsca, gdzie rozgorzał największy ogień.

Demon zatrzeszczał konarami.

– Hosanna! – zaintonował radośnie brat Bazyli. Przerwał modły i w otoczeniu braciszków obserwował bieg wydarzeń. – A więc święty Teodor wysłuchał naszych błagań i zesłał nam zbawienie. Dziękujmy mu za to! Dziękujmy Bogu za miłosierdzie!

– Obyś się nie pośpieszył z tymi modłami – mruknął niechętnie Kalikst. Kątem oka zauważył, że z gałęci Syzyniusza wystaje już ostatni, niewielki pęk strzał. *Teraz albo nie z tego nie będzie* – pomyślał i skinął na pomocników.

– Dalej!

Demon spokojnymi ruchami gałęzi próbował strząsać płonące strzały i gasić ogień pełzający po igliwiu. Niestety, jego wysiłki przynosiły efekty. W kilku miejscach, gdzie – zdawało się – za chwilę buchnie pożar jak w składzie bawełny, płomienie przygasły, zamiast nich wykwitwały gęste chmury białego dymu.

Belzebub wbił wzrok w jedno miejsce. W górnej części pnia cyprys skręcał się spiralnie i tam też wyrastała największa gęstwa gałązek. Kalikst posłał tam wszystkie strzały, jakie jeszcze miał.

To było dobre posunięcie. *Diabolos* szarpnął cyprysem, zrzucając ogniste pociski w objęcia otoczonej igliwem spirali. Stamtąd już nie mogły wypaść.

Drzewo buchnęło żywym ogniem. Niewielkie płomyczki-jaszczurki, dotąd nieśmiało przemykające między gałęziami, teraz przerodziły się w potężne smoki, których nic już nie mogło powstrzymać. Igły cyprysa zapłonęły ze skwierczeniem, a rozżarzone szyszki, trzaskając, leciały na boki jak kamienie wystrzelone z procy. Miejsca, w których wcześniej tylko się tliło, teraz rozgorzały na dobre żółto-czerwonymi językami.

Brat Bazyli był w ekstazie.

– Święty Teodorze, to ty żeś wskazał drogę, którą mamy iść! Ty żeś zesłał nam obrońcę, który dokończył wielkie dzieło świętego! Hosanna!

– Hosanna! – powtarzali w uniesieniu zakonnicy, a za nimi koloni, gwardziści, zbrojni z ochrony i kupcy. Nawet smutny mnich w białym habicie ożywił się, klaszcząc radośnie.

Gdy płomień zamienił gałęzie w czarne kikuty i ogarnął pień, usłyszeli wściekły ryk. Gorejące drzewo zadrgało w ostatnim spazmie, a światło słońca przysłonił przelatujący cień. Poczuli ohydny smród łajna i zgnilizny.

Po chwili światłość wróciła.

Demon pierzchł.

Rozdział 9

Patriarcha Kosma wznosił ręce ku niebu. Żył nabiegły mu krwią, znacząc czoło podłużnymi pręgami.

– ...Dlatego też, uważam, cesarstwo winno przyłączyć się do krucjaty przeciwko seldżuckim najeźdźcom. W imię Jezusa Chrystusa, Syna Bożego, wzywam cię, panie, byś ruszył do Syrii na czele swych wojsk, nie zwlekając ni dnia. Bo każdy dzień zwłoki to dzień na korzyść pogańskiej religii, herezji głoszonej przez czarownika, który swe rozwiązłe i bałamutne prawa wyczytał z księgi przyniesionej na rogach białego byka, z podjudzenia samego diabła.

Wypowiedziawszy ostatnie słowo, patriarcha osłabł. Opuścił ramiona i z głośnym westchnieniem wypuścił powietrze z płuc. Zachwiał się w porę podtrzymany przez Marcjana.

W komnacie zapadła cisza. Cesarz w milczeniu patrzył na lśniącą setką kolorów mozaikę przedstawiającą jego zwycięstwo pod Manzikert. Wreszcie przemówił:

– Zadziwiasz mnie, ojcze. Mógłbym przysiąc, że ostatnio skłaniałeś się ku temu, by odrzucić zaproszenia egipskich posłów. Że zagrożenie dla imperium dostrzegasz raczej w herezjach, które kwitną wewnątrz cesarstwa, a nie na jego obrzeżach czy wręcz poza nim. W bogomiłach podnoszących bunt w Bułgarii. Paulicjanach z Tracji.

Kosma zmieszał się.

– Panie, prawdę mówisz. Tak, trujące herezje toczą twe państwo niczym robacy i to jest szkodliwość, jakiej nie należy lekceważyć. Jednak zważ, panie, że we wszystkim trzeba mieć umiar i brać odpowiednie proporcje. Jak już rzekłem, dziki Seldżuk w Syrii i Palestynie, niepilnowany i niezwalczany mieczem i ogniem, może przysporzyć tyle samo szkód, co herezja bogomiłowa czy paulicjan. Teraz nadszedł taki czas, że trzeba dać mu odpór. Zwalczyć, by później, z Bożą pomocą, w spokoju ducha poświęcić się porządkom we własnym państwie.

Roman IV Diogenes skinął na eunucha. Ten w mig rozpoznał gest: pan chce wina. Podbiegł do stołu pod oknem i napełnił puchar białym trunkiem z Rodos. Kosma kontynuował w uniesieniu.

Patriarchę niespodziewanie wsparł Aleksy Komnen. Wielmoża jak dotąd tylko przysłuchiwał się dyskusji, teraz jednak uznał, że przyszła chwila, gdy powinien wypowiedzieć swoje zdanie.

– Panie – zaczął – wybacź, ale troska o losy imperium skłania mnie do tego, by również zabrać głos. Zechciej mnie wysłuchać.

Basileus zaklął w duchu. Komnenowie byli wpływowym rodem, którego nawet władcy

nie wolno lekceważyć. Wywodzili się wprawdzie z drobnych posiadaczy ziemskich z Anatolii i choć ich znajomość wyższej polityki, spraw wojskowości czy strategii była nikła, to jednak dzięki dochodom osiąganym z rozległych posiadłości oraz umiejętności uczestniczenia w dworskim życiu zdobyli sobie spore wpływy. Komnenom nieobce były ambicje związane z tronem, choć wizję państwa mieli dosyć krótkowzroczną i – co tu dużo mówić – bardzo niedojrzałą. Swoje wyobrażenie o cesarzu czerpali chyba ze starożytnych eposów, widząc przed nim tylko powinności bohatera. A więc: zdobywać i łaskawą ręką rozdzielać to, co zdobyte. Choć z drugiej strony Roman Diogenes dostrzegał w Aleksym pewne cechy, które predysponują go na władcę. Miał wizję – całkiem nierealną, ale miał. Wykazywał też cechy dobrego mówcy i potrafił zjednywać sobie różne stronnictwa, nie zawsze przyjazne samemu *basileusowi*. To ostatnie stanowiło pewien powód do niepokoju i Roman IV, gdyby mógł, pozbyłby się w jakiś sposób zarówno Aleksego, jak i jego kuzynów. Niestety, z Komnenami trzeba było jakoś żyć. Układać sobie poprawne stosunki, bo mimo wszystko byli niekiedy użyteczni.

Władca zaklął więc w duchu, jednak nie powiedział ani słowa. Skinął tylko, pozwalając wielmoży wypowiedzieć swoje zdanie. Ten zaczął przemowę.

Słuchając jej, cesarz pokiwał w zamyśleniu głową. Tak, Aleksy Komnen mógłby objąć tron, gdyby jego zabrakło. Marzy o tym, to widać. Ale nie on jeden. A takie pomysły trzeba dusić w zarodku. Nie pozwolić im zbyt rozkwitać.

– ...Należy więc korzystać i uderzyć na Seldżuków, wypierając ich jak najdalej. Bo później układ sił może się zmienić! – zakończył z emfazą Aleksy.

– Piękne słowa – rzekł *basileus*, gdy Komnen zamilkł. – Chwytające za serce, ale widać, że wypowiada je lekkoduch, który nie ma pojęcia o funkcjonowaniu państwa. Podboje! Imperium jak za Justyniana! Marzenie każdego, którego nauczono jako tako trzymać miecz w dłoni. Palestyna, Libia, Trypolitana? Te czasy już nie wrócą i dążenie do tego to mrzonka.

Tu cesarz zrobił pauzę dla efektu. Ponownie skinął na sługę, a ten przyniósł mu kolejny puchar z winem. Diogenes przypomniał sobie wizję, którą mu ukazał Italos. Tam też padły słowa o granicach cesarstwa jak za czasów Justyniana. Ale to przecież rojenia i nic więcej! Piękne czasy, dni chwały już nie powrócą. W świecie zachodzą przemiany i władca, który tego nie dostrzega, doprasza się o klęskę.

– A więc, mój drogi Aleksy, pozwól, że udzielę ci małej lekcji rządzenia cesarstwem. Otóż wszelkie działania wojenne niosą za sobą niewyobrażalne obciążenie dla skarbcza. Już nie chodzi tylko o oczywiste wydatki: broń, transport, wyżywienie i żołąd. W systemie temowym, kiedy wojnę obronną prowadzą koloni broniący swych pól, takie koszty są niezauważalne. Stąd też, dzięki temu, że wbrew moim poprzednikom stawiającym na italskich najemników rozbudowałem temy i ograniczyłem wpływy rycerstwa z Zachodu, cesarstwo jest w stanie długo i wydajnie bronić się przed najazdami. Ale wyprawy zdobywcze? Tu już trzeba głębiej sięgnąć do kiesy. I powiem ci, nie zdradzając zbyt wielkiej

tajemnicy, mój skarbiec nie jest tak zasobny, jak byśmy tego chcieli. Normañscy najemnicy wysoko sobie cenią swoje usługi. Na tyle wysoko, że wciąż jeszcze nie spłaciliśmy ich za poprzednie kampanie. Ci ludzie wciąż są naszymi wierzycielami i w tych okolicznościach nie powinniśmy zaciągać kolejnych długów. Bez najemników podboje w Syrii i Palestynie będą niezwykle ciężkie. Od lat próbuję odbudować własne siły cesarstwa. Rdzenni *Romaioi* tak samo jak do handlu, tak i do wojaczki nie mają zbyt dużego przekonania ani talentu. Stąd też muszę tworzyć armię, wykorzystując Słowian, Armeńczyków, Pieczyngów czy obcych, ale lojalnych Waregów. Czy te siły są już dziś gotowe, by podjąć walkę w Syrii i Palestynie w taki sposób, by nie spustoszyć cesarskiego skarbcza? Jeżeli będziemy co do tego przekonani bez cienia wątpliwości, przystąpimy do wojny. Na razie jednak trzeba wykazać się rozwagą i spojrzeć na problem z szerszej perspektywy. Dlatego nie mówmy już więcej o natchnionych wizjach granic cesarstwa sprzed wieków, ale mówmy o tym, czy możemy podźwignąć ciężar wyprawy, do której nas namawia poseł.

Aleksy Komnen bez słowa złożył ukłon, nie próbując już podjąć dyskusji. Wycofał się w otoczenie swoich sług.

Tak – pomyślał z satysfakcją cesarz. – Wielu marzy o tronie, jakby sprawowanie władzy polegało li tylko na przestawianiu pionków na mapie podbojów. Jakby rządzenie polegało jedynie na wydawaniu edyktów spisanych w przerwie między jedną ucztą a drugą.

Roman Diogenes podniósł się z tronu i rzekł do zebranych:

– Dziękuję wam za rady i waszą tu obecność. Dziękuję zwłaszcza waszej wielebności patriarsze za cenne wsparcie duchowe. Teraz jednak możecie odejść. Pragnę jeno, by został Italos, mój doradca.

Sala opustoszała.

– Jakie jest twoje zdanie, Italosie? Wysłuchaliśmy głosów różnych stronnictw. Głosów czyichś interesów, bo przecież nie są to głosy sumienia. Trochę dziwi mnie to jednostronne poparcie dla idei wojny w Syrii. Nagle cały mój dwór, rody magnackie, a nawet Kościół – wszyscy niespodziewanie zaczęli zgadzać się z tym, co mówi poseł Fatymidów. Nie mam wątpliwości. To są głosy interesów, rozbujającej ambicji, skrytej polityki. Tego mam nadto, co dzień słyszę ludzi, którzy próbują przekonać mnie do swojej racji. Ale chciałbym po tym wszystkim poznać twoje zdanie, Italosie, bo wierzę, że ty jeden jesteś wolny od zewnętrznych wpływów.

Filozof łypnął oczami jak sowa.

– Z tego widać, że szkoda czasu i języka na dysputy z dworakami – powiedział. – I z patriarchą. Oni są jako te hieny, tylko patrzą, gdzie tu kawałek padliny urwać.

Roman Diogenes skinął dłonią w niecierpliwym geście, który znaczył: *Tak, Italosie, ale do rzeczy*. Ten pojął w lot.

– Otóż bliski byłbym twierdzenia, że należy podjąć to wyzwanie. Jednak z przyczyn nieco odmiennych, niż przedstawiają to moi przedmówcy. Im nie wolno wierzyć, nawet gdy

mają rację. No chociażby ten patriarcha. Te jego natchnione kazania, w których...

– Italosie!

Mędrzec zamilkł. Chwilę mrucał coś niezrozumiale, szarpiąc brodę, wreszcie powrócił do tematu:

– Miałeś, panie, dwie wizje, które dokładnie pokazują niebezpieczeństwa, jakie wiążą się z twoją decyzją. Pierwszy obraz: chaos, rządy Dukasów. A później: obcy rycerze z Zachodu. Krucjata czyniona na podobieństwo owego muzułmańskiego *dżihadu*, jak to nazywają, świętej wojny. Taką samą świętą wojnę chcą toczyć łacinnicy! Już gdy szalony sułtan Al-Hakim zrujnował świątynię Grobu Pańskiego w Jerozolimie, zachodnie rycerstwo, jak i otoczenie samego papieża z Rzymu, zaczęło podnosić kwestię zbrojnej wyprawy do Ziemi Świętej. Od tego czasu minęły dekady, zaszło wiele zmian, jednak idea oswobodzenia Palestyny z rąk muzułmańskich nie umarła. Wprost przeciwnie, o tym się wiele mówi. I choć nie jest to kwestia podejmowana w oficjalnych dysputach, zapewniam cię, panie, że ten problem będzie narastać. Wystarczy iskra, a nastąpi wybuch. Z zachodu nadciągnęłyby zbrojne oddziały, by dokonać ostatecznego rozrachunku z seldżuckimi Turkami. Panie! To już nie byłoby pojedynczy najemnicy, lecz hordy w niczym nie lepsze niż najeźdźcy ze stepów. Hordy ogarnięte świętą wojną w obronie chrześcijaństwa! Nie należy oczekiwać niczego dobrego po tym, że tereny na wschodniej granicy cesarstwa staną się areną walk wielkich sił. Wschodu i Zachodu!

Cesarz przerwał przemowę Italosa.

– Ja ich nie będę zapraszał. Nie są tu mile widziani. Oddziały najemników – to jeszcze ujdzie, jak zabraknie sił, by stłamsić bunt wśród Bułgarów czy Armeńczyków. Ale jedynie w interesie cesarstwa, a nie rzymskiego biskupa.

– Jestem pewien, że przyjdą i tak. Proszeni czy nie. Może za lat dziesięć, może za sto lub dwieście... Przyjdą, gdy tylko ujrzą słabość cesarstwa. Gdy tylko spostrzegą, że cesarz z Konstantynopola nie panuje nad swoim imperium.

– Do rzeczy, Italosie. Do rzeczy! – zniecierpliwził się *basileus*. – Wiem, jak wyglądają sprawy w polityce, chcę tylko usłyszeć, co mi radzisz.

Konsul Filozofów chwilę chodził od ściany do ściany, wreszcie przystanął i rzekł:

– Lekceważenie tego, co się dzieje za wschodnią granicą, to błąd. Niestabilna sytuacja w Syrii i Palestynie jest zachętą dla lokalnych watażków, by zaprowadzić tam własne porządki. Rządy niezależne od cesarstwa, działające na jego niekorzyść. Panie, moje zdanie jest takie, i wierzę, że ty też to czujesz w głębi serca, że tam trzeba wejść pełną siłą i zaprowadzić porządek. Nawet nie licząc się z kosztami. Bo w przeciwnym razie cesarstwo najedzie z jednej strony dzicz z Persji, z drugiej dzicz z Kaukazu, a z trzeciej nie mniej zdziczałe w swych obyczajach zachodnie rycerstwo. Państwo stanie się areną walk nie tylko zbrojnych, ale i politycznych. Zważ panie na Wenecjan! Trybuty, jakie na nich nałożyłeś, to jak łańcuch, który krępuje ruchy. Teraz są pokorni, ale kto wie czy nie zechcą wykorzystać

zawieruchy wojennej, by w cichości wzniecić powstanie wśród Słowian czy Armeńczyków. Takie posunięcia będą dyktować im ich własne interesy. Tutaj cesarstwo musi wejść i zdecydowanie pokazać swoją siłę. Pokazać, że jest pan, który może nie włada już całym światem – bo o tym nikt nie śni – ale włada ludami chrześcijańskimi i centrum świata. Bo jeżeli nie, to sam, panie, widziałeś... Chaos. Michał Dukas cesarzem, imperium pustoszone przez Seldżuków, lokalne wojny i bunty... Cesarstwo nie może okazać swej słabości, bo wtedy spadną na nie wszystkie plagi. Roman Diogenes zamyślił się.

– Zaiste to widziałem w wizji, która pochodziła z zielonego ognia. Ale co powiedzieć o tych obrazach, które zesłał niebieski płomień?

Jan Italos, gestykulując, tłumaczył dalej:

– Tak, tak... I o to właśnie chodzi! Mówiliśmy na razie o wizji pierwszej. Więc znane są już wszelkie konsekwencje, które wynikają z niepodjęcia wyzwania. Teraz wiemy jednak, że zaistniały tu jeszcze inne siły. Siły, które naślą na ciebie, panie, wyzutego z sumienia skrytobójcę.

– Więc co o tym powiesz, Italosie?

– Panie, to tylko jedna z możliwych dróg, ale nie jedyna. Grozi ci zabójca, jednak mając już teraz wiedzę o jutrzejszych zdarzeniach, możesz dążyć do tego, by zapobiec przyszłości niebieskiego płomienia. Tak jak powstrzymałeś skrytobójców wysłanych na ciebie na Sycylii i w Bułgarii. Tak jak wcześniej zdołałeś powstrzymać knowania Andronika Dukasa.

– Andronik Dukas... – powtórzył cesarz w zamyśleniu. – I jego zdradziecki stryj Jan. Tak, wtedy też dałeś mi wizję, która jednoznacznie pokazywała przyszłość. A jednak stało się inaczej. Jak dzisiaj wyglądałby świat, cesarstwo, gdyby Dukasowie zrealizowali swe plany? – zakończył władca retorycznie, jednak filozof podchwycił tę myśl.

– Tego, oczywiście, nikt nie wie... Ale najpewniej dziś na tronie siedziałby jeden z tych słabych młodych Dukasów, a turecki sułtanat rozciągałby się już w odległości kilku godzin konnej podróży z Konstantynopola. Cesarstwo biegłoby ku nieuchronnej klęsce...

Basileus przerwał te rozważania.

– Czy potrafisz... Czy będziesz potrafił wskazać tego zabójcę? Czy w razie potrzeby dojrzysz go w swoich wizjach, tak jak skrytobójców na Sycylii i w Bułgarii?

– Tak, panie. Jeżeli nie dziś, to jutro. Wiemy, jaką drogą podąży przyszłość. I wiemy, jak temu zapobiec.

Cesarz pokiwał głową z aprobatą.

– Przekaż logotetom, iż pragnę, żeby niezwłocznie przygotowali audiencję dla fatymidzkiego posła. Czuję, że tym razem negocjacje zakończą się i dojdziemy do konsensu.

* * *

– Bratku, wdepłeś w niezłe gówno. Siedzisz w nim po same uszy.

To była prawda. Może nie dosłownie, ale ta metafora dobrze opisywała stan, w jakim się znalazł. Siedział oparty o skarłate drzewko, jakich tu moc, spętany jak wędzonka. Jego kostki, kolana, przeguby, jak i całe ramiona oplatała gruba lina boleśnie wrzynająca się w ciało. Sznury trzymały go sztywno naprężonego przy samym pieńku, jakaś gałąź dźgała w plecy. Mógł... Nie mógł nic, najwyżej złapać na język strużkę krwi ciekącą z rozbitego czoła.

– Oj, koleżko, i na ci przyszło?

Było ich dwóch. Turek w przybrudzonym turbanie dźgający go ostrym szpikulcem wieńczącym głownię toporka. I jego kompan z zapalem przetrząsający sakwy Kaliksta. Armeńczyk, sądząc po akcencie.

– O cie choroba! Lipnij no, Mustafa! Toż to nasz ziomek. Zobacz.

Armeńczyk wysypał z juków wierzchowca złodziejskie narzędzia Belzebuba. Wytrychy, piłki, nawoskowaną linkę, szpikulce, haczyki i strzałki do rzucania. Oglądał poszczególne przedmioty, gwizdząc przy tym z podziwem.

– No to widzę, ziomek, że robim w tym samym rzemiośle. Eee, no to po co ci to było? Po co nam w drogę weszłeś?

Turek spojrzał zaciekawiony.

– Na Allaha, też złodziej. Ale widać paniczek jakiś. A na co ci takie fidrygałki, co? Na ryby idziesz z tymi drutami? Ej, Wahid, co to w ogóle jest? – zapytał kompana, ze zdziwieniem obracając w palcach jeden z wytrychów Kaliksta. Wygięty haczyk z niewielką pętelką z drutu na końcu.

Armeńczyk zerknął z miną znawcy. W jego oczach odmalowała się niepewność, jednak nie tracił rezonu.

– Musi ziomek z miasta jechać, pewnie z Nicei. Tam złodzieje takie mają fantazyjne kluczyki czy inne wytryszki. Ty, mówże! – warknął do Belzebuba. – Co tu masz i skąd jesteś?

– To jest wytrych nazywany *pazur smoka* – mruknął niechętnie Kalikst.

– Pazur smoka? Co ty mi tu za sztuki wstawiasz? To smoki mają na końcach pazurów takie pętelki?

– A widziałeś kiedyś smoka? Widziałeś jego pazury?

Wahid pokręcił głową.

– No nie... A ty widziałeś?

– Ty, Wahid. No co ty, on cię robi w osła! – zauważył przytomnie jego kompan.

Belzebub z miejsca dostał w szczękę. Zabolało. Poczuł, jak uderzenie rezonuje wewnątrz jego głowy, rozrywając na nowo powoli zasychającą ranę na czole.

Turek znów przyłożył kolec na czubku swojego toporka do policzka Kaliksta.

– Widzisz, fajfusie? Ty masz tu jakieś sprytne haczyki, wytryszki, pierdołki. U siebie na mieście... Więc mówisz, że skąd jesteś?

Szpikuliec wbił się w skórę. Kropla krwi. Dwie. Cienki strumyczek.

– Z Konstantynopola.

– No więc, fajfusie, u siebie w Konstantynopolu tymi haczyki sprytnie wywijasz i jumasz babom klejnoty spod poduszki, a tera ci się zachciało psuć robotę uczciwym złodziejom jak my. Powiedz mi, ziomuś, dlaczego? Nie dość ci było babich pierścionków i wisiorków?

Słuchając tego, Belzebub gorączkowo myślał, o co im chodzi. Jaką robotę? Co im zepsuł?

Pochwycili go – wychodziłoby ze słońca – z godzinę jazdy po tym, jak pożegnał się z kupcami i mnichami. Podziękowaniom i pieśniom ku jego chwale nie było końca. Antymos, obdarowawszy nowego przyjaciela parą czerwonych sandałów z cennej skóry babilońskiej, namawiał go na wspólny posiłek. Mnisi śpiewali hymny pochwalne, w zapale nazywając go *świętym Kalikstem*. Gwardziści i żołnierze z kupieckiej obstawy gratulowali odwagi, pomysłowości i przytomności umysłu. Wszyscy przekonywali, że nie ma potrzeby, by już odjeżdżał. *Po tylu wspólnych przejściach – prawili – należy nam się chwilka przy garncu wina i mięsiwie pieczonym na ognisku.*

On jednak zdecydowanie odmówił, przedstawiając im niemal całą prawdę: *Jadę w interesach do Kapadocji. Każdy dzień, bał pół dnia czy kilka godzin zwłoki może mnie kosztować niewyobrażalne góry złota, więc muszę jechać teraz, zaraz, już, nie zwlekając.* Później żałował swej szczerości, przecież mógł im powiedzieć cokolwiek albo wręcz stworzyć jakąś mylącą trop historię na wypadek, gdyby kiedyś dotarł tu pościg z Konstantynopola. No ale najważniejsze, że uznali wyższość jego celów. Jak mus, to mus, trzeba jechać. Odjeżdżał żegnany śpiewem, owacjami i modlitwami.

Wtedy na nowo dokonał kalkulacji czasu i odległości: *jeżeli teraz ruszę galopem i nic mnie nie zatrzyma...*

Zatrzymało. Gdy myśli Belzebuba skradały się już po zakamarkach monasteru Czarnego Mnicha, jego ciało zostało spętane sznurową pętlą zarzuconą ręką Mustafy. Nagle stracił dech, przed oczami zatańczyły mu pstrokate płatki, a długa lina ściskająca za gardło zrzuciła go z konia.

– Bratku, wdepłeś w niezłe gówno – powiedział Turek, przytykając mu kolec toporka pod oko.

A teraz siedział przy sękatym pieńku spętany jak wędzone mięsiwo i zastanawiał się, o co im chodzi.

Wahid musiał zauważyć w jego wzroku szczere niezrozumienie, bo zaczął tłumaczyć:

– Widzisz, ziomek. My tu poważną robotę mamy już od kilkunastu dzionków co najmniej.

– Dwa miesiące, Wahid! – doprecyzował Mustafa. – To już nie jest kilkanaście dni.

– Tak, dwa miesiące. I, proszę ja ciebie, tyś nas tej roboty pozbawił!

Kalikst spojrział na Armeńczyka jak na obłąkańca.

– Jeszcze nie rozumisz? Demona nam spaliłeś! Demona, co na bogatych kupców i inszych podróżnych narajał i ich rozpiździał w drobny mak!

Zaczął rozumieć, ale nie do końca.

– No bo, kurna, jak żeśmy z Mustafą skumali, że tu jakiś demon, cwana gapa, rozpiardziela łajzów, co po trakcie, co po rozstajach się szlajają, tośmy tu założyli swój rewir. I tutaj było, proszę ja ciebie, nasze źródółko solidów. Tylko se leżysz i czekasz, aż nadjadą kupcy-głupcy, demon ich zabije, a my wtedy tylko sakiewki opróżnimy.

– Ale jak?! – wykrzyknął zdziwiony Belzebub. – Demon zabijał wszystkich. Ludzi, zwierzęta. Kto się tylko zbliżył na sto kroków. A później dwieście.

Wahid zarechotał.

– Taką samą sztuczką, jak ciebie schwytaliśmy, to i tym kupcom-głupcom te dobra podkradaliśmy. Albo innym wędrowcom. Co kto padł, to go liną ściągaliśmy. Albo pętlą, albo hakiem! – Armeńczyk z dumą zaprezentował przytroczoną przy końskim siodle linę z kotwiczką. – Bo jak widzisz, my też mamy swoje pętelki i haczyki, tylko tycio większe. A jak koniecznie chcesz wiedzieć, to mamy też drągi z hakami, którymi ściągaliśmy trupy, jak się zaklinowały. Albo wozy, no jak ten wóz, co już mieliśmy na oku. Tylko trzeba było podejść, tam gdzie demon ubijał, nie za blisko, ale tak, żeby liną sięgnąć. Mieliśmy wszystko, plan wymyślony od początku do końca...

Mustafa dźgnął Kaliksta w drugi policzek i ryknął do Armeńczyka.

– Ej, Wahid, a po co ty mu to wszystko mówisz? To nasze sztuczki, a ty mu wszystko śpiewasz.

– ...a ty nam go zmarnowałaś – dokończył Armeńczyk, ignorując uwagę swojego towarzysza. – I towary kupców. I ten złoty krzyż, co ten klecha od egzorcyzmów zgubił.

Turek dał spokój jeńcowi. Rozmarzył się.

– Tak, ten krzyż to dopiero było coś! Myślisz, że był cały ze złota?

– A juźci. Takie klechy bogate, biskupy, noszą tylko szczere złoto. Jak cesarz w Konstantynopolu.

– Ale nawet jeżeli, to co? – Mustafa pokręcił z powątpiewaniem głową. – Klecha powiesił go na drzewie, a tam byśmy już liną nie sięgnęli. Za daleko. To i nas by demon ubił.

– Ja bym sięgnął.

– Na dwieście kroków byś linę zarzucił? Głupiś, Wahid.

Armeńczyk podrapał się po głowie. W odróżnieniu od Mustafy nie nosił na niej okrycia. Ciemne, starannie natłuszczone włosy opinała jedynie opaska z miękkiej skóry, wysadzana drobnymi kamieniami.

– Już ja bym coś wymyślił. Tak jak nasz ziomek z łuku bym go zdjął.

Żaden z ciebie ziomek – pomyślał Kalikst, ale pomny ostrza Turka powstrzymał się przed wyrażeniem tej opinii. – *Żadni z was złodzieje. Złodziejstwo to sztuka przemykania nocą, precyzyjna robota bez krwi i trupów, to mistrzostwo w zdobywaniu tego, co niedostępne, tego, co ukryte. A wy? Zwykle szumowiny, hieny żerujące na padlinie. Pospolite opryszki, zbóje. Nie, nawet nie zbóje! Zbóje potrafią stanąć do walki, nawet jeżeli na zwykłych kupców napadają. Nie dojadają resztek po innych. Więc nie zbóje ani złodzieje. Hieny, dziedziczące psy*

obgryzające trupy.

Nie powiedział tego na głos, ale coś musiało być w jego wzroku, bo Mustafa wymierzył mu potężnego kopniaka prosto w żołądek i znów przystawił do twarzy swój toporek.

– Coś ci nie w smak, bratku? Nie w smak ci nasze towarzystwo?

Ostry szpikulec powędrował teraz pod szczękę Belzebuba. Turek dźgnął, trafiając w kość. Brodę Kaliksta załała rozplywająca się fala bólu.

– Ciekawym, czy jakbym pchnął teraz, toby ci koniec wyszedł nosem – wysapał mu prosto w twarz Mustafa. – Im dłużej patrzam na twą fałszywą gębę, to tym bardziej mam ochotę to sprawdzić. Nie podobasz mi się, bratku. Zepsułeś nam robotę, a teraz jeszcze...

Niespodziewanie Wahid wybawił jeńca z opresji.

– A co to? Pergamin jakiś? Plan jakiś! Mapa! – gadał podekscytowany, wyciągając z tobołków Belzebuba najgłębiej schowaną i najlepiej zabezpieczoną tajemnicę. Plany wykradzione z domu mistrza Atanazego.

Armeńczyk odrzucił w bok skórzany pokrowiec skrywający dokument i rozłożył mapę, opierając ją na końskim zadzie. Chwilę gapił się na skreślone na niej znaki.

– Co to jest? Jakiś skarb ukryłeś, ziomek? Co to za skarb? Dużo złota? Gdzie to jest?

Turek też się zainteresował. Zawiesił toporek przy pasie i podszedł do końskiego zadu. Długo patrzył na pergamin, wreszcie zawyrokował:

– To na pewno plan do złota. Tylko nie mogę tego rozczytać, co tu stoi. Tego pisma nie znam.

Wahid zarechotał szyderczo:

– Przecie ty nieuczony w piśmie! To co masz znać albo nie znać?

Jego kamrat poczerwieniał. Złapał za toporek, jednak zaraz się opanował.

– Ty też nieuczony.

Jak na komendę obrócili wzrok na Kaliksta.

– Ale nasz ziomek z Konstantynopola musi znać pismo. To jego plan.

Patrzyli na niego jak dwa głodne wilki na wycieńczoną kozatkę.

– Zabieramy go do obozu – zakomenderował Mustafa.

Obóz znajdował się jakieś czterysta kroków od spalonego cyprysa, po przeciwnej stronie niż rozstaje. Od drogi osłaniało go niewielkie wzgórze, które tym samym stanowiło doskonały punkt obserwacyjny. U jego stóp zbóje ustawili prowizoryczne ogrodzenie z kolczastych gałęzi, zbudowali palenisko otoczone kamieniami, zaś dwa wgłębienia wygrzebane w ziemi i wymoszczone trawą służyły im za legowiska. Poniżej, w niewielkiej dolince, odpoczywały konie.

Mustafa przykucnął przy palenisku, dorzucił dwie garści suchych gałązek i zaczął dmuchać. Gdy ogień rozgorzał na dobre, sięgnął po odebrany Kalikstowi mamelucki bułat. Umieścił koniec ostrza w płomieniu.

Belzebub poruszył się niespokojnie. Wiedział, co to może znaczyć.

– Tak, ziomek. Będziesz śpiewał – rzekł Wahid, obserwując, jak jeniec próbuje bezskutecznie poluzować krępujące go liny. – Chyba że wolisz wszystko powiedzieć, zanim cię Mustafa pogłaszcze rozpalonym żelastwem. Mów! Co to za plan?

Kalikst szarpnął się jeszcze raz i płaczącym tonem wyrzucił z siebie:

– Nie wiem, co to za plan, to nie moje pismo! Nie moje pismo, zrabowałem je jednemu paniczykowi z mieczykiem, co samotnie na koniku jechał. Nie miał wiele, tylko parę solidów, ten bułat, no i pergamin. Nie wiem, co to za pergamin, ja nieuczony w piśmie, ale wziąłem, pomyślałem, że się nada, no nadał się, bracia ziomkowie, jak widzę, zainteresowani, weźta ten pergamin, to nie mój i nie wiem, co tam stoi!

W odpowiedzi Armeńczyk tylko parsknął śmiechem.

– Piękna gadka, ziomek, prawie mnie wkręciłeś. No, aktor z ciebie urodzony, mógłbyś w trupie jakiejś albo w mieście na hipodromie występować i gawieź rozśmieszać! Ha, ha, ha! – Nagle spowaźniał. Błysnął złowrogo oczami. – Tylko że to nie są figle. Takie gadki to nie do nas. Popatrz! Mustafa już rozgrzał żelazo, już jest czerwone jak owoc granatu. Jak go znam, poczeka jeszcze chwilę, aż ostrze zbieleje. Wtedy ci przyłoży do pięt najpierw, później do jajec, a później... To już będziesz ugotowany i wszystko nam powiesz, jak na spowiedzi.

Jeniec w duchu klął na własną głupotę. Bajka była dobra, tylko należało ją zostawić na koniec. Obrabowany paniczyk, pismo, którego nie idzie rozczytać – to była dobra historyjka, ale teraz? Teraz trudno będzie im cokolwiek wcisnąć.

Wahid rozłożył plan i jął się weń uważnie wpatrywać. To, co narysowane, łatwo zrozumieć. Tylne wejście do jakiejś warowni czy monastynu, czy innej posiadłości. Chyba monastyr, bo krzyż wielki na środku. Droga poprzez kazamaty i coś – ale co? – oznaczone jakimiś znaczkami. Dalej na piętro, na jeszcze jedno, znów na jeszcze jedno i do skarbcza. A tam... Tam na pewno złoto. Ale co znaczą te wszystkie opisy dookoła? Te znaczki? I gdzie to jest?

– Pomogę ci – Armeńczyk rzekł po chwili do Kaliksta. – To jest monastyr, w którym jest ukryte złoto. Wejście jest od tyłu, idziesz tędy, tędy, tędy i tu do skarbcza. Tak? Tak, to jasne. A teraz mów, ziomuś! No, gdzie to jest? I ile tego złota, co?

– Dajże spokój! – Zza Wahida wysunęła się złowroga sylwetka Mustafy. Trzymał w garści rozpalony do białości bułat, a w oczach lśniła mu okrutna determinacja. Tu już nie było żartów, Belzebub to czuł.

Turek przykucnął koło niego i pociągnął za linę przy nogach. Porozcinał rzemyki w sandałach, po czym zsunął je z nóg. Uśmiechając się złowrogo, przyłożył rozżarzony metal na płask do niczym nieosłoniętej pięty.

Kalikst zawył. Poczul swąd przypalanej skóry. Pulsujące pieczenie ogarnęło całe ciało, jakby ktoś wlał mu w żyły ołowiu.

– Trzymaj go, Wahid. Trzymaj mu nogi, to go trochę dłużej przysmażę.

Armeńczyk złapał za linę krępującą nogi jeńca i docisnął ją do ziemi. Mustafa spojrzął

zafrasowany na koniec ostrza: już traciło swą ognistą biel. Wsunął żelazo w płomień. Po dłuższej chwili podszedł z powrotem do Belzebuba.

Ten miał już przed oczami mgłę, widział tylko oczy oprawcy. Ciemne jak otchłań piekieł. Zalaśniło w nich czyste zło, pogarda i nieskrywana nienawiść. Zobaczył w nich demony harujące wokół kotłów wypełnionych wrzącym olejem, w których gotują się na wieczne potępienie okrutni i występni za życia doczesnego grzesznicy. Zobaczył w nich anioły ciemności liczące, niczym bogacze złoto, potępione dusze. Zobaczył w nich czeluść bez dna, gdzie dnem mogło być tylko niewysłowione cierpienie.

Nagle ujrzał też coś innego. Między ciemnymi oczami Mustafy wyrosła niewielka, ostra piramidka. Grot strzały. Pośrodku – niczym trzecie oko. Tylko zamiast łez pociekła z niego krew i Turek zamarł z otwartymi ustami, w pół szyderczego uśmiechu, a ręka z rozgrzanym żelastwem zawisła o włos od stopy Kaliksta.

Zbój bezgłośnie osunął się na ziemię. Rozgrzane żelastwo spadło na stopę Belzebuba.

Pieczenie. Ból jak z piekła! Tak muszą cierpieć grzesznicy gotowani w kotłach z olejem!

Wahid skoczył w bok, wyszarpując zza pasa miecz. Ruch niezbyt sensowny i całkowicie nieskuteczny. Nim Armeńczyk zdążył wziąć zamach, jego pierś przeszła strzała. Zachwiał się i charcząc, zrobił krok w tył. Nie padł od razu. Bohatersko parł naprzód, w stronę nieznanego łucznika, ale wtedy dosięgła go druga strzała. W brzuch. I trzecia – prosto w otwarte ze zdziwienia i bólu usta. Brocząc krwią, zbój runął na ziemię i znieruchomiał.

Nie od razu Kalikst opanował swój ból. Szybkie myśli. Bezladne. Co się dzieje? Piekło? Piekło na ziemi? Demon? Demon żyje? Demon z cyprysa powrócił? Jak? Dlaczego? Demon szuka pomsty?

Załamionymi z bólu oczami spojrzął na szczyt wzgórza, gdzie majaczyła sylwetka zabójcy. Potarł powieki i zamrugał.

Nie. To nie był demon.

Na trawiastym wzniesieniu stała Zoe.

Rozdział 10

Mistrz Atanazy Meklidos w milczeniu podziwiał manewry statków w porcie. Z odległości, jaka dzieliła jego rezydencję od zatoki, galery sunące po jej wodach przypominały dziecięce zabawki drążone w korze drzewa, puszczane dla uciechy w miejskich kanałach. Jednak od razu rozpoznał okręt fatymidzkiego posła. Jednostka wyraźnie się różniła od statków kupców ze Wschodu, nie przypominała też cesarskich dromon ani żaglowców Italczyków. To była jedna z tych bojowych jednostek, jakich używali Saraceni w swych morskich podbojach. *Za ciężka, za niska, za mało zwrotna* – ocenił mistrz Atanazy, jednak musiał przyznać, że okręt prezentował się nadzwyczaj efektownie. Świeżo wysmołowany, zdobiony kunsztownymi malowidłami, oznaczony proporcami kalifa Al-Mustansira.

Okręt posła Ahmeda Al-Idrisiego sunął powoli do ujścia zatoki otoczony eskortą galer cesarza. Uroczyste pożegnanie.

Będzie wojna – skonstatował Atanazy, przypominając sobie najświeższe doniesienia szpiegów. – *Więc Roman Diogenes zawarł przymierze z Fatymidami i pójdzie na Seldżuków. Sojusz z kalifem. To dobre posunięcie, jeżeli sprawy pójdą tą drogą, jak pragnie władca.*

Oderwał się od tych rozmyślań i zapytał stojącego za jego plecami mężczyznę:

– Jesteś pewien tego, co mówisz?

Tryfon Szachista potwierdził:

– To już sprawdzone. Mam świadków. Mam relacje jego kompanów. Znalazłem kupców. Wszystko układa się w logiczną całość. Nie ma wątpliwości. To Kalikst Belzebub.

Atanazy zacisnął gniewnie usta. Po chwili jednak grymas na jego twarzy zelżał.

A więc to prawda. Kalikst. Teraz przeciwko mnie. Kiedy popełniłem błąd?

Wrócił myślami do tego dnia przed dwudziestu laty. Wtedy nie był jeszcze mistrzem – gildią kierował stary Arseniusz Żelazna Dłoń. To było... Tak, to było gdzieś między straganami przy Mese, gdy kilkuletni obdartus wyciągnął z mieszka Atanazego złoto z mozołem odebrane od szczególnie nieuczciwego dłużnika. Meklidos szybko zorientował się, że został okradziony, i nim szczeniak zniknął między straganami, trzymał go już za kark gotów wymierzyć razy. Jednak zamiast złożyć mu skórę i odebrać monety, zrobił coś zupełnie – jak to wtedy oceniał – irracjonalnego. Zabrał dzieciaka do siebie. Chłopak był sierotą, jednym z dzieci ulicy, ale nad wyraz sprytnym i utalentowanym. Atanazy potrafił docenić jego zdolności: wielu doświadczonych członków gildii wykazywało się mniejszą finezją, gdy przyszło im opróżniać sakiewki. *Ten diament, gdy go wyszlifować, może zalśnić światłem, które przyćmi wszystko, co do tej pory widzieliśmy* – myślał wtedy Meklidos.

Dzieciak nie miał nic własnego, nawet imienia. To on nazwał go Kalikstem. Nowe imię

odzwierciedlało ówczesny stan rzeczy: *kallistos*, czyli „najpiękniejszy”. Szczeniak po obmyciu i odzianiu w czyste szaty ujął starego obliczem gładkim i miłym niczym dziecę Apolla, miał też słodki głos, dźwięczny jak granie niebiańskich harf. Niestety, Atanazy w swym braku ojcowskiego doświadczenia nie wziął pod uwagę, że chłopięce piękno to przywilej niemal każdego zdrowego kilkulatka i kiedyś przemija. Z czasem Kalikst pokazał swą prawdziwą, zgoła odmienną twarz. Jego awanturnicza natura i skłonność do bitek sprawiły, że do młodego złodzieja szybko przylgnął przydomek Belzebub. Zaś gdy dorósł, diabelskie imię zaznaczyło się na jego twarzy czujnym spojrzeniem, z lekka kpiącą miną i starannie wyciętą bródką.

Bez względu na wszystko chłopak był dla Meklidosa jak syn. Jedyne, kochany, szycowany na następcę.

Tak myślał, ale to były inne czasy. Arseniusz umarł, on zaś przejął obowiązki wielkiego mistrza. Z początku życie w gildii i poza nią biegło spokojnie, wręcz sielsko. Atanazy, miast dozwalać Kalikstowi na całodzienne szwendanie się po rynku, posłał chłopaka na nauki do *grammatistes*a, pierwszego nauczyciela, który wpajał znajomość liter, czytania, pisanie i liczenia. Podstawową wiedzę, niewystarczającą dla urzędnika czy wojskowego strategosa, ale dla złodzieja – równą studiom u największych filozofów. Meklidos dbał też, by wraz z nauką alfabetu i matematyki młodzian rozwijał inne zdolności: fechtunek, strzelanie z łuku i kuszy, jazdę konną, a także – a właściwie przede wszystkim – umiejętność posługiwania się narzędziami mistrzów złodziejstwa: wytrychami, haczykami, piłkami, wiertelkami... Dzień, w którym Kalikst zdał swój pierwszy egzamin uczniowski, oznaczał przyjęcie go do gildii i wtajemniczenie w niedostępne dotąd tajemnice.

W tamtych latach gildia rozkwitała. Były pieniądze, były wpływy, mistrzowie okazywali sobie wzajemny szacunek. Później jednak organizacja nadmiernie urosła, jęły się w niej ścierać sprzeczne interesy. Nowi ludzie. Nowe układy. Spiski, morderstwa. Jako mistrz Atanazy widział naocześnie w Kalikście najlepsze ostrze swojego arsenału.

Ale jako ojciec, nawet przybrany... Cóż, z czasem nabierał przekonania, że w tej wojnie nie będzie zwycięzców. Eutymiusz, który nagle wyrósł na potężną siłę w gildii, nie grał czysto, co i Meklidosa zmuszało do niehonorowych poczynań. Kilka skrytych morderstw, jakie miały miejsce w bliskim otoczeniu Atanazego, pozwoliło mistrzowi podjąć właściwą – jak wtedy mniemał – decyzję co do losów Kaliksta.

Niech chłopak pozostanie z dala od tego – myślał wtedy. – Nie będę go wyróżniał, nie będę go wtajemniczał. Niech doskonali swój fach, jak chce, niech podróżuje, zdobywa wiedzę, korzysta ze swojej młodości. A rozgrywki starych mistrzów... Niech trzyma się z dala od tego, dopóki na szczycie nie zostanie tylko jeden mistrz. Zostanę ja – wówczas Kalikst z czasem przejmie moje obowiązki i zaszczyty. Zostanie Eutymiusz – wtedy Kaliksta ominą czystki dokonywane wśród moich ludzi, chociaż, prawdę mówiąc, jeżeli Eutymiusz okaże daleką przenikliwość, to utraci także i jego.

Tak myślał wtedy, jednak z czasem sprawy obrały zły obrót. Coraz ostrzejsza walka wewnątrz gildii sprawiła, że miał już mniej czasu dla Kaliksta. Chłopak łąził po mieście z nowymi przyjaciółmi, z czasem wyprowadził się z domu Atanazego i żył na własny rachunek. Ich wzajemne spotkania były coraz rzadsze i krótsze, choć mistrz wciąż wierzył, że wszystko, co dobre, jeszcze przed nimi.

Ale teraz... Kalikst wykradł tajne plany. Tak, to mógł zrobić tylko on. Bo któżby inny tak dobrze wiedział, gdzie mieści się tajna skrytka mistrza i jak obejść jej zabezpieczenia? *Gdzie popełniłem błąd?* – dumał Atanazy. – *Za bardzo go izolowałem od wydarzeń w gildii? Nie pozwoliłem mu samemu decydować i czynić swe wybory? Nawet złe wybory, ale przecież stąd płynie doświadczenie życiowe. Błędy człowieka większą dają naukę niż grammatistes w szkole, niż mistrzowie fechtunku i wytrycha. To mu odebrałem, czy to jest właśnie ten mój błąd?* Ale jaka z tego płynęła nauka, jak to pogodzić z wiedzą o nikczemnościach wewnątrz organizacji? Tego mistrz nie wiedział i nie mógł wiedzieć. Czy Kalikst wtajemniczony w skryte plany wobec niego zachowałby należyta cierpliwość i powściągliwość? Patrząc na ostatnie wydarzenia, można było powątpiewać. Chłopak był porywczy, niecierpliwy, skłonny do nieprzemyślanych działań.

– Gdzie on teraz jest? – zapytał, z góry znając odpowiedź.

Tryfon zbliżył się do Meclidosa. Wiedział, co czuje Atanazy, i najchętniej oszczędziłby mu frasunku. Z wahaniem powiedział:

– Nie wiemy, gdzie dokładnie jest. Ale wobec powyższego, zważywszy na poczynione nabytki oraz kilkudniową nieobecność, co potwierdzają także jego kompani, należy wysnuć wniosek, że w tej chwili jest już w Kapadocji, w klasztorze Czarnego Mnicha. Wydaje się, że nie ma już żadnych wątpliwości. On chce ukraść Ikonę Upadłego Anioła.

Po co? – myślał Atanazy. Wiedział, że będzie mu trudno ją sprzedać. A może to sprawa Eutymiusza? Przekabacił chłopaka na swoją stronę? Tego mistrz też nie wykluczał, choć byłaby to porażka jego życia. Kalikst w rękach jego oponenta... Narzędzie, dzięki któremu Eutymiusz mógłby ośmieszyć Meclidosa w oczach gildii. Do członków rady poszedłby wyraźny sygnał: *Jak Atanazy może stać dalej na czele gildii, skoro nie potrafi nawet upilnować tajnych i drogocennych planów wyprawy? Owej szaleńczej wyprawy do klasztoru Czarnego Mnicha, która tylko hańbę i wstyd ściągnie na nas miast chwały i złota.* To byłoby bardzo w stylu Eutymiusza. Nie ma co, wybrał doskonały moment. Akurat tuż przed decydującym spotkaniem rady, kiedy miało zapaść ostateczne rozstrzygnięcie dotyczące losów wyprawy do Kapadocji. Akurat wtedy, gdy każdy z mistrzów chciał wnikliwie zapoznać się z planem.

– A Zoe? Co z Zoe?

– Zoe też nie ma, chociaż... – pośpiesznie wyjaśniał Tryfon. – To dziwna sprawa. Nie wyjechała tego dnia co Kalikst. Widziano ją jeszcze dwa dni później, gdy całe miasto huczało od plotek, pomówień i podejrzeń. Dopiero po ostatniej radzie gildii znikła na dobre

z Konstantynopola.

Atanazy odwrócił się do Szachisty i ściągnawszy gniewnie brwi, zapytał:

– A nasi szpiedzy, których posłałeś do Kapadocji? Czy są jakieś wieści?

Doradca pokręcił głową.

– Nie ma. Nie ma żadnych wieści. Przepadli.

– Jak to przepadli? Wysyłamy naszych najlepszych szpiegów, którzy zęby zjedli już na takich misjach i nieraz dowiedli swojej lojalności, a teraz sobie po prostu, ot tak, przepadli? Nie może to być!

– Prawda. To bardzo niepokojący stan rzeczy. Mimo to wciąż wierzę, że Maksymus i Konstanty powrócą do nas, niosąc dobre wieści. Chociaż skądinąd doszły mnie jeszcze inne nowiny. Swoich własnych szpiegów do Kapadocji posłał też Metody.

– Metody? Ten plugawy karzeł? Czyli Eutymiusz działa na własną rękę! Co on knuje?

Tryfon sprostował:

– Mistrzu, wedle moich informacji to była samodzielna inicjatywa Metodego. Wysłał swoich szpiegów w ślad za naszymi bez wiedzy Eutymiusza.

– Szpiegów czy skrytobójców?

Szachista rozłożył bezradnie ręce.

– Myślę, że odpowiedź na to pytanie – podjął Meklidos – jest rozwiązaniem zagadki, gdzie podzieli się Maksymus i Konstanty.

– Szpiedzy Metodego czy skrytobójcy też nie wrócili – pokręcił głową Tryfon. – Wieści, jakie do mnie doszły, dowodzą, że ta sytuacja jest także zaskoczeniem dla karła i jego pana.

Mistrz, uspokajając oddech, wpatrywał się w manewry galer na zatoce. Wreszcie po dłuższej chwili rozkazał:

– Przeprowadź mi tu Nicetasa Wielką Pięść.

* * *

Następnego dnia z Chalcedonu, osady położonej na przeciwległym brzegu Bosforu, wyruszał w kierunku południowo-wschodnim niewielki oddział jeźdźców. Na czele, odziany w lekką kolczugę, z długim mieczem dwuręcznym zarzuconym na plecy, jechał szeroki w barach dryblas o gębie spuchniętej od licznych bijatyk, a może pijatyk – bez znaczenia. Łysy łeb okrywał hełm segmentowy ozdobiony na czubku papuzim piórkiem. Osilek rozglądał się obojętnym wzrokiem po okolicy, szukając choć jednego, ostatniego pretekstu, który kazałby mu zawrócić do Konstantynopola.

Tuż za dryblasem podążało dwóch innych jeźdźców. Ryżawi bracia w kolczugach i kapalinach ciasno osadzonych na głowy. Łeb młodszego z dwójki, a przy tym chudszy i wyższy, pokrywały zmierzwione kudły, które sterczały spod przyciasnego hełmu niczym zeschnięte osty. Starszy był przy nim kurduplem. Powagi dodawał sobie marsową miną oraz

wygotoną czaszką z wytatuowanym gryfem, którego co chwilę odsłaniał, niby to chcąc tylko zetrzeć pot spod kapalinu. Łysa pała nader pasowała do jego wzrostu, kręcone rude loczki jak u brata dawałyby efekt zbyt komiczny. Obydwaj ściskali w garściach perskie maczugi – okrągłe, wykonane z kutych taśm żelaznych.

Oddział zamykał milczący osobnik okryty od stóp po głowę saraceńskim białym strojem. Jego czoło skrywał zawój wzmocniony od góry stalowymi obręczami. Przy boku trzymał łuk, przy pasie przywieszoną miał krótką szablę seldżucką.

Jeźdźcy minęli wschodnią bramę Chalcedonu i wjechawszy na trakt anatolijski, pomknęli szparko ku Kapadocji.

– Te, Nicetas – mruknął niższy z braci, Waldemar Jałmużnik, zwany tak od swego stylu pracy. Łysy kurdupel, przybysz z dalekiej Żmudzi, miał prosty sposób na zdobycie fortuny: przyodziewał strój żebraka spod cerkwi i krążył ulicami Konstantynopola, bełkocząc pod nosem jakieś niezrozumiałe prośby. Ślinił się przy tym i prychał. *Biedny, pokarany na umyśle głupek* – myślał niejeden, sięgając do sakiewki. *Naści, przyglupie, miedziaka. Kup se chleba i rybę na obiad* – prawił i ledwie kończył to zdanie, już żałował. Spod żebraczego kaptura wyzierała rozrehotana gęba, spod łacha wyskakiwała maczuga i po chwili naiwny ofiarodawca leżał na bruku zbroczony krwią. Waldemar zaś dawał dyla, roztrącając obojętny tłum. W garści ściskał pełną sakiewkę. – Te, Nicetas – mruknął więc niższy z braci. – To przez tego twojego ziomka, zamiast dziwki chędożyć, będziemy teraz przez miesiąc wciągać w kinol kurz z traktu. Nie miał ten twój koleżka jakich lepszych zajęć, tylko jumać złoto mistrzowi i spadać w stepy?

– Zawrzyj japę, głąbie! – huknął Nicetas Wielka Pięść, który przewodził oddziałowi. – Belzebub jest dobry ziomek, nie zawiódł mnie nigdy. Ja dla niego łapę w ogień włożę i jeszcze będę wołał, że zimno. I dla mistrza Atanazego też zrobię wszystko, bo on dla mnie jak ociec. Więc kiedy Atanazy kazał: *Weź ludzi, jedź do Kapadocji i znajdź Kaliksta, zanim narobi sobie kłopotów*, tom cię wziął, przyglupie, cobyś zobaczył trochę świata poza Konstantynopolem i zaznał przy tym nieco rozrywki. Znaczy się solidy można trzaskać, nie tylko łupiąc duraków na jałmużnika.

Wtedy Waldemara wsparł jego brat, Wit Wodnik, zwany tak od niezwykle wytrzymałego łba. Wytrzymałego, jeżeli chodziło o zmagania w tawernie: *Dzban wina? Dwa dzbany? Trzy? Toż ja mogę to wypić jako wodę. Jak wodnik, co chlepta co dzień z jeziorka*. I choć ryże kłaczki stanowiły przyczynę powstania jeszcze kilku innych przydomków, to jednak na dobre przyjął się tylko Wodnik. Brzmiał dobrze, sam zaś Wit nie wyglądał na zmartwionego tym przezwiskiem.

– Ten twój kompan, Nicetas, to jakiś taki... no wiesz, ni rzyć, ni pyta. Jakoś tak jest zawsze z boku w gildii. No prawda, trzyma z tobą, z tą swoją dupą, ale jakoś tak z kompanami nie jest chętny do wypitki. No, ja nie mówię tylko do wypitki, żeby nie było. Chodzi tak ogólnie...

– Stulże ryło jeden z drugim – zgasił Wita Wielka Pięść. – Belzebub jest dobry ziom i pierwszorzędny złodziej. Zna takie sztuczki, co dla was są czarną magią. Byś posłuchał jeden z drugim parę historii, jakie on wywinął, tobyś miał inną gadkę. Głaby! Kalikst takie numery wycina, że wy przed nim możecie tylko te swoje ryże, i ryże-łyse, łby giąć, taki on dobry! On jest chłopak zmysłny, nie taki jak wy, prostaki i durnie!

– Ha, ha! Znalazł się mędrzec! Nicetas Myśliciel, Co Zjadł Wszystkie Rozумы. He, he! Ale wypić, jak rzekłem, to jakoś ten twój koleżka nie lubi z nami.

– Jeżeli chodzi o wypitkę, to ze mną dryni. I to jest dla mnie wystarczający powód, żeby z nim trzymać. I teraz jechać po niego, kiedy jest w potrzebie.

– Eee, dajże spokój! Tylko ściągnął na nas kłopoty. Diabli nadali po bezdrożach się pałętać. I gdzie? Do Kapadocji! Toż to tydzień drogi, może więcej, a tam gdzie twojego kompana szukać?

– Zamilcz i jedź, jak ci kazali! – warknął osilek. Jęczenie ryżych braci zaczynało już działać mu na nerwy, choć to był dopiero początek podróży.

Tylko Muhammad nie rzekł ani słowa. Zwali go Łowcą Demonów. Wzięło się to z jego milczącej natury i słów wypowiedzianych w obcym, nieznanym im języku Saracenów. *Daimon, daimon, diabolos* – tyle potrafił powiedzieć po grecku, znacząco ściskając przy tym swoją szablę.

– Ten twój kompan, Nicetas, to nie jest nasz ziomek, wiesz o tym – mruknął cicho Jałmużnik. – I ta jego dupa, Zoe, też potrafi do szaleństwa doprowadzić. Znaczy tym, że taka jakaś nazbyt wyszczekana suka, w ogóle nieprzystępna, no jakaś niechętna do uciech.

– He, he – zarechotał Wielka Pięść. – A co? Po ryżu żeś oberwał, jak żeś za tyłek ją złapał? Pochędożyć chciałeś, a tu chlast-prast i po mordzie dostał! No co, nie? Nie było tak? To jest ostra dziewczyna, nie dla takiego fujary jak ty!

Waldemar zmieszał się. Coś tam musiało być na rzeczy, bo rudzielec ze Żmudzi szybko zmienił temat.

– Eee tam! Od razu po mordzie! A zresztą... No to powiedz, co on za czary złodziejskie wyczynia, ten Kalikst, kiedy taki zdolniacha.

– Jakie czary...?! Tylko posłuchaj! Raz było tak. Mieliśmy kiedyś taką robotę...

Zagadani nie spostrzegli, że w ślad za nimi posuwa się druga grupa. Pięciu ponurych drabów, którzy nie należeli do gildii. Nie byli wierni żadnym panom, nie wiązały ich żadne umowy i zobowiązania. Nie czuli żadnej przynależności, nie okazywali lojalności. Co nimi kierowało? Solidy. To jedyny bóg, który poruszał ich serca.

Pięciu drabów bez honoru i wierności wlekło się w ślad za złodziejami z Konstantynopola. Milczeli, w myślach przeliczając śmierć na złoto.

A Karzeł Metody, siedząc w tawernie nieopodal hipodromu, zacierał swe krótkie łapki, ciesząc się, że sprawy idą po jego myśli.

* * *

– Filozof z ciebie nie będzie, to pewne, Kalikst. Ale myślenie jest dane nie tylko filozofom. Powinieneś kiedyś spróbować, doprawdy.

Rzucił jej najcięższe spojrzenie ze swojego arsenału. Miało znaczyć: *Daj sobie spokój, dziewczyno, nie chcę już o tym gadać.* Piekły go przypalone pięty i przez to jazda na koniu była katuszą, jakiej nigdy chyba jeszcze nie przeżył. Wykrzywił gniewnie usta.

Te zabiegi zdały się na nic. Zoe nie zamierzała przestać.

– Powiedz mi, co ty w ogóle zamierujesz? Jaki masz plan?

– Mam swoje zamysły – odparł niechętnie. Zoe potrafiła być naprawdę męcząca. Jak osa krążąca nad pokrojonym arbuzem. Ten jej denerwujący ton. Kpiący i przemądrzały. Po co ona tu w ogóle przyjechała?

Wciąż przeżywał gorycz porażki. Bo tak: dał się złapać na pętlę ze sznura jakimś dwóm zapyziałym rzeźmieszkom. Podeszli go jak cielę na pastwisku. Przypalili mu pięty, niemal wydarli torturami tajemnicę. Rozżarzone żelastwo... Trzeci raz już by tego nie zniósł. No i wtedy uwolniła go ona! Nie, to dobrze, że go uwolniła. Ale dziewczyna? I do tego Zoe?! Która powinna drynić wino w Konstantynopolu? Skąd się tu wzięła? Jak? A skoro ona, to zaraz przybieżą inni. Bo dłaczegóż by nie? Ona go znalazła, to znajdzie też gildia. I diabli wtedy porwali całą wyprawę!

– Masz swoje zamysły? – zapytała kpiąco. – Póki co toś na dobrej drodze, by osiągnąć jedno: na zawsze stracić miejsce w gildii. Uznają cię za zdrajcę, to bez cienia wątpliwości.

– Jak już to zdobędę... Oddam im to, niech im kością w gardle stanie. Zdobędę, przywiozę z powrotem do Konstantynopola, rzucę pod nogi Atanazemu i splunę.

– Atanazemu? Więc tu o to chodzi? Chcesz się odegrać na starym za to, że cię odstawił?

Rzucił jej mordercze spojrzenie: *Przymknij buzię, dziewczyno, bo doprowadzasz mnie do pasji!*

Może trochę miała racji. Chciał dogryźć Atanazemu. Ale to przy okazji. Bo wcale nie o to chodziło.

– A o co? – dopytywała Zoe. – O blit? O moniaki?

– Jaki blit! Nie robię tego dla moniaków! Zresztą tak do końca nie wiem, o co tyle szumu.

– Ikona Upadłego Anioła. Przecież po nią jedziesz.

– Tak, po nią, ale nie to mam na myśli. Nie wiem, ile jest warta. Nie wiem, jakie gry są rozgrywane za jej pomocą. Ale powiem ci jedno: gildia jest skończona. Atanazy z Eutymiuszem rozdierają ją na strzępy jak stare sukno, ciągnąc byle więcej dla siebie. I udają, że nie słyszą, jak się pruje. O taką gildię nie dbam, bo nie jej przyrzekałem.

– Ale przyrzekałeś. Przyrzekałeś wierność, a teraz ryjesz jak zdrajca.

Prychnął gniewnie. Co ta dziewczyna może wiedzieć! Jaki z niego zdrajca, skoro tamci też zdrajcy? Mistrzowie! Oni pierwsi zdradzili, zamieniając gildię w swoje własne

posiadłości. Piękne słówka, *theatron*, ale co pod tą dekoracją? Ludzka małość, ot i tyle. Wychodzą z mistrzów drobne złodziejaski z targu, jakimi byli na samym początku.

– Jeżeli nie gildii, to chociaż Atanazemu winien jesteś lojalność. Winien jesteś mu szacunek syna do ojca.

Co ty możesz o tym wiedzieć?! – Kalikst wbijał w Zoe złe spojrzenie. – *Nie żyjesz moim życiem. Nie wiesz, jak to jest. Nie wiesz, co to znaczy przez lata czekać w ufności na coś, co się nigdy nie mogło zdarzyć.* Nie chciał już dłużej o tym myśleć.

– Dość o tym – warknął. – Mów lepiej, jak mnie tu znalazłaś. Skąd wiedziałaś?

Dziewczyna uśmiechnęła się promiennie. Zdmuchnęła znad oczu niesforny kosmyk.

– Widzisz, po tym jak wykradłeś plany Atanazemu, w gildii huczało jak w gnieździe os.

– Wiedzą, że to ja?

– Wtedy nie wiedzieli, ale postawiłabym pełną garść solidów, że już doszli prawdy. Nazajutrz po tym, jak obrobiłeś mistrza, w gildii wybuchła awantura. Mało się nie skończyło na noże. Bo tak: Atanazy oczywiście oskarżył Eutymiusza, że to jego sprawka i że zamierza kraść na własną rękę. Eutymiusz był z kolei przekonany, że to wymyślona przez Atanazego intryga, żeby go oczernić i poniżyć w oczach gildii. Mało brakowało, a bruk Konstantynopola spłynąłby krwią najznamienitszych złodziei stolicy. Na szczęście posłuchali mądrzejszych. Dali się przekonać, by swój spór oddać w ręce pozostałych członków rady.

– Eee, przecież oni też we frakcjach! Albo za jednym, albo za drugim, wierne pieski.

– Mylisz się, Kalikst. To znaczy trochę może i pieski, ale nie do końca tak. Gdyby gildia miała w swych szeregach tylko mąciwodów i podżegaczy, toby niewiele działała. Mistrzowie są od rządzenia, ale sami wiele by nie narządzili, gdyby nie mądre głowy.

– Teolept Mędrzec! – domyślił się Belzebub.

– Tak, Teolept i inni. Kiedy zaczęło wrzeć, zarządzili tymczasowe rządy rady.

– Co? Atanazy został odsunięty od władzy nad gildią?

– Tylko czasowo.

– To przecież bunt.

– Bunt, który ty sam spowodowałeś. Ale nie pękaj, to nie był bunt tak naprawdę, mistrzowie dobrowolnie oddali swoje uprawnienia, co nie znaczy, że przestali knuć. No ale w sumie jakoś zaczęło iść ku lepszemu. Atanazy z Eutymiuszem mieli czekać na to, co Teolept i reszta wymyślą.

– No i co wymyślili?

– Na razie nic. Ale nie licz na cuda. Wiedzą sporo. Bardzo rozpytywali o wszystkich ludzi z gildii. Kto się sposobił do podróży, kto kupował uzbrojenie, konia...

– Nie chcesz mi powiedzieć, że doszli, co ja kupowałem. Przecież nie u Nicefora.

– Masz na myśli, że broń u tego Syryjczyka i konia u Żyda?

Kalikst zaklął.

– Skąd wiesz?

– Oni też to wiedzą. No przecież mówię ci, zrobili wielkie rozpytywanie każdego o wszystko. Nagle się okazało, że w Konstantynopolu więcej chyba jest szpiegów na usługach gildii niż złodziei.

– Czyli wiedzą.

– Nie mają jeszcze pewności. Takich jak ty mają kilku na liście. No i nie ma pewności, że to ktoś z gildii. A może przypadkowa kradzież jakiegoś obwiesia z rynku? Albo nie tak przypadkowe zlecenie ze strony któregoś z rodów, który gra tu jakąś swoją własną muzykę? Konstantynopol to duże miasto, intrygantów jest wielu i różne mogą mieć cele.

– A ty? Skąd wiedziałaś?

– Ja? – Zoe zaśmiała się perliście. – No, nie pytaj. Przecież gadałeś o tym w kółko. A to o nowej robocie Atanazego. A to o jakiejś wyprawie tajemniczej. Że cię nie będzie kilka dni, może dłużej. Nie pamiętasz?

Belzebub przytaknął. No tak, wygadał się głupio, jak szczeniak. Ale skąd mógł przypuszczać, że Zoe ruszy w ślad za nim?

– No i co? Przejrzałaś me plany, wsiadłaś na konia i pojechałaś za mną? Nie mając nawet tak do końca pewności, że to o to chodzi. Że jadę do Kapadocji zdobyć fant, na który ostrzy sobie zęby cała gildia.

– Hmm. No właściwie... Tak.

Pokręcił z niedowierzaniem głową. Zoe zawsze go zaskakiwała, ale teraz przeszła już samą siebie. Wciąż targały nim sprzeczne uczucia: z jednej strony uratowała mu życie i gdyby nie ona, to... Raczej nie wyszedłby z tego cało. No i zawsze lepiej jechać w kompanii, a szczególnie z... – tutaj musiał stoczyć krótką wewnętrzną walkę, by przyznać to przed samym sobą – ...szczególnie z Zoe. Naprawdę bardzo lubił to dziewczę. No ale z drugiej strony nie chciał nikogo w to wciągać. Był zdrajcą, tak? Więc chciał, żeby to odium spoczęło tylko na nim i na nikim więcej.

Pozostała jeszcze jedna kwestia do wyjaśnienia.

– A ci dwaj? Te zbóje-ścierwojady? Mustafa i ten drugi. Skąd...?

Zoe tylko czekała na to pytanie.

– Skąd wiedziałam, że trzymają cię w swoim obozowisku? Nie wiedziałam. Natknęłam się na nich, jadąc twoim tropem. Najpierw minęłam rozstaje ze spalonym cyprysem. Później jechałam jeszcze jakiś czas w tym samym kierunku, kiedy dostrzegłam ich przed sobą. Nie widzieli mnie. Patrzą: dziwni jacyś. Raz jadą szybciej, raz wolniej, czają się. Pomyślałam, że to podejrzane i pewnikiem coś knują. Że kogoś śledzą.

– Mnie.

– Tak, ale ja jeszcze o tym nie wiedziałam. Więc zaczęłam śledzić ich, bacząc, by do nich nie podjechać za blisko. Nie wyglądali na przyjemnych. Zwłaszcza ten Turek... Już z daleka wyczułam w nim coś złego. No a później... Nagle przystanęli i nałożyli na końskie kopyta worki, żeby ciszej biegły. Wreszcie zobaczyłam z daleka, jak cię łapią na linę. Głupio dałeś

się podejść, to ci trzeba przyznać.

Wiem – pomyślał. Spotkanie z kupcami, spalenie demona, słońce, wypite wspólnie wino – to wszystko uspiło jego czujność. I co z tego, że tamci znali okolicę? Co z tego, iż wiedzieli, że na tamtym odcinku droga zakręca między skałami i niemal zawraca w to samo miejsce? To się nie powinno zdarzyć...

Po chwili skonstatował ze smutkiem: *Moim żywiołem są miejskie zaułki. Dachy domów, mury, ulice, place, porty, pokłady galer... Moim żywiołem jest Konstantynopol, ale poza miastem, na polach, między łąkami, polami i wzgórzami, można mnie upolować jak leniwą muchę w kałuży rozlanego wina.*

– I musiałaś czekać, aż mi przypalą stopy żywym ogniem? Nie mogłaś od razu tam na drodze posłać im paru strzał?

Zoe uśmiechnęła się tajemniczo.

– Mogłam, ale wiesz... Ciekawiło mnie, co będzie dalej. Dlaczego ci dwaj polowali na jakiegoś wędrowca, który ani złotem nie śmierdział, ani nawet konia dobrego nie miał. Pomyślałam: *Popatrzę, o co tu idzie.*

Belzebub posłał jej złowrogie spojrzenie: *Dziewczyno, ty sobie lepiej uważaj!*

– Mogłaś chociaż się pośpieszyć, jak mnie przypalali... – stwierdził zrezygnowany. Pulsujący ból przypalanej skóry nie przemijał. Gorzej – wyraźnie narastał. Promieniował z pięt na całe nogi i uderzał do głowy. Nie pozwalał myśleć.

– Oj, pomyślałam, że ci to dobrze zrobi. Taka mała kara za to nagłe zniknięcie z miasta.

Żarty sobie stroi, to widać. Żarty nie na miejscu i nie na czasie. – Kalikst rzucił Zoe wściekle spojrzenie, a w jej ciemnych oczach zaśniły wesołe ogniki. Na twarzy Belzebuba wykwitł z trudem powstrzymywany uśmiech. Nie miał już siły się na nią złościć. Nigdy tak do końca nie wiedział, kiedy żartuje, a kiedy mówi prawdę.

Chociaż nie musiała tak długo zwlekać z odsieczą – pomyślał z trudem, gdy nogę załapała mu kolejna fala pulsującego bólu. Mimo ziołowych okładów wciąż piekła.

– Dobrze, Zoe. Teraz wytłumacz mi jedno. Po co? Po co za mną jedziesz?

Dziewczyna uśmiechnęła się promiennie i nic nie powiedziała.

– No... – zachęcał ją. – Mówże!

Zoe nic. Bawiła ją niepewność Kaliksta.

– Bo przecież nie po to, by opowiedzieć mi, co słychać w Konstantynopolu.

– Może po to, by uratować twój tyłek z głupiej awantury, w którą się wplątałeś już na początku swojej wielkiej wyprawy.

– Dobrze, niech ci będzie – warknął. – Jechałaś za mną po to, by opowiedzieć, co w Konstantynopolu i uratować mój tyłek. Dzięki. Zadanie wykonane, możesz wracać. Ty jedziesz tam... – wskazał za siebie – ...a ja do przodu. Ty wracasz, ja jadę dalej.

Nawet nie mrugnęła okiem. Znacząco ścisnęła cugle i cmoknęła na wierzchowca.

Belzebub uderzył konia przypalonymi piętami. Zabolało, zabolało przeokrutnie, stłumił

jednak okrzyk, gotów w tej chwili na każde poświęcenie. Pomknął do przodu, zostawiając za sobą skłębioną chmurę kurzu. Chwilę gnał galopem, zmuszając zwierzę do pełnego wysiłku. Po kilkuset krokach zwolnił i popatrzył w tył.

Zoe nie goniła go. Przyśpieszyła z lekka, unosząc się w siodle, ale oszczędzała wierzchowca. Tylko lekki kłus.

To na nic – pomyślał Kalikst. – Mógłbym jej uciec, ale na jak długo? Koń w końcu padnie ze zmęczenia, a ona będzie ciągnąć za mną, aż mnie znów dojdzie.

Zwolnił i pozwolił, by dziewczyna go dogoniła.

– Dobrze, zacznijmy jeszcze raz. Konstantynopol – tak, już wiem, co jest. Tyłek – w porządku, uratowany. Ale co jeszcze?

– Nie domyślasz się?

Święty Boże – westchnął w duchu – dlaczego ona zawsze musi w ten sposób? Czego miał się domyślać? Po co ta dziewczyna jedzie za nim taki kawał i pcha nos w nie swoje sprawy? Na co liczy? Złoto? Chwała? Zaszczyty? Przygody? Tych ostatnich nie zabraknie, ale co do reszty – marzenie ściętej głowy! A może jej chodzi jeszcze o coś innego?

– Daj spokój! Nie mam ochoty na twoje gry – powiedział ostrym tonem. – Nie domyślał się.

– Jesteś bystry jak ściek z kloaki. Dobrze, niech ci będzie. Jadę za tobą, bo chcę mieć udział w zyskach. Pół na pół.

Wstrzymał konia.

– Jakich zyskach?! Przecież mówiłem. Nie dla blitu to robię. To znaczy, jak będzie okazja, to owszem, na boku zgram kilka solidów. Ale nie dbam o to! A jeżeli chodzi o tę ikonę... Nie, nie chcę jej. Oddam ją gildii. Rzucę im pod nogi i powiem, jak bardzo gardzę ich intrygami, prywatą i małostkowością. Wyklną mnie? A cóż mi tam! Poradzę sobie i na pewno będzie to lepszy interes, niż dalej robić za parobka. Jakieś drobne kradziejstwa niczym pęta z targu! Czekać, aż się mistrz zlituje i da jakąś lepszą robotę. To już nie muszę czekać. Mam tę lepszą robotę, o, właśnie to. Mistrz nie musiał dawać, sam sobie wziąłem. Tak, rzucę im pod nogi i to będzie mój zysk. Jeżeli ją zdobędę. Bo bardziej pewne jest to, że jedyne, co dostanę, to krew, hańba i poniewierka. Może nawet śmierć. Czy to są te zyski, które chcesz ze mną dzielić, dziewczyno? O to właśnie ci chodzi?

– Tak – powiedziała dobitnie. – Tak, Kalikst.

Rozdział 11

Andronik Dukas ponurym spojrzeniem pożegnał mury rodowej posiadłości znikające za wzgórzem. Czekał go dzień drogi w upale. Podróż do celu, do którego niezbyt śpieszno. Jednak taka była wola jego brata Michała, a przyszłemu *basileusowi* się nie odmawia.

Spojrzał koso na Symeona. Milczący sługa starszego z Dukasów miał przybliżyć mu naturę rzeczy, jednak w jego słowach nie można było znaleźć sensu. To, co opowiadał, przypominało raczej jakieś bajania pijaków z tawerny, morskie opowieści przywożone przez galerników z dzikich krain. Jak to wszystko miało pomóc w planach usunięcia uzurpatora?

– Symeonie, więc powiadasz, że chodzi tu o magię?

Złe Oko rzucił mu niechętnie spojrzenie i wzruszył ramionami. *Pozwala sobie na zbyt wiele* – przemknęło przez myśl Andronikowi.

– Barbarzyńca z Kalabrii, który rezyduje na dworze Diogenesa. To on jest winny temu, że uzurpator nie boi się śmierci. Bo skąd, myślisz, panie, mają swą przyczynę te wszystkie niepowodzenia? Nasi najlepsi skrytobójcy. Artyści śmierci, mistrzowie pugałów. A jednak żaden z nich nie podszedł nawet na krok...

Andronik czekał dłuższą chwilę, aż Symeon dokończy swą myśl, ten jednak uznał temat za wyczerpany.

– To już słyszałem, ale... – zaczął Dukas, uznał jednak: *A zresztą. Szkoda słów po próżnicy. Jeszcze dzisiaj wszystko będzie wyjaśnione.*

– Stąd też wywodzi się twoje niepowodzenie, panie – dorzucił niespodziewanie Złe Oko.

– Wtedy, siedem lat temu. Na wojnie z Turkami. Gdyby Diogenes nie opanował buntu na tyłach, dziś wszystko wyglądałoby zgoła inaczej. A jak opanował? Wiedział. On wiedział... – Skrytobójca zamilkł i patrzył tylko, jak Andronik zagryza wargi.

Tak, on nie lubił wracać wspomnieniami do tych wydarzeń. Zawiódł wtedy i poniósł klęskę, choć zwycięstwo było tak blisko. To on był winien, nawet gdy wywodzić zły los z knoń Italosa. Przegrana Diogenesa w bitwie z Seldżukami na dobre pogrzebałaby jego sławę generała. To był przełomowy moment poprzedzony licznymi niepowodzeniami wojennymi. Gdyby wtedy, w Armenii, uzurpator oddał pola sułtanowi Alp Arslanowi, straciłby poparcie armii, miłość cesarzowej i dalsze prawo, by zasiadać na tronie. Ale to on, Andronik, był winien, że przemyślny plan się nie powiódł.

A teraz... Teraz musiał w goryczy spożywać owoce swojej przegranej. Gdyby dziś, ot tak, po prostu, wjechał na koniu za mury Konstantynopola, pojmałyby go strażę i wtrąciły do lochu. Dożywotnie wygnanie z miasta, z dworu, od matki. Od matki, tak... To była i jej wina, choć częściowo także zasługa. Bo właśnie Andronik powinien ponieść śmierć za zdradę. Stryj

Jan był tylko kozłem ofiarnym.

– Twój brat, panie, dobrze wie, jak temu zaradzić – Symeon jakby czytał w jego myślach.
– Gdy uzurpator opuści Konstantynopol, jego atuty przestaną mieć rację bytu. Nie udało się tyle razy, ale przecie nie może tak być! Magię Italosa trzeba pokonać! Po pierwsze, trzeba wywabić Diogenesa za mury miasta, tam gdzie jego magia nie jest tak silna. Tak, wiem, co chcesz powiedzieć! Że już kilka razy próbowaliśmy odesłać Diogenesa na tamten świat, gdy tylko oddalił się na odległość wzroku od Konstantynopola. W Bułgarii, na Sycylii... Wtedy jednak nie mieliśmy tej mądrości, co teraz. Posyłaliśmy tych ludzi, by samotnie dokonali dzieła, przekonani, że to wystarczy. Jednak posyłaliśmy ich na pewną śmierć, nie zapewniając im nijakiej pomocy. Więc to jest jedno. A po wtóre, trzeba zasiać niepokój, wojnę i niepewność, tak żeby uzurpator nie wiedział, skąd nadejdzie śmiertelny cios. Po trzecie, musimy zebrać przeciw niemu te siły, które dotąd pozostawały niewykorzystane. Italscy kupcy, możne rody rojące o tronie, a jak będzie trzeba, to i Bułgarzy ze swoimi nadziejami na utworzenie państwa. Do tego heretyckie sekty, których siła zachwieje poparciem patriarchy dla Diogenesa. Gdy te wszystkie siły uderzą naraz, uzurpator już się nie podniesie. Nawet jeżeli przeżyje. Jednak lepiej, by nie przeżył. Toteż najważniejsze jest... Ostateczne rozwiązanie. Jeden cios zadany w serce. Tyle że do tego trzeba nam sił, które zrównoważą magię Italosa. Ona, niestety, przewyższa talenta najlepszych mistrzów puginału. Wyżej stoi niżli kunszt artystów śmierci, jednak teraz wiemy, jak temu zaradzić. Człowiek, do którego jedziemy, choć na pierwsze spojrzenie odpychający, co więcej, powiem szczerze – budzący niepokój niczym sam *diabolos* – zada mu ten cios. Śmiertelny. Silniejszy niżli to, co może uczynić Italos.

Andronik uderzył konia kolanami. Wierzchowiec przyspieszył, wzbijając kurz na trakcie.

– Nie zwlekajmy zatem, Symeonie. Skoro on ma nam pomóc... Musimy dojechać tam przed zmrokiem.

* * *

Kruk usiadł na twarzy trupa. Dziobnął w jeden oczodół, później w drugi, jednak obydwie były już do cna wygryzione. Ptak zaskrzeczał gniewnie, po czym jął drażyć naznaczony zakrzepłą krwią policzek w nadziei, że ostał się choć ostatni smakowity kąsek. Język.

Trzy mocne uderzenia rozerwały rozmiękłą już skórę umarlaka. Ptaszysko z radosnym trzepotaniem chwyciło w dziób upragniony ochłap.

Uczętę przerwał kamień ciśnięty ręką Zoe. Kruk niechętnie poderwał się do lotu, zatoczył niewielkie koło i osiadł na stercie kamieni kilka kroków dalej.

– To nic nie da – ocenił Kalikst. – Pójdziemy trzy kroki i od razu wróci.

– To Maksymus! – wykrzyknęła z przejęciem Zoe.

– Wiem.

– I Konstantyn!

– Wiem.

– Szpiedzy wysłani przez Atanazego! Mieli tylko poślipić, co i jak, i wrócić do Konstantynopola. *Gamo!* Mieli straszną śmierć!

Co do tego nie było wątpliwości. Ciało Maksymusa i Konstantyna mimo działalności ścierwojadów, słońca i bezlitosnego czasu wciąż nosiły ślady cierpienia. Ból odcisnął się na ich twarzach niczym na gipsowych maskach. Czy to Czarny Mnich? Czy to on stoi za tą śmiercią? Kalikst zadrżał. Ktokolwiek to był, okazał nieludzkie, diabelskie wręcz okrucieństwo. Nabici na pale szpiedzy Atanazego stanowili upiorną ozdobę kamiennej bramy prowadzącej do majaczącego w oddali monasteru.

Portal złożony z dwóch tufowych słupów, z lekka tylko wyrzeźbionych ludzką ręką, wieńczył osadzony na kamiennej belce rząd czaszek, zbiałych i skruszałych od słońca. Dwa kroki przed bramą tkwiły wbite w ziemię pale z nabitymi nieszczęśnikami. Ich gnijące ciała pokrywały plamy zakrzepłej krwi i zaschniętego kału, podarte szaty zwisały w smętnych strzępach. Upiorną dekorację uzupełniały stosy czaszek usypane u podstawy każdego pala.

Zoe nie chciała na to patrzeć. Odeszła od skraju wąwozu i wbiła wzrok w las kamiennych grzybów. Białe, wyniosłe skały sterczące ponad zielono-żółtymi łąkami Kapadocji rozciągały się niemal po sam horyzont, aż do następnej linii wzgórz. Oddzielał je niewielki pas pustyni pokryty spieczoną ziemią i kępkami zeschniętych traw. Jeszcze dalej, na zboczach, skały miały już inny kształt i kolor. Żółtawe zacieki przypominające stopiony wosk. Albo kaptury mnichów...

– A tamtych znasz? – usłyszała głos Kaliksta.

– Nie znam! – krzyknęła Zoe, choć nawet kątem oka nie zerknęła już w stronę klasztoru.

– Nikogo nie znam! Wiejmy stąd. To niedobre miejsce. Czuję to.

– Nie wiem, co tu zaszło, ale ludzie Atanazego wykazali się głupotą. Gdyby nas tam poniosło, też byśmy tak skończyli. Tak jak Maksymus Bazyliszek i Długi Konstantyn. I tak jak ci dwaj tam dalej.

Ciekawość zwyciężyła obrzydzenie. Dziewczyna spojrzała w tył. Jacy dwaj?

Belzebub stał kilka kroków dalej skryty za biało-żółtą skałą w kształcie kowalskiego młota. Z bezpiecznej wysokości obserwował coś, co znajdowało się w dalszej części wąwozu. Podeszła do niego. Zza skalnego wyłomu wychyły dwa kolejne pale. I dwa kolejne trupy. Trochę świeższe, ale tak samo zmasakrowane. Bez oczu, zakrwawione, wykrzywione bólem.

– *Gamooo...* – wystękała tylko.

– To też są złodzieje z Konstantynopola – dobijał ją Kalikst. – Nie z gildii. Ale widziałem ich parę razy na mieście. Chyba, tak myślę, bo już nie idzie ich rozpoznać. Kruki zrobiły swoje. Tego łysego to na pewno. Tego z brodą to nie wiem. Chyba też. Łysy bywał często w porcie, w tawernach go widywałem. Taka tam szumowina do wynajęcia za garść *nummi*, chamajda od brudnej roboty.

Zoe nie chciała dłużej na to patrzeć. Belzebub zaśmiał się w duchu. Odczuwał teraz mściwą satysfakcję. Dziewczyna była zawsze taka przemądrzała! Jeszcze wczoraj rozłożyła kilkoma strzałami z łuku dwóch dziarmagów, którzy smażyli mu piętę rozgrzanym do białości memeluckim bułatem. Jeszcze wczoraj krew i wyciekający z dziur po grotach mózg Turka nie robiły na niej wrażenia. A teraz miękła. *Może to ci da do myślenia, słonko, że powinnaś zostać w mieście i odpuścić sobie wyprawy do Kapadocji* – pomyślał złośliwie Kalikst.

– Odstąp od tego, proszę! – krzyknęła. – Widzisz, że to nie przelewki. Skończysz tak jak oni.

Skończysz? A nie: my skończymy? – Belzebub uznał jej słowa za pierwszy wylom w niewzruszonym dotąd murze.

– Daj spokój – ciągnął. – Słabi byli. No ja nie wiem, jak się dali tak podejść. Ale dla mnie to jest jasne. Ktoś wystawił ich na kołkach dla postrachu. Żeby każdy przypadkowy albo nieprzypadkowy podróżny na ten widok zwątpił. I powiedział sobie: *Odstąp od tego*, jak ty.

Nagle Zoe ścisnęła go za ramię. Z całej siły.

– Kal! Chodu stąd!

– No przecież ci tłumaczę, kobieto! Owszem, to jest makabryczne trochę i bardzo nieprzyjemne. No niedobrze mi się robi, jak patrzę na tych biedaków. Ale powtarzam ci, że...

Dziewczyna nie dała mu dokończyć.

– Zobacz tam!

Powędrował wzrokiem w ślad za jej palcem. W dole wąwozu zamajaczyły jakieś sylwetki. Kalikst aż przetarł oczy. Mnisi. Procesja milczących braciszków w postrzępionych habitach. Wyszli... Właśnie, skąd? Wskoczyli jakby spod ziemi. Gdzieś tam, pomiędzy skałami, musiało być ukryte tajne przejście. Dziwne. Nie pamiętał, by miał je na swoim planie.

Mnisi. Sadzili do przodu wielkimi krokami. Belzebub dopiero po chwili uświadomił sobie, w czym rzecz. Braciszki podążali w ich kierunku. Najpierw między skałkami, po dnie wąwozu, później po łagodnym stoku, kierując się na szczyt wzniesienia, z którego razem z Zoe obserwował całą okolicę.

Odruchowo sięgnął po łuk, a sajdak zsunął z pleców na biodro. Wydobył strzałę i nałożył ją na cięciwę. Czekał. Nie wyglądało na to, by mnisi mieli złe zamiary. No bo zresztą cóż mogą knuć tacy tam eremici w podartych habitach? No co oni mogli...? Jednak coś – może nutka strachu w głosie Zoe, może coś w wyglądzie sunącej w ich stronę gromady – wzbudzało w nim trudno wytłumaczalny niepokój.

Gdy zakonnicy doszli do połowy zbocza, wiedział już, co to było. Nagle jego serce przebił lodowaty puginał lęku. Krew uderzyła mu do głowy, przed oczami zatańczyły czerwone płatki. Stracił oddech.

Zoe też to czuła.

– *Gamo!* Widzisz to? – wyszeptała zduszonym głosem.

Widzę – chciał odpowiedzieć Kalikst, ale z jego gardła wydobył się tylko zdławiony skrzek.

– *Widzę* – wychrypiął po dłuższej chwili z wysiłkiem.

Trupy. Spod kapturów mnisich habitów wyzierały trupie twarze, gnijące, bezokie, naznaczone zakrzepłą krwią i zielenią rozkładu. Bezokie, ale było w nich życie. Nie, nie życie – jakaś upiorna, diabelska potęga, jakaś kpina z Boskiego stworzenia, jakaś moc, która dodawała im siły, a która nie pochodziła z tego, doczesnego świata. Z początku pomyślał, że to tylko upiorne maski. Ale nie – poczerniałe twarze ruszały się wykrzywione nienawiścią. Spod rękawów mnichów wystawały umarlackie dłonie, kości powleczone strzępami poroźdieranej skóry. Byli jeszcze daleko, ale Kalikst już teraz czuł odór rozkładu wyprzedzający ich na kilkadziesiąt kroków.

Już teraz czuł dławiący strach. Zniknął za to ból przysmażonych pięt.

– *Zoe, wiejemy stąd!*

Na sztywniejących z przerażenia nogach rzucili się do panicznej ucieczki. Byle dalej stąd! Tylko wskoczyć na koński grzbiet i uciekać! Przebiegli przez górski grzbiet i po jego drugiej stronie zjechali na stopach w dół, potrącając się i przewracając.

Na dnie wąwozu czekały wierzchowce. Wskoczyli na nie i pognali byle dalej od monastynu.

Spojrzał w tył: na szczycie wzniesienia zamajaczyły posępne postaci w poszarpanych habitach. Ich trupi odór jeszcze długo gonił za uciekinierami.

* * *

Przystanęli dopiero wtedy, gdy masyw wzgórz, pośród których ukryty był monastyr Czarnego Mnicha, zmalął w oddali, zlewając się z łagodną linią horyzontu. Płaskowyż poprzecinany jarami, ścieżynkami wydeptanymi w skarłatych trawach, zarzucony skalnymi odłamkami teraz przeszedł metamorfozę. Wjechali na szaroczarne zbocze pełne rzeźbionych przez wodę, słońce i wiatr kamiennych stożków o zadziwiająco regularnych rysach.

Zeskoczył z konia. Ze szczytu wzgórza mieli dobry punkt widokowy na rozciągniętą niżej równinę. Potoczył wzrokiem po okolicy. Po lewej stronie niemal na wyciągnięcie dłoni ciągnęły się łagodne linie skał porytych długimi bruzdami, tak białych, jakby olbrzym posypał okolicę morską solą nabieraną garściami z worków wielkich jak góry. Pośrodku solne zleby miały swój kres, niepostrzeżenie przechodząc w płaskowyż, którym uciekali przed mnichami. Dalej na prawo pustynię ożywiały strzeliste zielone drzewka, pomiędzy których wyrastały kamienne grzyby. Toporne, niezgrabne, samym swym istnieniem kpiły z Boskich praw. W oddali, skryty za rzadkimi chmurami, dumnie wznosił się wulkan Argeus, starożytny, umarły już bóg tej krainy. Kapadocji.

Wrócił spojrzeniem na płaskowyż i łańcuch wzgórz Czarnego Mnicha. Nie dostrzegł najmniejszych oznak ruchu. Nic. Cisza. Spokój.

Nie gonią nas – stwierdził z ulgą. To było absurdałne: w końcu on i Zoe mieli konie, a tamci... Tamci to tylko gnijące trupy niezdolne do szybkiego marszu. Pogoń zajęłaby im wieki, ale mimo to... Nie mógł się wyzbyć niespokojnych myśli. Że nagle spomiędzy tych czarnych stożków wybiegnie grupa cuchnących śmiercią umarłaków w habitach. Że dopadną ich, wyciosają pale i nadzieję.

Zatrzęsły nim dreszcze i choć słońce, osadzone na środku nieboskłonu, grzało niemiłosiernie, poczuł chłód.

– Tutaj zostaniemy do nocy. A później się zobaczy.

– Odstąp od tego, Kalikst. Mówię ci. Powiedz, ale nie łżyj. Ty też to czułeś?! Ten paniczny strach?

Nie chciał tego, ale musiał jej przyznać rację.

– Tak... Było coś... Jakby coś mnie ucapiło za serce. I za gardło. I dusiło. Dusiło strachem.

– Ja też to miałam. Duszny strach. Prawdę powiadają. To siedlisko złych duchów. Demonów z samego dna piekła. To nie był mój strach. Wiesz przecież, że nie pękam tak łatwo. Ale też miałam takie uczucie... Taki ucisk w piersi.

Nie odpowiedział. Może to była dobra sposobność, żeby odprawić dziewczynę? Sam nie zamierzał odstąpić. Ten strach... Czuł, że uczucie przerażenia, jakie zesłali na nich zakonnicy-umarłacy, to wbrew pozorom oznaka słabości tych sług Czarnego Mnicha. Strach, jakim paraliżowali ofiary, był jedyną ich bronią. Poza tym nie mieli nic. Bo co? Wystarczy jeden cios perskiego toporka, który Kalikst zabrał Mustafie w zamian za swój rozhartowany, powyginany bułat, i po mnichu! Drze się habit, łamią suche kości, odpadają resztki zgniłego mięsa. Tak to tłumaczył w myślach, bo nie potrafił sobie wyobrazić, jak umarłacy mogliby mu przeszkodzić w zdobyciu monasteru. Przecież nie mieli nawet broni!

Gdyby więc zdusić w sobie ten strach... Gdyby przyjść tam na powrót, wiedząc, że trwoga i panika to najgorsze, co się może zdarzyć. Gdyby... Nie! Nagle zwątpił. A skąd pale z nadzianymi na nie ludźmi? Przecież Maksymus i Konstantyn nie wskoczyli na nie sami ze strachu tylko.

Opadł zrezygowany, uciekając przed słońcem w cień rzucony przez jeden z czarnych stożków. Musiał być jakiś klucz do tej zagadki. Jak wejść do monasteru niepostrzeżenie? Sięgnął po mapę wykradzioną Atanazemu. *Jest niekompletna* – przypomniał sobie słowa mistrza. Oznaczenia wszystkich dróg i pułapek miały się znaleźć na kolejnym planie. Tym, który obiecał tajemniczy zleceniodawca, gdy gildia weźmie robotę. To by tłumaczyło niespodziewany atak mnichów z miejsca, gdzie powinna znajdować się jeno lita skała i nic więcej.

Odłożył mapę i spojrzał na Zoe. *Muszę ją chronić* – myślał. – *Dobra jest dziunia, nawet*

jak robi sobie żarciki i bawi się w tajemnice. Była uparta, niekiedy nadmiernie gadatliwa, czasami kapryśna, innym razem po prostu złośliwa... Ale miała w sobie też to coś, co nie pozwalało Kalikstowi żywić do niej urazy. Wystarczyło jedno spojrzenie na jej uśmiechniętą buzię, w jej ciemne oczy z diablakami, a już wszelka złość odchodziła i myślał tylko o tym, że żywi do niej niezwykłą sympatię. Że ją... Nie, tego nie chciał przyznać przed samym sobą.

Jedno było pewne. Musiał iść do monasteru Czarnego Mnicha sam. Dziewczyna niech zostanie tutaj, czekając na niego. W końcu to jego ryzyko. On to wszystko wymyślił, on ukradł plany Atanazemu, a teraz gotów był podjąć wyzwanie. Zoe nie ma z tym nic wspólnego. Trzeba ją chronić.

Podniósł na powrót mapę i zaczął wnikliwie jej się przyglądać. Do monasteru prowadziła główna droga pełznąca niby wąż dnem wąwozu. To tam, gdzie stała upiorna brama z nadzianymi na pale, i tam, skąd wybiegli umarłacy. Były też trzy inne wejścia. Jedno prowadziło na tyły monasteru przez kolejny, mniejszy wąwóz otoczony rumowiskami skał. Drugie wiodło po grzbiecie jednego ze wzgórz i dochodziło po kamiennym mostku na środkowe poziomy budowli. Trzecie... Tu na mapie zabrakło szczegółów. Korytarz, który wił się głęboko pod ziemią, przechodząc przez coś, co wyglądało jak idąca w dół jaskinia. Opuszczona kopalnia? Podziemne miasto? Brakowało opisu. Tylko dwa niewielkie krzyżyki. Obok nich gwiazdka złożona z ośmiu prostych kresek. To nic nie mówiło. Dokładny opis miał trafić do gildii, gdyby złodzieje wzięli tę robotę.

Może Zoe ma rację? Z tego wszystkiego nic już dobrego nie będzie. Tylko dalsze kłopoty. Strach. Niepewność. Hańba zamiast chwały. Może nawet śmierć. Śmierć w niesławie i zapomnieniu. – Kalikst miał co do tego coraz większą pewność. Ale wiedział też, że nie może się już wycofać.

Nie może odstąpić.

* * *

Milczeli. Zoe nie rzekła ani słówka, odkąd zjechali ze wzgórza pokrytego skalnymi stożkami. Ciszę wypełniało jedynie stąpanie końskich kopyt i niezmiennie granie cykad. Kalikst nie próbował jej przekonywać. On miał swoją rację, ona swoją. Jeżeli chciała, mogła zawrócić wierzchowca i odjechać do Konstantynopola. Tak byłoby lepiej, ale na cud nie ma co liczyć. Dziewczyna nie zawróci.

– To musi być gdzieś tu – mruknął, patrząc na mapę. Dotarli do trzech zrosniętych ze sobą skał, które tworzyły naturalną rzeźbę podrywającego się do lotu ptaszyska. Dwa postrzępione kamienie po bokach – to skrzydła. Głaz pośrodku – głowa, dziób i szyja.

Przystanęli. Kalikst zeskoczył z grzbietu konia i rozpoczął wspinaczkę po zboczach. Gdzieś między tymi trzema skałami winno być skryte wejście.

– Jest! – krzyknął podekscytowany. – Jest dziura.

Zoe wzruszyła ramionami. Zbiegł do niej.

– Wszystko się zgadza. Jest podziemne wejście. Jaskinia. Tędy przejdę na tył monastynu, a później...

– Głupi jesteś, Kalikst – przerwała mu dziewczyna. Czy to, co załśniło w jej oczach, to były łzy?

Nie wiedział, co odpowiedzieć, więc zebrał ekwipunek i ruszył w stronę kamiennego ptaszyska.

– Czekaj na mnie, Zoe – rzucił na odchodne zamiast pożegnania. – Tak jak się umówiliśmy.

– Ja się nie umawiałam.

– Niech ci będzie. Tak jak ja się umawiałem z tobą. Jeżeli nie wrócę przed nocą, zabieraj konia i wróc między stożki. Tam jest bezpiecznie. Jak nastanie świt, przyjeżdż tu z powrotem.

Ześlizgnął się w głąb jaskini po idącej pod kątem płaskiej skale. Choć na zewnątrz powietrze aż falowało z gorąca, wkrótce ogarnął go chłód. Po kilkunastu krokach skośna szczelina doszła do wewnętrznego korytarza. Stał prosto i popatrzył na boki. Między dwiema kamiennymi ścianami biegł wąski przesmyk, szeroki na krok. Z góry dochodziły rozproszone smugi światła.

Spojrzał jeszcze raz na mapę. Wszystko gra! Ruszył szczeliną we wskazanym na planie kierunku.

Korytarz kilkakrotnie zakręcał. Chwilami rozszerzał się tak, że wjechałyby tam dwa wozy ustawione obok, niekiedy jednak zwężał się tak bardzo, że Kalikst musiał zdjąć z pleców łuk, sajdak i odczepić perski toporek, a następnie przerzucać rzeczy pojedynczo. Sam też się ledwo prześlizgnął. Później było jeszcze gorzej. Przesmyk między skałami opadał w dół, ciemność gęstniała.

Ogarnął go mrok. Szedł po omacku, rozmyślając, czy nie popełnił jednak błędu, nie zabierając pochodni. Pochodnia dawała światło, to oczywiste. Ale z drugiej strony – w wąskich przesmykach i niskich korytarzach – była dosyć nieporęczna i tylko utrudniała marsz. A do tego ściągała niepotrzebną uwagę. Płoszyła nietoperze i dawała znak mieszkańcom tych podziemi: *Oto nadciąga istota słaba, świetlna, która w ciemnościach jest nieporadna niczym dziecko*. Belzebub polegał więc na swoich instynktach wyrobionych przez lata złodziejskiego fachu. Nieraz musiał działać na wycucie w całkowitej ciemności. Otwierać zamki i bić się na śmierć i życie.

Szedł więc po omacku, łowiąc uchem nieliczne dźwięki. Odgłos własnych kroków, krople wody spływające po ścianach, pojawiający się niekiedy cichy szum wiatru zapędzonego w skalne kominy.

Dopóki korytarz idzie prosto, bez rozgałęzień, dam sobie radę – pomyślał.

Pomyślał w złej chwili.

Doszedł do rozwidlenia.

To musi być jeden z tych krzyżyków na mapie – uznał, obmacując ściany. Tunel rozwidłał się na trzy odnogi odchodzące od siebie niemal pod kątem prostym. Wszystkie były równie szerokie. Każda z dróg mogła być tą właściwą.

Postanowił zbadać korytarze, wchodząc po kilka kroków w każdy z nich. Sklepienie w tym po lewej zaczęło szybko opadać w dół. Kalikst pełzł na kolanach, aż uderzył głową w sklepienie tunelu. Dalej nie było co iść, trzeba by się czołgać. Zawrócił do skrzyżowania.

Jeżeli wierzyć mapie, to na logikę właściwą odnogą była ta na wprost. Według planu droga biegła w tej części bez zakrętu, czyli na rozwidleniu należało utrzymać dotychczasowy kierunek marszu.

Jeżeli wierzyć mapie, ale mapa jest niepełna – pomyślał.

Ruszył jednak środkowym korytarzem. Po kilkudziesięciu krokach chciał już zawrócić, by zajrzeć jeszcze do odnogi po prawej stronie. Nagle zdało mu się, że nieprzenikniona czerń w głębi korytarza poszarzała.

Światło? Czyżby to już? – Nadzieja rosła gotowa wybuchnąć przedwczesną radością. – *Nie, przecież na mapie były jeszcze dwa rozgałęzienia. Krzyżyk, a jeszcze wcześniej gwiazdka. To musi być coś większego. Rozgałęzienie ośmiu tuneli? Ale skąd ta jasność?*

Nie roztrząsając tego dłużej, parł do przodu. Po kolejnych kilkudziesięciu krokach nie miał już wątpliwości: w oddali korytarz rozjaśniało światło. Poczul na twarzy lekki powiew. Poczul przypływ euforii. To dobra droga!

Pięćdziesiąt kroków dalej jego uniesienie ustąpiło rezygnacji. Stał u wylotu korytarza. Przed nim rozciągała się sala wykuta – nie wiadomo – ludzką, Boską czy szatańską ręką, pod ujściem tunelu biegnąca w dół na jakieś sześćdziesiąt, może siedemdziesiąt stóp. Z góry, przez wyrąbane w sklepieniu otwory, padało rozproszone światło zalewające skały poniżej łagodną poświatą.

Wyglądało na to, że korytarz, którym tu dotarł, znajdował się w połowie drogi między dnem a sklepieniem sali. Żelazne pierścienie pokryte rudym nalotem, pozostałości zetlałych lin i kamienna podmurówka mówiły wszystko o tym miejscu – niegdyś tędy musiał przebiegać mostek, zapewne wiodący do dalszej części tunelu, z drugiej strony przepaści. Kalikst pochylił się nad jej krawędzią. Od dna groty oddzielała go gładka ściana bez najmniejszych punktów zaczepienia. Powyżej – tak samo. Tylko lita skała, wygładzona i pozbawiona pęknięć.

Chwycił za umieszczony w skale pierścień w nadziei, że ta pozostałość konstrukcji kładki pozwoli mu zejść po linie w dół. Niestety, żelastwo z cichym chrzęstem wysunęło się z kamienia, syjąc okruchami na dno rozpadliny. Musiał szukać innej drogi.

Odtoczył od pasa toporek zabrany Mustafie. *A jednak był w tym jakiś sens* – pomyślał. – *Mój bułat dobry był do bitki na ulicy albo cichej roboty skrytobójcy. Ale tutaj...*

Żeleźce toporka rozdzielało się na trzy mniejsze części. Przedłużeniem styliska był prosty, stożkowaty kolec, którym z taką lubością dźgał go Turek. Zaś przedłużeniem niezbyt

szerokiego ostrza – zagięty do dołu pazur, idealny do wspinaczki.

Albo drążenia w skale. Kalikst opadł na kolana i wbił stalowy szpon w podłoże. Korytarz wypełnił głuchy stukot idący w głąb stłumionym echem. Toporek wszedł w miękką skałę jak w kredę. Jeszcze kilkanaście uderzeń. Pazur odłupywał wielkie okruchy wulkanicznego kamienia, wzbijając w powietrze chmurę drobnego pyłu.

Belzebub oczyścił wgłębienie i sięgnął do pasa po nóż. Przyłożył czubek ostrza pod kątem do dna wyrąbanej dziury i zaczął uderzać bokiem toporka. Tym razem nie poszło tak łatwo. Nóż był zbyt sprężysty. Gdyby miał ze sobą prosty i wąski puginał skrytobójcy, ale cóż robić... Powoli wbijał ostrze, za każdym machnięciem czekana posuwając je w głąb o grubość włosa.

Wreszcie nóż wszedł po jelec. Belzebub zdjął z pleców linę i zawiązał jej koniec na rękojeści.

Mam nadzieję, że to wytrzyma – pomyślał. – Przynajmniej do połowy drogi w dół, stamtąd może się już nie zabiję.

Zasypał wgłębienie odłamkami i ubił mocno nogą.

Rzucił koniec liny w przepaść. Nie zwlekając, zaczął opuszczać się w dół.

Rozdział 12

W połowie drogi przystanął. Na dole, tam gdzie zwisał swobodny koniec liny, dostrzegł jakiś ciemny kształt. Opuścił się jeszcze kilka stóp i zadrżał z odrazy i strachu.

Na dnie skalnej rozpadliny stało pokryte dziwacznymi wypustkami stworzenie. Wysokie na dwu chłopa, szerokie jak kilkusetletni cyprys. Wielki, spłaszczony łeb, długie łapska i krótkie nogi o wielkich stopach. I te wypustki. Kalikst nie wiedział, co to było, widział tylko, że wyrastały wszędzie. Na ramionach, grzbiecie, nawet na pysku, przysłaniając oczy. Sterczały nawet z wierzchów szerokich jak koła młyńskie przednich łap, czy może dłoni. Stwór wyglądał odrażająco.

Bestia uniosła łeb i zaryczała. Jej gulgot rozniósł się echem po całej sali. Wyczuła zdobycz.

Widzi mnie – pomyślał Belzebub. – Ale gdzie to ma oczy?

Spojrzał w górę. Do korytarza, z którego zjechał, miał jakieś czterdzieści stóp. Wracać? Będzie ciężko. I co wtedy? Szukać innej drogi? Spojrzał w dół. Stwór chodził w kółko, niespokojnie, zadzierając do góry łeb. Machał łapskami, a w idącym gdzieś z trzewi gulgocie coraz bardziej narastała nutka zniecierpliwienia. Nie, trzeba iść dalej.

Nie myśląc już nad tym dłużej, Belzebub zaplątał lewą nogę w linę. Jej górną część przeciągnął pod pasem i zaczepił o przytroczony do boku toporek. Zawisł na niej jak pajak na nitce swej przędzy.

Sięgnął po łuk. Przesunął sajdak na bok i wydobył pierwszą strzałę...

Pomknęła prosto w łeb stwora. Wbiła się do połowy.

Bestia zawyla wściekle, z wyraźnym bólem. Machnęła łapą i odłamała koniec drzewca.

Kalikst nie czekał, co będzie dalej. Wydobył kolejną strzałę, a za nią następną i następną. Szył równo, mierząc w pokryty wypustkami czerep.

Wszystkie doszły celu. W łeb potwora. W łapska, które próbowały strząsnąć wbite drzewce, w grzbiet. Jednak nie czyniły stworowi najmniejszej szkody – wył nie z bólu, lecz z wściekłości. Spod ułamanych końców strzał nie poszła nawet kropla krwi.

Nagle bestia zaprzestała wycia. Chwilę stała bez ruchu, zadzierając do góry głowę. Basowo pomrukując, chwyciła za koniec liny i pociągnęła. Raz, drugi. Trzeci. Coraz mocniej.

– *Gamo!* – wrzasnęła Belzebub. Wbity w skałę korytarza nóż ze zgrzytem i chrzęstem wyrwał się ze szczeliny.

Kalikst poleciał prosto na łeb bestii. Odbił się od pokrytej wypustkami czaszki, ześlizgnął po pokrytym śluzem cielsku w dół i uderzył w twarde dno sali. Łuk poleciał gdzieś w bok, zagrzechotały rozsypane strzały.

Stwór stał chwilę bez ruchu zamroczony uderzeniem. Belzebub wykorzystał ten moment, by wyplątać się z liny. Skoczył na nogi i wyszarpnął zza pasa toporek.

Bestia zagulgotała z radością. Wypustki na jej ciele zeszywniały, urosły, sterczały teraz jak kolce jeża.

Drżący z obrzydzenia Kalikst dopiero teraz spostrzegł, co wyrastało ze skóry stwora.

Fallusy. Dziesiątki, setki fallusów zeszywniałych, nabiegłych krwią, pokrytych lśniącem śluzem. Sterczały bezwstydnie na baczność, jedne krótsze, drugie dłuższe. Te na twarzy – czy też w miejscu, gdzie powinna znajdować się twarz, pysk, morda, ryj, nie wiadomo, jak to zwać – zakończone były gąłkami ocznymi. Z ciekawością, lubieżnością i głodem wbijały wzrok w ofiarę.

Belzebub mocniej ścisnął rękojeść toporka. Teraz pożałował jednak, że nie ma przy sobie dłuższej klingi. Ostrze szerokie na dłoń niewiele mogło teraz zdziałać. Ale nie miał wyboru.

Zaatakował pierwszy. Skoczył w przód, tnąc z całej siły toporkiem. Broń przeleciała między nabrzmiałymi kutasami, nie czyniąc im szkody. Potwór zagulgotał rechotliwie i wznosił łapsko, by zadać cios.

Kalikst w ostatniej chwili uchylił się przed uderzeniem. Przemknął pod opadającym ramieniem, muskając czubki ohydnych wypustek.

Jest powolny jak wół – pomyślał, walcząc z falą mdłości. Starł z twarzy śluz bestii i odwrócił toporek. Teraz zaatakował szponem. Wziął szeroki zamach i z całej siły wbił ostry koniec głęboko między nabrzmiałe fallusy.

Ohydny stwór zawył, aż poszło echo i zatrzęsły się skały.

Trysnęła krew, zalewając Belzebubowi ramię po łokieć. Brudnoczerwona i gorąca.

Wygiął usta w obrzydzeniu: jucha wionęła smrodem gnijącego trupa. Obezwładniający, duszący smród, który wywraca wnętrzności.

Potwór, rycząc wściekle, skoczył w tył. Ból obudził w nim skrywane dotąd pokłady dzikiej agresji: z woła zamienił się w szarżującego nosorożca. Dwoma wielkimi susami podbiegł do intruza i trzasnął go wielkim łapskiem prosto między oczy.

Najpierw Kalikst poczuł tylko smagnięcie fallusów – obrzydliwe, lecz niegroźne, a później wielką kulę bólu. Uderzenie zmiotło go z nóg i posłało kilka kroków w tył, prosto na kamienną ścianę. Nim zdążył krzyknąć, grzmotnął głową w kamień.

Najchętniej by już tam został. Leżał, zapadając w gęstniejący mrok, pozwalając, by strużki krwi ze złamanego nosa, z rozbitego łuku brwiowego, wreszcie z wybitego zęba łączyły się w jeden strumyk uciekającego zeń życia. Mógłby tam znaleźć swoją śmierć, swój spokój, swój wieczny odpoczynek.

Na chwilę jego dusza odleciała z tego przeklętego miejsca. Znów był w porcie w Konstantynopolu. On, Zoe, Nicetas. Strzelali z procy do targanej falami starej beczki. Było tak jasno! Tak słonecznie. Szum morskiej wody. Śmiech Zoe i gniewne mruczenie Nicetasa. Skrzeczenie mew, odległe hałasy miasta, nawoływanie kupców i stukot młotków pracujących

robotników. Ciepło. Tak ciepło! Tak jak ciepła jest krew...

Smród sapiącego potwora otrzeźwił go. Bestia stała nad nim gotowa do ataku, niepewna, czy jej ofiara jeszcze oddycha. Belzebub przetarł oczy z krwi i rzucił po sali nerwowe spojrzenia.

Nie mam szans! – pomyślał przerażony. – To cuchnące bydlę jest zbyt silne, zbyt wielkie. Nie dam rady go pobić! Nawet miecz by nie poradził, nawet dziesięciu łuczników.

Miał tylko toporek.

Łuk, strzały i reszta ekwipunku leżały porzucane gdzieś na dnie jaskini.

Fallusowe łapsko podniosło się do góry, by zabić.

Nie czekał, aż opadnie. Przetoczył się w bok, zerwał na nogi i zaczął uciekać. Biegł wzdłuż ściany w panice, nie myśląc o niczym. Krew zalewała mu oczy.

Upadł, trąc kolaniem po kamieniu. Krew zmieszała się z łzami bólu.

Za nim łoskot biegnącego potwora. Fala smrodu.

Wstał i biegł dalej. Dalej! Byle dalej od bestii!

Nagle omal nie uderzył twarzą w skalną ścianę. Tutaj grota miała swój kres! Gdzie teraz?!

Ruszył w bok, ale chwila zwłoki wystarczyła ścigającemu go stworowi. Kalikst poczuł na plecach uderzenie wypustek i poleciał w przód jak piłka trafiona kijem Krótkiej Nogi na hipodromie w Konstantynopolu.

Szorując po skalnej podłodze jaskini, już nie czuł bólu. Na kilka tchnień całkowicie stracił przytomność.

Gdy ją odzyskał, zobaczył dwie rzeczy. Sterczące fallusy na nożyskach potwora. I niewielką szczelinę w skale, nad samym podłożem. Była tuż, na wyciągnięcie ręki.

Nie zwlekając, wczołgał się do niej. Z trudem przecisnął głowę, jednak w środku było już więcej miejsca. Niewielka jama, wysoka na dwie stopy.

Potwór sapnął wściekle i zaczął walić pięścią w wylot szczeliny. Łup! Łup! Łup! Aż dudniło. Belzebub z przerażeniem obserwował, jak skała sypie się, odsłaniając wejście.

Odruchowo przylgnął do ściany. Sięgnął ręką w tył, gdy nagle... Poczuł lekki ciąg powietrza. Zaczął obmacywać skałę. Nie było wątpliwości. Tunel!

Niepewnie, człapiąc na czworakach, sunął w głąb ciemnej czeluści. Łoskot wściekłego potwora cichł, a gdy zanikł na dobre, Kalikst opadł z ulgą na kamienie. Przytulając twarz do zimnej skały, zapadł w sen.

* * *

Andronik skrzywił się z niechęcią. Kapadocja to żyzna i urodzajna kraina, pokryta łąkami, polami, przynosząca owoce, jednak teraz, w tym miejscu, można było w to zwątpić. Od pół dnia nie spotkali żywego ducha, ni człeka, ni zwierzęcia, towarzyszyła im jeno

monotonna muzyka cykad. Utrzymane ludzką ręką pola ustąpiły miejsca zeschniętym ugorom, pustyniom z rzadka tylko przetykanym zielenią. Odkąd wjechali między kamieniste, nagrzane w słońcu wzgórza, było jeszcze gorzej. Tylko skały o dziwacznych kształtach, krążące nad nimi ścierwojady i ten niezdolny, trupi zapach.

Skąd on idzie, u diabła?

Odpowiedź na to pytanie uzyskał, gdy wyjechali z zakrętu wąwozu. Nadziane na pal zwłoki żyły nowym życiem. Drażone przez robactwo członki drgały w szaleńczym tańcu, głowy szarpane przez nienasycone kruki kiwały się miarowo w rytm muzyki granej gdzieś tam w innym, piekielnym świecie, w którym błędziły już dusze tych nieszczęśników. Z gnijących twarzy nie schodziły coraz szersze uśmiechy.

– Jeżeli ten śmietnik, ta trupiarnia, ma być bramą, to pan na tych włościach nie ma zbyt dobrego smaku – mruknął z obrzydzeniem Andronik. Wspomniał zdobną, porfirową bramę wiodącą do rezydencji Dukasów. Płaskorzeźby, kolorowe mozaiki, pięknie kute kraty... To jeszcze pogłębiło jego niechęć do tego miejsca cuchnącego śmiercią i rozkładem.

Symeon rzucił obojętnym tonem:

– Nie prezentuje się zbyt okazale... W istocie przypomina śmietnisko, a nie wjazd na posiadłość, ale... spełnia swoją rolę. Odstrasza nieproszonych gości. Bo gość nie w porę gorszy niżli Scyta. A tu niewielu gości jest w porę. My na szczęście jesteśmy oczekiwani. Nie zwlekajmy zatem.

Złe Oko popędził konia i wjechał w bramę. Płosząc kruki, z obojętnym wyrazem twarzy minął pale z trupami, jednak uwadze Andronika nie uszedł fakt, że na tę krótką chwilę szpieg wstrzymał oddech. Nic dziwnego – odór zwłok był nie do zniesienia. Wręcz wywracał wnętrzności.

Gorzej, że po przejechaniu bramy to nieprzyjemne wrażenie pogłębiło się. Kolejne dwa trupy nadziane na drągi już nie zdziwiły Andronika. Tłumiąc skurcze żołądka, zaczął z niepokojem myśleć, kim jest ich gospodarz. Ów niecodzienny sojusznik Michała.

To pytanie wręcz w nim krzyczało, gdy ujrzał w oddali milczące postaci mnichów. Nie widział ich twarzy skrytych pod głębokimi kapturami. Stali z boku, z rękami schowanymi w rękawy habitów, bez ruchu, jakby ledwie spostrzegli przybycie jeźdźców. Było w nich coś, co przyprawiało młodszego Dukasa o dreszcze.

Jednak widok monasteru zaparł mu dech. Tego się tu nie spodziewał. Wyżłobionego w skale eremu wybitego bezładnie prostymi narzędziami, gdzie żyją zarośnięci pustelnicy – o tak, czegoś takiego właśnie oczekiwał. Ale nie tak pięknej i misternej budowli, istnego dzieła sztuki, rzeźbionego – powiedziałbyś – przez największych mistrzów dłuta kierowanych niebiańskim natchnieniem. Siedem kondygnacji, setki kunsztownie kręconych schodów, galeryjki, korytarze, balustrady... Wszystko wykute w białej skale, która w blasku słońca jaśniała niczym najcenniejszy kruszec. Nawet cesarskie pałace w Konstantynopolu, choć bez wątpienia bardziej wystawne, bardziej zdobne złotem, większe i dumniejsze, nie miały

w sobie tej iskry boskości.

– Piękny jest, czyż nie? – posłyszał cichy głos. Jego brzmienie na powrót zmroziło go, przywracając uczucie niepokoju. Spojrzał w tył.

Czarny Mnich. Wysoka postać odziana w habit o barwie nocnego nieba. Jego twarz... Nie, Andronik nie mógł dojrzeć jego twarzy, choć tamten nie skrywał jej kapturem. Tylko cień ciemniejszy niż najczarniejsza noc, cień, w którym nie ma ni odrobiny światła. Mroczna otchłań bez dna, wciągająca, odbierająca siły. Zimna.

– Tak, jest... wspaniały – wyszeptał zduszonym głosem Dukas. Spojrzał kątem oka na Symeona. Szpieg również stracił rezon. Pobladł na twarzy i toczył wzrokiem po skałach.

– Tyś jest Andronik, brat *basileusa* Michała – stwierdził tym samym zimnym głosem Czarny Mnich i obaj przybysze poczuli, że nagle to miejsce w sercu gorącej Kapadocji owionął chłód. Chłód grobowej krypty.

– Tak – wychrypiął z wysiłkiem młodszy z Dukasów. – Przybywam, żeby...

– Wiem, po co przybywasz, panie. Wiem. To dobrze, że twój brat, Michał, wreszcie się zdecydował. Potrzeba mi tylko kilka dni... I wszystko będzie gotowe.

Mnich ruszył galeryjką w głąb monasteru.

Andronik patrzył za nim ze zdziwieniem. Jak to możliwe, że tamten nie potrzebował żadnych wyjaśnień?

– Pójdźcie za mną – usłyszał zdumiony Dukas. – Już braciszkwowie zajmą się waszymi końmi.

* * *

Świadomość powracała powoli. Najpierw tylko ból. Tylko ból.

Tylko ból.

Ból.

Zaschnięta krew. Sztywne ramię, zwichnięta noga, pulsująca gula na twarzy.

Ból narastał razem z powracającą świadomością.

Próbował otworzyć oczy, ale zaschnięta skorupa krwi, kurzu i łez na dobre skleiła mu powieki. Chciał potrzeć je dłonią, jednak rwanie w łokciu na powrót rzuciło go w tył. Padł na kamień, ciężko dysząc.

Zasnął.

W tym czasie osiem dni drogi od monasteru wybuchła bitwa. Chazarowie starli się z Seldżukami. Turcy wyróżnili pięć setek swoich przeciwników, wywołując w ich szeregach panikę. To pozwoliło im zdobyć nowe tereny wokół Morza Kaspijskiego.

Długo by wymieniać, co jeszcze miało miejsce w tym czasie. Mijały godziny, ludzie umierali, rodzili się, zdobywali i tracili fortuny. Upadali władcy, inni zaś zdobywali władzę. Jednak dla Kaliksta Belzebuba wtedy czas nie istniał. Był tylko sen w ciemnym tunelu gdzieś

w samym środku góry w Kapadocji.

A później przebudzenie. Już bez bólu. Nie, nie bez bólu. Ból tak łatwo nie odstąpi. Ale teraz już nie obezwładniał. Nie upokarzał. Nie rzucał na ziemię.

Kalikst z wysiłkiem dźwignął się i usiadł. Zdrapał z powiek skorupę, która nie pozwalała mu patrzeć, jednak dalej nic nie widział. Ciemność.

Ciemność. Głód i pragnienie.

Zaczął odruchowo przeszukiwać kamienną podłogę wokół siebie. Znalazł perski toporek odebrany wieki temu Turkowi Mustafie. I nic więcej. Łuk, strzały, lina, reszta ekwipunku – wszystko to pogubił, walcząc z fallusową bestią.

Przewyciężając szum w głowie, próbował zebrać myśli.

Szum. Szum. Szum. Szum. Szum.

Szum był zbyt wielki, nie pozwalał pomyśleć o tym, co dalej.

Opadł na skalną podłogę i leżał, czekając, aż nieznośny hałas w głowie ustał. Przytroczył toporek do pasa. Wreszcie podniósł się na czworaki i powoli pełzył tam, gdzie powinno być jakieś wyjście. Byle dalej od potwora.

Pełzył tak, nie wiedział, jak długo, wreszcie ciemność korytarza rozświetliły wąskie smugi światła. Sunął dalej w tym kierunku, aż sklepienie się wzniosło.

Schody.

Powstrzymując syk bólu, stapał po stopniach do góry. Nierówno wyciosane w kamieniu schody szły spiralnie, ostrymi zakrętami. Dalej jednak już złagodniały, zaś wokół robiło się coraz jaśniej.

Tak dotarł do następnej sali. Niewielkie pomieszczenie i trzy korytarze.

Przystanął.

To mógł być ten drugi krzyżyk na mapie. Rozgałęzienie dróg. Jeżeli przyjąć, że gwiazdka nie oznaczała nic innego, jak tylko cuchnącego potwora z kutasami zamiast sierści.

Prosta robota – myślał wcześniej. – Idę dalej. Przemknę przez korytarze, pochwycę ikonę i w nogi. Łatwizna.

Teraz zaśmiał się bezgłośnie. To nie było takie proste i wyglądało na to, że Zoe miała rację. To szaleństwo. Trzeba było odpuścić. Zapomnieć o tym wszystkim, wrócić do Konstantynopola, pochłąć wina w tawernie, a później rozcinać sakiewki italskim kupcom. Tyle że teraz nie miał jak stąd uciec. Tą drogą, którą przyszedł? Tam tylko fallusowa bestia. No i bez liny nie wdrapałby się na skalną półkę sześćdziesiąt stóp w górę. Musiał iść dalej, już nie było wyboru.

Trzeba zbadać korytarze.

Cicho jak cień zajrzał do pierwszego z nich. Tunel szedł prosto przez kolejne salki i rozpadliny, jednak w końcu Kalikst zrezygnował z tej drogi. Prowadziła zbyt daleko od miejsca, gdzie winno być wejście do monasteru. Wrócił do rozwidlenia i wybrał następną odnogę. Ta z kolei szybko miała swój kres nad ciemną i wąską studnią wiodącą gdzieś w głąb

ziemi. To też nie wyglądało na właściwy szlak. Zawrócił i ruszył ostatnim tunelem.

Korytarz rozwidniał się coraz bardziej, z czasem poszedł ostro w górę i Belzebub pokonał ten odcinek na czworakach. Pełznął, ślizgając się na wyszlifowanym kamieniu.

Nagle dotarł do końca tunelu. Zalało go rażące w oczy światło. Aż przystanął.

Był w środku monasteru. To tu.

Serce zabiło mu mocniej. W oddali posłyszał szuranie czyichś stóp. Odgłos narastał, jakby ktoś zbliżał się szybkim krokiem właśnie do niego.

Skoczył w tył, by znaleźć kryjówkę. Stracił równowagę i zjechał w dół po wyszlifanej podłodze pochyłego korytarza. Nawet nie próbował się utrzymać.

Trzeba zaczekać do nocy – postanowił, wstając obolały. Sięgnął po plan monasteru. Mimo wszystkich perypetii mapa wciąż jeszcze była na swoim miejscu. – *A więc jak teraz iść...?*

Teraz już droga wyglądała na względnie prostą. Na górę, przemknąć tamtym korytarzem na ostatnią kondygnację, czyli dwa piętra wyżej, i jest. Komnata oznaczona kwadracikiem. Ikona Satanaela. To tam.

Znów naszły go wątpliwości. Spodziewał się cichego, spokojnego miejsca, opustoszałej pustelni, gdzie tylko wiatr, kurz i kilku rozmodlonych eremitów. Ale teraz... Teraz już nie był pewien niczego. Ohydna bestia z wypustkami, pokrętne labirynty, wszechobecne odgłosy nerwowych kroków... no i te trupy nadziane na pale przed bramą. I za bramą. Co jeszcze? *Zoe miała rację* – po raz kolejny powtarzał w myślach. Ale przecież nie mógł się do tego przyznać. No bo jak? Nawet jakby ominął tego potwora albo jakby przemknął cicho, nie zważając na nic, na kroki w oddali, na krzyki, na zdziwione spojrzenia, to co?

Przemknąłby do frontowego wejścia, przeszedł obok tych trupów na drągach i nie oglądając się za siebie, uciekł z tego miejsca. Ale co później? *Zoe, jestem skończonym głupolem. Narobiłem zamieszania w Konstantynopolu. Okradłem Atanazego i wpędziłem go w kłopoty. Thukłem się tu cały tydzień, niemal oddając życie opryszkom grasującym przy trakcie. Ty się thukłaś za mną cały tydzień, żeby mnie wyciągnąć z opresji, ale to wszystko na próżno! Przestraszyły mnie kroki w korytarzu monasteru, więc uciekłem.*

To było niedorzeczne. To nie mogło mieć miejsca.

Nie! Muszę tam iść! – postanowił. – *I zdobyć to, po co przyszedłem!*

Gdy nastała noc, poczłapał pochyłą sztolnią. Na górze panowała cisza. I ciemności z lekka tylko rozjaśniane przez bladą poświatę księżyca.

Przysiadł w załomie skalnym, nasłuchując odgłosów nocy. Nic. Niczym niezmacona cisza. Przemknął więc – wedle mapy, którą teraz miał w głowie – na wyższe piętro. Doszedłszy do końca schodów, przysiadł, nasłuchując.

Można iść dalej! – Przebiegł na palcach kunsztownie zdobioną galeryjką do następnego przejścia i wpełzł po wybitych w skale stopniach na górę.

To było tu. Gdzieś tu. Któreś z tych pomieszczeń. Policzył: pierwsze, trzecie, czwarte.

Jest! Piąte wejście, niewielkie, wąskie, że ledwo człowiek się przecisnie.

Przecisnął się. Ruszył w głąb sali. I zamarł.

Pomieszczenie nagle rozjaśnił blask pochodni. W ich świetle zamajaczyły cienie mnichów odzianych w ciemne, wyszargane habity. Wyszli jak spod ziemi, przeniknęli ze ścian, po prostu nagle się pojawili, choć Kalikst mógłby przysiąc, że jeszcze dwa oddechy wcześniej nie było tu nawet jego własnego cienia.

Czy to sen? – pomyślał przerażony. – Czy ja wciąż leżę w tunelach pod górą, obity przez bestię z wypustkami, i śnię?

Krąg milczących postaci powoli, acz nieubłaganie zacieśniał się.

Gdy zarzucili mu sieć na głowę, poczuł tylko tępe uderzenie w potylicę. Nim zapadł w mrok, wiedział już, że to nie sen.

* * *

– To święty prawdziwy, co pokonał ogniem demona! To nasz obrońca, którego zesłał święty Teodor! A teraz, dzięki swym czynom za wiarę, on sam, ów dzielny rycerz, dołączył do grona świętych, błogosławionych i świętych za życia!

– Święty... Eeee... Święty Kalikst? – zapytał z niedowierzaniem Nicetas, patrząc na bezwłosego starca, mnicha w nieco poszarpanych szatach. Brata Bazylego.

– No przecie prawię. Święty Kalikst to był, co wezwał aniołów do pomocy i spalił demona żywym ogniem. Czujecie? Jeszcze teraz odór spalenizny kręci w nosie. Czuć tu piekielną siarkę!

– Aniołowie palą ogniem? – burknął Waldemar Jałmużnik. – A tom ja zawsze myślał, że ogień to z piekła pochodzi, a anioły to... No tego, niebiańskim powietrzem chłodnym i światłem cudownym biją wroga. Czy czym innym.

Brat Bazyli obruszył się. Łypnął wściekle na Jałmużnika i wycharczał:

– Błuznierco! Ogień może mieć piekielną i Boską naturę. Piekielna jest wtedy, gdy pożogę podczas wojny siejesz, gdy podpalasz domostwa i puszczasz z dymem miasta. Zaś Boski... Boski jest wtedy, gdy dajesz nim świadectwo oddania Najwyższemu. Gdy stoisz po stronie Boga Jedynego, Stwórcy świata i człowieka, głosząc jego chwałę i przepędzając szatany z piekła rodem. Gdy na Sądzie Bożym musisz przejść bosymi stopy przez rozgrzane do czerwoności lemiesz lub w nagiej dłoni ścisnąć białą od żaru sztabę i przy tym ani jęknąć od cierpienia, jeno recytować psalmy.

Waldemara to nie przekonało.

– Nicetas! Mogę mu przydzwonić w pacynę maczugą? Nie trawię takich brudnych, zaplutyh klechów bełkoczących bajędy! Jak pierdyknę w ten stary, łysy łeb...

– Daj spokój, Jałmużnik! Ty też jesteś łysy...

– Ale, u diabła, nie ze starości i głupoty. Ja, proszę ja ciebie, głowę gołą jak każdy dzielny

wojownik przed walką. A ten tutaj...

– Te, braciak! A ja to co? Nie wojownik? – nagle dorzucił swoje Wit Wodnik. – Znaczy, że co? Że jak się nie golę, to jestem gorszy od ciebie? Jednym słowem, znowu chcesz oberwać?

To powiedziawszy, uniósł groźnie maczugę i ruszył w stronę Waldemara.

– Spokój, durnie! – mitygował ich Nicetas. – Zawsze z wami jest problem. Dwóch rudych przygłupów!

Nim zdążyli zaprotestować, schwycił braci za szyje – jednego lewą ręką, drugiego prawą – i stuknął ich głowami, że tryknęli się jak koziołki. Uderzenie było mocarne. Obaj opadli w kurz traktu, bezładnie wymachując rękami. Melli pod nosem dziwne przekleństwa w swej północnej mowie, pełzając w piachu niczym przydeptane robaki.

– Przyjdzie czas... Że jeszcze, ty klocu rozrośnięty, ty pieńku tępy, odpowiesz za te nasze upokorzenie. Że jeszcze poznasz smak krwi zadanej ręką Żmudzina.

Wielka Pięść puścił te pogróżki mimo uszu.

– Mów, mnichu! – zakomenderował. – Jak to było naprawdę? Mów mi o Kalikście.

Brat Bazyli tylko na to czekał.

– Święty Kalikst z pomocą świętego Teodora...

– Święty Kalikst! – zarechotał Jałmużnik. – No jaki on tam święty?! Przeca to dziarmaga z Konstantynopola...

Nie dokończył. Nicetas rąbnął go przez łeb. Żmudzin padł bez czucia na ziemię.

– Mów, mnichu!

– Święty Kalikst z pomocą świętego Teodora, który dał mu natchnienie i pokazał drogę, którą trzeba iść, pokonał groźnego demona, który położył trupem dobre kilka setek Bogu ducha winnych podróżnych. Zakonników, kolonów, kupców... Później przez długie dni sprzątałyśmy zwłoki po nich. Demon, który osiadł w tym tam spalonym cyprysie, siał przerażenie i grozę wśród okolicznej ludności i przejezdnych, kpiąc sobie z Boga i praw Bożych. Zabił nawet biskupa, świętego Eustracjusza Garidasa, zaświeć Panie Boże nad jego umęczoną duszą, który przybył tu z Ancyry odprawiać egzorcyzmy. A była to straszliwa bestia z najgłębszych otchłani piekła! Facjatę miała czarną niczym smoła. Oczy jak dwa wielkie rubiny gorejące płomieniami. Rogi długie jak ramię mężczyzny, ostre niczym puginały. Broda skudłana, a oddech cuchnący siarką i ekskrementami. Kły miał niczym ostro ciosane skały, długie na palec. Głos jego był jako ryk ruszającej do boju armii. Słowem, był to demon, którego nie mogła pokonać żadna ludzka siła! Dopiero święty Kalikst, bohater zesłany przez Pana, zdobył się na podstęp i zabił diabła ogniem. Od tego czasu w okolicy panuje spokój i cisza, a lud Anatolii ma teraz dwóch świętych, którym oddaje cześć. Patrona naszego monastynu Teodora i naszego zbawcę Kaliksta.

Tym słowom w milczeniu przytaknęło pięciu braciszków wraz z Bazyliem kręcących się przy trakcie. Nicetas popatrzył po okolicy. Rzeczywiście, nieopodal gościńca straszyl czarny

kikut spalonego cyprysa. Wokół niego wyrósł niewielki cmentarzyk. Świeże kopczyki ziemi i krzyże wycięte z tego, co pozostało z drzewa. Wielka Pięść nie potrafił zbyt dobrze liczyć, jednak miał pewność, że grobów było o wiele więcej niż dziesięć. Więcej, niż był w stanie wychylić kubków wina w tawernie.

Gdyby każdy krzyż oznaczał jedną kolejkę – tłumaczył sobie w myślach – to ja bym tyle naraz nie wypił. To nawet może być więcej niż kolejka moja, Kaliksta i Zoe razem wzięta. Przeklęty demon! I Kalikst go pokonał? Niezły jest, ziomek!

– Dobrze, mnichu. A co później z nim było? Gdzie podział się Kalikst?

– Odjechał na wschód, traktem na Kapadocję. Wyobrażam sobie, że na świecie są setki takich demonów, które obsiadły drzewa przy trakcie. W Kapadocji, Frygii, Pizydii, Armenii. Wiele ma do roboty święty Kalikst! Każde miejsce musi oczyścić świętym ogniem, tocząc walkę z siłami z piekła rodem!

– Była z nim dziewczka?

– Dziewka? – obruszył się Bazyli, marszcząc czoło. – Przecie to święty, toteż dziewczek grzesznych unika, chyba że w celach nawrócenia. To mąż, który ma w sercu Boga i naszą świętą religię. Nie przebywa z wszetecznicami.

– Klecho! Zamknij ryło. To znaczy nie to mam na myśli, czy chędożył gdzieś przy okazji kurwy. Tylko czy ktoś towarzyszył mu w podróży?

– Święty Kalikst podróżował z Bogiem. Najwyższy był jego towarzyszem, doradcą i kompanem.

– Znaczący się był sam?

– Najwyższy był mu towarzyszem...

– A dziewczki jakowejś nie widziałeś w podróży? Odzianej jak mąż. Drobnej, ale w stroju wojownika. Jak Saracen, pewnie w czarnym zawoju na twarzy albo jakoś tak.

– Nikogo takiego nie widziałem. Dziewki w stroju mężów? Mężowie w sukniach kobiet? Nie, takich tu nie było.

Nicetas skinął głową na Muhammada. Ten potwierdził gestem gotowość do dalszej podróży. Gorzej poszło ze Żmudzinami. Ryży bracia dalej tarzali się w kurzu, bełkocząc jakieś bezładne obelgi. Wielka Pięść sprzedał im po kopie w zadek. Dopiero wtedy wskoczyli na siodła.

– Jedziemy, pierdoły! Kalikst dał chodu do Kapadocji. Już jesteśmy blisko!

W tym samym czasie kilka setek kroków dalej na prawo, idąc przez jałową ziemię w kierunku cyprysa, pięciu plugawych najemników Metodego odciągało na bok trupy Wahida i Mustafy. A właściwie to, co z nich zostało. Słońce, ptactwo i robaki zrobiły swoje – ze zbójców pozostały jedynie szkielety obciążone zasuszoną skórą i resztkami zgniłego mięsa.

– Ładnie dostał w arbuza! – zarechotał jeden z drabów, który, sądząc po władczej minie i dumnej postawie, przewodził gromadzie najemnych zbirów. Wyszarpnął z czerepu strzałę, by obejrzeć ostrze, złamał ją z wysiłkiem i prychnął: – Dam se łapę uciąć, że to robota

któregoś rzemieślnika z Konstantynopola. Dobry grot, twarde drzewce, takie robią tylko u nas...

Najemnicy skorzystali z obozowiska Wahida i Mustafy. Zasiedli przy ogniu, dobyli zapasy i wodę z juków i zaczęli posiłek. Jedli w milczeniu, mlaskając i bekając. Wreszcie któryś mruknął:

– Suszone mięso, stary chleb... Co za podłe żarcie! Jak człek nawykł do wygod miasta, to szlajanie się po takich dziurach to jak pokuta za niepopelnione grzechy. Wina by pochłał! Koźłęciny zjadł młodej, pieczonej na ruszcie, i dzban wina do tego. Taka uczta człowiekowi w głowie.

– Przytrząśnij mordzicho, przygłupie! – warknął herszt. – Żryj, co masz, a jak dobrze zrobisz swoją robotę, to będziesz mógł przez cały miesiąc nic, tylko kozy ruchać, a koźleta wcinać.

– Te! Ale tak prawdę mówiąc, to przecie można by tym klechom piwniczkę rozdzwiczyć. I spizarenkę rozpiździć! Dobrać się do tych mięsiw, do tych win, do tych bochnów wielkich jak koła młyńskie. Nawet by se jakiego arbuza zjadł czy inne grono winne niczym jakiś piękniś ze dworu...

– Głupiś! Spójrz na tego klechę! Chudy jak szczapa. Myślisz, że on tam jada mięsiwa i bochny? Że dryni wina z beki? To jakiś zafajdany ciura, tak jak cała reszta tych niedojdów.

Gdy skończyli, zajęli się *chudym jak szczapa klechą*. Bratem Bazyliem pochwyconym chwilę po tym, jak Nicetas Wielka Pięść wraz z kompanami zniknął za najbliższym wzgórzem.

Zakonnik nie zniósł długo przypiekania nad ogniem i wyśpiewał wszystko, a nawet więcej.

Jakiś kwadrans później od grupy najemnych rębajłów Metodego oddzielił się samotny jeździec podążający w stronę Konstantynopola.

Rozdział 13

Obudziło go ciche zgrzytanie i przebłyski światła. Metal ocierał o metal, a promienie – czyżby słońca? – przenikały przez powieki i łaskotały oczy jak źdźbło trawy. Czuł odór stęchlizny pomieszanej z wonią palonego tłuszczu i jakiś metaliczny posmak. Krew, tak, krew zaschnięta na wargach, zlizywana z ust, ożywająca na języku.

Z wysiłkiem otworzył oczy. Spod półprzymkniętych, zaropiałych powiek starał się wyłowić jakieś strzępy otaczającego go świata. Na nic. Mlecznożółte ogniki, ale co poza nimi? Zacisnął na powrót powieki i powoli oddychał.

A ręce? A nogi? A ciało? Poruszył lekko palcami dłoni. Czuł je, więc były na swoim miejscu. Napiął mięśnie rąk, potem nóg. Poluzował. Wszystko miał całe.

– A więc przebudziłeś się...

Ten głos był jak cios maczugą. Kalikst dopiero teraz uzmysłowił sobie, że gdzieś w nim czai się jeszcze jedno odczucie. Ból. Ból w tyle głowy. Tam, gdzie dostał od mnichów w poszarpanych habitach.

Przypomniał sobie wszystko: monastyr, podziemne przejście, oślizgłego potwora z fallusami na całym ciele. I braciszków o twarzach trupów.

– Cny Kalikst Belzebub! – zabrzmiał ponownie zimny głos z oddali. Zniekształcony jak słowa wypowiedane z wnętrza beczki. – Z samego Konstantynopola. Proszę... Nie do wiary...

Skąd on wie? Kto zacz? Jak to możliwe? – pytania bez odpowiedzi roily się w skołatanej głowie.

Nagle wokół siebie dostrzegł kraty. Półokrągłą klatkę z grubych żelaznych prętów, zawieszoną na pordzewiałym łańcuchu. Wyżej zaś – nierówno ciosane kamienne sklepienie i migoczące na nim blaski pochodni porozmieszczanych na ścianach gigantycznej sali.

Rzucił okiem w dół. Od dna pieczary dzieliło go jakieś pięć dziesiątek stóp. Otchłań kończyła się gęstym polem kamiennych stożków stojących równo niczym wojsko w spiczasto zakończonych szyszakach. Nieruchome skalne postaci spowite w mrok.

– Nie ma stąd drogi wyjścia. Zostaniesz tutaj, w tej klatce, panie Kalikst. Belzebub.

Wreszcie spostrzegł, kto do niego mówił – czarno odziany mnich z twarzą skrytą pod kapturem habitu. Stał na skalnym języku wysuniętym ze ściany pieczary i patrzył w kierunku więźnia. Chyba patrzył, tak – na pewno patrzył, choć Kalikst bardziej to czuł, niż widział. Przewyciężając ból, przetarł oczy i skupił wzrok tam, gdzie winna znajdować się twarz zakonnika – pod kapturem.

Zobaczył... Nic nie zobaczył. Tylko czerń. Zimna, bezksiężycowa noc, czeluść bez dna, nieprzenikniony mrok, który przyprawił go o dreszcze. Zadrżał i mimowolnie zamknął oczy.

Poczuł nowy zapach. Trupi smród, duszący i obezwładniający, który przyćmił wszystko inne. Żołądek eksplodował pulsującym bólem.

– Belzebub. Belzebub. Beeel-ze-bub... – powtarzał z namaszczaniem tamten, jakby smakował wykwintną potrawę podaną w złotej misie. – Podoba mi się twoje imię. Baal Zebul. Władca Much. Czarci Książę. Baal Zebul. Czyż to nie brzmi pięknie?

Skąd on wie? Kim jest? Czego chce? – znów pomyślał Kalikst.

– Dowiesz się w swoim czasie, mój drogi książę – obiecał mnich z chrapliwym, złym śmiechem. – Mój książę Baal Zebul. Musisz mi wybaczyć, że tak przywołuję twoje imię, ale doprawdy nie mogę nasycić się brzmieniem tych słów. Bo różni tu do mnie przybywali. Bazyliszek, Długi, jak ci dwaj nieboracy ostatnio. Albo Nicejczyk, Blizna czy Kaprawiec, jak wcześniej. Po prostu zwyczajne pospólstwo. Ale Belzebub... To piękne i szlachetne imię.

Łańcuch skrzypiał złowieszczo. Klatka bujała się lekko, choć Kalikst leżał bez ruchu.

– I kto wie, może jest w nim, w tym twoim imieniu, pewne proroctwo... Baal. Baa-aal. Piękne! Zebul.

– A ty? A ty kim jesteś? – wystękał z wysiłkiem Kalikst.

Zakonnik wybuchnął dudniącym śmiechem.

– Skromnym mnichem, wiernym sługą Pana w Niebiosach. Bez imienia. Teraz już bez imienia, bo nawet imię swoje poświęciłem Jemu. Inni mówią o mnie Czarny Mnich. Możesz tak mnie zwać, gdy będziesz błagał o litość.

Jego głos brzmiał jak pomruk odległej burzy. Mrok wyzierający spod kaptura odbierał Kalikstowi resztkę nadziei, że rozmawia z człowiekiem, może nawet złym człowiekiem, zawsze jednak nie bestią.

Litość? Będę błagał o litość? – Dopiero teraz dotarło do niego znaczenie tych słów. – *Co się stanie? Czego ten... ten Czarny Mnich ode mnie chce? Mojej śmierci? Bólu? Rozpaczy?*

– Jaki los ci pisany, usłyszysz w swoim czasie – rzekł na to ponury zakonnik. Czytał w myślach? A może w zbolałym spojrzeniu pełnym niepewności... – Każdemu jest pisane co innego, każdy ma swoje przeznaczenie, ale wiedza o tym, co zapisano, to tajemnica, która nie może być dana maluczkiemu.

Czarny Mnich odwrócił się i nieśpiesznym krokiem przeszedł na przeciwległy brzeg skalnego języka. Belzebub dopiero teraz zauważył: nad rozpadliną wisiała identyczna klatka jak jego. Pordzewiały łańcuch przytwierdzony do sklepienia. Grube pręty z pokrytego rudym nalotem żelaza. I coś? Ktoś? W środku. Może nic – tego nie wiedział. Do wysokości sześciu stóp, czyli do połowy metalowej konstrukcji, wewnątrz osłaniał parawan z czarnej materii.

Kim on jest, ten drugi? Albo kim ona... – Kalikst zadrżał. Nie chciał dopuścić tej najstraszniejszej myśli.

Tam nie ma nic. Po prostu jest pusto – próbował przekonać sam siebie.

Mnich zarechotał, wypełniając jaskinię ponurym echem. Wiedział, to oczywiste, on wiedział, kto tam jest. Wiedział, co chce z nim zrobić. Wiedział też, że Kalikst boi się o... Ale

mroczny zakonnik nie zamierzał nic mówić na ten temat.

Miał tego rzekł inne słowa:

– Kalikst Belzebub, złodziej z Konstantynopola... W twoim imieniu, przydomku, kryje się pewna magia... Zastanawia mnie, skąd właśnie Belzebub. No bo, jak rzekłem, te wszystkie opryszki noszą jakże trywialne imiona! Te różne Blizny i Kaprawce. W pijackiej burdzie dostanie nożem w policzek – i już jest Blizna. Złapie chorobę zamorską od cudzoziemskiej kurtyzany – i już jest Kaprawcem. Wyrośnięty – no to Olbrzym, lubi dużo zjeść – to Barani Udziec. Ale Belzebub? Skąd to imię?

Przerwał na chwilę. Nie, nie po to, by usłyszeć odpowiedź. Raczej by utwierdzić się w swoim przekonaniu:

– Wiem, nie jesteś skory do pogawędek. Zresztą to jeno dygresja, a jest w tym wszystkim inny aspekt, znacznie ciekawszy. Chodzi o to, panie z pięknym przydomkiem, że twoje imię – jak mi się zdaje – opisuje twoje losy i twoje zdolności. No weźmy to – nikt inny nie dotarł tu aż tak daleko. Muszę powiedzieć, jestem pełen podziwu. Ci nieudacznicy, których – jak mniemam – widziałeś przed bramą, nie potrafili wykazać się takim pomysłem, sprytem i zręcznością. Tamci szli, zauważ, pozornie najprostsza droga, jednak mieli w sobie zbyt wiele buty i lekceważenia. Byli nazbyt pewni siebie. A tyś obrał najtrudniejszą drogę. Ech tam, drogę! Toż przecie nie jest żadna droga, jeno szczeliny i dziury w ścianach, wąskie przesmyki wyrzeźbione przez deszcz i wiatr.

Głos mnicha szedł echem po jaskini, objając się po ścianach. Dudniący rezonans potęgował ból w tyle głowy Kaliksta. Przed oczami zatańczyły mu czerwone płatki. Opuścił powieki i opadł bez sił na dno klatki, uspokajając łoskot narastający pod czaszką.

Ponury zakonnik ruszył na koniec kamiennego języka, gdzie znajdowała się okrągła platforma. Na niej stał szeroki katafalk wykonany z kamienia jakże innego niż okoliczne skały. Z porfiru, różowego marmuru cesarzy.

– I co więcej, udało ci się – przemówił znowu mnich. – Udało ci się nawet niezgorzej poturbować mojego strażnika.

Kalikst zadrżał z ohydą na wspomnienie oślizgłego potwora.

– To takie jedno niezbyt udane dzieło. Zlepiłem go z kilku ciał, z których uleciał już duch. No a te fallusy... Czy wiesz, że jest ich dokładnie sześćset sześćdziesiąt sześć? Niektórzy doszukują się w tej liczbie jakiegoś diabelskiego znaczenia, ale – zapewne nie uwierzysz – to był jeno przypadek. Tylu nieproszonych gości odwiedziło mnie w ostatnim czasie, dostarczając mi budulca do moich działań. Jaka była w nich żywotność, chęć życia! Najlepszy dowód, że już po przeniesieniu ich członków do ciała mojego golema one wciąż chętnie stawały na baczność. Jak mówię, to jedno z moich niezbyt udanych dzieł, dlatego wypędziłem go do podziemi, by tam żył i pilnował drogi do monasteru. Jednak dobrze, że go nie zabiłem. Byłbym wielce niepokieszony. Wielce niepokieszony...

Zakonnik w czarnym habicie przesunął dłonią nad katafalkiem i zamarł, patrząc

w zamyśleniu na wzory pokrywające kamień.

– Dwóch... Nie, trzech zbłąkanych wędrowców, którzy okazali tyle samo sprytu co ty i wybrali tamtą drogę, skończyło bardzo źle. Mój strażnik rozszarpał ich na strzępy, starł na miazgę... No, tylko się mogę domyślać, co im tam jeszcze robił. Ale to chyba miłsza śmierć, niż stanąć na kołku przed bramą. Cokolwiek by ten mój strażnik wyczyniał.

Mnich zamilkł, kiwając głową. Belzebub podczołgał się do prętów klatki. Usiadł z wysiłkiem.

– To wszystko mówi mi, że twoja obecność tutaj nie jest przypadkowa. Już sam fakt, że znałeś tamtą drogę, zdradza, że wiedziałeś, którędy iść. Ale iść po co? Oto zasadnicze pytanie... Przyjdzie czas, że zdradzisz mi, po co i z czyjego nadania. Ja zresztą i tak wiem. Ja wiem wszystko... – Zakonnik nagle obrócił się w tył, odrywając wzrok od katafalku.

Kalikst poczuł paraliżujący chłód. Zobaczył czerwone płatki przed oczami i ból dźgnął go w tył głowy.

Znów był szum pod czaszką i zgrzyt łańcucha. Metal tarł o metal, trupi smród dusił...

Belzebub zapadł w ciemność bez czucia.

* * *

Szuranie. I chlupot wody.

Kiedy się ocknął, Czarnego Mnicha już nie było. Tylko braciszkanie, jego trupi pomocnicy, chodzili po zakamarkach podziemnej sali. Dwóch, trąc katafalk wiechciami wysuszonej trawy, szorowało go do połysku. Trzeci pomagał im, lejąc na porfirowy blok wodę z cebra. Jeszcze inni kręcili się u nasady skalnego języka. Kalikst, wciąż walcząc z paraliżującym bólem, podpełzł na brzeg klatki.

Wcześniej tego nie widział – w miejscu, gdzie skalny most odchodził od ścian pieczary, znajdował się niewielki placyk. Tam też dostrzegł żelazną konstrukcję osadzoną w kamiennych fundamentach. Z niej wychodziły łańcuchy poprowadzone do sklepienia jaskini, do zębatach kół utrzymujących klatkę w powietrzu. Mnisi w milczeniu oliwili wielkie tryby i korbę, maszynię, która pozwalała opuszczać i podnosić to niewielkie więzienie.

Spojrzał dalej, na układ porzewiałych kół i ogniów. I na drugą klatkę, taką samą jak jego, tylko osłoniętą czarnym parawanem.

Próbował przebić wzrokiem zaslonę przerażony myślą, której nie miał siły odpędzić: *Zoe! Zoe, Zoe, Zoe! Ty nikczemny bydlaku, czego od niej chcesz? Jak ją złapałeś? Po co?*

Czyżby dziewczyna poszła za nim tą samą podziemną drogą? To byłoby do niej podobne. Skoro wyruszyła z Konstantynopola, skoro tropiła go przez kilka dni w drodze do Kapadocji, nie mogła przecież teraz odpuścić. Oto cała Zoe. I teraz ma za swoje!

Ale to moja wina – wyrzucał sobie z goryczą. – Trzeba było odstąpić od tego szaleńczego planu, tak jak radziła. Co teraz nas czeka? Jaki los nam zaplanował Czarny Mnich?

Nawet nie chciał o tym myśleć. Nie, nie chodziło już o niego samego. O nią!

A mogło być zupełnie inaczej. Gildia... Te wszystkie intrygi. Frakcje. Atanazy i Eutymiusz. Walka o wpływy. To wszystko nic. To wszystko nie było nic warte. Tak naprawdę liczyła się tylko ona. Wciąż się liczy, ale teraz już chyba za późno. A mogli razem... Ech, im dłużej to rozpamiętywał, tym większy czuł ból w duszy.

Wbił wzrok w zasłonę na klatce. Nic. Łańcuch bujał się lekko, jakby całą konstrukcją poruszał wiatr. Zgrzyt ogniów. Metal o metal. Jednak pod czarną płachtą nie dostrzegł najmniejszego ruchu.

Może jej tam nie ma? Może tam nikogo nie ma? Ale wtedy po co ta zasłona? Wtedy w ogóle po co ta klatka zawieszona nad przepaścią? Więzi powietrze? Nie, tam ktoś musi być.

Z drugiej strony, jeżeli to Zoe, to i tak na razie byli w lepszej sytuacji niż szpiedzy wysłani przez Atanazego. Maksymus Bazyliszek i Długi Konstantyn. Tamci od razu poszli na pal, więc od nich – od Kaliksta i dziewczyny – ten ponury szatan w mnisim habicie czegoś musi chcieć.

Ja wiem wszystko – przypomniały mu się słowa Czarnego Mnicha. – Zdradzisz mi, z czyjego nadania.

To nie miało sensu. Skoro wie, to czego potrzebuje więcej? Poddania się? Rozpaczy? Wyznania winy? Błagań o litość? Jaki mroczny plan kiełkował w głowie ponurego zakonnika?

– Ej... – chciał zawołać, ale tylko zaniósł się suchym kaszlem. Splunął i spróbował jeszcze raz. – Ej, wy tam! *Koproskilo!* Do was mówię, zasrani piekielni braciszku!

Nic. Żadnej reakcji. Tamci w spokoju, wręcz w transie, robili swoje. Czyścili porfirowy katafalk. Oliwili tryby machinerii. Kręcili się po jaskini, wymieniając spalone pochodnie na nowe.

– Ej, wy tam! Gdzie jest wasz pan!? Czego on ode mnie chce? Mówcie, przeklęte czarne kaptury!

Jakby go nie słyszeli. Jakby go tu w ogóle nie było. Jakby nie trząsał klatką, ciskając przekleństwa i groźby.

Wreszcie zaprzestał tych próżnych działań. Skupił wzrok na drugiej wiszącej celi i zawołał:

– Zoe! Jesteś tam?! Zoe, słyszysz mnie?

Dostrzegł coś jakby ruch czarnej zasłony. Może to był ten wiatr nie wiatr, a może to ona? Wpatrywał się uporczywie w płachtę.

– Zoe! Zoe, słyszysz mnie? Powiedz coś! To ja, Kalikst! Daj jakiś znak!

Nie dała. Najwyraźniej w sąsiedniej klatce nikogo jednak nie było.

Opadł na podłogę swojego więzienia. Właściwie powinien się cieszyć: w końcu Zoe jest wolna, ale już prawie uwierzył, że razem są w łapach tego szaleńca, i zamiast radości czuł się samotny i zrezygnowany. Na domiar złego złodziejski instynkt nie podpowiadał mu, jak

można stąd uciec. Najdziwniejsze, że w klatce nie było żadnych drzwiczek ani otworu w dnie. Więc jak go tu wsadzili? Zaczął obmacywać poszczególne pręty i popychać je w górę, w dół, na boki. Nic, ani drgnęły. Były dokładnie dopasowane albo też trzymała je na miejscu...

Magia.

* * *

Roussel de Bailleul był przesadnie uprzejmy. Dworską etykietę traktował z namaszczeniem, jednak wkładał w to tyle nadmiernej gorliwości, że wszyscy, którzy znali tego normńskiego najemnika, dostrzegali w jego zachowaniu drwinę, a nie szacunek. Rycerz o zaciętym obliczu zgodnie ze zwyczajem padł na twarz przed cesarskim tronem, jednak w jego oczach lśniły kpiące ogniki. Ten człowiek, nawet leżąc na posadzce sali tronowej, demonstrował swoją butę i pogardę.

Roman IV Diogenes machnął ze zniecierpliwieniem dłonią. Wolał rozmawiać z de Bailleulem na osobności, jednak na to nie pozwalała celebra ani zasady polityki.

Najemnik wstał z podłogi, by postąpić kilka kroków naprzód. Wbił w cesarza buńczuczne spojrzenie i zamarł w oczekiwaniu na słowa władcy.

Powinienem go obić albo nawet skrócić o głowę – pomyślał Roman. – Nie potrzeba mi jednak szemrania wśród Normanów. I tak są bliscy buntu, a gdybym go zabił, porzuciliby jakiegokolwiek zobowiązania wobec imperium. Zapomnieli, psie pomioty, co to lojalność.

Zresztą to nie była kwestia lojalności, ale pieniędzy, których *basileus* wciąż nie wypłacił najemnikom za poprzednie kampanie. W tej chwili najbardziej żałował, że część solidów została jednak przekazana, za co Normanowie korzystali z życia, kupując sobie w Konstantynopolu domostwa, miłość płatnych dziewczek, wino i wyborne jadlo. I zbrojąc się dzięki mistrzom płatnerstwa i kupcom ze stolicy. Tak, jest tylko jedna rzecz gorsza niż niespłacony wierzyciel – wierzyciel częściowo spłacony.

Druga część zobowiązań wciąż pozostawała po stronie cesarstwa. Wojna z Seldżukami przed siedmiu laty, następujące po niej konflikty zbrojne na Sycylii, w Bułgarii, a także liczne, choć mniej znaczące, podjazdy ze strony Pieczyngów i plemion Rusów, wciąż wymagały zaangażowania najemników. Roman Diogenes sponsepniał – już sama obecność de Bailleula uzmysławiała mu jego słabość. Słabość imperium. Dochody szły na utrzymanie fasady, jednak na solidne zaplecze brakowało już żywego złota. Były tylko chęci, obietnice i... długi.

Cesarz znajdował w tym jednak pocieszenie – bunty stłumione rękami Normanów w Bułgarii i Armenii sprawiły, że teraz te ziemie znów dostarczały wojennych kontyngentów. Teraz, dzięki nim oraz wsparciu odbudowanej piechoty temowej, *basileus* Diogenes mógł przesunąć ciężar działań wojennych na własne siły. A zachodnich najemników odesłać do domu. Raz na zawsze, kończąc z błędami poprzednich władców.

Wciąż jednak pozostawała kwestia długów.

– Rousselu de Bailleul... Chciałbym, żebyś mi wyświadczył pewną drobną przysługę.

Rycerz skłonił się i spojrzał z zaciekawieniem w stronę tronu.

Spodziewa się, że sypnę teraz złotem i obiecuję ci jeszcze więcej – przemknęło przez myśl cesarzowi. – Trudno, będzie rozczarowany.

– Chcę, żebyś zdobył dla mnie Antiochię, Rousselu. Antiochię, która jest teraz w rękach naszych odwiecznych wrogów, Turków seldżuckich.

Najemnik ani mrugnął.

– Antiochia... – ciągnął z rozmarzeniem władca. – Złote miasto, od wieków należące do cesarstwa, przeszło sto lat temu ponownie odbite przez Nicefora Fokasa z rąk Saracenów... Jej utrata siedem lat temu to cena zwycięstwa pod Manzikert. Ale tak musiało być! Aby utrzymać dziki żywioł z dala od stolicy, należało umocnić twierdze na pograniczu i tam trwać. Lata spokoju pokazały, że to poświęcenie było słuszne.

Cesarz zamilkł na chwilę – w duszy czuł coś innego. Zdobycie Antiochii przez Seldżuków uznawał zawsze za swoją porażkę. Ale o tym nie mówił nikomu.

– Jak zapewne wiesz – kontynuował – dziś na pograniczu jest wielce niespokojnie. Sułtan Malik Szach, od lat wraz ze swymi dzikimi wojownikami pustoszący Syrię, teraz ruszył na Palestynę, wypierając dotychczasowych zarządców tej ziemi – Fatymidów. Jako że Fatymidzi są naszymi stronnikami i wiernymi sojusznikami, zaś do chrześcijan mieli stosunek przyjazny, winniśmy zrobić z tym porządek. Tym bardziej że Seldżuk kpi sobie z wiary Chrystusowej i nie zna litości dla jej wiernych wyznawców. Malik Szach zniszczył te ziemie, zaś jego niepowstrzymana żądza krwi i złota nie pozwala poprzestać mu tylko na tym. Nie tylko złupi Grób Pański, jeżeli jeszcze tego nie zrobił, ale także zamierza iść na Konstantynopol. Twierdz w Armenii nie przejdzie, jednak będzie łupił pogranicze, wprowadzając niepokój, siejąc zniszczenie i łyż. Jako cesarz imperium nie mogę do tego dopuścić. Dlatego chcę, żebyś wraz ze swoimi ludźmi zdobył dla mnie Antiochię.

De Bailleul w milczeniu skłonił się, skrywając przed oczami władcy zdziwienie i zniecierpliwione ściąganie brwi.

Wojna to moje powołanie i rzemiosło – myślał. – Jak jednak zamierzasz, cesarzu, rozwiązać kwestię niespłaconych dotąd należności? Nie jestem twym poddanym, nie muszę więc słuchać twych rozkazów. Za to chętnie posłucham twego złota.

Basileus obrócił na niego srogie oblicze. Wbił wzrok w szare oczy Normana, jednak rycerz ani drgnął. Jego twarz była niczym skała – surowo ciosana, bez najmniejszego gestu. Czekał, hardo znosząc spojrzenie cesarza, w końcu jednak, przez należyty szacunek, znów opuścił głowę.

Władca mówił dalej:

– Autokrator nawet największego mocarstwa byłby głupcem, gdyby w takiej chwili lekce sobie ważył wpływ pieniądza na lojalność. I wpływ braku tegoż na brak oddania. Wiedz

zatem, że jako stary żołnierz i generał wiem coś o szczególnych właściwościach złota, gdy chodzi o morale wojska. Dlatego też moja propozycja – a wierzę, że jej nie odrzucisz – brzmi następująco: dotychczasowe należności zostaną wyrównane. Już wydałem dyspozycję moim logotetom, by przygotowali dla ciebie, jak również dla twych ludzi, należną kwotę w złocie wraz ze stosowną rekompensatą za zaległy czas. Myślę, że tym samym nasze wzajemne zobowiązania możemy uznać za niebyłe. I tym samym zaczynamy od podstaw. Zaczynamy nową erę w dziejach. Antiochia! Zdobędziesz dla mnie Antiochię – twój nowy cel i nagrodę zarazem. To bogate miasto, więc wszystko, co w nim znajdziesz, będzie twoje. Do pomocy dam ci niezbędne wsparcie – bądź co bądź jest to twierdza otoczona murami. Jednak moje oddziały nie będą uczestniczyły w podziale zdobyczy. Ile będzie wsparcia z naszej strony, o tym jeszcze zadecydują taktycy, jednak możesz być pewien, że otrzymasz niezbędne siły. Potem dam ci trzy dni od zdobycia Antiochii. Przez ten czas korzystaj do woli, a później rządy nad miastem obejmę ja, *basileus Rhomaiôn*, najpierw przez moją gwardię wareską, a później osobiście. Myślę, że to więcej niż uczciwa propozycja, rzadko się bowiem zdarza, by władca oddawał w całości łupy swoim najemnikom.

Cesarz spojrział pytająco na rycerza. Roussel de Bailleul wciągnął ze świstem powietrze do płuc i potoczył wzrokiem po zebranych w sali.

– Zaiste to wspaniała propozycja, za którą z całego serca dziękuję, cesarzu. Antiochia to zasobne miasto, zaiste słynne ze swych złotych wież i bogactw zgromadzonych przez seldżuckich najeźdźców. Jednak zezwól, panie, że wyrażę swoje wątpliwości.

– Mów, Rousselu.

– Otóż moi rycerze, tłumiąc bunty w Bułgarii i walcząc z Pieczyngami, zostali zdziesiątkowani. Brak mi sił, by podjąć tak poważną wyprawę. Jak sam rzekłeś, panie, jest to warownia, twierdza, której nie zdobędzie garstka nawet najmężniejszych żołnierzy.

– Toteż powiadam: otrzymasz wsparcie. Oddziały Armeńczyków oraz doborowe siły cesarstwa. Oraz naszą cudowną broń, przed którą najeźdźcy ze stepów zawsze odczuwali przemożny strach. Ogień grecki. Na to nie ma mocnych.

– Dziękuję, panie. Ale pragnąłbym mieć osobisty wpływ na to, kto stoi przy moim boku.

Roman IV skrzywił się.

– Czyżbyś nie ufał moim najlepszym żołnierzom? Czyżbyś powątpiewał w ich odwagę, siłę i wyszkolenie? Czyżbyś wątpił, że nasza broń zalewająca przeciwników ogniem płomieni i ogniem paniki, nasza broń, przed którą w strachu uchodzą nawet najdzielniejsi z armii Saracenów... – wyrzucił *basileus* na jednym wydechu i urwał, by zaczerpnąć powietrza. – Czyżbyś chciał powiedzieć, że ten geniusz myśli greckiego inżyniera, Kalinnikosa, nie jest dla ciebie i twych rycerzy należywym wsparciem w walce z dzikusami, którzy mają jeno łuki i skórzane zbroje?

Najemnik zmilczał. Ponuro łypiąc na boki, unikał wzroku cesarza.

– Dobrze – rzekł ten po chwili milczenia. – A zatem najważniejszą kwestię już

rozstrzygnęliśmy.

W tej chwili do sali cicho wślizgnął się jeden z logotetów. Sunąc wzdłuż ściany, dotarł do półkolistego postumentu, na którym stał cesarski tron. Padł na twarz.

Diogenes niecierpliwym gestem kazał mu powstać. Urzędnik poderwał się w górę, jednak nie miał śmiałości, by wznieść głowę powyżej ramion. Wreszcie podszedł do boku tronu i szeptem przekazał wiadomość.

Cesarz pokiwał głową. Spojrzał surowo na de Bailleula i rzekł:

– I oto już czeka na ciebie i twych ludzi obiecane złoto. Wszelkie należności, jakie jest ci winne cesarstwo. Jednak, mając na względzie ogrom zadań, jakie się przed tobą znalazły, zarządzam, by pieniądź pozostał w depozycie aż do waszego powrotu z Antiochii. To ustrzeże was przed pokusami, przed zbytnią rozrzutnością, która oznaczałaby dla was utratę gotowości i ducha bojowego. Złoto pozostanie tu, w Konstantynopolu. Roussel podniósł hardo głowę i wykrzyknął:

– Jakże to tak?! Nie godzi się, nie taka była umowa! Te pieniądze są mi należne! Mi i moim ludziom! Czy tak postępuje władca imperium, które sięga najdalszych ziem na wschodzie i zachodzie?!

Basileus spurpurowiał. Powstał z tronu i dał znak gwardzistom. Trzech strażników doskoczyło do Normana. Na jego szyi zatrzymały się ostrza mieczy.

Roman IV długo patrzył na de Bailleula, zaś po jego obliczu sunęły burzowe chmury. Wreszcie trzasnęły ostre pioruny słów:

– Zapominasz, barbarzyńco, kto tu jest panem! Ja jestem panem! Ja, *basileus Rhomaiôn*, a tyś mi winien posłuszeństwo, najemniku. Za jego brak, za taką obrazę, winienes oddać życie, jednak wiem, żeś ze znamienitego rodu... No i wciąż jesteś mi potrzebny, a ja jestem potrzebny tobie. Bo czemuż nie wracasz do Italii, czy skąd tam przywiodły cię wiatry i żądza złota? Czyż nie dlatego, że Konstantynopol jest ostatnim miejscem, w którym nikt nie patrzy na przeszłość twoją i twoich ludzi? Czy nie jest tak, że wracając do zachodnich królestw, musiałbyś oddać głowę katu jeszcze szybciej, niż ja bym cię wydał na śmierć? Chcesz – wracaj! Złota nie dostaniesz, nie dla ciebie skarby Antiochii. Co cię czeka w twojej ojczyźnie? Jeżeli masz jeszcze ojczyznę! Sycylię mieczem i krwią przywróciłem na łono cesarstwa. Boemund z Tarentu również był butny jak ty i za to spotkała go należyta kara. Jego śmierć nie będzie opiewana przez minstrela, bo nikt by nie chciał takiej śmierci. A jak zechcę, kto wie, może sięgnę i po Królestwo Italii należne cesarstwu jak żona mężowi. Przyszłoby mi to z łatwością. Germański król Henryk IV co prawda ukorzył się w Canossie przed rzymskim biskupem, jednak powiadają, że nie porzucił swoich rojeń o inwestyturze i cesarskiej koronie. Mówią, że chce powołać antypapieża czy antybiskupa rzymskiego, jak go tam zwać. Nie stawałby on w obronie Italii, widząc potęgę cesarstwa, o nie! Zatem czy może powrócisz, drogi Rousselu, do swej pierwotnej ojczyzny daleko na północy, skąd przyszedł wasz wojowniczy i nieokrzesany naród? Tam jednak o złocie Syrii nie marzy nawet

najznamienitszy król, a co dopiero zwykły najemnik?

Zapadła cisza. Cesarz chwilę jeszcze ciskał z oczu gromy na Normana, wreszcie opadł na tron. Pstryknięciem palców odesłał gwardię pałacową na miejsce pod ścianą sali. De Bailleul otarł twarz, poprawił pas i podniósł się. Nie przekroczył jednak granicy wyznaczonej przez protokół – głowa pozostawała poniżej ramion.

– A zresztą... – rzekł dobrotliwe Roman Diogenes. – Niech tam będzie! Chcecie przepuścić złoto w tawernach na wino i insze uciechy – to nie moja rzecz. W końcu czeka was bój, więc zabawa jest wam należna, byle nie za dużo. Zatem rozkażę wydać logotetom... Hmm... Niech będzie szósta część waszego złota, jednak ten pieniądz musicie także przeznaczyć na ekwipunek wojenny. Myśl o Antiochii, Rousselu! Nie o tym złocie tutaj. Zaiste poeci i podróżnicy dużo mówią o tym bogatym mieście, skarby tam takie, że rychło zapomnisz o tych solidach, które będą na ciebie czekać w stolicy. A nawet więcej – z łaski cesarza obsypany złotem cudownego miasta w Syrii nie będziesz chciał tu nawet wrócić, w pogardzie machając ręką na to, co po zdobyciu miasta wyda ci się jeno jałmużną. Obiecuję ci więcej, niż możesz sobie wyobrazić. Doceń to i bądź mi wierny.

Władca wykonał szeroki gest ręką, dając znak, że audiencja skończona. Po chwili pozostał sam, jeno w towarzystwie Italosa.

– Czy nie sądzisz, panie, że to było całkiem zbędne? – zapytał filozof. – Upokarzając de Bailleula, zaczynasz czynić sobie w nim wroga. Zechciej wysłuchać mej rady, cesarzu. Barbarzyńcy łatwiej niż *Romaioi* unoszą się dumą. Pustą dumą – ot, jak sam raczyłeś zauważyć, łacinnicy mają ten zwyczaj, że opiewają czyny rycerzy w pieśniach, wierszach, eposach. Jakby Bóg specjalnie dla nich cofnął piąte przykazanie. Wojnę oni uważają za zajęcie miłe Stwórcy, warte najwyższej ceny, godne szacunku i podziwu. Nie znają tedy pokory, a są butni w przekonaniu, że miecz w dłoni czyni ich apostołami wiary, honoru i wszelkich wartości, które stoją u podstaw chrześcijańskiej cywilizacji... Wobec powyższego upokarzanie rycerza, choćby i najemnika, to szukanie sobie wroga. Będzie teraz nasz Roussel mełł w złości myśli i słowa nienawiści do twojego majestatu i nie trzeba zbyt wiele, by obrócił się przeciwko tobie.

Basileus odpędził niedbałym gestem osę krążącą nad złotą paterą z owocami. Sięgnął po dorodną brzoskwinie i zatopił w niej usta. Przelknąwszy kęs, z niechęcią odrzucił resztkę do misy.

– Tak, tak. Znam Normanów i wiem równie dobrze, że dla nich najwięcej znaczy jeno blichtr i chwała. Za Roussela de Bailleul nie dałbym złamanego *nummi*. Gdyby nadarzyła się okazja, gdyby tylko dojrzał w tym jakieś doraźne korzyści, ten najemnik zdradziłby mnie chociażby z Seldżukami. Wiem też jednak, że chciwość jest w nim większa niż duma. Bo jak sam zauważyłeś, Italosie, jest to duma pusta, pozbawiona głębi.

– Niemniej... Złe czasy nastały i sojuszników, jeśli trzeba, należy szukać także wśród barbarzyńców. Nie jest to zbyt roztropne, by ich do siebie zrażać.

– Prawdę mówisz, mędrco, jednak tutaj mamy co innego. Roussel de Bailleul nie zdobędzie dla mnie Antiochii. Przekonany, że takie jest jego zadanie, nie dostrzeże swej prawdziwej powinności. On ma słać Seldżuków na pograniczu, przetrzebić dzicz ze stepów pustoszącą piękną Syrię i umrzeć. Umrzeć bohaterską śmiercią, żeby mogli go później opiewać w swych pieśniach minstrele. Jak dzielnego rycerza, bohatera, obrońcę chrześcijaństwa.

Italos zarechotał. Rzecz niepodobna do niego, ale jednak! Mierzwiąc brodę, rzekł:

– Zmyślny plan, panie. Ale skąd pewność, że to się powiedzie?

– Rzecz jasna, tego nie zaplanujemy w każdym szczególe. Chodzi jednak o to, żeby najemników posłać w bój bez szans. Uda im się przebić i zdobyć miasto – to dobrze, cesarstwo na tym tylko zyska. Wtedy dam im to, co obiecałem, niech mają swoje złoto Antiochii. Dostaną też następne zadanie – zdobycie Laodycei czy twierdzy Ma'arrat. Jeżeli padną pod Antiochią, to też dobrze. Oczyszczą przedpole, a my usuniemy intrygantów wołających: *Złota, złota, więcej złota!*

– Czyli jednak... Chcesz tak zrobić, panie?

– Tak. I to jeszcze nie koniec. Damy mu do pomocy doborowe oddziały...

Filozof ściągnął brwi ze zdziwienia.

– Myślałem, że to było jeno tak na zachętę...

– Owszem, na zachętę. Dostanie doborowe oddziały złożone z opryszków czekających w kazamatach na wyrok sądu. Z morderców, złodziei, uciekinierów z armii, fałszywych proroków, z całej ludzkiej szumowiny, która zatruwa życie Konstantynopola. Pozbędziemy się jej raz na zawsze, a przynajmniej na kilka lat. Damy broje, broń, błogosławieństwo patriarchy i niech ten pomiot rusza w drogę zdobywać Antiochię na chwałę cesarstwa. Zdołają przeżyć, to spłacą swój dług, a ich zbrodnie zostaną zapomniane. Ale jestem pewien, że będzie to ich ostatni bój. Fatymidzi nie posyłałoby posła, gdyby tę wojnę można było wygrać garstką obwiesiów.

Po chwili zastanowienia cesarz dodał:

– Na tym jednak nie koniec. Chcę, żeby na czele naszych wojsk stanął Aleksy Komnen.

– Aleksy Komnen? Mogę się domyślać, panie, twoich intencji, ale...

– Komnen roi o wielkich podbojach. Słyszałeś, co niedawno mówił, Italosie? Roi o cesarstwie jak za Justyniana. Dajmy mu tę szansę! Niech walczy i zdobywa! Niech ma wreszcie okazję porzucić dworskie sale na rzecz owianego kurzem pola boju. Niech słodkie owoce zamieni na gorzki smak krwi. Misę z jadem i nóż do odkrawania jagnięciny na tarczę i miecz, ku chwale imperium!

– Aleksy to niebezpieczny przeciwnik...

– Niebezpieczny. Dobry wódz, ma poparcie rodów, zręczny mówca. I marzy mu się tron. Ja to wiem! Nie potrzebuję twoich wizji, by ocenić, że Komnen tak samo pożąda cesarskiej korony jak Michał Dukas. Może nawet jeszcze bardziej. Chodzi o to, żeby usunąć go

z Konstantynopola. Usunąć na zawsze.

– A bunt? Pomyślałeś, panie, że zbrodniarze pod dowództwem Komnena, wraz z najemnikami upokorzonego de Bailleula, obrócą się przeciwko tobie? To duża pokusa, a porzuconych na pastwę seldżuckiego żywiołu może zjednoczyć wspólna nienawiść przeciwko tobie.

Cesarz zszedł z tronu i ruszył ku drzwiom. W przelocie rzucił jeszcze:

– Tuż za nimi będzie postępować cała armia cesarstwa. Waregowie, Bułgarzy, Rusowie, Armeńczycy i koloni w odwodzie. I ciężkozbrojna jazda *klibanophoroi*, moi najlepsi woje. A na ich czele ja. Buntownicy nie przejdą linii pogranicza. Antiochia albo śmierć.

Rozdział 14

Później mnisi odeszli, gasząc wszystkie pochodnie. Zapadły ciemności.

Leżał w nieprzeniknionej czerni tak długo, aż zatracił rachubę czasu. Minęło ćwierć dnia? Pół? Cały dzień? Tego nie wiedział. Starał się zasnąć, uciec na chwilę w inny wymiar, żeby w tym drugim świecie znaleźć chociaż kilka chwil ukojenia. Żeby ujść przed czarną beznadzieją. Leżał nieruchomo, osłaniając głowę rękami, w letargu, ale bez snu.

Szumiało mu w głowie. Nie mógł tego znieść.

– Heej! – krzyknął, ale słowa zaraz uwięzły w gardle. Głos stłumiła otaczająca go wata, jak bele ciemnego materiału ułożone jedna na drugiej, ciasno wokół prętów.

– Heej, jest tam kto...?! – ponowił próbę, ale wtedy nagle doszedł do głosu zmysł zagłuszany dotąd przez wzrok i słuch. Poczul czyjąś obecność, blisko, tuż obok prętów klatki.

Cofnął się do środka swojego żelaznego więzienia ogarnięty narastającą paniką.

Czuł obecność czegoś czy kogoś na wyciągnięcie ręki. Jakby ciemność wypełniająca jaskinię zgęstniała do konsystencji smoły, jakby z tej smoły wychynął wąż oplatający pręty klatki, jakby w cichości szykował się, by zadać cios zębami-puginałami pełnymi jadu.

– Odejdź... Odejdź... – szeptał Kalikst, zaciskając palce. – Odejdź.

Skoczył w przód i precyzyjnie ramiona między prętami klatki, zamierzył się pięścią w ciemność. Rozluźnił palce i rozczapierzywszy je, pochwycił skrytego w mroku przeciwnika.

Pochwycił powietrze. Nic.

Zrezygnowany opadł na kolana.

Nagle zakłuło go w oczy światło. Kolejna mara? Znow miraż w ciemności?

Nie, blask narastał. Przy wejściu do jaskini załśnił płomień. Ogień pochodni.

A potem następne. Było ich coraz więcej, nagle skalną rozpadlinę wypełnił nierówny blask i chybotliwe cienie.

Czarny Mnich. Kilka kroków za nim w równym szeregu szło sześciu, nie, ośmiu czy dziesięciu braciszków. Każdy niósł płonąca żagiew. Pochód sunął w milczeniu w stronę porfirowego katafalku.

Mnich wstrzymał procesję i dał znak swoim pomocnikom. Ci natychmiast rozbiegli się po skalnych ścieżkach poprowadzonych tuż przy ścianach sali. Zaczęli zapalać pochodnie.

– Mój zacny panie Belzebubie, mija już tydzień, odkąd przyjąłeś mą gościnę, i najwyższy czas, by naszą znajomość nieco pogłębić.

Tydzień? Jak? Kiedy? Niemożliwe? Przecież... – łomotało się w głowie Kaliksta.

Osowiały patrzył na dziwną procesję, zastanawiając się, co tym razem szykuje

osobnik w czerni.

Zakonnik nie dał mu długo czekać. Postąpił kilka kroków w stronę drugiej klatki i przemówił:

– Zapewne zachodzisz w głowę, co w niej jest. Zapewne swój czas tutaj spędzałeś, snując domysły, co skryte jest pod zasłoną.

Tak, owszem, tak było. I co z tego? Przeklęty, szalony dręczycielu w habicie, co z tego?!

– Powiem ci. Powiem ci i zaraz pokażę. Jest tam ktoś tobie bardzo bliski. Ktoś bardzo ci znany. Ktoś, kto cię rozumie jak nikt inny...

Zoe! Więc jednak...

Czarny Mnich tylko się zaśmiał nieprzyjemnym, chrapliwym rechotem. Uniósł dłoń i skinął na pomocników. Płachta poszła w dół.

Kalikst dopadł prętów klatki. Zobaczył... Nie, to nie była Zoe.

Nie od razu zrozumiał. Nie od razu poznał tę postać w czarnym stroju saraceńskiego rozbójnika. Prawda docierała do niego powoli jak pugiinał nieśpiesznie wbijany prosto w serce.

Zobaczył siebie.

Ten sam strój. Te same rysy twarzy. Te same włosy. Ten sam strach w oczach, który paraliżował jego serce. Zresztą nie tylko wygląd... Po prostu poczuł to. Poczuł, że ta stłamszona postać w drugiej klatce to był on.

Jak to możliwe? I o co chodzi? Jak to ja? Przecież jestem tutaj. Skoro jestem tutaj, to nie mogę być tam. Nie miałem brata bliźniaka, więc to nie jest mój brat bliźniak. Więc kto? Co? O co? O co chodzi?

Posępny braciszek znów wypełnił jaskinię swoim chrapliwym śmiechem.

Dwóch innych doskoczyło do kołowrotu. Zakręcili nim. Długie ramię z drewna okutego żelazem, przypominające żuraw studni, ruszyło z cichym westchnieniem w bok, przesuając się nad skalny pomost. Później uruchomili kolejny kołowrót, mniejszy, wypełniając pieczarę jękiem przesuwanym łańcuchów. Po chwili klatka z drugim Kalikstem, zgrzytając, opadła tuż obok kamiennego katafalku.

– Tak, to jesteś ty. Ty i nie ty zarazem. Twoje ciało, twoje spojrzenie przerażonych oczu. Twój głos, o czym jeszcze się przekonasz. Kalikst Belzebub, kropka w kropkę.

Mnich podszedł do krat i w milczeniu patrzył na swego więźnia. Nie odrywając odeń wzroku, rzekł:

– Bogomili. Paulicjanie. Ci wszyscy zatraceni manichejczycy... Myślą, że posiadli *gnosis*, że została im objawiona prawda o świecie, o dziele stworzenia, o Bogu najwyższym i naturze człowieka. Ich słowa są jak zatruty cierń, nie tylko ranią, lecz także sączą jad do krwi.

Kalikst puścił te rozważania mimo uszu. Początkowo, w pierwszym odruchu, próbował złapać sens tego, co mówi zakonnik. Jednak roztrząsanie Bożych planów wobec człowieka pozostawiał filozofom i świętym mężom. I tak dość już się nasłuchiwał w Konstantynopolu

rozmaitych głosicieli prawd objawionych czy nawet nieobjawionych, ale właśnie odkrytych przez natchnionych heretyków i namaszczonych szarlatanów. Ich słowa były rozrywką dla gawiedzi chętnie chłonącej opowieści o cudach. Z takim samym zaangażowaniem lud reagował na głosy kapłanów ciskających gromy na apostazje i wypaczenia.

Kazania Czarnego Mnicha nie mogły Belzebuba niczym zaskoczyć. Co innego jego dzieło...

Ten sam strój. Te same rysy twarzy. Te same włosy... Patrzył uważnie na swojego sobowtóra, próbując odgadnąć jego myśli. *Czy jest mną? – zastanawiał się. – Czy więc myśli o tym samym co ja? Czy czuje to co ja?*

Na te pytania nie było odpowiedzi. Na twarzy swojego odpowiednika dostrzegł krwawe zadrapanie. Sięgnął dłonią do policzka. Tak, identyczne – to jedna z tych ran odniesionych podczas walki z potworem w podziemiach. Ale co w duszy tamtego? Co było w jego myślach, w jego sercu?

Usiłował ściągnąć wzrokiem spojrzenie sobowtóra. Na nic. Tamten odwracał oczy, kryjąc się ze swoim strachem.

Strach! To czuł, ale co jeszcze?

– Bądź przeklęty! – krzyknął Kalikst, przerywając monolog mnicha. – Bądź przeklęty, demonie, dręczycielu w mnisim habicie!

Może tak uda mi się ściągnąć uwagę mojego odpowiednika? Bliźniaka? Zwierciadlanego odbicia?

Okrzyk przebrzmiał, nie wywołując żadnej reakcji. Mnich dalej perorował. Sobowtór w milczeniu, ze ściągniętą łęką twarzą patrzył na podłogę klatki.

– Bóg Ojciec kazał Satanaelowi obdarzyć człowieka mocą, jaką ów posiada. Mocą Demiurga. Jednak by ją osiąść, istota ludzka musi wykonać pewien wysiłek duchowy. Ta moc może być ukryta w każdym, jednak nie każdy dostąpi prawa jej wykorzystania. Satanael stworzył na polecenie Ojca istotę nie tylko z iskrą Boskości, ale z wielkim ogniem Boskości. Jak więc rozpalic ten ogień w człowieku? To mogą jedynie uduchowieni *pneumatikos*, reszta pozostanie w niewiedzy i potępieniu. Ja, tworząc ciebie niczym Demiurg, już posiadam część owej mocy, ale to jeno początek tego, co może jeszcze mi być dane.

Belzebub nie słuchał zakonnika. Zamiast tego krzyknął:

– Kalikst! Jesteś mną? Kim jesteś?

Tamten zakręcił się niespokojnie, rzucając na boki spłoszone spojrzenia. Słyszał! Ale nie wiedział, skąd dochodzi głos. Nie widział pierwszej klatki? Spoglądał zdziwiony na braciszków, na Czarnego Mnicha, na ściany jaskini, jednak nie napotkał wzrokiem współwięźnia.

– Tu jestem! W klatce zawieszanej nad przepaścią! Słyszysz mnie?! Jestem tutaj!

Ignorując wołanie Kaliksta, mnich ciągnął dalej:

– To się jednak nie spodobało wyrodnemu, drugiemu synowi Boga Ojca. Zwany przez

manichejczyków Logosem, przez inszych zwany *Christos*, zazdrosny o władzę, jaką posiadał Satanael, przyszedł, niosąc kłamstwa, mając spokojny lud, podając się za jego króla. *Christos* jest przebiegły: głosi posłuszeństwo swojemu Ojcu, jednak przynosi prawa, które przeczą temu, co dał Satanael. Zazdrosny o Jego władzę, zazdrosny o Boskość, która tkwi w każdej istocie człowieczej. Jednak nadchodzi oto dzień, w którym *Christos* zostanie strącony za swe grzechy do królestwa Baal Zebula, Beliala i Lucyfera, których Satanael wyznaczył na strażników piekieł, gdzie cierpią grzesznicy. I ty też będziesz miał w tym swój udział, mój drogi Kalikście.

Skinął na braciszków. Ci podeszli do klatki sobowtóra i jęli manipulować u jej podstawy. Nagle górna część żelaznego więzienia odsunęła się w górę jak wieko szkatułki. Wywlekli zobojętnianego więźnia i pociągnęli go w stronę katafalku. Przywiązali linami za ramiona do różowego kamienia.

– Złodziej Kalikst Belzebub. Zręczne dłonie, twoje narzędzie pracy. Nimi wykradasz sakiewki bogatym mieszczanom. Nimi z maestrią manipulujesz wytrychami, na przykład po to, by skraść przedmiot należący do zamorskiego kupca, który zawinął swym statkiem do portu nad Złotym Rogiem. Nimi szyjesz z łuku, przeganiając drobne demony z drzew i łąk. Bez nich nie poradziłbyś sobie.

Mówiąc: *wykradasz sakiewki*, mnich wyciągnął rękę do jednego ze swoich pomocników. Ten podał mu duży katowski topór. Gdy padły słowa: *do portu nad Złotym Rogiem*, demoniczny zakonnik podszedł do porfirowego katafalku.

Skończywszy przemowę, wziął zamach i dwoma pewnymi ciosami odrąbał sobowtórówi Kaliksta dłonie tuż ponad nadgarstkami.

Okaleczony więzień zawył rozdzierająco i runął w tył, waląc głową o kamień. Z ran buchnęła krew, która w świetle pochodni miała kolor smoły. Zaraz doskoczyło dwóch braciszków. Gorejącymi pochodniami jęli przypalać nieszczęśnikowi rany. Krzyk narastał, rozbijając się o sklepienie grotu. Z góry sypnęło pyłem i skalnymi drobinami.

– Mogę tworzyć. Mogę dawać i mogę odbierać. Jestem Demiurgiem z Boskim ogniem, więc co teraz stworzyłem, odbiorę.

Belzebub odruchowo złapał się za przedramiona. Chciał krzyknąć, jednak fala strachu i obrzydzenia odebrała mu dech. Patrzył, jak Czarny Mnich sięga po odrąbane dłonie i ujmując je za kciuki, unosi w górę.

– Oto i marność ludzka. Oto siła i moc Demiurga, który może tworzyć i może niszczyć. Odbierać swoje dary jak ten dar zręcznych palców. Poznaj, co to marność.

Kalikst opanował mdłości i wycedził:

– Jesteś opętany, mnichu! Opętał cię demon i wiedz, że gdybym miał przy sobie swój łuk, swoje ostrza, swoje strzałki, jakkolwiek ze swoich broni, zadałbym ci ból o wiele bardziej okrutny i przyniósł śmierć, bo na nic więcej nie zasłużyłeś.

Zakonnik spojrział na niego z rozpromienioną twarzą. Co znaczyło – mroczny cień pod

jego kapturem poruszył się i przybrał jeszcze ciemniejszą barwę.

– Wyśmienicie! Jestem zachwycony! – rechotał chrapliwie. – Jesteś istny Belzebub, mój drogi panie. Po raz kolejny przekonujesz mnie, że moje domysły co do twojej osoby są słuszne. Tak, masz talent! Masz dar, Kalikście!

Sobowtór szamotał się przypalany pochodniami, po czym opadł bez sił na katafalk. Braciszkanie ściągnęli go z powrotem do klatki. Opuścili pręty i na powrót zakryli je płachtą.

Ozwało się skrzypienie kołowrotów. Klatka powędrowała na swoje miejsce nad przepaścią.

Mnich dał znak i ruszył w stronę wyjścia. Trupi zakonnicy za nim, gasząc przy tym pochodnie.

Wkrótce zapadł mrok. Zostali sami. Kalikst Belzebub i jego bliźniak.

* * *

– I wiedz, drogi panie, że zostałem okradziony.

– Okradziony?

– Tak! – Rodrigo Luigi, genueński kupiec, uniósł się złością, aż rozchlapał wino z pucharu. Długimi, zdobnymi w pierścienie palcami przypominającymi odnóża pająka jął strząsać krople trunku z wykończonego jedwabiem kubraka. Gestem zniecierpliwienia odprawił nadbiegającego sługę.

– Otóż – ciągnął – wyobraź sobie, drogi mój panie, że w stolicy waszego imperium, w Konstantynopolu, w całkiem niewyjaśnionych jak dotąd okolicznościach został mi skradziony niezwykle ważki dokument. Oraz pierścień. Pergamin, rozumiesz, to glejt przyznany przez seldżuckiego sułtana. Stało w nim, że ja, Rodrigo Luigi, jestem przyjacielem Seldżuków i mogę swobodnie podróżować między wszystkimi portami Lewantu a Zachodem. Jak wiesz, panie, na śródziemnych morzach od lat grasują tureccy piraci. Oficjalnie nie usłyszysz o nich słowa, żeby mieli działać w imieniu czy za pozwoleniem swojego sułtana. Jednak tak właśnie jest – te niesubordynowane bandy, podróżujące na krypcach skradzionych uczciwym kupcom, stanowią w istocie jeszcze jedną siłę w armii Seldżuków. Atakują Genuńczyków, Wenecjan, atakują Fatymidów, wszelkich innych Bogu ducha winnych ludzi interesu, którym przyszło na myśl – weźmy – odbyć podróż z Trypolisu do Miletu czy z Aleksandrii do Bari. Łupią towary, rzezają mieszki i mordują załogę, uchodząc z imieniem Allaha w siną dal.

Michał Dukas z wysiłkiem oderwał wzrok od perskiego czekana o długim, zdobionym żelaznymi okuciami stylisku. Broń zawieszona u pasa rosłego Turka zdawała się pulsować wewnętrzną magią, jakby ornament na żelźcu żył i nieustannie zmieniał swój kształt.

To złudzenie, nie może być przecie... – pomyślał z niepokojem Michał, po czym by przykryć swe zmieszanie, rzekł:

– Powiadasz więc, panie, że działają na zlecenie sułtana? Że stanowią cichą siłę w jego armii?

– Nie powiadam, że na zlecenie, ale przy jego pozwoleniu. Z punktu widzenia sułtana jest to różnica niezwykle istotna. Nikt nie jest bowiem w stanie oskarżyć go o wspieranie rozbójnictwa czy czyny zbrojne podejmowane przeciwko sojusznikom. O ile jeszcze można powiedzieć, że takowych Malik Szach posiada. Jednak z punktu widzenia nas, kupców, to żadna różnica, bo piraci i korsarze łupią nas równo, nie patrząc na politykę i wszelkie inne układy. Weź, zacny panie, takiego Tzachasa. Ten śmiały rozbójnik już dziś trzyma we władzy całe Morze Egejskie, ba, nawet nic sobie nie robiąc z cesarskiej władzy, sprawuje swe rządy w Smyrnie, jakby to miasto do niego należało. Powiadam ci, on, jak go nikt nie powstrzyma, pójdzie jeszcze dalej, śmiało łupiąc a choćby i Konstantynopol...

– A glejt? – przypomniał Dukas, gdy kupiec zamyślił się wpatrzony w resztki wina na dnie kielicha.

– Glejt spisany ręką samego sułtana Malik Szacha? Glejt, jak powiadam, został mi skradziony. Wraz z pierścieniem, który sułtan dał mi dla podkreślenia wagi dokumentu. To było wielce rzadkie precjozum, które wcześniej nosił na swym palcu ojciec Malik Szacha, Alp Arslan, a przedtem i jego ojciec. Rzecz cenna i rodowa.

– I powiadasz, panie, że ten cenny pierścień przekazywany z ojca na syna w rodzie seldżuckich sułtanów trafił był do twych rąk? – zapytał, nie kryjąc powątpiewania, Michał i w myślach dodał: *Pewnikiem tania błyskotka od przekupnia z Damaszku, bo cóżby innego? Takich pierścieni rodowych możesz mieć na pęczki w każdym mieście portowym. Ot, chociażby tu, w Selucji, nie mówiąc już o Konstantynopolu.*

– A i owszem, powiadam! – Rodrigo Luigi spojrzał bystro na Dukasa, jakby posłyszał jego myśli. – Pierścień z glejtem ukryte były na mym statku. O, tym tam, widać maszty, jak się dobrze wychylisz z tarasu. W tajemnym schowku, tylko ja o nim wiedziałem. Cieśla, który wykonał go dla mnie na specjalne zamówienie, jest już tam, w tym lepszym świecie. Trochę mu pomogłem się tam dostać, nie kryję tego. A jednak podczas mego ostatniego pobytu w Konstantynopolu szkatułka zawierająca glejt i pierścień zniknęła. Co więcej, złoto i wszelkie inne dobra zabieram ze sobą na ląd, ile razy przybiję do portu, trzymając je pod dobrą ochroną. To jednak nie zmyliło złodzieja – musiał wiedzieć. Skąd? Jakim cudem?

Michał nie miał gotowej odpowiedzi na to pytanie. Chciał zresztą mówić z genuencykiem o czym innym. O sprawach polityki, o rzeczach wagi imperialnej, jak to sobie w myślach określał, zaś kupiec zadawał mu pytania w gruncie rzeczy całkowicie nieistotne. Jednak musiał pozyskać go dla swej sprawy, więc rzekł:

– Uzurpator Diogenes dobry jest może, gdy ma pod sobą oddziały wojów na polu walki, ale władanie cesarstwem... To już zupełnie inna sprawa. Nasz ród, ród Dukasów, wie, jak rządzić państwem. Wie, jak zapewnić, by kupcy na morzu czuli się bezpiecznie, wie, jak karać złodziejasków i bandytów grabiących uczciwych ludzi z ich własności. Gildia złodziei,

rozumiesz? Diogenes dopuścił, by pod jego bokiem kwitła tajna organizacja bandytów, zorganizowana niczym wojsko albo jakaś sekta. Robią, co chcą – kradną, rabują, mordują. Są wszędzie, mają wpływy, posiadłości, bogactwa. Diogenes nie potrafi temu zapobiec. Nie potrafi sprawować władzy. Ja mogę ci, panie, jedno zapewnić: gdy zasiądę na tronie w Konstantynopolu, w pierwszej kolejności zabiorę się za złodziejasków, opryszków i całą tę ich organizację, gildię, bandę, jak zwał.

– Ale skąd wiedział? Ten złodziej. Skrytka była tak przemyślnie zbudowana...

– Może byłeś szpiegowany, panie. Powiadam, uzurpator zupełnie nie pilnuje miasta i państwa przed złodziejstwem i bandytami. Możesz się jednak przyczynić do tego, by zmienić obecny stan rzeczy. By przywrócić na tron ród prawowitych władców. Ja mogę ci jedno zagwarantować: złodziei wydam na tortury, szpiegów powbijam na pal, a państwo zbuduję od nowa. To będzie Czwarte Cesarstwo!

– Czwarte? Dlaczego czwarte?

– Pierwsze narodziło się za Konstantyna, który zbudował Nowy Rzym, Konstantynopol, na miejscu dawnego miasta Greków *Bysantion*, a trwało aż do czasów dynastii Justyniana, gdy ziemie naszego imperium sięgały po krańce cywilizowanego świata. Konstantynopol był wtedy jego stolicą, a na ulicach miasta mogłeś usłyszeć wszystkie siedemdziesiąt dwa języki, jakimi władali ludzie. Drugie było za Herakliusza, który barbarzyńską łacinę zastąpił na zawsze mową grecką, a także za jego następców, którzy dbali o to, by imperium Justyniana utrzymać w potęgze, na ile to możliwe. A nie mieli łatwego zadania. Wrogowie, posługując się zdradą, przekupstwem i herezją, odebrali najdalsze terytoria, jednak cesarstwo jako takie zachowało swą wewnętrzną siłę. No a trzecie – to już lata, gdy do panowania Bóg wyznaczył dynastię Dukasów w osobie mojego ojca Konstantyna. Niestety, podstępny uzurpator pozbawił ród ciągłości władzy, ukradł insygnia *basileusa*, a teraz ciągnie imperium ku upadkowi. Herezje, złodziejstwo, bandytyzm, a na traktach demony wypruwające wnętrzności ze statecznych kupców. Zatem moje zapewnienie masz. Jako cesarz zrobię z tym porządek.

– Wiesz, czego oczekuję w zamian? – Luigi jął obracać jeden z pierścieni zdobiących jego palce. Jakby chciał podkreślić: *Musisz się bardzo starać, panie, bym więcej nie stracił ani jednego z nich. Bym nie stracił nic, handlując między Lewantem a Zachodem.*

Michał Dukas zachichotał nerwowo. Nie był pewien, co znaczył gest Italczyka – w gruncie rzeczy odruchowy i całkowicie bez znaczenia, ale wyobraźnia podpowiadała co innego.

– Wy, Genuieńczycy i Wenecjanie, najlepiej znacie się na handlu. *Romaioi*, pomyślałby kto, to naród urodzonych kupców, jednak w istocie, muszę z żalem to przyznać, wyście prześcignęli nas w tym fachu. Głupotą z mojej strony byłoby nie doceniać tych talentów. Wiem, że wasze zdolności mogą przysłużyć się cesarstwu, zatem owszem... Przywileje. Tak.

– W Konstantynopolu. I w trzydziestu miastach portowych, gdzie sięga władza imperium. Z całkowitym zwolnieniem od ceł – rzeczowo rzucił Rodrigo.

– Będzie, jak mówisz.

Tu rozmowa zesłała już na temat, który bardziej interesował Dukasa. Genuńczyk był tym człowiekiem, którego musiał dla siebie pozyskać. Italczyk miał niepośledni zmysł do handlu i – co ważniejsze – jego wpływy wykraczały dalece poza kupiecką domenę. Kontrolował nie tylko sprawy związane z obrotem towarami między Lewantem a Zachodem, nie tylko czerpał z tego zyski po drodze, w Konstantynopolu. Bardziej istotna była jego potęga militarna. Luigi dysponował całkiem sporą armią najemników, którzy chronili transporty w drodze przez morza, a także – a może przede wszystkim – stanowili element przetargowy w sporach, gdzie słowo i dyplomacja nie miały już znaczenia. Potrafił szybko uderzyć, z zaskoczenia, zanim przeciwnik zdąży się otrząsnąć. W ten sposób trzymał w szachu piratów, szajki bandytów, nawet wojów pomniejszych watażków na obrzeżach cesarstwa. Z tej ochrony korzystała nie tylko Genua, ale także ludzie interesu z innych miast Italii. Wenecja i Piza uznały nieformalny prymat Luigiego na ziemiach i morzach od Hiszpanii aż do Syrii. *Król Konstantynopola* – tak o nim mówili, uważając go za władcę drugiego po cesarzu. Tym bardziej że kupiec rozgrywał swoją partię z rozsądkiem taktyka kierującego armią zdobywców. Za swój prymat, co niezwykle, nie oczekiwał żadnych trybutów, wiedząc lepiej niż ktokolwiek inny, że nie ma lepszej drogi, by zrazić do siebie kupców, jak odbierać im część z trudem wypracowanego zarobku. Zadowalał się więc samym tylko zakulisowym rządzeniem. Tym, że to właśnie on mógł zadecydować, z kim zostanie zawarty kontrakt, a czyj towar szczególnie w składach i magazynach, chyba że właściciel w porę zgodzi się go sprzedać poniżej kosztów. Tym, że stanowił zbrojną siłę, cichą i uśpioną. Uśpioną do czasu, aż potrzebne będzie szybkie rozstrzygnięcie.

Ta chwila właśnie nadeszła, jak wierzył Michał Dukas. Nadszedł czas na szybkie rozstrzygnięcie, które pozwoli pozbyć się uzurpatora. Gdy tylko Diogenes opuści stolicę, do akcji wejdą najemnicy Luigiego oraz jego polityczni stronnicy z Wenecji i Pizy. Niezauważalna siła, która zapewni powrót na tron prawowitej dynastii.

Italczyk perorował:

– No i jeszcze jedno! Prawo osiedlania się w Konstantynopolu. To oburzające, że obecny cesarz majątnych, szanowanych, uczciwych kupców trzyma na odległość, w Galacie. To potwarz dla nas, a dla miasta wielka strata. Gdy kupcy z Genui, z Wenecji, z Pizy będą mogli budować domy w mieście, to Konstantynopol tylko na tym zyska. Czyżby Roman Diogenes bał się nas? Jakbyśmy nie byli ludźmi, lecz dzikimi stworami, rogatymi stworzeniami plującymi ogniem! No powiedzże, drogi mój panie, czy ja wyglądam jak jakoweś monstrum? Czy ja gryzę i kopię? Mam dziewięć łbów, co odrastają, gdy je uciąć, jak hydra lernejska?

– Nie, panie. I zgadzam się z tobą całkowicie. Zakaz wprowadzony przez uzurpatora jest całkiem niezrozumiały i pozbawiony sensu.

– A zatem... – Rodrigo Luigi sięgnął do stolika, gdzie trzymał rozmaite zwoje – ...zechciej, panie, podpisać ten dokument.

– Dokument? Jakiego rodzaju? – zbystrzał nagle Michał.

– Rodzaj umowy wstępnej. Zapewnienie, że dasz mi przywileje, gdy pomogę ci usunąć z tronu Romana Diogenesa, udostępniając ci moją flotę, najemników i polityczne poparcie. Wiem, wiem, wiem! Takie umowy w zasadzie nic nie znaczą. Możesz równie dobrze wysłać przeciwko mnie swoją najlepszą gwardię, gdy tylko odzyskasz kontrolę nad imperium. Możesz się nie liczyć z tym, co tu ustaliśmy, i kazać mnie zamordować. Dokument oddam w pieczę moim synom w Italii. W razie zerwania umowy będą w moim imieniu wołać o sprawiedliwość. Mając za stronników – tu już popuszczam wodze fantazji – potomków Diogenesa czy patriarchów waszego Kościoła, którzy mogliby odmówić ci swojego wsparcia duchowego. Nie przyznając się do tego, oczywiście, pełnym głosem, w cichości ducha i w cichości swoich bazylik podtrzymując jednak niechęć do władcy, który posiadał tron przy pomocy kłamstw.

Michał ściągnął gniewnie brwi. Zdecydowanie nie docenił Italczyka, choć przecież powinien być gotów na wszystko.

– Chcesz powiedzieć, panie, że nie ufasz przyszłemu cesarzowi? Zamierzasz nazwać go kłamcą? Sugerujesz, że opracowałem jakieś taktyki, które mają sprawić, że utracisz swoją pozycję i majątek?

– To taki kupiecki nawyk, którego mimo szczerych chęci nie udaje mi się wyzbyć. Nie wyciągałbym z tego dalekich wniosków. Po prostu ten dokument pozwoli mi zawsze zachować pamięć o tym, komu jestem winien lojalność.

Dukas długo milczał. Wreszcie z nieskrywanym ociąganiem sięgnął po zwój.

Rozdział 15

To był odruch, którego Metody nijak nie potrafił kontrolować. Nawet gdy nie szedł kraść, w jego głowie rysowała się szczegółowa mapa. Mapa sakiewek, woreczków z solidami, pierścieni noszonych na palcach, pierścieni skrywanych, zazwyczaj nieudolnie, gdzieś pod tuniką – razem z innymi dobrami, których można obywatel nie chciał wystawiać na widok miejskich opryszków. Mapa solidów zaszytych w skrajach szat, wreszcie mapa wszelakich towarów wyłożonych na kramach, straganach, nanizanych przez przekupniów na sznury, wystawionych w przenośnych witrynkach, ukrytych w szkatułach. Mapa zaskakiwała swą precyzją: były na niej zaznaczone nawet rzeczy tak mało wartościowe jak ryby świeżo złowione w Morzu Marmara, jak dzbany z winem przywiezionym z Rodos lub Krety, jak bochny chleba wypiekanego o świcie z egipskiej mąki.

Teraz też przed oczami Karła rysował się ten plan: wszystko na wysokości jego wzroku, cztery stopy od ziemi, jednak w tej chwili nie był to obraz, którego pożądał. Szczególnie nie w tej chwili.

Człowiek, który wyszedł z rezydencji mistrza Atanazego, zręcznie przemykał między tłumami wypełniającymi ulice Konstantynopola. Spojrzałbyś i rzekł: *Jeszcze jeden mieszkaniec miasta śpieszący do swych obowiązków, kluczący między straganami, wozakami, miejskimi strażami.* Jego biała szata, tunika obszyta na brzegach stębnowaniem w kolorze owocu granatu, nijak nie wyróżniała go z ciżby. Metody musiał zdrowo przebierać nogami: człek, którego miał śledzić, coraz ginął wśród gawiedzi.

Więc Karzeł z wysiłkiem starł sprzed oczu mapę oczekujących go łupów, zastępując ją szkicem szlaków, jakimi musiał iść tamten. Rezydencja Atanazego – otoczony ogrodem, nieco zapuszczony budynek z białego kamienia – mieściła się za murem Konstantyna, nieopodal Bramy Świętej Teodozji i blisko brzegów Złotego Rogu. Stamtąd tajemniczy nieznajomy ruszył w stronę Fanarionu, a więc w kierunku przeciwnym do centrum i zupełnie innym niż ten, z którego przybył. Nie doszedł jednak tam, dokąd pozornie zmierzał – w pół drogi odbił na zachód, ku alei Mese. Później nie zbacał już z drogi, jednak tłumy sunące aleją pozwalały mu skryć się tak, że niewprawne oko rychło straciłoby trop.

To oczywiście nie dotyczyło Metodego. Karzeł miał wprawę w szpiegowaniu, choć jego wzrost nie pod każdym względem był dlań atutem. Był nim wtedy, gdy należało szybko się ukryć – jemu wystarczał wóz, ledwie czterostopowy mur, kram z rybami lub krzew. Mógł też wmieszać się w gromadę uliczników, bosonogich dzieci spędzających całe dni na ulicach miasta. Ale jak nie zmieszasz oliwy z wodą, tak i on nie na długo potrafił roztopić się w tłumie – bo jego wzrost, przy twarzy, na której znać blisko czterdzieści lat życia w cieniu

murów Konstantynopola, wyróżniał go spośród gawiedzi, w sposób niezamierzony czyniąc dziwowiskiem. Śledzony mógł rychło zwrócić uwagę na fakt, że krok w krok postępuje za nim osobnik nikczemnej postury, o gębie naznaczonej krzywym, wręcz bezkształtnym nosem – widowym znakiem niejednego mordobicia, o uważnych, świdrujących oczkach. Toteż w innych przypadkach, gdy szło o rzeczy mniejszej wagi, Metody wysługiwał się siatką własnych pomocników, drobnych opryszków spoza gildii, wiernych tylko pieniądzwowi. Wyśledzić kupca, z kim rozmawia w porcie i jakie towary zamierza przetransportować do swojego magazynu – niech idzie Manuel Zdechlec, moczymorda z portowej tawerny, który nigdy nie tracił nadziei, że biorąc zlecenia karła, przybliży się do dnia, w którym przyjmą go do gildii. Obserwować przez dwa dni ruch wokół domostwa jubilera Daniela oczekującego na dostawę drogocennych kamieni? Niech pilnują go Szczepan Czarne Zęby i Maurycjusz Syryjczyk, dwa obwiesie spędzające całe dni pod hipodromem, gdzie zawsze dzieje się coś ciekawego. Ci nie mieli żadnych ambicji, ale chętnie nadstawiali łapska, by zarobić parę *nummi*.

Teraz jednak sprawa była nieco bardziej delikatna. Szpiegowanie, kto i kiedy wchodził do rezydencji Atanazego lub wychodził z niej, nie mogło być powierzone pierwszemu z brzegu hultajowi z portu. Tu już rozgrywała się polityka na wyższym poziomie, nie chodziło o doraźny zarobek, lecz o sprawy wagi wręcz imperialnej.

Metody szedł więc za posłańcem w białej tunice, wkładając w to pełnię swoich sił. Zwalczył pokusę eksplorowania mapy łupów, teraz jednak musiał zadbać o to, żeby tamten go nie wypatrzył. I żeby nie zniknął w tłumie.

Człowiek od Atanazego najwyraźniej musiał dostrzec karła. Lub był nadzwyczajnie przezorny. Tam, gdzie Mese rozdzielała się na dwie odnogi, z których jedna biegła ku Złotej Bramie, zaś druga – w stronę Forum Konstantyna i dalej do dzielnicy *Chalkopratea*, posłaniec wbiegł w najgęstszy tłum i roztrącając przechodniów, zboczył z alei w jedną z ulic prowadzących w stronę akweduktu. To nie miało sensu – w ten sposób zawracał tam, skąd przyszedł, czyniąc wielkie koło po centrum miasta. Jednak Metodego te sztuczki nie zwiodły. Zaprzestał śledzenia – szeroką ulicę gdzieniegdzie tylko ocieniały pojedyncze drzewa i ruch był tu nieco mniejszy. Nie szło szpiegować, gdy widać człowieka jak małża na blasze.

Karzeł ruszył inną drogą: wiedział, że nieznajomy przy akwedukcie musi skręcić w lewo albo w prawo. Metody szybko ocenił sytuację – człek w białej tunice musiałby mieć naprawdę wiele do ukrycia, jeżeli zamierzał dalej kluczyć. *W lewo* – zdecydował pokurcz i dziarsko pomaszerował w stronę Forum Teodozjusza. W połowie drogi, na szczycie szerokich schodów z marmuru, przystanął i schował się w cieniu niewielkiego łuku triumfalnego.

Dobrze odgadł. Człowiek, który góra dwa kwadranse temu opuścił dom mistrza Atanazego, teraz pojawił się na dole schodów. Dyskretnie zerkając za siebie, szedł do góry.

Wtedy Metody wrócił do najbliższego skrzyżowania. Tutaj już trudno było przewidzieć

dalszą trasę posłańca w białej tunice, więc karzeł przystanął w tłumie gapiów słuchających starca odzianego w poszarpany, pokryty żółtym kurzem habit.

– Zmieszał Satanael ziemię z wodą i ulepił ciało Adama – kazał mnich, najwyraźniej jeden z bogomilów. – Jednak odrobina wody spłynęła do prawej stopy, wyciekła krętym strumykiem na ziemię, tworząc kształt węża. Satanael zebrał w jedno tchnienie, które w sobie miał, i tchnął je do wnętrza ciała, które był ulepił. Ale to ciało puste było, tchnienie Satanaela przebiegło przez pustkę aż do stopy i uszło tym samym otworem, którędy wcześniej wyciekły krople wody: przez duży palec. Tam tchnienie Satanaela wtopiło się w wodę zmieszaną z drobinami ziemi i śliny Satanaela. I tak narodził się wąż, który natychmiast odpęzł. Tak narodziła się istota rozumna i zła zarazem...

Metody słuchał tego jednym uchem. Konstantynopol pełen był wyznawców bułgarskiej herezji, także apostazji, które brały swe korzenie we wszystkich zakątkach chrześcijańskiego świata. Mówcy w brudnych habitach mieli swoje własne, coraz to insze wizje Genesis, co dla karła znaczyło jedno łajno. Gdy człowiek w białej tunice, obszytej na brzegach stębnowaniem w kolorze owocu granatu, minął tłum słuchający mówcy, Metody cichcem ruszył jego śladem.

– Spojrzał tedy Satanael, jak słaba jest jego moc, i poprosił Dobrego Ojca, Prawdziwego Boga, by przysłał swoje tchnienie, a był to podstęp, powiedział bowiem: *Człowiek będzie naszym wspólnym dziełem i on zajmie miejsce upadłych aniołów strąconych do Piekieł*. Dobry Bóg tchnął życie w to, co ulepił Satanael...

Wkrótce natchnione słowa apostaty połknął zgiełk miasta.

Niedawny gość Atanazego widać uznał, że nie grozi mu już żadne niebezpieczeństwo. Nie oglądając się za siebie, nie klucząc, szedł do celu swej wędrówki.

Kilkaset kroków dalej karzeł przystanął. Tamten minął tylną bramę cesarskiego pałacu. Pozdrowił strażników i po chwili zniknął za wewnętrznym murem.

Pokurcz splunął i odwrócił się na pięcie.

* * *

Mistrz Atanazy wziął szeroki zamach i zadał cios. Kiścień z cichym buczeniem przeciął powietrze, uniósł się jak wskazówka zegara śmierci do pozycji wskazującej dwunastą i spadł na głowę Tryfona.

Szachista nawet nie jęknął. Poleciał trzy kroki w bok i z łomotem runął na kamienną podłogę komnaty. Atanazy nieśpiesznie podszedł, po czym oparł stopę na jego barku. Zdjął z głowy hełm i rzekł:

– Słabo. Bardzo słabo, Tryfonie.

Zatrząsł kiścieniem, odstąpił krok w tył.

– Gdyby ta broń zamiast rzemienia miała łańcuch, a zamiast kuli z drewna stal nabijaną

kolcami... Łeb bym ci rozłupał jak przejrzały arbuz. Wstawaj!

Doradca oparł się o posadzkę drżącymi z wysiłku ramionami, wstał i zaraz padł. Leżąc, zdarł z głowy hełm owiązany dla lepszej ochrony tureckim turbanem, a potem powolnymi ruchami ściągnął kolczy czepiec. Dyszał spazmatycznie.

Atanazy skrzywił się.

– Twoja mądrość i skłonność do filozofowania nie ochronią cię w bitkach z rozbójnikami, a jak sam ostatnio doświadczyłeś, nawet tu, a może zwłaszcza tu, w Konstantynopolu, nie możesz od nich uciec. Musisz więcej ćwiczyć.

Tryfon wreszcie doszedł do siebie. Chwycił dzban i przystawił go do ust. Pił długo. Resztę wody wylał na czoło.

– Nuże, Szachisto! Mamy pewne kwestie do obgadania, więc doprowadź się do porządku. Będę czekał na cię na balkonie.

Dwa kwadransy później popijali chłodne wino, patrząc na rzędy masztów w porcie.

Mistrz z troską przyglądał się Tryfonowi. Jego pomocnik wyglądał już nieco żwawiej, jednak najwyraźniej nie odzyskał jeszcze pełni formy. Z prawej strony nad uchem widniała niewielka świeża blizna podeszła krwią.

Szachista upił łyk i bezwiednie sięgnął do rany. Syknął z bólu.

Udając, że tego nie widzi, Atanazy przeszedł do ważniejszych spraw niż łeb swojego doradcy.

– Nasz człowiek z pałacu potwierdził wszystkie wcześniejsze doniesienia i domysły – powiedział. – *Basileus* najpewniej przystąpi do fatymidzkiej wojny z Seldżukami. Wzięty w kleszcze Turek nijak się nie obroni, a cesarstwo odzyska Antiochię i weźmie Syrię. Po jej zdobyciu wyparcie Seldżuków z Palestyny, jeżeli jeszcze tam się ostaną, będzie igraszką. Połączone siły cesarstwa i Fatymidów zgniotą barbarzyńców, a niedobitki wypędzą na wschód. Nasz szpieg twierdzi też, że pod wpływem wahań cesarza poseł Al-Idrisi przedstawił ostateczną propozycję kalifa Al-Mustansira. Po wojnie – nowy podział ziem. Syria w całości należeć będzie do cesarstwa. Co więcej, Fatymidzi obiecali specjalne względy dla dzielnicy patriarszej w Jerozolimie. Mur zostanie odbudowany i ustanowiona oddzielna jurysdykcja, zaś *basileus* zyska zwierzchnictwo nad tym fragmentem miasta, by chronić Grób Pański.

– Cesarz Diogenes nie był skory do podbojów – wystękał wreszcie Tryfon. – Jak dotąd jego strategia polegała jeno na obronie istniejących terytoriów. Bułgarii, Sycylii... Ale Syria? Tam gore, że aż rzeki się gotują. Widać cesarz ma w tym jakieś większe interesy. Bo przecież nie jest głupcem, którego zwiodą miraż wielkiego imperium. Zgaduję, że pogłoski o wysłaniu de Bailleula również znajdują potwierdzenie?

– Dobrze zgadujesz. I tak jak żeś przewidywał, Roman chce w tym ogniu upiec więcej niż jedną pieczeń. Pierwsze – zyska nowe terytoria. Drugie – zyska sojuszników w Fatymidach. Trzecie – pozbędzie się wierzycieli, niewygodnych i coraz bardziej bezczelnych najemników normańskich.

Twarz Szachisty rozjaśnił uśmiech. Pochwała mistrza była jak chłodny kompres na jego ranę.

– To mimo wszystko ryzykowne posunięcie ze strony *basileusa*. Zdobyć łatwo. Ale utrzymać? Sprawować rządy? Zapewnić spokojny byt chłopom, handel kupcom, robotę rzemieślnikom, kiedy kasa pusta? Teraz Seldzucy oddadzą pola, ale co będzie za lat dziesięć? Dwadzieścia?

– To już, mój drogi Tryfonie, nie jest nasze zmartwienie. My tymczasem mamy inszy problem: wraz z najemnikami *basileus* zamierza, jak to ujął nasz szpieg na dworze, wystawić doborowy kontyngent. Doborowy... Ha, ha... Złożony po prostu z więźniów gnijących w kazamatach Konstantynopola, Nicei, Cezarei... Mordercy, oszuści, rozbójnicy... No i, nie ukrywajmy – złodzieje. Także z naszej gildii. Roman Diogenes zamierza utworzyć z nich oddział samobójców, którzy śmiercią będą mieli okazję zmyć swą winę.

– Nasi ludzie... – zatroskał się doradca. – Policzymy zatem. Był ostatnio pojman Mustafa Turek i Jan Spalona Broda. Wcześniej...

– Wcześniej i później w sumie do lochów trafiło piętnastu naszych ludzi. Wiem dokładnie których. Nie wszyscy, zdaje mi się, zasługują na troskę, bo mają co nieco na sumieniu. Taki na przykład Dymitr Świątoszek. To człowiek całkowicie nielojalny wobec gildii, zrobił kilka niegodziwych rzeczy, ale za to powinna spotkać go kara nałożona przez gildię, a nie przez cesarza. Czy pozostawienie go własnemu losowi, oddanie na pożarcie tureckim rzeźnikom, byłoby taką karą? Tego nie sposób teraz ocenić, może to będzie karą zbyt łagodną, toteż póki co niech będzie na jego. Trzeba wykupić tak jego, jak i innych. Myślę, że Sergiusz Metafrastes nam w tym pomoże. On już wie, gdzie brzęknąć złotem. Wykupić, a jak się nie da – wyzwolić innym sposobem.

Tryfon Szachista mimowolnie sięgnął do rany obok skroni.

Syknął z bólu i powiedział:

– Wykupić. Czyli trzeba będzie zwołać radę i przekonać mistrzów do wyasygnowania odpowiedniej kwoty. Ale czy w tych okolicznościach... Skoro teraz sytuacja wygląda tak, jak wygląda... To znaczy...

– Przestań dukać jak jakiś wiejski głupek, Tryfonie. Chcesz zapytać: skoro dzięki bezsensownym wyczynom Kaliksta i podłym intrygom Eutymiusza gildia nie ma teraz przywódcy, to czy rada zechce uznać zasadność tych wydatków? Myślę, że inni mistrzowie też mają dobro gildii na sercu. Nawet ten Eutymiusz, choć nie ustaje w knowaniach, też ma sporo racji. Ten pomysł z Czarnym Mniczem... Może to nie było zbyt szczęśliwe. Zwłaszcza teraz, w przededniu wojny... W każdym razie mniemam, że rada gildii nie będzie miała nic przeciwko wykupieniu naszych ziomków.

Atanazy podszedł do balustrady balkonu i gestykulując z wyraźną złością, mówił dalej:

– Zresztą dość już tego! Ta sytuacja do niczego dobrego nie prowadzi! Rządy rady może są odpowiednie w gildii kupców czy cechu płatnerzy, gdzie ustala się podział wpływów

sprawiedliwy dla wszystkich. Ale złodzieje muszą mieć jednego przywódcę. Wielkiego mistrza, którym jestem od lat! I będę dalej, bo Teolept Mędrzec i reszta zacnych mężów z rady to ludzie o świątłych umysłach, dobrych sercach, ale całkowicie pozbawieni ducha wojownika i przywódcy. To zawieszenie, w jakim znalazła się gildia, prowadzi do jej zguby. Zatem zamierzam nie tylko podnieść kwestię naszych ziomków, którym grozi wcielenie do wojska, ale także zażądać przywrócenia mnie do pełni władzy!

Szachista milczał chwilę zdziwiony gwałtownymi słowami Atanazego. W końcu rzekł:

– Zaraz wydam polecenia posłańcom. Niech zawiadomią mistrzów.

– Jak najszybciej. Jak najszybciej, Tryfonie.

* * *

– On się zwie Sergiusz Metafrastes. To jakiś mało ważny logoteta na dworze. Nikt z tej kliki zauszników *basileusa*. Ani chybi to lepiej: informacje ma, ale nie jest panisko. Łatwo mu zniknąć w tłumie dworaków. I jeszcze łatwiej podsłuchać, co tam można głupki plotą przy winie.

Eutymiusz milczał. Skinął głową. *Śpiesz się, Metody!* – pomyślał.

W komnacie obok na mistrza czekała Saba. Nie, to nie było jej prawdziwe imię. Saba nie Saba była Nubijką, a jej skóra ciemna jak mahoń, jej czarne włosy wyprostowane wbrew naturze, opadające do ramion, jej krągłe kształty mogły stanowić nieskończone natchnienie dla poety. Jej kuliste, jędrne piersi o rozmiarach arbuźów były niczym rogi byka. Tak je sobie przynajmniej porównał Eutymiusz, bo powalały na łoża i kazały oddać pola bez sprzeciwu. Tak więc mistrz z trudem mógł się skupić na tym, co prawil karzeł: miast szpiega z dworu *basileusa* widział wilgotną różową otchłań, w którą już by się zagłębiał, gdyby nie te przyziemne, mało istotne w tej chwili intrygi.

Nubijka miała na imię... Jakoś tam Mosumba, Misumba, Masomba, Musamba, nigdy nie mógł zapamiętać, dlatego nazwał ją Sabą. Dla wygody. Jej barbarzyńskie imię było nie tylko trudne do zapamiętania, ale także jakieś takie zbyt pospolite... Jak służąca! Tymczasem Eutymiusz lubił sobie wyobrażać w chwilach uniesienia, że jego czarna niewolnica to w rzeczy samej dzika królowa z Czarnego Łądu, która przybyła do Konstantynopola specjalnie po to, by go pościć i ujeździć.

Teraz jednak musiał się skupić i wysłuchać kurdupla. Ten zaś zaczął:

– Mój plan jest taki... Wiem już o nim wszystko. No, prawie wszystko, bo jeszcze nie wiem tego, kim on tam tak naprawdę jest i co on tam może. Ale nic to! No więc mój plan jest taki, coby... Aha, no bo chodzi o to, że nie wiem, kim on jest, ale wiem, że przychodzi, kluczając w całkowitej tajemnicy drogą, która wiedzie...

Eutymiusz przerwał tę bezładną paplaninę. Saba czekała.

– Karle! Bełkoczesz bez odrobiny sensu, a ja mam tu ważne bitwy do stoczenia. Dzisiaj,

proszę ja ciebie, zdobywam Troję... albo nie, Kartaginę! Zatem...

Metody wszedł mu w słowo:

– Tak, rozumie się, będę się streszczał. Powiem raz-dwa, o co chodzi. No więc rzecz w tym, że...

Mistrz sapnął gniewnie.

– Nie powiesz raz-dwa, tylko będziesz czekał, karle! Zły żeś moment obrał ku temu, by mnie tu nachodzić i nudzić jakimiś kompletnie nieznaczącymi sprawami. A niech tam! Może i znaczącymi, ale moment jest zły. Nieee... Nie mogę się skupić, zresztą co ja będę mówił?! Eutymiusz wziął zamach nogą. Chciał kopnąć pokurcza w zadek, ten jednak chyżo umknął.

– Mistrzu? – spytał z wyrzutem.

– Idźże, karle, wypij w tawernie kubek wina za moje zdrowie! – Eutymiusz rzucił mu monetę: dwadzieścia *nummi*. – I wróćże, jak już skończysz. Wtedy wysłucham twoich rewelacji.

Gdy Metody odszedł, mistrz pośpieszył w objęcia Saby.

Nubijka uśmiechnęła się. Lekkim gestem zrzuciła z siebie tiulową szatkę, odkrywając przed swym panem wszystkie swe skarby. Przede wszystkim dwie jędrne kule, między którymi Eutymiusz zatonął z cichym jękiem poddania. Uczynił to natychmiast, bez chwili zwłoki, choć sztuka miłości wymagała, by najpierw pieścił stojące na baczność sutki. By gładził kształtny brzuch i miętosił jędrne pośladki. Całował włosy, gryzł kark i szeptał do ucha: *Moja mała kariola, moja mała kurew*. Mistrz już nie potrafił się oprzeć. Wodził językiem między piersiami Saby, jednocześnie dobywając swojego mieczyka. Gdy Nubijka musnęła stojący na baczność oręż opuszkami palców, nie miał siły dłużej zwlekać. Wbił się między nogi niewolnicy i zakończył dzieło kilkunastoma potężnymi uderzeniami. Saba jęczała spazmatycznie, szarpiąc pościel, jak tonący na morzu młóci fale.

Wreszcie rozległ się przeciągły ryk rozkoszy i Eutymiusz opadł z powrotem między piersi niewolnicy.

– Możesz odejść – wymamrotał po chwili.

Bez słowa narzuciła swój tiul, na to naciągnęła płaszczyk i cicho wymknęła się bocznym wyjściem.

Mistrz powstał z łoża. Wdział wzorzystą dalmatykę, ciemnozieloną, przetykaną złotą i srebrną nicią, po czym ruszył do sąsiedniej komnaty. Przywołał karła, który nie potrzebował dużo czasu, by osuszyć kubek wina (a nawet dwa, gdyż pierwszy wychylił jednym haustem, splukując kurz z gardła).

– No dobrze, Metody – powiedział Eutymiusz. – Co tam dla mnie masz?

Karzeł, któremu trunek przejaśnił umysł, już się nie plątał. Wyrażał swe myśli w krótkich, trzaskających jak bicz zdaniach.

Gdy skończył, Eutymiusz odparł:

– Nie.

– Nie? Jakże to?

– Nie, Metody. To zbyt... – mistrz zawahał się, szukając odpowiedniego słowa. – To idzie zbyt daleko. Odsunięcie Atanazego od panowania nad gildią to nasz główny cel, jednak nie możemy przy tym pakować go w aż takie kłopoty.

Masz ci los! – pomyślał karzeł. – A ten znowu zmiękł. Zawsze ma tak po miłosnych igraszkach ze swoją niewolnicą. Niby nie dziwne, ale żeby tak mięknąć nie tylko na przyrodzeniu, lecz i na rozumie...

Bo przed uciechami Eutymiusz kopał go w zadek i rzucał grubymi słowami. Przed mówił z sensem, czując ducha bojowego, jednak po – inny człowiek. Nachodziły go wyrzuty sumienia, zaczynał rozdzielać włos na czworo, kierując swe myśli na manowce. *Diabła tam!* – zaklął w duchu Metody. – *Trza mi było dziś odpuścić i przyjść nazajutrz. Wtedy już by doszedł do formy. Już by skończył z tym mędrkowaniem.*

Mistrz zaś gryzł się z myślami. W ostatnich dniach dużo poświęcił na to, by pogrzyźć Atanazego, jednak łatwość, z jaką mu to przychodziło, budziła w nim... Nie, to nie było współczucie. Raczej żal, że wielki mistrz jest tak naiwny. A przecież nie zawsze tak było. Kiedy się poznali, ponad trzydzieści lat temu, gildia złodziei nie istniała nawet jako mglista idea, wówczas nikt nawet nie przypuszczał, że bezładną zbieraninę miejskich oprychów można połączyć w sprawny organizm, który stanowić będzie jedno. Kiedy się spotkali, Eutymiusz był drobnym złodziejaszkiem z dzielnicy portowej. Drobnym, ale z aspiracjami. Atanazy – także, tyle że jego aspiracje z czasem zaczęły przybierać cielesne kształty.

Pierwsze spotkanie... Hmm, Eutymiusz nie miał pewności, kiedy to było dokładnie. Bez wątpienia Konstantynopol za... zaraz, zaraz... Konstantyna IX Monomacha! Roku Pańskiego bodajże 1051. Wtedy to cesarstwo przeżywało niepokoje powodowane przez najazdy Pieczyngów na Trację, Macedonię i Bułgarię. W stolicy gromadziły się kontyngenty najemników, Waregów i Normanów, oddziały zaciężnych Armeńczyków, a nawet jazda *klibanophoroi*. Część wojsk ruszyła pieszo, idąc na Bułgarię, część zaś posłano na galerach do wybrzeży Grecji, skąd miały opanować tereny Macedonii. Tradycyjnie takie wielkie operacje stanowiły okazję dla złodziei. Eutymiusz od kilku dni tropił dobrze wyposażony okręt wodzów. Był doskonale strzeżony, ale zawsze musi przyjść taka chwila, gdy któryś ze strażników na pokładzie po zbyt wielu dzbanach wina będzie karmił ryby wczorajszym obiadem. I tak też się stało. Feralny strażnik miał służbę akurat tego dnia, gdy na wielką, pomalowaną na niebiesko dromonę załadowano dobra, które miały towarzyszyć oficerom podczas długich dni wojennej wyprawy. A więc jadło i napitki, a więc najcenniejsza broń i zbroje oraz solidy na pierwsze wypłaty dla najemników i na wszelkie nieprzewidziane sytuacje. Eutymiusz wyczuł chwilę idealnie – gdy strażnik wychylił się za burtę, by wyrzygać kolejną porcję żółci, on właśnie biegł cicho po pokładzie, przemycając na rufę, gdzie majaczyła osłonięta baldachimem dobudówka dla wyższych szarż. Niewiele było tam miejsca, jednak wystarczyło przestrzeni na koje i cenny ładunek. Eutymiusz nie marnował

czasu. Już trzymał cenne, wysadzone drogimi kamieniami miecze paradne zamknięte w hebanowych pokrowcach, ale szukał jeszcze wzrokiem czegoś bardziej wartościowego. Wtedy z mroku wychynął Atanazy, dzierżąc w zaciśniętej garści miezek pełen solidów.

– Dawaj te miecze, *koproskilo!* – huknął groźnie.

– To ty dawaj złoto! – odparował Eutymiusz i już chwilę później obaj zwarli się w uścisku, napierając na siebie jak dwa rozjuszony byki. Ciszę nocy mąciły regularne, głuche uderzenia, zgrzytnął nóż dobywany z pochwy. Wreszcie zabrzączały złote monety z sakwy rozprutej w szale walki. Dźwięczny deszcz otrzeźwił dogorywającego strażnika i zaalarmował pozostałych. Eutymiusz i Atanazy, cisnąwszy precz łupy, rzucili się do ucieczki, działając już w pełnej zgodzie. Pierwszy nadbiegający żołdak, ten chory, otrzymał podwójny, doskonale wymierzony cios: w podbródek i w brzuch. Poleciał w tył i już nie sprawiał problemu. Z następnym nie poszło tak łatwo. Ale dobyli noży i drugi strażnik padł na pokład, tamując rękami krew buchającą z dwóch ciętych ran.

Nim nadbiegli kolejni, Eutymiusz i Atanazy wyskoczyli za burtę. Szaleńczo młócili fale rękami, uchodząc przed deszczem sypiących się z nieba strzał. Na szczęście było zbyt ciemno, a morze zbyt wzburzone, toteż łucznicy bili całkiem na oślep.

Gdy obaj nieszczęśni złodzieje wypełzli na brzeg trzysta stóp dalej, nie mieli ani łupów, ani swoich noży, zebrali za to parę draśnięć od opadających z nieba grotów. Cud, że żadna ze strzał nie doszła celu. Szli w milczeniu mokrzy, zmęczeni i wściekli. Z rosnącym przeświadczeniem, że są skazani na siebie.

Od pierwszego spotkania do stworzenia gildii była jeszcze długa droga. Musiało minąć kilka lat, podczas których Atanazy okazał się charyzmatycznym, naturalnym przywódcą, pełnym pomysłów, odważnym. Eutymiusz uznał jego prymat, zdając sobie sprawę, że jedyna rzecz, w jakiej może się z nim równać, to fechtunek. Tu nawet rzec należy: to raczej Atanazy mógł równać się z Eutymiuszem w sztuce walki na miecze.

Tyle lat... I tyle zaszło zmian. Przez trzy dekady wielki mistrz zatracił swe instynkty dzikiego zwierzęcia. Ze sprytnego lisa przeistoczył się w psa. Szlachetnej odmiany, godnego, ale psa. I coraz częściej podejmował błędne decyzje.

Ot, chociażby ta historia z Czarnym Mniczem! To jasne, że gildii potrzebny był rozkwit, ale naiwna wiara Atanazego, że wyprawa do Kapadocji rozwiąże wszystkie ich problemy, kazała srodze się zadumać nad stanem jego umysłu. Czarny Mnich... Kim był Czarny Mnich? Tego tak naprawdę nie wiedział nikt, a do Konstantynopola dochodziły na ten temat jeno same bujdy. Eutymiusz długi czas puszczał je mimo uszu jak wszystkie pijackie opowieści o seldzuckich piratach grasujących po Morzu Marmara, o jednoroźcach, o złocie perskiego sultana... Później jednak posłyszał parę bardziej wiarygodnych relacji, zaś szpiedzy donieśli mu, że w rzeczy samej – jest pewien monastyr na odludziu, w tej części Kapadocji, gdzie hula jeno wiatr, zawodząc między kamiennymi rzeźbami skał. W tym eremie – donosili szpiedzy – żyją braciszkwowie, nikt nie wie, z jakiego Kościoła czy herezji. Choć ich wielu, nie orzą i nie

sieją, nie zbierają płodów natury, nie bywają we wsiach, nie handlują. Z czego żyją, nie wiadomo, za to nocami... Diabelski chichot i zawrodozenie słycać, błyski światel piekielnych widać, a czuć świdrujący w nosie smród śmierci. Krążyły bajdy o złocie, jakie gromadzą braciszki, patrosząc sakwy podróżnych, którzy dopełnili żywota, błądząc między skalnymi labiryntami Kapadocji. Z czasem jednak w tych opowieściach zaczął dominować jeden artefakt: Ikona Upadłego Anioła. O tym obrazie powiadali: kto go tylko tknie, czarna śmierć na niego spada. Śmierć, która odbiera życie w straszliwych męczarniach, rwącym bólu i jęku rozpacz. Ciało zamienia się w gnijącą galaretę duszącą smrodem. Tak mówiono, choć w to akurat tak bardzo Eutymiusz nie wierzył. Wiedział jednak, że nie jest to zwykły obraz. Nie jest to zwykły zakonnik i zwykły mnich.

Ale jakkolwiek tajemnicę skrywał Czarny Mnich, pomysł Atanazego był głupi. Nie opierał się na chłodnej logice, a na nieprzemyślanym zrywaniu nadziei. Eutymiusz wiedział, że w wyprawach do Kapadocji zginęło już zbyt wielu awanturników. Pozostały po nich tylko pieśni i płacz kobiet, bo nikt nigdy nie znalazł ciała. Pojechali i przepadli. Zresztą wyglądało na to, że nieostrożnych szpiegów Atanazego spotkał ten sam los. Obwiesiów posłanych w ślad za nimi przez Metodego – także.

Eutymiusz kiedyś szanował wielkiego mistrza gildii złodziei w Konstantynopolu, Atanazego Meklidosa. Teraz wiedział jedno: jeżeli gildia ma przetrwać, to z innym przywódcą.

– Dobrze, Metode. Rób, co masz robić.

– Ha! Ja go już tego... Normalnie mu zrobimy tak...

– Nie, karle. Zamilcz! – Eutymiusz sięgnął po niewielki pugnalik ze srebra i zreźnie obrócił go w dłoniach. Jednym zdecydowanym ruchem nadział na ostrze kawałek melona rozkrojonego na wygodne części. – Ja nie chcę nic wiedzieć. Nie było cię tutaj i ja o niczym nie wiem. Rozumiesz? Nic nie słyszałem i nie chcę słyszeć!

– Się wie. Będzie git, Metode się wszystkim zajmie.

– Dobrze, dobrze. No to wynocha mi teraz.

– Się wie. Ale.. Tego... Jest jeszcze jedna sprawa.

– Czego, karyplu?

– Śmierdziząb wrócił!

Mistrz poczerwieniał ze złości.

– Jaki znowóż śmierdziząb, karle?!

– No Teodor Śmierdziząb! No przecież mówiłem. No ziomek nasz to jest.

– Metode! Albo się wysłowisz jasno i klarownie, o co chodzi, albo każę cię zaraz obić i wywlec poza miasto. Co za Teodor? Co za śmierdziząb?

– No przecie mówiłem! Atanazy, jak zobaczyłem raz, gadał z fajfusami z gildii. Z tymi tam dupowatymi nieudacznikami, Nicetasem i resztą. Fajfusy po rozkazie Atanazego wzięły konie, przyozdobiły się w bitewne stroje i ruszyły w świat. Myślę se ja: *A niby co to ma być?*

*Gdzie pomykają fajfusy, niedoruchane gamonie, co się stroją w papuzie piórka, a miecza nie potrafią nawet wyszarpnąć z za pasa, kiedy trza? No to, jak patrzę, że jada, zara wołam wiarę, moich chłopaków do specjalnych zadań, no nie z gildii, oczywiście. I mówię im: *Jechać mi tu za Nicetasem i jego ziomkami.**

– Karle, streszczaj się! Co mnie obchodzi, co ty powiedziałeś jakiemuś brudnemu łachmycie z portu? Widzę z tego, że znów wysyłasz jakichś swoich zbirów. Nawiasem mówiąc, bardzo mnie ciekawi, z czyjej kiesy ty im płacisz? Ale dobrze. Pojechali i co z tego?

– Dużo się wyjaśniło. Myślałem, że to jakaś specjalna, tajna misja. No i tak trochę jest, ale chodzi o to, że oni szukają Kaliksta.

– Kogo?

– No Kaliksta. Belzebuba. Tego tam chłopaka, co go Atanazy chował. To on wykradł ten plan.

– Co?!

– No, Kalikst Belzebub ten plan wykradł, przecie mówię. Się okazało, że to od niego cała ta heca.

– Kalikst Belzebub, ten gnojek od Atanazego? To on wykradł tajny plan mistrza dotyczący wielkiej wyprawy do monasteru Czarnego Mnicha i wydobywania stamtąd Ikony Upadłego Anioła? To o to było całe to zamieszanie? To dopiero teraz mi mówisz?!

– Eeee! No jakoś tak nie było okazji. Ale teraz wszystko jest jasne. Sprawa wygląda tak: młody wykradł pergamin Atanazemu i czmychnął do Kapadocji. A że zrobił to na lewo, to mistrz posłał za nim chłopaków, coby mu spuścili manto. No i wtedy ja posłałem swoich, którzy mi donieśli, że tamci szukają Kaliksta. Nie wiem po co, ale na pewno wiadomo, że go szukają.

Zniecierpliwiony Eutymiusz machnął dłonią.

– Dobrze, już dobrze. Nie wiem, po co to wszystko, ale sądzę, że masz jakiś swój plan, Metody. I że szybko zakończysz tę farsę.

– A i owszem. Zakończę. Zakończę jak najbardziej.

Rozdział 16

Gdy zobaczył go ponownie, sobowtór miał już obie dłonie na swoim miejscu. Wyglądał tak, jakby wszystko, co działo się przedtem, było tylko chybotliwym mirażem.

– Uspokaja cię to? – zagadnął Czarny Mnich. – Ten widok przykrywa twą rozpaloną strachem i przerażeniem duszę chłodną, wilgotną płachtą jedwabiu, dając ukojenie i odpoczynek. W twym umyśle kielkuje teraz myśl: *To, co widziałem, było jeno złudzeniem, złym snem.*

Kalikst zamknął oczy. Monotonny głos zakonnika brzęczał mu pod czaszką niczym chmara rozleniwionych upałem much. Nie chciał tego słyszeć. Nie chciał o tym myśleć, ale słowa mnicha wdzierały się w jego serce niczym szpikulec skrytobójcy.

Rozwarł powieki i rzucił ukradkowe spojrzenie na drugą klatkę. Nie było wątpliwości – Kalikst-bliźniak wyglądał na całkiem zdrowego, rzekłbyś nawet – szczęśliwego. Przynajmniej biorąc pod uwagę okoliczności.

– Oto, co może Bóg. Dawać i odbierać. Nie, nie chcę bluźnić, że jestem Jedynym Bogiem, Ojcem, który dał ludzkości Demiurga. Jestem tylko skromnym mnichem, ale teraz dla ciebie i dla niego również w rzeczy samej jestem Bogiem. Panem, Władcą, Demiurgiem. Dawać i odbierać. To moja moc, którą jeszcze w pełni poznasz. Bo tobie też chcę coś odebrać. Jeszcze nie wiesz co. Dowiesz się.

Jaskinię rozświetlało kilkadziesiąt pochodni pozawieszanych na ścianach. Nie licząc sobowtóra, poza mnichem i Kalikstem nie było tu nikogo – upiorni braciszczowie, zapaliwszy ogień, wycofali się w głąb korytarzy.

– Mówią, że Satanael, Demiurg, stworzył świat wbrew woli Boga Ojca. Że na przekór Ojcu zmieszał cząstkę światła i ciemności i w siedem dni stworzył to wszystko, co nas otacza. Bluźnią straszliwie! Gdyby Demiurg uczynił świat przeciwko Bogu, to by przeczyło Boskiej wszechmocy i wszechwiedzy. Przeczyłoby Jego mądrości. I są to wszystko straszliwe bluźnierstwa, a powtarzających je dosięgnie kara Satanaela, Baal-Zebuba, Beliala, Lucyfera i wszystkich innych sług Bożych, którzy mają karać grzeszników i gnębić ich na wieki za występki i niegodziwości. Mówią, że materia jest zła, a dobry jest tylko duch. Że Demiurg stwarzający świat jest zły. Jednak patrz! Oto właśnie oznaka cudu Bożego: materia, która odradza się na nowo. Materia, którą Demiurg stworzył z niczego. Tak jak ja tworzę teraz nowe istnienia. Tak jak przywracam twojemu drugiemu ja poprzednią postać. Tak jak tworzę inne stworzenia, które jeszcze ujrzysz w pełnej krasie. To jest piękno materii. To jest wielkość Boga Ojca, który nakazał Satanaelowi połączenie światła i ciemności. Tak jak teraz Satanael nakazuje mi, wiernemu słudze, łączyć to, co rozdzielone, a rozdzielać to, co połączone.

Czarny Mnich podszedł do kołowrotu. Uniósł dłoń, by chwycić rękojeść, jednak zawałał się. Płynnym gestem wznosił ramię na wysokość głowy i skinął palcami na klatkę Kalikstasobowtóra.

Z zakamarków jaskini cicho wysunęli się dwaj braciszkwowie. W milczeniu chwycili kołowrót i z wyraźnym wysiłkiem zaczęli nim obracać. Tryby cicho skrzypiały, tworząc z pobrząkiwaniem łańcuchów monotonną muzykę.

Gdy klatka spoczęła na środku kamiennego języka, mnisi otworzyli ją i wywlekli jeńca, prowadząc go w stronę katafalku. Więzień nie stawiał oporu, był całkowicie bezwolny, zobojętniały na wszystko. Szedł na sztywnych nogach, nie, nie szedł – co Belzebub dostrzegł dopiero po chwili – tamci ciągnęli go jak słomianą kukłę na kamienny podest. I tam zostawili, nawet nie przywiązując.

Wciągnąwszy pustą klatkę do góry, zakonnicy wycofali się w mrok.

Czarny Mnich stanął naprzeciw katafalku. Złożył ręce jak do modlitwy, kryjąc dłonie pod szerokimi rękawami, i znieruchomiał. Stał tak w milczeniu lekko pochylony, błędząc modlitwą po najdalszych zakątkach niebios, a może piekieł – tego Kalikst nie wiedział.

Nagle jego bezwolny sobowtór ożył. Szarpnął się w tył. Wciągnął nogi na kamienny blat i powoli pełzył do tyłu. Rozszerzone z przerażenia oczy lśniły niczym wypolerowane złote solidy. Z szeroko otwartych, ale niemych ust pociekła strużka śliny.

– Yhh – stęknął więzień. – Yhhh, co...? Co to...? Nie...!

Kalikst przysunął się bliżej prętów klatki. Teraz i on widział, co tak przeraziło jego bliźniaka. Z wejścia do jaskini wychynęły dwa czarne kształty. Stąpały cicho, nieme niczym cienie. Były zbyt daleko, by czuć ich zapach, jednak otaczał je niewidoczny obłok jakiejś mocy – powietrze wokół postaci drgało i falowało jak na pustyni pod żarem słońca.

Ta moc dopadła i Kaliksta. Nagle ścisnął go za gardło strach – dławiący, wyrzucający powietrze z płuc. Belzebub stracił dech i poczerwieniał na twarzy, odruchowo cofał się w tył, zupełnie jak jego drugie ja na porfirowym blacie.

Opanował jednak przerażenie i z bijącym sercem znów podpełzył do krat. Spojrzał.

Zobaczył dwa psy wielkie jak woły. Nie, nie psy – psy przecież nie mają trzech węzowych szyj długich na dwa kroki i wijących się w nieustannym tańcu. Były one grube jak udo mężczyzny, wręcz za grube dla płaskich, pozbawionych uszu łbów. Między wąsko osadzonymi, wyłupiastymi oczami tkwiły spłaszczone, rzekłbyś – ludzkie – nosy, pod nimi zaś szerokie szczęki uzbrojone w rzędy ostrych niczym kindżały żółtawych kłów. Przednie łapy demonów – szerokie i mocarne – były nieco dłuższe niż tylne, ale i tak zdawało się, że szyje jak pytony powinny zachwiać równowagą stworzeń i ściągnąć je w dół. A jednak nie – pokryte czarną sierścią stwory kroczyły godnie i spokojnie, jak kroczyć może tylko śmierć.

Mnich stał nieporuszony tak długo, aż bestie minęły go, nie odwracając nawet łbów, jakby był skałą albo drzewem. Gdy przeszły mimo, opuścił ręce, lekko podniósł głowę i znów zamarł wpatrzony w katafalk.

Sobowtór Kaliksta porzygał się ze strachu. Zgięty na kamieniu wyrzucił z żołądka wodnisty śluz lekko zabarwiony na różowo krwią. Nie było tego wiele – mnich rzadko pamiętał o karmieniu swoich więźniów. Spleśniały, stary chleb raz na dwa dni. *Jecie to, co i ja, powstrzymując się na chwałę Bożą od rozpusty i zepsucia.*

Jeden z demonów przyśpieszył. Skoczył lekko, zadziwiająco lekko jak na swoje rozmiary i kształty. Przypadł tuż do podstawy katafalku. Nie wydał najcichszego głosu, nawet łapy nie klapnęły o skalne podłoże ani pazury nie zachrzęściły na kamieniach. Po prostu przemknął w powietrzu, miękko lądując przed skalnym podwyższeniem.

Więzień pomknął w tył na czworakach niczym małpka. Zeskoczył z katafalku i skrył się tuż za nim. Nie miał gdzie uciekać – trzy kroki dalej ziała bezkresem ciemna czeluść przepaści.

Wtedy ożywił się drugi demon. Trzema susami wskoczył na katafalk. Jeden z wężowych łbów odchylił do tyłu, dwa pozostałe skłoniły się nad nieszczęśnikiem i pochwyciły go zębami za kubrak. Jeden zgrabny ruch i po chwili sobowtór wisiał w powietrzu, machając bezradnie ramionami.

Nim spadł, demon zeskoczył z porfirowego blatu i przysiadł na końcu skalnego języka.

Kalikst-bliźniak grzmotnął o katafalk ciężko jak polec mięsa w rzeźni. Jęknął płacziwie. Wił się niczym robak, któremu złośliwy dzieciak przydeptał koniec odwłoka. W końcu opanował ból i podjął kolejną próbę desperackiej ucieczki.

Demon za jego plecami nie pozwolił na to. Jeden z wężowych łbów wyskoczył w przód i wbił sztyletowate zębiska pod kolanem więźnia. Zacisnął szczękę i płynnym ruchem wyrwał kawał żywego mięsa.

Sobowtór wrzasnął rozdzierająco i opadł na plecy prosto w rosnącą kałużę krwi. Jej metaliczny zapach, jej ciemna barwa, strach i rozpaczliwe wycie ofiary ożywiły pozostałe łby. Demony doskoczyły do katafalku, opierając na nim przednie łapy. Wężowe szyje runęły w przód złaknione mięsa.

Drugi łeb oderwał umęczonemu jeńcowi dłoń. Przemęł ją na języku i wyczuwając kości, wypluł na bok. Rzucił się po następny kawałek. Wbił kły poniżej łokcia ofiary.

Pozostałe paszcze zaatakowały nogi i plecy. Rwały wielkie kawały mięsa, szarpiąc je szczękami mocarnymi jak kowalskie narzędzia. Trafiając na kości, wypluwały kęsy i sięgały po więcej, po miękkie i krwiste. Siekły kłami, a wyłupiaste oczy bestii lśniły jak latarnie morskie nad brzegiem Złotego Rogu.

Zadziwiające, ale sobowtór wciąż żył i zachowywał przytomność. Każde ugryzienie demonów wyrzucało z jego piersi nowy wrzask bólu i przerażenia. Krew ciekła ze wszystkich ran, zalewając kamienny blat, bryzgając na czarną sierść potworów. Kalikst-bliźniak był nieustannie aż do zachrypnięcia gardła, był cienko i basowo na przemian. Jego głos uderzył o skalne ściany jaskini potęgowany i wzmacniany jak bicie w bęben. Wrzask niósł się po najdalszych korytarzach monasteru nawet wówczas, gdy potwory rozszarpały swej ofierze

wszystkie kończyny. W takiej chwili każdy człowiek już by zamilkł. Zemdlałby z bólu albo umarł wycieńczony upływem krwi, zduszony strachem. Ale sobowtór wciąż wył.

Przestał, gdy płaski wężowy łeb odgryzł mu pół twarzy. Wtedy ryk bólu przeszedł w bulgotliwy charkot, a później dało się już tylko słyszeć, jak demony z ohydnymlaskaniem odrywają z ciała ofiary uszy, resztki nosa, jak szarpią krtań.

Tego jednak Belzebub nie chciał oglądać, choć wcześniej był świadkiem niejednej jatki w zaułkach Konstantynopola. Choć widział obrąbywane ręce, obrąbywane głowy, ziomek, którzy do ostatniej chwili trwali przy nadziei, że przytrzymując rękami wypływające z brzucha jelita, ocala życie. Jednak teraz, patrząc, jak demony rozrywają na strzępy jego i nie jego zarazem, jak rozszarpują bliźniaka przy milczącej aprobacie mnicha, spadł w duszny mrok, nurzając się twarzą we własnych wymiocinach.

Nie widział już, jak demony dzielą między siebie pokrwawiony kadłubek, strzęp ludzki pozostały z sobowtóra. Jak wrywają mu serce, jak objadają z mięsa czaszkę, jak chłapią mózgiem. Jak wleką trzewia, przeciągając je między sobą niczym linę...

* * *

Powrócił do tego świata, ale wciąż ogarniała go ciemność. Starł z twarzy resztki rzygowin. Poznawał na nowo świat wokół siebie: twarda podłoga klatki, zimne pręty krat. I nic poza tym – przestrzeń jak ucięta nożem, zamknięta w skorupce od jajka.

Zaczął nasłuchiwać. Gdzie demony? Gdzie Czarny Mnich? No i... sobowtór, a raczej to, co z niego pozostało...

Cisza. Z mroku nie dochodził najśłabszy nawet głos. Klasnął dwa razy. *A może to już inne miejsce, może moja klatka tkwi gdzie indziej, z dala od krwawego katafalku, z dala od ołtarza okrutnej kazi?* – pomyślał.

Odpowiedziało mu znajome echo. To musiała być ta sama jaskinia. Żadnej nadziei.

– Hejże...! – krzyknął w dal. Może to był tylko sen, miraż jak na pustyni, iluzja stworzona przez nikczemnego apostatę w czarnym habicie?

Znów ozwało się echo, ale nic ponadto. Nasłuchiwał chwilę: może chociaż cichy jęk, westchnienie, sapanie przez sen?

Nic. Cisza. Mrok.

Zwinął się w kłębek i próbował zasnąć, jednak wspomnienie bliźniaka rozszarpywanego przez bestie przyprawiało go o nerwowe bicie serca. Słyszał jego krzyk dławiony przez bulgoczącą krew.

W końcu jednak zapadł w nierówny sen.

* * *

I znów obudził się, lecz wciąż otaczał go mrok. Demony, Czarny Mnich, sobowtór – nie chciał o nich myśleć ani ich pamiętać.

Jego dusza powędrowała gdzie indziej. Odgrzebał w pamięci Konstantynopol, a w nim Zoe. Tę ostatnią noc, gdy pili we trójkę z Nicetasem w portowej tawernie „U Epifaniusza”. A później „Pod Czarnym Krabem”. I gdzie tam jeszcze... W „Bezglowym Scycie”. I jeszcze gdzieś, teraz nie mógł sobie przypomnieć.

Czy wtedy się kochali, czy tylko zlegli nieprzytomni od wina? Czy kochali się wcześniej? Ona była naga, piękna jak bogini Afrodyta, osłonięta jeno lekkim prześcieradłem. A on w ubraniu, w butach, zamroczony winem. I nie wiedział, czy się kochali. Nie wiedział. Nie pamiętał.

Wtedy było dobrze: wieczorne pijaństwo, a rano smażone jaja, grube pajdy chleba, piwo. I Zoe do towarzystwa. Teraz nie miał nic: dziewczyna pewnie w kazamatach, a o takiej uczcie nawet nie miał co marzyć. Spleśniałe resztki, jakie wrzucali mu za kraty mnisi-truposze, przyprawiały go jeno o ból żołądka. Ledwie się zmuszał, by je wepchnąć do ust, głód jednak zwyciężał.

Zoe! – krzyczał w myślach. – *Zoe! Gdzie jesteś?! Przecież nie mógł cię pochwycić. Byłaś daleko, po drugiej stronie wzgórz. Daleko od podziemnych korytarzy, daleko od wąwozu z nadzianymi na pale trupami naszych ziomków.*

A może wróciła? Uparta Zoe! Może wróciła, by go szukać? By czekać w pobliżu? Może została przy wejściu, tam gdzie on wniknął w podziemny labirynt korytarzy?

Czy mnich ją złapał? Zabił?

Nie chciał nawet o tym myśleć.

Gdzie jesteś, Zoe?

* * *

– Przecież jestem złodziejem – szepnął do siebie. – Potrafię otwierać to, co niedostępne dla innych. Potrafię odzyskać swoją wolność.

Dopelzył do brzegów klatki. Sięgnął między kraty, badając dłonią podstawę swojego więzienia – nic, tylko pokryta cienkim nalotem rdzy obręcz z żelaza. Pamiętał jednak, że wyciągając sobowtóra, truposze manipulowały gdzieś u podstawy klatki. Nie pod nią, lecz z brzegu.

Jak ślepiec szukał zamka, macając dłońmi. *Jest!* – niemal wykrzyknął. Choć i tak tkwił w gęstej jak smoła ciemności, odruchowo zamknął oczy i badał mechanizm opuszkami palców. Zamek nie przypominał niczego, co znał z drzwi, kufrów, szafek i skrytek kupców przybywających do Konstantynopola. Obok dziurki od klucza, okrągłej i pozbawionej bocznych wypustek, odkrył układ niewielkich trybów połączonych łańcuchem. Najwyraźniej poruszały one sprężyną po drugiej stronie klatki. Próbował wyobrazić sobie w myślach zasadę

działania całej maszyny, jednak nigdzie nie napotkał takiego układu zębatach kół, łańcuchów i zapadek.

Idąc na robotę w mieście, Kalikst zawsze nosił ze sobą przyborek ze złodziejskimi narzędziami. Wytrychy, wytryski, haczyki, pilki, niewielki młoteczek i maleńkie, ale bardzo wytrzymałe dłutko. Do tego oczywiście strzałki do rzucania, puginał i dwa noże o szerokich ostrzach. Oraz lina z hakiem, drobniejsze linki i starannie nawoskowane nici. Niekiedy także łuk i strzały. To pozwalało mu podczas nocnych wypadów wspiąć się na każdy mur, cicho wykończyć każdego przeciwnika, wreszcie sforsować każdy zamek.

Wyruszając do klasztoru Czarnego Mnicha, miał przy sobie cały komplet, jednak później, walcząc z bestią w podziemiach, szarpiąc się z trupami braciszkami, potracił wszystkie akcesoria. To, czego nie zgubił, zabrali mu mnisi, wtrącając go do klatki.

Z jednym wyjątkiem. W nogawce spodni, w szwie obrębiającym, trzymał zwój wytrzymałego drutu z nieznanego mu stopu, który przez jednych zwany był stopem z Kitaju, przez innych stopem saraceńskim, a tak naprawdę nikt nie znał jego składu i pochodzenia. Może tylko kilku mistrzów płatnerstwa i kowalstwa, którzy na zamówienie gildii dostarczali gotowy produkt. Cienka nić metalu służyła do jednego: dzięki stalowym pierścieniom na końcach była doskonałym narzędziem mordy – po zaciśnięciu jej na szyi przeciwnika z równą łatwością przecinała skórę, chrząstki, a nawet kości. Złodzieje z gildii nosili ją owiniętą wokół pasa, szczipioną metalową sprzączką skonstruowaną tak, że dało się ją odpiąć jednym wyczynowym ruchem.

Ale nie Kalikst! On do likwidowania przeciwników preferował inne narzędzia. Więc pierwsze, co zrobił ze swoją pętlą, to usunął z niej pierścień. Później doszył w spodniach wąski pokrowiec, akuratywny, by tam zmieścić złożony na dwoje drut. Nie po to, by skrytobójczo pozbawiać życia. Raczej jako zabezpieczenie na wszelki wypadek. Taki jak teraz.

Wyciągnął pętlę spod szwu i dłuższą chwilę obracał ją w dłoni. Co z tym zrobić? Złożył metalową nić na pół i przygiął końcówkę palcami. Wsunął koniec tak powstałego narzędzia w otwór zamka.

Długo badał mechanizm, delikatnie trącąc zapadki. Szybko wyczuł, w czym rzecz: ze swoim standardowym zestawem wytrychów otworzyłby to w kilka minut. Wystarczyłby średni sztywny haczyk, ten z lekko spłaszczoną końcówką. Ale co można zrobić, dysponując zamiast tego giętkim drucikiem? Mocnym, bo mocnym, ale zbyt wiotkim, by odryglować zapadkę.

Wyjął pętlę z otworu i zaczął energicznie zginać i rozginać dwie części drutu. Trwało to bardzo długo, bo kitajski czy saraceński stop wykazywał się niewielką kruchością. Był giętki jak jedwabna nić. W końcu jednak rozgrzany od tarcia pękł.

Teraz Kalikst poskręcał druciki. Na ich końcach uformował niewielkie pętelki, zaś część poniżej zwinął spiralnie, tak by wzmocnić powstały w ten sposób trzonek. Teraz miał dwa

niby-wytrychy, nieco zbyt giętkie do poważnej roboty, ale musiał spróbować.

Wsunął równocześnie końce narzędzi w otwór zamka. Wykonując nimi delikatne ruchy, używając dwóch pętelek naraz, zdołał poruszyć jeden z rygielków. Poruszyć, jednak nie odciągnąć. Oczko na końcu improwizowanego wytrycha było zbyt małe.

Po co najmniej dwóch kwadransach takiej pracy zdołał przekręcić główną blokadę w zamku. Klatka była otwarta: by odchylić jej dwie części, należało jeno szarpnąć niewielką dźwignię.

Nie śpieszył się z tym. Jego więzienie wisiało nad przepaścią, zbyt daleko od skalnego języka. Szarpnięcie dźwigni spowodowałoby, że podłoga otworzy się, wyrzucając więźnia w czarną czelusć bez dna.

Ile kroków od klatki jest do skalnego języka? A u góry? – zastanawiał się Kalikst. – Klatka wisi na łańcuchu prowadzącym do góry, do ramienia. Ono pochyla się to w dół, to w górę, gdy nim obracają mnisi. Ale jak ta machina jest osadzona w ścianach jaskini? I czy można tamtędy przejść nad przepaścią?

Zawisł na klatce, opierając stopy o jej brzeg, i szarpnął dźwignię. Odskoczyła z cichym skrzypnięciem. Poczul tylko, jak podłoga klatki opada w ciemność, by zaraz szarpnąć sprężynami wokół zawiasów. Żelazne więzienie zadrzało. Kalikst pochwycił kraty, przylegając do nich z całych sił. Drgania metalowej konstrukcji nie ustawały, jakby w kpinie przeciwko prawom Boskim. Jakby jakaś wielka, niewidzialna dłoń trzymająca łańcuch nad klatką za wszelką cenę chciała strącić Belzebuba na dno przepaści. Gdy wreszcie podłoga zamarła bez ruchu przytrzymana w ryzach przez stalowe warkocze sprężyn, więzienie zakręciło się wokół własnej osi. Kilkadziesiąt obrotów w lewą stronę aż do granic wytrzymałości łańcucha, a później w prawą – i tak na przemian. A w środku Kalikst – zabawka w rękach olbrzyma skrytego w czerni.

Gdy piruety ustały, Belzebub ostrożnie zjechał po kratkach w dół, aż na skraj klatki. Jednym ruchem przerzucił ciało na zewnątrz i od razu pochwycił pręty z drugiej strony. Piął się do góry, chociaż konstrukcja znów zadrgała w piruetach. Po chwili Kalikst był już na jej czubku i mozolnie wspinał się po łańcuchu.

Wreszcie dotarł do końca wysięgnika. Wisząc w całkowitych ciemnościach nad bezdenną czeluścią, niczym ślepiec macał nasączone smołą drewno, zimny metal okuć, żelazne warkocze zlepione starą oliwą, brudem i rdzą. Próbował wyobrazić sobie, jak działa ta szatańska konstrukcja. Dokąd idą łańcuchy, gdzie prowadzą belki i wsporniki, jak stąd uciec?

Wreszcie podjął decyzję. Wybrał łańcuch wiodący w bok, solidnie naprężony i najmniej pokryty rdzą. A to znaczyło, że jego ogniwa były w użyciu i stanowiły jakiś ważny element maszynarii.

Ruszył. Powoli zdobywał kolejne ogniwa, ściskając je tak mocno, że aż wrzynały się w palce. To źle – wiedział o tym. Zwisając na łańcuchu czy linie należało palce trzymać swobodnie. Pewnie, ale lekko niczym małpa. W tej chwili nie potrafił jednak inaczej. Strach

potęgowany przez smolistą czerń dokoła nie dopuszczał rozsądku. I ten trupi smród!

Na efekty nie czekał długo. Ból zaciśniętych mięśni wprawił jego ramiona w nerwowe drgania. Dłonie zwilgotniały mu, a serce przyśpieszało swe bicie. Złuszczona rdza, smugi oliwy na ogniwach i w dodatku jego własny pot – to wszystko powodowało, że tracił przyczepność, łańcuch ślizgał mu się w rękach. Raz czy drugi nadwerężona dłoń zjechała w dół. Nogi coraz słabiej obejmowały stalowy warkocz. W końcu spadł.

Nim zdążył krzyknąć z przerażenia, uderzył plecami w kamień. Nawet nie poczuł bólu – krew buzowała w żyłach jak wezbrana rzeka podczas powodzi. Leżał na twardym podłożu, gładkim i wyslizganym. Wyciągnął ramię, muskając palcami ogniwa. Były tuż nad nim.

Nie spadłem w przepaść! Żyję! – pomyślał. Wiedział już, że dotarł do ściany, w którą wnikała diabelska maszyna.

Szedł na czworakach za podmuchem powietrza, aż niewielka dziura w skale rozszerzyła się na tyle, że mógł wstać. Ruszył dalej zgarbiony, szorując ramionami o łańcuch.

Stalowy warkocz kończył się nagle zaplątany w wielkiej przekładni. Kalikst próbował zmierzyć ją ramionami, jednak machina miała rozmiary niewielkiego domu. Odszedł na bok, macając po ścianach.

Ciemności zdawały się tu jeszcze bardziej gęstnieć, jednak wyraźnie czuł rześki powiew. Dochodził gdzieś z góry. A samo pomieszczenie – co pośpiesznie zmierzył – miało jakieś dwadzieścia kroków średnicy i zostało wykute w tej miękkiej wulkanicznej skale. Skoro jest pomieszczenie, musiało gdzieś być wyjście. Bo raczej nie tam u góry, skąd czuł napływające powietrze.

Wreszcie stopa Kaliksta natrafiła na prowadzące w dół schodki. Na ich końcu znajdowały się niewielkie drzwi z grubych desek. Pchnął je.

Piekielna czerń ustąpiła szarości przypominającej świt po bezksiężycowej nocy. Czekał długą chwilę, aż wzrok przyzwyczai się do światła łaskoczącego oczy nawet przy opuszczonych powiekach. Gdy wreszcie migotanie ustało, popatrzył wokół siebie.

Stał u wylotu kolejnego korytarza, tym razem zdecydowanie większego. Niemrawe jasne smugi dochodziły tylko z jednej strony, więc ruszył w tym kierunku. Byle dalej od tych ciemności!

Po kilkuset krokach dotarł do rozwidlenia, nad którym wybito w suficie niewielki świetlik.

Niebo! Belzebub zobaczył strzęp nieba! Musiał być świt albo zachmurzony wieczór. Upajał się tym widokiem tak długo, aż wspomnienie dusznej jaskini opanowanej nieprzeniknionym mrokiem ustąpiło pod naporem myśli: *Co dalej?*

Uciekać! To jasne.

Ale najpierw... Najpierw muszę zobaczyć, kim on jest. Albo czym. On. Sobowtór. Drugi Kalikst Belzebub. Bliźniak. Nie mogę go tu zostawić, bo to tak, jakbym zostawił tu część siebie.

Nie! Uciekaj! – ostrzegało go coś w głowie. – *Daj sobie spokój z sobowtórem! To uluda stworzona przez Czarnego Mnicha po to jeno, by się mógł nad tobą pastwić. Szalony mag, apostata, po to tylko ulepił tego golema, by po wielekroć cieszyć się twoim strachem! Więc uciekaj! Zostaw to za sobą!*

– Muszę wiedzieć – mruknął, ucinając niespokojne myśli. – Muszę zobaczyć, kim on jest. Szedł tam, gdzie wedle jego obliczeń winno być wejście do podziemnej jaskini.

Jakiś czas wędrował w półmroku wsłuchany jeno w odgłos własnych kroków. Wreszcie zatrzymał się przy półokrągłym wgłębieniu wykutym w skale. Zamykała je wielka brama z poczerniałych, masywnych desek obitych żelaznymi sztabami. Gruba warstwa rdzy, kurz i pajęczyny – wyglądało na to, że tych wrót dawno nikt nie otwierał.

Pośrodku bramy znajdowały się drzwi. Musiano ich często używać, bo klamka była wyslizgana, a zawiasy powlekała warstewka oliwy.

Kalikst nacisnął klamkę i szarpnął drzwi.

Oto i katownia – pomyślał z odrazą. – *Wciąż czuć smród strachu i śmierci.*

Stalowe więzienie tkwiło na swoim miejscu zawieszzone nad przepaścią. Czarna płachta na kratkach nie pozwalała zajrzeć do środka. Kalikst jednak czuł: *On tam jest! Jest pod tą szmatą.* Czuł wyraźnie, że jego sobowtór się porusza, przysiągłby, że słyszy oddech więźnia.

Złapał za kołowrót. Łańcuchy jęknęły, gdzieś tam zgrzytnął jakiś mechanizm, żuraw jednak ani drgnął. Belzebub naparł na wyslizganą rączkę korby i pchnął ją jeszcze raz, wkładając w to całe swoje siły.

Jaskinię wypełnił chrzęst przesuwanych z oporem trybów i wysięgników. Żuraw z klatką przesunął się leniwie nad skalny język i znieruchomiał. Kalikst podskoczył do drugiego kołowrotu i po chwili klatka z metalicznym grzechotem opadła na kamienny pomost.

Złapał pochodnię i podszedł bliżej. Poświecił.

Jednym ruchem zdarł płachtę zasłaniającą kraty.

– Wiedziałem! – posłyszał kpiący głos.

Odskoczył w tył.

– Wiedziałem, że wrócisz! Każdy by wrócił. Większość. Z ciekawości. Albo współczucia. Ciekawość to rzecz cenna. Żądza poznania przybliży nas do Boskości, do chwili, gdy stopimy się z Bogiem, stając się Nim, Jednością...

W klatce nie było sobowtóra. Siedział w niej za to ponury apostata w habicie o barwie nocy. Kalikst aż otworzył usta ze zdziwienia. Przez głowę przemknęły mu setki szybkich myśli, bezładnych i postrzępionych.

– Ale ciekawość źle użyta prowadzi do zguby. Ciekawość, która ogarnia człeka w najmniej odpowiednim momencie, jest jeno utrapieniem. A współczucie? To już całkiem zbędny odruch, przynajmniej w tych okolicznościach. Jak widzisz, dla ciebie okazał się zgubny. Nie pomogłeś ani jemu, ani sobie.

Czarny Mnich wykonał szybki gest ramieniem. Górna część klatki runęła z łomotem

w tył, wzbijając tuman kurzu.

Belzebub nie czekał na to, co będzie dalej. Odwrócił się i popędził biegiem, skąd przyszedł.

Nim dotarł do wyjścia z jaskini, drogę zastąpili mu mnisi. Dwudziestu czy trzydziestu – otoczyli go zwartą gromadą i obalili na kamienną podłogę. Próbował się oswobodzić i przemknąć między ich nogami, jednak tamci przycisnęli go do ziemi i nie puszczali.

– Nie mogłem tak po prostu pozwolić ci uciec! – usłyszał Kalikst. – Teraz dopiero najciekawsza część przedstawienia.

Rozdział 17

Wysmukłe słupy skalne zwieńczone kapeluszowatymi pokrywami jak okiem sięgnąć rozciągały się aż po horyzont.

– Kapadocja – powiedział Nicetas Wielka Pięść.

Waldemar Jałmużnik uczynił znak krzyża.

– Powiadają, że to kraina demonów. Że te skały to zastygła ślina diabłów wylatujących z bram piekieł.

– Gadanie! Noc idzie, więc trzeba obóz rozbić. Z diabłami czy bez. Chyba że chcesz se łeb obić o te głazy. No to droga wolna, jedźże!

– Ech, gdzieżby...

– No właśnie. O! Tam pojedziemy. – Nicetas wskazał skupisko czarnych skał tworzących niewielkie półkole. Uderzył konia piętami i mijając kamienne rzeźby, ruszył we wskazanym kierunku. Jego kompani po chwili wahania podążyli za nim.

– Wit! Weź no zobacz, co jest tam dalej i czy spokojnie. Muhammad zostaje, a ja z Waldemarem nawieziemy jakiegoś drewna na opał.

Z tym był jednak problem. Suche trawy, jakieś karłowate krzewy – tym Pan na niebiosach obdarował Kapadocję nader hojnie. Ale taki materiał gore w kilka chwil, ani się obejrzysz. Wielka Pięść i Jałmużnik pojechali więc nieco dalej, gdzie wśród słupowatych skał kusiły zielenią niewysokie drzewka. Niestety, jak się okazało, były zbyt młode, więc porzucili je i dopiero po kwadransie dotarli do miejsca, gdzie wśród rudych traw zalegało kilka grubszych, suchych pieńków. Powiązali je linami i zatachali do obozowiska.

Akurat wrócił Wit.

– I co? Co tam jest? – zapytał Nicetas.

– Nic. To znaczy to samo. Dziwaczne kamienie. Suche trawy. Długo, długo nic innego. Droga, a później dolina. Za doliną pagórek...

– Dobra, dobra, styka – przerwał mu Wielka Pięść.

– A mnie nijak nie styka – mruknął Waldemar, ukradkiem patrząc na boki. – Ktoś za nami jechał, łeb dałbym se za to uciąć. Cały dzień tak czułem. Jakby ktoś siedział nam na karku i tylko patrzył, jak za dupę złapać.

Nicetas podzielał wrażenie kompana, ale nie dał nic po sobie poznać.

– Doskonale, zatem my se klapniem w kimę, a ty weźmiesz pierwszą wartę.

– Wartę? A odkąd to wystawiamy jakieś warty?

Wielka Pięść nie należał do myślicieli, ale nawet jego powaliło głupectwo Jałmużnika.

– Jechał za tobą ktoś, tak? Świdrował ci dziurę w tyłku, tak? Żeś się spocił jak mysz

z tego wszystkiego, tak? To teraz będziesz stał na warcie, czekając, aż coś się wydarzy albo i nie. Po tobie będzie twój brat, później Muhammad, a na końcu ja.

Wkrótce między kamiennymi grzybami rozblęsnął niewielki płomień. Bacząc na znikomą ilość drewna, Nicetas nie pozwolił na rozpalenie większego ogniska. Był to ledwie żar, z rzadka wybuchający wąskimi jęzorami.

Dobyli z juków jadło – płaty nieco łykowatej i podsuszanej koźlęciny oraz bukłak wina zarekwirowany jakiemuś drobnemu kupcowi, który jechał traktem bez ochrony. Pojedli, popili i walnęli się spać, okrywając płaszczami.

– Zimno, nie? – westchnął Waldemar, ale odpowiedziało mu tylko miarowe chrapanie kompanów. Zasnęli, ledwie położyli głowy na trawie. Nie dziwota – kto długo w podróży, ten potrafi wykorzystać każdą chwilę na odpoczynek.

Jałmużnik potoczył wzrokiem dookoła. Wyobrażenia podsuwała mu coraz bardziej przerażające obrazy. Oto tam, gdzie ta skała, stoi w mroku porośnięty czarną szczeciną demon przypominający wielką małpę ze świńskim ryjem i kłami wilka. A tam, z drugiej strony, wije się między kamieniami człowiek-wąż o skórze pokrytej łuskami, z zębami wypełnionymi jadem, o hakowato zakończonym ogonie ostrym niczym kindżał saracena. Każdy z nich miał za pomocników małe, sięgające do pasa chochliki o skórze czarnej niczym węgiel i długich ramionach uzbrojonych w łuki, z pełnymi kołczanami zatrutych strzał. Dalej zaś...

Co było dalej, Waldemar już sobie nie wyobraził, bo zasnął niczym niemowlę. Spał snem sprawiedliwego, a koszmary mącące jego umysł na jawie tym razem nie nadeszły.

Obudził go tęgi kopniak wymierzony prosto w zadek.

– Ty kurwi pomiole! To tak żeś warty pilnował? Żeśmy się wszyscy pospali przez ciebie, bo żeś nie obudził swego brata. A on Muhammada, a ten mnie! No a jakby tak ktoś rzeczywiście chciał nas poszlachtować?... No to od Jałmużnika dostałby nas na złotej tacy!

Nicetas przyłożył mu jeszcze kilka kopów, ale widząc zdezorientowany wyraz twarzy Waldemara, dał spokój. Prawda była taka, że w sumie nic się nie stało i choć Wielka Pięść w naturalny sposób przyjął na siebie rolę wodza, to nie był przecież żołnierzem, a sam przeciw warcholstwo miał we krwi.

– Zaspałem? – wymamrotał Jałmużnik, niepewnie patrząc na boki. Wschodzące słońce rysowało na pokrytych rosą trawach długie cienie rzucane przez skalne grzyby. Było jeszcze chłodno, ale czyste niebo bez jednej chmury zapowiadało kolejny upalny dzień. Zanim podróżni zdążą się zebrać i wyruszyć w dalszą drogę, drobne kropelki poznikają jak skradzione klejnoty. – Mamy coś jeszcze do żarcia? Zostało coś z koziołka?

– Nie ma koziołka i nie mamy nic do żarcia. Ruszaj więc dupę. Jadziem! Przed nami Kapadocja.

Wyglądało więc na to, że nie spędzą tu zbyt wiele czasu. Jednak Waldemar nie palił się jakoś do dalszej drogi, zresztą jego brat był podobnego zdania. Nicetas tego nie zauważał.

– Pojedziemy kawałek głównym traktem na Cezareę, to będzie jakaś godzina drogi. Później, jak mistrz Atanazy kazał, skręcimy na prawo, na południe. Tam Kaliksta wywiłało i tam mamy go szukać.

– Z dala od traktów, z dala od ludzi... A co będziemy żreć? Na głodniaka mamy jechać?

Nicetas musiał w duchu przyznać, że nie ma dobrego pomysłu, jak rozwiązać ten problem. Nie nawykli do dalekich podróży, a ich żywiołem był Konstantynopol, gdzie nigdy nie brakło jadła i napitku, gdzie co krok to inna karczma. Tu zaś mogli jeno liczyć na kurz z drogi i rozpalone słońce nad głowami.

– Coś się znajdzie. Coś upolujemy...

– He, he – zarechotał teatralnie Wit Wodnik. – Węża albo mysz, na pewno...

– Zbierać dupska i jedziemy! – uciął dyskusję Wielka Pięść, pokazując jako argument zaciśnięty kułak rozmiarów dojrzałego melona.

Z ociąganiem spakowali rzeczy do juków i wsiedli na koń.

– Dalej!

Nicetas uderzył konia piętami i pomknął lekkim galopem między skalne grzyby.

– Widzieliście to? Gdzie mu tak śpieszno?

Chcąc nie chcąc, musieli ruszyć w ślad za kompanem i dostosować do niego tempo jazdy. Na szczęście po kilkuminutowym galopie traktem osiłek zwolnił. Teraz jego koń biegł klusem.

– Te, Nicetas! Dokąd tak gnasz? – zagadnął Wit.

– Gdybym nie przycisnął, tobyście jeszcze tam w obozie...

Nie dokończył. Bełt kuszy uderzył go w ramię i zwałił z konia. Chwilę później zza skał wyleciały następne pociski, tnąc powietrze w miejscu, gdzie jeszcze chwilę wcześniej znajdowała się pierś i twarz jeźdźca.

Wit też dostał, miał jednak więcej szczęścia. Jego koń, spłoszony, stanął bokiem do atakujących. Bełt utkwiał w tarczy zawieszanej przy pasie Wodnika. Drugi przekrzywił mu kapalin na głowie, jednak nie przebił metalu.

Wielka Pięść nie baczył na ból rozsadzający ramię. Pochwycił konia za uzdę i wskoczył na jego grzbiet. Sposobem podpatrzonym u graczy w *tyzkanion* przylgnął do boku zwierzęcia. Tarczą osłaniał się z drugiej strony.

Na nic to się jednak nie zdało. Kolejne trzy bełty posłane zza skał trafiły konia w szyję, brzuch i zad. Ten chrapnął krótko, plując krwawą pianą, i padł na ziemię. Nicetas w porę się odchylił. Dzięki temu wierzchowiec go nie przygniół, ale jeździec nie zdążył wyciągnąć nogi ze strzemienia. Zawył z bólu, gdy martwe ciało zwierzęcia strzaskało mu kolano.

Reszta zdołała uciec za najbliższe skały. Koń Wita również dostał, ale żył. Jednak bełt, który utkwiał w zadzie, powodował u zwierzęcia taki ból, że w każdej chwili gotowe było ponieść.

Przystanęli między skalnymi grzybami. Waldemar Jałmużnik dobył swej maczugi

i osłaniając się tarczą, ruszył w stronę napastników.

A ci dobrze wybrali miejsce na zasadzkę. Był to odcinek, w którym trakt biegł przez pokrytą zeschniętym zielskiem łąkę, pustynię raczej z rzadka pokrytą żółklymi trawami. Na prawo ciągnęła się szara, gładka ściana skał, zaś jedyne schronienie zapewniały nieliczne kamienne grzyby po lewej stronie. Napastnicy stali za łukiem tworzącym naturalną bramę.

Na środku traktu został tylko Nicetas przygnieciony przez zabitego konia. Wielka Pięść, powstrzymując wycie bólu, osłaniał się tarczą wciąż trzymaną w prawej dłoni. Oswobodził drugą nogę i ułożył ją na ziemi wzdłuż grzbietu wierzchowca. Ciało nieszczęsnego zwierzęcia było teraz jego jedyną osłoną.

– Kurwie syny! – syknął Waldemar. – Patrza! Dalej nie ma jak podejść, bo tu zaraz skały się kończą. A tam na górę to nie ma bata, też nie wejdziem, bo za wysoko. A pośrodku tylko sucha ziemia.

– Trzeba... z tyłu – rzekł milczący dotąd Muhammad.

– Z tyłu? Jak? Tam też nie ma osłony.

Saracen próbował coś tłumaczyć w swojej mowie, w końcu dał za wygraną. Skinął dłonią: *Chodźcie za mną*. Jałmużnik pokręcił głową z dezaprobatą, ale ruszył w ślad za Muhammadem. Wit Wodnik szedł na końcu.

Cofnęli się tam, gdzie stały konie, i jeszcze dalej, odchodząc poza zasięg kusz. Wtedy Saracen przypadł ku ziemi i ruszył biegiem przed siebie, odchodząc od traktu. Jak na razie to miało sens – wciąż osłaniały ich grzybowate skały. Jednak im dalej szli, tym bardziej kamienie rzedły, aż wreszcie wypadli na pusty płat spierzchniętej ziemi.

Z tyłu dobiegł ich krótki kwik Nicetasa. Najwyraźniej napastnicy nie przzerwali ostrzału.

– Dalej! Za mną! – zakomenderował Muhammad i skręcając w prawo, pobiegł pędem przez trawy równoległe do traktu. Żmudzini gnali tuż za nim, nie zachowując już pozorów i nie kryjąc się. Zresztą nie mieli po co – tak czy siak, napastnicy mieli ich jak na dłoni.

Co było do przewidzenia, kusznicy dostrzegli ich manewr i zaczęli szyc z swojej broni. Na próżno! Trzej złodzieje odbiegli już zbyt daleko – bełty spadały gdzieś w pół drogi. Dwa doleciały bliżej, uderzając w tarczę i koleczugę Wita. Jednak bez impetu, jak lotki ciśnięte ręką dziecka.

Po kilkudziesięciu kolejnych krokach zrównali się z kamienną bramą. Tu mieli już większą swobodę działania: napastnicy stracili ich z oczu. Muhammad wyszarpnął z pochwy szablę i ruszył, by ostatecznie zakończyć manewr oskrzydlenia.

Napastnicy nie dali się zaskoczyć. Wiedzieli, że złodzieje, których wytrwale śledzili od samego Konstantynopola, są już poza zasięgiem ich kusz. Przyszedł czas na otwartą walkę.

Gdy Saracen dopadł skalnej bramy, plugawi najemnicy Metodego (bo oni to przecie byli) już czekali z obnażonymi ostrzami. Uderzyli we cztery na Muhammada, licząc, że zatłuką go, nim dobiegną Żmudzini.

Płonne nadzieje! Ten jednym pewnym cięciem zdjął pierwszemu ze zbójów łeb z karku,

niemal bez wysiłku przecinając kolczy czepiec i kości napastnika. To na dwa oddechy wstrzymało trzech pozostałych – wystarczająco długo, by dobiegli Wit i Waldemar ze wznesionymi do ataku maczugami.

Po pierwszym przest్రachu, jaki spowodowała nagła śmierć ich kompana, najemnicy odzyskali rezon. Rozsunęli się na boki i osłaniając twarze i piersi dużymi, okutymi dębowymi tarczami, natarli na złodziei, usiłując stłoczyć ich w zbitej gromadzie. Na chwilę przyniosło to skutek: Żmudzini mieli zbyt mało miejsca, by swobodnie atakować – biorąc zamach, mogli sobie nawzajem porozwalać łby.

Najwyższy z drabów, uzbrojony w długą na dziesięć stóp włócznię, wziął sobie za cel Saracena. Z rykiem skoczył w przód, mierząc ostrzem w gardło Muhammada, ten jednak w ostatniej chwili sparował cios.

Zaraz przyszedł mu z pomocą Wodnik. Żmudzin skoczył w bok, by mieć więcej swobody i potężnie zamachnął się maczugą. Rąbnął draba z mieczem. Poleciały iskry, jednak Wit nie przerywał morderczej serii uderzeń. Kryjąc twarz za niewielką okrągłą tarczą, rozpoczął jedyny taniec, w jakim czuł się pewnie: cios, krycie, zamach i znów uderzenie. Tamten zaczął się cofać.

Muhammad odzyskał równowagę i pewność siebie. Znów ruszył na dryblasę z włócznią. Widać było jednak, że najemnik nie pierwszy raz trzymał tę broń w swoich łapskach. Odrzuciwszy tarczę, która w bezpośrednim zwarciu jeno mu wadziła, stanął na szeroko rozwartych nogach i zaczął wywijać drzewcem. Tym trzymał Saracena na dystans, raz po razie próbując sięgnąć go szerokim grotem w kształcie niewielkiego miecza.

Tymczasem Jałmużnik zmagął się z trzecim bandziorem, zbrojnym w pokaźnych rozmiarów czekan. Już od pierwszych uderzeń ryży Żmudzin jął żałować, że pojechał na tę wyprawę z bronią o tak słabej sile rażenia. Owszem – perskie maczugi z kutych taśm żelaznych stanowiły doskonały argument w ulicznej bijatyce w Konstantynopolu, gdzie strategia walki opierała się na starej zasadzie: *Walnij przez łeb, bierz łup i dupę w troki*. Wszelako tutaj, na odkrytym terenie, wobec wrogów zbrojnych we włócznie i masywne czekany, żelazna pała z kulą na końcu była jeno zabawką.

Waldemar szybko jednak spostrzegł, że najemnik potrzebuje o jeden oddech więcej na to, by wziąć zamach i zadać cios. Skorzystał z tego: nim ostrze czekana wzniosło się do kolejnego razu, Jałmużnik wyprowadził szybkie uderzenie w prawe kolano zbira. Tamten ryknął z bólu. Ręka ze śmiercionośnym orężem opadła w tył. Żmudzin poprawił, bezlitośnie waląc w to samo miejsce. Najemnik runął na plecy, tłukąc łbem o wyschniętą ziemię.

Waldemar skoczył na niego pewien swego triumfu. Jednak bandzior z zaskakującą werwą przetoczył się w bok i wyprowadził niski cios czekanem prosto w goleń Waldemara. Żmudzin zawył z bólu. Osłona chroniąca jego nogę pękła, rozcinając mu skórę do mięsa. Poczł ciepłą krew spływającą do buta.

W tej samej chwili włócznik ciął przez głowę Muhammada. Ostrze zgrzytnęło na

metalowej obręczy osłaniającej zawój i zeszło niżej, tnąc do krwi skroń i policzek. Saracen mimowolnie jęknął z bólu, lewe oko zalała mu ciepła czerwień.

– Stać! – zabrzmiał nagle tubalny głos.

Muhammad otarł rękawem krew, jednocześnie zadał na oślep cios tam, gdzie spodziewał się znaleźć najemnego zbira od Metodego. Oczywiście nie trafił, ale na chwilę powstrzymał go przed dalszą szarżą. Wyprowadził cios szablą i kolejny, z narastającą furią młóćąc powietrze, jakby smak krwi startej z policzka wyzwolił w nim ukryte zapasy sił. Włóczyk zaczął wolno oddawać pola, cofając się krok po kroku coraz bliżej kamiennej bramy.

– Staaać! Koniec mordobicia!

Wit Wodnik odpierał właśnie serię ataków miecznika. Tu walka była najbardziej wyrównana. Od dobrych kilku pacierzy tylko wymieniali ciosy bez najmniejszej rany.

Nagle jednak na grdyce Żmudzina spoczęło ostrze długiej włóczni. Wypuścił maczugę z dłoni i spojrzał w górę: nie, to nie był ten łachmyta siekący powietrze nad głową Muhammada. Zresztą tamten również stał sztywno, rozbrojony, a na jego szyi opierał się sztych na długim drzewcu. Bardziej wysmukłym, ozdobionym błękitno-złotą chorągiewką. Wodnik potoczył wzrokiem dokoła. Saracen, bandzior z mieczem, Waldemar oraz jego przeciwnik z czekanem w łapie – wszystkim przerwano walkę w taki sam sposób.

– Dosyć już tego, łajzy! Koniec rozróby!

Patrzyli zdezorientowanym wzrokiem, jakby nie dowierzając temu, co widzą. Otaczało ich kilkudziesięciu jeźdźców odzianych w łuskowe zbroje i segmentowe hełmy z długimi kolczymi czepcami. Cały strój, jak i uzbrojenie kawalerzystów, utrzymany był w złoto-błękitnej barwie. Te same kolory zdobiły kolczugi i naczółki ochraniające konie.

Ciężkozbrojna jazda cesarska – *klibanophoroi*. Elitarna kawaleria wzorowana na jeździe sasanidzkiej, od wieków będąca chlubą imperium. Jej obecność tutaj, na kapadockim trakcie, nie była rzeczą zwyczajną. I nie wróżyła nic dobrego.

– Zabrać im broń! – zagrział ten sam tubalny głos co wcześniej, najpewniej dowódcy oddziału. – Rozbroić i ustawić w dwuszeregu!

– Dwóch jest rannych! – zameldował jeden z kawalerzystów. – Nie, trzech nawet. Ten jeden w twarz, ale lekko, może iść.

– Dobra, brać ich tu wszystkich. Ranny nie ranny. Oni jeszcze nie poznali prawdziwego smaku krwi. Migiem!

Klibanophoroi odebrali walczącym miecze, czekany, maczugi, włócznie i co tam jeszcze mieli, po czym nie zważając na jęki tych, co ucierpieli w walce, przegonili ich pod skalną ścianę.

Zza kamiennej bramy nadszedło trzech kolejnych kawalerzystów, prowadząc konie złodziei. Przez siodło jednego z wierzchowców przewieszona była zalana krwią ciałą.

– A to ścierwo po co tu wiesz? – szczechnął dowódca. – Trup nam się do niczego nie przyda.

– Nicetas... – wyszeptał zbolonym głosem Waldemar. Poczł dziwną suchość w gardle. – Zabili go...

Jednak gwardzista rozwił jego obawy.

– Trup to jeszcze nie jest. Żywie. Trupem to jego koń jest, co tam leży. Ten ma tylko kolano zgruchotane. No i zemdlł, bo go bełtami poszpikowali. Ale dycha.

– Obaczym, jak długo... Powiązać ich, na koń wsadzić i jedziemy.

– Gdzie jedziemy? Czego chceta od nas, eunuchy? – ryknął buńczucznie Wit Wodnik.

Gwardzista zdzielił go rękawicą w twarz.

– Czego chcemy? Bić się będziecie z Seldżukami! Do Cezarei was wieziem, a tam dostąpicie zaszczytu. Wstąpicie do karnej kompanii cesarskiej. Razem z innymi mętami z całego imperium. Mordercami, złodziejami, gwałcicielami, bandytami. Bić się będziecie na chwałę cesarza. Idziecie na wojnę, łachmyty!

* * *

Rodrigo Luigi z ukontentowaniem zatrzasnął księgę rachunkową. Odłożył pióro, zakrył buteleczkę z inkaustem i w zamyśleniu opadł na szerokie oparcie fotela. Sprawy szły dobrze. Co prawda jego pieniądź, na który liczył w tych okolicznościach, wciąż pozostawał w rękach dłużników, jednako byli to sprawdzeni partnerzy, którzy nieraz już brali złoto i zawsze oddawali z odpowiednim procentem. Na początek Pireus... Tam Luigi spodziewał się otrzymać osiemset solidów: trzysta od Dionizego Kaliasa, kupca drewnem, trzysta od Teofana z Eubei, armatora, oraz dwieście od Klaudiusza Sycylińczyka, którego fach trudno wskazać – po prostu człek interesu obracający pieniądzem wszędzie tam, gdzie się tylko dało.

Genuńczyk był więc dobrej myśli – tylko raz miał miejsce fakt, że Sycylińczyk zwlekał ze zwrotem długu. Za to Dionizy z Teofanem nie zawodzili nigdy.

Luigi wstał z fotela i ruszywszy na pokład galery, jął w myślach wydawać należne mu monety. Gdy dodać dwa tysiące solidów oszczędności plus złoto ulokowane w bankach w Genui, po przeliczeniu wyjdzie tego – w bizantyjskiej walucie – trzy i pół tysiąca. To pozwoli wyprowadzić na morze trzy kolejne galery i dozbroić ludzi. W sumie powstanie dzięki temu niemała flota, zdolna przejąć kontrolę nad portami nad Złotym Rogiem. A gdy już cesarz Diogenes zostanie obalony, a na tronie osiądą Dukasowie, rozpocznie się nowa era. Era kupieckiej potęgi Genui.

Kupiec stanął przed drzwiami rufowej nadbudówki i pogrążony w myślach zapatrzył się w srebrzystą toń morza. Na horyzoncie majaczyły niewyraźne kształty Milos. Ich morska karawana – galera Luigiego oraz ochraniające ją dwie dromony, płynęła w stronę tej wyspy, obierając kurs na wygodny przesmyk obok Kimolos. Nie była to najkrótsza droga z Selucji do Pireusu, jednako miała swą niewątpliwą zaletę: tędy biegł zapomniany, rzadko uczęszczany szlak z dala od wojen i morskich rozbójników. Poza statkami z Krety płynącymi na kontynent

i łodziami miejscowych rybaków nie uświadczyłbyś tu ni jednego żagla.

Ci Dukasowie... – myślał dalej Luigi. – *Są nic niewarci, choć ich użyteczność w interesach nie podlega dyspacie. Miękczy i ulegli, łasi na władzę i chętni do ustępstw. A to – zdaniem kupca – dobrze rokowało na przyszłość...* Gdy tylko Michał Dukas nada obiecane przywileje, cesarstwo do reszty straci swój prymat na morzach – *Graeci* stali się narodem zbyt leniwym i osiadłym, narodem chłopów, drobnych rzemieślników i mnichów-sekciarzy żyjących z tego, co wyżebrzą. Taki naród nie potrzebuje praw, które dane właściwej nacji – Genuńczykom – staną się podwaliną bogactwa i chwały chrześcijan.

– Okręć! Okręć z lewej burty! – wrzasnął nagle któryś z majtków, trwożnie spoglądając w stronę Milos.

– Okręć! Z prawej! – odpowiedział mu głos z pierwszej dromony.

Kupiec dopadł burty i przysłaniając twarz przed słońcem, patrzył. Od wyspy parła na nich szybka dromona, bliska już na odległość strzału z łuku. Pruła wodę w absolutnej – pomyślałbyś – ciszy. Jednostajny plusk równo idących wiosł, rozmieszczonych po obu stronach w dwóch rzędach po piętnaście, zlewał się w jedno z szumem fal i lekkim zawodzeniem wichru na sinoniebieskich, trójkątnych żaglach. Kadłub dromony, taran na jej dziobie, nawet stroje załogi również były tej barwy – zszarzałego błękitu, jak morska woda. Luigi zadrzał z niepokoju: taki kolor stosowała zazwyczaj na swych okrętach straż ścigająca morskich rozbójników. Jednak nie dostrzegł nigdzie cesarskiej bandery, nie dostrzegł żadnych oznaczeń, które podpowiadałyby, kto zacz. A z tego należało wnosić, że rozpędzona dromona z taranem skierowanym w bok galery Rodriga to...

– Piraci... – wyszeptał kupiec, odskakując od burty. Zesztywniały jak kukła obrócił się w tył, rzucając puste spojrzenie na drugi okręt. Ten również maskowały szaroniebieskie barwy ochronne, więc nic dziwnego, że obie jednostki tak długo pozostawały niezauważone.

Na dromonie eskortującej statek Luigiego już gotowali się do odparcia ataku. Łucznicy biegli na pozycje, a sternicy jęli manewrować tak, by ustawić jednostkę dziobem do piratów.

Genuńczyk z wysiłkiem przełknął ślinę, przesunął wyschniętym językiem po podniebieniu i wyskrzecztał:

– Wciągnąć banderę Malik Szacha! A chyżo!

Słowa kupca zabrzmiały jak charkot suchotnika, jednak jego osobisty strażnik, ogolony na łyso Turek, wielki drab o szkaradnej gębie pociętej bliznami, zrozumiał, w czym rzecz.

– Bandera Malik Szacha! – zakrzyknął i rychło skoczyli dwaj majtkowie, rozwijając zielono-białą, obszytą na srebrno płachtę materiału o kształcie trapezu. Zaraz zaczepili ją do linki przy maszcie i jęli wciągać. Po trzech oddechach bandera zatrzepotała na wietrze, szeleszcząc długimi wężami z jedwabiu.

Z dromony płynącej na przedzie wyprysnął w powietrze rój strzał. Groty zadudniły po pokładzie pirackiego okrętu z prawej strony, nikomu nie czyniąc krzywdy. Napastnicy nie mogli pozostawić tego bez odpowiedzi: w stronę Italczyków pomknął grad ostro

zakończonych pocisków i, niestety, tym razem ofiary były. Dwóch galerników zawyło, chwytając się za ramiona.

– Nie strzelać! Nie strzelać tam z przodu! Nie strzelać z tyłu! – padł rozkaz z nadpływającej dromony.

Piraci dostrzegli banderę seldzuckiego sułtana. W ostatniej chwili dziób zbrojny w taran, wielki jak pięść olbrzyma, obrócił się lekko, okręt zmienił kurs.

– Lewa burta złożyć deski! – wrzasnął Turek, przejmując dowodzenie nad jednostką. Galernicy posłusznie opuścili wiosła, kierując je w tył, tak że płasko przyległy do kadłuba statku. Luigi z aprobatą pokiwał głową swemu pomocnikowi. Przyjął bukłak wina od jednego z gwardzistów i pociągnął tęgi łyk.

Gdy tylko galernicy opuścili wiosła, do burty dobił okręt piratów. Zabrzęczały haki bosaków, stęknęły zarzucane liny, załomotały stopy zbrojnych. Dzika zgraja skoczyła na pokład z rykiem triumfu i nienawistnymi błyskami w oczach. *Seldżucy!* – przeleciało przez myśl Luigiemu. Poczul ulgę zaraz zduszoną przez niepokój. Piraci w ciągu dwóch oddechów zajęli całą galerę, wymachując obnażonymi mieczami. Odebrali łuki i ostrza załodze i usiedli na pokładzie jak wyglodniałe ptaszyska wypatrujące uczyty.

Italska dromona, dotąd osłaniająca rufę galery kupca, zmieniła kurs i nieśpiesznie, zachowując dystans, oskrzydliła okręt piratów. Strzały osadzone na cięciwach łuków lśniły w słońcu gotowe, by zadać śmierć.

Spomiędzy napastników wyszedł naprzód postawny mężczyzna odziany w błękitną tunikę wyszywaną złotym wzorem. Na niej pysznił się drogimi klejnotami pas, do którego przywieszony był kindżał o rękojeści i pochwie pokrytych masą perłową. Szarawarów, w jakie odziany był herszt piratów, nie powstydziliby się nawet sam sułtan: ciemnozielony jedwab zdobiły srebrne przeszycia ułożone w kwietne wzory i perły wielkie jak groch. Spod białego zawoju na jego głowie wypływały czarne kosmyki niczym krucze pióra i lśniąca, zmierzwiona broda o barwie węgla. Ogorzałą twarz, wysmaganą wiatrami mórza, zniekształconą zmarszczkami i bliznami, ożywiały zaskakująco młode oczy kpiąco spoglądające na Luigięgo. Nie licząc ozdobnego kindżału, człek ten posiadał jeszcze jeden oręż: długą szablę noszoną na plecach. Teraz jednak zbój dzierżył ją w prawicy. Słońce skrzyło się w ostrej jak brzytwa głowni.

– Zawiesiłeś banderę sułtana Malik Szacha – rzekł czystą greką herszt piratów. – Znaczy jesteś przyjaciel.

To Tzachas! To on być musi – myślał gorączkowo kupiec. – Oto słynny wódz piratów łupiący morskie karawany na całym Morzu Egejskim...! A skąd on tu między Milos a Kimolos? Ale mam banderę! Mam banderę Malik Szacha!

– A juźci, panie – rzekł, z trudem panując nad łamiącym się głosem. – Z sułtanem Malik Szachem łączą mnie wielce zażyłe i głębokie stosunki... Jestem Rodrigo Luigi, kupiec z Genui. Utrzymuję regularne kontakty między sułtanatem a Italią, Konstantynopolem, Rusią

i Egiptem... Rzecz jasna, są to kontakty natury handlowej, do polityki się nie mieszam, co zostało docenione przez ze wszech miar czcigodnego Malik Szacha. A tyś, panie...

– Tzachas. Zwą mnie Tzachas, dodając do tego różne przydomki. Tzachas Postrach Mórz. Tzachas Trwoga Wyspiarzy. Tzachas Rzeźnik Kupców. Tzachas Kolekcjoner Dziewic. No, czego mi tam nie wymyślili! Połowa to, rzecz jasna, kompletna bzdura.

– Szacowny Tzachas! Wiedziałem od pierwszego spojrzenia. Od razu poznałem, panie, w twym wzroku odwagę i hardość, które mogą znamionować jednego tylko człeka.

Pirat puścił pochlebstwa mimo uszu i podszedł do nadbudówki na rufie. Zbliżył się do otwartych na oścież podwójnych drzwi i zajrzał w dół.

– Ładnyś sobie, kupcze, statek sprawił. Nie widziałem jeszcze, by na galerze stawiano takie rezydencje. Toż to jak pałac prawdziwy! – rzekł z kpina.

Luigi nie wiedział, czy te słowa należy brać za dobrą monetę, jednak nie zastanawiając się, wyjaśnił:

– Tę galerę zbudowano dla mnie na me osobiste zamówienie i polecenie. Długi czas spędzam na morzach, często idąc przez sztormy, chłód i niepogodę albo przeciwnie: przez skwar południowego słońca, toteż nakazałem ustawić dobudówkę dla osłony. Większą niż zazwyczaj...

– Zaiste zmyślny z ciebie człek. Może i ja winieniem zlecić cieślom taką robotę, niechby i mi postawili rezydencję na mej dromonie...

Tzachas chwilę krążył po pokładzie, po czym zapytał:

– A co masz w ładowni, kupcze?

– W ładowni... Egh – zakrztusił się Rodrigo. Pirat wciąż dotykał niewygodnych tematów. Herszt morskich rozbójników wyczuł strach w głosie Italczyka.

– Tak, w ładowni. Pytam, bo chcę wiedzieć, czy winieniem cię złupić, czy też nie warto... – wyjaśnił z kpiącym błyskiem w oku.

Genuineńczyk poczerwieniał, szybko się jednak opanował i rzekł z udawaną obojętnością:

– Zboże wiozę, najlepszy gatunek z Egiptu, zakupione od armeńskiego dostawcy w porcie w Selucji. Mam ci ja tego całą ładownię, w Pireusie czeka już na towar umówiony kupiec. Czy chcesz się, panie, również zająć obrotem pszenicą? – Luigi pozwolił sobie na małą uszczypliwość. – To byłby widok paradny! Tzachas, najsłynniejszy pirat Morza Egejskiego, targający do spichlerza worki pełne zboża.

Wtem umilkł, nagle zdając sobie sprawę, że się jednak zagalopował. Rzucił niepewnie spojrzenie na zbója, ten jednak twarz miał pogodną, a oczy spokojne.

– Nie, drogi panie kupcze, twoje zboże mnie nie interesuje. Za to ciekawi mnie coś innego.

– Tak, panie?

– Czy masz jakowąś certyfikację, że bandera Malik Szacha, którą w pośpiechu wciągnęłaś na maszt, widząc nadpływające nasze okręty, została tobie właśnie przyznana

przez naszego władcę? A może jest to bardzo podobny do sułtańskiej bandery zwykły kawałek materii utkany w warsztacie rzemieślnika z Konstantynopola czy Tesaloniki?

Wagę swego pytania Tzachas podkreślił wymownym gestem: uniósł swą szablę i postawił na baczność przy twarzy.

Italczyk bladł i czerwieniał na przemian. Ogarnęła go fala gorąca, w gardle zaschło, a oczy zaszyły mgłą. Ledwie ruszając skołowaciałym językiem, wymamrotał:

– Tak! Mam... Mam dokument spisany ręką samego Malik Szacha, niech mu Bóg zawsze wypełnia wiatrem żagle i usuwa kurz z drogi, oraz jego pierścień rodowy należący niegdyś do sułtana Alp Arslana. I zapewniam cię, panie, że jest to porzecz utkany przez sułtańskich rzemieślników, a nie partaczy z Konstantynopola.

– Pierścień samego Alp Arslana? To musi być wyjątkowy klejnot! Pokażże go więc, zacny kupcze! Rad bym takie precjozum na własne oczy zobaczyć!

Rodrigo Luigi zmartwiał. Krew naszła mu do głowy gwałtownym uderzeniem. Odruchowo cofnął się o krok, chwytając za drewnianą balustradę. Oczy kupca przesłoniła mleczna mgła, w której zamajaczyły jakieś niewyraźne kształty. Zamrugał gwałtownie. Zobaczył port w Genui i swoje cztery galery, z których robotnicy portowi niczym mrówki wynosili skrzynie pełne towarów. Po chwili statki i port ustąpiły miejsca rezydencji – teraz widział swoje domostwo otoczone wysokim murem kryjącym ogród. W nim dokazywały dzieci, niesforna dwójka ośmiolatków, które teraz – w jego wizji – chlapały na swą nianię wodą z fontanny. Ujrzał twarz swej pani, donny Veroniki, jej czarne oczy głębokie jak alpejskie jezioro.

– Panie Rodrigo! – słowa pirata trzasnęły niczym bat, chlaszcząc go boleśnie. – Cóż z tobą? Nuże, pokażże klejnot i certyfikację!

Kupiec przetarł ręką oczy, strząsając spod powiek słodką wizję. Opamiętał się i wyskrzecztał:

– W rzeczy samej, pierścień i certyfikację mam, jeno zostały mi one skradzione w Konstantynopolu, mieście, w którym na każdego kupca przypada dziesięciu złodziei. Wyobraź sobie, panie, że opryszek wyciągnął owe cenne przedmioty ze starannie ukrytego schowka, którego umiejscowienia nie znał nikt poza mną. I pewnym cieślą, niech mu ziemia lekką będzie, a Bóg łaskawy. Jestem jednak pewien, że sułtan Malik Szach, gdy mu o tym opowiem...

Cięcie szabli przerwało potok lejący się z ust Genuńczyka. Na zbiegające od słońca i morskiej wody deski pokładu padł sznur krwistych drobinek, po chwili czerwień z rozprutego gardła Luigiego bluznęła równą falą.

– Mham... Mhamm... – bulgotał Rodrigo, próbując powstrzymać życie uciekające przez szeroką ranę pod brodą. – Phier... Phier...chr...

Tzachas zakończył cierpienia Italczyka, tnąc go szablą przez łeb. Ciało z ciężkim łoskotem rąbnęło o pokład.

Piraci jakby tylko na to czekali. Nim załoga kupieckiej galery zdążyła otrząsnąć się z osłupienia, morscy rozbójnicy rozpoczęli rzeź. Zaśpiewały klingi szabel chlastające uciekających w popłochu galerników. Kilku zbrojnych z osobistej obstawy Luigiego dobioło swych ostrzy, jednak nim zdolali je unieść, padli obok swego pana naszpikowani strzałami.

Tylko jeden wojownik nie ustąpił pola. Wysoki Turek ogołony na łyso wywijał swym lśniącym czekanem, trzymając piratów na dystans. Strzały z łuku się go nie imały. Odparłszy atak najbliższych rozbójników, dryblas natarł na Tzachasa.

Herszt nie bez trudu sparował szablą mocarne uderzenie, klinga zgrzytnęła o stylisko potężnej broni, aż iskry poszły.

– Tyś jednym z nas – wydyszał po seldżucku pirat. – Tyś poddanym sułtana jako i my! A służyłeś Italczykowi! Przyłącz się do nas i zaprzestań walki. Widzisz przecie, że twój pan nie dycha.

Potężny Turek pozostał głuchy na te słowa. Ryknął z wściekłością i wyprowadził kolejny cios. Tzachas zanurkował pod umięśnionym ramieniem napastnika, o włos unikając rozłupania czaszki. Lewą ręką wyrwał z za pasa kindżał i osłaniając głowę szablą, skoczył do piersi tamtego.

Tymczasem walka rozgorzała też na dromonach. Dwie jednostki z przodu zwarły się w abordażu. Powietrze wypełnił świst strzał, śpiew szabli i jęki rannych. Tu siły były wyrównane, waleczność i dzika żądza mordy piratów stawiały naprzeciw wyszkoleniu i karności kupieckiej obstawy.

Drugi bojowy okręt Italczyków, dotąd dryfujący burta w burtę z dromoną Tzachasa, tyle że w pewnym oddaleniu, niespodziewanie obrał inny kurs. Przepłynął w przód i powoli jął zataczać koło. Po chwili uderzenia bębna wzmogły się, a wiosła zaczęły młócić fale. Taran dromony mierzył dokładnie w sam środek burty okrętu piratów.

* * *

Jan Italos trząsał się ze śmiechu. Chichocząc półgębkiem, patrzył, jak dromona Italczyków wchodzi głęboko w burtę okrętu piratów, jak w tej samej chwili zbóje zarzucają bosaki na pokład atakującej jednostki, jak krępują ją linami i podpalają, szyjąc ognistymi strzałami. Okręt kupieckiej obstawy i niedawna flagowa dromona Tzachasa stanęły w płomieniach, ale Seldżycy przeskoczyli na galerę Luigiego.

– Jedna na tysiąc! Gdzie tam! Jedna na sto tysięcy – rechotał Italos, widząc, jak pożar ogarnia żagle szcepionych ze sobą dromon, a galera odpływa od pogorzelniska, obierając kurs ku drugiej parze ogarniętych walką statków.

Filozof wybuchnął niczym nieskrępowanym śmiechem. Wizja rozmyła się, pozostał tylko słodki zapach kadzidła i czerwony płomień świecy ulepionej z czarnego wosku na kształt demona.

– Jedna na tysiąc razy po sto tysięcy!!!

Italos dziarskim krokiem podszedł do okna, odciągnął kotary i rozwarł szeroko okiennice. Światło dnia niechętnie zaczęło rozpraszać zasnutę kadzidlany dymem wewnątrz, skrząc się w wirujących drobinkach kurzu. Mędrzec poślinił palce i zdusił płomień świecy. Choć na zewnątrz świeciło słońce, rozgrzewając ulice miasta do białości, filozof zarzucił na plecy płaszcz, a głowę skrył pod kapturem. Wciąż chichocząc, zszedł na dół. Zatrzasnął drzwi swej wieży i ruszył w stronę pałacu cesarza.

– To była szansa jak jeden na tysiąc razy po sto tysięcy – tłumaczył kwadrans później władcy. – Muszę przyznać, że ta gra była obarczona największym stopniem ryzyka. To znaczy nie w tym sensie, że mogła spowodować jakąkolwiek wymierną szkodę. Chodzi mi raczej, że to nie miało prawa się udać. Łańcuch przyczynowo-skutkowy był zbyt długi, a jednak wszystkie ogniwa utrzymały się w należytych porządku.

Przerwał i spojrzał na cesarza, nie będąc pewien, czy on nadaża za tym gorączkowym wyznaniem. Roman Diogenes skinął głową: *Mów dalej.*

– Wiedzieliśmy z wizji... Hmm, który to był? To był srebrny ogień, ogień demona Nasu. W tej wizji widzieliśmy, jak Genuieńczycy pod komendą Rodriga Luigiego spiskują przeciw tobie, panie, i doprowadzają do ustanowienia swojej własnej, sprzyjającej im władzy. Wtedy to wydawało się nieprawdopodobne i niejasne. Teraz jednak jest potwierdzenie tamtych obrazów – już wtedy ujrzałem skrawek przyszłości, w której przystąpisz do wojny w Syrii przeciwko Seldżukom, choć wizja tego nie pokazywała. Pokazywała za to, jak Italczycy z zaskakującą łatwością przejmują kontrolę nad portami Konstantynopola, po czym działając w porozumieniu ze spiskowcami na dworze, przejmują władzę nad stolicą.

– Spiskowcy na dworze? Powiedz mi coś więcej o tym. I kto umówił Italczyków?

– Tego nie wiem, panie. Jak powiadam: mam jeno szczątki obrazów, z których mogę składać częściowy tylko obraz przyszłości i terażniejszości. Wiem tyle, że bunt Genuieńczyków był częścią spisku, który knuty jest teraz właśnie, a ma miejsce dlatego, że nadarzyła się niebywała okazja: wielka kampania zbrojna przeciwko Seldżukom.

– Kto? Kto to uknuł? Dlaczego to przede mną ukrywasz?

– Panie, tego nie sposób ustalić. Przynajmniej na razie. Bogu należy dziękować za to, że Italczyków mamy z głowy. Długo się nie podniosą, bo tylko Rodrigo Luigi miał poważanie, które pozwoliłoby przystąpić do wspólnego spisku zwaśnionym Genuieńczykom i Wenecjanom. I pomyśleć, że wystarczyło tylko ułożyć jeden element tej układanki: znaleźć w mieście złodziejzaka, który wykradnie kupcowi pierścień i list od Malik Szacha! Ale przecie to nie musiało doprowadzić do rozstrzygnięcia. Złodziej mógł zawieść, kupiec mógł obrać inną trasę podróży, pirat mógł łupić kogoś innego setki mil dalej, wreszcie mógł też nie wnikać tak bardzo w sprawy Luigiego i widząc proporzec sułtana, odpłynąć w swoją stronę. Mogła być po drodze setka innych przeszkód. A jednak się udało!

Jan Italos z ukontentowaniem mierzwił brodę. Oczy błyszczały mu jak u dzikiego

zwierza, który dopadł właśnie długo tropioną ofiarę.

Basileus Diogenes zachował powściągliwość. Chodził po komnacie, obracając w myślach słowa mędrca.

– Czyli powiadasz, że bunt Italczyków w twojej wizji miał ścisły związek z tym, że imperium przystąpi do wojny przeciwko Seldżukom? Że mnie nie będzie w Konstantynopolu? Inaczej by się nie wydarzył?

– Tego nie wiem, ale tak nakazuje logika. Kupiec sposobił się już do ataku, co wcześniej zdawało się całkowitym nieprawdopodobieństwem. Bo jak? Miałyby wystarczyć cztery galery Italczyków plus parę setek najemników z Sycylii, by obalić cesarza? A jednak taki obraz się pojawił. Teraz wiem dlaczego. To było szykowane pod twoją, panie, nieobecność.

Cesarz pokiwał z uznaniem głową.

– Chylę czoła przed twym umysłem, Italosie. Jednak chciałbym wiedzieć, kto za tym stoi. I jeszcze jedno: najpierw zdrada italskich kupców, później nocny skrytobójca. Oba te czyny związane są z udziałem w wojnie w Syrii. Jakie więc jeszcze niespodzianki szykują dla mnie zdrajcy? Kupców mamy z głowy, jednak wciąż nie wiemy, kto za tym stoi. Kto naśle zabójcę i co jeszcze knuje.

Italos zasepił się.

– Nie wiemy wszystkiego, panie. Ale będziemy wiedzieć, na pewno. Wcześniej czy później będziemy wiedzieć.

Rozdział 18

Znów siedział w klatce. Tym razem w tej, którą uprzednio zajmował jego sobowtór. W jaskini panowała ciemność, słyszał jednak jakieś głosy w oddali. Najpierw szuranie, później szepty. Gdy umilkły, pojawił się nowy dźwięk – skrzypienie sunące od wejścia do podziemnej sali w stronę kamiennego języka. Mimo że otaczała go nieprzenikniona i niezgłębiona czerń, Kalikst zamknął oczy, starając się lepiej poznać naturę tych odgłosów. To brzmiało tak, jakby ktoś ciągnął w mroku jakąś maszynę na drewnianych kółkach, z wysiłkiem i mazołem, więc musiała to być konstrukcja nadzwyczaj ciężka. Wyłowił też inny dźwięk – leniwe chlupotanie.

Skrzypienie ustało, wtedy posłyszał insze dźwięki – pociągłe zgrzyty, stukot i sapanie. I znów ten odgłos jakby z wielkiej flaszki wypełnionej oliwą!

I trupi smród. Ten sam zapach, nieznośny, mdlący, który męczył go już wcześniej. Tak silny, że nie ma chyba człeka, który byłby zdolny znieść go bez kotłowania w żołądku.

Wreszcie w jaskini zaległa cisza, a odór nieco zelżał lub tylko Kalikst do niego przywykł.

Myślał o Zoe. Znów zobaczył ją pod powiekami – nierealną, a jednocześnie bliższą niż kiedykolwiek.

– Kup mi tę broszę, Kalikst – powiedziała, wskazując na stragan syryjskiego kupca. Pośród srebrnych, miedzianych i brązowych pierścieni, zawieszek, łańcuszków pyszniło się złote cacko misternie rzeźbione na kształt głowy węża. Oczy gada lśniły czerwienią niewielkich rubinów.

To było na początku lata, na targu nieopodal Forum Teodozjusza. Najpierw w nocy... Tak, wtedy Kalikst też nie był pewien, co się działo w nocy po tym, jak opuścili tawernę. Zoe na pewno też nie – rano przywitała zgięta nad wiadrem, rzucając pełne bólu przekleństwa. Dopiero poranne piwo uspokoiło sztormy w głowie i w żołądku i po południu ruszyli na miasto.

– Ukradnę ci ją – przechwalał się Kalikst, choć obok kupca stał zarośnięty jak mała osiłek pilnujący straganu. – Tylko popatrz!

– Nie! Nie chcę, żebyś kradł, tylko kupił. Rozumiesz? Sięgasz do sakiewki, wyciągasz solida, dajesz kupcowi... Zresztą i tak byś nie dał rady. Widzisz tego zwalistego dryblasa? Ma cię na oku i tylko czeka, żebyś dał mu pretekst do przyłożenia ci tą pałą, co ją pieści w swych łapskach. Więc, mój drogi, zatrzesz mieszkiem i po prostu kup.

– Ha! Nie dam rady? Prowokujesz mnie, dziewczyno! Robisz to świadomie i z rozmysłem, oczywiście po to, żebym nie kupił ci tej broszy, lecz starł się z tym zwierzęciem. Z tą kudłatą ludzką małpą. Więc dobrze, kupię ci ją. Właśnie dlatego, żeby

zrobić ci na przekór.

– Jesteś babą, a nie złodziejem – powiedziała ze śmiechem Zoe, jednak broszę, na którą Kalikst wydał półtora solidy, z wdzięcznością przyjęła.

Nagły hałas sprawił, że wspomnienie uleciało niczym suchy listek zdmuchnięty zimnym powiewem wichru. Belzebub otworzył oczy.

U wejścia do jaskini kłębiło się kilku trupich mnichów powolnymi ruchami odpalających pochodnie. Wkrótce dwóch z nich ruszyło wąskimi ścieżkami biegnącymi po bokach podziemnej sali, tuż nad przepaścią. Zapalali tam kolejne ognie, aż jasność ogarnęła całą jaskinię.

Zamrugnął oczami, z trudem przyzwyczajając wzrok do światła. Na końcu skalnego języka, tuż przy katafalku, wznosiła się skomplikowana konstrukcja z okazałym kotłem wyszczerbionym na brzegach i poczerniałym na bokach od sadzy. Pod nim leżały grube jak udo szczapy drewna i mniejsze drzazgi do podpałki tworzące regularny kopczyk. Trzy kroki dalej wznosiła się podobna przyzma, tyle że trzy razy większa. A w kotle...

W kotle tkwił nieruchomo sobowtór Kaliksta. Tępo wpatrzony przed siebie nie zwracał uwagi na to, że aż po ramiona zanurzony jest w oliwie. Jakby nie wiedział, do czego może służyć wielkie, osmalone naczynie z miedzi.

– Bądź przeklęty – wyszeptał ze zgrozą Belzebub.

Niczym na zawołanie u wejścia do jaskini stanął Czarny Mnich.

– A więc już wiesz, jakie cię czeka widowisko!

Zatrząśł się w bezgłośnym śmiechu, jakby targała nim febra. Chichot szaleńca wkrótce przeszedł w okropny, metaliczny rechot wypełniający brzęczącym echem całą grootę.

– Gotowanie w oliwie! Powolne, bez pośpiechu. Jak na dobrego kucharza przystało. Nie może być przecie tak, że się nasz ptaszek zbyt czy też zbyt szybko przypali.

Ohydny zakonnik ruszył nieśpiesznie w stronę kotła. W dłoni dzierżył pochodnię i znacząco unosił ją ponad głowę. Gdy stanął przed stołem, Kalikst odsunął się w głąb klatki. Nie chciał tego oglądać. Nie potrafił.

Coraz głośniejszy śmiech diabelskiego mnicha brzmiał jak tarcie metalem o kamień.

– Myślisz, że to, co widziałeś wcześniej, i to, czego nie chcesz oglądać teraz, to najgorsze twe doznania? Że widok obrąbywanych członków, rozszarpywanego ciała, wreszcie widok czerwieniącej się skóry twojego sobowtóra, rozpalanej olejem, to najgorsze, czegoś doświadczył w swym życiu?

Kalikst zamknął oczy. Zasłonił też dłońmi uszy, jednak głos okrutnego mnicha rozbrzmiewał pod czaszką, jakby ten sączył mu swe słowa wprost do głowy.

– Nie, mój drogi Belzebubie. To jest jeszcze nic. Najgorsze przed tobą. Patrz!

Nie chciał patrzeć, ale stanowczy głos był niczym mocarna łapa naginająca jego kark w stronę kotła, brutalnie rozchylająca mu powieki. Próbował z tym walczyć, miotając się po klatce. Jednak bezskutecznie. W końcu uległ. Patrzył.

Zakonnik z piekieł rzucił pochodnię na stos drew. Szczapy natychmiast ogarnął żywy, żółty ogień – znać, że dla lepszego płomienia trupi słudzy polali stos oliwą. Gorące języki liznęły okopcone boki kotła.

Przeklęty mnich! Przekłete powieki! Nie chcę na to patrzeć! Nie chcę! Nie chcę!

– Dobrze, nie patrz – rzekł nagle mroczny heretyk i niespodziewanie łapa, która przyduszała Kaliksta do prętów klatki, odpuściła. – Ale wiedz, że to nic nie da. Jak powiedziałem, rzeczy, których doświadczyłeś do tej pory, były niczym. Ale chowaj się, chowaj jak szczur, póki jeszcze możesz.

Belzebub odwrócił się, próbując sobie wmówić, że wszystko wokół jest tylko ułudą, jednak nie wytrzymał długo. W jaskini panowała nienaturalna cisza przerywana niekiedy głośniejszymi strzałami rozrywanych przez ogień szczap. Podpełzł bliżej prętów i patrzył. Płomienie szalały, ale poza tym nie działo się nic.

W kotle już wrzało. Olej powoli wypuszczał pierwsze pęcherzyki powietrza, powierzchnia cieczy niespokojnie zbulgotała, jednak – co dziwne – sobowtór tkwił nieruchomo, jakby to wszystko w ogóle go nie dotyczyło. Ślizgał tępy wzrokiem po ścianach jaskini, poziewując przy tym ze znudzeniem. Kalikstowi aż się zrobiło gorąco na ten widok – więzień-bliźniak albo nie był człowiekiem, albo szatańscy mnisi zaaplikowali mu jakieś zioła!

Pot zalał najpierw twarz, potem plecy Belzebuba. Ogarnęła go fala narastającego żaru – przez ten widok płonących żywo szczap i wrzącej oliwy czuł się tak, jakby to on tkwił w kotle. Przed oczami zawirowały mu kolorowe płatki. Opadł na plecy bez sił, czując narastające pragnienie. Było duszno. I coraz cieplej.

Nie, to nie brało się z samego oglądania. Kalikst syknął: paliło go już całe ciało. Żar coraz silniej szarpał skórę, ból przestał już być szczypaniem. Był prawdziwym bólem z ognia.

Czarny Mnich zaświszczał, dusząc się śmiechem.

– A więc już wiesz? Wiesz, o co chodzi tym razem?

Belzebub jeszcze nie wiedział. A może i wiedział, jednak nie chciał dopuścić do siebie tej myśli. To było zbyt nieprawdopodobne. Zbyt szatańskie, nienaturalne. Tak się dzieć nie mogło! Takie rzeczy się nie zdarzają!

Jeszcze raz wbił wzrok w swego bliźniaka. Ten nic. Stał bez ruchu jak tyczka w polu, obojętny, pozbawiony emocji. Nie mógł przecież niczego nie czuć – pęcherzyki gotującego się oleju aż strzelały, a jaskinię wypełniło narastające skwierczenie.

Narastał też ból palący ciało Kaliksta. Wprost rozrywał jego członki, drąc skórę i mięśnie.

Już nie mógł powstrzymać wycia.

A Czarny Mnich tylko się śmiał.

– Wreszcie rozumiesz? Jego gotuję we wrzącej oliwie, ale ty za niego cierpisz. Zobacz! Patrz, jak stoi bez ruchu, jakby owiewała go chłodna morska bryza. Jakby stał na portowym nabrzeżu nad Morzem Marmara wpatrzony w kiwające się na wietrze żagle. On nie czuje nic,

za to ty... Sam już wiesz! Osiągnąłeś już pierwszy stopień bólu, kiedy jeszcze możesz to znieść. Zaraz po nim przyjdzie drugi stopień, gdy nie potrafisz już powstrzymać okrzyku cierpienia. Zaręczam ci, że nie kończy się na dwóch stopniach, jest ich wiele. Ciekawi mnie tylko, jak daleko zdołasz dojść.

Kalikst złapał za pręty klatki, usiłując je wyszarpnąć i uciec byle dalej od tego koszmaru. Jednak żelazne drążki ani drgnęły. Drgało za to całe jego metalowe więzienie, coraz silniej szamocące się na łańcuchu.

Olej w kotle już wrzał. Powierzchnia cieczy bulgotała z głośnym skwierczeniem, przyskajac na boki rozpalonymi kroplami. Ogień objął wielki gar czułymi dłońmi, ściskając go i rozpalając do czerwoności.

A ten przeklęty bliźniak nic! Tylko sobie stał, jakby taplał się w wodach Złotego Rogu, o świcie chłodząc głowę po całonocnym picciu w tawernie.

– Zabiiiję cię!!! – ryknął Kalikst rozrywany przez ogniste kleszcze bólu. – Obie...! Obiecuję! Ci to!! Obie...

Szatański zakonnik ze śmiechu aż się kiwał, jakby wznosił modły do swego mrocznego władcy.

Belzebub runął na podłogę klatki i tłukł czołem o twardą powierzchnię. Nowa fala bólu. Bił mocniej niezdolny do niczego innego: tylko odlecieć w mrok, w nieprzytomność, w sen...

Na próżno. Aż ochrypł od wrzasku, ale ciemność nie nadeszła, a ból nie ustąpił. Cierpienie nie tylko darło jego skórę: ogarnęło już każdy skrawek jego ciała, tocząc zamiast krwi w żyłach rozpaloną lawę, gotując szpik, tłąc na węgiel kości.

Braciszkwowie, nie zważając na to, co się dzieje dookoła, przynosili kolejne szczapy i rzucali je pod kocioł. Ogień sięgał już ponad brzegi naczynia, muskając ramiona sobowtóra. Ten jednak nie czuł nic nawet wtedy, gdy spalona przez wrzącą oliwę skóra jęła się na nim łuszczyć jak na kawałku pieczonej papryki. Nie czuł, gdy z płonącej twarzy wypłynęły mu oczy. I tylko język sterczał jak spalony na węgiel kołek.

Kiedy gorąco obrało więźnia-bliźniaka do żywego mięsa, Kalikst opadł bez czucia.

Wreszcie wchłonęła go czarna otchłań, gdzie już nic nie czuł.

* * *

Nie było ludzi na ulicach, na skwerach, w domostwach. Nic, pustka, tylko wiatr ponuro pędził po bruku kłęby szarego kurzu. Nie było ludzi, nie było psów, mew ani szcurów. Najmniejszych oznak życia. Niebo zasnuwane ołowianymi chmurami, ciemne i nieprzyjemne, zdawało się opadać jak sufit zrujnowanego pałacu. Mury budynków, kamienną kostkę ulicy, bramy rezydencji – wszystko pokrywał ciemny nalot niczym choroba odbierająca twarzy kolory. Szczerniały nawet ogrody okalające domostwa. Drzewa gięły się ku ziemi: skarłale, zduszone, zeschnięte...

Popatrzył z niedowierzaniem. *Idzie burza* – tłumaczył sobie to, co widział. Nigdy jednak nadciągające nad Konstantynopol chmury nie przstraszyły tak jego mieszkańców. Ruszył wzdłuż ulicy, kierując się w stronę portu. Tam zawsze tętniło życie. Jeżeli nie na nabrzeżu, to w tawernach i lupanarach.

Port przywitał go potępieńczym zawodzeniem wiatru. Morze szalało targane niepokojem, czarne fale z wściekłością biły o nabrzeże. Na ich grzbietach podrygiwały połamane deski, fragmenty beczek i skrzyń, strzępy szmat... Wkrótce dojrzał, skąd pochodziły – w oddali, na środku zatoki, sterczało z wody kłębowisko wraków. Las masztów tkwiących w falach jak ostrza w rannym ciele. Jednak nigdzie nie dojrzał żywego ducha. Nie było też ciał ani nic, co wskazywałoby, że w tym mieście, w tym porcie, kiedyś życie tętniło od świtu do nocy, nawet gdy nadciągał sztorm.

Cofnął się, przecierając oczy.

– Seldzucy...? Na miasto napadli Seldzucy, korzystając z nadciągającej burzy? Ale gdzie są wszyscy?

Pobiegł wzdłuż nabrzeża do najbliższej tawerny. Do „Bezgłowego Scyty”. Szarpnął drzwi: rozsypały mu się w rękach jak stare próchno.

– Co jest...?

Ściskając rękojeść tkwiącego za pasem puginału, wszedł do ogarniętego mrokiem wnętrza. Na stołach piętrzyły się misy – puste, jakby dla dekoracji – oraz dzbany, tak jak wszystko inne pokryte ciemnym nalotem. Sięgnął po najbliższą amforę, z nadzieją zaglądając do wnętrza. Pusta. Tylko drobiny piasku na dnie.

Cisnął naczynie w najgłębszy mrok w końcu izby. Odpowiedział mu rumor sypiących się naczyń i szczęk pękającej gliny. Wskoczył na zewnątrz.

„U Teofilakta” było tak samo: półmrok, stoły zavalone pustymi misami i wszechobecny czarny kurz. Do „Czarnego Kraba” nawet nie zaglądał – wystarczył mu widok wiszących na jednym zawiasie zbutwiały drzwi.

– Domy! Ludzie muszą siedzieć w domach, skoro nie ma ich w tawernach – próbował się pocieszać. Jak oszalały biegł wzdłuż ulicy, otwierając wszystkie bramy.

Nie było ludzi. Ani w knajpach, ani w lupanarach. Ani w portowych magazynach, ani w domostwach.

Nagle dostrzegł coś niepokojącego. Wiatr ustał, ciemne niebo nad głową znieruchomiało, zapadła cisza. Powoli narastał nowy dźwięk: sypiących się kamieni. Z początku nie wiedział, w czym rzecz. Gdy jednak podszedł do najbliższego budynku, zrozumiał. Dom kruszył się jak wystawiony na słońce zamek z błota ulepiony przez dziecko na brzegu zatoki. Kamyczek po kamyczku, drobina po drobinie, wreszcie odpadały całe kawały muru.

Kalikst uciekał, szybko jednak spostrzegł, że nie ma ocalenia. Choć ucichło nawet morze, choć wiatr nawet nie jęknął, choć ziemia milczała spokojna jak nigdy, solidne domostwa sypały się rozkruszane przez niewidzialną siłę. Bez zbyteń hałasu: tylko ten dźwięk

kamyczków, nieustający, złowróźbny.

Wtedy runął pierwszy budynek – wielki magazyn zboża stojący tuż przy nabrzeżu. Zawalił się z rumorem i skrzypieniem machin do przesypywania ziaren. Spichlerz otoczyła chmura pyłu.

Domy zapadały się na jego oczach. Grzechot kamieni narastał potęgowany przez huk upadających dachów, druzgotanych piętér i przez trzask drewnianych bali podtrzymujących konstrukcje budynków. Hałas narastał. Narastała ciemność. Kalikst pogrzyżył się w niej.

* * *

– Zaiste, mnichu, paradne przedstawienie – rzekł Andronik Dukas, szukając wzrokiem potwierdzenia u Symeona. Złe Oko tylko skrzywił się z obojętnością i wrócił do przerwanej pracy: wydłubywania końcem pugińału brudu z za paznokci. – Paradne i wielce zajmujące. Przyznam, że rzadko miałem okazję widywać coś takiego.

Czarny Mnich rzucił kpiąco:

– Rzadko? A gdzieżeś już widział, mój panie? Gdzieżeś coś takiego widział?

– No dobrze, niech tam! Takiego przedstawienia nigdzie nie widziałem – pochwalił Andronik. I unikając spojrzenia w cień kaptura zakonnika, mruknął: – Powiedz tylko, jaki jest cel tych zabaw, bo przecież nie dla rozrywki żeśmy tu przybyli. Nawet dla najlepszej.

Gospodarz monasteru nie odpowiedział. Kiwając głową, podszedł do kamiennego stołu, na którym spoczywał Kalikst: nagi, pokryty rudymi skrzepami krwi. Jeniec ciężko oddychał. Żył.

Tym razem wszystko działo się w okrągłym pomieszczeniu ulokowanym tuż nad podziemną jaskinią. Niewielki otwór w podłodze osłonięty kratą wychodził prosto na katafalk, na którym demony rozrywały ciało sobowtóra. Stąd widać było też kocioł i ognisko pod nim, teraz wygaszone, ale jeszcze się tłące.

Szatański zakonnik wysunął swoje ramię w stronę Kaliksta. Końcem rękawa musnął jego ciało, zatrzymując dłoń nad czołem. Chwilę stał tak bez ruchu, w cichości, wreszcie powiedział:

– Nie, mój zacny Androniku. Nie dbam, mówiąc szczerze, aż tak bardzo o rozrywki dla ciebie czy twojego towarzysza, choć jesteście moimi gośćmi. Cel moich działań jest zgoła inny i pozostaje w ścisłym związku z celem twojej podróży. Patrzaj!

Wskazał na Belzebuba.

– Co widzisz?

Dukas wzruszył ramionami.

– Plugawego złodziejaszka, który wkradł się na teren twojego klasztoru, by wykraść ci domniemane skarby. Myślał pewnie o złocie, szlachetnych kamieniach, srebrnych dzbanach i czym tam jeszcze. Ukarales go przykłądnie, to zasługuje na pochwałę.

Czarny Mnich wydał z siebie głos, jakby ktoś zgrzytał ostrzem topora po katowskim pieńku. Śmiech?

– Nie, nie, mój drogi panie. Mylisz się! A więc dobrze. Pozwól, że dokonam oficjalnej prezentacji. Androniku Dukasie, przedstawiam ci Kaliksta Belzebuba, najlepszego mordercę, jakiego widział ten świat, mistrza skrytobójców.

Zakonnik obrócił się w stronę stołu.

– Kalikście, pozwól, że przedstawię cię Andronikowi Dukasowi, twojemu panu z cesarskiego rodu. Dla swego pana zabijesz uzurpatora Diogenesa, zwanego Romanem IV.

Andronik znów poszukał pomocy u Symeona, jednak ten czuł się zwolniony z obowiązku wyjaśniania czegokolwiek. Od tego był Czarny Mnich. Złe Oko demonstracyjnie czyścił paznokcie, udając, że nie zauważa znaczącego spojrzenia Dukasa.

Ten zwrócił się więc do zakonnika.

– Nie rozumiem... – mruknął niepewnie.

Mnich nie odpowiedział. Stał zapatrzony gdzieś przed siebie, z rękami skrytymi pod rękawami habitu. Dopiero po dłuższej chwili obrócił się do Andronika i zapytał:

– Myślisz, że czemu służyły te tortury? Że chciałem go ukarać? Takich jak on nadziewam na pal, to wystarczająca kara. Zresztą widziałeś tych głupców w dolinie. Złodzieje, wszelakie szumowiny nie wiedzieć czemu ciągną tu z najdalszych krańców znanego nam świata i zazwyczaj kończą nadziani na zaostzony drąg. Nie dbam o nich bardziej niż potrzeba. Nie są tego warci. Ale ten jeden... Kalikst Belzebub, złodziej z miasta Konstantynopol, doszedł dalej niż którykolwiek z nich wszystkich. I nie zaliczam na jego korzyść tylko tego, jak daleko zaszedł, ale także w jaki sposób. Nie rozwodząc się zbytnio na ten temat: ten chłopak ma talent. Nie tylko do złodziejstwa. To nieoszlifowany diament, który może przydać się do rzeczy bardziej pożytecznych. Dla mnie. A także dla ciebie oraz twojego brata, cesarza.

Musnął Kaliksta rękawem po twarzy i znów, jak poprzednio, zamarł z dłonią skrytą pod czarną materią nad jego czołem.

Dukas wzruszył ramionami. To żadne wyjaśnienie! Nie nadążał za tokiem rozumowania mnicha.

– Wy tłumacz mi, jaki jest związek dręczenia tego złodziejaszka z naszymi planami? Owszem, rozumiem, ten wykazał się sprytem, doszedł daleko, ale pewien jestem, że jakbyś chciał, znalazłbym dziesięciu równie sprytnych jak on. A może sprytniejszych! Ale umiejętność wkradania się do monastyrów na pustkowiu nie zbliża nas ani o krok do usunięcia uzurpatora. Wprost przeciwnie, tracimy cenny czas. Więc w czym rzecz? Po co te tortury?

– Rozbiłem jego duszę – odparł prosto zakonnik i zamilkł.

Cisza trwała tak długo, aż Andronik zapytał:

– Rozbiłeś, mnichu, jego duszę?

– Rozbiłem jego duszę, tak jak możesz rozbić gliniany dzban, który wcześniej nosił wino.

Na tysiące drobnych okruszków. On już nigdy nie będzie tym samym głupim złodziejaszkiem z Konstantynopola.

To wytłumaczenie nie przekonało jednak młodego Dukasa.

– Nie pojmuję... W czym rzecz? Czy na pewno wiesz, co robisz, mnichu?

– To moja powinność i moje dzieło. Czy wiem, co robię?! Chcąc okazać gościnność, uznaję słowa zwątpienia, które wypowiadasz, panie, nie za brak zaufania, lecz za skutek twojej niewiedzy i porywczosci.

– Jak rozbijesz dzban, to wino się rozleje. Nie będzie ani dzbana, ani wina. Jaka więc jest korzyść z twoich zamysłów? Cóż to zatem znaczy, że rozbiłeś duszę tej szumowiny? Cóż nam z tego przyjdzie?

Starzec w habicie pokręcił głową.

– Pytania, pytania, pytania... Słowa.

Obrócił twarz do Andronika i tłumaczył:

– Rozbijam jego duszę, by ją utworzyć na nowo. Ze stłuczonego dzbana nie będzie już pożytku. Ale możesz zebrać okruszki, wybrać co ładniejsze, te, co najlepiej pasują, i skleić coś nowego. Coś o zupełnie nowym przeznaczeniu, bo przecież nie dzbana potrzebujemy. Dzbanów jest pod dostatkiem.

Nie było tego widać – wszak zakonnika skrywał kaptur – ale sądząc z ruchów, mnich słuchał oddechu Kaliksta. Po chwili znów musnął ciało swego jeńca końcem rękawa. Dłonią? Palcami?

– To ciało uczynię zdolne do bohaterskich czynów. Czynów, które później przez wieki będą opiewać minstrele, a ludzkość zapamięta po sam swój kres. Ciałem jednak kieruje dusza, a tę, rozbitą na kawałki, dopiero zbuduję na nowo.

– Co może powstać z okruszków rozbitego dzbana...? Nic, co jest przydatne – mrucał Dukas.

Ponury apostata znieruchomiał i rzucił przez ramię:

– Skorupą rozbitego dzbana możesz poderżnąć gardło. Naciąć żyły, by zostawić nieprzytomnego wroga na powolne umieranie. Możesz wylupić oczy. Wykastrować jak eunucha, by twój wróg nigdy nie spłodził potomstwa. Możesz naznaczyć czoło swego wroga piętnem niewolnika, jego kobiety znakiem kurtyzany. Wreszcie z okruszków możesz skleić mniejsze naczynie, dzbanuszek z trucizną skrywany w kieszeni. A mówimy przecież o duszy, nie o wypalanej glinie.

Pochylił się nad Belzebubem i powrócił do przerwanych badań.

– Jego ciało stanowi jedność – rzekł po dłuższej chwili. – Ale dusza już nie jest duszą, jednolitą istotą pozamaterialną, lecz zbiorem dziesiątek, może setek złych i dobrych jego stron. Zło i dobro, teraz wreszcie rozdzielone! Możemy odsiać to, co niepotrzebne, od tego, co przyniesie nam zbawienie. Człowiek został stworzony przez Demiurga na podobieństwo Jego samego oraz Boga Ojca. Tkwi w nim więc boskość, jeno trzeba ją oddzielić od tego, co

zasiadała w człowieku słabość Logosa. Logos przybył na ziemię w ludzkiej postaci, by zwieść człowieka na manowce, przeciągnąć na swoją stronę przeciwko Stwórcy i Bogu Ojcu.

– A zatem? Co chcesz z nim dalej zrobić? Jak zamienisz w skrytobójcę, jakiego nie znał ten świat?

Czarny Mnich stanął przodem do Andronika. Chciałoby się rzec: *obrócił do niego twarz*, jednak tę część swojej osoby zakonnik niezmiennie skrywał pod czarnym kapturem, zupełnie jakby chciał ukryć potworne oszpecenie lub to, że nie ma twarzy, tylko mrok, cień śmierci.

– Rozbijałem duszę już niejednemu. Łączyłem na nowo, ale tak, że byś nie poznał. Ojcowie rodzin, dotąd ofiarnie wypruwający sobie żyły dla żony i dzieci, mordowali swoich bliskich, a na koniec siebie. Inni porzucali dom, by oddać się uciechom w lupanarach i tawernach. Matki z rozbitą duszą dusiły dopiero co narodzone dzieci, zaś ciężarne rozpruwały sobie brzuchy, by wyrwać z nich płody. Długo by tak mówić... Powiedz, drogi panie Dukas, co uznajesz za człowieczą słabość?

– Człowieczą słabość...?

– Tak, jaka rzecz w naturze człowieka jest według ciebie najbardziej szkodliwa?

Andronik zastanawiał się chwilę.

– Tchórzostwo.

– Tak, więc już mamy jedno. A tchórzostwu przeciwstawimy odwagę, kiedy trzeba – wręcz brawurę. Co jeszcze należy uznać za złe w duszy człowieczej?

Tym razem Dukas dłużej zbierał myśli.

– Nieposłuszeństwo... Nieposłuszeństwo wobec pana.

– Doskonale! Widzę, że się rozumiemy. A więc tchórzostwo i nieposłuszeństwo, które przeciwstawimy odwadze i oddaniu swemu panu. Jeszcze coś ci przychodzi do głowy? Co jest w człowieku złe i słabe?

Bratu przyszłego cesarza przychodziły na myśl różne rzeczy, jednak długo się wahał, co wybrać.

– Powiem ci zatem, co jeszcze. Litościwość, która jest największą oznaką słabości – podpowiedział zakonnik. – Niejeden przegrał, zbyt pobłażając swoim wrogom. Dalej: naiwna dobroć, która mydli oczy i nie pozwala nienawidzić wrogów, choćby stanęli przed jego obliczem i wykrzyczeli mu w twarz obelgi. Prawdomówność, która jest zbędna, o ile nie dotyczy prawdy, której wymaga pan. A także niepokój, jaki budzi widok ludzkiej krwi i obraz doczesnego przecież ciała rozszarpywanego na strzępy, rozrąbywanego ostrzami, gotowanego w oleju... A na koniec: pijaństwo i obżarstwo, które zniewalają ciało i osłabiają ducha. Skłonność do wina i sutych obiadów nie idzie w parze z dzielnością, nie prowadzi do zbawienia, którym jest zjednoczenie się ze Stwórcą.

Czarny Mnich wrócił do stołu. Oparł obie dłonie o czoło Kaliksta i rzekł:

– Dam mu więc odwagę i brawurę. Oddanie wobec pana. Bezwzględność. Nienawiść. Umiejętność omijania prawdy. Obojętność wobec krwi. I wstrzeźliwość w jadłach i napitku.

Andronik Dukas czekał na dalszą część wyliczanki. Nie doczekał się jednak, więc zapytał tylko:

– To już wszystko? Tylko tyle wystarczy, by z jakiegoś miejskiego chłystka uczynić zabójcę, który przechytrzy demony Italosa, ominie strażę uzurpatora i zada mu ostateczny cios?

– Zostawię mu też siłę, zręczność, spryt, szybkość. Zabiorę tylko to, co przeszkadza w naszych planach. Zabiorę tylko słabość zasianą przez trujące słowa Logosa. A na koniec dam mu jeszcze coś. Coś, czego nie ma żaden człowiek ni żadna inna istota żyjąca na tym świecie.

– Doprawdy? – Andronik nie krył zwątpienia. – A cóż to?

Zakonnik zeszywniał, nie odrywając rąk od głowy jeńca. Nagle gdzieś z dołu, z okratowanej dziury w podłodze, do kamiennej komnaty wdarł się zimny powiew wiatru niosący ze sobą zapach zgnilizny i smród drażnionych przez robactwo ciał.

– Panie mój, Satanaelu, Stwórco świata i wszelkiego bytu! – zagrzmiął metalicznym głosem Czarny Mnich, wznosząc ramiona nad głowę. Cuchnący wiatr przygasił płomień pochodni, tak że ledwie się teraz tliły. – Panie mój, wzywam cię, daj mi siłę, by scalić to, co zostało rozłączone. By jednym się stało to, co teraz rozbite, rozdzielone, rozszarpane!

Płomień pochodni pogasły zduszone kolejnym tchnieniem z piekielnych otchłani. Tylko czerwonawy żar rozświetlał pomieszczenie, rzucając wokół mdłą poświatę.

Andronik, mrugając oczami, patrzył, jak zakonnik cofa się, mamrocząc niezrozumiałe zaklęcia. Wyprostowane ramiona opadły w dół, nad jeńca, zaciśnięte w niewidocznym uścisku. Ciało na stole nagle poderwało się niczym suchy listek targany przez wichę. Czyżby podtrzymywał je niewidoczny sługa, demon trzęsący więźniem niczym lalką?

– Panie mój, daj mi odblask swej mocy! – wychrypiał Czarny Mnich, a potem już mruczał pod nosem słowa, których Dukas nijak nie mógł zrozumieć.

Kalikst, zawieszony kilka stóp nad ziemią, zaczął się obracać wokół własnej osi. Najpierw powoli, jakby przez sen, później z coraz większą gwałtownością, niby chory ogarnięty tańcem świętego Wita. Wierzgał i trząsał się bezładnie miotany jakąś wewnętrzną siłą.

Mnich szarpnął ramieniem. Jeniec poleciał jak bełt wystrzelony z kuszy prosto na kamienną ścianę komnaty. Nim się rozbił, gwałtowny gest czarciego zakonnika przywołał go z powrotem i posłał na przeciwległą ścianę. Jednak i tym razem złodziej uniknął śmierci, bo mnich zakręcił młynka ramionami i w tej samej chwili ciało więźnia zaczęło wirować w obłąkańczym tempie nad stołem, na którym wcześniej spoczywało.

– Panie mój, wzywam cię! Udziel mi części swej siły, by połączyć w jedno to, co rozbite i rozszczętkowane! Satanaelu, Stwórco świata, Boży Synu, władco ludzkości! Daj mu nową duszę złożoną z tego, co w nim było najlepsze!

Z ust i uszu Kaliksta powoli sączyły się strużki krwi. Wirował nad stołem, nabierając

prędkości, a czerwień malowała wokół spirale, bryzgając coraz wyżej po ścianach i habitach diabelskich braciszków.

Andronik Dukas krztusił się od trupiego smrodu.

Pochodnie, którym też zabrakło świeżego powietrza, zaczęły kopcić, a potem nagle wszystkie zgasły.

* * *

Kalikst uciekał. Biegł, nie szczędząc sił, byle dalej od tego miejsca. Minął korytarz z galeryjką i pognął po kręconych schodkach w dół.

Na zewnątrz panowała szarogranatowa noc, tylko gwiazdy mrugały w rytm grania cykad. W środku było jeszcze ciemniej, ledwie widział coś na wyciągnięcie ręki, jednak gnał dalej, intuicyjnie wynajdując właściwą drogę. Obijał się o ściany, ocierał o kolumny, padał, boleśnie szorując po kamieniu, ale zaraz wstawał i biegł dalej.

– Beelzebub... Bub! Bub! Bub! – doszedł go jakiś gruby, basowy głos z oddali. Zadudnił w korytarzach, idąc gdzieś z głębi, z czarcich tuneli wiodących do piekła. To nie był Czarny Mnich ani nikt z jego gości, nikt też z Konstantynopola ani z dawnych lat. A jednak Kalikst miał wrażenie, że ponure huczenie jest mu w jakiś sposób bliskie.

– Bel! Bel! Bel! Belzebubieeee! – zawył nagle nowy głos, cienki i jękliwy jak potępiona dusza na czyścicowych bezdrożach. – Bel! Bel! Bel!

Piskliwy jazgot sprowadził na niego dziwne otepienie. Gwiazdy zagładające do monasteru przez kolumnady zawirowały i ściemniały.

Upadł, sunąc kolanem po podłodze. Ból orzeźwił go. Zostawił w tyle wabiące go głosy i dobiegł do kolejnych schodów. Skakał po kilka stopni w dół.

I znów kolumnada. Gnał nią, łapczywie chwytając świeże powietrze wypierające trupi zaduch monasteru.

– Bel! Bel! Bel! Bel! – tym razem jękliwy krzyk rozbrzmiał tuż przed nim, zdawał się dochodzić ze schodów. Z ostatnich stopni, jakie dzieliły go od wyjścia.

Kalikst przystanął. Dyszał ciężko i wyęzając wzrok, próbował przebić ciemności.

– Belzebubieeee! Bel! Bel! – jazgotał potępieniec, a z tyłu wtórował mu bas z otchłani: – Bub! Bub! Bub! Beelzebub! Belzebub!

Nie zastanawiał się już dłużej. Skoczył w przód gotowy na spotkanie z hałaśliwą bestią.

– Zabijęęę! – wrzasnął, dodając sobie animuszu. Nie miał broni, więc uniósł gołe pięści gotów zasypać wroga gradem ciosów.

Wpadł w próżnię, sunąc w dół po wyslizganych schodach. Nie było tam nikogo, nic, tylko kręte stopnie prowadzące do wolności. Przeturlał się po nich jak kula wystrzelona z balisty i pokonawszy krótki, ciemny korytarzyk, wyskoczył na zewnątrz.

Ogarnęło go chłodne powietrze nocy. I ten zapach... Lekki wiatr niósł aromat ziół,

rozgrzanych za dnia kamieni, teraz gwałtownie oddających ciepło, wreszcie ziemi i uwięzionej w jej zakamarkach wody.

Nie mógł pozwolić sobie na dalszą stratę czasu! To był dopiero początek drogi. Rzucił szybkie spojrzenie w tył: monastyr białł na tle nocy jak kości morskiego potwora wyrzucone na brzeg.

– Belzeeeebub... Belzeeeebub... – tym razem słyszał tylko szepty.

– Precz! – wykrzyknął w ciemność, a to, że jego głos był teraz mocniejszy niż nawoływania prześladowców, napełniało Kaliksta nadzieją. – Precz, szatani!

Biegł dalej, już pewniej stawiając stopy. Migotliwe punkciki na niebie dawały więcej światła, gdzieś tam, między skałami, śmiały się wąskie usta znajomego szydery, księżycyca.

Mijając trupy na palach, wstrzymał dech, jednak smród gnijących zwłok był silniejszy – wdierał się przez nos do płuc. Owionęła go duszna fala, ledwie ustał na nogach. Żołądek zawirował, podszedł do gardła, jednak kilka kroków za bramą Kalikst oprzytomniał. Gnał, już nie patrząc w tył.

– Belzeeeebub... Belzeeeebub... – Wtem coś złapało go za nogę lekko i niepewnie, jednak nieszczęsny uciekinier aż zadrżał z obrzydzenia. Zobaczył toczoną przez robaki rękę trupa. Strząsnął ją i ruszył w stronę wyjścia z wąwozu.

Głosy i szepty umilkły. Nic już nie stańęło na jego drodze, nic nie łapało za kostkę. Mimo to nadal uciekał ile sił, aż wypadł spomiędzy skał na równinę. W oddali na tle wąskiego księżycyca majaczyła skała-ptak, przy której znalazł wejście do podziemi monastyru. Kiedy to było...? Dni? Tygodnie? Miesiące? Nie myślał o tym.

Musiał biec dalej.

Pędził po równinie, przeskakując wyschnięte kępy traw, mijając niewielkie sterty kamieni, wznosząc tumany białawego kurzu z pustynnej ziemi. Noc nie pozwalała wybrać lepszej drogi, nie bardzo więc wiedział, dokąd podąża. Ale dobrze wiedział po co!

Gdy skupisko skał otaczające wąwóz z monastylem zmałało w oddali, przystanęł. Opadł na kolana, a potem na twarz. Wciągał nosem ostry zapach suchych traw.

Znieruchomiał z rękami rozłożonymi na boki.

Wessał go mrok.

* * *

Szedł z wysiłkiem po kolana zanurzony w szarym pyle. Drobne kamyczki zgrzytały pod nogami, wiatr przesypywał sterty śmieci, a zabagniona woda w zatoce cmokała ohydnie.

Konstantynopol, niezniszczalna stolica świata chrześcijan, teraz był zniszczony.

Parł przez puch wirującego kurzu ogarnięty grozą. Tak, widział niedawno to miasto. Widział je bezludne, widział, jak rozsypuje się w proch z cichym szemraniem odpadających od murów drobinek. Nie sądził, że ujrzy coś jeszcze gorszego...

Wtem sterty kamieni zaczęły drgać, jakby ziemia wrzała. W oddali narastał huk przypominający kamienną lawinę. Od morza zawył wicher.

Kalikst kilkoma wielkimi krokami przeskoczył dygoczące kamienie, z trudem torując sobie drogę na niewielki plac. Skoro gdzieś w głębinach rodziło się trzęsienie ziemi, lepiej było nie mieć niczego nad głową.

Gdy jednak popatrzył dookoła, przestał cokolwiek rozumieć. Rumowiska po zawałonych domach powoli wzrastały w górę. Domy podnosiły się z upadku. Kamień do kamienia, deska do deski, belka do belki. Wszystko, co dotąd rozdarte i obrócone w pył, teraz powoli odzyskiwało swoją dawną formę: domostwa, magazyny, kościoły, tawerny, wysmukłe kolumny, fora, łuki triumfalne, pomniki i fontanny. Wszystko rodziło się na nowo.

– To istny cud – wyszeptał Kalikst ogłuszony przez łoskot przetaczających się kamieni. – To cud albo złośliwa sztuczka diabła.

Konstantynopol rósł w oczach, podnosząc się z upadku.

Kalikst poszukał wzrokiem znajomych kątów. Tak, wiedział, gdzie jest. To niedaleko jego złodziejskiego rewiru! Port nad Złotym Rogiem, długi ciąg nadbrzeżnych murów, znajome wieże kościołów, sylwety klasztorów, a nawet minaret jedyne w mieście meczetu Mitaton. Wszystko było jak dawniej.

Lub byłoby, gdyby nie pustka – brak choćby jednego człowieka, choćby bezdomnego kundla przemykającego pod ścianą.

Nim jeszcze domy przybrały swój ostateczny kształt, Belzebub pobiegł na nabrzeże, gdzie zawsze wystawały miejskie wyrostki, szukając okazji do bitki. Nie dostrzegł nikogo. Ani złodziei, ani portowych robotników, ani marynarzy, kupców czy strażników miejskich. Tam, gdzie zawsze tłoczyła się największa ciżba, teraz cicho wył wiatr.

Odnalazł wzrokiem tawernę „U Teofilakta”. W jej drzwiach wychwycił jakiś ruch.

– Heej! Jest tam kto?

Pobiegł, przecinając plac zwykle wypełniony straganami przekupniów. Przed winiarnią przystanął, nasłuchując. Ze środka doszedł go szcęk naczyń. Nie zwlekając, szarpnął drzwi i wszedł do wnętrza.

– Kto tu!? – krzyknął i zamarł. Zobaczył siebie.

Sobowtór stał krok od drzwi, trzymając w ręku miecz. Jego koniec spoczął na piersi Kaliksta tuż obok serca.

– Co ty? Co jest?

– A więc spotkaliśmy się wreszcie, co...? – rzucił z przekąsem bliźniak. – Tutaj, w naszym mieście, Konstantynopolu, Królowej Miast. Tu się spotkaliśmy wreszcie, ale to nie jest nasz Konstantynopol.

– Kim jesteś? Dlaczego nigdy nic nie mówisz? Kim jest Czarny Mnich?

Drugi Kalikst zignorował te pytania. Beznamiętnym głosem ciągnął dalej:

– Nie ma tu ludzi. Nie ma zwierząt. I zauważyłeś, nie ma zapachów...? To miasto nie

istnieje, a ty... – Sobowtór mocniej napał na rękojeść miecza. – Ty też nie istniejesz.

– *Skata na fas* – zaklął Belzebub, z trudem tłumiąc narastającą złość. – Może jeszcze powiesz, że ty jesteś jedynym Kalikstem, a ja tylko twoim cieniem.

– Nie jesteś cieniem. Jesteś wytworem mojej głowy. Ale to się zaraz skończy.

– He, he, to prędzej ty znikniesz! Ty nie istniejesz. Ja jestem Kalikst Belzebub, złodziej z Konstantynopola.

– Ani chwili dłużej – rzekł sobowtór, wpychając ostrze głęboko w serce Kaliksta. – Teraz ja jestem tobą.

Belzebub padł, charcząc. Krew zalała mu płuca i nim zdążył wypowiedzieć ostatnie przekleństwo, znów zapadł w ciemność.

* * *

– Mówiłem, że wróci – rzekł bez emocji Czarny Mnich. – Już nie o to chodzi, że nie miałby gdzie iść na tym pustkowiu bez konia. On nie chciał uciekać.

Andronik wzruszył ramionami.

– Obalił twoich pomocników i wybiegł stąd z dzikim wrzaskiem. Jakby walczył o życie. I chyba tak było... A jednak wrócił. Nie rozumiem.

Ponury apostata zarechotał, jakby ktoś tarł kamieniem o kamień.

– Wielu rzeczy nie jesteś w stanie pojąć, mój drogi panie. Dlatego to ty przybyłeś do mnie, prosząc o pomoc. I ja jej udzielałam. Ale to jeszcze nie koniec. Teraz dopiero zobaczysz nowego Kaliksta. Skrytobójcę, jakiego świat dotąd nie widział. Ani ty, ani nawet ja.

Belzebub stał pośrodku sali, dysząc. Przez szpary w suficie sączyły się pierwsze promienie świtu. Po nocnej ucieczce pozostały tylko otarcia, rozkrwawiony nos i ten dziwny ból w piersi. Nie pamiętał, skąd pochodził. Monotonny szum nie pozwalał mu myśleć. Nie dawał mu przywołać wspomnień.

Kim on był? Dlaczego chciał mnie zabić? Kto? Zabił mnie? Nie. Nie zabił. Kim on był? Kto? To byłem ja? Nie! Kim on był, kim on był?... – W głowie miał szum, przed oczami ciemność.

A z ciemności wyłonił się pan...

Czarny Mnich stanął tuż przed Kalikstem, patrząc mu głęboko w oczy. Belzebub poczuł zimny sztylecik pieszczący jego serce. Niepokój, jednak nie było w tym strachu.

– To normalne zachowanie... On nie uciekał. Jakbyś go teraz, drogi panie, wywiózł spętanego, zasłaniając mu oczy, daleko, gdzieś do Charsianonu czy nawet Paflagonii, to też by wrócił. On już nie wie, co to wolność. Wolność znaczy dla niego posłuszeństwo wobec pana. Wybiegł, by narodzić się na nowo. Uciekał przed samym sobą. No i uciekł. A teraz jest tutaj. Nowy.

– Wygląda jak zawsze. Jak pętał z miasta. Niczego w nim nie dostrzegam.

– Zobaczysz. Jeszcze zobaczysz – zakończył rozmowę Czarny Mnich.

* * *

Sergiusz Metafrastes, logoteta na dworze *basileusa* Romana IV Diogenesa, a zarazem szpieg na usługach wielkiego mistrza gildii złodziei Atanazego Meklidosa, plunął krwią. Z rany na szyi gwałtownie tryskała ciepła czerwień i jeszcze szybciej zaczęła uchodzić dusza.

Zakończył swe życie trzy kroki za bramą rezydencji Atanazego.

Metody wyrwał puginał z ciała i zadumał się. Może trza było dźgnąć pod serce? Wtedy i mniej krwi, i ręce czyste.

Tyle że wówczas karzeł musiałby zaatakować wprost, co znaczy – przejść co najmniej kilka kroków z nożem w garści, narażając się na to, że logoteta ucieknie za bramę, na ulicę. Dlatego też wołał niby ryś skoczyć z muru na plecy ofiary.

Nie myśląc o tym dłużej, odciągnął trupa na bok i pozostawił go w wysokiej trawie porastającej pobrzeża podmiejskiej ulicy. Zaniepokojony powrócił w pobliże bramy.

Nic, spokój. Nikt nic nie widział. I tylko kilka kropel krwi na ścieżce. Roztarł je butem i sypnął garścią ziemi. To nie powinno wzbudzić podejrzeń – rezydencja Atanazego, choć rozległa i niegdyś bogata, sprawiała wrażenie mocno zaniedbanej. Chaszcze, zieleń wżerająca się między kamienie, rozrośnięte krzewy...

Metody sprawdził jeszcze, czy strażnicy na pewno śpią. Poczęstował ich podwójną dawką mleka czarownic, więc powinni lulać do rana słodko jak dziecięta. *Może jednak lepiej ich zabić?* – po raz kolejny naszła go ta myśl. Później jednak posłyszał głos rozsądku: *Po mleku będą ich łby boleć, jakby się spili. I wszyscy tak pomyślą. Ale zabić – to by wzbudziło podejrzenia. Przecież Atanazy nie zabiłby swojej ochrony.*

Uspokojony wrócił po ciało logotety. Zdarł z trupa płaszcz, okręcił nim pokrzwawione gardło, by się nie utylać juchą.

– Trza było dźgnąć go pod serce – mruknął do siebie i zacierając dłonie, zarzucił zwłoki na grzbiet. Nie bez wysiłku zatargał je do tylnych drzwi domostwa. O tej porze w posiadłości Atanazego nie było żadnej służby. Mistrz wołał samotność. Do towarzystwa wystarczał mu Tryfon Szachista i dwóch ludzi z ochrony. No i tyłuż niewolników, którzy całymi dniami biegali po mieście, wykonując zleczone prace. Tak jak i teraz. Atanazy zawsze baczył, żeby podczas wizyty Metafrastesa w rezydencji nie było zbędnych świadków.

Dźwigając trupa logotety, Metody wpakował się do wnętrza. Złożył ciało pod schodami i cichaczem przemknął na górę. Uchylił drzwi, nadstawił ucha. Z oddali słyszał rozmowę niespodziewających się niczego mistrza i jego doradcy.

– Czy Metafrastes już aby nie przybył? Zerknij no, Tryfonie.

– Nie, mistrzu. No przecież patrzyłem. Nie ma go w holu, a wie przecie, jak trafić.

– Dobrze, zatem czekaj tam na niego.

Karzeł cofnął się, zamykając drzwi. Słyszał kroki Szachisty, który minąwszy jego kryjówkę, ruszył korytarzem do wewnętrznych schodów.

Dłużej Metody już nie zwlekał. Skoczył w dół, dźwignął trupa i jął go targać na piętro. Gdy dotarł do drzwi, przystanął na chwilę. Gdy miał pewność, że nikogo nie ma, wyszedł na korytarz. Żwawo przebierając nogami, zaciskając z wysiłku usta, przeniósł ciało do ostatniej komnaty po lewej stronie – do sypialni dla gości. Odwinął z szyi logotety płaszcz, pozwalając, by krew ściekła na dywan. Wyszarpnął zza pasa puginał i zadał jeszcze kilka ciosów, dźgając w pierś, brzuch i ramiona. Na koniec wbił nóż w serce i tak pozostawił.

Chyłkiem wymknął się do wyjścia.

Przyszła pora, by zadać ostateczny cios.

* * *

Mistrz Atanazy oderwał wzrok od książki, oprawionego w czerwoną skórę, drogiego wydania eposu „Digenes Akrites”. W holu posłyszał jakieś hałasy – najpierw pomyślał, że to wreszcie przybył szpieg z cesarskiego dworu. Ten jednak zwykł się pojawiać w cichości: kiwał głową na powitanie i prowadzony przez Tryfona bez słowa przechodził do gabinetu gospodarza. Tak więc nie mógł to być Metafrastes. Metaliczny szczepek, szamotanina, podniesione basowe głosy – sądząc po intonacji, stawiające pytania, na które natychmiast winna paść odpowiedź – i niepewne, pełne zdziwienia jękanie Szachisty.

Pewnie wdał się w awanturę z Ignacym Plasterkiem – pomyślał Atanazy. Ignacy był jednym z chłopaków z gildii przydzielonych do stałej ochrony rezydencji mistrza. Jego przydomek brał się stąd, że *potnę na plasterki!* oznaczało u niego najwyższe wzburzenie. I choć brzmiało to komicznie, groźbę spełniał dosłownie i wcale nie rzadko. Ignacy lubował się w dręczeniu swych ofiar tudzież misternym kaleczeniu ich ciał. To stanowiło nieustanne zarzewie scysji między nim a Tryfonem.

Jednak chyba nie tym razem. Burkliwy, wściekły pomruk nie należał do Plasterka ani tym bardziej do Szachisty. Co więcej, głosów było kilka. Tworzyły narastający harmider, który kazał mistrzowi wstać z fotela i skierować się ku schodom.

Nim do nich doszedł, w drzwiach stanął Tryfon popychany przez grubego i rosłego strażnika miejskiego. Ten ścisnął w wielkim jak bochen łapsku topór na przeszło czterostopowym stylisku i z haczykowatymi kolcami w górnej części ostrza.

Za nimi cisnęło się jeszcze trzech strażników.

– Precz do tyłu! – burknął dryblas, wypluwając słowa spod bujnej czarnej brody. – Kto tu gospodarz? Ty, dziadku?

Nim Atanazy zdążył wyrazić swe oburzenie, strażnik burknął:

– Musimy przeszukać domostwo. Chłopaki, a nuże! Komnatę po komnacie, kąp po kącie. Strażnicy ochoczo ruszyli w kierunku najbliższych drzwi.

– Ależ! – oponował mistrz. – W tej chwili precz za drzwi! Z jakiej racji? Z czyjego rozkazu? Plasterek! Gdzie jest Plasterek! Ignacy! Mustafa! Gdzie oni!?

Brodacz, niezrażony tym wybuchem wściekłości, spokojnie zapytał:

– A tyś kto właściwie?

– Atanazy Meklidos – odparł z godnością gospodarz. – Szanowany obywatel miasta, wierny poddany *basileusa* Romana Diogenesa! Czego tu, najemne pacholki? Z jakiej racji?

– Miarkuj słowa, panie Meklidos! Otrzymaliśmy doniesienie.

– Jakie doniesienie? O czym mówisz, strażniku?

– Otrzymaliśmy doniesienie, że w tym domu popełniono zbrodnię. Obwoźny sprzedawca ryb mówi, że widział, jak w tym domu ciągniono ciało zabitego, szlachetnie urodzonego...

– Jaki sprzedawca ryb? Jaki sprzedawca? Tryfonie, wpuszczałeś tu jakiegoś domokrążcę z rybami?

Szachista tylko pokręcił bezradnie głową.

– Tu nie było żadnego sprzedawcy ryb! Musieliście pomylić posiadłości!

Brodacz wzruszył ramionami.

– Był czy nie był, sprawdzić musim. Nie utrudniaj tego, panie Meklidos, bo za to też można pójść do lochu.

– Jak to *też*? Cóż oznacza tu słowo *też*?

W tej chwili w głębi korytarza zakotłowało się. Wbiegł jeden ze strażników i zawołał:

– Jest! Jest trup. Musi z dworu ktoś, bo strojny i wymuskany. Ubity, bez przebaczenia.

Dowódca straży tylko pokiwał głową.

– Trzymajcie też starca, ja zobaczę.

Atanazy nawet nie próbował się bronić. Nie wierzył w to, co słyszał. Nie wierzył w to, co miało tu miejsce.

– Ja śnię... Tryfonie, obudź mnie, proszę...

Brodacz ruszył do komnaty z trupem. Po chwili wrócił gniewny, z zimnym błyskiem w oczach. W rękę dzierżył puginał.

– Twój? – zapytał Szachisty.

Tryfon zatrzęsł się. Ledwo wystękał:

– Nnnie...

Brodacz spojrzał na Atanazego.

– Twój?

Mistrz, wiedząc, w czym rzecz, zaprzeczył, choć rozpoznał swe ostrze. Zaczynało do niego docierać, że to nie sen. I że sprawy nie idą w dobrym kierunku.

– Wszystko jedno. I tak obu was zabierem! A tamtego znasz?

Atanazy w milczeniu przemierzył korytarz i zajrzał do komnaty dla gości.

– Sergiusz Metafrastes... Na Boga, zaszlachtowany jak prosię...

– Czyli znasz go?

– To logoteta *basileusa*...

– Znasz go? I tyś go zabił?

– Na Boga, nie! Nie znam go! To znaczy znam, ale...

Dryblas uniósł znacząco swój topór.

– Dość tego! Brać ich obu!

Strażnicy żwawo podskoczyli do mistrza.

– Kto zabił, kogo i dlaczego, to już osądzi sędzia – ciągnął brodac. – Ja mam tylko doprowadzić podejrzanych. Ale na mój nos to wasza sprawka.

– Hola! *Skddalon!* Jestem szanowanym obywatelem. Weteranem! Walczyłem...

Osilek z toporem nie dał mu dokończyć.

– To już sędziego robota słuchać tych skomełń. Nuże! Idziem!

Zbrojni powlekli Atanazego i Tryfona po schodach w stronę drzwi domostwa.

– Ale powiem ci jedno, panie Meklidos – rozgadał się brodac. Zawsze to przyjemność brać za kark jednego z tych, którym przez większość życia musiał się kłaniać, dlatego miał teraz dobry humor. – Jest wojna, *basileus* idzie na Seldżuków w Syrii. Zanim doczekacie sądu, będziecie mieli obaj sposobność dowieść swej niewinności i męstwa w bitwie. He, he! W kompanii karnej! Więzienia teraz puste, wszystkich wcielają.

Pchnięty mocarną łapą strażnika mistrz poleciał w dół schodów, skacząc po stopniach jak piłka. Widząc to, Tryfon nie wahał się już.

– Zostawcie go! To ja zabiłem! Brodac ściągnął gniewnie brwi.

– A tyś właściwie co za jeden?

– Tryfon. Tryfon Szachista. Zostawcie mistrza, to jest... pana Meklidosa. To ja zabiłem tego logotetę. Mnie weźcie!

Atanazy wstał z wysiłkiem, ocierając skrwawione czoło. Oszołomiony – nie wiadomo, uderzeniem czy niespodziewanymi słowami swojego sekretarza – wystękał:

– Tryfonie... Tryfonie, o czym ty mówisz? Ty zabiłeś?

– Kręcisz coś, bratku! – huknął strażnik. – Pewno chcesz ratować starego.

– Nic nie kręć! Ja zabiłem i jakby ktoś mnie pytał, to odpowiadam: zabiłbym jeszcze raz. Takiemu to tylko śmierć, podłemu, plugawemu zdrajcy!

– Tryfonie... O czym ty mówisz? Ja nie rozumiem – bełkotał mistrz, jednak już dobrze wiedział, w czym rzecz. Jego wierny doradca brał na siebie całą winę, kimkolwiek by był morderca. W pierwszym odruchu Atanazy chciał powstrzymać Szachistę, nie godząc się na takie poświęcenie. Zaraz jednak przyszła trzeźwa myśl: *Gady wezmą nas obu, jak im dowódca nakazał. Wtedy nijakiej korzyści z tego nie będzie. A tak pójdzie on, a ja będę mógł wyjaśnić sprawę i wydobyć go z więzienia.* – Jak mogłeś mi to zrobić, morderstwo pod moim dachem...? – wyrzekł zbolalym głosem.

– Mistrzu! Tak, ja zabiłem. Wybacz, ale tak musiało się stać. Gdy wyjawię ci, jak to było, zrozumiesz.

Dryblas zasepił się. Chętnie zgarnąłby oba ptaszki. Nie jemu sędzić, kto zabił. Ten sobie przypisuje czyn, ale zbrodni dokonać mogli razem. Na pewno działali w porozumieniu, bo jakżeby inaczej? Z drugiej strony jednak... Strażnik popatrzył na starego. Meklidos ocierał krew z rozbitego czoła, tocząc dokoła nieprzytomnym wzrokiem. Nie wyglądał na zniedołężniałego starca, wprost przeciwnie – znać było w nim niemalże siłę młodzika, jednak brodacze nie miał wątpliwości, że ciągnięcie go po kazamatach i wcielenie do kompanii karnej szybko doda mu lat. Człek ten wyglądał na szacownego, miał dostatnie domostwo, diabli wiedzą kogo ważnego znał, więc może i należały mu się pewne względy.

– To był mój kochanek, ale zdradził mnie! – wykrzyknął tymczasem Szachista. – Porzucił jak pusty dzban, choć wcześniej spijał z niego największe rozkosze. Nieraz mu przebaczyłem, mając na względzie miłość i dobro także jego, nie tylko moje. Odpuszczałem mu te drobne grzeszki, igraszki z chłopcami z dworu, ale tym razem miarka się przebrała! O taaak, zadźgałem go i nie zamierzam tego ukrywać.

Strażnik sapnął gniewnie i bacznie przyjrzał się Tryfonowi.

– Sodomita... – mruknął z odrazą. – Tak, wy jesteście do wszystkiego zdolni. Tak, na pewno go zabiłeś. Mogłeś to zrobić. Jednak jak było naprawdę, to winien ocenić sędzia... Kto zabił, a kto nie zabił...

– To ja zabiłem! Zabiłem go nożem, zadźgałem! – wrzeszczał teraz Szachista, znakomicie udając, jaki jest roztrzęsiony. A może był, choć z innej przyczyny? – To mój nóż! Zabiłem go, a co?! Opowiem, jak było! Szliśmy razem do łoża, kiedy...

– Dość! Zamilknij, sodomito! – Dryblas z toporem skrzywił się. Splunął i mruknął jeszcze: – Skoro przyznajesz się do zbrodni, mnie tam jedno. Dobra, zostawcie starego! Jeden zostanie pilnować ciała, a my zabieramy mordercę do lochu.

Rozdział 19

Kalikst Belzebub pocałował ostrze i chichocząc, przejechał po nim palcem. Choć ledwie je musnął, na opuszcze zalśniła kropla czerwieni.

– Ostrrrra – mruknął. – Mhhhhmm...

Wziął zamach i przeciął z wizgiem powietrze. I jeszcze raz. I jeszcze. Szabla doskonale leżała w dłoni, była idealnie wyważona, niezbyt ciężka, a przy tym zabójczo skuteczna. Polubił tę broń.

Wykonał jeszcze kilka sztychów, z lubością słuchając dźwięku, jaki wydawał metal tnący powietrze.

Rozpierała go moc. Jakaś siła, której wcześniej nie czuł... Choć nie – czuł ją gdzieś tam w głębi, jednak zawsze przygniecioną jakimś ciężarem. Spętana okowami leżała gdzieś w mrocznych zakamarkach jego duszy. Teraz uwolniona dawała mu poczucie, jakby sam Bóg tchnął w niego swą potęgę.

Opuścił ostrze i wyprostował się. Coś innego przykuło jego uwagę. Coś w przeciwległym końcu komnaty.

Zaczął się śmiać. Cichy chichot wnet przeszedł w potężny rechot, chrapliwy i urywany.

Zobaczył siebie. Siebie i nie siebie. Drugiego takiego jak on.

Tym razem sobowtór nie miał broni, a w jego oczach czaiło się przerażenie. Strach wybuchł niczym beczka z ogniem greckim, kiedy Kalikst zrobił dwa kroki do przodu, przytulając ostrze do policzka. To jeszcze bardziej rozbawiło Belzebuba. Musiał wziąć głębszy oddech i odczekać dwa pacierze, nim się uspokoił. Wtedy ruszył na spotkanie samego siebie.

– Co? Co chcesz zrobić? – wybełkotał przerażony bliźniak, człapiąc w kąt komnaty. Na tyle, ile mógł – jego prawą stopę krępowały łańcuchy przykute do ściany.

– Ha! A więc jednak potrafisz nawinać. Języka ci nie odcięli.

Tamten też był zdziwiony.

– Ej, ale ja zawsze mówiłem. Ty miałeś gębę zawartą na kłódkę. Wołałem cię...

Kalikst prychnął.

– Co ty?! Co ty mi tu wciskasz, bracie? Tyś siedział jak ta kukła, ani razu nie nawinałeś i jeszcze mi tu bajasz teraz, że wołałeś...

Sobowtór zamilkł, lękliwie spoglądając na ostrze szabli.

– Co teraz? Co zrobisz?

– Jak to co? Chcę cię uwolnić! Spójrz na mą twarz! Jesteśmy tak podobni! Jak... Jak bliźniaki, chociaż nigdy żadnego nie miałem. Mój zaginiony brat bliźniak!

Śmiał się z tego jak z dobrego żartu opowiadanego w karczmie przy dzbanie wina. Gdy przestał, podszedł do swojego sobowtóra i spokojnym głosem rzekł:

– Odetnę ci te łańcuchy, bracie. Będziesz wolny.

Lęk w oczach tamtego stopniał, choć nie do końca. Patrzył z niepokojem, niewiele rozumiejąc z tego, gdzie jest i co się dzieje. Jednak widząc przyjazne iskierki w oczach swojego – jak on to mówił *brata*, opanował strach.

Belzebub podszedł na odległość kroku i trącił końcem buta łańcuchy.

– Też nieraz poznałem smak niewoli. Nieraz kajdany obcierały mi skórę do krwi, do żywego mięsa. Wiem, co to ból. Wiem, co to zwątpienie. Ale dla ciebie to już koniec katuszy.

To powiedziawszy, wziął zamach szablą i sieknął drugiego Kaliksta tuż pod kolaniem. Uderzenie było silne: bliźniak zatoczył się w tył. Bez połowy nogi, ale i bez łańcucha.

– Zwróciłem ci wolność! Możesz wracać do domu! Bóg z tobą, braciszku.

Sobowtór był jak potępiona dusza z samego dna piekieł. Z rany sikała mu krew – bezskutecznie próbował ją powstrzymać, przytrzymując ranę dłońmi. Czerwień tryskała na kamienną podłogę komnaty, ściekając w niewielkie jezioro. Bliźniak taplał się w nim, rozmazując krew na szarej powierzchni skały.

– No cóż to? – Belzebub zmarszczył czoło. – Czemuż nie dajesz dyla? Chodu, ziomek, przeca dałem ci wolność!

Odczekał chwilę. Nie doczekawszy się odpowiedzi, stwierdził drwiąco:

– Aha...

Zawiesił głos, unosząc szablę.

– A juźci! Jak możesz uciekać, kiedy jedna noga dłuższa, a druga krótsza? Trudno utrzymać równowagę! Nic nie bój! Już naprawiam ten błąd!

Kalikst uniósł swoją broń i tym razem kilkoma słabszymi, ale precyzyjnymi cięciami pod kolano odrąbał sobowtórowi drugą nogę. Teraz obydwie miały jednaką długość.

Bliźniak nawet już nie pisnął. Zemdlał z bólu i upływu krwi. Widząc to, Belzebub zafrasował się.

– Niedobrze, mój bratku. Skaleczenie, krew sika – takich ranek nie należy lekceważyć...

Z tymi słowami podbiegł do ściany komnaty, skąd wyrwał płonąca pochodnię. Przysmażył nią rany sobowtóra – raz, drugi, trzeci, aż krew przestała cieknąć, a drugi Kalikst się ocknął.

– Co mi zrobiłeś? Odciąłeś! – wrzeszczał. – Odciąłeś mi nogi!

– Owszem, tak. Masz rację. Tak się też stało. Niekiedy trzeba coś poświęcić, żeby odzyskać wolność. Ale teraz możesz już uciekać. Chodu! Mówię ci, ziomek! Dawaj! W nogi!

Zaśmiał się ze swojego żartu, powtarzając mściwie:

– W nogi, ziomek. W nogi...

– Kim...? Kim jesteś? – wyjęczał z bólem tamten. – Dlaczego mnie torturujesz? Dlaaaczegooo... Mnie! Okaleczyłeś?! Nogi odciąłeś!

Ostatnie słowa wykrzyczał, zalewając się łzami. Wył jak szlachtowane koźle.

Belzebub zareagował błyskawicznie.

– Czyli co? Mówisz, z takimi krótkimi nóżkami wyglądasz jakoś tak... nieforemnie. Trzaby cię jeszcze skrócić. To może tak?!

Zakręcił się wokół własnej osi jakby w tańcu i unosząc szablę, zadał kolejne cięcie. Tym razem w lewą rękę, równiutko między łokciem a ramieniem.

Oszalały z cierpienia sobowtór już chyba nawet tego nie zauważył. Bezgłośnie ruszał ustami jak ryba wyrzucona na brzeg morza. Tępym wzrokiem toczył dookoła, patrząc, jak wraz z krwią ucieka z niego życie. Nie, tego nawet nie wiedział. Patrzył tępym wzrokiem, jak wycieka z niego czerwona ciecz niczym podle wino z rozprutego bukłaka.

Nagły przebłysk świadomości podpowiedział mu, że śmierć czai się blisko. Jest tuż, w sąsiedniej komnacie, krąży już niewidzialna nad głową.

– Zostaw! Zostaw mnie, demonie! Kim ty jesteś?! Jaka piekielna siła powołała cię do życia, czyniąc na moje podobieństwo?

Opierając się na prawej ręce, jedynej zdrowej kończynie, Kalikst-bliźniak pełził byle dalej od swego oprawcy. Nieporadnie przerzucał ciężar ciała, znacząc podłogę długimi smugami krwistej barwy.

– Dobrze kombinujesz! Dobrze się starasz – pochwalił go Belzebub. – Toż mówię, uciekaj ile sił w nogach. Ojoj! No, powiedzmy, w rękach. W jednej ręce! Tak czy inaczej, chodu, ja cię będę osłaniał.

Uniósł szablę. Łypał złowrogo okiem, lustrując najbliższe otoczenie. Marszczył czoło, sapał, znacząco powarkiwał. Wszystko jasne: baczył, żeby kalece nie stała się większa krzywda.

– Pilnuj cię, krótki! Napierają na nas, ale damy radę! Ty uciekasz, ja cię osłaniam moim ostrzem.

Wywinął kilka razy szablą, żeby nikt nie miał wątpliwości: tu stanęła do walki mocna drużyna, Kalikst Duży i Kalikst Mały.

Później jednak przyszło mu na myśl co innego.

– Ty, kikut! A jakby tak... Wiesz, co mam na myśli?

Sobowtór musiał zrozumieć, bo ze zdwojoną energią zaczął pełznąć w stronę wyjścia. Odpychał się zdrowym ramieniem, podpierając okaleczone ciało o broczące mętnym winem – nie, krwią! – kikuty.

Wystarczyło jednak, że Belzebub odrąbał mu ostatnią zdrową kończynę, a padł bez słowa zemdlony.

– Słaby jesteś, kadłubek. Myślałem, że stać cię na więcej. Ale nie bój! Nie pozwolę ci tak nędznie umrzeć!

Znów pochwycił pochodnię, by przypalić rany. Powstrzymał krwotok i zadowolony otarł ostrze o twarz bliźniaka.

Andronik obserwował to skryty w cieniu niewielkiej galeryjki pod sklepieniem jaskini. Z niezadowolaniem kręcił głową.

– Zaiste, panie. Raczysz nas nie lada widowiskiem. Raz za razem, na brak igrzysk nie możemy narzekać. Jednak powiedz, czy te popisy stanowią wystarczającą gwarancję, że nasz dzielny złodziejasek z Konstantynopola jest już tym najważniejszym ogniwem naszego planu? Prawdę mówiąc, gdybym się nie brzydził mazaniem we krwi, też ręka by mi nie zdrząła przed zadaniem takich cięć. To podstawowa szkoła każdego żołnierza...

Czarny Mnich nie od razu odpowiedział. Złożył ramiona, kryjąc je pod szerokimi połami habitu, i dopiero gdy Dukas zaczął kręcić się nieswojo, odpowiedział:

– Tak i nie. Dla mnie to już wystarczające świadectwo. Nie to, żeby mnie oczarowały popisy naszego Kaliksta, bo na tej podstawie nie snuję żadnych wniosków. Ja to po prostu wiem. Wiem, że jest gotów. Wiem, bo znam jego duszę, a poznałem ją przez ostatnie dni na wskroś, zapewniam cię. Wiem, co mu dałem, a co odebrałem. Ale rozumiem, że ty nie masz aż tak daleko idącego przekonania. Więc by cię uspokoić: to nie wszystko. Poddamy go jeszcze innej próbie. Ale to później. Teraz patrzaj!

Kalikst właśnie odrzucił pochodnię i pochwyił kadłubka za włosy.

– Śpi chyba, bo oczy ma zamknięte – mruknął po chwili, przyjrzawszy się twarzy sobowtóra.

Wziął szeroki zamach i trzema silnymi cięciami oddzielił jego głowę od reszty ciała.

* * *

Andronik z trudem krył rozczarowanie. Człowiek, który wedle słów i zamiarów Czarnego Mnicha miał pozbawić życia uzurpatora Diogenesa, wyglądał jak zwykły obwieś. Kmiot z plebsu, miejska łajza niewarta ani złamanego *folii*. Niech będzie – potrafi wywijać szablą, a jego bezmyślne okrucieństwo wobec swojego bliźniaka czy sobowtóra, czy kto to tam był, pozwalało na chwil kilka zażyć pewnej rozrywki. Jednak Cezarea, a także w dawnych czasach Konstantynopol potrafiły dostarczyć bardziej uciesznych zabaw, toteż przedstawienie zorganizowane przez zakonnika szybko znudziło Dukasa. W końcu cóż to za atrakcja, że brat bratu odcina członki i na końcu łeb?

On, Andronik, spodziewał się kogoś czy czegoś... bardziej morderczego. Takiego, które rozszarpie uzurpatora na strzępy, unikając cesarskiej straży i jego tajemnych pomocników z piekieł. Bo ilu już było tych nieudaczników wabionych sowitym zarobkiem? Przedstawiali się jako mistrzowie fachu skrytobójców, a kończyli...

Czarny Mnich musiał wyczuć coś w spojrzeniu Dukasa. Stanowczym gestem nakazał, by za nim iść.

– Pierwej miałem inny zamysł – powiedział, gdy zeszli z galeryjki na środek sali. – Hodowałem dla twego pana najstraszliwsze bydlę, jakie widział ten świat. Demona, jakiego

nigdy tu jeszcze nie było. Tu, na tym świecie. Okrutnego, pozbawionego strachu, krzty jakiegokolwiek wahania. Po prostu idzie do przodu i niszczy wszystko tak długo, aż dopnie swego lub jego zniszczą. No i ma do tego pewną szczególną cechę... którą też chcę przekazać naszemu Kalikstowi...

Brat przyszłego cesarza wzruszył ramionami. Klecha tylko bajdurzył, a on nie mógł przecież wrócić z niczym do Michała.

Nagle poczuł na karku mokre dotknięcie. Owionął go smród gnijących ryb. Zadrzał z obrzydzenia. Odwrócił się, odruchowo sięgając do rękojeści miecza. Nic, nikogo. Nic nie było.

– Co to...? – zapytał jednak.

Wtedy znowuż coś ohydnych liznęło go w kark i wionęło zgniłym oddechem. Andronik aż się zakrztusił. Żołądek podszedł mu do gardła, w oczach załśniły pochodnie. Splunął i odzyskawszy siły, skoczył w bok, wyszarpując miecz.

– Co to jest, mnichu?! Cóż za igraszki sobie tu urządzasz?

Zakonnik tylko zadrzał w cichym śmiechu.

Przed twarzą Dukasa zmaterializował się pysk. Pysk szczyrzył poźółkłe, ociekające śliną kły i dyszał, wydychając z gardzieli oddech śmierdzący śniętą rybą. Morda bestii, pozbawiona ślepi i nosa, miała wielkość arbuza. Ohydny łeb tkwił na długiej szyi, z której u samej nasady wyrastała druga, cienka i zakończona łebkiem wielkości pięści. Z niego spoglądały na Andronika bystre, można rzec – ludzkie oczy. Płaskie nozdrza ruszały się w rytm szybkiego oddechu. Tylko ust główka nie miała, pewnie w imię sprawiedliwości, skoro większy łeb bestii niemal w całości był jedną wielką paszczą.

Obydwie szyje, a wraz z nimi łby, wyrastały z niezgrabnego, jakby toporem ciosanego ciała o ludzkich kształtach i rozmiarach. Ramiona zakończone długimi, rozcapierzonymi paluchami zwisały bezwładnie. Łopatomate pazury oblepiały resztki gnijącego mięsa, krwi i błota. Cała ta istota pokryta była czerwoną skórą, kostropatą i jakby poparzoną. Z pękniętych bąbli sączyła się żółtawa ropa.

Dukas krzyknął z odrazą i potknąwszy się o własne nogi, runął w tył. Potwór wychynął z nicości jak miraż, senna mara, jednak jego ciepły, smrodliwy oddech nie mógł być ułudą.

Na Symeonie bestia też zrobiła wrażenie. Szpieg skamieniał z ustami rozwartymi ze zdziwienia. Złe Oko niejedno w życiu widział, a żaden smród na tym świecie nie przeszkadzał mu nigdy w spokojnej kontemplacji spyży. Nie teraz jednak: w ustach czuł suchość i patrzył przerażony na czerwonego, cuchnącego demona przed sobą.

Tylko Kalikst nie zwracał na nic uwagi. Stał z boku, bez emocji przyglądając się, jak zakonnicy-truposze wynoszą z sali szczątki jego sobowtóra.

– I jak? – przerwał ciszę Czarny Mnich. – To jest mój morderca doskonały. Zwie się Purrhos od koloru skóry, choć prawdę mówiąc, bardziej określa go rybi smród czy te guzy na ciele, ale niech tam... Niech będzie Purrhos. Nie ma w nim ludzkiej duszy, jego lwie pazury

rozedrą wszystko, co żywe, kły rozszarpią skórę, mięso, drewno, a nawet metal. No i jeszcze jedno, jego bratem jest noc okrywająca go skrzydłem mroku, tak że człek prędzej go poczuje, niż zobaczy, he, he... To miał być właśnie sługa przygotowany dla twojego brata, Androniku. Takiego zabójcy nic nie powstrzyma. Demon Satanaela stworzony przeze mnie dzięki mocy, jaką obdarzył mnie Pan nasz.

Zdrętwiały ze strachu Dukas cofnął się, pełzając do ściany komnaty. Tam niepewnie wstał przytulony do kamienia.

– To naprawdę wybitnie uzdolniona bestia! – mówił dalej zakonnik. – Potrafi zadawać śmierć na bez mała sto sposobów, nie potrzebuje snu, a jedyne, czego mu trza, to jedło. Lubuje się w płodach wrywanych z brzuchów ciężarnych matek. Dla tego przysmaku może zrobić wszystko, on daje mu też moc i siłę, która pozwala kryć się poza zasięgiem widzialności. Jednak na tym pustkowiu trudno o ciężarne. Dałem mu w ostatnich dniach dwie brzuchate wieśniaczki. Zjadł, co miał zjeść, jednak na tym koniec. Teraz jest więc na diecie, co znaczy, że żywi się człeczymi wątrobami wypruwanymi z żywego ciała. Tylko to może jeść. Płody i żywe jeszcze wątroby. Niczym innym się nie zadowoli, więc za kawałkiem swojego przysmaku będzie szedł chociażby do Kitaju.

Gęba demona oblizwała wargi, a mały łebek zakręcił się i wbił wzrok w Andronika. Z czerwonych oczu bestii wyzierał głód.

– To jednak, co miało być dla niego źródłem siły, jest też przekleństwem. Taaak, nie będę ukrywał. To jedno z moich najlepszych dzieł, ale wciąż wiele mu brakuje do ideału. Jest nieposłuszny. Nie słucha się, gdy głód szarpie mu trzewia. Nie sposób nad nim tak do końca panować. Nie jest więc zbyt użyteczny dla waszych celów, a i ja bym go zabił za niesubordynację, tylko... No cóż, przywykłem do niego i jest dla mnie jak dziecię.

Symeon Złe Oko odzyskał panowanie nad ciałem. Chrząknął z obrzydzeniem i usunął się w kąt sali. Andronik wciąż tkwił z potylicą opartą o ścianę. Milczał.

– Robi wrażenie, jednak to Kalikst jest moim największym dziełem. Człowiek o duszy demona. Człowiek, zdolny złodziej i zabójca, a do tego pozbawiony ludzkich słabostek. Bo obżarstwo i lenistwo to ludzkie słabostki, nawet jeżeli tkwią w demonie. Dlatego też właśnie Kalikst Belzebub zrobi dla was to, czego chcecie. Ten niepozorny łachmyta, złodziej z Konstantynopola. Czarny Mnich podszedł powolnym krokiem do swojego nowego ulubieńca i wyciągnął przed nim dłoń. Chwilę stał tak, mruczając coś, nagle odwrócił się i rzekł do Andronika:

– Dałem mu jeszcze jedno, czego nie ma żaden z ludzi. To, co jest też siłą czerwonej bestii o zapachu gnijącej ryby. Skrzydła nocy. Tylko pełne słońce może go odkryć. Jeśli będzie chciał, zniknie w cieniu, półcieniu, mroku, szarówce, okryty... Słowem, wystarczy tylko trochę ciemności, by stał się niedostrzegalny dla ludzkiego wzroku, choć zawsze będą widziały go zwierzęta.

– Nie zobaczy go człek? Będzie w zupełności... Jak to powiedzieć... Niewidzialny?

– Tylko w nocy, mroku, szarówce... Nawet w południe, ale w cieniu. Wtedy nie będzie mógł z niego wyjść. Noc jest jego sprzymierzeńcem i pozwoli mu niepostrzeżenie zbliżyć się do uzurpatora. Nic go nie powstrzyma. Ponieważ jednak widzę, panie, nie kryjesz rozczarowania obrotem sprawy, mam dla ciebie dobre wieści. Dostaniesz ich obu. Jednak to Kalikst zabije uzurpatora, czym pozwoli powrócić na tron twemu bratu. A potem wróci do mnie, by przynieść zapłatę.

– Krew Diogenesa? Jakie nieczne plany masz na myśli? – wyrwało się Dukasowi.

– Ha, ha, jakie słowo: *nieczne!* Nie pasuje do twoich ust, mój drogi przyjacielu-spiskowcu. Moje plany nie mają żadnego związku z twoimi, więc nie musisz tego dociekać. W każdym razie, jak rzekłem, dostaniesz ich obu. Belzebub zabije, zaś Purrhos będzie dbał o to, by nikt mu nie przeszkodził w tym dziele. Pilnował go, jakby coś miało pójść nie tak. Tak jak dobry pies pilnuje swego pana.

Andronikowi wreszcie udało się oderwać od ściany. Na chwiejnych nogach, omijając z dala czerwonego demona, podszedł do Kaliksta.

– Wiesz, co masz robić? Wiesz, kogo masz zabić?

Belzebub wyrecytował:

– Tak, panie. Za siedem dni mam stawić się w Cezarei jako ochotnik do cesarskiego wojska podczas wyprawy do Syrii. To pozwoli mi podejść do uzurpatora Diogenesa, który przybrał bezprawnie tytuł *basileusa* Romana IV. Gdy już się zbliżę do niego, mam zatopić w jego sercu puginał. Jest to specjalny nóż: wewnątrz ostrza ma kanalik połączony ze zbiorniczkiem w rękojeści. Gdy wbiję puginał w serce Diogenesa i przytrzymam przez pół pacierza, krew zostanie wessana do środka, a kiedy zbiorniczek się wypełni, zmyślnie umieszczona zapadka zamknie odpływ, żeby krew nie uciekła i powietrze jej nie zepsuło. Jak to nastąpi, mam ostrze schować do pochwy i nie zwlekając ani chwili, wrócić tutaj.

Czarny Mnich zaśmiał się cicho.

– A widzisz...? Wie, co ma zrobić, wie też jak. Do Cezarei stąd najbliżej, a tam właśnie *basileus* Diogenes zarządził pobór ochotników z całej Kapadocji i Anatolii. Tam ciągną wszelkie męty, złodzieje i mordercy liczący, że zaciągając się, oddalą od siebie dawne wyroki. Tam też prowadzą szlaki najemników, którzy za garść solidów mogą służyć każdemu panu. Tam też pojedzie Kailkst. Żeby iść w zaciąg jak inni. Na ochotnika, bo to w tej chwili jedyna okazja, by dostać się w pobliże uzurpatora. Wojna idzie, Diogenes wyruszy na czele wielkiej armii najemników na Syrię. Kalikst zaś bez wątplenia znajdzie okazję, by dokonać naszego wielkiego dzieła. Potrafi walczyć, a do tego będzie miał Purrhosa do towarzystwa.

Zakonnik zamilkł na chwilę. Zaraz jednak powrócił do przerwanej wataki.

– Musisz jednak wiedzieć, że nasz skrytobójca doskonały nie jest jeszcze do końca gotowy... Tym samym, znaczy się, nie osiągnął jeszcze doskonałości...

Andronik Dukas rzucił pytające spojrzenie, ale Czarny Mnich bez słowa skierował się ku wyjściu z komnaty. Zachęceni gestem ruszyli za nim.

Tylko Purrhos został.

* * *

Po kilku klepsydrach wspinaczki krętymi, spiralnie ułożonymi schodkami Andronik zatracił już poczucie kierunku. Szedł owiewany stęchłym zapachem ciągnącym z wąskiego korytarza, nie tracąc z oczu habitu Czarnego Mnicha. Tuż za nim cicho stąpał Symeon Złe Oko, zaś pochód zamykał Kalikst szepczący coś niezrozumiale.

Nagle stanęli przed litą skałą. Zakonnik podszedł do niej, przykładając obie ręce do powierzchni kamienia, i po chwili ściana przesunęła się, ukazując wewnątrz oświetlone kilkoma dogasającymi pochodniami.

Weszli do środka. Mnich rozpałił świeże zagwie, od razu przejaśniało.

– Znowuż... – posłyszeli z przeciwległego końca jakiś słaby głos. – Znowuż będziesz mnie dręczył zjawą...?

W kącie sali na krzyżu z grubych bali wisiała młoda niewiasta. Była naga i pokrwawiona, zardzewiałe łańcuchy ściśle oplatały jej ramiona i uda, utrzymując ją w nienaturalnej pozycji na drewnianych drągach. Strupy i zaschnięte ślady czerwieni nie odebrały jej urody, spod czarnych, posklejanych brudem włosów wyzierała miła twarz.

Byłaby niezłą nałożnicą – pomyślał Symeon, patrząc na jej kształtne piersi. – *Czyżby stary cap w habicie sobie tutaj używał, gdy mu się ckni?*

– Kalikst... – odezwała się znów dziewczyna. – To ty czy kolejna ułuda? Nie... Znowu mnie mamisz! Znowu mnie dręczysz, przekłety demonie! Przyjdzie jeszcze czas, że bekniesz za swoje podłości. Kalikst dorwie cię i wydrze ci twoje czarne serce z piersi. A twój łeb zatknie na palu, jak tyś zatknął tamtych nieszczęśników.

Mnich syknął gniewnie:

– Zamknij się!

To jednak nic nie dało. Krzyczała dalej:

– Kalikst, ten prawdziwy, a nie jakaś ułuda, dorwie cię! Dorwie, choćbyś się najgłębiej schował w tej swojej norze, i wypruje ci flaki, a później rzuci krukowi na rozwłóczenie! Łeb ci utnie i zatknie...

– I w kółko to samo... – rzekł zakonnik i odwrócił się do swoich gości. – Oto Zoe. Piękna Zoe, największa miłość Kaliksta, choć nie do końca uświadomiona. Przyjechała tu w ślad za swoim ukochanym, przez cały kraj z Konstantynopola, sama jedna, nie bacząc na niebezpieczeństwa i pewną śmierć. Tylko po to, by dotrzymać mu towarzystwa. Oto prawdziwa wierność... To jest prawdziwa miłość.

Słyszając te słowa, zamilkła i uniosła się na łańcuchach. Zardzewiałe ogniwa darły jej miękką skórę.

– Kalikst? To ty? Ty jesteś czy miraż, znowu ułuda tego demona w czarnym habicie?

– To ja jestem, Zoe – odburknął zniecierpliwionym głosem. – No ja, Kalikst Belzebub. A któżby inny?

– Nie wierzę. – Dziewczyna pokręciła głową. – On mnie dręczył. Torturował. Pokazywał mi ciebie, ale to nie byłeś ty. To coś wyglądało jak ty, ale nie było tobą. Nic nie mówiło i on to zabijał. To znaczy jego trupi słudzy. Rozszarpywali go żywcem. A on nawet nie jęknął! Ale ty mówisz!

– No mówię, Zoe. Co mam nie mówić? Przecież to ja.

– Nie wierzę! To kolejne oszukaństwo!

– No co ty, dziewczyno?! Przeca to ja. Kalikst Belzebub, złodziej z Konstantynopola.

– To jeszcze jeden sposób, by mnie torturować! Jesteś tym samym mirażem, tylko teraz nauczyli cię mówić!

Kalikst podszedł do krzyża.

– No i gadaj tu z taką! Jak mam cię przekonać?

– Powiedz... – Zakrztusiła się, plując różową śliną. – Powiedz mi, co robiliśmy w ostatni wieczór. Nim wyjechałeś z miasta.

– Noo, nie pamiętam...

– Wiedziałam! Bo skąd masz pamiętać?! Precz, demonie!

– Nie w tym rzecz, że nie pomnę. No, piliśmy ogólnie. Z Nicetasem. Byliśmy w naszych ulubionych tawernach, jak zawsze, kiedy mamy solidy. A ty machałaś nożem wokół jaj jakiegoś takiego kurdupla z bliznami na gębie. A później... No już nie pamiętam, co było.

Zoe spojrzała na niego z nadzieją.

– No... Może to i ty. A może ten przekłety demon w habicie nauczył cię, co masz mówić. Wydobył z prawdziwego Kaliksta podstępem albo torturami wszystko... Straciła dech i zatrzęsa się od kaszlu. Łańcuchy opinające jej ciało zabrzęczały mściwie. – ...wszystko o nas – ciągnęła z wysiłkiem. – Żeby się nade mną dalej znęcać. Odejdź!

Belzebub wzruszył ramionami.

– Nie, nic ze mnie nie wydobywał. Co chcesz jeszcze wiedzieć? Jak ci mam udowodnić, że ja to ja?

– Ha, ha... Taki jesteś pewny siebie? To zadam ci inne pytanie. Lepsze. Takie, na jakie może znać odpowiedź tylko prawdziwy Kalikst. Nie, nic o nas. Na pewno nie zapytam, jak się poznaliśmy, bo on z ciebie już to wyciągnął. Więc powiedz, jaki tatuaż ma Nicetas?

– Gruby? To proste. Węża. Na plecach i na łbie.

– Masz rację... To za proste. Tego też mógł cię nauczyć. – Z jej ust pociekła następna strużka różowej śliny.

– Dość już tego! Odetnij ją! – zakomenderował Czarny Mnich. – To znaczy odetnij jej łańcuchy, jej nie tnij.

Zardzewiałe ogniwa nie puściły tak łatwo. Kalikst musiał sieknąć kilka razy, nim pękły. Zoe zaczęła się szamotać, ale stalowe warkocze oplatały ją zbyt gęsto, by mogła je z siebie

zrzucić.

– Dalej, tnij!

Ale Belzebub nie od razu posłuchał. Dłuższą chwilę z podziwem patrzył na ostrze. Ani śladu! Najmniejszego wyszczerbienia. To była doskonała broń, teraz zrozumiał to w pełni.

Wziął zamach i zadał serię ciosów w grube ramiona krzyża. Wreszcie łańcuchy zaczęły puszczać, zgrzytając cicho. Zoe szarpnęła się z wyraźnym cierpieniem, ale też i ulgą. Uwolniła jedną rękę, drugą i zaciskając zęby, nie bacząc na ból rozjątrzanych ran, odplątywała metalowe zwoje coraz bliższa wolności.

– Pomóż mi – wystękała. – Jak to odwinę, to spadnę, więc mnie przytrzymaj! No, złap mnie po prostu!

Zbliżył się do krzyża i pociągnął za zwisający łańcuch. Zoe spadła jak dojrzały owoc z potrząśniętej jabłonki. Prosto w jego ramiona.

– To ty... – wyszeptwała. – Teraz wiem, że to ty. Prawdziwy. Kochany...

– Przecież mówiłem. To ja jestem.

– Dość tych gruchań – rozkazał nagle Czarny Mnich. – Zabij ją!

Dziewczyna skoczyła w tył, wyzwalając się z uścisku. Krzyknęła z przerażeniem.

– Co? Co on powiedział?

Cofnęła się trzy kroki, za krzyż. Dopiero teraz poczuła, że jest naga, słaba i bezbronna.

– Nuże! Zabij ją! Nie zwlekaj, bo goście radzi obejrzeć widowisko – poganiał Kaliksta Czarny Mnich, po czym powiedział do Andronika: – Jak widzisz, panie, mamy tu przykład bezgranicznej, ślepej miłości. Ale miłość to uczucie przegranych, miłość to słabość człowieka, a więc trzeba się jej wyzbyć, by osiągnąć swój cel. Miłość jest ślepa, więc ten, co ją odczuwa, również jest ślepcem. Nasz urodzony zabójca nie może czuć miłości. Jak się jej ostatecznie wyzbędzie, będzie gotów... Nuże, no zadaj jej cios i zakończ to przedstawienie!

Belzebub patrzył na nagie piersi Zoe, na jej zgrabne uda, na jej łono okolone lekkim puszkiem... Przyszło mu coś na myśl.

– Nie...

Upiorny zakonnik zamarł. Chwilę stał w milczeniu, patrząc na Kaliksta jednocześnie złamany i wściekły. Pomyślałbyś, że za chwilę spod ciemnego kaptura jak z najdalszych, najzimniejszych otchłani piekieł, gdzie jęczą potępione dusze, buchnie dym i odór siarki.

– Nie?! – ryknął z metalicznym pogłosem. – Sprzeciwiasz się?

– Nie... Chciałem rzec, że nie warto. Nie warto odrzucać takiego słodkiego owocu. Jest świeży. Apetyczny. Pachnie... No, pachnie strachem, ale taki zapach mi teraz najmiłszy... Nie lubię owoców tak za bardzo. Ale ten... Zawsze chciałem poznać jego słodycz.

Czarny Mnich uspokoił się. Sługa był posłuszny, tylko chciał troszkę poswawolić. Nic wielkiego, jednak jako pan musiał udzielić mu reprimendy.

– Do mnie nie mów *nie*. Tego słowa nie używaj, gdy wydaję ci rozkaz.

– Wybacz, panie.

– Dobrze. Zezwalam. Czyń, co chcesz, byle szybko.

– Kalikst? – jęknęła Zoe. – Co ty robisz?

Nie odpowiedział. Z uśmiechem podszedł do krzyża. Dziewczyna cofnęła się jeszcze dwa kroki, ale dalej była już tylko lita ściana.

Belzebub powolnym ruchem wy dobył szablę z pochwy. Jednym skokiem dopadł przerażonej Zoe.

– Tyle razy miałem na to chęć... Tyle było ku temu okazji, ale jakoś... Jakoś nigdy się nie udawało. Chyba... Bo nic nie pamiętałem nad ranem. Ale ty ze mną igrałaś! Ty wiedziałaś, że ja nie wiem, ale chcę wiedzieć! I wiedziałaś, że czekam, aż powiesz... No, zresztą nieważne! Teraz wezmę to, czego chciałem, i nie będzie już wątpliwości.

– Kalikst! O czym ty mówisz? Nic nie rozumiem! Kiedy igrałam? Ja cię...

Złapał ją za szyję, nie pozwalając dalej mówić.

– Milcz! Nie chcę tego słyszeć! Nie chcę słyszeć twoich tłumaczeń ani tych słów... Trujących słów, które mają mnie osłabić!

Szum, szepty, śmiechy, głosy znów ozwały się w jego głowie. Wspomnienia. Nie! Nie chciał ich. Wychodziły z zakamarków duszy. Odstąpił od Zoe i rzucił szablę: zabrzęczała o kamienie. Złapał się za głowę, naciskając skronie. Szum podsunął mu obrazy.

To było po tym, jak gildia obrobiła statek kupców w Chalcedonie. Po tym, jak dla nich nie zostało nic, tylko kreteńska retsina. Pili ją przytuleni. Bez słów, to znaczy bez TYCH słów, chociaż dziewczyna, już kompletnie upojona, chciała je wypowiedzieć. *Kalikst, ja cię...* Wtedy nie dał jej dokończyć pijany tak, że nie był w stanie pojąć wagi tego wyznania. Obrócił wszystko w śmiech, strącając wypełnioną jeszcze co najmniej do połowy beczułkę w skały. *Zoe, nie mamy już wina!* – zawołał wtedy. – *Wiem, ty mnie chcesz za to zabić, ha, ha! Nie zabijaj, moja słodka, nie zabijaj, proszę! Znajdzie się wino. Obiecuję.* Potem pomógł jej zejść po kamieniach, chociaż wcale tego nie potrzebowała. Trzymał ją za rękę, słuchając, jak szepcze: *Kalikst, ja cię kocham.* Jednak mówiła to tak cicho, że mógł udawać, że tego nie słyszy. A teraz nie chciał słyszeć, tego był pewien.

– Milcz, dziewczyno! Milcz, nie truj mnie swoimi słowami!

Pochwycił szablę i przyłożył sobie chłodny metal do czoła. Patrzył na Zoe wzrokiem diabła z ostatnich kręgów piekieł.

– Kalikst, kochany... Zabierz mnie stąd! Zabierz mnie stąd jak najdalej. Do Konstantynopola, nad brzeg Złotego Rogu. Pójdziemy do portu patrzeć na statki, a później do tawerny Epifaniasza.

– Dość! – krzyknął i uniósł ostrze.

– Kal... – zaczęła Zoe, ale klinga Belzebuba weszła głęboko, aż po jelec, w środek brzucha dziewczyny. Z rany jęła sączyć się krew.

Szarpnął ją za włosy. Odwrócił w stronę krzyża i unosząc lekko, wbił koniec szabli w drewno. Zoe zawyla rozdzierająco, jednak zaraz umilkła. Z ust pociekła jej spieniona

czerwień.

– Dlhaczego?... – wycharczała. – Khoch... Khochałam cię... Dlhaczego mnie zabijasz...?

Teraz miał ją na odpowiedniej wysokości. Bezwolną i bezbronną. Oddaną. Jednak nie czuł radości. Ogarnęła go rezygnacja i obojętność, a w sercu rosła dziura. Pustka, która wysysa wszelkie uczucia i sprawia, że człek jest jako kamień, zimny i obojętny. Patrzył w zalane łzami oczy dziewczyny, w jej plujące krwią usta, kształtną pierś z trudem łapiącą powietrze. Kim była teraz dla niego? Kim była dla niego wcześniej? I co do niej czuł? Nic, teraz miał w sobie tylko ssącą pustkę.

– Kalikst, dlhaczego... – jęczała spazmatycznie Zoe.

Belzebub powstrzymał ssanie w sercu.

– Chcesz wiedzieć dlaczego? Bo wysysasz ze mnie siłę. Bo trujesz mnie tymi słowami. Bo mnie zawsze osłabiałas, igrając ze mną. Wystawiając na pośmiewisko! A ja się nie dam osłabić! Ani dłużej upokarzać!

– Tho... Then przheklęty mhnich... On cię ophętał...

– Zamknij się! – krzyknął.

Puścił szablę i rozpiął portki.

– Bądź moją kochanką! Po raz ostatni – wyszeptał i wbił się w dziewczynę, jakby i tam, w spodniach, nosił drugą szablę. Poruszył nią kilka razy, wybijając spomiędzy białych zębów Zoe krwawe banieczki. Jęk przeszedł w charkot, później już tylko dusiła się od krwi.

– Nie... chciałaś... mi... dać... – sapał Kalikst. – To teraz... sobie wziąłem.

Gdy skończył, już straciła przytomność. Zalana krwią wisiała ze zwieszoną głową i bezwładnie opuszczonymi członkami.

– Jeszcze dycha... – mruknął Belzebub i wyszarpnął szablę z krzyża. Zoe runęła na ziemię bezwładna niczym szmaciana lalka.

Oparł stopę na jej szyi. Szybkim ruchem złamał dziewczynie kark. Krew z klingi otarł o włosy kochanki.

* * *

– Zabić ich wszystkich! Co do jednego! I nie będzie problemu.

Jan Italos cofnął się zdziwiony.

– Zabić? Wyrznąć ich?

Chwilę stał zadumany, szarpiąc brodę.

– W istocie, to by było dobre rozwiązanie. Godne autokratora, prawdziwego władcy wielkiego imperium.

– Tak – zgodził się miło polectany *basileus* Diogenes. – Zatem niezwłocznie wydaj rozkazy logotetom. Niech uwiężą tych tam obwiesiów i stracą za zdradę cesarstwa. Czy

cokolwiek innego. Wymyśl coś. Jakiś spisek... Zdradę. Cokolwiek.

Konsul Filozofów popatrzył wokół, czy za kolumnami pałacu nie kryją się szpiedzy. Nie było to możliwe – odkąd Roman IV Diogenes ogłosił przystąpienie do wojny przeciwko Seldżukom, straż pałacowa podwoiła patrole. Nie przemknąłby nikt. Jednak Italos nigdy nie był pewien – sam przecie wiedział, jak ominąć odzianych w białe uniformy żołdaków.

– Panie – przemówił – odradzam pośpiech. Może wydawać się to dziwne, ale faktem jest, że do Cezarei przybyły setki najemników... Tysiące. Do zaciągu zgłosiło swój akces blisko dwa tysiące ludzi. Niebывała to rzecz, bo nigdy wojaczka w imię cesarstwa nie wzbudzała wśród naszego ludu aż tak wielkiego zainteresowania. Spora część tej masy to zwykłe szumowiny, które niejedno mają na sumieniu. Złodziejaszki, mordercy, gwałciciele... Fama poszła, że za udział w wojnie odpuszczone zostaną ich grzechy i cofnięte wyroki. Uwierzyli w to, no i tłumnie zwalili się kupą. Ale są też wśród nich wolni najemnicy, nie zawsze pochodzący z rynsztoka. Tak czy inaczej, zgładzenia takiej ciżby ludzkiej nie da się zatuszować – wieść pójdzie w lud. Naród będzie sarkać, że pan ich, *basileus* Roman IV Diogenes, oszalał, każe mordować swoje własne wojska, i to tuż w przededniu wojny. Nie tylko nikt się więcej nie zgłosi. Będą unikać najmu, dezertować nawet, szepcząc po tawernach najgorsze słowa przeciw swemu władcy.

– Dobrze już, dobrze – przerwał tę przemowę cesarz. – Wiem, w czym problem. Skoro ich aż tylu... W takim razie musisz rzec, który to. Który chce mnie zabić. I kto jest jego zleceńodawcą.

Italos rozłożył bezładnie ręce.

– Niestety, panie. Jak mówiłem, wizja, która przyszła z czerwonego ognia, była niejasna. Owszem, słyszałem słowa: *Za siedem dni mam stawić się w Cezarei jako ochotnik do cesarskiego wojska podczas wyprawy do Syrii. To pozwoli mi podejść do uzurpatora Diogenesa, który przybrał bezprawnie tytuł basileusa Romana IV. Gdy już się zbliżę do niego, mam zatopić w jego sercu pugińal.* Słyszałem te słowa, jakby je mówił ktoś tuż obok, jednak twarzy nie widziałem. Głos bym poznał, ale nie każ mi, panie, rozmawiać ze wszystkimi najemnikami. Dość, że wina się napije, od karczemnych piosenek gardło zedrze, i już będzie inaczej gadał. To bez celu. Również nie widziałem jego pana, który wydał zlecenie. To było jakieś ciemne pomieszczenie, brudne, zapaćkane krwią. Mroczna postać w kapturze i paru innych ludzi, jednak widziałem ich jako zamazane kształty. I powiem ci, panie, to nie było przyjemne doznanie...

Mędrzec otarł pot z czoła. Cofnął się odruchowo, opierając potylicę o zimną kolumnę.

– Coś mnie dusiło. Ta czarna postać w kapturze... Jakby widziała, że ją widzę. Wyraźnie słyszałem głos, a może mi się zdawało, nie! nie mogło mi się zdawać, to było naprawdę. Słyszałem głos: *I ty też umrzesz.* Tylko to jedno zdanie, ponure memento powtarzane bez końca, aż padłem bez tchu na ziemię. Nie! Nie wiem, kto to był, nie wiem, kim jest morderca, nie wiem, kto zlecił mu to plugawe zadanie! Nie wiem tego, panie!

Jan Italos trząsł się jak w febrze. Cesarz sapnął gniewnie:

– Co zatem? Co, mam czekać, aż przyjdzie skrytobójca i dokładnie wedle twoich wizji wbije mi puginał w serce? Aż przyjdzie, by mnie zabić i wysać ze mnie krew? Krew? Po co? Dlaczego? Po co komu moja krew, jeżeli będę martwy? I dlaczego nie potrafisz tego powstrzymać, Italosie?

– Nie wiem, panie! To znaczy nie wiem, po co ktokolwiek potrzebuje twojej krwi. I twojej śmierci. Przyznam, że to dla mnie nie lada zagadka i dobry temat do badań i rozmyślań na najbliższe dni. Jednak co do tego skrytobójcy... Myślę, że rozwiązanie jest proste. Nie trać wszystkich najemników z Cezarei. To byłoby niepotrzebne marnowanie ludzi. Lepiej posłać ich na Antiochię. Niech oblegają ją tak długo, aż polegną. Do śmierci.

– Tak. Dobrze mi radzisz, Italosie. A jak zdobędą miasto i przeżyją, to skieruję ich do następnych działań. Do tego, by zdobyli kolejne miasto. Ma'arrat. Laodyceę. Utworzę z nich doborowy oddział straceńców, którzy nigdy nie zazną spokoju, dopóki nie polegną. To korzyść wojenna i dobre rozwiązanie tego węzła gordyjskiego.

Filozof przytaknął.

– Toż właśnie to miałem na myśli.

Panie, ty nie potrzebujesz doradcy, bo władasz myślą nie gorzej niż mieczem – chciał jeszcze powiedzieć, ale w porę ugryzł się w język. Jego pochlebstwo z nutką drobnej ironii mogło być przez cesarza zrozumiane nazbyt dosłownie. A nuż *basileus* chciałby wycofać Italosa do drugiej linii lub też całkowicie się go pozbyć?

– Widzę, panie, że się doskonale uzupełniamy – rzekł więc chętnie mędrzec. – Moja wiedza idzie w parze z twoją przenikliwością i doświadczeniem. Doborowy oddział straceńców! To piękny pomysł. Oczywiście, będzie to wymagało jeszcze jednego posunięcia: postępujące za zdobywcami Antiochii wojska, które powiedzisz do boju ty, panie, będą musiały wstrzymać się tak długo, aż tamci oddadzą ducha. Lub też aż pójdą w przód na bezpieczną odległość.

Zniecierpliwiony władca machnął dłonią.

– Italosie, niebezpiecznie balansujesz między pochlebstwami a kpina. Nie musisz mi tłumaczyć rzeczy oczywistych. Za to lepiej powiedz, ile czasu potrzeba ci, by przekonać się, kim jest skrytobójca. Niepodobna przecie, żebym całe życie pchał do boju ochotników z Cezarei tylko dlatego, że jeden chce mnie zabić. Pchał ich na kraj świata, do Syrii, Palestyny, Egiptu, Persji... I co dalej? Będziemy iść bez końca – oni na przedzie, ja za nimi – łupiąc i paląc cały znany nam świat tylko dlatego, że wśród tysiąca straceńców jest jeden morderca... No, oczywiście – dodał cesarz, widząc, że filozof otwiera usta, by zaprotestować – to wręcz nieprawdopodobne, by się ostali tak długo. To jeno rozważania czysto teoretyczne, by ukazać ci pułapkę, w którą sami wchodzimy. Od ciebie, Italosie, oczekuję zatem jednego: masz mi jasno powiedzieć, kto jest zabójcą. Masz się tego dowiedzieć niezwłocznie. Mimo wszelkich pokus nie palę się, by iść zbrojnie na stopy mongolskie czy do państwa chińskiego

tylko dlatego, że mój doradca nie wie, co robi.

Ten nagle zmalął, jakby ktoś przyłożył mu kijem w grzbiet.

– Nie, nie, nie... Panie, tak nie będzie! Na razie, jak mówię, nie wiem, kto zacz. Ale wiem, gdzie szukać! Myślę, że skrytobójca szybko się wyda swoimi czynami... To znaczy, mam na myśli – czynami, które planuje. Które zaistnieją w jego myślach. I w rozgałęzieniach przyszłości, które ja ujrę.

* * *

Jastrząb gwałtownie zatrzepotał skrzydłami.

– Spokój! Siadaj spokojnie. – Czarny Mnich wyciągnął ramię osłonięte skórzanym rękawem. – Tutaj.

Ptak z ociąganiem wzbił się w powietrze, zatoczył koło pod sufitem i osiadł na ręce zakonnika. Ten przytaknął z zadowoleniem.

– Znamienne jest, że to skrzydlate stworzenie żyje z drapieżności. Zwłaszcza gołębie sobie ulubiło. Potrafi je chwycić w powietrzu, podczas lotu, jak i spadać na siedzące na gałęzi. Nie gardzi też innym ptactwem. Gdy nie ma ptactwa, uśmierci też zająca lub wiewiórkę. Na tym jego jadłospis się kończy. Nie zje niczego, na co nie może zapolować, czyli gdy nie morduje, umiera. Ziarna jak kura nie zje.

Andronik wzruszył ramionami.

– Chcesz sobie zapolować z ptakiem, mnichu? Ale jaki to ma związek?

– Nawet jakbym chciał zapolować, to nie z tym ptakiem. Chodźcie za mną!

Dukas posłusznie poszedł w ślad za mnichem. Tuż za nimi w milczeniu sunął Symeon Złe Oko, zaś pochód zamykał obojętny na wszystko Kalikst. Znalezionym kawałkiem szmaty ocierał szablę z krwi, klnąc pod nosem. Czerwień nie chciała zejść z klingi.

Czarny Mnich poprowadził ich schodkami w górę. *Znów!* – pomyślał gniewnie Andronik. Gubił się już w tych labiryntach i zachowanie zakonnika zaczynało go drażnić. Ten szalony eremita ciągał ich po tak odległych zakamarkach swojego monasteru, że gdyby zniknął, zostaliby tu na wieki – co do tego chyba nawet Symeon nie miał wątpliwości. Spiralne schody, korytarze wykute w miękkiej skale, przesmyki, dziesiątki przejść, pozbawione okien komnaty niespodziewanie przechodzące w ganki z kolumnadą, z widokiem na przepaść bez dna...

Jednak tym razem mnich miał insze zamiary – przyszło na myśl Dukasowi, gdy na szczycie schodów zobaczył okrągły wycinek nieba.

Wyszli na niewielką kamienną półkę na szczycie ostrej, postrzępionej po bokach skały.

Błękit... Błękit prawdziwego nieba i słońce rażące w oczy. Goszcząc u mnicha, krążąc po jego ponurych korytarzach, Andronik zapomniał, co to blask zwykłego dnia.

Teraz stał oszołomiony, mrugając. Nadmiar światła kłuł go w oczy drobnymi igielkami,

w ustach poczuł nagłą suchość.

Dopiero po kilkunastu oddechach Dukas odważył się szerzej rozchylić powieki.

Ich ponury gospodarz w czarnym habicie również źle znosił dzień. Choć krył twarz pod szerokim kapturem, zmęczony głos zakonnika i jego zgarbione plecy były wymowne aż nadto.

– Oto... Oto najwyższy punkt mojego monasteru – wydyszał mnich. – Jedyne miejsce, skąd można podziwiać całą okolicę.

Przerwał, z głośnym świstem wciągając powietrze. Po chwili jednak odzyskał siły. Staął prosto i rzekł:

– Tu możecie odkryć całe piękno Kapadocji, takiej, jaką ją stworzył nasz Pan, Satanael. Przyprowadziłem was tu, byście byli świadkiem ostatniego aktu mojego stworzenia. Stworzenia skrytobójcy doskonałego. Kaliksta Belzebuba.

Dukas powoli przyzwyczajał wzrok do jasności. Skrzywił się. Wciąż nie rozumiał, w czym rzecz. Nie interesowały go krajobrazy. To, co apostata zwał *pięknem Kapadocji*, te dziwaczne kamienie i wulkaniczne pustkowia, w nim budziło jeno niepokój i tęsknotę za cienistym gajem w rodowej rezydencji. Za szumiącą fontanną, dzbanem pełnym chłodnego wina i gładkim ciałem nałożnicy. Odwrócił z niechęcią wzrok i spojrzał w stronę mnicha.

Jastrząb na ramieniu zakonnika siedział spokojnie, nazbyt spokojnie, nie mając w sobie nic z dzikiego wojownika przestworzy. Jego pomarańczowe oko przypominało dogasającą świecę, a popielate skrzydła zwisały smętnie niczym znoszony, zbyt obszerny płaszcz. Andronik nie znał się zbyt dobrze na ptakach łowczych, jednak wiedział, że ten swe najlepsze chwile ma już za sobą. Musiał być bardzo stary albo chory.

Słowa apostaty w pewnym sensie potwierdziły te domysły.

– Dusza człowiecza jest nieśmiertelna. Nawet rozbita na okruchy jak szklane naczynie nie znika przecież, lecz wciąż trwa. Gdy z duszy Kaliksta wyjął to, co słabe, żalodne i nieudolne, to te drobiny jego ducha nie zniknęły, lecz trwały. I trwają nadal, a żeby nie wróciły tam, skąd zostały wyrwane, uwięziłem je w ciele tego tu oto jastrzębia. Ten drapieżny ptak jest w połowie Kalikstem Belzebubem, jego słabą częścią. To skrzydlate stworzenie nosi w sobie strach i tchórzostwo, litościwość, naiwną dobroć, bezgraniczną prawdomówność, no i wszystko inne, co tak oddala człowieka od zjednoczenia się z Bogiem. Ptak jest teraz słabą stroną Kaliksta, Kalikst jest swoją mocną stroną.

Czyli jednak jest chory – pomyślał z cichą satysfakcją Dukas, patrząc na jastrzębia. – Dobrze go ocenilem.

Czarny Mnich podniósł skrajem skórzanego rękawa jeden z pazurów drapieżnika.

– Patrzajcie na to! Idealne narzędzie zbrodni. Ptak potrafi nim chwycić i rozszarpywać stworzenia, które z woli Pana powstały jako pożywienie dla silniejszych i odważniejszych niż one. Jednakże ze słabą częścią duszy złodziejaska z Konstantynopola nic nie upoluje. Nic nie zabije, nic nie rozszarpie. A nie polując, nie zdobędzie pożywienia, więc umrze.

Zakonnik zwrócił się ku swym gościom:

– Zapytacie: *Jak to jest, że drapieżny ptak zatracca swe zdolności dane mu przez Stwórcę, swe instynkty krwiożercze, które każą mu polować, zabijać i żywić się świeżym mięsem? Jak to jest, że słabe okruchy duszy Kaliksta biorą go w swe posiadanie, tłumiąc te siły, które pozwalają jastrzębiowi przeżyć?* Widzę to pytanie w waszych oczach, a odpowiedź jest niezwykle prosta. Dusza człowiecza, nawet najsłabsza jej część, zawsze będzie panować nad instynktami stworzenia, które z woli Demiurga nie posiada duszy. Człowiek został nią obdarzony, by panować nad zwierzęciem i nad światem doczesnym. I tak to, co najsłabsze w człowieku, może stać się najsilniejszym w dzikim ptaku.

Ponury apostata w habitcie o barwie nocy nie doczekał się jakiegokolwiek reakcji Andronika ani Symeona. Jednak niezrażony tym mówił dalej:

– Rozumiecie teraz? Ha, ha, ha – zarechotał złowrogo. – Wiecie już teraz, w czym rzecz? Nie mogę zabić tej części duszy człowieczej, ale mogę sprawić, że umrze sama, zabijając się swoją nieudolnością. Ten ptak padnie, gdy tylko zabraknie mu sił, które dał mu jego ostatni posiłek drapieżnika. Pan nasz stworzył go, by żywił się innym ptactwem, słabszym i mniejszym. By łapał koszatki i zające. By szarpał ich mięso i spijał krew. Ale teraz, ze słabymi okruchami duszy naszego konstantynopolitańskiego złodzieja, już nie zapoluje, o nie! Będzie zbyt słaby na to, a z woli Stwórcy nie sięgnie po inne pożywienie. Gdy padnie, umrze wraz z nim część duszy Kaliksta. Na zawsze odejdzie w niebyt, do piekła, może do czyśćca, gdziekolwiek, byle dalej z tego świata. Kiedy ta chwila nadejdzie, Kalikst będzie już gotów, by zabić uzurpatora Diogenesa.

Czarny Mnich podrzucił jastrzębia w górę. Ptak zatrzepotał skrzydłami, wydał z siebie rozdzierający krzyk i z ciężkim łopotem wzbił się ku niebiosom.

Zatoczył wielki krąg, na chwilę niknąc z oczu w ostrym świetle słońca. Zaraz jednak wrócił nad ziemię. Przeleciał nad kamiennym grzbietem, niemal muskając skały pazurami.

– Gołębie... – powiedział zakonnik, wskazując kępę zeschniętych krzewów nieopodal. – Zobaczcie...

Znad skupiska głazów wyfrunęło stadko spłoszonych ptaków zaniepokojonych wielkim cieniem krążącego drapieżnika i jego wrzaskami. Jastrząb złożył skrzydła i spadł między nie, w mgnieniu oka, z ochrypłym krzykiem, bo tak nakazywała mu jego natura, bo tak zawsze polował...

Jednak nie zabił. Zatoczył koło, dwa koła, i choć jego pazury wręcz muskały przerażone, tańczące w powietrzu gołębie, nie zacisnął ich na zdobyczy. Z ciężkim łopotem wzleciał ku słońcu.

Czarny Mnich krzyknął za nim:

– Leć! Leć i umrzyj! Najszybciej jak możesz!

* * *

– Nie... Nie, on nie umrze tak łatwo.

Ślepiec w szkarłatnej riasie odwrócił twarz od słońca. Nie chciał już dłużej na to patrzeć. Widział to... Widział wszystko, w bezsilności zaciskając tylko kulaki. Monastyr w Kapadocji, trupich braciszków, okaleczonego złodzieja z Konstantynopola. Dwóch spiskowców, no i jego – mrocznego mnicha w habitie w kolorze północy.

Obraz, jaki malowały palące promienie na jego zasłoniętych bielmem oczach, zniknął, ale starzec wciąż słyszał złowróżbne słowa: *Leć i umrzyj! Najszybciej jak możesz! Umrzyj! Umrzyj! Umrzyj!* – słowa palące jak węgle wyciągnięte z ogniska.

Ukrył roztrzęsione dłonie w rękawach swej szaty o barwie krwi i zaczął iść do eremu. To, co widział pod powiekami, w duszy, rysowane żarem lejącym się z nieba, przywołało najgorsze wspomnienia i wzbudziło bolesny niepokój o przyszłość.

– Czarny Mnich jest zbyt silny... – szeptał ociemniały pustelnik, bezszelestnie stąpając po górskiej ścieżynie. Piął się na szczyt wzgórza *Throni* drogą, którą przemierzał już tyle razy, że oczy nie były mu do tego potrzebne. – Zgromadził w sobie tyle zła, że nikt mu nie dorówna w diabelstwie... Przeklęty... Przeklęty po stokroć, a przecież nie zawsze taki był...

Bezwiednie trącił podeszwą sandałów kamień, który podskakując po wysuszonej ziemi, poturlał się do przepaści. W dole zagrzmiało, gdy w ślad za skalnym okruczem poleciały większe głazy. Eremita w czerwonej szacie nie zwrócił na te hałasy uwagi, choć w jego uszach – wyczulonych przez ślepotę i lata spędzone na odludziu – zabrzmiały one tak, jakby waliły się całe góry Troodos. Szedł dalej rozgniewany, nie zważając, że w skalne osuwisko spadają następne kamienie.

– Ten jastrząb nie umrze tak łatwo, czarny diable! I on... On też nie umrze, nie umrze jego dusza, jego dobra część...

Powtarzał te słowa z narastającą furią. Wzbierała w nim złość, jakiej pędząc spokojny żywot na cypryjskim odludziu, dawno nie czuł.

– Satanaelskie ściervo, jeszcze będziesz błagać o litość! Ale próżne będą to jęki! Twe chwile są policzone! – ryknął ślepiec, strącając w przepaść kolejną, trzęsącą całymi górami lawinę.

Wysunął ramię ku słońcu i trwał tak chwilę. Nieruchomo jak posąg, powtarzając cicho słowa, które brzmiały jak magia.

– Logos... Nadejdzie Logos i kres dla sług Satanaela...

Wtedy z nieba, zdawać się mogło – z samego słońca, z jego blasku – sfrunął jastrząb, drobna samica o płowych piórach. Usiadła na ramieniu ociemniałego eremity, strzępiąc pazurami rękaw szkarłatnej riasy.

Czerwony pustelnik podrzucił ptaka, by pomóc mu wzbić się do lotu, i krzyknął za nim:

– Leć i ocal go! Najszybciej jak możesz!

Koniec tomu pierwszego

Tom 2

ROZDZIAŁ 1

Głód. Głód, głód, głód.

Płody... Płodów nie ma. Nie ma brzuchatych matek z bachorami w środku. Nie ma. Nie, nie, nie.

Nie ma płodów, są wątroby. Wątroby złe, ale dobre. Złe, kiedy są płody. Kiedy nie ma płodów, wątroby dobre.

Teraz wątroby dobre. Dużo wątrób, żywych i świeżych.

Głód.

Dwugłowy demon Purrhos rzucał wściekle spojrzenia. Mały łebek, na którym osadzone były oczy, nerwowo kręcił się na prawo i lewo. Pysk wystający z drugiej, większej głowy gniewnie dyszał, rozsiewając wokół smród zgniłych ryb.

Nie, czerwonoskóry Purrhos nie jadł ryb. Tylko płody i wątroby. Płodów nie było, a wątroby... Wątroby kłębiły się w ciasnej gromadzie skryte pod daszkami ze szmat. Demon sapał wściekle. Pośród bezbronnych wątrób były też wątroby zbrojne w miecze. Szło od nich zapachem stali i pewnością siebie. Szło od nich nienawiścią i żądzą krwi. Było ich wiele. Nazbyt wiele.

Purrhos się wahał. Ciasno, dużo wątrób ze stalą, a do tego ogień. Nie, teraz nie mógł iść na łowy. Za jasno, za duży hałas, zbyt wielki tłum.

Więc tylko sapał gniewnie.

A pośród wątrób jest on! Pan, którego trzeba chronić. Oślaniać. Trzymać przy życiu. Tak długo, dopóki nie zdradzi. Pokąd się nie cofnie.

Powtórzywszy to sobie po raz kolejny, Purrhos zeskoczył ze skały. Szedł niżej, sadząc wielkimi susami. Chwytał skały łopatomatymi łapskami, by nie stracić równowagi. Dwie głowy osadzone na węzowych ruchliwych szyjach ciągnęły go w dół.

Znalazł skalny zakamarek, gdzie nie docierało słońce. Przyczajony w cieniu zamarł ze wzrokiem utkwionym tam, gdzie kłębiły się wątroby.

* * *

– Ej, kuternoga! Chodźże tu!

Zawołany obrócił się z marsową miną.

Ja ci dam kuternogę, koproskilo! – zaklął w myśli. – *Obaczysz, ty eunuchu bez jajec, co to znaczy igrzać z Nicetasem! Ty psi odbycie zafajdany!*

Jednak gdy ujrzał Kaliksta, na jego sinej gębie wykwitł szeroki uśmiech.

– Belzebub? Ty tutaj?!

Pokuśtykał, dzwoniąc źle zapiętym pasem z niedbale przytroczonym długim mieczem spatha. Huknął druha w ramię łapą wielką jak bochen, wyrównał z drugiej strony, po czym objął go w czułym uścisku.

– No, no, tylko bez takich! Nie przytulaj się tak do mnie! Co ci jest, kuternoga? Co z twoim kulasem? Możesz normalnie chodzić?

Wielka Pięść zmarkotniał i opuścił ramiona.

– Koń mnie przygniół. Zgruchotał mi kolano. Pierwej to powiadali, że gira potrzaskana jak suchy patyk, a do tego zgniła i odjął trza. No, ale mają tu medyka Saracena, musi jakiegoś maga, bo mi ją odczarował. Tyle że zginać nie mogę, bo kolano w łubkach. Mówi, że tak do końca, to już nigdy nie wyzdrowieję i zawsze będę chromy. Że zawsze będzie kulas jako kloc drewna. *Skata!* Utrapienie.

– Co? Podkowy żeś koniom kradł, he, he, czy jak?

Nicetas popatrzył dziwnie.

– Nie, Kalikst. Myśmy ciebie szukali. Za tobą jechali.

Belzebub przestał się bawić nożem, schował go za pas i zbliżył twarz do gęby osiłka.

– No, no – rzekł zimnym głosem. – A to mi nowina! A gdzieżeś ty mnie szukał? Szukaliście? Kto? I po co, ha?

Dryblas wzruszył ramionami.

– No mistrz kazali.

– Znaczą Atanazy.

– No, Atanazy.

Kalikst odruchowo sięgnął po puginał. Wyrwał go na powrót zza pasa i jął nim wywijać przed nosem przyjaciela.

– Nawijaj! Nawijaj, jak to było!

Jąkając się i urywając, poczciwe drabisko zaczęło niechętnie opowiadać o wyprawie i ciężących na Belzebubie podejrzeniach gildii. Ten szybko przerwał jego gadkę.

– Co? I ty w to wierzysz? Daj spokój!

– No co? – mruknął Nicetas.

– Jak to co? Myślisz, że mógłbym zdradzić gildię i mistrza? Że zajmalem i ruszyłem na robotę?

– No... – Wielka Pięść wzruszył ramionami. – Na mieście gadają. Mistrz też nie rzekł, żeby było inaczej.

– Nie... Mylisz się! – twardo zaprzeczył Kalikst.

Po obozie szwendały się grupki najemników, jakieś cwane dziarmagi rzucające złe spojrzenia, wreszcie zbrojni z armii autokratora. Nie było tu jak spokojnie pogadać.

– A ci tam? – wskazał głową. – Te rude przyglupy i ten Saracen? Czy mi się zdaje, czy ich gdzieś widziałem w Konstantynopolu?

– To moi. Z nimi jechałem, żeby ciebie szukać.

Belzebub patrzył, jak rudy krótko ostrzyżony klaruje coś rudemu kudłatemu. Obaj krzywili gęby, spluwając na pokaz. Widać nie byli radzi, że Nicetas brata się ze zdrajcą. Albo przynajmniej chcieli, by na to wyglądało.

– Dawaj za mną – rzucił Kalikst. – Pójdziemy na bok, bo tu różni uchają, lipią, a nam świadków nie trza!

Ruszyli między namioty, tam gdzie gawiedzi było już mniej. Obóz leżał w dolinie z rzadka porośniętej skarłatymi drzewkami. Tu i ówdzie sterczały szarobiałe skały rzeźbione przez wiatr i słońce w wulkanicznym tufie na kształt pograżonych w modlitwie mnichów. Jakiś czas lawirowali między tymi cudacznymi tworam natury, szukając dogodnego miejsca do rozmowy. To jednak nie było takie proste – wszędy pętali się najemnicy, łypiąc oczami niczym hieny za padliną.

Belzebub pociągnął kompana na sam skraj obozu. Łagodne wzniesienie nieopodal, osłonięte szerokimi ramionami cyprysa, pozwalało w dyskrecji omówić ważne sprawy.

– Gdzie tu, zafajdańce?! Zawracać! Bo jak zajmę obuchem po łbach...!

Niczym spod ziemi wyrósł przed nimi strażnik. Tylko jeden, ale solidnie uzbrojony w perski topór o szerokim ostrzu. A że był to wielki drągał, kawał chłopca, przy którym nawet Nicetas wyglądał jak dzieciak, wycofali się bez słowa.

Tak, z obozu nie szło się wymknąć. Nie byli w nim więźniami, jednak obowiązywała ich dyscyplina. Żadnego szlajania się po okolicy.

– *Gamoto!* Coraz mniej mi się to podoba.

Wreszcie, korzystając z nieuwagi strażnika, znaleźli sobie miejsce odległe o jakieś pięć dziesiątek kroków od najbliższych uszu. Zalegli między głazami.

– Słuchaj, Nicetas, ta cała bujda o tym, że zajmuję Atanazemu papiery, to tylko dla picu. Prawda jest taka, że mistrz wysłał mnie z misją. Bo widzisz, Atanazy ma wizję. Chce naszą gildię ukochaną przerobić tak, że będzie teraz najmocniejsza w całym cesarstwie. Ten fant, który mieliśmy zdobyć z monasteru Czarnego Mnicha, ma wielką moc. Ta moc pozwoli zapanować nam, złodziejom z Konstantynopola, nie tylko nad miastem, ale też nad wszystkimi ziemiami, gdzie tylko sięgniesz wzrokiem, a nawet dużo dalej. Anatolia, Kapadocja, Paflagonia, Armenia, Grecja, Italia, Sycylia, Bułgaria, a z czasem, kto wie, może nawet Syria. To wszystko dzięki mocy Ikony Upadłego Anioła, czy jak też mówią, Ikony Satanaela. Taka ona potężna.

Kalikst przerwał, bo w ich kierunku maszerowało dwóch łapserdaków najwyraźniej

szukających zaczepki. Mordy im się cieszyły, że będzie heca. Jednak nie mieli szczęścia. Strażnik z wielkim toporem dostrzegł ich, a że miał kompanów w odwodzie, teraz wszyscy wyszli, błyskając ostrzami.

– Problem jest w tym, że Eutymiusz to zdrajca – ciągnął Belzebub, nie zważając na dobiegające ich wrzaski i przekleństwa. – Chce przejąć władzę w gildii, więc znalazł najprostszy sposób: szkodzić, żeby było na Atanazego. I, rozumiesz, ten zdrajca zamierował od samego początku tak zrobić, żeby wyprawa do monasteru po Ikonę nie doszła do skutku. Tak mącił wodę, tak cwaniakował, tyle kłód rzucał pod nogi naszego mistrza, że w końcu sprawa się ryła. Tedy wezwał mnie Atanazy, mój ojciec przybrany, jak by nie patrzeć, i tak mi rzekł: *Kalikst, synu! Mam dla ciebie misję*. Jednym słowem kazał mi jechać i wykraść ikonę samemu.

Osilek ściągnął brwi ze zdziwienia, w jego oczach zamigotały złe ogniki. *Nie bierze tego* – pomyślał Belzebub i mówił dalej:

– Atanazy dał mi wszystkie dokumenta. To, że je ukradłem, to tylko bujda na pokaz. Mistrz musiał być poza podejrzeniem, bo Eutymiusz każdą okazję wykorzystał tak, że wyjdzie na jego, a przeciw Atanazemu. Dał mi więc mistrz wszelkie mapy i wskazówki i kazał jechać do monasteru. Nikomu innemu nie mógł zaufać, tylko mnie.

Spojrzał kątem oka na kompana. Jego skrzywiona mina mówiła, że wciąż nie dowierza. *Wiem, co go przekona* – uznał Kalikst.

– Rzekłem nawet do mistrza: *Niech Nicetas jedzie ze mną, pomoże mi w robocie. Przecież ja sam nie dam rady, a mój najlepszy druh nie opuści mnie w biedzie. A mistrz na to: Wiem, że Wielka Pięść to dobry złodziej i oddany przyjaciel, jednak twoja misja polega nie na sile, lecz na sprycie. Musisz poradzić sobie sam, a Nicetas będzie mi potrzebny tu, na miejscu*.

– Ale... W końcu i mnie mistrz posłał za tobą. Czyli wyszło jednak na twoje. Jakbym ci pomógł od początku, pewnie byś się tu nie znalazł.

Łyka to – zarechotał w duchu Kalikst. – *Jest dobrze. Jest już mój, poczciwy głupol*.

– No ale... – ciągnęło drabisko. – Jakżeś właściwie tutaj się dostał? Nas zbrojni zgarnęli za mordobicie z jakimiś łachami, co nas ostrzelali na trakcie.

– No, no, właśnie. Ja tak samo. To znaczy musiał ktoś sypnąć. Ktoś się rozpruł, co i jak, bo ten mnich już na mnie czekał. Wiedział, że będę chciał podjumać jego cudowną ikonę. Przyskrzynili mnie, trochę siedziałem... No a teraz tu jestem. Tak to w skrócie wyglądało.

– To sprawka Eutymiusza?

– No pewnie! To do niego podobne... No bo kto inszy dał cynk klesze? Rozumiesz więc, że moja misja musiała być tajna od początku do samego końca. Tyle że to na nic się nie zdało...

Wyjrzeni ostrożnie z ukrycia – w pobliżu nikogo nie było. Przysiedli wygodniej na skalnej ławie. Nicetas wyciągnął nogę, z wyraźną ulgą zdejmując z niej ciężar ciała.

– No a teraz co zamierujesz?

– Nie jest dobrze. Idziemy na wojnę i jak widać po tych typach z toporami, nie ma jak stąd prysnąć. Ja to i tak chcę nawiać, ale mówią też, że za udział w wojnie wymażą wszystkie przewiny. Sam już nie wiem... Na razie trzeba tańczyć, jak oni grają. A później się zobaczy. I tobie też tak radzę: nie ma co wiać, póki nie wiemy, co się kroi. Najpierw trza baczyć, co i jak, potem czekać na okazję.

– Teraz może być najlepsza okazja – przytomnie zauważył Wielka Pięść. – Widziałeś? Wokół obozu budują ogrodzenie i przybywa zbrojnych. Mają nas szkolić do walk z Seldżukami. Później pójdziemy do Syrii na wojnę. Mniej będzie okazji do ucieczki. No i powiadają, że za nami będzie szedł sam *basileus*. Razem z silną armią. Żeby dać wsparcie w razie niepowodzeń i coby rznąć tych, którzy dają nogę. Więc teraz albo nigdy.

Rzeczywiście – w oddali, po drugiej stronie obozu grupa robotników wznosiła jakąś konstrukcję. *Muszę popatrzeć na to bliżej* – pomyślał Belzebub – *i wykombinować coś, żeby gruby nie nawiał.*

– Jasne. Racja, bracie. Wiesz co? Idź do tamtych fajfusów, tych tam twoich ryżych kompanów. Ufasz im? Godni, żeby im powierzyć naszą tajemnicę?

– To przecie moi. Znam ich. Się nie rozprują, nawet jakby ich kołem łamali.

– Dobra! Powiedz im, co i jak. Możesz zdradzić to, co ci powiedziałem. Czyli że Atanazy wysłał mnie z misją. I że to była bujda z tym jumaniem, żeby się Eutymiusz i jego zbiry nie zwiedziały. Powiedz im, jak sprawy wyglądają, a ja sobie tymczasem polipię na obóz i na straże.

Nicetas pokiwał głową, po czym bez słowa pokuśtykał w stronę namiotów.

Łyknął czy jeszcze nie dowierza? – myślał Kalikst. – *Nie był nigdy zbyt cwany, ale teraz to już sam nie wiem. Byle nie nawiał za wcześnie, bo będzie jeszcze potrzebny.*

– Ej, Belzebub! – postyszał nagle za sobą.

Odwrócił się z niechęcią.

– A co z Zoe? – zapytał Wielka Pięść, z wysiłkiem przerzucając ciężar na zdrową nogę. – Też pojechała za tobą...

– Zoe? Nie, nie widziałem Zoe od dnia, gdy opuściłem Konstantynopol. A co z nią?

– Myślałem, że ty wiesz. Ruszyła twoim śladem trzy dni później.

– Nie widziałem jej. Pewnie jest już z powrotem w Konstantynopolu.

– Może i tak, choć ona by nie ustąpiła... Byś zmiarkował, że ktoś za tobą jedzie, nie?

– Bym zmiarkował. Nikt nie jechał – skłamał po raz trzeci zniecierpliwiony Belzebub.

* * *

Kalikst ruszył na obchód obozu. Dla niego było to nowe miejsce, ale inni tkwili tu już od dłuższego czasu. Teren – dosyć sporą dolinę położoną między wulkanicznymi, postrzępionymi grzbietami – pokrywały regularne kwadraty tworzące poszczególne części

obozowiska. W każdym kwadracie stały cztery namioty mieszczące po dwie dziesiątki i pięciu ludzi. Namioty... To było zbyt dumne określenie. Płachty żaglowego płótna natarte cuchnącą mieszanką popiołu i tłuszczu. Od frontu dostępu do obozu broniła szeroka brama, od której szło w bok ogrodzenie: wał ziemi nabity skalnymi okruchami. Od wewnątrz, jak i po zewnętrznej stronie tej konstrukcji, ciągnęły się rowy wykopane na głębokość człowieka – to stąd brano budulec. Fosę wypełniały kamieniste stożki zwrócone ostrymi końcami na zewnątrz.

Belzebub zaśmiał się pod nosem. Dla niego taka przeszkoda była błahostką. Wystarczyłaby lina i jakieś solidne ostrze. Ale też wał nie był murem więzienia, nie po to go wzniesiono. To jeno ogrodzenie obozu od świata, by ustrzec najemników i rekrutów od pokus zewnętrznego życia. Owszem, można sforsować ogrodzenie, jednak należało uporać się jeszcze z gorliwymi strażnikami. A zresztą... Cóż tu prawić o pokusach? W okolicy nie było żadnych. Cezarea o dzień drogi, inne miasta, nieco mniejsze, również wymagały kilku dobrych godzin podróży.

Jakieś dwieście kroków dalej wał kończył się – tam robotnicy, najsilniejsze chłopcy wybrane z tej całej zgrai, jeszcze nie dotarli. Krążyli tylko zbrojni.

Muszę to oliwić wieczorkiem – pomyślał – kiedy zmrok zapadnie. Posłuchać, popatrzeć...

* * *

– I! Zapamiętaj! Sobie! Ja! Tu! Jestem! *Basileusem!!!* Bierzesz to, kozi odbycie? Rozumiesz, *koproskilo*, ty psie gównno?

Głowa fajtlapowatego rekruta odskakiwała jak łebek szmacianej lalki. Nieborak cofał się ku sękatej podporze z niedbale oheblowanego pieńka cyprysa, a łapsko krępego osiłka co i raz waliło go po pysku. Łapsko umięśnione, a przy tym pokryte ściemniałymi bliznami. Między nimi wił się niewprawnie wytatuowany wąż morski z wielkimi kłami i płetwami rozłożystymi niczym skrzydła.

Osilek nie był zbyt wysoki. Nicetasowi sięgałby – jak ocenił to na oko Kalikst – do ramion. Kurdupel. Nabity w sobie kurdupel, kłębek stalowych mięśni. Mały byczek. Wściekły pies hodowany do walk na arenie konstantynopolitańskiego hipodromu. Brzydka, szczerbata pokraka, która odpychała samym swym wyglądem.

Mimo to Belzebub z respektem trzymał się na odległość.

– Wbiję ci to! Wbiję ci to do tego łba, świńskie łajno! Do mnie masz gadać: *panie*. Tylko tak i nie inaczej! Panie! Panie! Panie! Makarym jestem tylko dla mojej kobiety. No i moich kompanów, niech będzie! Ale nie dla takiego psiego kału!

Rekrut padł bez czucia na ziemię, zalewając się czerwienią. Kalikst spojrzał nań bacznie.

– Ja go chyba skądś znam... – mruknął do siebie. Podszedł bliżej, wchodząc pod połę namiotu.

To ten gamoń od Atanazego! Jak mu tam? Szachista, Tryfon Szachista! Ten sam, którego w zaułku przy Rybim Targu zaczepił Hakoręki do spółki z Cesarczykiem i Heretykiem.

– Co ty tu robisz, *malaka*? – szepnął zdziwiony Belzebub.

– Do mnie ta gadka, *koproskilo*?

Umięśniony byczek Makary miał jeszcze jedną tajną broń: cuchnący oddech, jaki tworzy przetrawiona mieszanka wina i mocno naczosnkowanej baraniny. Wionęło tym na trzy kroki albo i więcej. Kalikst cofnął się odruchowo.

– Coś nie tak, psi odbycie? Też chcesz omłot?

Kompani Makarego wyszli z namiotu i próbowali osaczyć Belzebuba, by odciąć mu drogę ucieczki. Ich herszt parł do przodu, a gęba mu się śmiała coraz bardziej.

– Nie buzuj się tak, człowiek! – powstrzymał go Kalikst. – Bo ci styja gównem strzyknie i się obryzgasz. Udupilili nas tu razem, więc daj na przyciszenie. A co tam jest, to nie moja brocha, więc odpadam.

Makary zmartwiał w pierwszej chwili. Już się szykował na radosne mordobicie, na łamanie kości i tłuczenie łbem o belkę. A tu cwaniak gada jak swój. I do tego buńczucznie rzuca gromy z oczu, widać, że nie pęka. Szacuneczek!

Potoczył gniewnie wzrokiem, rzucił ukradkowe spojrzenia na kompanów i widząc ich zdezorientowane twarze, stęknął z rezygnacją:

– Precz stąd, pókim dobry! Cwaną gadkę masz, ale nosi mnie, więc poszedł!

Kalikst bez słowa odwrócił się na pięcie i poszedł w swoją stronę. Obejrzał się jednak po paru krokach: Makary stał nad skulonym Tryfonem i ładował mu miarowe razy. Twarz Szachisty przypominała rozkwaszony arbuz.

– Głupis, ziomek – mruknął Belzebub pod nosem. – Trzeba było mnie słuchać i unikać kłopotów. A teraz cię bydlę po ryju ładuje...

* * *

– Makary. Po prostu Makary. Niektórzy mówią o nim Makary Byk albo Mały Makary, ale nie. Na co dzień jest tylko Makary.

Nicetas pociągnął łyk wody nabranej z koryta do suchej tykwy. Skrzywił się i odrzucił prowizoryczne naczynie na stertę śmieci obok namiotu.

– Szczyny nie woda! – burknął, a potem rzekł: – Szliśmy mimo kilka razy. Kindybał mu dygał do bitki, ale dał sobie siana. A ja tam szacunek mam do siebie i nie będę z byle *adelfim* się przytulał. Jeden strzał i po nim, więc go nie ruszałem.

Dryblas poruszył znacząco ramionami i trzasnął pięścią o pięść.

– Ale wiesz, to jest jakiś lepszy kizior. Nie tylko ma do bitki ochotę, ale też paru łobuzów na smyczy. To z Cezarei jakiś dziarmaga, mocną ma kompanię i wirachą się czuje nie bez powodu.

Słyszając rozmowę, podeszli Wit Wodnik i jego brat, Waldemar Jałmużnik.

– Ledwie go dali do obozu, jął się szarogęścić – powiedział ten drugi. – Ustawia ludzi, a za argument starczy jego tępa morda. Jak morda nie starcza, idzie za nią piącha. A ma jeszcze swoją psiarnię w odwodzie. Mówią, że będzie *hekatontarchosem* dowodzącym setką największych kiziorów, co to się na wojnę zgłosili dla ułaskawienia przez *basileusa*. Albo i nawet *domestikosem*, który pokieruje całą tą zbieraniną z obozu.

Belzebub pokręcił z niedowierzaniem głową.

– *Domestikosem*? Odkąd to byle oprych może pełnić tak zaszczytne role w armii? Coś mi tu wygląda na to, że siła Makarego z plotki idzie, nie z jego prawdziwych przymiotów.

– *Zaszczytne role*? Armii? – wtrącił się Wit. – Popatrz dookoła! Zobacz, co tutaj jest! Zbieranina szumowin z całego cesarstwa. Mordercy, rabusie, no i...

– No i złodzieje – dokończył za niego Nicetas. – Czyli my Żadnej zaszczytnej armii? Oddziały straceńców, których jedynym zadaniem jest zginąć za *basileusa*. Do takiego zadania Makary jest jak znalazł. Jak nic poprowadzi wszystkie męty ku zaszczytnej śmierci. Zdobywając wcześniej Antiochię na chwałę autokratora.

Kalikst nabrał dłonią wody z koryta. Spróbował i splunął. Była rzeczywiście ohydna!

– Co to... Co to jest...?

Waldemar zachichotał złośliwie.

– Widać, żeś nowy. Ta woda trupem śmierdzi, ale nie ma innej. Trza przywyknąć, he, he.

Przywyknąć! Dobrze sobie! To już chyba świnię w chlewach mają lepiej. Belzebub posłał Jałmużnikowi flegmę pod nogi.

– A ten Makary ilu ma tych ziomków? Kto z nim trzyma?

Wielka Pięść wygiął usta z niechęcią.

– Mówię przecie. To z Cezarei kizior, bandę tam miał, która kupców łupiła i ze strażami się tłukła. Zadźgał ponoć jakiegoś logotetę z dworu miejscowego *praetora*. Za to go chcieli dać na stracenie, ale cesarz na wojnę ruszył, to trafił tu. Skórę może wyniesie cało, jak będzie taki sam chojrak przed Seldżukami.

Zanim się na dobre rozpanoszy, trzeba z nim sztamę zatrzymać – pomyślał bez entuzjazmu Kalikst. – *Przynajmniej na początek, a później, co będzie, to będzie.*

Popatrzył na Nicetasa i jego kompanów. Już nawet wiedział, jak dotrzeć w pobliże Makarego. Zaśmiał się bezgłośnie.

– Walić go. Mnie tam on nie ruszy – podsumował hardo Wielka Pięść. I nagle zmienił temat. – Belzebub, to co z tą Zoe?

– O co ci chodzi?

– Była z tobą? Widziałeś ją?

Ryży bracia ze Żmudzi ciekawie nadstawili uszu. Nagłący ton w głosie Nicetasa świadczył, że to nie błałostka.

– Przecież trzy razy mówiłem. Nie widziałem jej od dnia, kiedy wyjechałem

z Konstantynopola. Nie wiem, co z nią. Pewnie w mieście siedzi.

– Nie było jej, kiedyśmy wyjeżdżali. A wiadomo, że pojechała twoim tropem. Miała jakieś trzy dni opóźnienia. Mogłeś jej więc nie widzieć, ale czemu myśmy jej nie spotkali?

– Nie wiem, odczep się.

– Nie martwi cię jej los? Przecież... Myślałem, że to twoja...

Kalikst zacisnął pięści. Ledwo zapanował nad falą wściekłości, widząc w myślach, jak łeb Nicetasa pęka rozwalony o koryto z wodą. Sapnął gniewnie:

– Nic ci do tego, kuternogo! Nie widziałem jej, powtarzam, i jestem pewien, że siedzi w „Bezglowym Scycie” albo „U Teofilakta”, i sący w dobrej kompanii chłodną retsinę z Krety. Nic jej nie jest! A teraz koniec tematu, nie gadamy o babach!

Kopnął wściekle koryto i ruszył w swoją stronę, zostawiając ziomek zamilkłych nagle ze zdziwienia.

– Nie jest normalny ten twój przyjaciel, Wielka Pięść – odezwał się pierwszy Wit Wodnik. – Zawsze to powtarzałem...

– Zawrzyj japę!

* * *

Ściągnij swą siłą mrok. Przywołaj ciemność, niech okryje cię niczym skrzydła. Niech noc stanie się tobą, a ty stań się nocą. Niech szara godzina obejmie twoje dłonie, twoje ramiona, pierś i całe ciało. Niech czarne pióra zakryją cię, a wtedy...

Nagły szelest. Idzie ktoś!

Belzebub odskoczył. Pobiegł kilka kroków w tył i przywarł, ściskając kamień. Nie, nie. To tylko w oddali jakaś łajza szcza pod namiotem.

– *Gamoto...* Niechby cię... – mruknął.

Ruszył byle dalej od namiotów, na skraj obozu. Za nim ciągnęły się kamieniste pustkowia i poryte wiatrem skały Kapadocji. Drogę do nich grodziła zaimprovizowana strażnica – kilka ognisk rozpalonych między skałami i dwa namioty z tufową podmurówką. Pośród nich kręciło się kilku zbrojnych. Kalikst obserwował ich chwilę: to byli Waregowie z cesarskiego kontyngentu. Groźni woje, którzy zbieraninę z obozu mieli za jedno. Złodziej czy ochotnik z bożego natchnienia – jak będzie trzeba, usieką równo.

Jednak Belzebub miał sposób, żeby ich omijać. Przynajmniej tak prawił Czarny Mnich: *Później to przyjdzie samo z siebie. Wystarczy, że będziesz tego chciał. Tylko pomyślisz, a nadejdzie. Jak twój sługa posłuszny twym rozkazom. Ale nie od razu. Musisz pierwszej opanować tę sztukę.*

Powtarzał więc w myślach te słowa:

Ściągnij swą siłą mrok. Przywołaj ciemność, niech okryje cię niczym skrzydła. Niech noc stanie się tobą, a ty stań się nocą. Niech szara godzina obejmie twoje dłonie, twoje ramiona,

pierś i całe ciało. Niech czarne pióra zakryją cię, a wtedy znikniesz w cieniu osłonięty od ludzkich spojrzeń.

Nagle poczuł, jak coś z wielką siłą chwyciło go za gardło, wpychając wydychane powietrze z powrotem do ust. Szarpnął się, charcząc. Ciasny chwyt ułapił też jego ramiona, nogi i pierś. A potem cios. Jakby pięść olbrzyma wałęsa go w brzuch.

Padł na kolana i rzygnął. Jego ciało pulsowało, jakby ktoś zadał mu trucizny.

Ból narastał. Belzebub nie miał dość siły, by wstać. Przepelzł dwa kroki i padł na twarz.

– Kto tam?! Hola! Co tam? – jęli pokrzykiwać strażnicy. Kilku ruszyło w stronę Kaliksta, znacząco unosząc swoje topory.

Przekręcił się na plecy i czekał. Patrzył tępym wzrokiem w gwiazdy.

Niech będzie, co ma być! – myślał. – *Nie mam już siły. Niech mnie znajdą i obiją na śmierć!*

– Jest tam kto? Ej, bo jak przydzwonię w ten łeb głupi, to nie będzie co zbierać! – ryknął któryś z Waregów.

– Ej, złodziej! Nawiać chcesz? – wtórował mu drugi.

Podeszli tak blisko, że Kalikst mógł policzyć stalowe łuski na ich kolczugach. Czuł zapach potu i słyszał wściekle oddechy. Widział blask ognia w ostrzach toporów.

Ale oni go nie widzieli.

– Ech, diabeł nocą płata figle... – stwierdził wreszcie jeden z wojaków.

Przeżegnał się i ucałował zawieszony na szyi krzyżyk. Zrobił jeszcze krok w przód, muskając końcem buta policzki Belzebuba. Nie, nie zauważył go ani nie wyczuł.

Poszli.

A on leżał bez ruchu targany skurczami żołądka. Gwiazdy mrugały uspokajająco, zaś księżyc znów pokazał swój szyderyczy wąski uśmiech.

Wreszcie torsje ustały. Kalikst wstał i zrobił kilka kroków. Nie czuł już bólu, a im dalej szedł, tym bardziej narastała w nim euforia.

Tak! Miał je! Skrzydła mroku otaczające go swymi czarnymi piórami. Krew pulsowała mu w żyłach jak rozpalony ołów.

– ...a wtedy znikniesz w cieniu osłonięty od ludzkich spojrzeń – wyszeptał.

Ruszył w stronę ognisk, nie opuszczając jednak granicy mroku. Nie można wejść w pełne światło! Prześlizgnął się bokiem, cicho sunąc przy ścianie namiotu.

Wkrótce posterunek Waregów miał już za sobą. Zaczął biec. Nigdy nie czuł się tak dobrze, nawet gdy odziany w strój nocnego łotrzyka przemykał po murach Konstantynopola.

Przykucnął przy skale i krzyknął skrzekliwym głosem w stronę strażników:

– Diabolosss!... Diabolosss!...

Waregowie podskoczyli, jakby kto ich wrzątkiem polał. Chwycili topory, jednak nie kwapili się, by iść w mrok. Jeden, najodważniejszy, postąpił kilka kroków w przód i zakrzyknął:

– Odejdź! Odejdź, diable!

Na starym żołnierskim płaszczu rzuconym niedbale w kępę zeschniętego zielska spoczywał niewielki puginał. Wysmukły, pozbawiony ozdób. Kalikst nie potrafił rozpoznać, skąd pochodziła ta broń, coś w niej jednak kusilo. Musiał ją mieć.

Będzie jak znalazł do czasu, aż oddadzą wszystkim ich własną. Czyli gdy zostaną uformowane oddziały, wybrani *hekatontarchosi* i ustanowiona dyscyplina. Tymczasem tylko gołe pięści, a Kalikst nie nawykł do takiej sytuacji.

Pochwycił kamień. Rzucił, tak żeby spadł kilkanaście kroków za ogniskiem. Nim doleciał do celu, Belzebub pochwycił następny, większy i cisnął jeszcze dalej, by sprawić wrażenie, że ktoś przemyka w mroku.

Chociaż podstęp był oczywisty, Waregowie, przekrzykując się, odskoczyli od ogniska, nadstawiając obnażone miecze ku ciemności nocy. Przez chwilę wypatrywali diabiosa krążącego gdzieś tam między skałami.

Wykorzystał tę chwilę. Skoczył i porwał puginał. Potem puścił się pędem w stronę obozu.

– Tu jest! Tu był! – wrzeszczeli podnieceni zbrojni. Powoli ich strach ustępował. Brała górę żądza mordy, mimo że chodziło o gościa z piekieł.

– Dawaj! Łapaj! Tam! Cień jakiś!

– Ukradł! Puginał ukradł! Tnij kurwisyna!

– Tam ucieka! Kurzy się za nim! Tam jest!

Próżne wysiłki. Kalikst był już daleko; tuląc do piersi swą zdobycz. Tamci szybko odpuścili niepewni, co właściwie widzieli. Jakiś cień. Ktoś. Coś. Coś niewidzialnego, ale nie do końca. Jakby cień. A jednak coś rzeczywistego, skoro porwało nóż i umknęło w noc.

A może to była jeno ułuda? Mroczna mara?

Zdezorientowani chodzili wokół, patrząc, czy wróg, diabolos, nie przyczał się gdzie obok, by ich dopaść. Nie, chyba nie...

* * *

Przemykał w cieniu niezauważony przez nikogo. Obóz spowijał mrok, tylko gdzieś palły się ogniska straży. Czasem przeszedł gdzieś samotny patrol, jednak cesarscy zbrojni nie ryzykowali wyprawy między namioty. Męty, nawet bez broni, pod osłoną nocy stawały się groźne i tylko czekały, by skrycie złupić wojaków z ich broni.

Niech się rzną między sobą – uważali strażnicy i zaiste, mieli tego efekty. Co rano znajdowano nowe trupy. Zwłoki nieszczęśników, których ktoś udusił albo zatłukł kamieniem. Nieznany sprawca, którego nikt nie zamierzał szukać.

Belzebub przemknął więc bez obaw, że go nakryją. I tak dotarł do namiotu Makarego.

– *Gamoto* – kłął oprych, rozprawiając z kompanami. – O co tu idzie? Kiedy dadzą nam broń, kiedy naczniem rezać seldżuckich zaprzańców? Kiedy dziabnę parę gardeł, wyharatam

trochę flaków z zafajdanych psów, Saracenów?

– He, he! Dobrze ty gadasz, Makary! Turki nasze dziewczki chędożą, nasze wino żłopią...

– Nie zalewaj, Brodaty! Turki wina nie drynią. Za to *al-haszisz* żrą. Od tego im sił przybywa, moce mają diabelskie i mogą rębać za trzech. A niech mnie! Obaczym, czy dadzą radę Makaremu!

– *Al* co? – dopytywał trzeci z rozmówców, wodnistooki chudzielec, Rus ani chybi, patrząc po twarzy. – *Al-szmaszisz?* Co to?

Makary przybrał mądrą minę.

– *Al-haszisz*. Zwą to *al-haszisz*. Pono śmierdzi i wygląda jak wyschłe łajno, ale jak wszamasz, to jesteś jako mocarz. Saraceny w Syrii to żrą. Gadają, że jak który to weźmie do gęby, to nie masz na nich siły. Pono coraz więcej ich tam to gryzie i dlatego wojna jest. Że od tego na Konstantynopol idą. No, mnie to się podoba. Będzie wreszcie jakieś cacy mordobicie. Mówię ci, Radymicz, tobie by się nadało wszamać takie mazidło, tobyś żywiej podskoczył! A tak nic, tylko śpisz.

– Gorąco... Ja nie przywykłem. U mnie, w Listwieniu, w moim domu nie ma tak duszno. To co tu robić? Tylko leżeć.

Kalikst dobył puginału. Postąpił kilka kroków w przód. Miał łatwo: w namiocie panowały całkowite ciemności. Słabe odbłaski, odbicia ogni strażników, ledwo tu docierały. Oprychy leżały na swoich legowiskach, gwarząc z przymkniętymi oczami. Brodaty gapił się do góry, jego oczy lśniły jak węgle rzucone w gąszcz czarnej trawy.

Ostrze zawisło o dłoń nad twarzą Makarego.

Nawet o tym nie wiesz – pomyślał z mściwą satysfakcją Belzebub. – Wystarczyłoby jedno pchnięcie. I już byłby porządek w obozie. Jednego męta mniej. Szachista by mnie za to kochał. Reszta złodziei też by pewnie nie narzekała.

Smagnął krępego bandziora końcem puginału po pysku.

– Nienawidzę komarów – mruknął Makary. – Co za bydlęta diabelskie?!

A Kalikst cicho się wycofał.

Wrócę tu jeszcze – pomyślał.

ROZDZIAŁ 2

Następny stracony dzień. Nie działo się nic. Słońce, cykady, strażnicy leniwie łączy między namiotami. Jeno robotnicy dobrani spośród najsilniejszych, a przy tym najmniej sprytnych, kopali z mozołem wał okalający obozowisko.

– Eee! Makary...

Byczek niechętnie rozwarł powieki. Leżał na wyrze i chyba przymierzał się do popołudniowej drzemki.

– A, to ty. Wyszczekany ziomek. Czego tu?

– Tyś z Cezarei.

– No i co z tego? – Z gęby buchnął mu ten sam smród. Baranina z czosnkiem i przetrawione wino.

Skąd, u diabła, ta świnia ma wino? – pomyślał Kalikst. – *Chyba że ma flaki przesiąknięte nim jak stary dzban. A miast krwi barani tłuszcz rozcieńczony białym z Rodos.*

– Znam tam paru złodziei – rzekł. – Paru mocnych rębajłów...

– Taaa...? No coś takiego... – burknął bez zainteresowania osiłek i z zapalem zabrał się za dłubanie patykiem w zębach.

– U nas w Konstantynopolu bywał taki jeden... Manuel Chazar. Gadał o tobie...

Kalikst strzelał w ciemno. Bandziora z Cezarei znał jeno z tawernianych opowieści snutych przez złodziei przy dzbanach z wińskiem. Pono był niezły kizior i ważna persona w światku kapadockich złodziei. Niezorganizowanych, pozbawionych celów i sensu działania, jaki dawała gildia. O nim to właśnie mawiał czasem Atanazy, kiedy roił o utworzeniu organizacji w inszych miastach. Jednak Belzebub na oczy go nie widział, nie wiedział nawet, czy oprych zawitał kiedykolwiek do stolicy.

Niemniej strzał był celny. Widać złodzieje z Cezarei znali się lepiej niż koloni z jednej wioski. Na dźwięk jego imienia Makary skoczył na równe nogi. Odrzucił patyczek, którym z takim zapalem wyskrobywał resztki posiłku spomiędzy zębów i z błyskiem w oczach ryknął:

– A więc to tak! To on do Konstantynopola jeździł! I co gadał? Mówże, ziomek!

– Ano brechał o tobie same dobre słowa. Bo szło o to, że nasi mistrze chcieli z wami, znaczy z Cezareą, wejść w układ. Coby z waszym udziałem położyć łapę na szlakach

kupieckich z Syrii i ciągnąć z tego wspólne zyski. Nasz mistrz, Atanazy Meklidos, się pyta: *Masz ty tam zaufanych ludzi? Masz kogo na swego zastępcę?* A na to Manuel Chazar: *Ano jest paru, ale najlepszy z nich Makary. Byk na niego mówią. Taki jest silny i uparty. Da se radę.*

– Nie łiesz aby, przyjacielu? – Zakapior wbił uważne spojrzenie w oczy Kaliksta. – Bo widzisz, u nas w Cezarei takie były układy, że złodzieje nie zawsze miały do siebie szacunek. No i jakieś przyczajki były, jeden przeciw drugiemu i nie do końca wiadomo, o co idzie. O, Chazar mocarz! Gadałem z nim parę chwil, ale nie rzekł ni słowa, że mnie wyróżnia. Myślałem se wtedy nawet, że lipa, że on kiep i *malaka*. Dał mi ze dwie robótki, coby pozeńić kosałkę jednemu z drugim... No pozeńilem, ale jakby nic dalej... A więc nawijasz, że on mnie chciał?

– Tak było. Jeszcze tak gadał: *Ja tego Makarego trzymam w skrytości. To moja tajna broń jako te ognie cesarskie. Jak nim uderzę, to nikt się nie spodziewa. Nawet on sam nie wie, że będzie mi potrzebny.*

Kątem oka Belzebub złowił przerażone spojrzenie. Tryfon Szachista zmasakrowany na miazgę. Najwidoczniej robił u Makarego za niewolnika. I za dziewczkę. Brak kobiet już zaczął psuć krew u niektórych. Dawny zaufany Atanazego jawił się jako obraz skrajnej nędzy, bólu i rozpacz. Napuchnięte oczy, bezkształtny nos, rozcięte łuki brwiowe. Na policzkach ślady zakrzepłej krwi. Jego wzrok błagał o pomoc.

– Chodźże, pogadamy na zewnątrz – powiedział Kalikst. – Mam ci coś do powiedzenia.

Wyszli przed namiot. Belzebub wskazał głową: *Chodźmyż jeszcze dalej. Tam, gdzie kończy się obóz.*

– Można gdzieś tu wino skołować? – spytał. – I coś poszamać lepszego niż ta breja, co nam rozdają?

– Wina w bród. Mięsa, ile dusza zapagnie. Nawet piwo w beczce, jak będziesz miał chętkę. Tylko wiesz... Trza solidy mieć. I nimi ładnie zabrzączyć.

Makary zarechotał zadowolony, że się rozumie ze swoim nowym przyjacielem z Konstantynopola.

– A broń? Można też jakieś ostrze skołować?

Zbir posmutniał.

– Gorzej. Z tym nie idzie. Ostrza nie mam nawet ja. Widzisz, wino i mięso donoszą gady. Jak się z nimi ustawisz, to doniosą wszystko inne. Ale ostrza... Nie. Broni nie chcą opylić, bo wiedzą, że to może być przeciw nim. Że byśmy im kosałki pozeńili, jak tylko nocka zapadnie. No i to prawda przeca, he, he...

Kalikst wygiął usta ze zdziwienia. Przesadnie, niczym aktor w *theatronie*. Jednakowoż byczek wziął to za dobrą monetę.

– No wiesz, przyjacielu – szepnął Belzebub – ja właśnie w tej sprawie. O kosałkę mi się rozchodzi.

– Zapomnij! Gady uparte są i nieprzekupne.

– Jakże to? Ale jeden ma koskę. Ładny kawałek metalu, mówię ci...

– He, he! Nie wierzę. Coś mi tu łżesz, przyjacielu.

– Jak mi Bóg miły! W życiu! Łgarstwa mi nie w głowie. Jeden ma kosałkę. Ładnusi pugiwał, aż dusza się raduje na myśl, coby takim podziargać gadów i porobić tu własne porządki.

Oprych z Cezarei zbystrzał. Zrozumiał, że to już nie żarty, jeno poważna sprawa.

– Który ma? Który ma koskę, co?

– No ten duży... Zwą go Wielka Pięść. A na chrzcie dali mu bodajże Nicetas. Nicetas Wielka Pięść.

Makaremu aż załśniły oczy. Już widział w wyobraźni, jak tłucze łbem tamtego o kamień. I drze się: *Ja tu jestem basileusem! Mnie masz słuchać, koproskilo!*

Zaraz jednak ogniki przygasły. Czoło sfałdowała nieufna myśl.

– Zaraz! A to chyba jakiś twój kompan? Widziałem was razem i to nieraz. No i on chyba też ze stolicy. No, popraw mnie, jeżeli łżę!

– A owszem, on też z Konstantynopola – przytaknął z obojętną miną Kalikst. – To taki przygłup z portu. Znamy się, ale moim ziomkiem nie jest. No cóżeś?! Mam traktować jak swego każdego głąba, co się wylągl w tym samym mieście? Snuje się za mną, gdzie bym nie poszedł. W japę bym mu przydzwonił, ale po prawdzie jakoś mnie bardzo nie zawadza. No i przy tej okazji pokazał mi kosunię. Ale nie chce zdradzić, skąd ma. Jak się pytam, to rechocze i tylko łypie oczami.

– Nie pękaj, przyjacielu. Już ja z niego prawdę wycisnę. Makary ma swoje sposoby!

* * *

Sposoby? Gadanie! Po prostu dopadł go w środku nocy, gdy Wielka Pięść tylko zasnął. Pomagały mu jego zbiry – Brodaty i wodnooki Rus Radymicz. Tamci trzymali Nicetasa za nogi i za ramiona. Makary łomotał swym wielkim kułakiem raz po razie w nos. Tak, by pokaleczyć. Tak, by bolało.

– Brechaj! Brechaj, *koproskilo*, z psiego odbytu gównu, mów! Skąd masz kosałkę? I gdzie ją kryjesz? No, nawijaj! Przed Makarym nic się nie ukryje!

Wielka Pięść nawet nie pisnął. Był kompletnie zaskoczony, nieprzytomny, zaspany. Jucha załala mu gardło, zatkała nos. Prychał, dusząc się. Niechybnie zszedłby, jednak ciosy byczka miały też swój dobry skutek – udrażniały oddech.

Wit Wodnik wył. Wył z wściekłości. Trzymały go jakieś dwa draby. Jego brata – nie inaczej. Waldemar leżał przyciśnięty do ziemi z ustami wypełnionymi suchym piaskiem. Oprychów w namiocie było więcej – Makary zwołał całą swoją bandę. Któryś trzymał pochodnię omiatającą słabym światłem wewnątrz.

Tylko Kalikst stał na boku. Skryty pod płaszczem mroku, niewidzialny. Wolny.

– Cho... jest? Jaką kosałkę? – wystękał z wysiłkiem Nicetas. – Człhowieniu, ja nic nie...

Łup! Łup, łup, łup! Makary nie miał litości.

– Odstąp go! Zostaw!

To ryczał Jałmużnik. Wypluł ziemię z ust, jakoś udało mu się odepchnąć trzymającego go zbira. Szybko dostał za to trzy silne ciosy i już legł bez sił, brocząc krwią.

Makary w jakimś przebłysku głębszej myśli zdał sobie sprawę, że grzmocąc Nicetasa po twarzy, nie wyciągnie prawdy. Pozwolił więc dryblasowi odetchnąć, a nawet splunąć i wysmarkać nos.

Wielka Pięść siadł oparty o maszt namiotu. Mimo krwi zalewającej mu twarz, oczy lśniły dziko pełne furii. Mięśnie rwały się do bitki. Jednak nim obaczył co i jak, już oplotła go lina. Tkwił bez ruchu.

– Dobra, przyjacielu. Pogadamy na spokojnie. Możesz być pewien jednego. Mnie nie omamisz. Ja wiem. Wiem, że kitrasz ostrze. Powiem ci tak: a miej sobie to ostrze. W końcu jesteś nawet swój chłop i nie muszę ci jumać twoich zabawek. Ja tylko chcę wiedzieć jedno. Od kogo masz? Za ile? I jakie jeszcze masz wejścia tutaj? I dlaczego nic o tym nie wiem? Nicetas nie odpowiedział.

– Bo widzisz – podjął Makary po chwili milczenia. – Tak się złożyło, że w tym obozie *basileusem* jestem ja. Ja! Tutaj nic się przede mną nie ukryje. Muszę wszystko wiedzieć. A i kosałka mi przynależna. Diabeł jeden wie, kiedy oddadzą nam naszą broń. Więc brechaj jak na spowiedzi, co masz, gdzie masz i od kogo.

Osilek znów nie wyrzekł ani słowa. Zaczął szarpać oplatające go liny, aż cały namiot zadrgał. Maszty zaskrzypiały, a płótno zafalowało niespokojnie. Makary ruszył, by dosadzić Nicetasowi kolejną pięść.

Belzebub już dłużej się nie wahał. Cicho dobył swej broni. Ostrze puginału natarte węglem z ogniska chlasnęło ramię zbira trzymającego pochodnię. Ten zawył i wypuścił żagiew. Zdrową ręką chwycił tryskającą juchą ranę, światło przygasło.

Trzy skoki i drugi cios. W oko. Makary nie podniósł już swej pięści do ciosu. Krótko ryknął, gdy ostrze noża rozdarło mu oczodół, potem zacharczał i runął jak kłoda w tył. Kalikst wyszarpnął ostrze – teraz już czarno-czerwone, ciachnął Radymicza w gardło. Poszła krew, Rus z bulgotem padł na kolana.

– Zdhrada... Makhary... To zdhrada – wybełkotał i runął twarzą w kurz. Tarzał się w nim, próbując dłońmi powstrzymać buchającą juchę. Wreszcie znieruchomiał.

Brodaty już nie dał się zaskoczyć. Uniósł nawet do ciosu łapę uzbrojoną w kij. Niewiele mu to pomogło. Zaraz dostał kosałkę pod żebro – krótko i płytko. Nie trzeba od razu zabijać, sam się wykrwawi...

Płótno namiotu zadygotało od nagłego ruchu wielu postaci. Napastnicy widzieli, że coś jest nie tak. Coś ich atakuje. Ktoś? Gdzie? Co?! Wit Wodnik nie czekał, co będzie dalej. Ze

zdwojoną siłą naparł na dwóch bandziorów trzymających go za ramiona. Jednego pchnął w tył. Z drugim nie poszło tak łatwo. Drab oplótł ramieniem szyję Żmudzina i zaczął go dusić.

Dostał od Kaliksta kosę w nerkę i padł, charcząc.

Wtedy już ruszył do walki Wodnik. Naparł na drabów trzymających Waldemara. Rozprawili się z nimi w trzy miga. Tego, który próbował przygrzmocić Jałmużnikowi kamulcem wielkości bochna chleba, zdjął w ostatniej chwili Belzebub. Wbił pugnał pod pachę tamtego, a później drugi raz – w łopatkę. Zbir upadł na ziemię.

Po chwili kompani pomogli uwolnić się Nicetasowi. Teraz już nie było przebaczenia. Rozwścieczony Wielka Pięść skoczył na bandę Makarego, sownie rozdając razy. Tylko kości trzaskały, chrupały łamane nosy. Nikt jednak nie krzyknął głośno, nie zawołał pomocy, która i tak by nie przyszła. Słyszał tylko zduszone jęki i rżenie.

Kalikst wycofał się, kryjąc pugnał pod kamieniem kilka kroków za namiotem. Wrócił z długim na łokieć zaostrzonym sękatym patykiem.

Zabił nim ostatniego oprycha, który chwilę wcześniej złapał tłącą się pochodnię i pchnął nią w twarz Jałmużnika.

Waldemar, wyjąc rozdzierająco, skoczył w przód, by obalić zbira. Ten jednak już osunął się martwy na ziemię.

Nicetas sięgnął po żagiew. Jeszcze dawała nieco światła, obficie przy tym kopząc.

– Khijek? Załathwiłeś ich zaostrzonym pathykiem? – zdziwił się, wyszarpując tę zaimprovizowaną broń z szyi bandziora.

– A co? Masz lepszą kosałkę? Tę, za którą lipał Makary?

– Nho... Nie mam. Żadnej kosałki! Makharego chyba osioł w bańkę kopnął. *Gamoto!* Khinol mi połamali!

Odrzucił kijek i chwycił się za nos. Wciąż szła z niego krew, zalewając usta.

– Niezły jest! Niezły jest Kalikst! Kołkiem ich zadźgał, jakby mieczem wywijał! – rzekł z podziwem Wodnik. – O! A jak Makarego przyszpilił. Patrzcie! W oko mu wepchnął!

Jałmużnik też był zachwycony.

– Zasłużył sobie! Dobrze, że ktoś wreszcie tę świnię wykończył! Tu już pół obozu robiło podchody, jak tego ćwoka złomotać.

Belzebub ostudził ich zapąły.

– Doigrał się. Teraz to bez znaczenia. Mamy... Raz, dwa... Sześć trupów. Trzech nawiało, ale jeżeli chcą przeżyć, to zawrą gęby na kłódkę. Tyle że tych tutaj musimy uprzątnąć. I krew zetrzeć, bo zaraz gady się zejda i będzie bardacha.

– Dzięki, ziomek – powiedział Nicetas, gdy już opanował krwotok z nosa. – Kto go tam wie, tego Makarego. Pewno gdyby nie ty, toby teraz tamci nasze trupy wlekli. A ja żem myślał, że ty po jego stronie, nie po naszej. Bośmy tu już szykowali na niego mały wypad. Ale nas ubiegł.

– Nie ma za co dziękować, Nicetas. Tyś zawsze był moim kompanem, co się nie działo. Ale teraz nie trza nam gadać, tylko truchła wynieść.

– To co robimy?

– Z obozu z taką stertą zadźganych nie wyjdziemy. Gady się przyssa i będzie bitka, ale wtedy z patykami nie damy rady. Ale jest takie miejsce... Tam na tyłach, gdzie jeszcze wału nie wzniesli.

– Co to da? Tam Waregi stoją. Zbrojne, przejścia pilnują.

– Nie pękaj! Będzie dobrze. Ty mi, Nicetas, wciąż nie wierzysz! Myślisz, że łzę jako ten Saracen!

Osilek stropił się.

– Nie... Ale... No...

– No właśnie! Niech każdy złapie jednego i obwiąże mu rany, coby jucha nie kapała. Ponieście ich tam, gdzie poprowadzę. Cicho, gęby na kłódkę, no i lipajcie na gadów. No co ty robisz, Wodnik?! Mówilem, baczcie na juchę. Jak który kapie, to szmatą mu ranę obwiązać, coby ślady do nas kogo nie sprowadziły. No to już!

Zrobili, co im Kalikst kazał, i ruszyli chyłkiem w mrok. Szczęście, że odgłosy awantury nie ściągnęły ciekawskiej gawiedzi. Strażnicy też nie zdradzali zainteresowania. Tym bardziej teraz, gdy hałasy ucichły i ponad obozem niosło się jeno brzęczenie cykad.

Belzebub poprowadził kompanów znaną już sobie ścieżką z dala od straży. Jeszcze sto kroków i zobaczyli ognisko Waregów.

– Idziemy! – polecił cicho. – Pochylcie się tylko i mordy w kubeł.

Targali trupy, aż dotarli do skał. To był już kres obozowiska. Po prawej ciągnęły się tufowe ułamki, z lewej zaś – ledwie wykopany rów.

– Zwalcie ich tutaj.

– Co to za miejsce? Rano przyjdą wał sypać, to ich znajdą i na jedno wyjdzie.

– Zrzucaj tutaj i chodu. Nie myśl o tym, co jutro!

Ciała z głuchym łoskotem spadły do dołu.

* * *

Płody! Płody!

Płody?

Nie, to nie płody!

Wątroby!

Czuł ich zapach. Sapał. Kręcił gniewnie głowami. Pluł żółtą śliną, tocząc na boki smród gnijących ryb.

Nie, Purrhos nie jadł ryb. Nigdy, choćby miał cierpieć katusze głodu. Tylko nimi

śmierdział.

Czerwony demon jadł płody i wątroby. Ale te... Te tutaj nie pachniały tak świeżo. Nie! Wątroby nie były żywe. Martwe. Ale jeszcze ciepłe. Jeszcze krew w nich nie zakrzepła do końca.

Strzykając parującą cieczą z żołądka, ruszył tam, gdzie prowadził go zapach. Na dół, za skały. Tam, gdzie w oddali błyskał ogień.

A przy ogniu – oni. Zbrojni. Miecze. Teraz nie było ich zbyt wielu. Mógł poodrywać im głowy i wyrzeć świeże wątroby. Tak, to kusilo. Paru zaspanych, słabych ludzi okrytych metalem. Dwa szarpnięcia pazurem, trzy ukąszenia kłów.

To później. Teraz trzeba nabrać sił, chwytając łatwiejszy łup. Mniej smaczny. Ale po nim przyjdzie czas na lepszą ucztę.

Przemknął z dala od ognia i przywarł do ziemi, nasłuchując. Cisza. Tylko szum owadów. Zapach. Nie potrafił się dłużej powstrzymać.

Szarpał trupy, bryzgając krwią na boki. Wątroby! Były jeszcze ciepłe. Wątroby! Dobre! Smaczne! Sycił się ich aromatem, w którym wyczuwał wino, czosnek i nuty innego mięsa – zwierzęcego. I ta lekka twardość ożywiana wciąż jeszcze świeżą krwią.

Purrhos zawył z rozkoszą. Dobre! Dobre jest i wcale nie zdechłe. Jeszcze ciepłe. Jeszcze żywe!

W podnieceniu wyszedł spod skrzydeł mroku. Wtedy właśnie nadbiegli Waregowie zaniepokojeni dziwnymi odgłosami.

– *Gamoto!* – zaklął jeden. – Co...?! Co to jest?!

Zaraz zjawiał się drugi zbrojny. Krew odpłynęła mu z twarzy, ale stał dzielnie. Gdy opanował mdłości, wyszarpnął miecz i skoczył w dół, prosto na demona.

Bestia zawyla z radości. Jeszcze jedna wątroba! Ciepła! Sama przyszła!

Ciach! Wareg padł bez życia. I bez głowy. Chlast! Wypłynęły wnętrzności. Wątroba!

Drugi strażnik nie ryzykował. Obrócił się na pięcie, a potem gnał w stronę ogniska ile sił w nogach.

– Uciekaj! Chodu!!! – wrzeszczał do kompanów nieświadomych, co czyha na nich w rowie. – Bestia! Zabiła Holmiego! Ratuj życie! Bestia!

Tamci nie od razu uwierzyli. Myśleli: *A może tyś, bratku, zbyt do beczulki się tego wieczora przytulał? Może zbyt doś całował jej szerokie usta? Ich brodate gęby rozciągnęły kpiące uśmiešky: Ten nasz pijus Askold zawsze lubił figle!*

Drwiny wywietrzały im z głów, gdy zobaczyli czerwony łeb. Pozbawiony nosa i oczu, ale za to szczerze użębiony. Z paszczy ciekła krew, a skrawki mięsa dyndały na kłach niczym listki na wietrze. Zaraz wychynęła z dołu druga głowa. Jej nozdrza poruszały się, wietrząc jeszcze więcej wątrób. Oczy błyskały złowrogo jak nocna burza.

A później demon zniknął w mroku.

Po Waregach pozostały tylko strzępy

* * *

Nocne zdarzenia przyspieszyły to, co było nieuchronne. Ledwie wśród ludzi rozeszła się wieść o pięciogłowym smoku, który rozerwał kłami i pazurami, a potem spalił oddechem oddział okutych w zbroje Waregów, do obozu przybyły posiłki. Normañscy najemnicy, którzy swoją siedzibę mieli ćwierć dnia drogi w kierunku Cezarei, nadciągnęli późnym popołudniem. Do wieczora objechali okoliczne wąwozy i pagórki, szukając krwiozerczej bestii. Bezskutecznie.

W tym czasie *stratopedarches* o nazwisku Koifides, dowódca straży wyznaczony jako tymczasowy nadzorca obozu, próbował rozwiązać zagadkę tajemniczego morderstwa rekrutów. To, że się męty brały za łby i wzajemnie wykańczały, nikogo nie dziwiło. Niemal każdego ranka w rowach czy pod namiotami znajdowano świeże zwłoki – sęk w tym, że zazwyczaj przyczyną śmierci było uduszenie, skręcenie karku lub rozłupanie łba kamieniem. Tym razem jednak denaci zostali mistrzowsko zadźgani ostrzem – *stratopedarches* od razu rozpoznał, że w ruch poszedł puginał. To budziło niepokój. Któryś z oprychów miał więc nielegalną broń. Kto i skąd? Tego nie dało się wyjaśnić. Nikt nic nie widział. Nikt nic nie słyszał.

Ponieważ śledztwo *stratopedarchesa* nie przyniosło żadnych efektów, wysiłek dowódców poszedł w inną stronę. Zbrojni zapędzili wszystkich bez wyjątku do sypania wałów. Dzięki temu obóz został umocniony jeszcze tego samego wieczoru.

Nazajutrz przed południem do obozu przyjechał Aleksy Komnen. To on miał pociągnąć najgorsze szumowiny zebrane z całego cesarstwa do zwycięskiego boju przeciwko Seldżukom. Do walki o Antiochię, złote miasto Syrii. Komnenowi towarzyszyli oficerowie, wyznaczeni na *hekatontarchosów* – a więc pogłoski, jakoby Makary miał zostać wodzem setki wojowników, były całkowicie bezpodstawne. W jego świcie znalazł się także niewielki oddział jeźdźców *klibanophoroi*.

– Teraz nas wezmą w obroty... – mruczał Nicetas. – Puszczą bez broni na Seldżuków jak kozy na rzeź...

– Głupoty gadasz – studził jego niepokój Kalikst. – Oddadzą nam broń i wyszkolą. Wyszkołą, tylko jeszcze nie wiem, jak i na kogo.

I miał rację. Po południu przybył niejaki Charyton zwany Scholarem – zarośnięty dziad z długą brodą bełkoczący coś niewyraźnie pod nosem. Jeszcze większe zdziwienie budził orszak, jaki mu towarzyszył. Kilkadziesiąt wozów wyładowanych rurami, syfonami i pakunkami. Za nimi bojowe rydwany. Cała ta karawana z turkotem przetoczyła się główną aleją między namiotami i zniknęła na skraju obozu w cieniu kapadockich skał.

– Coś tu śmierdzi, mówię wam. Coś tu jedzie trupem i stęchlizną – narzekał dalej Nicetas. Odpowiadała mu grobowa cisza.

* * *

– Jestem Tyberiusz. Zwą mnie też Piąchulec. I tak też możecie na mnie wołać: *hekatontarchos* Tyberiusz Piąchulec. Zwróćcie uwagę zwłaszcza na drugą część mojego imienia. Piąchulec to znaczy, że wasze zdanie się nie liczy. Co macie mi do powiedzenia, nie obchodzi mnie ani trochę. Was zaś powinno obchodzić to, żeby nigdy nie poznać Piąchulca od najgorszej strony.

Nicetas smarknął i plunął flegmą prosto pod nogi nowego dowódcy.

Ten zarechotał. Prздеfilował przed setką swoich nowych podopiecznych, nie okazując ani krztyny złości. Znacząco przebierał palcami swej mocarnej łapy, zaciskając, to znów rozluźniając sękatę paluchy.

– Więc tyś jest... Hę, jak cię tam zwą?

– Nicetas. Nicetas Wielka Pięść.

Hekatontarchos wybuchnął szczerym śmiechem.

– Wielka Pięść? Ha, ha! No to trafił swój na swego. Wielka Pięść na Piąchulca. Pokażże tę swoją łapę, niech ocenię, czy nie zwą cię tak na wyrost.

Dryblas wznosił zaciśnięty kułak na wysokość oczu.

Tyberiusz błyskawicznym ruchem wyprowadził cios prosto w żołądek Nicetasa. Osilek zbieleł na twarzy i z jękiem upadł na ziemię. Oczy zaszyły mu łzami.

– Widzisz, z pięściami to nie jest tak jak z kutasem – tłumaczył tymczasem Tyberiusz. – Kutas musi być wielki i powolny. Pięść wielka może być, ale nie powolna. Pięść musi być szybka, zrobić swoje jednym uderzeniem. Czyli inaczej niż kutas, bo nim raz uderzyć to za mało. No co, dobrze mówię, chłopaki?

Stojące w nieco krzywych szeregach oprychy przytaknęły bez entuzjazmu. Setnik prawił dalej:

– Nic ci z takiej łapy, jak jesteś ociążały i mało bystry. Gdy przedłużysz swą pięść ostrzem, to tak samo. Rozmiar ci nie pomoże. Seldżuka byś nie ubił, bo to szybcy diabli, serce by ci zaraz wydarli.

Patrzył, jak Nicetas niezgrabnie dźwiga się na nogi i staje w szeregu.

– I do tego jeszcze kuternoga... – mruknął, widząc nieporadne ruchy osiłka. – Czeka mnie dużo roboty z wami, łązęgi.

Szedł dziarskim krokiem, patrząc każdemu z rekrutów głęboko w oczy. Marsowa mina nie schodziła z jego twarzy, bulwiasty nos wypuszczał ze świstem powietrze. Chyba jednak oględziny wypadły pozytywnie, bo po chwili Tyberiusz przystanął, krzyżując ramiona na piersi i gromko przemówił:

– Odkąd tu przybyliście, zastanawiacie się, co dalej z wami. Po co tkwicie w tym obozie? Po co te wały dookoła? Kiedy dostaniecie broń? Kiedy ruszycie na Seldżuka? Takie pytania

cisną się do waszych głów, a ja na niektóre zaraz odpowiem. Nie na wszystkie. Jeszcze dziś przemówi do was nasz wódz, *Strategos* Aleksy Komnen, który lepiej umie składać słowa i co tam nie wiecie, wam rozjaśni. Co do mnie, to rzeknę krótko: broń dostaniecie i ruszycie na Turka wtedy, gdy nauczycie się, jak walczyć. Tak, bo wywijanie nożykiem w ciemnym zaułku to jeszcze nie wojaczka. Ja was nauczę, jak być żołnierzami. I dla was, i dla mnie lepiej, żeby to było jak najszybciej. Chyba każdy z was chciałby poczuć już smak seldzuckiej krwi, pić ją, zamiast wdychać kurz tego pustkowia. No powiedzcie, czy nie?

– Tak! Tak jest! Na Seldzuka! Krwi! Krwiii! – podniosły się wrzaski.

– Dobrze! – pochwalił obrzymopałów Piąchulec. – Widzę, że przynajmniej ducha bojowego macie, a to najważniejsze. Zanim jednak będzie do was mówił wielmożny Aleksy Komnen, poćwiczmy manewry. Żebyście potrafili stanąć prosto w szeregach i przemieszczać się w nich, nie gubiąc kroku. Przynajmniej tyle na początek.

* * *

Na manewrach minął im czas do wieczora. Był to czas kompletnie zmarnowany. *Hekatontarchos* Piąchulec klął i pluł z wściekłości, wzywał wszystkich świętych, wymieniał imiona wszystkich diabłów. Bezskutecznie. Zbieranina rzezimieszków z całego cesarstwa nie przejawiała chęci do musztry, a wykonywanie rozkazów przychodziło jej niemrawo.

– Co wy mi tu, ociężałe dupy nieruchawe, *koproskilo*, za cieniznę odstawiacie, co to ma, do jasnej kurwy, być?! Ha?! Chcecie jak jakieś Italczyki dupowate, jak niedojdy, co po grecku nie gadają, iść i przed samym *Strategosem* Alekssem Komnensem stanąć. Ja powiem: *Hekatontarchia na prawo, trzy kroki do przodu i stać*, a wy jak woły pójdziecie na lewo dziesięć kroków? Niedoczekanie, łajzy, będziecie tu dreptać w miejscu, aż się nauczycie.

Musiał jednak dać za wygraną. Przyszedł wieczór i obóz załśnił tysiącem pochodni. W oddali zagrały rogi i na ten dźwięk setnik Piąchulec tylko westchnął z rezygnacją.

– No dobra, bando nieudaczników! – ryknął. – Ruszać się! Na prawo i marsz! Idziemy, równo!

* * *

Strategos Aleksy Komnen zaczął bez ogródek:

– Zginiecie! Wszyscy oddacie swe doczesne życie i staniecie nadzy przed Bogiem, który będzie was sądził. Za swe grzechy, tego jestem pewien, traficie do najniższych kręgów piekieł, by znosić najgorsze katusze. Nim was jednak diabli będą w kotłach z wrzącym ogniem gotować, zobaczycie piekło tu, na ziemi. Piekło zesłane przez Szatana: seldzucką nawałnicę, dziką, bezlitosną i pełną pogardy dla nas, chrześcijan. Zginiecie pod jej nożami jak jagnięta na rzeź powiedzione.

Wielmoża potoczył wzrokiem po słuchaczach, patrząc, czy jego słowa mają odpowiednią moc. Miały – w blasku pochodni lśniących wokół jak oczy diabłów widać było zacięte, ponure twarze. Narastająca w nich nienawiść walczyła z ciężącym zniechęceniem. Komnen z zadowoleniem przeszedł do dalszej części swej przemowy:

– Zginiecie, bo jesteście bandą szubrawców i mętów, które nie nawykły do wojskowej dyscypliny. Bo wolicie siedzieć w tawernach i przepijać solidy skradzione spokojnym kupcom, wydarte mieszczkom i zrabowane wieśniakom. Zginiecie, bo brak wam pokory i nie chcecie słuchać swoich *hekatontarchosów*.

Przerwał na chwilę, by podkreślić wagę ostatnich słów.

– *Hekatontarchos* jest dla was jak ojciec. Gdy będziecie go słuchać, przeżyjecie, a przed Bogiem staniecie dopiero jako starcy pobieleni siwizną. Gdy będziecie poważać swoich wodzów, Seldżuk dziki przełęknie się już na sam widok waszych zwartych szeregów, bo w lot pojmie, że ma przed sobą wojowników dzielnych, doskonale wyszkolonych, oddanych swemu panu, wiernych Bogu i ojczyźnie. Pierzchnie, a wy ocalicie swój nędzny żywot. Mało tego! *Basileus* cofnie wam wszystkie wyroki, daruje przewiny, a to, co zdobędziecie na tej wojnie, będzie wasze!

Tu słowa *Strategosa* przerwał wybuch radości słuchających go ochotników. Radości nie do końca spontanicznej, a przynajmniej nie od razu. Setnicy groźnym pomrukiem zagrzewali swoich podopiecznych do odpowiedniego entuzjazmu:

– No, pokażcie swemu wodzowi, jak się cieszyacie! No, okażcie trochę wdzięczności.

Jednako później zachwyty oprychów dla słów Aleksego Komnena płynął już z głębi serca.

– Złoto! Złoto, wino i kobiety! Wszystko dla nas! Niech żyje *Strategos* Aleksey Komnen! Niech żyje!

Wódz uniósł w górę miecz, wtedy radość tłumu sięgnęła zenitu. Zgodny ryk odbijał się echem o skały:

– Antiochia! Antiochia! Złoto!

– Tak, złota Antiochia – ciągnął swą przemowę wielmoża, gdy głosy przycichły wreszcie. – Miasto, w którym od wieków rozbrzmiewała grecka mowa, do czasu aż posiadał ją Saracen. Utrata Antiochii to sroga cena za to, że siedem lat temu *basileus* Roman IV Diogenes powstrzymał pod Manzikert buńczucznych najeźdźców ze stepu. Niestety była ich taka moc, że nawet pobita w Armenii dzicz w odwrocie pochwyciła to piękne miasto. Dziś nadszedł dzień, w którym cesarstwo może pójść o krok dalej. I odzyskać swe dawne ziemie! Najpierw Antiochię i port Saint Simeon, później Laodyceę, Aleppo, Damaszek. Jerozolimę! Będziemy tak zdobywać miasto po mieście, aż odbudujemy cesarstwo w takich granicach, jakim było za czasów cesarza Justyniana!

Gdy to powiedział, zza postumentu, na którym stał Aleksey, wytoczyła się niewielka machina oblężnicza osadzona na drewnianych kołach, pchana z wysiłkiem przez sześciu drabów. Wielkie chłوپiska z mozołem przetoczyły ruchomą konstrukcję na środek placu i tam

pozostawiły.

Wódz odprawił ich krótkim gestem, wtedy zza szeregów wypadł z łoskotem rydwan. Zaprzęgnięty w dwa konie, szczelnie osłonięty kolczugami oraz narzuconymi na nie ciężkimi kapami rwał naprzód po wybojach jak narastająca burza. Powoził brodaty ponurak odziany w długi płaszcz ze skóry, Charyton Scholar.

– Ha! Haa! Haaa! – krzyczał.

Kalikst dostrzegł, że jego płaszcz wykonany z grubej skóry ociekał wilgocią, jakby rydwanik wyszedł właśnie z rzeki po niechcianej kąpieli. Z tyłu jechało na wozie dwóch żołnierzy również odzianych w grube płaszcze z kapturami. Między sobą trzymali długą rurę z miedzi usztywnioną drewnianym drągiem.

Rydwan zatoczył dwa szerokie koła po placu. Scholar wrzasnął swoje *Ha! Haa! Haaa!*, po czym nagle rura plunęła długim strumieniem płonącej lawy.

W szeregach podniósł się szept niepokoju. Rzędy oprychów, którzy niejedno widzieli, zafalowały – trzy tysiące par oczu z przerażeniem patrzyło, jak ognisty język nabiera mocy niczym wąż oplatający tron samego Szatana z piekieł, po czym oderwany sunie w powietrzu, przybierając nagle kształt feniksa frunącego pod niebiosami.

Płynny ogień spadł na maszynę, szczelnie otulając ją płomieniem. Żółtopomarańczowe języki ogarnęły drewno, w ciągu kilku chwil zamieniając wojenną konstrukcję w gorejącą, kopnącą kulę.

– *Gamo! Gamoto!* Istne diabelstwo! Boże pomiluj! – krzyczeli mniej odważni opryszkowie przyzwyczajeni najwyżej do mordobic w miejskich zaułkach, ale nie do rury z piekieł plującej ognistą śmiercią.

Na plac wybiegły osiłki, które wcześniej przytargały maszynę. Każdy z drabów dzierżył kubek z wodą i teraz polewał nią trzaskające płomienie. Na próżno! Zdawało się, że feniksowe języki sięgnęły jeszcze wyżej i liznęły chmury. Pomocnicy biegali tam i z powrotem – od maszyny do koryta, w którym zwykle pojono konie, a potem z pełnymi wiadrami prosto ku gorejącej konstrukcji. Na nic! Ogień szedł w górę i na boki i nijak było go ugasić.

– Sztuczka Szatana! *Gamo!* Przekleństwo! – szemrali rekruci niepewni, czy śnią na jawie, czy zawitali już do piekła.

Strategos stał z rękami założonymi na piersi, z lekkim uśmiechem. Gdy ogień jął przygasać, unióśł dłonie, dając znak, że ma być cisza.

– To, co tu widzicie, to nasza broń tajemna, zwana *igró pyr*, ogniem greckim. Dzieło geniuszu poddanego cesarstwa, inżyniera Kallinikosa, który z Bożą pomocą stworzył cudowną substancję płonąca nawet na wodzie. Ognia greckiego boją się Persowie, boją się Italczycy, Normanowie, Rusowie, Bułgarzy, wszyscy, którym przychodziło na myśl, by uprawiać zbójectwo na ziemiach cesarstwa. Teraz wy dostajecie zaszczytu, by używać tego cudownego oręża. Więcej powie wam o tym Charyton Scholar, nasz mistrz ognioywy.

Na podest wszedł brodacz, już bez grubego płaszcza, i ochryplym głosem zaczął:

– Ogień grecki został podarowany cesarstwu przez Boga ponad cztery setki lat temu. Od tego czasu dzikie narody ze wszystkich stron świata mają szacunek i poważanie dla siły rzymskiego oręża. Nawet nie myślcie, by posiąść tajemną recepturę ognistej substancji! Zna ją tylko Bóg, *basileus* i najwybitniejsze umysły naszego imperium. Już za samą myśl o tym, by wykraść skład mikstury, należą się bity i sypanie soli na żywe rany. Za próby wcielenia tego w życie: śmierć. Śmierć na torturach.

Scholar potoczył wzrokiem po tłumie. Z zadowoleniem stwierdził, że oprychy wyraźnie zmarnotniały.

– *Igró pyr* można wystrzelić z miedzianego syfonu, tak jak widzieliście teraz. Można też ciskać wypełnione nim garnki gliniane, tak by rozpadając się, raniły wroga i oblewały go ogniem. Jest to broń, która pełnię swych zalet objawia podczas oblężeń. Lana z murów na dzicz potrafi zamienić w morze płomieni największe oddziały napastników. Okrutne żniwo zbiera ogień grecki podczas walk na morzu. Zalany nim okręt nie ma najmniejszych szans, by wrócić do portu.

Szeregi zafalowały, zaraz jednak wyrównały się pod razami *hekatontarchosów*. Charyton Scholar przerwał, aż tumult ucichł, po czym prawił dalej:

– Nim ruszycie, by odebrać dzikusom naszą Antiochię, spędzicie w tym obozie jeszcze kilkanaście dni. Będziecie tu tak długo, aż poznacie wszelkie sposoby na to, jak walczyć ogniem greckim i używać tego daru Bożego nie tylko do obrony podczas oblężeń, ale także w trakcie zdobywania twierdz. Jednak musicie zachować należyłą uwagę! Ta broń nieumiejętnie stosowana szybko obróci się przeciw wam, a to prowadzi do klęski.

ROZDZIAŁ 3

– Tędy, panie, zapraszam!

Jan Italos gestem wskazał solidne drzwi z dębowego drewna obite stalowymi sztabami.

Basileus Roman IV Diogenes zmarszczył czoło ze zdziwienia. W starej latarni morskiej na konstantynopolitańskim cyplu Saragikos, teraz domostwie swojego doradcy, bywał wielokrotnie – na ogół po to, by poznać przyszłość odkrywaną przez płomień świec o kształtach demonów. Wtedy jednak szedł zawsze do góry po wąskich kruszejących schodkach do pracowni Italosa, zaś istnienia drzwi prowadzących do jeszcze jednego pomieszczenia dotąd nie był świadom. Dziwne, zważywszy na ich niemałe gabaryty.

– Cóż tam, filozofie? Cóż tam?

– Panie, znalazłem rozwiązanie jednego z naszych problemów. Coś, co pozwoli zapomnieć o ograniczeniach, które wynikają z tego, że przyszłość poznajemy jeno wycinkowo. I że nie możemy ujrzeć jej wszystkich aspektów...

– Masz na myśli to, że wciąż nie wiesz, kim jest skrytobójca i kiedy zaatakuje?

Italos targał brodę, łypiąc przy tym sowimi oczami.

– Hmm... W zasadzie tak, tak to należy określić. Chociaż słuszniejsze byłoby określenie: *przyszłość nie odsłoniła przed nami, kim jest skrytobójca i kiedy...*

– Dobrze, dobrze. Prowadź!

Filozof dobył spod szaty klucz i z niemałym trudem przekręcił go w zamku. Szarpnął za pokryty śniedzią pierścień. Drzwi stanęły otworem, z wnętrza buchnął ciężki zaduch jak z zapomnianego grobowca.

W środku było jeszcze gorzej. Powietrze wypełniał smród gnijącego mięsa drażniący zmysły niczym ostry szpikulec. *Basileus* szedł za Italosem, wpatrzony w nierówny płomień pochodni. Niepewnie stąpał w dół po spiralnych stopniach, płytko oddychając.

– Zapraszam, panie. Do smrodu można przywyknąć, a tam na dole jest więcej przestrzeni, to i powietrze podlega lepszej cyrkulacji. Tu, w przejściu, stoi jak dym w kominie.

Cesarz nic nie odrzekł. Zakrył tylko usta i nos skrajem szaty.

Wreszcie doszli na sam dół. Filozof dobył kolejny klucz i otworzył nim podwójne drzwi pokryte zielonym nalotem.

– To tajne przejście, panie – tłumaczył Italos. – Mało kto o nim wie. A właściwie już nikt.

Niegdyś wiodło na zewnątrz murów obronnych, prosto do wody. Zewnętrzny wjazd był tak dobrze skryty, że nawet podpływając na wyciągnięcie ramienia, nie widać było, co tu jest. Tędy obrońcy Konstantynopola podczas morskiego oblężenia mogli sekretnie wymknąć się do łodzi. To musiało być dawno, jeszcze zanim latarnia na górze popadła w ruinę. Przebudowałem nieco to miejsce: teraz nie ma już wyjścia za mury, są za to obszerne loszki, gdzie chowam swe tajemnice... A teraz, panie, pozwól, że pokażę ci jedną z nich.

Za zielonymi drzwiami znajdował się długi korytarz. Tu znowuż uderzył w nozdrza ostry smród zepsutego mięsa. Narastał, im dalej szli.

– Italosie! – zaprotestował władca. – Gdzie ty mnie wieszysz? Do trupiarni? Do zbiornika z odpadkami z jatki?

Roman Diogenes ze złością naciągnął na nos swój przetykany złotem płaszcz. Szedł za doradcą, obiecując sobie, że jeżeli wycieczka okaże się nic niewarta, skróci gburowatego uczonego o głowę. Zaraz doszli do ostatnich drzwi – zamkniętych tylko na grubą sztabę. Italos uchylił je z widocznym wysiłkiem.

Ze środka wydobył się syk, a później wysoki charkot, od którego cierpła skóra na plecach. Filozof śmiało postąpił w przód, oświetlając loch pochodnią.

W klatce z grubych stalowych prętów osadzonych na niezgrabnie ociosanych kamiennych blokach siedział stwór przypominający nadmiernie rozrośniętą jaszczurkę sięgającą kłębem do ramion dorosłego mężczyzny. Czarną, kostropatą skórę bestii pokrywały ostre jak dziryty kolce, z których sączył się parujący jad. Spośród nich sterczały skrzydła – niewielkie, zbyt krótkie do lotu, jakby doczepione dla kpiny. Masywne łapska pokraki – a były ich trzy pary – nerwowo przebierały, wprawiając w drżenie kamienną podłogę zasłaną potrzaskanymi kośćmi jakichś zwierząt i gnijącymi strzępami skóry oraz włosów. Złe, głęboko osadzone oczy potwora lypały wściekle na boki. Spomiędzy żółtych kłów wionął smród zgniłego mięsa.

Cesarz cofnął się. Na polu bitwy stawał czoła najdzikszy zastęp barbarzyńców z dalekiego wschodu: Persom, Turkom, Pieczyngom, Chazarom, rozrywał gardła lwom i łamał rogi bykom, jednak ta demoniczna bestia wzbudziła w nim strach idący od żołądka do gardła, duszący, łomoczący w skroniach. Roman Diogenes z trudem panował nad odruchem, który kazał mu natychmiast, już teraz, niezwłocznie salwować się ucieczką. Na to jednak nie mógł sobie pozwolić, nawet jeżeli jedynym świadkiem był jego doradca.

– Co... Co to...? Italosie...?

– *Basiliskos*. To jest, panie, cesarz wśród węży.

– *Basiliskos*...

– Tak, panie. Najstraszliwsza bestia, jaka narodziła się na tym świecie. Szatańskie to dzieło, chociaż, śmiem przypuszczać, diabli z piekła mogą ode mnie pobrać wiele nauk. To jest najstraszniejszy, najbardziej potężny *basiliskos*, jaki swoimi krzywymi łapami kałał świętą ziemię. Jest to cesarz wśród węży i jaszczurów, bestia godna was, panie!

Władca cofnął się zmieszany. Gdyby nie okoliczności, przywołałby grubiańskiego

filozofa do porządku. Tak buńczucznie przemawiać do autokratora! Jednak w słowach Italosa musiała kryć się jakaś głębsza myśl.

– Co? Co to ma być?! Mówże!

Mędrzec nie odpowiedział. Miał tego patrzył w rozmarzeniu na stwora, po raz tysięczny podziwiając prężące się pod czarną skórą mięśnie.

– Tylko popatrz na niego, panie. Zda się, jest niezgrabny, nieforemny, jakby diabeł, wypiwszy beczkę wina z piekielnych owoców zła, ulepił go dla zabicia nudy, szukając najbardziej nierealnej i niepraktycznej formy. To jeno pozory! Tylko popatrz, panie! Ciało ma gibkie i prężne. Potrafi wic się niczym wąż, skakać jak małpa, a łapy ma jak lew. Popatrz na te skrzydła! Za małe?! Tak, za małe, by wzlecieć niczym jastrzęb w przestworza, ale nie z ptactwem ma się on równać. Te niezbyt szerokie błony to jego dodatkowe wsparcie podczas walki. Skacząc, zyskuje dzięki nim kilkanaście stóp w górę, wzlatuje nad głowę przeciwnika, by zaraz spaść w dół całym ciężarem swego ciała i rwać pazurami zaskoczoną i przerażoną ofiarę.

– Jestem pod wrażeniem – mruknął niechętnie cesarz. – Ale co mi teraz po takiej bestii? Nie w głowie mi teraz widowiska na hipodromie. Na zabawę przyjdzie czas po zwycięskiej wojnie.

– Nie, panie, to nie dla widowiska. Wierzaj mi, mnie również nie w głowie popisy na arenie, choć twe zadowolenie, jakie zapewnia dobra rozrywka, bez wątpienia także leży mi na sercu. Ale nie teraz! To będzie twój obrońca!

Roman Diogenes zaśmiał się nerwowo.

– Mój obrońca, ha, ha! Dopóki mu w brzuchu nie zaburczy. Wtedy stanę się jego obiadem, przed którym ty będziesz przystawką. Trochę gorzką i szczeciniastą, ale nie wygląda na to, by bestia była wybredna.

Italos jął nerwowo szarpać brodę. Pociągnął nosem, kaszlnął. Nie wiedzieć – z nerwów czy może dopadły go pierwsze objawy przeziębienia od ciągnącego z podziemi chłodu.

– Musisz mu, panie, pokazać, kto tu jest władcą. Musisz mu pokazać swój majestat i siłę, wtedy będzie twoim sługą.

– Ach tak – rzekł z kpiną cesarz. – A więc dobrze!

Podszedł bliżej klatki i krzyżując ramiona na piersi, drwiącym tonem zażądał:

– Bestio, królu węży, złóż mi *proskynesis*! Natychmiast, jakem *basileus Rhomaiôn*, z Bożego namaszczenia władca Cesarstwa Rzymskiego!

Postąpił jeszcze dwa kroki w stronę potwora i wbił w jego oczy stanowcze spojrzenie.

Ślepią bestii miały kolor czerwonego wina połyskującego na dnie pucharu. Lśniły niczym dwa klejnoty porzucone w ciemnościach. Całkowicie nieludzkie, nawet niezwierzęce, obce. Diogenes zamrugał powiekami, uniósł rękę ku skroni, garbiąc się pod nagłym uderzeniem bólu i znużenia.

Jakaś siła jąła go ciągnąć w otchłań. W mroczną czeluść, gdzie nic nie widział, ale

wyczuwał ruch. Tysiące, setki tysięcy długich ciał, płaskich łbów, z których z sykiem wysuwały się rozdwojone języki. Wężę! Oplatały umysł cesarza, wciągając go w czarną głębię, dusząc, odbierając resztki świadomości. Mrok gęstniał aż do barwy smoły, nagle jednak zaczął czerwienieć. *Basileus* stracił dech, wyschnięty język skołowaciał, przed oczami zatańczył mu biały pył niczym popiół z rozsypanego ogniska. Uszy wypełnił szum – jednostajny, lepki, ciężki.

Wtedy zobaczył w ciemnościach drugi – a może ten jedyny prawdziwy – łeb stwora. Pięciokrotnie większy, nabity nieregularnymi guzami i kolcami wznosił się ponad korpusem bestii – nierealny, jakby *basiliskos* stanął na tle jakiegoś mglistego malowidła. Wykrzywiona wściekle paszcza uzbrojona w rząd lśniących kłów pochyliła się, by zatopić je w bezbronnej duszy cesarza.

– Panie, nie! – zakrzyknął Italos i pochwywszy władcę za łokieć, energicznie szarpnął go w tył. Brutalnie, ale skutecznie. Roman IV zatoczył się jak pijany, zaskrzeczał i padł bez sił w ramiona filozofa.

Mędrzec odciągnął swego pana w bezpieczny kąt, gdzie *basiliskos* nie sięgał wzrokiem, a i smród gnijącego mięsa był mniejszy.

Gdy Diogenes doszedł do siebie, uczony jął tłumaczyć:

– Panie, nie zdążyłem cię ostrzec! Nie można mu patrzeć w oczy. Nie wtedy, gdy człowiek jest na to nieprzygotowany. Wzrok bestii to obok jego mocarnych łap i pazurów jeszcze jedna broń. Zniewala nim nieostrożne ofiary, które podejść zbyt blisko i okazać zbyt dużą ufność. Jest podstępny, jak na cesarza węży przystało, więc podchodząc do niego, trzeba mieć umysł osłonięty jak rycerze osłaniają swe ciała zbroją.

Basileus patrzył na swego doradcę zubożniały, łapczywie łykając stęchłe powietrze, które teraz miało dlań świeżość morskiej bryzy. Otworzył usta, by coś rzec, jednak skołowaciały język odmówił posłuszeństwa. Roman IV wybełkotał tylko kilka niezrozumiałych słów i zamilkł, krztusząc się z braku śliny.

Jan Italos pociągnął władcę w stronę wyjścia.

– Musisz przepłukać gardło świeżą wodą, panie.

* * *

Gdy cesarz doszedł do siebie, *Konsul Filozofów* zaczął tłumaczyć:

– Nie zdążyłem, panie, powiedzieć ci o tym, jak straszna jest to bestia. Gdybyś sam wpadł w sidła jej wzroku... Cóż, nic by ci nie pomogło. Ale spójrz na to z innej strony. Wyobraź sobie, jak *basiliskos* zniewoli twoich wrogów. Zanim ich rozszarpie pazurami lub zadusi swym węzowym ciałem...

Roman IV Diogenes wlał zawartość złotego kielicha do ust. Kolejny puchar wina przyniósł ukojenie zaschniętemu gardłu i uspokoił nerwy.

– Czuję się jak zwykła mysz opleciona przez węża, wciągana do wnętrza ziemi, do gądziej dziury. Ja, autokrator, władca Imperium Rzymskiego stłamszony niczym byle kmiotek, strachliwy i bez ducha. Owszem, masz rację, to straszny stwór, nawet nie dlatego, że cuchnie zgnilizną i potrafi wlecieć na dwadzieścia stóp nad głową ofiary, po czym szarpać ją pazurami. On wysysa umysł, dusi myśli i odbiera chęć do walki.

– O tak, panie. Zatem sam widzisz!

Nagle cesarz przybrał inny ton. Ostrem głosem skarcił Italosa:

– Ale dalej nie rozumiem, jak ty sobie wyobrażasz, że to piekielne bydlę miałoby przemienić się w mojego obrońcę. Nie sadzę, by ugięło się pod siłą mego majestatu. Więc mów, Italosie, i nie kręć, bo już tracę cierpliwość!

– A więc, panie, żeby opanować jego moc...

– Nie! Czekaj! Jeszcze jedno chcę wiedzieć, zanim powiesz mi o opanowaniu jego mocy. Skąd ty żeś w ogóle tę bestię zdobył? Tylko nie mów, że nabyłeś od syryjskiego kupca na targu albo dostałeś w podarunku od innego takiego szarlatana jak ty...

– Nie jestem szarlatanem, panie! A *basiliskosa* nie kupiłem i nie dostałem, lecz przywołałem.

– Przywołałeś skąd? Z otchłani piekieł?

– W istocie... Można tak rzec. W gruncie rzeczy, prawdę mówiąc, nie wiem.

– Jak to nie wiesz?! – wykrzyknął władca.

– Nie wiem, skąd pochodzą *basiliskosy*. Powiadają, że rodzą się z mroku i węzowej śliny w podziemnych jaskiniach Kapadocji. Inni utrzymują, że ich ojczyzną jest Armenia, gdzie przychodzą na świat w gniazdach orłów z podłożonych jaj węża. Ich pierwsze śniadanie to ptasie pisklęta przebijające swe skorupki. A gdy orla matka nadciąga z odsieczą, i ona staje się posiłkiem *basiliskosa*. Inni jeszcze wywodzą żywot tego stwora z Cyrenajki i wedle mojego przekonania...

Cesarz machnął dłonią w zniecierpliwieniu.

– Dość! Zamilcz! Nie czas teraz na bajki! Miałeś wyjaśnić, jak sprawić, by bestia została moim sługą.

– Pytałeś, panie, skąd pochodzą *basiliskosy*. Toteż odpowiadam...

– Mniejsza z tym! Mów, co zrobić, by mieć stwora na swe usługi.

– Trzeba wytrzymać jego spojrzenie. Pobić go w świecie, jaki otwiera jego wzrok. Raz złamany będzie ci zawsze służył i bronił cię przed wszelkim złem.

Roman Diogenes mimowolnie zadrżał.

– Jak?! Ledwie uszedłem z życiem przygwożdżony jak kurczak pod pazurami krokodyla. Bez magii nie idzie znieść spojrzenia tego twojego *basiliskosa*!

– Magia, jaką znam, nie jest w stanie nic zdziałać. Mniemam, że żadna znana ludzkości magia nie jest w stanie zabić bestii, przynajmniej nie dzieje się to ot tak, bez niczego. Jednak węża można pokonać wężowym sposobem. Podstępem i odwagą. A tej, panie, tobie nie

brakuje.

Cesarz przytaknął w milczeniu, inaczej wszak nie uchodziło. Jednak w duchu czuł co innego: wiedział, że Italos bierze go pod włos. Nie mógł przecież przyznać, że na myśl o tym wężowatym stworzeniu z widmowym łbem paraliżuje go strach.

Filozof najwyraźniej wyczuł wahanie w zachowaniu władcy. Zerwał się jak wystrzelony z procy, po czym dziarsko pobiegł po schodkach do górnej pracowni.

– Panie...! Zakończmy to teraz! Raz a dobrze! – krzyczał z piętra. – Mam tu coś, co rozwiąże ten problem.

Zszedł, niosąc gliniany dzban przykryty czarnym kawałkiem materiału. Postawił go na stole i rzekł:

– Panie, musisz mi zaufać. To, co teraz zobaczysz, może cię zaniepokoić i zrodzić rozmaite podejrzenia. Jednak to jest jedyny sposób, by okiełznać kostropatego stwora i zdusić jego moc.

Italos szybkim ruchem odkrył dzban. W środku siedział wąż – biały jak mleko, zwinięty w kłębek. Filozof postukał w ściankę naczynia – łeb zwierzęcia uniósł się w gniewie, zielone oczy zalsniły jak małe szmaragdy.

– Jego jad nie jest śmiertelny, ale ma bardzo silne działanie. Należy tylko poddać się temu, co niesie, a potem... Potem tylko musisz, panie, poczuć w sobie prawdziwego władcę i zdusić spojrzenie *basiliskosa*.

– Zaraz, zaraz! Jak to jego jad? Co ty, knujesz, Italosie?! – Władca spojrzał na niego podejrzliwie.

– Musisz dać się ukąsić. Samemu stać się wężem, chociaż na chwilę. A później zabić dumę wężowego cesarza, okazując mu swój ludzki majestat.

W pierwszym odruchu Roman Diogenes chciał wyszarpnąć zza pasa pozłacany puginał i dźgnąć nim Italosa prosto w serce. Za taką zuchwałość, graniczącą ze zdradą. Za takie słowa, których nigdy nie należy wymawiać wobec autokratora. Zaraz jednak uszła z niego para i poczuł graniczące z pewnością przekonanie, że jednak mędrzec ma rację. To nowe uczucie zaskoczyło go – złość była wygodniejsza i bardziej naturalna. Roman Diogenes podszedł z niechęcią do glinianego pojemnika i wpatrzył się w ślepią białego węża.

– Dziwny... Nigdy takiego nie widziałem. Skąd go masz? – zapytał, jednak zaraz zakrzyknął na myśl, że Italos rozpocznie kolejną opowieść bez końca: – Nieważne! Daj mi go. Niech będzie, co ma być. I powiedz, co dalej.

* * *

Zielone oczy zalsniły. Poczł delikatne ukąszenie – jakby komara, nie węża. Spojrzał na rękę. Nie było śladu zębów, tylko lekkie zaczerwienienie.

Zielone oczy lśniły i rozszerzały się jak szmaragdowa gwiazda, która nagle rozbłysła na

niebie. Miarowe migotania drażyły w duszy cesarza małe korytarzyki, węzowe przesmyki, a przez nie wyciekała jego świadomość. Poczul ciężenie w głowie i cichy gwizd. Świdrujący dźwięk złączył się w jedno z zielonymi błyskami, budząc ból – dudniący, monotony, narastający znad karku.

– Italo... – wystękał tylko. Język mu skołowaciał, łoskot pod czaszką sięgnął apogeum, brzmiał jak lawina głazów spadająca w górach starej Grecji.

Ty zdrajco! – chciał powiedzieć. Krzyczał w myślach: – *A więc jednak! Otruleś mnie! Biały wąż to zabójca! Pewno to on jest tym skrytobójcą, którego mi zapowiedziałeś. To ty jesteś spiskowcem, a twoja śliska, mała bestia barwy mleka jest moją śmiercią! Bądź przeklęty!*

Zobaczył obraz, jakiego nie chciał nigdy widzieć. Widział samego siebie na jakiejś zagubionej wyspie na Morzu Egejskim, na kamienistym spłachetku lądu zalewanym zewsząd słonym, wściekłym morzem. Był ślepy. Z pustych oczodołów sączyła się cuchnąca żółtawa ropa. I zaraz inny obraz: Michał Dukas na cesarskim tronie. I jego śmiech: *Ha, ha, ha! Uzurpator Diogenes wreszcie trafi tam, gdzie jego miejsce. Do ryb jako pokarm, niechże obgryzą jego stare kości. Przegrał pod Manzikert i odtąd już nic nie znaczy. Ja jestem władcą!*

Widzę to, co miało się stać siedem lat temu, gdyby nie proroctwa Italosa – pomyślał basileus. – Ale przecie filozof zdradził, pokazał swą podłą twarz i podsunął mi białego węża.

Nagle wszystko minęło, jakby Saracen ciął mieczem. Ból odszedł. Złe myśli pierzchły. Tylko nie ustało falowanie. Fatamorgana jak na pustyni, gdzie demony przeinaczają rzeczywistość.

Wtedy zaczęły nim targać zgoła odmienne uczucia. Siła. Moc. Pewność siebie. Radość. Euforia.

Postąpił chwiejnie kilka kroków w przód, w stronę klatki *basiliskosa*. Bestia dyszała gniewnie, a nad nią unosił się widmowy łeb szczerzący wielkie kły niczym smok z Kitaju.

Teraz jednak zaszła w niej jakaś zmiana, co cesarz dostrzegł dopiero wtedy, gdy zimne pręty klatki ochłodziły mu czoło. Wielki czerep stwora przypominał drewnianą maskę, sceniczny rekwizyt komediantów rozbawiających gawieź na hipodromie w przerwach między rozgrywkami w *tyzkanion*.

– Ha, ha, ha – zarechotał blaszanym głosem Roman Diogenes, wyciągając dłoń przez pręty. – No dawaj! Chodź tu!

Czerwone oczy cesarza węży wyglądały teraz jak namalowane. Jakby ktoś postawił pędzlem dwie plamki na wazie zdobnej w kształty stworów z dawnych opowieści. Pozbawione blasku, bez siły już nie przerażały. To jeszcze bardziej rozśmieszyło władcę.

– Zbliź się! Rozkazuję ci!

I o dziwo, stwór podszedł bliżej pewien swojej mocy i panowania nad człowiekiem. Kiwał widmową głową i wybałuszał ślepią, jakby głos natury wciąż łudził go, że tak może

pokonać autokratora, *basileusa* imperium.

– Zbliż się, zbliż... – szeptał Diogenes.

Widmowe ciało bazyliuszka oddzieliło się od ciała ziemskiego – już nie tylko łeb, już nie tylko wielka paszcza z kłami i ślepia. Oddzieliła się także giętka szyja, korpus, skrzydła i masywne łapy. Diabelskie stworzenie uniosło kończyny, by zadać śmiertelny cios pazurami, by szarpać i rwać.

– Wyglądasz jak zabawka z Kitaju... Nie zdołasz mnie pokonać – wybełkotał cesarz, czując nagły przypływ mocy. Tak silny, że aż poczuł mrowienie, a język wysechł mu niczym łodyga ostu na anatolijskim pustkowiu.

Wbił wzrok w oczy *basiliskosa*.

Nagle ciemny loch zawirował, a czerń podeszła krwistą czerwienią. Ta zaraz pojaśniała, przechodząc w porfirowy róż, potem w biel. Roman oślepił na chwilę. Świat wokół zawirował, kamienna podłoga wygięła się, falując niespokojnie.

Padł na plecy z krzykiem uwieczonym głęboko w gardle.

Gdy wstał, piwnica zniknęła. Miast niej była pustynia – wysuszona połać spierzchniętej żółtoszarej ziemi ciągnąca się aż po horyzont. W oddali ledwie dostrzegał niewysokie góry. Z nieba bił blask nienaturalnie wielkiego słońca. Gorąco. Duszno.

Gdzie jestem? – usłyszał własną myśl. Zaraz w jego duszy zabrzmiały inne słowa: – *Zabij! Tnij! Bez litości.*

Naprzeciw niego stała bestia. *Basiliskos*.

Bez widmowej głowy. Bez drugiego ciała.

W swej dłoni władca ujrzał miecz. Piękny, z białego metalu, o rękojeści misternie rzeźbionej na kształt głowy zielonookiego węża. Nie myśląc długo, wziął zamach i natarł na stwora.

– Giiiin!!! – wrzasnął.

Basiliskos podskoczył, wzlatując w górę na swych małych skrzydłach. Ledwie uniknął draśnięcia ostrzem. Diogenes natarł na stwora, z zapamiętaniem młócąc mieczem.

Słońce wypalało myśli. Pozostała tylko czysta nienawiść.

Dwa kwadransy później cesarz oparł stopę na uciętym łbie *basiliskosa*. Patrzył, jak czarna krew cesarza węży wsiąka w spragnioną ziemię pustyni.

– Pokonałeś go, panie – usłyszał jakiś głos z oddali. – Pokonałeś go, jest już twoim sługą...

Roman Diogenes poczuł zawroty głowy. Padł przed siebie, wprost na nieruchome cielsko pokonanej bestii.

* * *

Jan Italos pochylił się nad kamienną skrzynią. W środku dwanaście białych węży

o zielonych ślepiach wygryzało swoje korytarze w stygnącym ciele niewolnika. Otwarte prawe oko martwego Nubijczyka wciąż patrzyło ze strachem i bólem, paniką i przerażeniem. Lewe oko zniknęło właśnie w przetyku wygłodzonego gada. Drugi wąż już wpełzał przez oczodół do środka głowy, by wysssać mózg.

– Moje małeństwa – rzekł filozof z rozczuleniem. – Jedzcie, jedzcie...

Posłyszał nagle dobiegający gdzieś z góry łomot. Miarowy, głuchy dźwięk.

– Co to, do diabła...?

Stukot. Silny, ale jakby płaski, drewniany.

Ktoś thucze w drzwi – zrozumiał wreszcie wyrwany z wyższych myśli Italos.

Zaklął pod nosem i niechętnie oderwał wzrok od swych małych ulubieńców. Zamknął piwniczną komnatę i z niechęcią poczłapał na górę.

Łomotanie nie ustawało.

Przed wejściem stał mały człowieczek, właściwie karzeł. Ubrany był fantazyjnie na modłę żydowską.

– Witaj, panie – rzekł przybysz. – Jestem Jeroboam Joab z Jaffy, do usług. Moim panem jest...

Filozof przerwał mu.

– Nie, nie, Żydku! Nie potrzebuję twoich towarów! Idź do portu albo na targ, tam znajdziesz chętnych, by kupić twoje świecidełka.

Karzeł niezrażony ciągnął:

– Moim panem jest Aaron Joakim z Geth, kupiec bronią, złotem i klejnotami.

– Nie, nie, nie! – zaprotestował Italos. – Nie potrzebuję ani broni, ani złota, ani klejnotów. Precz!

Niewielki człowieczek nie dał się zbić z tropu.

– Panie! *Basileus* jest w niebezpieczeństwie! Grozi mu śmierć!

– Brednie... – mruknął mędrzec bez przekonania. Dłuższą chwilę lustrował przybysza, obracając w ustach syczące przekleństwa. W końcu jednak uchylił szerzej drzwi. Skinął brodą, nakazując mu, by wszedł.

– Mój pan, Aaron Joakim, jest wdzięczny *basileusowi*, że nas, Żydów, traktuje dobrze jak żaden inny władca cesarstwa – tłumaczył Jeroboam, stojąc w progu komnaty. – Nie zakazuje modlitw, nie zakazuje handlu i nawet dozwolił, byśmy w obrocie mieli broń i wszelkie inne cenne dobra, które wcześniej sprzedawać mogli jeno Italczyki.

Filozof słuchał w milczeniu. Bacznie obserwował niskiego człowieczka, wietrząc jakiś podstęp. Ale nie. Karzeł nie wyglądał groźnie, nie nosił też przy sobie broni, no bo jego niewielki kindżał przesadnie wysadzany drogimi kamieniami był raczej dworską błyskotką dla gnuśnych wielmożów. Do rozcinania papieru, ale nie do zabijania.

– Dobry *basileus*, to i my lojalni i pokorni wobec tak zacnego władcy. Pan mój wozi najlepszą broń z Damaszku, Jerozolimy, nawet z Kitaju, najlepszy sort i jakość. Pewnego dnia

do pana mego, Aarona Joakima, przybyli niezwykle podejrzani goście. Dwóch ich było: starzec i bardzo młody. Nie interesowały ich miecze ani szable, ani toporki i kiścienie, nasze najlepsze towary, lecz puginał. Nie chodziło im o zwykłe ostrze. *Potrzebne nam magiczne ostrze, którego przełknę się demony* – rzekli. – *Które da nam taką moc, że demony strażnicze ogarnie strach, a ich moc straci swą siłę.* I tak mówili, mówili bez końca. Pan mój, Aaron Joakim, od razu zwietrzył, że to nikkzemnicy i podłe kanalie. Miał u siebie taki puginał, a jakże, zdolny zamienić wściekłość demonów w lęk i przerażenie. A jakże! Ale nie sprzedał im tej broni, gdy zaś odeszli, tak mi nakazał: *Idź za nimi i nasłuchuj, co mówią.*

Karzeł przepłukał gardło kielichem wina podanego przez Italosa, po czym opowiadał dalej:

– Poszedłem więc. Nie jestem duży, więc łatwo mi się skryć. Śledziłem ich aż do tawerny, gdzie siedli w kącie i jęli spiskować. *Nie będę ryzykował* – powiada jeden, ten młodszy. – *Bez broni, która nie pokona strażniczych demonów Diogenesa, nie zbliżę się nawet na krok do jego pałacu. Nie zabiję go.* A stary rzekł wtedy: *Musisz zaryzykować. Jak będzie trzeba, oddasz życie. Ale cesarz musi zginąć. Musisz go zabić!* Z dalszej ich rozmowy dowiedziałem się wszystkiego. Wiem, kim są, co chcą zrobić, nie wiem tylko, dlaczego knują przeciwko naszemu dobremu władcy. Żem Żydek, to nie szedłem do pałacu, by się nie tłumaczyć po stokroć strażnikom i logotetom. Aaron Joakim wskazał mi ciebie, panie, i powiedział: *To mędrzec i najwierniejszy druh i doradca basileusa. On nie zawiedzie.*

– Dobrze, Jeroboamie – rzekł po dłuższej chwili milczenia Italos. – Twoja opowieść niezwykle mnie poruszyła. Powiedz zatem, kim są owi spiskowcy.

– Ten młody zwał się jak jakiś diabeł. Belzebub. Tak, Kalikst Belzebub! To on miał zabić. A ten stary, który namawiał do zbrodni, ujawnił swe imię jako Atanazy Meklidos. To miejskie złodziejaski, szumowiny okradające uczciwych kupców, a najgorszy jest ten stary. Oba już nieraz dały się we znaki naszym przyjaciołom z kupieckiej domeny. Do nas przyszły, bo nam byli dotąd nieznani. Ale popytałem u innych negocjantów, co z Jerozolimy i Sydonu przybywają do Konstantynopola. Ten stary ma tu w mieście przebogate domostwo. A młody to nie wiem, uciekł gdzieś ani chybi. To bezwzględne oprychy, więc, panie, ratuj władcę!

* * *

Gdy Jeroboam wyszedł, Italos sięgnął do wiklinowej skrzyni stojącej w kącie komnaty. Grzebał w niej, szukając świecy o właściwym kolorze. Wreszcie znalazł – miała barwę nieba, jakie widać z przystani przed sztormem. Kształtem zaś przypominała demona o głowie ryby i ludzkich nogach.

Filozof zatrzasnął okiennice, zamknął drzwi i przytknął ogień do knota. Pomieszczenie wypełnił niebieskawy dym wijący się w kłębach pod sufitem. Coraz głębsze chmury przysłoniły ściany, przykrywając cesarskiego doradcę gęstą powłoką sinej mgły.

Woskowa rzeźba drgnęła, rybi człek poruszył ustami, ściągając lekko płetwy. Błękitny płomień nieco zbiałał.

– Kalikst... Kalikst Belzebub... – wyszeptał Italos.

Wizja przyszła szybciej, niż się spodziewał. Zobaczył zabójcę, o którym mówił Żyd. Młody mężczyzna, potargany, brudny i pokryty ranami. Leżał skulony na dnie jakiejś jamy, prawie nagi, odziany jeno w brudną opaskę na biodrach. Wylot dołu osłaniała gruba krata z drewnianych drągów powiązanych rzemieniami. Wszystko wskazywało na to, że hultaj się dograł. Zapewne wpadł na kradzieży, teraz tkwi pobity w loszku u jakiegoś pana. To raczej nie był ten tajemniczy skrytobójca, za którym stały siły demonów.

– Pewnie łotrzyk spiskujący z Italczykami – mruknął. – Jak to Wenecjanie. Najprościej wynająć miejscowego skrytobójcę, a jak się nie powiedzie, to oni są czyści...

Italos odgarnął ręką kłęby dymu i podszedł do skrzyni. Nie szukając długo, wydobył stamtąd drugą świecę – czerwoną, prostą i gładką, płonąca pomarańczowym ogniem. Postawił ją obok poprzedniej i zaczął deklamować:

– *Atar. Atar. Atar. Zurwan...*

Wtedy zobaczył przyszłość. Kalikst Belzebub stał obok kata odziany w poszarpane łachmany. Tak samo brudny, obity, o twarzy skrytej pod skudłonymi włosami. Mistrz topora ostrzył swoje narzędzie spokojnymi, długimi ruchami. Tłum wokół podestu z pieńkiem ryczał w zniecierpliwieniu.

– Kacie! Nie zwlekaj! Utnij mu łeb i rzuć na pożarcie psom!

– Zabij go! Nie ostrz, tylko już zabij!

Mistrz małodobry nie reagował na te zaczepki. Spokojnie robił swoje. Wreszcie jednak gawieź doczekała się widowiska. Zakrwawiona głowa opryszka spadła w błoto, gdzie natychmiast zaczęły ją obracać wygłodniałe kundle.

Filozof zgasił czerwoną świecę.

– Czyli dogra się za swoje czyny... – mruknął do siebie. – Prawdę rzekł Żydowin. Jednak widać, że ten jest niegroźny i nie pożyje już długo. Zobaczymy, jak ten drugi. Atanazy.

Tu Italos ujrzał zgoła inny obraz. Zobaczył dostatnio odzianego starca o zaciętej twarzy, z głową okrytą lekkim hełmem. Mężczyzna z dzikim blaskiem w oczach wywijał kiścieniem, próbując nim trafić w niewidzialnego przeciwnika.

– Zabiję...! Zabiję cię! – burczał niewyraźnie pod nosem. – Dla władzy zrobisz wszystko... Każdą nikczemność! Ale dość już tego!

Starzec z dziką furią wyprowadził serię uderzeń, tnąc powietrze, aż buczało.

– Ciekawe... – mruknął doradca *basileusa*. Odpalił czerwoną świecę i znów ją przywoływać przyszłość.

Zobaczył Atanazego Meklidosa w konstantynopolitańskim porcie, jak rozmawia z jakimś obwiesiem. Stali na pustym nabrzeżu z dala od gawiedzi. Tamten nie wyglądał na przyjemnego lekkoducha – orlą twarz krył pod czarnym, wyblakłym nieco od słońca

kapturem. Bawił się puginałem, kręcąc ostrzem młynka. Słuchał słów starca, potakując niechętnie.

– Metafrastes zapłacił najwyższą cenę... Ta śmierć była niepotrzebna, ale prawda jest taka, że to ja za nią odpowiadam...

Italos popadł w zadumę. Metafrastes? Sergiusz Metafrastes? Czy nie tak zwał się ten logoteta z cesarskiego dworu zamordowany niedawno w nie do końca wyjaśnionych okolicznościach? Tak, to był on. Wszystko zaczyna do siebie pasować. Stary go zabił albo najął jakiegoś zbira, a teraz chce wrazić ostrze w serce cesarza.

Czy ten w czarnym kapturze to mógł być tym tajemniczym skrytobójcą? Wielce prawdopodobne... Filozof nabierał coraz większej pewności, a brakujące elementy układanki zaczęły do siebie pasować. Trzeba zawiadomić *basileusa* i podjąć stosowne kroki!

Zdmuchnął świecę i mrużąc oczy od dymu, wyskoczył na rozpaloną słońcem uliczkę biegnącą przez cypel Saragikos.

* * *

Metody jak zwykle czekał przed wyjściem z łaźni. Wygrzebywał końcem noża brud spod paznokci, gapiąc się na przechodzące kobiety.

Gdy na szczycie schodów stanął Eutymiusz, karzeł schował ostrze. Począł, aż jego pan pożegnał się z Teoiletem Mędrzem, po czym wykrzyknął rozentuzjzmowany:

– Pojmali Atanazego! Już go mamy z głowy!

Twarz Eutymiusza przeciął przebiegły uśmiech.

– Straż? Pojmała go straż?

– Tak, tym razem nie miał kogo podstawić. Szachista na wojnie, to i Atanazego pojмали. Capnęli we czterech, skuli łańcuchem i powiedli do pałacu. Do więzienia. Tym razem posiedzi, a może go nawet też wezmą do wojowania z Seldzukiem. Dobra nasza i nasze szczęście!

Szli Mese, roztrącając tłum. Z tego przejęcia Metody zapomniał nawet o skarbach, które ich otaczały. Nie interesowały go tym razem dobra na straganach kupców, nie wyrysowała mu się nawet w głowie mapa fantów do zwinięcia, która nigdy nie pozwalała karłowi przejść swobodnie przez środek miasta.

– Wybornie, wybornie... – powtarzał z zadowoleniem Eutymiusz. – A zatem nic już nie stoi na przeszkodzie, bym przejął pełną władzę nad gildią. Nawet jeżeli wypuszczą Atanazego, w co nie wierzę, ale kto wie... Nawet wówczas nie będzie miał szans na utrzymanie władzy. Powtarzające się incydenty podkopały jego prestiż w radzie gildii. Teoilept Mędrzec zapewnił mnie, że mam już większość. Nikt już raczej nie będzie obstawał za Atanazym, a gdyby nawet... Nieobecni nie mają racji, a tych, którzy będą robić problemy... urobimy.

– Pewno! Mam jeszcze jeden koncept na takich, co robią problemy. Szpiegostwo!

– Szpiegostwo? Że oskarżysz kogoś o sprzyjanie Seldżukom? Aleś wyдумаł! To pierwszy spośród sposobów, sprawdzony i uznany.

– Ano jasne! Mam już w zanadru wszystkie argumenty, jakby trza było. Tylko podłożyć to i owo, mały donosik i...

Zawiesił znacząco głos, zaciskając przy tym pięść.

Eutymiusz pokręcił głową.

– Nie, nie przewiduję problemów. Będę miał większość. Gildia będzie moja!

– Wielki mistrz gildii złodziei w Konstantynopolu! – wydekłamował uroczyście Metody.

– To brzmi tak dumnie, że aż mi się łezka w oku kręci na myśl, że to dzięki mnie i moim zasługom...

Słyszając to, Eutymiusz z niechęcią sięgnął do mieszka zawieszzonego u pasa. Wydobył stamtąd dziesięć złotych monet i podał Metodemu.

– Mały krwio pijca! Masz na razie tyle, resztę dostaniesz po radzie. Jak już zostanę jedynym panem gildii.

* * *

Zaskrzypiało. Krata poszła w górę podniesiona przez stękające liny. Do dołu wpadła sznurowa drabinka.

– Wychodź! – rozkazał *hekatontarchos* Tyberiusz Piąchulec.

Kalikst nawet nie drgnął. Leżał skulony, ignorując dowódcę.

– Wychodź, powtarzam! I powtarzam to po raz ostatni, bo możesz zostać tu na dłużej. Na dużo dłużej. Na zawsze. Przykryjemy ci to przytulne miejsce kamieniami i ziemią, żeby słońce zbytnio nie grzało.

Belzebub niechętnie uniósł głowę. Dwa dni, które spędził w polowym areszcie, sprawiły, że jedyne, co czuł, to obojętność i rezygnacja.

Niemniej wciąż potrafił sobie wyobrazić lepsze miejsca niż dół przykryty drewnianą kratą. Dźwignął się z ociąganiem, sycząc z bólu. Obite plecy zapiekły go chyba jeszcze bardziej niż wtedy, gdy zbierał razy.

Schwycił koniec drabinki i jął powoli iść do góry. Mrużąc oczy, wypełził na powierzchnię. Tam zaległ.

– No, widzę, że jednak nie zgłupiałeś tak do końca – rzekł Piąchulec. – Jeszcze masz w sobie wolę przetrwania. To dobrze rokuje na przyszłość, bo w mojej *hekatontarchii* nie ma miejsca dla przegranych i nieudaczników.

Kalikst leżał bez ruchu, ciężko dysząc. Tyberiusz sięgnął po bukłak. Wylał kilka kropel na czoło swojego niesubordynowanego żołnierza. I jeszcze kilka, ale nie za wiele. Belzebub machinalnie zliznął rześką ciecz, wreszcie wyciągnął rękę po więcej.

Piąchulec dał mu pić. Odczekał, aż rekrut pociągnie kilka długich łyków, po czym rozkazał:

– Wstawaj!

Belzebub powlókł się za dowódcą, z niechęcią słuchając, co ten ma do powiedzenia.

A ten prawil:

– Gdyby nie szczególne okoliczności, za taki występek czekałaby cię kara śmierci. Zabiłeś cesarskiego żołnierza, swojego druha na wojnie! I za co? Za nic, wystarczyło, żeśmy wam oddali skonfiskowaną wcześniej broń.

Kalikst splunął, wypychając z ust kurz i drobny piasek.

– Nie za nic – wystękał z wysiłkiem. – To bydlę już dawno sobie zbierało, bo...

– Zamknij się! To mnie nie obchodzi! Powiem ci jedno: łeb ocaliłeś tylko dlatego, że nie był z mojej setki. Gdybyś zadźgał któregoś z moich ludzi, sam bym cię skrócił o głowę. A tak... W tamtej *hekatontarchii* też go niezbyt lubili, zwali nawet Szczepan Złamany Fallus. Za jego plecami, rzecz jasna. Ale takich fallusów też nam trzeba, w końcu nie jesteśmy na wycieczce, tylko na wojnie. A na wojnie każdy jest dobry, a im jest gorszy, tym lepszy, że tak powiem.

Tyberiusz wyciągnął rękę, wskazując namiot w oddali.

– Zgłoś się do swojego *dekarchosa*. Odda ci twoją broń i da jakieś nowe łachy, bo tak do walki nie pójdziesz. Jutro wyruszamy. Na Antiochię, więc bez żadnych rozrób tym razem.

Setnik podsunął mu pod nos swoją wielką piąchę i wycedził jeszcze:

– I pamiętaj! Jeszcze raz coś odstawisz, to skręcę ci kark jak kurczakowi.

* * *

Purrhos posępnym spojrzeniem wiódł za ciągnącą na południe kolumną wojsk. Pośród nich szedł Pan, którego trzeba było chronić. I pilnować. Równo uformowane dziesiątki i setki wojów niosących wszystkie rodzaje broni jakie wykuto na tym świecie. Szli monotonnym krokiem spoceni, zmęczeni, milczący. Demon na odległość wyczuwał ich zniechęcenie i narastającą nienawiść.

Wszedł wyżej na skałę i z tęsknotą obrócił wzrok na północ. Tam były płody. Jeszcze teraz czuł między zębami, na języku smak dziecięcego mózdzku niewykształconego jeszcze, galaretowatego jak morski owoc. Purrhos aż zawył na wspomnienie tej uczty: dwa dni drogi stąd, ciągnąc za maszerującym wojskiem, wpadł do jakiejś osady, gdzie znalazł ciężarną niewiastę. Niewielka twierdza na skałach strzegąca wioski otoczona była murem – wysokim, gładkim i trudnym do sforsowania, obsadzonym przez strażę. Jednak samą wioskę chroniła jedynie fosa i ziemny wał nabity ostrymi skałami. Ten nie stanowił kłopotu. Demon wpadł tam tuż przed świtem, gdy upojeni winem strażnicy posnęli przy ogniskach. Przemknął niezauważony, cicho jak nocny ptak. Wiedziony zapachem i szczypaniem na końcu języka

pognał w stronę domostwa na uboczu. Najpierw zabił człowieka, który spał w pierwszej izbie, tuląc miecz do policzków. Purrhos wyrwał mu broń z ręki i wbił między oczy, nim ten zdążył jęknąć. Kobieta spała w drugim pomieszczeniu. Darła się, widząc dwugłową bestię, jednak demon szybko ją uciszył. Odgryzł jej głowę i wycie natychmiast zgasło. Wypluł czerep i nim niewiasta padła na podłogę, nim ostygła, nim wyciekła z niej krew, wbił pazury w brzuch, wyszarpując kilkumiesięczne dziecko.

Zjadł je całe, mlaszcząc z uciechy.

Ale to było dwa dni temu. A teraz... Teraz otaczały ich tylko góry – nieprzyjazne, pozbawione życia. Tu już nie było nawet śladu człowieczych osad, a jedyny zapach, jaki czuł, to pot i zniechęcenie oddziału ochotników.

Gdzieś dalej, bardziej na wschód wyczuwał jeszcze inną woń: konie. Na grzbietach setek zwierząt jechali inni woje. Mówiący inną mową, lepiej odziani, obwieszani jeszcze większą kupą żelastwa. Ciągnęli w tym samym kierunku, gdzie kolumny, pośród których był Pan.

Purrhos zawył z żalości. Owszem, to oznaczało kilka tysięcy żywych wątrób. Głód nie jest mu więc pisany, ale wątroby zbrojnych nie należały do jego przysmaków – kwaśne, gorzkie i gnijące.

* * *

– Oto Wrota Syryjskie – powiedział *hekatontarchos* Piąchulec. – Przełącz, za którą jest cel naszej podróży.

– Antiochia... – wyszeptał Nicetas Wielka Pięść, z ulgą myśląc, że wreszcie będzie miał gdzie złożyć umęczonego kilkudniową jazdą kulasa. Starał się kryć z tym, że sztywna noga z każdym dniem promieniowała coraz większym bólem. Szczęście, że powoził rydwanem. Gdyby miał iść taki szmat drogi o własnych siłach, padłby gdzieś tam jeszcze pod Cezareą. Jednak nawet na wozie kolano się męczyło. Marzył o tym, by odpocząć w obozie. Żeby mozolna wędrówka dobiegła końca.

– Trzy godziny marszu stąd. Nasi zwiadowcy donieśli, że Seldzucy nie tylko okupują miasto, ale nieco dalej ustawili jeszcze obóz. Tyle, że z drugiej strony, od morza.

– Wielu ich? – zapytał z niepokojem Wit Wodnik, *dekarchos* dziesiątki, do której należał Kalikst i reszta kompanów z Konstantynopola. Żmudzinowi marsz przez Cylicję i góry Amanos również dał się we znaki. Nie przywykł do podróży dalszych niż z tawerny do tawerny, a teraz zabrakło dla niego miejsca na rydwanie.

Piāchulec wzruszył ramionami.

– Wielu czy nie... To trudno tak na oko. Wedle zwiadowców, w obozie są ich ze dwie setki, jednak nikt nie wie, ilu siedzi w mieście. Mają tam potężną cytadelę, która może pomieścić całe *hekatontarchie* dzikusów. Hordy potysięczne. W każdej chwili mogą nadejść z pomocą tym w obozie.

Wit Wodnik otarł pot z czoła. Był nieziemski upał, a mętna woda, którą nieśli w bukłakach, nie orzeźwiała, lecz tylko wzmagala pragnienie. Funkcja *dekarchosa* też niezbyt leżała Żmudzinowi. Godność przyznana przez Tyberiusza miło łechtala próżność Wita, kiedy jednak myślał o związanych z tym powinnościach, nachodziła go fala słabości. Zawsze lepiej się czuł, tylko obserwując wydarzenia i złośliwie dogadując.

– Jakże zatem będą rozkazy? – wymamrotał z wysiłkiem.

– Przejdziemy przełęcz i założymy obóz w pół drogi do Antiochii. Nie ma się co kryć, Turki pewno już wiedzą, że nadciągamy. Pewno szykują broń i zbierają siły, by odeprzeć atak. Im szybciej więc pogonimy Saracena, tym lepiej. Musimy odciąć ich od dostaw żywności i wszelkich inszych dóbr, więc pierw należy rozbić ich obóz. Później opanować port położony poza miastem i słabo chroniony. Tam się Turki długo nie ostaną, jeżeli już nie uciekły.

– Na pewno... – wtrącił kpiąco Kalikst. – Usłyszeli, że Piąchulec poskręca im karki jak kurczakom. I dali nogę, gubiąc portki.

Hekatontarchos udał, że nie słyszy. Uniósł ramię i zakreślając szeroki łuk, prawił dalej:

– Jak już zajmiemy port i założymy obóz, Antiochia będzie nasza. Bez żywności długo nie pociągną.

– My też – mruknął przytomnie Wodnik.

– My też, ale nam to nie grozi. Z Seleucji do Saint Simeon płynie już konwój dromon z zapatrzaniem wysłany przez *basileusa*. A jeżeli jeszcze nie płynie, to wypłynie akurat wtedy, gdy rozpoczniemy oblężenie Antiochii. No, dość gadania! Idziemy w dół, przez przełęcz. Antiochia czeka...

* * *

Antiochia... Syryjska Antiochia... O tym mieście opowiadano legendy, zwano je – z pewną przesadą – Złotą Antiochią. Od czwartego stulecia po Chrystusie miasto należało do Cesarstwa, jednakowo wciążył je najeźdźcy ze Wschodu. Najpierw Persowie, później Arabowie, którzy osiedli tutaj w roku Pańskim 611, a później – już na dobre – w 637. Odtąd Złota Antiochia pokrywała się patyną, jakby nie złotem słyneła, a kiepskiej jakości miedzią. Saraceni nie dbali o miasto – dla nich była to odległa kolonia położona gdzieś na rubieżach, tuż pod niespokojnymi górami Armenii. Dla Cesarstwa przeciwnie – miasto miało znaczenie strategiczne, stanowiło bramę do Syrii i Świętej Ziemi Jezusa Chrystusa. Ważny port i twierdza strzegąca wejścia do Anatolii. *Basileus* Nicefor Fokas w dziesiątym stuleciu wyrwał je z rąk Arabów i przywrócił dla Cesarstwa. Na ponad sto lat, do czasu gdy armia Seldżuków rozbita pod Manzikert ponownie zebrała się w siłę i w drodze powrotnej złupiła miasto. Odtąd Turcy tkwili w Antiochii, niezbyt zdając sobie sprawę, jak wielki skarb posiadli.

– Dobry Panie Jezu... – wyszeptał Waldemar Jałmużnik.

– Dobry Panie Jezu... – powtórzył za bratem Wit Wodnik.

Widziane w oddali wysokie mury obronne Antiochii sprawiały przygnębiające wrażenie. Owszem – w Konstantynopolu też były mury, i to o wiele bardziej wyniosłe i mocne. Tyle że Konstantynopol to dom, zaś wysokie mury w domu to spokój i sielanka. A w mieście, które trzeba zdobywać? To już nie wygląda dobrze.

– Tak, oto Antiochia i jej mury. Wznoszone przez *basileusów* i o dziwo, umocnione przez barbarzyńców ze stepów. A można pomyśleć, że to dzicz, która potrafi jeno łuki giąć i kindżały wykuwać, ale nie wznosić budowle. A zresztą... Jedno jest pewne. Musicie je sforsować – przekonywał Tyberiusz Piąchulec. – Nawet za cenę śmierci. Innego sposobu nie ma.

Jest inny sposób – pomyślał Kalikst, ale zachował tę uwagę dla siebie. Wiedział już, jak może upiec kilka pieczeni na jednym ogniu. *Hekatontarchos* nie będzie dłużej nim pomiatał! No i sterzenie pod murami miasta, budowanie machin oblężniczych z drewna, którego w okolicy przecież niezbyt wiele, a później wielodniowe ostrzeliwanie grodu kamieniami... To niezbyt kusząca perspektywa. Dobra dla znudzonych żołdaków, a Belzebub do nich nie należał. Przywykł do szybkiego działania w ciemności.

W jego głowie kiełkował nowy plan: zdobyć tę przeklętą Antiochię, a później zabić Diogenesa!

– Jest inny sposób... – mruknął bezwiednie pod nosem, ale *hekatontarchos* usłyszał go.

– Doprawdy, wielki *Strategosie*? – zakpił dowódca. – A jaki? Może nam powiesz?

– Żaden – odparł natychmiast Kalikst. – Nie, nie... Nie ma.

ROZDZIAŁ 4

Do świtu brakowało ledwie dwóch godzin. Noc otulała drogę płachtą głębokiej szarości, miejscami rozpraszana mdłą poświatą księżyca.

Nicetas był pełen złych przeczuć. Z niepokojem słuchał złowróżbnego grania cykad, chrapliwych oddechów koni i chlupotania galaretowatej cieczy w zbiornikach z tyłu rydwanów. Syfonów wypełnionych śmiertcionośną miksturą nie osłaniały już skórzane pokrowce. Odszpuntowane długie rury z metalu sterczały gotowe do ataku niczym wielkie kły.

Turki muszą już o nas wiedzieć – myślał. – Nie pozwolą przecie tak po prostu podejść pod swój obóz trzydziestu wozom bojowym z igró pyr.

Zjechali ze stoków gór Amanos, kierując się w stronę Antiochii. Jednak to nie miasto było ich celem. Wobec wysokich murów zbudowanej na skałach twierdzy, otoczonych od południa rzeką Orontes i jej rozlewiskami, sekretna broń *Rhomaioi* była całkowicie bezużyteczna. Parli dalej w stronę portu Saint-Simeon, który dla okolicznych miast – bo nie tylko Antiochii – stanowił jedyne okno na świat.

Obóz, o którym donieśli szpiedzy, był niezbyt dobrze ufortyfikowaną bazą wypadową dla grasantów. Widać, że powstał niedawno – niechybnie na wieść o nadciągających wojskach Romana Diogenesa. Nie stanowił przeszkody sam w sobie, jednak należało wybić dzicz, która się tam kryła.

W dolinie krajobraz uległ niespodziewanej przemianie. Kamieniste wzgórza porośnięte karłowatymi drzewkami nagle ustąpiły miejsca bagnom i rozlewiskom. Znad wody ruszyły na żer komary głodne nowej krwi z północy. Minęli ten odcinek, klnąc cicho.

Wkrótce mokradła ustąpiły miejsca żyznym łąkom. W oddali zamajaczyły kontury Antiochii. Szaroczarne niebo dźgały dziesiątki – nie! – setki wież, a nad ich blankami kłębiły się nietoperze, ledwie widoczne w mdłym świetle szydercy na niebie.

Minęli miasto w ciszy niczym duchy. Dotarli do rozstajów, gdzie stał niewielki meczet. Był pusty. Zamknięte na głucho wierzeje, smukły minaret, opuszczone budynki wokół świątyni. Przejechali obok niej, skręcając w stronę morza.

Na lewo widać było jeszcze jedną przeszkodę: most odgradzony od traktu kamienną bramą, którą nocami osłaniała solidna krata z grubych prętów. To była część umocnień

powstałych wiek temu, jeszcze wówczas, gdy miasto należało do cesarstwa.

– Obudowali się jak w Konstantynopolu – mruknął Nicetas, patrząc na stalowe okucia. – A teraz my to będziemy zdobywać...

Droga do portu była szersza niż trakt pośród gór, więc mogli też jechać nieco zwawiej. Nim minęły dwa kwadransy, dotarli w pobliżu obozu Seldżuków.

Ledwie rozpoznali w mroku kształty namiotów, *hekatontarchos* Piąchulec ryknął:

– Piątka wozów na lewo! I atak. Pompować. I ognia! Piątka na prawo, i ognia!

Turcy wszczęli alarm. W obozie, otoczonym niskim ziemnym wałem wzmocnionym kamieniami i zaostrzonymi drągami, powstał dziki rejwach. Zerwani z półsnu Seldżuchy wyskoczyli z wyciem ze swych namiotów, z legowisk pod końskimi brzuchami, łapiąc za łuki i szable.

– Odpalaj! – ryknął Kalikst do swojego pomocnika w wozie, Muhammada. Saracen skrzesał ogień i już po chwili dzierżył w ręku niewielką żagiew. Belzebub wyrwał mu ją i zakomenderował:

– Dobra, teraz pompuj! Pompuj, bracie, żeby im zdrowo przypiądzic!

Muhammad bez słowa doskoczył do wajchy dwutaktowej pompy i jął nią energicznie poruszać w górę i w dół. Ciśnienie w syfonie rosło.

– Nicetas, *gamoto*, na lewo i tam prosto! – wrzasnął Kalikst. Czuł, jak krew coraz szybciej bębni mu w żyłach na skroniach.

Osilek posłusznie skierował konie we wskazane miejsca. Długie tygodnie szkolenia w obozowisku pod Cezareą nie mogły przecie pójść na marne. Wątpliwości, niepewność, zagubienie – teraz te słabe uczucia pierchły niczym stado spłoszonych gołębi. Dryblas działał, jakby kierował nim anioł. Albo demon.

Z góry sypnął się rój strzał. Jednak okrywające kolczugi solidne skórzane płaszcze z kapturami skutecznie chroniły nie tylko przed ogniem, ale także przed seldżuckimi grotami. Rydwan pędził dalej wzdłuż palisady obozu Turków. Za nim toczyły się następne wozy, czekając na...

– Walić w nich!

...rozkaz. Kalikst z rykiem radości odciągnął spust syfonu, kierując jego wylot wysoko ponad wał. Z lufy poleciał ognisty język, czerwonożółty płomień wypluty – zda się – z trzewi bestii z ostatniego kręgu piekieł. Zatoczył wielki łuk i spadł na głowy nadbiegających Seldżuków.

Wnet podniosło się wycie. Płonęły trzy najbliższe namioty i wszyscy, którzy byli w ich pobliżu. Pomarańczowe języki ognia w jednej chwili zmieniły jutowe konstrukcje w huczące pochodnie.

Wrzaski palonych ludzi szybko przerodziły się w jęki konających. Ten czy ów, nie wiedząc, z czym ma do czynienia, próbował zgasić ogień. Jeden skoczył do koryta z wodą dla koni. Inny zerwał jakąś szmatę, narzucając ją na płonący grzbiet. Któryś padł na ziemię

i tarzał się w piasku. Na nic. Woda tylko rozniosła płonącą galaretę po kubraku pierwszego. Płachta z jurty nieciła jeszcze większy ogień, piach nie ugasił greckiej śmierci.

Seldzucy ginęli, wydając z siebie nieludzkie krzyki – jak żywcem oprawiane koźleta.

– Ognia! Strzelać! Ognia! – ryczeli dowódcy, ale nikomu już nie trzeba było tego powtarzać. Zew śmierci, żądza mordy ogarnęła oprychów z zaułków Konstantynopola, Nicei, Cezarei... W powietrzu zawisł smród spalonego mięsa, a konie z tureckiej, stepowej rasy, rżąc głośno, biegały w amoku z płonącymi grzywami.

Kalikst odrzucił pusty syfon i zerwał z siebie ciężką skórzaną kapotę. Już nie będzie potrzebna. Wyszarpnął szablę, zeskoczył z wozu i pognał na Turków.

– Muhammad! Nicetas! Na pogana!

Saracen bez słowa poszedł w ślady Kaliksta. Nicetas tylko pokręcił głową, łapiąc się za przetrąconego kulasa.

Dwaj złodzieje przeskoczyli przez wał i z nagimi ostrzami pogнали w głąb obozowiska. Choć wciąż trwał jeszcze ostrzał, mimo że z nieba spadały strumienie *igró pyr*, Belzebub nie wahał się – runął między uciekające niedobitki wrogów. Szabla poszła w ruch.

Odcinał ramiona, nogi, głowy niczym anioł zagłady, niczym święty rycerz w religijnym amoku. Seldzucy przerażeni piekłem, jakie na ich głowy sprowadzili *Rhomaioi*, nie bronili się, porzucali swoje kindżały, łuki i szable.

Wkrótce i w innych rydwanach zabrakło paliwa w syfonach, więc zbiry w służbie *basileusa* obnażyły swe ostrza i poszły czynić rzeź. W tym nie miały sobie równych. Strach Turków dodał im nowych sił, wzbudził najdzikszą furję, rozpałił szal, jakiego nie mogły dostarczyć nawet największe jatki w zaułkach miast.

Za nimi poszli zaczajeni na tyłach najemnicy z Normandii, a wreszcie piesze wsparcie z ostatniej linii. Ryk triumfu atakujących zdawał się wzniecać jeszcze większe płomienie. Przepelniony wojennym zapalem, ogłuchły od ryku nacierającej armii Belzebub rzucił się w przód jak człek, który po długiej wędrówce przez pustynię nagle dostrzegł oazę. Skowyt palonych żywcem dzikusów był mu najpiękniejszą melodią, jednak na tym nie poprzestał. Chciał więcej! Więcej krwi!

W oddali dojrzał rannego Turka ze zmiążdżoną nogą. Wróg czołgał się jak rozdeptany robak, tocząc przerażonym wzrokiem po ogarniętych płomieniami namiotach.

– Taaak! Jesteś w piekle! – rzucił mściwie Kalikst. – Piekło na tym ziemskim świecie! Ale tam, głębiej, będzie jeszcze gorzej.

Rechocząc, dwa razy zatopił ostrze w piersi Seldzuka. Dzikus nawet nie jęknął – po prostu klapnął w kałużę krwi i znieruchomiał.

Belzebub na odchodne chlasnął go ostrzem w twarz i pobiegł szukać innych ofiar. Znalazł je szybko. Dwóch obrońców runęło na niego z cienia, wznosząc nagie szable.

Tylko się zaśmiał szyderczo. Tamci byli zaspani, może czymś otumanieni, pewnie tym *al-hasziszem*, co to miał dawać niby nieziemską siłę, a sprowadzał senność i ogłupienie...

Kilkoma krótkimi cięciami Kalikst rozplątał im gardła i zawył z radości.

* * *

W morzu ognia, pośród wrzasków, jazgotu, potępieńczego wycia, w świetle błyskających płomieni nikt nie zwracał uwagi na Purrhosa. Zapach palonego mięsa ludzkiego i końskiego tym bardziej pozwalał wyjść z ukrycia. W piekle jeszcze jeden demon nie robił różnicy.

Purrhos czuł wątroby. Wątroby jeszcze żywe, ale już umierające. Już umarłe, ale wciąż ciepłe. Nie czekając, pomknął w ślad za Panem, rozszarpując zwłoki, z których nie umknęła jeszcze ostatnia iskra życia.

Gdy wgrzył się w pierwszą wątrobę, w oddali załśniły promienie słońca. Szedł nowy dzień. Dzień chwały, w którym jego Pan odmieni losy świata.

Obaj – człowiek i demon – wyli z radości.

* * *

Roussel de Bailleul jednym haustem wychylił resztkę wina, po czym gniewnie odrzucił pusty kielich w kąt namiotu. Naczynie z brzękiem przetoczyło się po dobrach zabranych z obozu Seldżuków: saraceńskich szablach, łukach i dzbanach ze srebra.

– Nie bądź głupcem, Komnen! – syknął najemnik. – *Basileus* to, *basileus* tamto!... Wciąż powtarzasz obietnice swego władcy, pozostając ślepy na prawdę!

Aleksy ściagnął brwi z gniewu. Nie nawykł do tego, by ktokolwiek – a zwłaszcza italski barbarzyńca – mówił do niego tym tonem i takimi słowy. Jednak zbył to milczeniem. W końcu tkwili w tym bagnie razem.

– Twój *basileus* wystawił cię na pewną śmierć! – krzyczał rycerz. – Taka jest prawda! Wystawił nas wszystkich! Wiedziałem to od początku. Wiedziałem, że za jego obietnicami kryje się podstęp. Obiecał mi złoto Antiochii, licząc, że wykrwawię się, zdobywając miasto, a on minie jego bramy, depcząc ciepłe jeszcze trupy.

Norman szarpnął za sprzączkę płaszcza. Obrębiona srebrem materia z cichym szelestem spłynęła na ziemię. Pochylił się nad misą z wodą i kilkoma energicznymi ruchami ochlapał twarz.

– Przeklęty kraj... W nocy zimno, w dzień skwar taki, że nie idzie wytrzymać...

Strategos splótł ręce na piersi i rzekł z przekąsem:

– Powiadasz, że wiedziałeś, jednak przystałeś na propozycję *basileusa*. Nikt cię do tego przecie nie zmuszał.

Rycerz sapnął gniewnie i ocierając twarz z wody, jął tłumaczyć:

– Owszem, mogłem wyrzec się należnego mi złota i opuścić ziemie Greków. Szukać szczęścia gdzie indziej: może u Rusów, może u Niemców... Jednak Diogenes jest mi tyle

winiem, że musiałbym mieć naprawdę ważny powód, by zapomnieć o takiej fortunie. Zresztą nie to się liczy. Poprzysiągłem sobie...

– Taaa...? – zapytał Komnen, bo jego rozmówca popadł w przedłużającą się zadumę. – Cóż takiego? Cóż to za przysięga?

– Że zdobędę to miasto i odzyskam to, co moje, i to, co Diogenes obiecał mi, licząc, że polegnę.

– Chwalebna dzielność – zauważył z przekąsem Aleksy.

– Tyle że teraz widzę to wszystko inaczej. Tego miasta nie da się zdobyć! Cztery setki strzelistych wież, mury wysokie na piętnaście kroków i cytadela... Tego miasta nie zdobędziemy nawet po roku oblężenia. Nie takimi siłami.

– *Basileus* nadciąga z całą armią. Jest już pod Cezareą. Szybko może przyjść nam z odsieczą.

– Nie wejdzie, dopóki my się nie wykrwawimy – wszedł mu w słowo de Bailleul. – Taka jest jego taktyka!

– Jeżeli nawet... Spaliliśmy obóz Turków, odbiliśmy Port, drogi wokół miasta są nasze. Do portu wpłyną galery z częściami do maszyn oblężniczych, jadłem, napitkami, wszystkim, co trzeba do przetrwania tu długich miesięcy. Weźmiemy ich głodem. Jak będzie trzeba, to zaczekamy tu choćby do zimy. Albo i do następnego lata.

– Jest jeszcze twierdza. Na tyłach. Nie możemy jej pozostawić.

– Baghras? Nie stanowi aż takiego zagrożenia. Owszem, jeżeli przyjdzie nam tkwić tu dłużej, twierdzę trzeba będzie spalić tak jak ten obóz. To oczyści drogę do Cylicji i sprawi, że nie będzie nam groził atak zza pleców. Jednak Baghras możemy zablokować tak samo jak Antiochię. Wziąć głodem.

– Mało ludzi. Nie możemy prowadzić dwóch oblężeń jednocześnie. Dlatego też mówię, że twój *basileus*...

– *Basileus* wkroczy, kiedy będzie potrzeba. Mamy port, a to najważniejsze.

Norman myślał chwilę, wpatrując się w mapę. Wreszcie pokręcił głową.

– Gdy będziemy nazbyt długo siedzieć pod Antiochią, nadejdą seldżuckie posiłki z innych miast. Aleksandretta, Aleppo, Marat... Kto wie, jakie tam są siły, a tylu miejsc naraz nie upilnujemy. No, gdyby Roman Diogenes przekroczył góry... – ostatnie zdanie wypowiedział z przekąsem, wbijając wzrok w oczy Komnena.

Ten wzruszył ramionami.

– Seldżuci nie mają tu silnych garnizonów. Owszem, Antiochia jest doskonale ufortyfikowana, ale Turki dobrze walczyć potrafią jeno w stepie, atakując na swych krępych konikach. Zaś bronić miasta? Unikać ostrzału, planować kontrataki, rozsądnie dysponować wszelkim dobrem niezbędnym do przeżycia? To nie jest domena Seldżuków. Oni nie są dobrymi obrońcami.

Najemnik dalej kręcił z niedowierzaniem głową. Sięgnął po nowy kielich i nalał wina

z glinianej flaszki.

* * *

Ruszył sporo po północy, gdy równe chrapanie współtowarzyszy niedoli zaczęło trząść namiotem. Wymknął się cichcem, bacząc, czy po obozie nie kręcą się strażę. *Strategos* Aleksy Komnen nie bez racji uznał, że nie należy pozostawiać kwestii bezpieczeństwa armii zbirom ani Normanom o wątpliwej lojalności, toteż na warcie postawił swoich ludzi. Ci nie mieli zmiłowania dla łajzów.

– Ciemność... Niech okryje mnie niczym skrzydła. Niech noc stanie się mną, a ja stanę się nocą. Niech szara godzina obejmie moje dłonie, moje ramiona, pierś i całe ciało. Niech czarne pióra zakryją mnie, a wtedy zniknę w cieniu, osłonięty od ludzkich spojrzeń...

To spadło nań z bólem jak ostatnio i jeszcze wcześniej. Cierpienie zgięło go w pół, przed oczami zaśnity ogień niczym wybuch greckiej śmierci. Później poczuł łomotanie w brzuchu. Porzygał się, nie panując nad żołądkiem.

– Kto tu? Co tam? – zaszczekał strażnik. Wychynął nagle z cienia, znikąd, bez głosu, gadzim zwyczajem, jak nocny wąż polujący na gryzonie. – Bydlę, widzę cię, wylaż!

Belzebub minął żołdaka. Szybko przemknął między namiotami i dopadł ogrodzenia ze sprzężonych tyłem wozów. Po rozbiciu koczowiska *Seldżuków* *Strategos* nakazał, by poza linią rydwanów usypać jeszcze wał i nabić go zaostrozonymi palami. Kalikst przeskoczył ponad przyzmą ziemi, co natychmiast ściągnęło strażników.

– Turki czy ktoś od nas? Hola, ty tam! Pokaż się od razu, to unikniesz stryczka!

Złodziej tylko zarechotał pod nosem i pobiegł traktem na Antiochię. Po jakichś dwustu krokach przystanął, dysząc. Pogoń z obozu mu nie groziła, jednakowoż musiał się teraz zmierzyć z poważniejszym problemem. Do miasta była... Z godzina marszu, może więcej. Niby niedaleko, ale wierzchem szybciej.

Na konie z obozu nie mógł liczyć – tym razem by nie przemknął tak łatwo. Gady podniosłyby rejwach... Nie, o tym lepiej nawet nie myśleć.

Staął pośrodku drogi i zamknął oczy. Czekał, wołając w myślach.

Najpierw go poczuł. Zniewalający smród wywołał ponowne kotłowanie w żołądku. Fetor bijący od demona budził tylko jedno wspomnienie: noc, którą spędził z obitą gębą w stercie odpadków na targowisku w porcie. Po tym, jak wdał się w mordobicie z miejskimi szumowinami grasującymi wokół konstantynopolitańskiego hipodromu. Z mętami, zbirami, którzy zacnych złodziei z gildii mieli za paniczyków. Wtedy złamali mu nos, rękę i dziabnęli koską w bok. Cudem przeżył przytulony policzkiem do rybiej wnętrzości.

– Kurwie syny... Ale w końcu was dopadliśmy – mruknął, przypominając sobie jatkę, jaką zrobił im trzy dni później z Nicetasem. Łachudra, który owej nocy roztrzaskał Belzebubowi kinola, zdychał najdłużej, dusząc się w tej samej kupie śmieci.

Nie zdążył nawet uśmiechnąć się do tego wspomnienia. Purrhos liznął go w kark, dysząc ciepłym smrodem.

Belzebub rzygnął w piach ostatnimi resztkami obiadu.

Zaraz potem chwycił demona za szyję – tę grubszą, na której osadzony był łeb z wielką paszczą – i jednym skokiem wspiął się na grzbiet bestii. Palce przyłgnęły mu do żółtej ropy ciekącej po kostropatej skórze demona, jednak nie zwrócił na to uwagi. Purrhos, czując ciężar swojego jeźdźca, opadł na cztery łapy. Teraz jeszcze mniej przypominał istotę o kształtach człeka – był jak odarty ze skóry pies albo jakaś afrykańska bestia zniekształcona przez okrutnego mistrza czarnej magii.

– Nuże! Na Antiochię! Dawaj!

Czerwona hydra szparko ruszyła naprzód, jakby od urodzenia przyuczali ją nosić jeźdźca. Kalikst po kilku chwilach musiał przyznać, że gdyby nie fetor wydzielany przez Purrhosa, byłby on wymarzonym wierzchowcem. Demon, choć przecie ludzkich kształtów, na czworakach mknął niczym mały i wytrzymały turecki konik. Płaty odchodzącej skóry szybko przestały budzić w Belzebubie odrazę.

Jadąc, poddał się niewesołym myślom. Wszystko szło nie tak. Z jednej strony nie było źle – wojna coraz bardziej mu się podobała. Rżnięcie dzikusów ze stepu, podrzynanie im gardeł, odrąbywanie członków, a nade wszystko zalewanie ich płonąca galaretą, przed którą nie ma ucieczki – takich przyjemności nie dostarczały żadne mordobicia w stolicy. Gdyby jeszcze nie ten panoszący się Piąchulec! Bez tego ćwoka zabawa byłaby weselsza.

Ale pamiętał też o swojej powinności. Miał ubić Diogenesa! Wysączyć zeń krew i zanieść mnichowi! Po to przecież zaciągnął się na wojnę.

Uzurpator niegłupi, nie pcha się tam, gdzie największy ogień. Spokojnie sobie siedzi w Cylicji, czekając, aż my się wykrwawimy. Aż zdobędziemy mu Antiochię. A nie tak miało być! – westchnął w duchu.

W obozie gadali, że *basileus* przyłączy się do kampanii, gdy Komnen i de Bailleul odzyskają Antiochię. A tu się zanosilo na długie miesiące jałowego oblężenia. Kalikst zrozumiał to, gdy tylko ujrzał mury miasta. Niemal tak niedostępne jak w Konstantynopolu.

– Nie ma co główkować, trzeba dostać się do środka i załatwić to inaczej – mruknął. – A później zabić Diogenesa.

Wkrótce dojechali w pobliże ufortyfikowanego mostu na rzece Orontes. Za nim była Antiochia.

Belzebub zeskoczył z grzbietu demona. Gestem nakazał bestii, by czekała na miejscu. O dziwo, stwór zrozumiał polecenie albo po prostu nie przejawiał własnej woli, by uczynić cokolwiek innego. Przyłgnął do ziemi i tak trwał, czekając na rozkaz Pana.

A ten ostrożnie podszedł do bramy. Słyszał i czuł oddechy strażników tkwiących z drugiej strony. Kilku spało, dwóch lub trzech trwało w półśnie i tylko jeden krążył niespokojnie po osłoniętej z zewnątrz galeryjce. Jego miarowe kroki odbijały się echem po

kamiennym stropie budowli, szczęk broni płoszył nietoperze krążące ponad dachem.

Mógłbym ich zabić kilkoma pchnięciami – pomyślał Kalikst. – Z demonem wysłałbym ich do piekła, zanimby się pobudzili. Ten co nie śpi, straciłby łeb, zanimby wyszarpnął ostrze z za pasa.

Powstrzymał jednak swoją morderczą naturę.

Turki wzmocnią tylko strażę i jeszcze bardziej uzbroją most. Nie ma co, później ich wypatroszę.

Skinął na Purrhosa, nakazując mu iść przez rzekę. Bestia ujawniła swój kolejny talent – potrafiła doskonale pływać, nie mocząc przy tym zbytnio jeźdźca na swoim grzbiecie. Szybko dotarli na drugi brzeg.

Tutaj Belzebub poczynił pierwsze ważne spostrzeżenie: fortyfikacje na moście łączyły się z główną bramą. Atak na miasto z tej strony był szczególnie trudny, bo tuż za rzeką wyrastały potężne mury obronne Antiochii wysokie na jakieś trzydzieści stóp albo i więcej. Kalikst ruszył wzdłuż nich, szukając jakiegokolwiek wyłomu, który pozwoliłby mu wdrzeć się do środka. Na próżno: mury zostały solidnie wzmocnione, jakby mieszkańcy grodu żyli w nieustannej świadomości, że wcześniej czy później czeka ich oblężenie.

Posuwał się dalej wzdłuż linii umocnień. Co kilkaset kroków, na odległość leniwego strzału z łuku, wznosiły się grubo ciosane, klockowate baszty. Nigdzie nie dostrzegł żadnego tajnego wejścia, dziury w murze ani drzewa, po którym mógłby się wspinać. Im dłużej szedł, tym było gorzej. Wkrótce mokrą ziemię z brzegów rzeki zastąpiły kamienie i ostro zakończone skałki porozrzucane w okolicy niczym ciernie. Tu miasto zaczynało się wspinać na górę Silpion.

Purrhos nawet nie jęknął, gdy parli w stronę szczytu, jednak koń nie dałby rady. Nie mówiąc już o rydwanach z ogniem greckim. Tam, gdzie miasto stało na równej ziemi, dostęp do środka utrudniała rzeka i otaczające ją bagna. Na skałach było już sucho, jednak spiętrzone głazy, rozpadliny, spiczaste kamienie zniechęcały do ataku.

Tu mógł dostać się tylko sprytny złodziej. Kalikst obejrzał dokładniej jedną z wież: na wysokości kilku kroków dostrzegł niewielkie okienko. Tak jak w innych basztach, pod nim nie było nic, co ułatwiało wspinaczkę, ale jakby zarzucić tam linę... Musiał spróbować.

Odesłał demona, by swym smrodem nie ściągnął uwagi obrońców. Purrhos stanął na dwie nogi jak człowiek i odszedł w tył, sadowiąc się na skałach w oddali. Belzebub sięgnął do tobołka uwiązane go na plecach. Z wnętrza dobył gliniany dzban wypełniony smołą. Bez chwili wahania nałożył grubą warstwę czarnej substancji na płaty skóry osłaniające podeszwy sandałów. Rozwinął linę z hakiem, którą był opasany – swoje kradziejskie narzędzie, bez którego nigdy nie ruszał na robotę.

– Nie takie mury się zdobywało – mruknął cicho, wspominając Konstantynopol. Tyle że w stolicy cesarstwa miał do czynienia najwyżej z rozleniwionymi strażnikami w płaszczach wyszywanych srebrem, a nie z czujnymi Seldżukami ze stepu.

Zakręcił liną i posłał hak na gzyms okienka. Stalowy pazur ze zgrzytem zaczepił o występ w murze. Nie tkwił zbyt mocno, jednak Kalikst zaryzykował. Starając się rozkładać ciężar ciała przede wszystkim na wysmołowanych podeszwach, a nie na sznurze, powoli dotarł do gzymsu.

Okienko w zamierzeniu budowniczych miało służyć jedynie do ostrzału atakujących – było zbyt wąskie, aby się precyzyjnie przycisnąć. Zresztą wyłamywanie drewnianych okiennic narobiłoby zbyt wiele hałasu.

Zarzucił więc hak wyżej, na kolejny parapet. Szpon nie utrzymał się – spadł w dół, cicho stukając o mury. Belzebub wymierzył w inne miejsce i tym razem stalowy pazur utkwiał, jak powinien.

Po jakichś dwóch kwadransach zdołał dotrzeć na blanki. Jednym susem wskoczył na szczyt wieży i przylgnął do muru.

Cisza, pusto, spokojnie. Najwidoczniej w tym miejscu obrońcy Antiochii nie wystawili straży – w końcu żadna armia nie poważałaby się na atak od strony skał.

Kalikst odwinął z sandałów wysmołowane płaty skóry i cisnął je w dół, za mur. Już nie będą potrzebne. Zwinął linę i nie tracąc czasu, zbiegł po schodkach na ulicę.

Był w Antiochii.

ROZDZIAŁ 5

Puste ulice miasta pobrzmiwały jedynie niegłośnym szuraniem jego sandałów ledwie słyszalnym na tle koncertu cykad.

Nagle z oddali poniosły się inne dźwięki. Ostre, obce, metaliczne. Belzebub skoczył do najbliższej bramy. Hałas narastał. Ktoś nadchodził.

Z uliczki wypadło czterech zbrojnych odzianych w luźne czarne stroje. Ich twarze skrywały zawoje, spod których błyskały tylko białka oczu. Każdy dzierżył w garści obnażone ostrze.

Idę po mnie! Zwęszyły psy, co jest na rzeczy – pomyślał Belzebub, chwytając za rękojeść szabli. Był gotów zadać cios, jednak szybko oszacował, że nie miał szans. Mógł zabić jednego, dwóch, nawet wszystkich czterech, korzystając z zaskoczenia. Ale co dalej? Ci tutaj na pewno nie byli sami – niechybnie w odwodzie czyhali następni. Gdzie więc uciec? Jak umknąć w nieznanym mieście, pośród obcych zaułków?

Jednak nie. Turcy – bo oni to byli, sądząc po mowie – najwyraźniej szukali czego innego. Patrzyli po oknach domostw, po bramach, po murach.

Jeden podszedł do drewnianych drzwi, do których przylgnął Kalikst. W rękę trzymał... Nie, nie głodne śmierci ostrze, lecz kubełek z białą farbą i pędzel. Belzebub wstrzymał oddech. Seldżuk namazał dwie szybkie kreski. Po chwili naniósł ten symbol na mur i nocni wędrowcy szybkim krokiem poszli dalej.

Krzyż. To musiał być krzyż, bo co innego. Dwa przecinające się mazaje. Krzyż. Krzyż u pogan?!

Przystawił ucho do naznaczonych drzwi. Nic, cisza, najwyraźniej domownicy spali snem sprawiedliwych i nocne wydarzenia mogły napędzić im stracha dopiero rano, gdy odkryją symbole.

Pobiegł za czwórką zbrojnych. Skręcili w głąb miasta, poruszali się pewnie, jakby według wyznaczonej trasy. Doszli do niewielkiego placu, gdzie oznaczyli aż troje drzwi. Zniknęli w mroku, a Belzebub przestał ich śledzić. Przystanął w cieniu i czekał.

Długo nie działo się nic, wreszcie jednak z jednego z domów wyszedł skulony starzec. Rzucił szybkie spojrzenia na boki i poświecił kagankiem na znak. Potarł palcem farbę, jakby sprawdzając, czy da się ją zmasać, ale biała maź szybko wniknęła w deski drzwi.

Nim zniknął w drzwiach, Kalikst wyszarpnął pugiinał i doskoczył do niego.

– Morda! – warknął. – Cicho być! Do środka!

Starzec nawet nie jęknął. Belzebub wepchnął go do sieni i zatrzasnął drzwi.

– Bez hałasu, dziadku! – powiedział. – Nie przychodzę po twoje mieszki ze złotem. Na nic mi one teraz.

– Ech?... Czego?... Kim jesteś?... Co?... – mamrotał starzec.

– To ja tu zadaję pytania. A ty na nie odpowiadasz. Nie na odwrót. Kto tu jeszcze śpi?

– Ano ja, moja żonka, córa z mężem, no i wnuczka... A tyś pewnikiem jeden z tych zalotników... Ale jak mówię, Aszken jest Bogu przeznaczona.

– Zawrzyj gębę! Przestań beblać i nawijaj, ktoś ty i dlaczego Seldżuki w środku nocy smarują na twych drzwiach krzyż! – Swój rozkaz Kalikst podkreślił lekkim dźgnięciem pugiinału.

Starzec jakby zmałał. Ostrze noża zostawiło krwawy ślad na jego policzku.

– Nie, nie, ja nie wiem. To zbóje jacyś, pewnikiem do rabunku się sposobią...

– Dostyc, dziadek! Co ty mi tu mieszasz za kity?

Mężczyzna umilkł, uciekając wzrokiem w bok.

– Dobra, to ja będę teraz gadał! Filując na ciebie, widzi mi się, żeś Armeńczyk. Mieszkas tu od dawien, zanim Turki przyszły, i jesteś chrześcijanin. Nie przeszedłeś na wiarę Mahometa i teraz, kiedy wojna tuż, Seldżuki znakują ci dom jako zdrajcy albo wrogowi. No, źle gadam?

Brodacz odetchnął z widoczną ulgą. Kimkolwiek był tajemniczy gość nachodzący go w środku nocy, nie trzymał z tureckimi zarządcami miasta.

– Dobrze, nieznajomy. Domyślam się, żeś jednym z tych *Rhomaioi*, którzy czają się pod miastem. Chodźmy głębiej do domostwa, to powiem ci, jak jest w Antiochii.

– Nazywam się Wazgen Bifian – zaczął swą opowieść starzec, gdy już siedli w przestronnej izbie jadalnej. – Jestem skrybą w miejskich magazynach zboża. Jak słusznie zgadłeś, wierzę w Jezusa Chrystusa, zaś religia głoszona przez Saracenów jest mi obca jak każda inna herezja. W Antiochii żyję już od ponad czterech dziesiątek lat, toteż najazd Turków przed siedmiu laty nie wywołał u mnie lęku ani nie zdziwił. Przez Antiochię przetaczały się wojny i wszelkie insze kataklizmy, o których nie warto już wspominać. Zostawmy to kronikarzom. Żadna z tych katastrof nie podkopała mojej wiary, więc gdy przyszły Seldżuki, również trwałem przy religii Chrystusowej. Trzeba oddać sprawiedliwość, że Turkowie pozwalali nam żyć, tak jak chcemy, i nie zmuszali do apostazji. Jest nas tu wielu chrześcijan: Armeńczycy, Romańczycy, Syryjczycy... pozwalali nam żyć i wyznawać swoją wiarę.

Do izby weszła młoda kobieta. Wazgen przerwał opowieść. Niewiasta odziana była jeno w lekki tiul, pod którym pięknie krągliły się kształtne uda i dorodne piersi. Wydatne usta aż prosiły, by je całować.

– Dziadku, co tu się wyrabia? Kto zacz?

– Aszken? Dlaczego nie śpisz? Jak ty wyglądasz?! Okryj się natychmiast!

– He, he – zarechotał Kalikst. – I ty chcesz taką dziunię cycatą do klasztoru oddać? To już lepiej mnie ją daj, to pokażę jej, co to rajskie rozkosze.

Starzec machnął tylko ręką.

– Zalotniki każdego dnia tu się złączą i musisz wiedzieć, że bywali tu panowie znamienitsi niż ty, nieznajomy. Wielmoże i bogacze. Ale wszystkim powtarzam: Aszken jest Bogu przeznaczona.

Dziewczyna spuściła skromnie oczy. Oparła dłonie na podołku i spłoszona umknęła za drzwi. Armeńczyk opowiadał dalej.

– Jak słusznie rzekłeś, nieznajomy... Jak mam cię zwać?

– Kalikst. Jestem Kalikst z Konstantynopola.

– A więc, jak słusznie rzekłeś, Kalikście z Konstantynopola, gdyście podeszli pod miasto, Seldzucy zaczęli nas inaczej traktować. Nie, nie robią rzezi ani nie każą wyrzec się Chrystusa. Nocami krążą po mieście i stawiają znaki. Kilku już zginęło, nie wiadomo co z nimi. Może jęczą w lochach cytadeli, może już pływają napuchnięci w Orontes. Boimy się, nie wiedząc, co nas czeka. Dziś postawili symbol krzyża na moich drzwiach. Nie wiem, co teraz. Nie wiem, jakie mają zamiary.

Belzebub pokiwał ze zrozumieniem głową.

– A te domy tu obok? – zapytał. – Kto tam żyje?

– Wszystko Armeńczyki. Badrig Płatnerz i Nerses z Edessy, kupiec zbożowy. Z Nersesem robię interesy, to mój zaufany druh. Badrig to też uczciwy chrześcijanin. Wszystkich nas spotka podobny los...

Ostatnie słowa wypowiedział z nieskrywaną żalością. Widać, że lata nieszczęść wcale nie uodporniły go do końca. A może przeczuwał własną śmierć.

Kalikst wstał i wyjrzał przez szpary w okiennicy. Wstawał już świt. Czas było się zwiijać.

– Posłuchaj, starcze, jutro przybędę tu, ledwo noc zapadnie. Czekaj na mnie razem ze swoimi sąsiadami Armeńczykami. Dowiedz się też, jeżeli masz taką sposobność, jakie strażę stoją nocami przy bramach. Czy wielu ich, jak uzbrojeni. Jak często się zmieniają. Jutro wszystko mi powiecie.

To rzekwszy, Belzebub zasłonił twarz zawojem i wyskoczył na ulicę. Musiał stąd wiać, nim wzejdzie słońce.

* * *

W południe po obozie rozeszła się radosna wieść: do portu Saint-Simeon przyplłynął transport z Seleucji. Dziesięć galer dostarczyło części do machin wojennych – a więc dobrej jakości drewno, stalowe korbowody, sprężyny, łańcuchy, mocne liny... Nowe zapasy ognistej

galarety inżyniera Kallinikosa, a także rzecz może najmniej wojenną, ale za to najbardziej przydaną: jadło we wszystkich postaciach.

Co prawda zapasy dowieszone z najbliższego portu cesarstwa nie mogły starczyć na dłużej niż na kilka dni, może tygodni, jednak w obozie zapanowała euforia podsycana najdłużej i najbardziej oczekiwanym dobrem – winem. Za cud można uznać, że beczki z napojem Dionizosa nie zostały od razu rozpite przez oddziały wysłane przez Aleksego Komnena do pilnowania portu. W istocie ta część armii wyłopała tylko połowę, po czym padła nieprzytomna twarzą w błoto. Resztę odzyskał patrol czujnie wysłany przez tych, co pozostali w obozie. Ryki radości trzęsły okolicą do wieczora.

Kalikst nie brał udziału w bachanaliach. Niepokoila go myśl, że tej zbieraninie łotrów wystarczy kilka beczek wina, a już zanikała w nich dusza rycerzy, zaś odzywała się natura pospólstwa, które swe szczęście mogło odnaleźć tylko w pełnym kielichu.

– Chlejem, ziomki! Chlejem, aż padniem! – wył Nicetas szczęśliwy jak nigdy. Zupełnie zapomniał o połamanym kolanie. Nadawał ton dionizjom, szczerze lejąc kompanom wino do kubków.

– Kalikst, patrz co mam! Całą wielką bekę wypełnioną ambrozją, od której bogowie zachowują wieczną młodość i nieskończone życie. Napijże się ze mną!

A i owszem – Belzebub nie stronił od napitków. Jednak teraz jego myśli krążyły wokół armeńskiej uliczki w Antiochii. Machinalnie przyjął od Wielkiej Pięści drewniany kubek z winem. Pił, nie czując smaku.

Czekał tylko wieczora...

* * *

Badrig Płatnerz i Nerses z Edessy wyglądali niemal tak, jak Wazgen Bifian, tyle że ich brody miały nieco ciemniejszy kolor. Wszyscy spoglądali na Kaliksta takim samym smutnym wzrokiem.

– Dziś tuż przed zachodem zniknął Hetum Mały – opowiadał zboląłym głosem gospodarz. – Złotnik, rzemieślnik z bożym natchnieniem, który nie miał sobie równych nie tylko w Antiochii, ale nawet w Aleppo i Laodycei.

Przerwał. Po chwili opowieść podjął Nerses:

– Turki weszły do warsztatu Hetuma i zabrały, i jego, i złoto. Gdzie go powiedli i jaki jego los, tego się można jeno domyślać. Wszystkich nas czeka podobna dola: jednego dnia jest człowiek. Drugiego wszelki ślad po nim zanika.

Armeńczycy zgodnie pokiwali głowami.

– Coście się zwiedzieli? Jak Seldżuki bram pilnują?

– Emir posłał po posiłki do Mosulu i Bagdadu. Tam już formują się oddziały, które mają wyjść naprzeciw żołnierzom *basileusa*. W mieście zaś każdej bramy pilnują po dwie

dziesiątki ludzi, a na wieżach zawsze jest co najmniej pięciu.

– Chyba znów spali – mruknął Kalikst. Kolejny raz udało mu się wspiąć na mur, nie wzbudzając najmniejszego zainteresowania strażników.

Jeżeli tak uważnie pilnują bram, to nie powinno być kłopotu ze zdobyciem miasta – uznał.

– W całym mieście panuje bałagan – mówił dalej Badrig. – Za dnia Turki biegają, gromadzą na murach broń i maszyny.

Do izby weszła Aszken. Tym razem ubrana była w długą białą tunikę sięgającą aż po kostki. Belzebub z trudem wyłowił wzrokiem spod fałdów materii jej kuliste, obfite piersi. Rozmarzył się, w myślach zdzierając z niej szatę.

Niewiasta postawiła na stole dzban wina, biały chleb i oliwki. Wazgen dostrzegł pożądlivy wzrok Kaliksta śledzący każdy jej krok.

– Aszken, zda się, że matka cię wołała... Idźże do niej.

– Akurat, stary przyku, wołała... – mruknął cicho Belzebub.

Dziewczyna poszła, zamiatając podłogę skrajem tuniki.

– Firuz może ci pomóc – powiedział gospodarz.

– Tak, jeżeli wejść do miasta, to tylko Firuz. – Armeńscy znów wykazali się zadziwiającą zgodnością.

– Co znowu za Firuz?

– Firuz zmienił wiarę – klarował Nerses. – Z Chrystusowej na islam. Jest Armeńczykiem jak my, ale zdradził religię naszych ojców. Nie nam to oceniać, bo osądzi go Bóg, gdy przyjdzie na to czas. To strażnik. Gdyby nie przeszedł na wiarę Mahometa, pewnie siedziałby tu z nami, biadoląc nad losem krajanów. A tak służy pod tureckim dowódcą w Bramie Książęcej. Młodzian, ledwie trzydzieści wiosen mu stuknęło, łatwo go będzie przekabacić. Tylko jakiś argument trzeba znaleźć.

– Jaki? – zapytał Kalikst.

Wytłumaczył mu to Wazgen:

– Firuz jest kłótlivy i zapalczywy. Seldzucy nie ufają mu, a on chce za wszelką cenę wykazać, że jest dobrym muzułmaninem. I że można mu powierzyć odpowiedzialny odcinek. Ale Turki i tak mu nie wierzą. Przeciwnie, poniewierają nim, a jeden z seldżuckich żołdaków, jak powiadają cichaczem, zbałamucił mu młodą żonę. Do tego on się akurat nie przyzna, ale taka jest prawda. Wciąż stara się przekonać samego siebie, że wybór, jaki poczynił, jest właściwy, jednak wszystko przeczy jego naiwnej wierze. To jest jego słabość, którą możesz wykorzystać.

– Gdzie on mieszka? Jest u siebie teraz? Ma służbę?

– Kilka ulic stąd. Niedaleko. Odkąd podeszły wojska *basileusa*, służbę ma tylko za dnia. Mówiłem, że Turki mu nie ufają.

– Nic to, prowadźcie...

* * *

Szybko przemknęli przez nocną Antiochię, nie napotykając strażników ani patroli malarzy. Domostwo Firuza znajdowało się kilka minut marszu od uliczki trzech Armeńczyków.

– Czekać tu – zakomenderował Wazgen Bifian.

Starzec zakołatał w solidną bramę. Po chwili drzwi uchyliły się. Kupiec zbożowy wszedł do wnętrza domostwa strażnika.

Nie było go jakiś kwadrans.

– Jeżeli masz odpowiedni zapas solidów, Antiochia będzie twoja – rzekł do Kaliksta. – Firuz chce z tobą gadać. Sam na sam. My wracamy. Bóg z tobą.

Armeńczycy nagle rozmyli się w mroku. Belzebub skinął im głową na pożegnanie i ruszył w stronę drzwi.

Strażnik przechrztą stał tuż za nimi.

– Ty jesteś tym posłańcem od *basileusa* Diogenesa? Jesteś jego... jak to mówią... logoteta?

– Tak, jestem Kalikst... Meklidos spowinowacony z Fokasami i Komnenami. Sam autokrator Roman IV Diogenes zlecił mi to zadanie. Powiedział: *Nie będę na twą misję żałował solidów*. Turkom nie można przecież ufać, bo oni nigdy nie będą szanować kogoś, kto urodził się chrześcijaninem.

– Zaprawdę, mądre słowa wypowiadają usta *basileusa*.

Firuz był chudy, a przy tym dosyć wysoki, czym stanowił całkowite przeciwieństwo trzech Armeńczyków, którzy przyprowadzili tu Kaliksta. Tamci ujmowali swoją jowialnością i zatroskaniem. Strażnik kręcił się nerwowo, nieustannie międląc dłońmi, jakby nie wiedział, gdzie je ułożyć. Tarł nimi wodniste oczy, drapał się po głowie, wreszcie jedną przykrył usta, drugą zaś trzymał w nienaturalnej pozycji wzdłuż boku.

Ubrany był na modłę turecką w luźne portki i kamasze z zawiniętymi noskami. Przycięta po seldzucku broda lśniła od tłuszczu.

– *Basileus* nakazał mi, bym przybył do Antiochii i obchodził wszystkie chrześcijany. I głosił im dobrą nowinę...

– Ale jam wyznał nową wiarę... W Allaha.

– To nie wiara! To jeno herezja, co tu dużo gadać. Jak mówią, tę apostazję przyniósł szarlatanowi biały byk na swoich rogach. Źle uczyniłeś, oddając się jej, ale nie jest to grzech śmiertelny. Byłeś przecie chrzczony w chrześcijańskiej świątyni.

Armeńczyk wzruszył ramionami.

– Ano byłem. Ale teraz po trzykroć wypowiedziałem szahadę. *La ilaha ill'Allah wa-Muhammadun rasulu Allah...*

Kalikst prychnął z pogardą. Uniósł palec jak kapłan podczas kazania.

– I cóż znaczą te słowa?! Cóż to za język? Nie wiesz nawet, co to znaczy.

– Wiem, co znaczą te słowa. To jest...

Belzebub nie dał mu dokończyć.

– Kiedy głowisz się, co znaczy *rasulu ala*, podstępny Turek chędoży ci żonkę na boku, bo dla niego zawsze będziesz nędznym Armeńczykiem i niewiernym, któremu on nie zaufa.

Przechrzta zbladł. Cofnął się o krok, zaciskając pięści do białości.

– Co!?! Skąd wiesz? Znaczy się, co ty mówisz? Jaki Turek?! Co te stare głupki ci naopowiadały?

Niedobrze! Kalikst za wcześnie uderzył. Trzeba było dłużej go urabiać. Ale przypało – przystąpił do zmasowanego ataku.

– Nie możesz wierzyć Turkowi! Turek ma tylko jeden cel: wykorzystać ciebie, wykorzystać twą rodzinę, zająć twoje dobra, a gdy będziesz niepotrzebny, poderznąć ci gardło. Turek jest podstępny, zły i plugawy. No powiedz, co dobrego spotkało cię od Turka? Masz wśród Turków przyjaciół? Czy twoja rodzina wywodzi się z Turków i czy z Turkami jada wspólne wieczerze?

– Chodzę do meczetu...

– Meczet! Czym jest meczet? Puste ściany, pomiędzy którymi nie ma Boga! Święty Bartłomiej apostoł i święty Tadeusz łyży toczą, patrząc na ciebie z niebios, gdy mówisz, że w meczecie jest Bóg. W meczecie jest tylko brudny, chytry Turek, który patrzy, jak tylko oszukać naiwnego Armeńczyka.

Firuzem wyraźnie targwały sprzeczne uczucia. Z jednej strony ten posłaniec od autokratora wyraźnie z niego kpił. Szydził ze świętości, łyżł braci Seldżuków, no i złe słowa mówił o Firuzowej kobiecie. Zwłaszcza to ostatnie doprowadzało go do szału. Ledwie powstrzymał odruch, który nakazywał mu chwycić miecz i natychmiast skrócić przybłędę o głowę, a trupa wyrzucić do rynsztoka ku ucieście bezpańskich psów.

No ale z drugiej strony... W głębi duszy przechrzta musiał przed sobą samym przyznać, że logoteta, czy kto on tam, prawil nie od rzeczy. Dla Turków zawsze był tylko brudnym Armeńcem. Mieli go za zdrajcę, choć jeszcze w niczym nie uchybił swoim powinnościom wobec emira. No i jego żona, Aghavni... Przymknęła mu wierność przed chrześcijańskim księdzem, zaś po tym, jak wypowiedział szahadę, po tym, jak został Turkiem, ona oddała się Jaghiemu Sijanowi, jego dowódcy, jak ostatnia kurew z najpodlejszego lupanaru. Tak, Jaghi Sijan był winien, Aghavni była winna, wszyscy byli winni. W Firuzie narastała złość.

– Czego ty ode mnie chcesz, przybłedo?! – mruknął wściekle, z nieskrywaną niechęcią, ale Kalikst wiedział już, że wygrał.

– O umówionej porze, o świcie zabijesz najwyższego rangą oficera, który dowodzi tobą w Bramie Książęcej.

– Łotr Jaghi Sijan. To on jest...

– Zarznieś go i wszystkich, którzy staną za nim.

– O świcie będą spali. Tylko że moja zmiana będzie wtedy, gdy już słońce wszędzie. Nie ufają mi! Mają mnie za zdrajcę! Więc tylko za dnia pozwalają służyć. Nie, żebym lubił po nocach wystawać na wieży z mieczem w dłoni, wszak dzienna służba to przywilej, ale...

Belzebub uciął tę przemowę krótkim gestem.

– Jakoś wejdiesz. Chodzi tylko o to, żebyś tam był, zaciukał kogo trza i odblokował bramę. Musisz tylko wyróżnić tych, co będą mieć baczenie na kołowrót i mogą podnieść przedwczesny alarm. Najlepiej we śnie. My wejdziemy zaraz, jak tylko uchylisz bramę. Zrobimy resztę. Firuz przytaknął i oblał się potem. Otarł dłonią wilgotne czoło. Ręce drżały mu jak w febrze. Dyszał, świszcząc nerwowo.

– Zrobię tak... Zrobię... Ale *basileus* musi mi to wynagrodzić. Ryzykuję wszak życiem. Gdy Turki mnie zdybią z nożem w ręku, gdy się do nich skradam...

– Ile solidów złagodzi twój niepokój?

– Sto! Chcę sto solidów!

– Tak niewiele? Możesz mieć jeszcze więcej.

Firuz poczerwieniał.

– Co? Ty kpisz sobie ze mnie! Sto solidów to niewiele?

– To niewiele. Nie znasz hojności naszego *basileusa*! Autokrator zdecydował, że po opanowaniu Antiochii przez trzy dni będę sprawować w niej rządy jego zdobywcy. Cesarz wejdzie do miasta dopiero potem, więc do tego czasu, co chwycisz, to twoje. Możesz brać wszystko. Sto solidów! Dwieście! Sto tysięcy! Ile możesz unieść w garściach!

– Niezwykła hojność – wybełkotał oszołomiony Firuz. – Aż wiary dać nie mogę. To przecież tu tyle złota, że...

Umilkł, patrząc koso na Kaliksta.

– Jak wiesz, co i jak buchnąć, to się nie chwał – zarechotał Belzebub – tylko ostrz swój mecz. I jutro o świcie rżnij Turków bez litości, a później uchyl bramę. Swych ziomków Armeńczyków nie ruszaj, ale co Seldzuka, może być twoje. Potraktuj to jako swoją zapłatę. Powiem ci jeszcze coś: jak otworzysz nam bramę, musisz się śpieszyć. Rychło ruszą po łupy nasi.

Przechrzta tylko pokiwał głową. Szczęście odebrało mu mowę.

* * *

– Wynocha, łajzo! *Strategos* wypoczywa. Byle kogo nie przyjmuje. Zabieraj stąd dupę, powtarzam!

Kalikst strzyknął śliną.

– Uchaj, gadzie! Nie nagiąłem tu, coby bając o dziuniach ani o dupodajach, co byś pewnie wolał! Mam dla *Strategosa* nie lada wieści. Więc dymaj do wielmoży i mów, że wojak Kalikst Belzebub z Konstantynopola wie, jak łącno zdobyć Antiochię.

Strażnik popatrzył nań złowrogo, ale dla świętego spokoju wsunął z powrotem miecz do pochwy i mruknął:

– Dobra. Czekać tu, ale jeżeli łzesz, to sam cię zetnę. Tu na środku placu, moim mieczem.

Kwadrans później *Strategos* Aleksy Komnen pytał:

– Jak powiadasz?! Brama Książęca? Czyli najbardziej wysunięta na północ. Na lewo od głównego mostu? Jej nie brałem pod uwagę, bo nie jest zbyt korzystnie położona.

Kalikst zgodził się ze swoim wodzem.

– A i owszem. Wszędzie rzeka, bagna, góry... Główny most prowadzący do miasta ufortyfikowany. Nie ma co marzyć, by go przejść ot tak sobie. Możliwość jest inna. Trzeba położyć własny most wyżej, z bali drewnianych. A dalej, jeszcze wyżej nurtu Orontesu jest niewielka kładka zwana Psim Mostem. Jeżeli Turki go jeszcze nie porębały, to można przejść. Znaczą ludzie przejdą i konie, ale rydwany już nie. To jest kładka z kilku desek.

Strategos w zamyśleniu patrzył na mapę. Wodził palcem wte i wewte, marszcząc czoło.

– Jakby nie spojrzeć, to nie jest dla nas korzystny wariant. Antiochia to jednak doskonale umocnione miasto, sam Bóg je widać zaplanował. Gorzej, że Boży plan podstępnie wykorzystali Turkowie, zajmując gród.

Kommen oderwał wzrok od mapy i spojrzał uważnie na Kaliksta. Jego ciemne oczy lśniły złym blaskiem, który Belzebub natychmiast odczytał jako nieufność i podejrzliwość. *Strategos* sięgnął po niewielki mieczyk służący mu do cięcia owoców i jął nim obracać, jakby chciał coś w ten sposób wyrazić.

– Przejdziemy most. A później co?

– Później do Bramy Książęcej. A tam... A tam czeka umówiony przeze mnie człek, który otworzy wierzeje.

– Zdrajca?

– Tak. Armeńczyk co się przechrzczył na wiarę Mahometa.

– Skoro na wiarę Mahometa, to się nie przechrzczył, tylko wypowiedział szahadę. Oni nie uznają chrztu.

– No tak, tak – potwierdził Kalikst. – Na jedno wychodzi.

– Dobrze zatem. Jak umówiłeś się z tym człowiekiem? Gdzie go spotkamy, jakie jest hasło i kiedy otworzy bramę?

– O nie, wielmożny panie! Tutaj to już moja rola.

– Twoja rola? Co masz na myśli?

– Ano jakie jest hasło i jak bramę otworzyć, to ja już wiem i nikt inny. I ja to sobie będę wiedział. Taka będzie moja oferta.

– Twoja oferta? Oferta?! – Aleksy Komnen był wyraźnie wzburzony. – Co ty sobie wyobrazasz, szumowino? Że będziesz stawiał mi warunki?! Że jakiś handel będziesz uprawiać jak Syryjczyk czy inny Żydek?

– Tak, *Strategosie* – odparł Kalikst, nie dając się zbić z tropu. – Jam tu nie dla chwały

basileusa ani dla chwały Pana Boga w niebiosach. Jam jest złodziej i kanalia, według waszego, wielmożów, pojęcia. Nie mam honoru, więc wszystko przeliczam na solidy. Mówię szczerze, jak jest.

– Na solidy, powiadasz? Czyli ile oczekujesz?

– A nie, tym razem nie o solidy chodzi! Chcę być *hekatontarchosem*.

– Setnikiem? Ty?! Dobrze sobie! – Aleksy Komnen zatrząsł się ze śmiechu. Z rozmachem wbił mieczyk w wielkiego arbuza. Wodnisty sok chlapał na boki, spod zielonej skorupy wypłynął różowawy miąższ. *Strategos* zadał jeszcze kilka szybkich ciosów, zamieniając owoc w miazgę.

– Tak. Chcę być *hekatontarchosem* – powtórzył Belzebub – zamiast Tyberiusza Piąchulca.

– Ha, ha, ha! – zaśmiał się Aleksy. – Drobnny złodziejaszek chce zastąpić na odpowiedzialnym stanowisku Tyberiusza Piąchulca, weterana i wygę!

– Tak właśnie chcę.

– A co byś powiedział, jakbym cię kazał powolutku na pal wbić? Albo zawiesić za nogi w pełnym słońcu? Albo gołego puścić pod bramę, żeby cię Turki strzałami naszpikowały, zanim zdążysz dać drapaka?

Kalikst zarechotał szyderczo. Już czuł, że zyskał, co chciał. Komnen musiał po prostu zademonstrować swoją wyższość i siłę. Ale ugnie się. A gdyby jednak chciał spełnić swoje śmieszne groźby, w ciemności stał na straży Purrhos.

– Panie, ja wierzę, że nie masz powodów, by tak robić. Chcę być *hekatontarchosem*, bo jestem dobry, prosta sprawa. Skoro potrafię otworzyć miasto, to będę wiedział, jak zdobyć inne twierdze. A czy nie o to chodzi na wojnie?

Aleksy Komnen nabił na mieczyk kolejny owoc. Tym razem był to granat. Zaczął wydłubywać ze środka słodkie pestki.

– I co mam niby zrobić z Piąchulcem? Jego nadziać na pal?

– Nie kryję, że taki widok sprawiłby mi radość, ale nie. Niech zostanie po prostu pod moją komendą.

– Porachunki? Małostkowy jesteś, żołnierzu.

– To nie porachunki... Lepiej, żeby każdy był na swoim miejscu. Wedle rozumu i umiejętności.

– Nie wiem, może robię wyjątkowe głupstwo, może szatani mnie opętali, ale niech ci będzie. Ale pod jednym warunkiem! Gdy rzeczywiście przyczynisz się do tego, że zdobędziemy miasto, będziesz *hekatontarchosem*, jednak tylko do pierwszego błędu. Jakakolwiek wpadka, pijany żołnierz z podległej ci setki, który narzyga mi pod namiot, będzie dla ciebie wyrokiem śmierci. Nabiję cię na pal albo zawieszę na słońcu.

Jeżeli narzyga, to ja mu pierwszej jaja utnę, a później sam na kolek nabiję – pomyślał Kalikst.

– Jutro, panie – rzekł – będziesz świętował zwycięstwo w sercu Antiochii. A wtedy nie będziesz już myślał o tym, by nabijać na drąg swoich najlepszych bohaterów. To ci mogę obiecać.

* * *

– Krew... Morze krwi, nienawiść, śmierć i zdrada... – wyszeptał ślepiec w szkarłatnej riasie. – Taaak, tam będzie zdrada po dwakroć! Widzę... Widzę...

Odwrocił twarz od słońca. Przysłonił dłońmi powieki, jakby chciał zetrzeć z nich sceny okrucieństwa. Promienie padające z rozpalonej kuli malowały na jego bielmach obrazy przyszłości. Bliższe, dalsze, nie zawsze dokładne. Teraz jednak nie miał wątpliwości: wizja rzezi syryjskiego miasta była aż nazbyt wyraźna. Wręcz namacalna. Jakby patrzył swoimi własnymi oczami. Jakby stał za murami Antiochii pośród umazanych krwią zdobywców i obrońców, spętanych łańcuchami śmierci, ogarniętych ogniem walki.

Tarł czoło i skronie tak długo, aż obraz zniknął. Ogarnęły go ciemności, choć na skórze czuł palące promienie cypryjskiego słońca.

Kręcąc głową, zaczął iść w dół wzgórza wąską ścieżką, którą sam wydeptał. Na szczycie słońce najszczodrzej zsyłało mu dar widzenia, więc chętnie tu przychodził. Znał każdy kamień, każdą nierówność drożyny...

Nad głową posłyszał wrzask jastrzębia. Zaraz doszedł go krzyk drugiego, nieco słabszy, jakby mniej pewny, ale pełen życia. Ptaki – drobna samiczka o płowych skrzydłach, i większy samiec o popielatych piórach i żywych pomarańczowych oczach – przemknęły nad starcem, odfruwając nad pobliską przepaść.

Szkarłatny mnich westchnął ciężko. Widział przyszłość, widział różne jej rozgałęzienia i wiedział, że to jeszcze nie teraz. Jeszcze nie nadeszła ta chwila, gdy strumyczki czasu zbiegną się w jeden rwący nurt, a niesione nim wydarzenia popłyną prosto do celu. Przeklęty sługa Satanaela mógł wyrządzić zbyt wiele szkód, a jego wybraniec pójść różnymi drogami, nie zawsze tymi, które wiodły do tego jedyne go dobrego rozwiązania. Złodziej mógł, weźmy, zginąć wcześniej – to nie byłoby tak złe, bo uniemożliwiłoby triumf Czarnego Mnicha. Jednak opryszek o diabelskim imieniu był potrzebny i musiał przejść swą drogę do ostatecznego celu. Gorzej, gdyby wyrwał się spod kontroli i rozwinął swoją własną, zupełnie nieprzewidzianą wersję przyszłości.

Starzec zszedł z najbardziej stromego wzgórza. Teraz jego dróżka wiodła nieco łagodniejszym stokiem, jednak było więcej kamieni staczających się z góry. Tu mapę przeszkód musiał poznawać na nowo – niemal każdego dnia wiatr, słońce i wszystkie inne siły natury rysowały własne szlaki, trzęsąc starymi górami Troodos.

W końcu doszedł do swej pustelni. Był to niewielki kamienny budynek, kolisty, ustawiony przed wiekami z prostych, niedbałe wyglądzonych bloków bazaltu. Małe okienka,

pozostawione raczej dla powietrza niż światła, sugerowały, że pierwszym mieszkańcem eremu również był ślepiec.

Zbliżył się do drzwi pustelni, nie wszedł jednak do środka. Zasiadł na kamiennej ławie przed eremem i słuchał głosu ptaków. Jastrzębie szybowały gdzieś w przestworzach nad jego głową, krzycząc, aż echo szło. Ślepiec w szkarłatnej riasie czekał cierpliwie. Nagle głosy zniknęły, tylko wiatr zawodził ponuro. Gdzieś tam w oddali zastukały spadające kamienie, niżej szeleściły zeschnięte drzewka. Na te głosy nie zwracał uwagi, wreszcie jednak się doczekał.

Jastrzębie wracały. Słyszał łopot skrzydeł obydwójga, a później triumfalny wrzask płowej samicy.

Mnich sięgnął pod ławę, dobywając stamtąd skórzany rękaw. Nasunął go na ramię i wyciągnął rękę do jastrzębicy. Ta posłusznie sfrunęła mu na nadgarstek, rzucając wcześniej zdobycz trzymaną w pazurach – obróconego w krwawą miazgę zająca.

– Daleko zaleciałyście, daleko... – mruknął z zadowoleniem eremita. Sięgnął po zdobycz przyniesioną przez ptaki i wyszarpnął spod sierści pierwszy kęs mięsa. Krew zalała mu brodę, jednak nie zwracał na to uwagi. Powolnymi, oszczędnymi kęsami odrywał kolejne porcje, długo je żując, wysysając wszystkie soki.

Wreszcie nasycił głód – nie potrzebował przecież wiele. Łagodnym ruchem strząsnął samicę z ramienia, po czym wykonał gest zachęty dla drugiego jastrzębia. Ten ochoczo podfrunął i od razu wbił dziób w podsunięty mu strzęp króliczego mięsa. Szarpał ochłapy, aż krew bryzgała, ochlapując twarz eremity. Ten jednak tylko się śmiał:

– Jedz, jedz, drapieżniku. Może jeszcze kiedyś, Bóg da, przypomnisz sobie, jak polować.

ROZDZIAŁ 6

Firuz przywitał ich z odciętą głową Jaghi Sijana w garści.

– Ha, ha! Urznąłem mu ją! – Śmiał się jak opętany, a w jego wodnistych oczach łyskały złowrogie ogniki. – Jak zleżł spać, powiedział: *Jeno na chwilę, muszę odpocząć, trzecią noc już tkwię w tej bramie, wypatrując Rumów*. Znaczy na wieczną chwilę, ha, ha!

Wywijał głową Turka, bryzgając z góry krwią. Ciemne krople padały im na głowy i ramiona, znacząc zbroje i kolczugi rudymi plamami niczym rdzą.

– Ty tam! Mordę zawrzyj i otwieraj bramę! – rozkazał Kalikst. – Straże pobudzisz!

Firuz popatrzył dziko na boki, czy nikt nie idzie. Oparł łeb Sijana na krawędzi muru.

– Tak, tak... Jasne – powiedział zduszonym głosem. – Jaghi niech se tu spoziera na przedpole, a ja zaraz odrygluję bramę. Już idę na dół, schodzę.

Belzebub nawet nie zdążył krzyknąć, by zaczekał. Chciał wejść do środka po linie i zabić strażników własnoręcznie. Ale tamten już pognał w dół schodami.

– Dwóch? – mruknął cicho Nicetas. – No to zaraz go na rożen nadzieją i tyle będzie z naszego zdobywania Antiochii.

Mimo bolącego kulasa Wielka Pięść uparł się, by iść razem ze wszystkimi łotrami zdobywać Antiochię. Teraz stał w pierwszej linii, ściskając w spoconych dłoniach rękojeść wielkiego miecza spatha.

– Nie kracz, kuternoga, bo mnie wpieniasz!

– A co, nie mam racji? Głupek ten Firuz.

– No głupek, ale głupi mają szczęście. Tylko czekaj, zaraz wejdziemy do środka.

Kalikst myślami był już w środku miasta, już widział, jak Antiochia płonie, a ponad nią wznosi się jęk rozpaczony zarzynanych dzikusów. Jednak gdzieś tam, pod skórą czuł, że Firuz skrewi.

Ale nie. Szczęknęły sztaby, zachrzęściły łańcuchy. Wzmocniona stalowymi guzami brama drgnęła, stęknęła i powoli zaczęła iść w górę. Belzebub skoczył w przód. Gdy tylko wierzeje odsłoniły wąski przesmyk, przylgnął do kamieni i wpełzł do środka. Za nim poszła reszta. Łotry z trudem kryły podniecenie. Byli już w środku, od miasta odgradzała ich jeno żelazna krata.

Hałasy zaalarmowały strażników. Nagle wysypali się z bocznych drzwi, wrzeszcząc coś

w swej dzikiej mowie. Ale nim dobiegli do schodów prowadzących do korbowodu, którym kręcił Firuz, zdobywcy naszpikowali ich strzałami. Zaraz nadbiegli następni, uzbrojeni w gołe szable. Już wiedzieli, że dokonana się zdrada, a im nie pozostało nic innego, jak zginąć.

Słusznie mniemali.

Ledwie krata uniosła się w górę na dwie stopy, Kalikst był już w środku. Tuż za nim sunęła cała setka od Tyberiusza Piąchulca, on sam i reszta hałustry.

– Zabij! Zabij Turasa! – zaryczały łotry.

– Antiochia nasza! Nasza! Zdobyta!

Przedwczesna radość! Od sąsiedniej baszty biegły już dwa oddziały Seldżuków. Spomiędzy uliczek nadciągnęli następni. Nagle wokół Bramy Księżęcej zaroilo się od tureckich zbrojnych ze skowytem odpierających nocny atak.

Gdy Firuz podciągnął wyżej kratę, napastnicy włali się jak fala powodzi, z rykiem triumfu, szczękiem mieczy, szabel, toporków, kiścieni, maczug. Konstantynopolitańskie łotry, hultaje z Nicei, Cezarei, bandziory z całego cesarstwa runęły z impetem w głąb miasta złaknione obiecanego złota, klejnotów, cudów, rozkoszy... Seldżycy swymi strzałami próbowali powstrzymać ich pod bramą. Za późno! Ledwie sięgnęli do kołczanów, już spadły na nich ostrza mieczy.

– Do przodu! Zdusić ich! – ryczał Tyberiusz Piąchulec, odzyskując wigor i, jak mniemał, panowanie nad sytuacją, jednak jego żołnierzom nie trzeba było już słów zachęty. Parli do przodu, wywijając ostrzami, tnąc zaskoczonych Turków jak suche zboże.

Kalikst wył z radości. Na rydwanie mimo długich dni szkolenia wciąż czuł się nieswojo. Ciężkie stroje, syfony z greckim ogniem, turkot okutych kół bojowego wozu – owszem, to rozpalało w nim żar walki, jednak zarazem musiał cały czas trzymać emocje na wodzy. Najmniejszy błąd mógł kosztować życie nie tylko jego samego, ale także kompanów.

Teraz jednak nie istniały żadne granice. Tańczył z półprzymkniętymi oczami, słuchając świstu swojej szabli, skowytu ranionych obrońców miasta, obryzgiwany krwią. Seldżycy nie przyszykowali się do nocnego ataku. Mieli broń, ale nie zdołali okryć piersi i głów zbrojami. Lekkie szaty szybko nasiąkały krwią rozcinane i rozrywane równymi ciosami ostrzy razem ze skórą i wnętrznościami.

W wąskich zaułkach Antiochii, w mroku nocy, pod ciemnymi murami z rzadka tylko rozświetlonymi przez pochodnie, łotry czuły się jak u siebie w domu. Tu oprychy mogły pokazać, że nie bez przyczyny *basileus* pchnął ich na pierwszą linię. Lata ulicznych mordobić dawały im przewagę nad regularnymi wojami nawykłymi do walki w polu. A Seldżycy, stepowy ludek, tym bardziej nie potrafili się bić w tej ciasnocie.

No i łotrom nie trzeba było dowódcy. Chociaż Piąchulec i inni *hekatontarchosi* zdzierali gardła, z nawyku kierując swoje setki w ten czy w inny zaułek, rozochociona hałustra obwiesiów wiedziała sama, co czynić. Nie myśleli, nie planowali swych kroków – po prostu bezbłędnie szli tam, gdzie pchnęła ich bandycka natura.

Tym sposobem rozproszyli trzy oddziały Turków.

Przez bramę wlewały się kolejne zastępy atakujących. Kiedy na miejskim bruku zastukały kopyta normańskich najemników, Kalikst uznał, że teraz nadszedł czas na inne działania.

Zaciukał dwóch seldżuckich strażników bezradnie wymachujących zakrzywionymi mieczami i ruszył przez tłum w stronę bramy. Rycerze Roussela de Bailleul skierowali się w prawo, z groźnym łoskotem mknąc ku głównej bramie miasta. Gdy przejechali, Kalikst pobiegł ich tropem, aż zgiełk bijatyki za jego plecami przycichł.

Belzebub schował szablę i skrył twarz pod zawojem. Nie chciał, by ktokolwiek poznał w nim jednego z armii zdobywców. Choć nie znał miasta, złodziejska natura skierowała jego kroki we właściwą stronę – do południowej części Antiochii.

Przebiegł jeszcze kilka ulic i przystanął. Nagle szeroką aleję, której przezornie unikał, wypełnił ciemny, szepczący tłum. Idące w kolumnach postaci śpiesznie podążały w jednym kierunku – ku górnym dzielnicom. Zdziwiony Kalikst spostrzegł, że to tureccy żołnierze. Szli, nie patrząc za siebie. Nie uciekali, choć cel ich marszu mógłby na to wskazywać.

Więc co zamierzali?

Belzebub przeczekał, aż minie go ostatnia grupa i cicho pomknął za nimi. Parli równym krokiem w górę miasta. Wkrótce już wiedział, co jest na rzeczy.

Seldżucy szli ku cytadeli na wzgórzu Silpion.

– Szczury... – mruknął Kalikst. – Chowają się... Jeszcze wam dupska przysmażymy!

Zawrócił na pięcie i odbił w bok, do zachodniej dzielnicy. Nie poznał jeszcze zbyt dobrze tego miasta. Pamiętał tyle, co zobaczył podczas pierwszej swojej bytności w Antiochii, i tyle, co zapamiętał z mapy. Wkrótce zabłądził. Niebo zasnuwały ciemnoszare chmury ledwie rozświetlane sierpowatym księżycem, w niektórych domostwach lśniły płocze światła. To jednak nie wystarczało, by wskazać mu właściwą drogę. Biegł przez wąskie uliczki, starając się zapisać w głowie układ bram, murów i placów. Na nic to – wszystkie zaułki wyglądały tak samo, wkrótce miał już pewność, że krąży w kółko.

Wokół robiło się coraz głośniejsze. Zaułkami przemykali uciekinierzy, targając pośpiesznie zwinięte tobołki. Byle dalej od nadciągającego żywiołu!

– *Rumi! Rumi!* – niosło się zawodzenie w tureckiej mowie.

Mijając ogarniętych paniką mieszkańców Antiochii, Belzebub dotarł wkrótce do zachodniej części murów powyżej Bramy św. Jerzego. Jeszcze kilka setek kroków szeroką aleją i był w dzielnicy chrześcijan.

Panowała cisza, jakby wojna jeszcze tu nie dotarła. Widać Armeńczycy woleli przeczekać zdobywanie miasta ukryci w piwniczkach.

Gdy przez jakiś kwadrans nic się nie wydarzyło, Kalikst doskoczył do drzwi domostwa Firuza. Przystawił ucho do desek. W środku pobrzmiwały głosy, jednak niezbyt wyraźne, stłumione. Nie było w nich strachu.

Wrócił za cuchnące skrzynki. Czekał. W tym czasie hałas bitwy rozlał się po całej

Antiochii. Wrzaski atakujących łotrów, kwik koni najemników, szczękanie ostrzy i lament mordowanych.

Wtem zza rogu wyszedł przechrzta. Taszczył jakiś wór, sapiąc z wysiłku.

– A... Jesteś – szepnął Kalikst.

Odczekał jeszcze, aż Armeńczyk doczłapie na próg, po czym cichutko pomknął za nim. Dobył pugiuału i przyłożył ostrze między łopatki przechrzty.

Firuz zmartwiał. Jęknął, uścisk na worze zelżał. Toból spadł na podmurówkę z głośnym brzęknięciem.

Belzebub zarechotał.

– Co, pękasz? To ja, a nie Turki, których okradłeś.

Strażnik odetchnął z widoczną ulgą, ale niepokój nie opuścił go do końca.

– Aaaha, ty... Aleś mi stracha napędził! W ogóle żem cię nie słyszał.

Przekręcił głowę, łypiąc w tył. Nie miał jednak odwagi, by stanąć twarzą w twarz z niespodziewanym gościem.

– No i co lipasz jak sowa? Bierz wór i pakuj dupsko do chaty, bo jeszcze ktoś obaczy i będą gadać bez potrzeby.

Armeńczyk chwycił za toból i posłusznie przestąpił próg. Kalikst ruszył za nim.

– Obłowiłeś się tej nocy, co? – zagadnął, gdy kłapnęły za nimi solidne drzwi. – Łup zgarnąłeś jak stary złodziej.

Tamten zakaszlał nerwowo, nie wiedząc, cóż znaczą te słowa.

– Skorzystałeś z mojej rady, co? No to błatnie! Odebrałeś swoją należność za pomoc?... Za łeb Sijana oderżnięty podczas snu? I za podniesioną bramę?

– A jużci. Tak jak rzekłeś. – Firuz powoli zaczynał odzyskiwać pewność siebie. Słowa Belzebuba były dziwne, ich znaczenie niejasne, ale wyglądało na to, że łotr jest zadowolony z obrotu sprawy. W końcu zdobyć takie miasta jak Antiochia to nie lada wyczyn. A on, Firuz, miał w tym swój wielki udział i teraz należały mu się dzięki. – Tak, jakżeś mi radził, odebrałem sobie obiecane solidy samemu, coby *basileusowi* ze skarbcza nie wyciągać.

– Twej trosce o złoto naszego władcy można tylko przyklasnąć. Ale powiedzże, komuś to buchnął! Sijanowi z domostwa? Swoim dawnym kompanom z wojska? A możeś jakiegoś bogatego kupca przydybał i gardziołko mu poderżnął?

Strażnik poczerwieniał.

– To były Turki! – wykrzyknął. – Saraceny plugawe, należało im się! Za wszystkie lata, gdy krew naszą pili. Teraz, co moje, odebrałem.

– Taaa... No błatnie... Wielce mi się to, co mówisz, podoba. Bo ja też Turków nienawidzę jak gadów. Należało im się, a jakże.

Armeńczyk chrząknął.

– No tak. To rozgość się, zacny panie. A ja zatacham wór dalej, coby tu na widoku nie leżał. Jeszcze ktoś wejdzie...

Zarzucił toból na plecy i poczłapał w stronę drzwi w głębi korytarza. Kalikst odczekał chwilę, po czym rzucił z kpina:

– Turków nienawidzę jak gadów. Ale jeszcze bardziej nienawidzę zdrajców. A już szczególnie zdrajców podwójnych. Takich, co to najpierw na śmierć wydają swoich ziomków, a później podcinają gardła swoim nowym panom.

Firuz zmartwił. Puścił wór. Pakunek spadł z ciężkim grzechotem na podłogę.

Belzebub powoli wyciągał szablę. Stał zajęczała, trąc o pochwę.

Nagle Armeńczyk skoczył w bok, wyszarpując zza pasa swoją broń – miecz o cienkim ostrzu, niezbyt długi, zgrabny. Ciął nim powietrze, w oczach Firuza rozżarzyła się cała tłumiona dotąd wściekłość.

– Sam jesteś zdrajca! – wychrypiał. – Ty jesteś zdrajca i bydlę jakich mało! Już ten Sijan był lepszy, jemu prędzej bym zaufał. Czuję, czuję, że przyniesiesz tylko same kłopoty.

– He, he, he! Solidy odmienią każdego, nie ma mocnych...

Szedł powoli w stronę strażnika, hipnotycznie bujając końcem szabli.

– Jakbyś pytał mnie, dlaczego nie znoszę zdrajców, tobym nie potrafił odpowiedzieć. W końcu dzięki tobie weszliśmy do Antiochii. Ale coś mi mówi, że jednak cię nienawidzę. A czemu? Jeden diabeł wie chyba. Bo widzisz, jak tak pomyślę, tobym zrobił tak samo. Też bym zaciukał tego Sijana.

Armeńczyk runął w przód, przepływając pod ramieniem Kaliksta ze sztychem skierowanym na wprost. Złodziej odskoczył i zachichotał.

– Chyba po prostu coś mi w duszy gada, że zdrajca może zdradzić w końcu i mnie. Mogę ja zdradzać, mogę innych namawiać do zdrady, ale lepiej nie mieć obok siebie sprzedawczyka, który na to poszedł.

– Jesteś obłąkany! – wrzasnął strażnik i ponowił swój manewr. Skoczył z wyciągniętym mieczem, licząc, że trafi przeciwnika w brzuch i szybko zakończy walkę. Brakowało mu jednak szczęścia i umiejętności.

Belzebub obrócił się w bok i lekko cofnął. Nawet nie opuszczał ostrza. Wystarczył silny kopniak w brzuch Firuza.

Ten zacharczał i wybałuszył gały z bólu. Z ust pociekła mu lepka ślina i zawisła jak ruchomy stalaktyt. Armeńczyk chwilę tkwił zgięty wpół, zaraz stracił równowagę jak pijany. Kalikst mógł go teraz łatwo wykończyć, ale nie chciał. Nie w tej chwili. Doskoczył do strażnika i kolejnym kopnięciem wybił mu miecz z dłoni.

Złodziej przytknął koniec szabli do policzka przechrzty. Pociekła krew. Patrzył na tego ludzkiego robaka rozdeptywanego powoli na śmierć i nie czuł nic. Pogarda uleciała zeń wraz z pierwszym kopnięciem. Nienawiść? Złość? A może współczucie? Zrozumienie? Czerwień z policzka zaczęła spływać cienkim strumyczkiem prosto na lśniąca od tłuszczu brodę przyciętą na seldzucką modłę. Nie, nie czuł absolutnie nic, los zdrajcy był dlań całkowicie obojętny.

Dlatego odciął mu ucho. Machinalnie szarpnął szablą, patrząc, jak muszlowaty kawałek ciała poleciał w bok.

Strażnik zawył z bólu.

– Litości! Nie zabijaj! Weź złoto! Jest twoje, ale daruj życie! Bierz złoto!

– A wezmę, wezmę, owszem.

To mówiąc, uniósł szablę i zdecydowanym cięciem pozbawił Firuza drugiego ucha. Nim ten zdążył zawyc, odrąbał mu nos.

Ryk bólu szybko przeszedł w głuchy gulgot. Czerwień buchnęła ze wszystkich ran, Armeńczyk nie miał nawet jak zatamować krwotoku. Złapał się za resztki nosa obydwiema dłońmi, kurczowo przyciskając je do twarzy. Widać tu najbardziej bolało.

– Arch... Chrr... Kurchr... Wii... Schrynu... Arch...

Próbował coś jeszcze powiedzieć, ale zaraz padł zgięty w pól, miotając się w rosnącej kałuży o barwie wina.

Kalikst zostawił go i nieśpiesznie podszedł do worka. Schował szablę i rozsypał sznur.

Złoto. Monety. Jakieś babskie błyskotki z drogimi kamieniami. Kilka kielichów wysadzanych rubinami i szmaragdami. Łańcuchy z złotego metalu.

Podniósł toból i dotarł nad dogorywającego Firuza. Strażnik charczał w agonii. Kalikst chwycił garść solidów i wepchnął mu je do ust. Żółty metal zmieszał się z krwią, Armeńczyk odruchowo wciągnął złoto do gardła. Jeszcze bardziej wybałuszył oczy, drgając w konwulsjach.

Nim zszedł z tego świata, Belzebub wysypał mu na łeb całą zawartość worka.

– Masz, masz swoje złoto. Zostawiam ci je, ale życie zabieram.

Kopnął kielich lśniący kamieniami. Naczynie z brzękiem potoczyło się po podłodze.

* * *

Antiochia płonęła. Zdobywcy opanowali już wszystkie dzielnice, metodycznie przetrząsając dom za domem. Kawalerzyści Komnena z mieczami w dłoniach gnali na swych wielkich koniach po bruku i rozbijali ostatnie skupiska walczących. Nie zsiadali z wierzchowców, a wąskie zaułki nie pozwalały im na swobodę działania, jednak wystarczyło, że zamajaczyli w oddali, z łoskotem przemknęli po alejach, a już seldzuckie niedobitki pierzchały byle dalej w mrok.

Normańscy najemnicy nie baczyli już na to, co się działo dookoła. Turek nie Turek, Syryjczyk czy Armeńczyk – kiedy tylko ustały najbardziej zacięte walki, a główne siły wroga zostały rozbite, skupili swą uwagę na odbieraniu należności. Szukali bogatych kupców, rezydencji wielmożów, seldzuckich władców miasta, ich syryjskich namiestników w nadziei, że ci za darowanie życia zapewnią im najszybszy zysk.

Po łupy ruszyła też zbieranina łotrów. Tych już nikt nie pilnował. Setnicy nawet nie

próbowali okiełznać żywiołu, jakimi stały się te wszystkie szumowiny, te plugawe oprychy z najpodlejszych dzielnic Konstantynopola, Nicei i Cezarei, przed którymi teraz otworzyły się bramy raju. Mordować, gwałcić, kraść i pić ze szczęścia do upadłego – o tym śnili i teraz mieli to w zasięgu ręki. Bandziory na służbie *basileusa* Romana IV biegały upojone zwycięstwem, siekąc bez litości każdego, kto się nawinął. Niby Syryjczycy to nie wrogowie, Armeńczycy też, a w końcu i Żydzi nie stanowili zagrożenia, ale kto by tam po nocy patrzył czy to Saracen, czy pejsaty, czy dobry chrześcijanin. Wszyscy równo nadstawiali gardła, oddając swe liche złoto i bezwartościowe życie. Wrzaski zarzynanych i rechot zbirów niesły się po ulicach Antiochii.

Tak to wyglądało, gdy Kalikst odnalazł swoich kompanów.

Nicetas, o dziwo, odzyskał w pełni zdrowie. Umazany juchą, dzierżąc wielki miecz w garści, odrywał szybkimi ciosami łby z karków albo ramiona od korpusów. Kobiety, dzieci, kaleki. Bez różnicy.

– Kulas! Co ty, do kurwiej pizdy, robisz?! – ryknął na niego Belzebub. – Czyś ty już do cna ogłupiał?

Wielka Pięść przystanął na chwilę i tocząc wokół nieprzytomnym wzrokiem, wybełkotał:

– Ale że co? Niby co mówisz?... Że co robię?...

– Tak, wielki, tępy ćwoku! I ta reszta też. Chcecie, żeby was Komnen obaczył? Za to mnie, kurwisyn, na pal wbije, jak nie będą was pilnował. Jestem *hekatontarchosem*, zapomniałeś o tym, tępa kupo bezmyślnego gówna? Co tu się w ogóle wyrabia?

– Komnen? Znaczy *Strategos*? Iii, tam! – Nicetas lekceważąco machnął wielką łapą. – Oni teraz mają większe zmartwienie na głowie niż pilnowanie moczymordów i oprychów. Aleksy jest pod cytadelą. A Seldżuki są w środku, za murami. Wszyscy nawiali i tam se zrobili melinę.

Belzebub pokiwał głową. Sam przecie widział oddziały Turków maszerujące w ciemnościach do północnej dzielnicy miasta.

– A reszta gdzie? Żmudzini, Muhammad, cała reszta. No i gdzie Piąchulec?

– Ano łążą tu gdzieś i łupią. Wodnika widziałem ledwie co, jak chędożył jakąś grubą babę z cyncami. Nie wiem czy ją gwałcił, czy to ona jego. No a gdzie Piąchulec, to nie wiem.

Kalikst popatrzył na boki. Dostrzegł kilkunastu swoich ludzi, znaczy ze swojej *hekatontarchii* przejętej po Tyberiuszu. Biegali jak opętani, kilku tłukło się z krewkami miejscowymi Armeńczykami, tak bez przekonania, raczej na postrach.

– Piąchulec! – wrzasnął Kalikst.

Teraz by się przydał ten stary cap. Belzebub powoli zaczął żałować swojego pomysłu wykopania Tyberiusza. Władza jest słodka i upajająca, ale nie tu – w mieście ogarniętym amokiem i ogniem. Tu władzą były tylko dzikie żądze. Teraz widział, że nazbyt pochopnie nastawał na zaszczyty. Dowodzić zgrają jest dobrze wtedy, gdy wszystko idzie wyrobioną koleiną i nie trzeba zbytnio się kłopotać drobiazgami. Wystarczy czasem okazać trochę

okrucieństwa, niekiedy szczyptę łaskawości, a innym razem porwać tłum gromkim okrzykiem, wyzywając wrogów od kozojebów. Ale teraz... W tym kotle pełnym wrzącej lawy, jakim stała się Antiochia, należało znaleźć jakiś inny sposób.

– Piąchulec! – wrzeszczał Belzebub.

Piąchulca jednak nie było.

– Nicetas! – zawołał więc nieszczęsny *hekatontarchos*. – Znajdźże mi jakiegoś konia albo jeszcze lepiej podjeżdżaj rydwanem. Pojeździmy trochę po mieście i zrobimy porządek.

– Rydwany stoją za murami. Tam, gdzie je zostawiliśmy przed atakiem.

– No to co tu stoisz i się lipasz jak głupi? Fruwaj po wóz i masz tu być migiem. Albo znajdź mi co inszego.

– Hmm... – Wielka Pięść podrapał się w czoło, rozmazując na nim czyjaś świeżą jeszcze krew. – Mogą być konie. Paru najemników rannych, dogorywają nieopodal. Mogę buchnąć ich wierzchowce.

– Nie. Wiesz, co? Jednak chcę rydwan. – Kalikstowi przyszło na myśl, że będzie wyglądał niezwykle szykownie w bojowym wozie ogniowym prowadzonym przez wiernego pacholka.

– Ale to potrwa... Daleko są te rydwany.

– Nie szkodzi. Zaczekam. Ale ty już przebieraj girami!

Wielka Pięść skrzywił się, jednak nic nie powiedział. Z wyraźną niechęcią poczłapał w stronę bramy.

Belzebub postanowił zaczekać, a jakże.

Skoro będzie rydwan – pomyślał – nie ma co dymać piechotą.

Wtedy przypomniała mu się Aszken. Cycata i dorodna panna, którą staruchy chciały oddać na poniewierkę do klasztoru.

– Znaczy się dziewica – mruknął.

Zarechotał i ruszył w stronę domostwa Wazgena Bifiana.

* * *

– Głupiś! – powiedział Nicetas dwa kwadransy później.

Wiózł Kaliksta rydwanem zaprzężonym w dwa dorodne ogiery, nieco dzikie, ale silne i szybkie. Głowa Belzebuba kiwała się, kiedy podskakiwali na wybojach.

– Zwolnij, gruby! No co jest?! Co tak szybko...?

Wtedy poczuł, że z rozbitego czoła znów ciurkiem leci mu krew. Nie mógł nijak jej powstrzymać – szmaty tylko wchłaniały szkarłat, ale nie tamowały krwotoku.

– Przypał!

– Eee... Co?

– Przypał – powtórzył Nicetas. – Rana się będzie babrać. Weź żagiew i se przyłóż do

bańki, raz a dobrze. Bo jak nie, to nie dojedziesz nawet do tej cytadeli.

– Zabiję kurwich synów! Nie daruję!

– Tak, tak.

– Zawracaj, kuternoga! Zawracaj i zwołaj chłopaków. Rozniesiemy tych armeńskich ciuli w drobny pył.

– Akurat. Siedź na dupie i weź se te żagiew do bańki przyłóż.

Belzebub ani myślał słuchać. Ocierając juchę cieknącą ze łba, wyprostował się w pędzącym rydwanie. Złapał kompana za ramię i potrząsnął nim.

– Wracaj, *malaka!* Nuże! Dawaj! Obijem Armeńczyków!

Nicetas mruknął tylko coś niezrozumiale i strząsnął dłoń namolnego ziomka. Ten wpadł w furję.

– Co to, bunt?! – wrzasnął, z trudem trzymając równowagę. Kropelki krwi chlusnęły na boki niczym żywe rubiny. – Jestem twoim dowódcą, a ty masz mnie słuchać! Więc rozkaz brzmi: zawracaj, zbierz wiarę i puścimy brudasów z dymem. Wyrzniemy co do jednego!

Dryblas przełożył lejce do lewej dłoni. Obrócił się i prawym kułakiem łupnął prosto w szczękę Kaliksta. *Hekatontarchos* bandy oprychów runął w tył, grzmocąc potylicą o deski rydwanu. Znieruchomiał, nawet nie jęknąwszy.

Nicetas rzucił krótkie spojrzenie przez ramię. Narastała w nim przekorna i mściwa myśl, że śmierć Belzebuba przywitałby teraz obojętnie, jeżeli nie z cichą radością. Niechby nawet zdechł jak pies! Kalikst nie był tym samym dobrym kompanem, co jeszcze kilka tygodni temu. Był jako jakiś Turek czy inny Saracen, albo co gorszego. Podstępny i złośliwy. Zupełnie inny człowiek i tego Nicetas nie mógł znieść. I już nie szło nawet o te parę słów, które między nimi padły. Wyczuwał przez skórę jakiś nieuchwytny zapach otaczający jego niegdysiejszego przyjaciela – to budziło w Wielkiej Pięści głucho warcząca wściekłość.

Jednak powstrzymał złość i dalej prowadził rydwan tam, gdzie powinien. Do swoich.

Kalikst nie był zbyt mądry. O nie! No owszem – Aszken panna jak marzenie. Słodka jak saraceńska chałwa, dorodna jak ruski kołacz, nic tylko rwać i smakować. Ale gdyby Belzebub pomyślał, wzięłby pod uwagę okoliczności. A te świadczyły przeciwko niemu – jest wojna, jest oblężenie miasta, jest ogień, rzeź i poniewierka. Armeńczyki tu żyją od lat, nie są przecie głupie i wiedzą, że za każdym wojskiem, *basileusowym* czy innym, idzie gwałt, śmierć i pożoga. Zawsze się przyplącze jakiś chędożnik ze sterczącym chojakiem, by zbałamucić dziewczę.

Zamiast kościstych dziadków Kaliksta przywitały młode chłopcy. Bracia, kuzyni, sąsiedzi czy kto tam inny – dość, że kumotrzy Wazgena Bifiana i obrońcy czci Aszken. Wysypały się ich bez mała jakieś dwie dziesiątki. Wszyscy z tym dzikim błyskiem w ciemnych oczach. Zbrojni w wielkie drewniane pały nabijane gwoździami, w pogięte szable, w długie kindzały, co tam kto miał. Nie, nie zaatakowali od razu. Dali mu chwilę nadziei, że może osiągnąć swój cel. Akurat! Gdy już wszedł głębiej do domostwa, gdy już zwietrzył słodki zapach niewiasty

i był gotów wydobyć swój oręż, spuścili mu łomot. Cud, że nie pochlastali go na plasterki. Jakoś się wybronił, jednak krew pociekła i to solidnie. Uciekł przez okno, niemal łamiąc kulasy. Zły, poraniony i oszołomiony. Tego się nie spodziewał.

Obudził go palący ból. Zobaczył nad sobą rozrehotaną twarz Nicetasa dzierzącego pochodnię.

– He, he, no co jest, Kalikst? Żyjesz?

Czoło paliło go, jakby wsadził łeb w ognisko. Pulsowało, niosąc ból w głąb ciała razem z krwią, rozsadzając żołądek. Nie wiedział, co się dzieje.

Wielka Pięść rzekł mu, w czym rzecz.

– Poboli, ale zaraz przestanie. Przypaliłem ci ranę, bo jucha szła cały czas. Armeńczyki ci nieźle przydzwoniły, nie powiem. Jeszcze trochę i byś całkiem zszedł, dużo krwi straciłeś.

– Zabić kurwich synów...

– Daj se spokój, Kalikst. Mamy większe problemy. Seldżuki skryły się w cytadeli. Mogą tam biedować miesiącami, mają jadło, wodę, broń i wysokie mury, których już tak łatwo nie sforsujemy.

Belzebub długo jeszcze walczył z bólem, który odbierał mu zdolność myślenia. Niby wiedział, co mu tam Nicetas opowiadał, ale jakoś nie przyjmował tego do siebie. Dopiero po jakichś dwóch kwadransach zwał się z prowizorycznego posłania na podłodze rydwanu i ruszył w stronę cytadeli.

– Piąchulec! Piąchulec, *adelfi*, gdzieś ty się podział?! – wrzasnął. Czy też chciał wrzasnąć, jednak z gardła wydobył mu się tylko skrzek. Czoło pulsowało nieskończonym bólem. – Tyberiusz, chodź tu, jak cię wołam!

Zdegradowany *hekatontarchos* wychynął z tłumu ponurych najemników, międląc słowa pogardy. Otaczała go niewidoczna, ale wyczuwalna chmura nienawiści, jednak zachowywał się jak na żołnierza przystało. Znał mores i zasady, więc tylko skłonił głowę, opierając dłoń na piersi.

– Tak?

Kaliksta zaskoczył niespodziewany spokój Piąchulca. Upodlony setnik nie powinien odpuścić żadnej okazji, by się mścić i odgryzać. Jednak zachowywał spokój.

– Co tu jest? Co z tą cytadelą?

– No co ma być? Seldżuki w środku...

– W środku?... – Jak przez mgłę przypomniał sobie milczące kolumny wroga idące ku południowej części miasta. To było tak niedawno, a jednocześnie jakby nie w tym życiu, zasłonięte mgłą. Bolał go łeb. – Dlaczego nikt ich nie zarżnął?

Piąchulec wzruszył ramionami. Popatrzył na swego nowego dowódcę jak na ośle gównu, splunął i powoli jął tłumaczyć:

– Wszystkie wojska Seldżuków po rozbiciu linii obrony na murach, zamiast się dać grzecznie zarżnąć, ruszyły tutaj: do cytadeli. To silna forteca, miasto w mieście usadowione

na wzgórzu i tak ulokowane, że nikt go nie znajdzie od tyłu. Tam skały, urwiska całkiem niedostępne.

– Gdzie są wszyscy? Dlaczego nie ruszyliście na nich?

– Z kim niby? Wszyscy plądrują miasto, tu nas tylko garstka.

Tyberiusz prawdę gadał – pod cytadelą znalazła się znikoma część ich wojsk. Kilku *hekatontarchosów*, paru rannych, którzy nie mieli siły biegać po domostwach, szukać złota i uciech, no i *klibanophoroi* Komnena. Najemników nie było, ani jednego.

– Piąchulec, dlaczego nie zebrałeś naszych?! Dość już tych zabaw! Gdzie nasi ludzie?

Tamten tylko zarechotał kpiąco. Splunął i odwrócił się na pięcie.

– Poczekamy do rana... – zdecydował Kalikst. – Niech se tam Seldżuki siedzą jak szczury. Rano ich wybijemy.

ROZDZIAŁ 7

– Zdobyli Antiochię? To fatalnie! Jak to się mogło stać?!

Basileus prychnął gniewnie, odsuwając w bok Italosa. Odrzucił połę namiotu i wyszedł na zewnątrz. Stanąwszy z rękami splecionymi na piersi, patrzył, jak od bramy maszerują kolejne oddziały wojsk. Do wybudowanego rękami łotrów obozu docierały coraz to nowe siły zbierane z najdalszych zakątków cesarstwa. *Rhomaioi* z przygranicznych terenów, Bułgarzy, Armeńczycy, Syryjczycy... Piesi, konni, na wozach... Wszystkie języki mocarstwa mieszały się z rzeniem koni, wyciem bydła prowadzonego na ubój, szczękiem ostrzy krzyżowanych podczas ćwiczeń i zgrzytem stali na ostrzałkach. Wały otaczające obozowisko zdawały się aż pęcznić od narastającego tłumu. Było coraz ciasniej, a wciąż przybywali nowi. Jednak Roman Diogenes nie mógł jeszcze ruszyć. Nie po tym, co się stało. Gdy już tamci złupią Antiochię, pochleją, pochędożą, wyróżną ostatniego Seldżuka, trzeba będzie przesunąć ich dalej – w głąb Syrii. By zdobywali kolejne twierdze, w końcu kiedyś muszą paść. Antiochia okazała się słabo broniona, ale Maarat, Trypolis, Damaszek czy wreszcie Jerozolima – tam już oddadzą ducha Bogu, kończąc wszystkie problemy *basileusa*.

– To znaczy... Z jednej strony dobrze, że Seldżuci tak łatwo oddali miasto. To nam daje nową nadzieję na przyszłość, że jednak przeciwnik nie jest tak silny. Ale ci mieli zginąć! Wykrwawić się pod murami Antiochii i osłabić siły obrońców. Trzy tygodnie jałowego oblężenia, po którym wkraczamy my, roznosząc na ostrzach Turków i tych łotrów, którzy się jeszcze ostali, a wraz z nimi najemników od de Bailleul. Tak miało być, a co jest?! Zdobyli miasto, a wszyscy moi wrogowie przeżyli.

Jan Italos, który stał tuż za plecami władcy, bezradnie wygiął usta. Szarpiąc brodę, wysunął się naprzód.

– Skrytobójca jest bohaterem.

Władca gniewnie ściągnął brwi. Ze świstem wypuścił powietrze, co miało znaczyć: *Italosie, dość mam twoich zagadek.*

– To on. Ten, który miał cię, panie, zabić. To znaczy ma cię zabić. To on przyczynił się do tak niespodziewanego zdobycia miasta. Użył podstęp.

– Jak to? Co ty mówisz? Skąd wiesz?! – *Basileus* był wyraźnie wzburzony. – Nie chcesz powiedzieć, że ten stary złodziej, jak mu tam... Atanazy!... zaczął wreszcie mówić prawdę?

Czyżby dość już miał pieszczot rozpalonym żelazem? Czy może widziałeś to w swoich magicznych ognikach, które tylko mają i pokazują nie wiadomo co, bo nie prawdę przecie?

– Tak, panie, widziałem to w kolejnej wizji. Atanazy jest twardy i wszystkiemu zaprzecza. Za to ognie pokazały mi to, czego nie chce powiedzieć stary.

– To dopiero teraz mi o tym mówisz? Czyli znamy mordercę! Nic, tylko go skrócić o głowę. A z najemnikami i resztą bandy poradzimy sobie inaczej.

Italos odczekał, aż przez obóz przetoczy się kawalkada wozów z nowymi siłami – wareskimi najemnikami i Rusami pokrzykującymi coś niezrozumiałe w swej śpiewnej mowie. Gdy harmider ucichł nieco, rzekł:

– Ujrzałem ten obraz w nocy, ale dopóki posłaniec nie przyniósł wieści o zdobyciu Antiochii, nie pojmowałem, w czym rzecz. Teraz mi się wszystko przejaśniło, bo wcześniej sądziłem, że to wizje zbyt odległych obrazów z przyszłości. Widziałem tego chwata, jak wkrada się do miasta. Później jak prowadzi wojów do walki przez otwartą bramę, a później... morduje ciebie, panie.

Diogenes ryknął wściekle.

– Dość! Co to za jeden?! Mów!

Filozof bezradnie wzruszył ramionami.

– Obraz był niejasny. Nie widziałem, kto zacz. Tak jakby coś go kryło. Jego twarz zawsze otoczona jest mrokiem, gęstą czernią, jakby chronił oblicze w cieniu przed ludzkim wzrokiem.

Władca tego nie zdzierzył.

– Myślisz, że jakbym kazał obić cię kijami, to by ci przejaśniło obraz? Jakbym dał cię oprawcy, by ci pięty przypalił, może wtedy ujrzełbyś to, czego nie pokazały twoje płomyki?

Coraz częściej nachodziła go myśl, że doradca łąze. Że te wszystkie wizje, które mu przedstawiał, to omamy sprowadzane jakąś diabelską sztuczką, trującymi ziołami, złą magią. Może słusznie oceniał Italosa patriarcha, mając go za szatana i heretyka, który ściągnie samo nieszczęście i ma w sobie tylko zdradę? *Może to wszystko – myślał Roman Diogenes – to jeno sprytna mistyfikacja, by mnie opętać i doprowadzić do zguby? Żadnego skrytobójcy nigdy nie było i nie ma, i nie będzie, a strach przed nim, to łańcuch pętający wolę. Ale po co? Komu zatem służy filozof? Jakie ma zamiary?*

Zbytńio dozwoliłem mu się oplątać tymi bajędami – wyrzucał sobie. – Uwierzyłem mu tak łatwo, a teraz tracę nad wszystkim panowanie. Tak nie może być. To się musi skończyć. Może rzeczywiście oddam go na katusze, niech wyśpiewa, co sobie roi i z kim knuje spisek...

Myśli te musiały się odbić na twarzy Diogenesa, bo Italos pośpieszył z wyjaśnieniami.

– Panie, ja wiem, że to zdaje się być jakimś szaleństwem. Gonimy za cieniem, za odbiciem w wodzie, za szumem piasku przesypywanego przez wiatr. Ale to nie jest zwykły opryszek, który idzie po to, by zdobyć sakiewkę ze złotymi monetami. To żywe narzędzie skrytobójczego rzemiosła, za którym stoi potężna magia. Nie mogę jej przeniknąć, nie mogę

ujrzeć jej pełnej natury. Ale zapewniam cię, panie, że grozi ci niebezpieczeństwo, sam zresztą widziałeś. Nie masz powodów, by wątpić w moją lojalność, bo nieraz ukazywałem ci nadchodzące zagrożenie. Zawsze miałem rację, ocaliłem ci życie. Teraz też nie pozwolę, by twoi wrogowie dopięli swego, by ziścili swoje zbrodnicze rojenia, jednakowoż tym razem nasz przeciwnik jest silniejszy. Nie potrafię go jeszcze zmiażdżyć, na razie mogę tylko trzymać na odległość.

Władca nie rzekł ani słowa. Dysząc gniewnie, wszedł z powrotem do namiotu. Przelotnie spojrzął na mapę i płynnym ruchem sięgnął po dzban z winem. Po chwili odstawił jednak naczynie. Spojrzął w sobie oczy Italosa i powiedział:

– Dobrze, wystarczy nam tyle, co wiesz. Wyślemy posłańca do Antiochii z rozkazem do Komnena, żeby natychmiast ścięli bohatera, dzięki któremu udało się zdobyć miasto. Albo nie! To bez sensu, bo to osłabi morale wojska, co Komnen zechce wykorzystać przeciwko mnie. Trzeba rzecz załatwić po cichu. Trzeba na niego nasłać zabójcę. Skrytobójcę na skrytobójcę. Niech jedzie tam, posłucha, o kim to złodzieje śpiewają pieśni przy winie, kogo wielbią i nazywają zuchem, i w nocy... niech mu poderżnie gardło. Zwalczymy przeciwnika jego własną bronią.

Italos zarechotał dziko.

– Mam lepszy pomysł, panie. Zabójca może nie sprostać temu zadaniu.

– A więc...?

– *Basiliskos*, panie. Teraz nadszedł jego czas.

– Skąd będzie wiedział... – zaczął Diogenes.

Filozof łagodnie wszedł mu w słowo.

– Będzie wiedział, zapewniam cię. Już ja o to zadbam.

* * *

Gdy minęły trzy godziny od północy, Italos ciężko dźwignął się z posłania. Cały czas czuł, nie śpiąc, lecz pozostawał w letargu, który nie dawał mu odpoczynku, ale skracał czas. Potarł dłońmi skronie, potem czoło, jednak niewiele to pomogło: wciąż przytłaczał go mrok i ciężka cisza. Z wysiłkiem dopadł poły namiotu i wyrzwał na zewnątrz. Chłodne powietrze orzeźwiło go trochę, skierował więc swe kroki w stronę niewielkiego wąwozu na tyłach obozu.

Minął strażników pilnujących masywnej bramy z drewnianych pali. Tylko *basileus* oraz jego doradca mieli prawo wejść poza nią. Gdy zbrojni odsunęli rygle i uchylili ciężkie wierzeże, mędrzec głębiej naciągnął kaptur na głowę i ruszył w głąb jaru.

Szedł dosyć długo, aż dotarł do niewielkiej jaskini. Tam pod skalnym sklepieniem stała klatka wykuta z grubych stalowych sztab. W środku leżał *basiliskos*.

Bestia czuwała. Jej złowrogi syk obijał się o ściany grotu. Filozof zadrżał. *To z zimna* –

przekonywał sam siebie.

– Przecie to ja go wyhodowałem – mruknął, by odpędzić niepokój. – Wiem, jak go okiełznać.

Basiliskos skoczył w przód z gardłowym charkotem, waląc pyskiem o pręty. Filozofa owionął smród zgnilizny, od którego zakotłowało mu się w żołądku. Z trudem powstrzymał mdłości, choć czuł już w gardle smak żółci. Wreszcie stanął równo na nogi i obracając w ustach stare zaklęcia, spojrział prosto w oczy bestii – wzrokiem ostrym niczym puginał docierał do samego jestestwa stwora.

Wężowy demon przysiadł na swych pokracznych łapach, ślepieza zaślniła zielonym blaskiem. Widmowy łeb, który się z niego wysunął, uderzył prosto w umysł Italosa. Rozświetlone kły ociekające jadem dopadły najgłębiej skrywanych słabości mędrca.

Ten jednak szybko podjął wyzwanie. Wyszeptał zaklęcie, pisząc w powietrzu trzy szybkie znaki: *Ożyj, wstań, zabij!* Obok filozofa pojawił się wysoki na osiem stóp szeroki w barach barbarzyńca z wielgachnym mieczem. Upiór-zabójca powstały z okrucichów pamięci mędrca, z jego wspomnień, snów i marzeń wywinął swym orężem młyńca i ciał widmowego węża w kark. Niewidzialny łeb odpadł z głuchym łoskotem, bryzgając na boki kroplami jasności. Wojownik zaryczał triumfalnie, chociaż jego krzyku nie mogła słyszeć żadna żywa istota. Tylko Italos i *basiliskos*.

Do strażników pilnujących tajnego miejsca dotarł jeno syk i charkot.

Italos nie tracił czasu. Spojrział głębiej w oczy bestii i zaatakował jej umysł obrazami.

Stwór natychmiast ucichł. Opadł na podłogę klatki, jakby ktoś podciął jego krzywe łapy i przygiął mu kark.

Pierwsza wizja – ów tajemniczy łotr, który miał dokonać zabójstwa władcy. Wkrada się w środku nocy i precyzyjnie wbija nóż ze zbiorniczkiem na krew prosto w serce śpiącego *basileusa*.

Gadzina tylko zasyczała bezsilnie. Nie, to była zbyt mglista scena, za mało szczegółów. Italos pokiwał ze zrozumieniem głową – wszakże i on nic nie był w stanie wywnioskować na podstawie takich strzępów.

Zesłał więc na cesarza węży dwie następne wizje. Łotrzyk wkradający się przez mury Antiochii, biegnący w środku nocy przez wąskie uliczki miasta. Złodziej spiskuje ze zdrajcą, armeńskim strażnikiem.

Basiliskos ryknął krótko. Taaak, już ten obraz wrzynał mu się w głowę, budził na nowo dziką naturę, podrywał do walki. Ale to jeszcze nie było to. Po krótkiej chwili ożywienia bestia opadła z powrotem na dno klatki, dysząc smrodliwie.

Wtedy mędrzec przywołał swoją ostatnią wizję. Pchnął ją z pełnią mocy, ze wszystkimi szczegółami, oddając nie tylko obraz, ale także smak, zapach i uczucia.

Skrytobójca wdziera się do miasta, biegnąc na czele żadnej śmierci i gwałtu hałastry. Był tam też zdrajca z uciętym łbem swojego dowódcy.

Demoniczne stworzenie z piekieł wydało z siebie niski charkot, głośno tupiąc szóstką łap. Filozof już wiedział, że tym razem cesarz węży wyczuł zwierzynę.

Trzema zdecydowanymi ruchami odryglował klatkę. *Basiliskos* wypadł na zewnątrz jak młody psiak i wielkimi susami pognął w mrok nocy.

Po chwili Italos usłyszał wrzask rozrywanych na strzepy strażników.

Bestia posiliła się, opila krwi i ruszyła, by dopaść łotrzyka z Konstantynopola.

* * *

Atanazy Meklidos nasłuchiwał. Po wionących wilgocią korytarzach więzienia rozniósł się nowy dźwięk. Już nie wycie innych nieszczęśników trzymany w kamiennych celach, wołających o litość, złorzeczących czy też bełkoczących niezrozumiale w językach barbarzyńców. Już nie szczęk kolczug i mieczy strażników leniwie snujących się raz na pół dnia wzdłuż krat. Nie był to też pisk szczurów walczących z najsłabszymi mieszkańcami lochów o resztki lichej strawy – chleba i zepsutych ryb. Dźwięk ów nie był też kapaniem wody spływającej po murach ani świstem wiatru wypędzającym z zakamarków kurz i zbłąkane dusze umarłych.

Posłyszał odgłos kroków kogoś, kto we krwi miał nawyk skradania się. Towarzyszył temu szelest płaszcza.

Stary mistrz odsunął stertę wilgotnej słomy, która służyła mu za przykrycie, i z wysiłkiem dźwignął się do pozycji siedzącej. Chwilę walczył z pulsującym pieczeniem i łomotaniem serca. Oparł plecy o zimną ścianę. Czekał. Po chwili w szarym mroku korytarza zamajaczyła znajoma sylwetka. Atanazy gniewnie wciągnął powietrze, osłabione ciało nagle ożywiła skrywana dotąd wściekłość.

– Słysząc cię... jak objuczonego osła na Mesę – wystękał z wysiłkiem.

Eutymiusz stanął o krok od kraty.

– Nie muszę się specjalnie kryć. Strażnicy leżą zamroczeni winem nieco wzmocnionym ziołami. Śpią, a gdy się obudzą, nie będą pamiętać, kto im postawił trunek.

Meklidos zakaszłał.

– Czego chcesz? Już masz wszystko... Wygrałeś.

– Wszystko czy nie, tego jeszcze nie wiemy. Musimy porozmawiać.

– Precz, zdrajco! Byliście kompanami...

Przybysz zaśmiał się teatralnie.

– Ha, ha, ha! Kompanami? A kto nasłał na mnie skrytobójcę? Tego tam, w starym płaszczu z kapturem, co dotąd szlajał się w porcie. Chciałem ci przysłać jego głowę jako prezent, ale zanim przesyłka doszła, już pojмали cię strażnicy. A że się zaśmiardła, tom ją kazał wyrzucić na śmietnisko na Rybnym Targu.

Atanazy westchnął cicho. To prawda, po ostatnich wydarzeniach, gdy odkrył, że

przyczyną jego wszystkich nieszczęść jest Eutymiusz, postanowił go zgładzić. Sprawa Metafrastesa przelała czarę.

– Widać, żeś stracił grunt pod nogami. Działałeś pochopnie. Bo nawet jeżeli temu łachmycie udałoby się mnie zadźgać, to co? Myślisz, że rada gildii by to przyjęła bez słowa? Wszyscy wiedzą, że żywisz do mnie niechęć. Że obawiałeś się, iż przez twoje błędne decyzje zostaniesz na zawsze pozbawiony władzy nad gildią, a ja zajmę twoje miejsce. Zabicie mnie nie usłoby ci na sucho. Mniemam, że nie miałbyś szans na ponowny wybór na wielkiego mistrza. Toteż pozbywając się mnie, działałbyś na swoją szkodę.

Stary mistrz syknął z bólu. Usiłował znaleźć lepszą pozycję, tak by nie drażnić przypalonych stóp i boku. Ale przez słowa Eutymiusza teraz czuł żar w całym ciele.

– Jak widzisz, ja sięgam po bardziej wyszukane sposoby. W szachy nie wygrasz, pędząc do przodu wszystkimi figurami. Trzeba rozplanować ruchy, a ty najwyraźniej o tym już nie pamiętasz. Dlatego też potraktuj to wszystko jako grę, którą ty po prostu przegrałeś, potwierdzając, że nie nadajesz się na wielkiego mistrza. Zestarzałeś się...

– Rozwaliłbym ci łeb jednym ciosem kiścienia, gdybyś tylko miał odwagę stanąć przede mną twarzą w twarz – rzekł z wysiłkiem Meklidos. – Ty jednak zawsze wolałeś uciekać się do intryg. Nawet teraz boisz się wejść do mojej celi, bo a nuż uduszę cię gołymi rękami.

– Może nie mam klucza?

– Nie kpij! Ten prosty zamek możesz otworzyć nawet palcem. Wystarczy jeden z twoich wytrychów, które zawsze nosisz przy sobie.

– To prawda. Taki zamek to dziecięca igraszka. Aż dziw, że ty jeszcze go nie pokonałeś; skoro wystarczy do tego palec.

Atanazy posłyszał szcęk wytrycha w zamku. Po chwili krata z cichym zgrzytem usunęła się w bok. Eutymiusz wszedł do środka.

– Ależ smród! – jęknął i dodał z kpina: – Jak ty to wytrzymujesz z dala od swojej wielkiej rezydencji z ogrodem?

Stary mistrz splunął w jego kierunku.

Eutymiusz tylko zarechotał.

– Miałeś mnie udusić gołymi rękami. A ledwie masz siły, by splunąć. Słabyś...

Meklidos opadł na posłanie ze słomy i zamknął oczy.

– Czego ty właściwie chcesz? Odejdź ode mnie. Idź i daj mi umrzeć.

– Nie tak szybko... Na to zawsze masz czas.

Gdy stary mistrz długo nie odpowiadał, Eutymiusz rzekł:

– Widzisz, to jest tak... Gdybyś wciąż był tak silny i mądry jak dawniej, jak wtedy, gdy się poznaliśmy i w późniejszych latach... Wtedy bym nawet nie śmiał występować przeciwko tobie. Owszem, lubię władzę i wpływ na ludzi, ale nie jestem też głupcem niezdolnym do poświęcenia i wierności. Ale już od wielu miesięcy obserwuję cię, jak niszczysz naszą gildię.

– Precz! Nie chcę tego słyszeć.

Atanazy zatrząsł się od kaszlu. Jego stopy buchnęły nowym płomieniem bólu.

– Tak, niszczysz gildię. Nie mogłem tego tolerować i musiałem się tym zająć, bo prowadziłeś nas do zguby. Zresztą zobacz, jak wygląda teraz nasza organizacja. Wielu chłopaków walczy w syryjskich oddziałach *basileusa*, niektórzy już nie żyją. Gildia potraciła wpływy. Zamiast zarabiać na wojnie, oddaje za darmo swe najlepsze siły. A dlaczego to wszystko? Bo wymyśliłeś jakiegoś paniczyka, który jakoby chciał przetracić fortunę na heretycki fant. Ładny *theatron*, jednak teraz możesz się przyznać: żadnego pana skłonnego płacić krocie za Czarną Ikonę nie ma. I nie było. Ty chciałeś ją dla siebie, ale po co? Skoro mówią, że to przeklęty obraz, na którym namalowany jest uśpiony demon, i że go można ożywić, to po prostu zdaje mi się, że jesteś opętany. Nie miałem wyboru, musiałem cię usunąć.

Więzień poderwał się na kolana, nie zwracając już uwagi na ból.

– Był! On był! Przyszedł do mnie, dał zaliczkę, dał plany, powiedział wszystko... To mogła być zwykła złodziejska robota.

– Był? A gdzie jest? Dlaczego nikt inny go nie widział? Od wielu dni moi ludzie przetrząsają miasto, wypytyują o tych, co wyjechali albo się ukrywają. Myślisz, że taki bogaty pan z kufrem pełnym solidów zdołałby się ot tak po prostu rozpuścić w powietrzu? I dlaczego od tamtego dnia nie przyszedł do gildii, by poznać naszą decyzję w sprawie zlecenia?

Meklidos już otworzył usta, by zaprotestować, nagle naszły go jednak wątpliwości. Wyteżył pamięć... Kiedy i gdzie spotkał tego zleciodawcę? Jak się zwał? Jak wyglądał? Mistrz nie mógł sobie tego przypomnieć. To było w nocy, tak, to musiało być po zmroku. Siedział samotnie w swoim gabinecie, później zjawił się tamten...

Zaraz! Jak to?! Wszedł po prostu do mojego domu? – myślał gorączkowo Atanazy. – Czyżby wpuścił go Tryfon? I co mówił? Nie pamiętam! Przeklęty Eutymiusz ma rację?! Nie, to niemożliwe! Pamięć mnie zawodzi... Ale on był, był!!!

Nie zapomniał jednak tego, co nastąpiło nad ranem – obudził się w fotelu tuż po wschodzie słońca. Na stole leżał suty mieszek, zaś pod nim plik papierów. W głowie mistrza brzęczały wtedy wyraźne słowa: *Znajdź Ikonę Upadłego Anioła, a dostaniecie po tysiąckroć tyle, co tu.*

W sakiewce było sto solidów. Nikt nie dawał tyle za robotę. Żadną!

Eutymiusz musiał wyczuć, że Atanazy się waha, bo rzucił triumfalnie:

– No co? Jednak mam rację? Nigdy nie było tego człowieka, a tyś go sobie po prostu wymyślił. Skąd masz te plany i co one przedstawiają, już nawet nie chce mi się roztrząsać. Nie chcę znać ogromu twego opętania, wystarczy mi, że już nie możesz zaszkodzić gildii.

– Łżesz! – jęknął wściekle Meklidos. – Próbujesz mi wmówić diabelskie konszachty i obłąd, ale tym sposobem nie uczysz sumienia. Nie szukaj dla siebie wymówek. Jesteś zdrajcą. Jesteś zdrajcą zasługującym jeno na śmierć!

Gorączkowo przywoływał obraz tajemniczego nieznajomego. Zdawało mu się, że

pamięta jego słowa, jednak... Jednak nie, zawsze przysłaniała je mgła. Tylko złoto z sakiewki lśniło jasnym blaskiem w jego wspomnieniach.

– Chciałem jedynie dobra gildii – wyszeptał. – A ty stałeś na mojej drodze. A przecież mogliśmy działać razem...

Dopiero po dłuższej chwili Atanazy spostrzegł, że jest w celi sam.

* * *

Nasłuchiwał, oddychając płytko, jednak z więziennych korytarzy nie dochodził już żaden dźwięk. Widać Eutymiusz odszedł, zresztą nic dziwnego – nie mieli już o czym gadać.

Meklidos próbował tak się ułożyć, by ból idący od przypalonych i obitych członków nie promieniował na całe ciało. By ćmił w miejscu, ale nie pulsował. Dla starego mistrza byłaby to niezwykła i rzadka chwila ulgi. Bo na to, że całkowicie przestanie go boleć, już nie liczył.

Narzucił na grzbiet stertę mokrej słomy i zapadł w błogostan, zapominając na chwilę o piekającej skórze. W myślach wrócił do czasów, gdy Eutymiusz nie był jeszcze zdrajcą, a dobro gildii dla nich obydwu znaczyło to samo.

A jeżeli ma rację? – znów naszły go wątpliwości. – A jeżeli prawdę on gada? Demony uczyniły sobie ze mnie pośmiewisko, podsuwając to, czego nigdy nie było, mamiąc i zwodząc tylko po to, by przywieść mnie na skraj szaleństwa, a później śmiać się, że umieram w cierpieniu...

Nagle porzucił te myśli, ze zdziwieniem patrząc w stronę korytarza. No tak, Eutymiusz otworzył kratę wytrychem, chwilę stał tu i gadał, po czym zniknął. Jednak nie zamknął drzwi, więc teraz... Teraz cela stoi otworem!

Odrzucił słomiane przykrycie i jął czołgać się w stronę wyjścia.

– Tak, tak – wyszeptał. – Jest zdrajcą, ale w ostatniej chwili okazał przyzwoitość i dał mi szansę, bym uciekł. Mówił przecie, że strażnicy zmorzeni snem. Po zaprawionym winie. To szansa, by ujść z tego cało.

Ożywiony zapomniał o bólu. Stał na przypalonych stopach i tłumiąc jęk, poczłapał w stronę korytarza.

Dopelzł jakoś do kraty. Ostrożnie wyrzwał – nie, nie dostrzegął nic, choć półmrok mógł skrywać najróżniejsze pułapki.

Nie zwlekał dłużej. Pokuśtykał w stronę wyjścia, szybciej i szybciej.

– Złodziej... Złodziej... Złodzieeeej!!! – niespodziewanie zawył jakiś nieszczęśnik z celi obok. Meklidos nie widział jego twarzy, dostrzegł tylko potargane, skołtunione włosy, blask przestraszonych oczu i wychudzone dłonie niczym u szkieletu.

Stary mistrz nie zwlekał. Wiedział, że cokolwiek uczynił Eutymiusz, by mu pomóc w ucieczce, szansa nie będzie trwała wiecznie. Gdzie są strażę? Czy zdoła wyjść dalej niż poza najniższy krąg tego piekła? Jak przemknąć przez wyższe piętra więzienia?

Nie rozmyślał już dłużej nad tym, lecz poczłapał do przodu. Mijał cele, z których dochodził skowyt umierających, ich obłąkańcze szepty, ich puste błagania... Starał się iść jak najciszej, zachowując odpowiednią odległość od krat. Po tych szaleńcach umęczonych w kazamatach mógł oczekiwać tylko najgorszego. Nie chciał niepotrzebnej szamotaniny z żywymi trupami.

Tak dotarł do schodów prowadzących w górę do jasno oświetlonej komnaty. Płomienie oliwnych kaganków błyskały niespokojnie. Czuć było śmierć, odór krwi.

Z wysiłkiem wdrapał się po stopniach i zmartwiał. Na kamiennej podłodze dostrzegł trzy poskręcane kształty. Strażnicy leżeli bez ruchu, a spod ich ciał ciekły wąskie strumyczki krwi zlewające się na środku pomieszczenia w wielką kałużę.

Eutymiusz nie przebierał w środkach – pomyślał Atanazy i skierował swe kroki pod ścianę, by ominąć trupy. Sycząc z bólu, przestawił stółek zagrządzający mu drogę i kuśtykając, ruszył do kolejnych schodów. Te prowadziły już na zewnątrz – pamiętał, jak go ciągnęli. Kręte stopnie kończyły się w niewielkiej komnatce, z której wiodła droga na szeroki korytarz.

Dalej trzeba skręcić w prawo – stary mistrz odtwarzał w myślach drogę, jaką musiał pokonać. – *Tam przecie znów straż, no niepodobna, żeby Eutymiusz wszystkich zadźgał. Znając go, przekupił gwardzistów. Skąd więc te trupy? On nie wyciągał puginału, gdy nie było potrzeby, a przecież tu musiałby ubić zbyt wielu. Na górze musieli więc zostać zbrojni...*

Atanazy postąpił kilka kroków w tył i jął nasłuchiwać. Z góry nie dochodził żaden dźwięk.

– Wszyscy martwi – posłyszał nagle skrzeczący głos za plecami. – To głupie, wiem. Bo miało być inaczej.

Mistrz obrócił się, jednak zanim ujrzał, kto zaczął, rozpoznał już jego głos. Metody, przydupas Eutymiusza.

– Miało być inaczej – powtórzył karzeł. – Bo tych tutaj ubić, to i owszem. Że niby więzień uciekł, otwierając kraty diabelską sztuczką, to pasuje. Uciekł i zadźgał strażników na dole. Ale tych tam na górze?

Metody zamachał zakrwawionym ostrzem miecza. Ta broń w zdeformowanych, wykręconych dłoniach pokurcza mogła budzić strach tylko u dzieci. Wystarczyłby jeden silny kop... Ale Atanazy nie miał tyle siły. Stał zmartwiał, słuchając gadaniny karła.

– Jak mógł zabić tych tam na górze – paplał Metody – skoro leży tutaj, między celami, martwy jak kamień? Nie mógł przecież wyjść i dokonać cichej rzezi od celi aż do bramy, podryzując gardła albo rozpruwając brzuchy wszystkich strażników po kolei, bo przecież zabili go tutaj. Zabili go, nim sami skonali. To dopiero ludzie będą gadać! Strażnicy zabili więźnia Atanazego Meklidosa!

Zarechotał i skierował sztych prosto w pierś starego mistrza. Ten nie zdążył nawet się odchylić. Ostrze, z cichym zgrzytem zawadzając o żebra, przeszło na wylot. Przebiło płuca, odebrało oddech... Buchnęła krew.

– He, he, he! Ale co tam! Niech się głowią! Pomyślą, że czary jakieś! Że stary był nie tylko spiskowcem, który dybie na życie *basileusa*, ale do tego magiem czy innym czarownikiem. Albo że zgłupiał i mu się kierunki pomyliły! Ha, ha, ha! A może przeniosę twęg trupa do samej bramy, to się nie będą dziwować?

Oczy Atanazego zaszyły mgłą. Puszczając krwiste bąbelki, wychrypiał:

– Po co to... wszystko?... Mogłeś mnie dźgnąć w domu, na ulicy... Po co to przedstawienie?

– Mistrzuniu, główka już słabo pracuje, co? Co za pytanie?! A owszem, mogłem cię zaciukać nieraz, jak chociażby zaszlachtowałem w twoim domostwie tego szpiega z dworu. Albo, jak gadasz, na ulicy. Albo jeszcze gdzieś indziej. No pewno, sposobności było mrowie! Tylko o to się rozchodzi, żeby nikt, nikt a nikt, nie mógł oskarżyć o nic mistrza Eutymiusza. Żeby te pierdziele z rady nie rzekły, że to Eutymiusz wymyślił, jak się ciebie pozbyć, stare próchno. A tak to nikt nic nawet nie piśnie. Powiedzą: *Chciał nawiać z za krat, ale go straż ubiła*. I koniec. Po rozmowie. Mistrzem zostanie już na zawsze Eutymiusz.

Metody wyszarpnął miecz z piersi Atanazego, po czym odrzucił go w kąt.

– Co ja, durny?! Gadam do trupa? Ech, chodu stąd!

Pobiegł schodami na górę.

ROZDZIAŁ 8

Seldzuchy od dwóch dni tkwili skryci w cytadeli, nie wychylając się na zewnątrz. Spomiędzy wąskich blanków błyskały niekiedy ostrza szabel i dzikie oczy, czasem zza murów słyhać było zawołanie modlitw, jednak poza tym Turcy nie dawali znaku życia. Siedzieli cicho, czekając, co będzie dalej.

Zaś zdobywcy dopiero zebrali się do kupy. Wcześniej, rabując, gwałcąc i paląc, zapomnieli, po co tak naprawdę są w złotym mieście Antiochia.

Belzebub, wciąż jeszcze obolały po bitce stoczonej z Armeńczykami, ruszył na obchód zaimprovizowanego obozu. Panowie, jak Aleksy Komnen czy dowódca najemników, zajęli wygodne komnaty w pobliskich rezydencjach, zadowolając się raportami przynoszonymi przez posłańców. Swoim żołnierzom nie pozwolili jednak wytchnąć i nakazali utworzenie pierścienia wokół wroga. Nieopodal cytadeli stanęły rydwany oddziałów ogniowych i pierwsze maszyny oblężnicze mozolnie składane przez cieśli. Zbrojni czekali na rozkaz ataku.

Byli co prawda tacy, którzy sarkali, którym mało było grabieży i mordowania, którzy nie dość się nabrali złota. Męcili, wzniecali niepokoje, jednak szybko uciszyli ich *hekatontarchosi*.

– Seldżuki w cytadeli są jak ten wrzód na dupie. Niby nic, ale swędzi i boli – narzekali wojacy, patrząc z dala, czy nie otwierają się bramy fortecy, wypływając skotłowaną gromadę dzikich wyznawców Allaha.

Inni powtarzali zasłyszane wieści:

– Gadają, że z twierdzy wiedzie sekretny korytarz pod ziemią, co ma wyjście za murami miasta. Mogą nim wyjść i zaskoczyć nas z drugiej strony.

Coś musiało w tym być, bo *Strategos* Komnen nakazał zamknąć wszystkie bramy do Antiochii, obsadzić je ludźmi i pod karą śmierci zabronił dalszego szabrowania.

Kalikst pluł sobie w brodę: *Diabli mnie podkusili, coby się rwać do zaszczytów setnika. Miast złota szukać w sekretnych loszkach Armeńczyków albo dziewczki chędożyć, ot chociażby Aszken słodką dorwać i wreszcie cnoty dziewiczej pozbawić, trza mi pilnować tej szajki, zbieraniny oprychów, złodziejstwa najgorszego sortu. Do gildii by ich nie przyjęli, w porcie by ryby kradli przekupniom, a teraz ja mam ich niańczyć, bo jak nie, to mnie Strategos bez*

sądu o głowę skróci, a później obić jeszcze każe.

– Ej, Piąchulec! Weź ty pozbieraj tych niedodymanych łałodrudów, sprawdźże, czy się nie szwendają, gdzie ich nie prosili.

Tyberiusz zachowywał spokój, ale w jego oczach lśniły długie puginały nienawiści. Kalikst jednak tego nie widział, lekce sobie ważąc grymasy zdegradowanego setnika.

– Są wszyscy jak należy...

– Dobrze! Dobrze sobie radzisz, Piąchulec.

Z czasem obozowisko obiegła nowa wieść. *Basileus* w drodze! Już jest w górach, przekracza łańcuch szczytów i wkrótce zejdzie w dół z doborowymi jednostkami w pełnym uzbrojeniu. Pięć dziesiątek po tysiąc ludzi albo i więcej, może osiem dziesiątek. Wtedy Seldżuki już się nie uchowają, nie będzie takiej siły, by tkwili dalej w cytadeli. Później zwycięska armia pójdzie na wschód i na południe, do miast Syrii i Palestyny.

– A tam tyle złota, tyle pięknych pałaców, w których czekają gorące dziewice, głodne miłości i porządnego drağa między nogami. O, takiego jak mój! Saraceny rezydencje sobie pobudowały ze złotych cegieł, przyozdobiły czerwonymi, zielonymi i srebrnymi kamieniami, a w fontannach tryska im wino. Nic, ino czerpać kubkami. – Tak to opowiadały sobie oprychy, patrząc na szare mury twierdzy, gotowi, by iść w dalszy bój. Tylko jeden się trafił, przygłup obwieszony świętymi medalikami, który inaczej gadał:

– Święty miecz wiary Chrystusowej zmiecie pogany niczym archanioł Gabriel, niczym święty Jerzy, co smoka Mahometa pomordował. I załśni światło z niebios, jasne jak w dniu stworzenia świata, oślepi tych, którzy w grzechu żyjąc, oddali duszę wierze szatanów. I przyjdzie *basileus*, wielki sługa Boży, zgniecie wyznawców Allaha i wyswobodzi grób naszego Pana w Jerozolimie.

Mijały godziny, kolejny dzień zmierzał ku wieczorowi, a spodziewane posiłki nie nadchodziły. Zrazu nikt się tym zbyt nie przejmował. W końcu powiedziane było: nasz władca nadejdzie po trzech dniach od zdobycia miasta, kiedy już zuchy, które odbiły Antiochię, poużywają życia.

Strategos posłał na zwiad cztery grupy po dwóch konnych, mając świadomość, że dalsza wojna bez wsparcia nie jest możliwa. Posłańcy dostali jasne rozkazy: przemknąć do oddziałów Diogenesa, chociażby jeszcze tkwiły pod Cezareą. Powiadomić i wracać z wieścią.

Minęły dwa dni, trzy... Żaden ze zwiadowców nie powrócił.

Czwartego dnia od Bramy Świętego Pawła nadbiegł zdyszany strażnik.

– Saraceny! – zakrzyknął. – Turki idą tysiącami po sam horyzont, końca ich nie widać. Mają maszyny i tysiące zbrojnych! Atabeg Mosulu, Mas'ud, na czele! Biada nam!

– Łzesz, tchórz! – ryknął Kalikst, sięgając po szablę, by jak przystało na dowódcę setki zbrojnych, skarcić głupola, który sieje panikę.

Szybko okazało się, że posłaniec nie łgał.

* * *

W rzeczy samej Turków było nieprzeliczone mrowie – gdy jedne oddziały były pod miastem, inne ledwo majaczyły na widnokręgu. Pierwszy szereg stanął na odległość strzału z łuku, zatykając na przedpolu drogi z nabitymi głowami nieszczęsnych zwiadowców wysłanych do *basileusa*. Twarze pomordowanych wykrzywiały nieludzkie grymasy, widać było, że nie spotkali szybkiej śmierci.

Pod Antiochię maszerowały równe szeregi seldzuckiej piechoty, za nimi konnica, zaś w dali – oddziały ciurów ciągnące maszyny. Te wprawiały niegdysiejszych zdobywców, a teraz obrońców miasta, w największe zadziwienie. Przecież mizerna sztuka wojny oblężniczej tego stepowego ludu nie mogła się równać z tym, co w tej materii stworzył świat chrześcijański!

Maszyny nie były wysokie, widać napastnicy nie planowali odbić miasta poprzez mury. Bo i słusznie – mimo pożarów szalejących między domami, mimo zniszczenia i rzezi zewnętrzne umocnienia Antiochii pozostawały w stanie nienaruszonym. Wysokie na trzy dziesiątki albo więcej stóp nie pozostawiały złudzeń śmiałkom, którzy chcieliby wdrzeć się do środka prosto przez blanki. Widać, że Seldzuchy o tym wiedzieli – dlatego horda ciągnęła tarany z grubych bali zaopatrzonych w kamienne głowice. Nie zamierzali zatem atakować murów, tylko bramy.

– Spalimy im to w try miga – pocieszali się obrońcy, którzy jeszcze trzy dni wcześniej stali tam, gdzie teraz rozbijali swój obóz dziko wyglądający wojownicy ze Wschodu. – Polejemy im na łby ogień grecki, zaraz pójdą z dymem. Nawet im te skóry, co na drewno ponawlekali, nic nie pomogą, *igró pyr* wszystko zamieni w żywe pochodnie.

Jednak prawdziwi żołnierze, jak Tyberiusz Piąchulec widzieli co innego: morze turbanów zalewające ze wszech stron Antiochię. Od Bramy Świętego Pawła aż do Świętego Jerzego po drugiej stronie miasta. Tu i tam wykwiwały już pierwsze namioty, widać że Seldzuchy szykowali się już do długiego oblężenia, nie zamierzając narażać swoich sił na zbyt szybkie wytracenie.

Kalikst też dostrzegł, w czym rzecz.

– Otoczą miasto, odbiją port. Nie będzie dostaw, *basileus* nie przyjdzie z odsieczą. Za mało nas jest. My tu będziemy głodować, a jeszcze mają przecie zajętą cytadelę w mieście, to będą nas nękać... Żle to widzę...

Zaiste, choć mówił to z przekory, jego słowa szybko okazały się prorocze. Pierwszy atak od strony cytadeli nastąpił jeszcze tego samego dnia tuż po zmroku. Z początku nic nie zwiastowało, że przeleje się krew. Za murami warowni mrugały tysiące ognisk, słychać było walenie w bębny, kwik koni, odległe zawodzenie w saraceńskiej mowie.

Nagle wrota cytadeli rozwarły się i na otaczające ją wojska *Rhomaioi* wypadła szpica stłoczonych wewnątrz Seldżuków. Z podniesionymi mieczami, z wrzaskiem na ustach rzucili

się do boju, pewni, że oto nadeszła chwila, gdy znów posiadą miasto.

Źle jednak trafili. Aleksy Komnen przewidział taki wariant. Na mury, do obserwacji nadchodzącej hordy, odesłał najmniej przydatnych wewnątrz miasta hultajów z *hekatontarchii* ogniowych. Kazał im ustawić syfony z *igró pyr* na blankach i produkować gliniane bomby wypełnione groźną substancją. Pracami kierował Charyton Scholar, który wraz z trzema pomocnikami pod ochroną pięciu zbrojnych w piwnicy jednego z domostw łączył sekretne składniki upiornej mikstury. Tę ogniowcy wlewali do swoich syfonów, dzbanów i wszelkich inszych naczyń, które miały wkrótce rozbić się na łbach dzikich napastników. W każdej wieży siedziało dwóch obserwatorów, którzy śledzili ruchy wojsk. W razie czego mieli wszcząć alarm – jeden biec do *Strategosa*, drugi czynić larum na miejscu. Chociaż Bóg raczy wiedzieć, na co by się to zdało, gdyby Seldżucy ruszyli do ataku na całej szerokości murów, biorąc za cel wszystkie bramy i wieże.

Za to w środku miasta, pod cytadelą, zostali najlepsi rycerze – kawaleria Komnena i najemnicy. *Klibanophoroi*, rzecz oczywista, nie mieli sposobności, by walczyć w uliczkach miasta, siedząc na koniach ze swoimi długimi kopiami. Zsiedli więc z wierzchowców i chwycili za miecze. Czekali w ukryciu, by nie dać przeciwnikowi szans na rozpoznanie sił.

Obok nich stali ludzie Rousseła de Bailleul zaprawieni w pieszym boju.

Strategos Komnen dobrze wiedział, że zdobywanie murów będzie dla Turków zbyt uciążliwe. Łatwiej przypuścić szturm od środka. Gdy obserwatorzy dostrzegli wzmożony ruch w okolicach tylnej bramy cytadeli prowadzącej między skalne wzgórza, nie było już najmniejszej wątpliwości. Atak musiał nastąpić od tej strony.

I nastąpił. Na plac przed fortecą zaczęły wylewać się kolejne fale Seldżuków. Szli do boju pewni zwycięstwa, przekonani, że mają do czynienia z garstką strażników. Gdy turecka nawała sięgnęła środka pola, z bocznych uliczek wyszli żołnierze ustawieni przez Komnena. Z jednej strony – osobiste oddziały *Strategosa*, z drugiej zaś Normanowie. Pierwsze rzędy najemników skryły się za tarczami, osłaniając idących za nimi łuczników. Tym sposobem zablokowali wyloty uliczek biegnących na prawo od bramy cytadeli. Z lewej nie było domów – tam ciągnęły się wzgórza rzadko porośnięte drzewami, niedostępne, wtopione w strukturę murów obronnych. *Klibanophoroi* stanęli w miejscu, gdzie pozostał jedyny przesmyk do miasta, zamykając tym samym pierścień z tarcz osaczający Seldżuków.

Rozbrzmiała komenda i na turbany rozpędzonych Turków spadł deszcz strzał. Szpica zachwiała się, kilkudziesięciu atakujących padło z charkotem, jednak za nimi szli następni, depcząc ciała dogorywających pobratymców. Z uniesionymi szablami, mieczami i krótkimi włóczniami parli ku *Rumim*, znieawidzonym Rzymianom, niezrażeni ich nagłym manewrem.

Łucznicy nie przerywali ostrzału. Raz za razem naciągali cięciwy, miotając pociski w pierwsze szeregi biegnących. I znów kilkudziesięciu padło, jednak bramy cytadeli wyrzucały dalsze posiłki dla atakujących. Pierwsze szeregi Seldżuków zbliżyły się do tarcz.

Najemnicy, a z drugiej strony zbrojni Komnena, widzieli dziką nienawiść niczym czarny ogień płonąca w oczach Turków. Słyszeli przekleństwa mamrotane pod nosami – niezrozumiałe, ale tym bardziej groźne. Wtedy łucznicy cofnęli się, a ich miejsce zajęli ogniowcy.

– Na nich! Spalić kurwich *koprosklilo!* – ryczał Kalikst, miotając pierwszy dzban wypełniony *igró pyr*. Krótki szczęk rozbijanej gliny, zaraz stłumiony huk płomieni i dziki, bezsilny wrzask. Już leciały następne bomby: garnce i amfory z żarzącymi się ogonami.

– Nuże, dawaj! Rzucac! Raz! I raz! – wrzeszczał Belzebub, zachęcając swych kompanów, by nie szczydzili sił, jednak im nie trza było tego powtarzać. Turki wyły przerażone, rzucając miecze, szable i krótkie włócznie, jazgocząc „Alla, Alla, Alla”. Odrzucali ogarnięte ogniem turbany, jednak były to próżne wysiłki – żółte, pomarańczowe i czerwone języki ogarnęły ich włosy, brody i szaty, których już tak szybko nie mogli się pozbyć.

Tak odrzucili pierwszy atak. Ale prawdziwa siła wroga czała się za murami Antiochii.

* * *

Dwugłowy demon Purrhos był w ekstazie. Tureckie wątroby smakowały niezwykle. Były słodsze i bardziej korzenne niż te, które wyszarpywał pospolitym chłopom z Romanii albo też Armeńczykom czy Żydom. Tamci mieli wnętrzności zbytnio przetrawione kwaskowatym winem, wyjałowione, pozbawione aromatu. A te Turki – inaczej. Choć ich ciała oblepiała wielotygodniowa warstwa brudu, choć wonieli jak dzikie zwierzęta, to wątroby mieli czyste i delikatne niczym płody. W pierwszej chwili Purrhos aż nie mógł w to uwierzyć. Czy smak oszukiwał? Wyrwał jeszcze jedno krwiste kłębowisko spod żołądka nadbiegającego Seldzuka i natychmiast wpakował je między zęby. Zasmakowało dziecięciem z brzucha młodej matki.

Wkrótce odkrył, że wśród zbrojnych w turbanach jest też insze jadlo. Wątroby tych drugich, nielicznych, smakowały jeszcze słodziej, z aromatem orzechów i miodu. To nie byli Turcy, lecz Saraceni z Arabii. Inna była też ich mowa, ale mieli poważanie w szeregach Seldżuków.

Demon przekąsił, po czym ruszył dalej, trzymając się skraju chaszczy. Wojownicy oblegający miasto nie dostrzegali go, za to on widział wszystko. I rozumiał wiele. Ci tutaj byli wrogami. Pan, którego trzeba chronić, tkwił w środku. Na razie bezpieczny. Ale jak długo? Niedługo. Nie, nie, nie! Pan tam za murami bez płodów do jedzenia, a oni tu – zbrojni i wielu ich. Purrhos pokręcił smętnie dwiema szyjami. Zbyt wielu. Nie miał szans, by ich pozabijać. Dziesięciu, stu – to by dał radę. Ale tysiąc, dziesiątki tysięcy?

Więc robił to inaczej. Pomału. W ciemnościach, w krzakach, w wykrotach napadał na pojedynczych zbrojnych z seldżuckiego rodu. Rychło się jednak spał i stracił apetyt. Więc tylko wygryzał im twarze, biorąc pod język gałki oczne.

Początkowo nikt nie zwrócił na to uwagi, jednak wkrótce Saraceni z Arabii wszczęli

awanturę z Turkami, że ci ściągają na nich złe moce. Że swoją nieczystością przywołują demony i plugawe siły iblisów. Zaraz połała się pierwsza krew pośród sprzymierzonych. Kurd z Mosulu zaciukał Seldzuka, po czym sam zginął rozniesiony tureckimi ostrzami. Dwóch następnych, którzy rzucili się do dalszej bitki, z rozkazu *atabega* Mas'uda natychmiast ścięto. Spokój zapanował jednak nie na długo.

Wewnętrzny głos mówił Purrhosowi, że powinien wniknąć za mury i tam chronić swego Pana. Być bliżej niego. Kręcąc węzowymi szyjami, jął iść powoli w stronę najbliższej bramy.

Nagle przystanął. Węszył i wypatrywał. Wtem ryknął, nie dbając, że słyszą go zaniepokojone i rozwścieczone Saraceny. Coś tam było. Coś nadchodziło. Coś, co szło, by zabić Pana.

Tam! Na przełęczy! Tam jest! Bestia, która chce zabić Pana! Tam!

Nie zważając już na nic, z gardłowym gulgotem czerwony demon zaczął biec w stronę gór. Jego skóra nabrała teraz barwy świeżej krwi.

* * *

Basiliskos nasłany przez Italosa pędził, aż ziemia łoskotała. Wielkie łapska rozgniały na pył drobne kamyczki, a duże obracały w żwir. Widział, jak chowa się przed nim wszelkie stworzenie. Ptactwo milkło, zapominając swych śpiewów, drobne gryzonie truchlały przycupnięte w swych kryjówkach między kamieniami i tylko węże nieruchomiały w zachwycie, sycząc miarowo w pochwalnym hymnie: „Bądź pozdrowiony, cesarzu”.

Ich władca nie zważał na hołdy, miał swój wasalny obowiązek do spełnienia. Gnał, coraz wyraźniej czując zapach ofiary. Jego droga wiodła do góry poprzez zbocza, na których coraz mniej było zieleni, za to więcej skał. Wkrótce zrobiło się też zimniej i ucichły głosy zachwyconych węży.

Tuż pod przełęczą czekał na niego posiłek. Górski kozioł przemykający szparko po głazach zamarł, widząc blask ślepi *basiliskosa*. Zaraz zginął rozszarpany przez kły i pazury bestii. Cesarz węży przeżuł nasiąknięte krwią mięso, zgniótł na miazgę kości i pogalopował dalej, trzęsąc górami.

Gdy dotarł na przełęcz, przystanął zdumiony. Drogę zastąpiło mu dziwne stworzenie. Czerwone, dwugłowe. Nie przypominało nic, co dotąd miało śmiałość spojrzeć *basiliskosowi* w oczy. Stwór stał na dwóch łapach, ale widać było, że ciężar ciała i łbów ciągnie go ku ziemi. Był mniejszy, lżejszy, a jego dwie głowy na długich szyjach nie pozwalały na zachowanie stabilnej postawy. Na trzy kroki przed *basiliskosem* czerwony demon o kostropatej skórze opadł na cztery łapy, zaś jego łby przywarły do korpusu. Nim władca węży zdążył zareagować, cuchnąca rybami bestia wybiła się w górę.

Zabójcze spojrzenie lśniących śmiercią oczu wcale na nią nie działało. *Basiliskos* szybko dostrzegł też inną przewagę czerwonego demona: był zwinniejszy. Nim cesarz węży zdążył

unieść łeb, czerwony stwór siedział mu na grzbiecie.

Pierwsze, co poczuł, to ból wyszarpywanych skrzydeł – najczulszego miejsca, teraz promieniującego paraliżującym bólem. Szkarłatny demon zatopił kły u ich nasady, jednocześnie szarpiąc je pazurami. Bez wysiłku, jakby łamał gałązki małych drzew.

Oderwane skrzydła padły na kamienie. Trzepotały chwilę jak latające ryby, wreszcie zeszywniały zalane czarną krwią.

Basiliskos zawył z bólu, aż z okolicznych zboczy zeszyły grzmiące lawiny. Próbował strącić demona z grzbietu, ten jednak nie puszczał. Zatopił zęby w świeżej ranie i oderwał wielki kawał skóry.

Spadł dopiero wtedy, gdy gadzina strąciła go ogonem, niczym maczugą waląc przez łeb. Stwór poturlał się, na kilka długich chwil tracąc orientację. Mniejszy łebek trzasnął o kamień, aż coś chrupnęło. Z rozciętych narośli jęła sączyć się żółta ropa.

Cesarz węży wykorzystał tę okazję. Przebiegł po grzbiecie swego wroga, tłukąc go zrogowaciałymi łapami po głowach. Zaraz zawrócił, obracając pysk w stronę ofiary. Wyteżył całą swą moc piekielnego spojrzenia, starając się zniewolić demona. Widmowy łeb *basiliskosa* urósł do rozmiarów wozu zaprzęzonego w dwa woły, świetlista paszcza zatopiła kły w umyśle przeciwnika.

Ten jednak znów pokazał, że nie mają się go żadne węzowe sztuczki. Poderwał się, po czym jak zapaśnik skoczył na kark jaszczura. Pochwycił go i jął dusić.

Basiliskos zaczął gwałtownie wywijać ogonem, by strącić z grzbietu swojego prześladowcę.

* * *

Jeszcze tego samego wieczoru, gdy ustały walki pod cytadelą, *Strategos* Aleksy Komnen kazał przyprowadzić wszystkich ocalałych murarzy. Rzemieślnicy zeszyli się popędzani przez *klibanophoroi*, niepewni, co ich czeka. Szybko jednak ich obawy znikły – szło tylko o robotę.

– Łapać za kamienie, co tam na kupie leżą – komenderował jeden z *domestikosów* Komnena. – Przenieście je tu, a później zrobicie mur. Tak jak idzie ta linia, od skał aż do tamtej ściany. Podwójnie gruby, coby Turki nie miały jak wyjść ze środka. Chyba że se, diabły jedne, skrzydła doprawią...

Murarze bez ociągania zabrali się za swoją robotę. Jedni mieszały wypalony wapień z wodą i piaskiem na zaprawę, drudzy chwycili za łopaty i jęli kopać rów pod fundamenty. Szło to niesporo, więc *domestikos* zapędził do pracy także przyglądających się temu hultajów z oddziału ogniowego. Ci klęli z początku, jednak gdy chwycili za narzędzia, bramy cytadeli szybko otoczył rów głęboki po kolana – za płytko, by zapewnić stabilną konstrukcję jakiegokolwiek budowli, ale nie było czasu na solidne rzemiosło.

Zanim zapadła noc, przed bramą cytadeli wyrósł mur wysoki na dwu chłopa, gruby na

krok. By wznieść tę konstrukcję, trzeba było rozebrać dwa niewielkie budynki, ale ludzi do roboty nie zbrakło. Wieczorem Aleksy Komnen kazał wezwać cieśli. Mistrzowie, mając za materiał drewno pościągane z całego miasta, wzniesli po zewnętrznej stronie muru pomost, po którym mogli poruszać się łucznicy.

Turcy już nie mieli szans, by przeprowadzić z cytadeli szybki i niespodziewany atak.

To był jednak najmniejszy problem dla obrońców Antiochii.

– Zobacz, kuternoga! Zobacz, moc ich! Tylko patrzeć, jak zaatakują. Może nawet tej nocy.

Kalikst zatoczył szeroko ramieniem, patrząc na światła setek ognisk przed miastem. Przy każdym grzało się dziesięciu albo i więcej Turków i arabskich Saracenów. Pośrodku obozowiska stał zdobny i rzeźbiście oświetlony namiot *atabega* Mas'uda, wodza armii spod sztandaru Mahometa.

– Do miasta nie wleżą... Ale głodem nas wezmą.

– Gdzie głodem? – zarechotał Wielka Pięść.

– Ano głodem – powtórzył Kalikst. – Słyszałem, jak gadał *Strategos* ze swoimi. Kazał jado z całej Antiochii zgromadzić, znaczy to, co można do składu zebrać. Zboże, wino, wędzone albo suszone mięsiwo. Oliwę. Żelazne zapasy dla wojska. A myśmy tyle tego już zeżarli i wychleli, kiedy się zdawało, że zwycięstwo nasze! A ile wdeptaliśmy w ziemię, ile wina się polało... Miesiąc i będziemy głodować.

Ta nowina wielce zafrasowała Nicetasa. Drab pomarkotniał, dochodząc do słusznego wniosku, że jednak zawsze lepiej być po tej drugiej stronie muru. Zapolować można, a jak będzie już naprawdę źle – nawiać. Z własnym oddziałem czy też bez niego.

* * *

Purrhos uciekał. Biegł, nie oglądając się za siebie, co sił w nogach, byle dopaść grupy wysokich i ciasno zbitych skał.

Całonocna walka nie przyniosła rozstrzygnięcia. *Basiliskos* był zbyt powolny i za mało zwinny, aby zwyciężyć czerwonego demona. Czasem grzmotnął go łapą. Kilka razy sieknął pancernym ogonem. Jednak jego najsilniejsza broń – paraliżujące spojrzenie – nie działała.

Szkarłatna bestia, mimo swoich przewag, mimo że była nadspodziewanie zwinna i szybka, również nie potrafiła zakończyć tego starcia. Jaszczur miał grubą skórę pokrytą kolcami i łuskami, pod nią wiły się stalowe więzy mięśni. Duszony, szarpany, gryziony wciąż tkwił niemal bez ruchu, wywijając ogonem.

Oba stwory kotłowały się do brzasku, bez utraty tchu wymieniając ciosy, strzykając jadem, wyjąc i charcząc. Na nic to. Żaden nie był w stanie osiągnąć przewagi.

Gdy znad szczytów wyjrzały pierwsze promienie słońca, w niewielkim łębku Purrhosa odezwał się od legły głos niczym świst powietrza: „Tak go nie zabijesz. Idź między skały”.

Czerwony demon posłuchał szeptu. Jął biec w stronę kamiennych filarów strzegących wejścia do niewielkiego wąwozu.

Gdy do nich dotarł, wiedział już, co ma robić. Przesmyk, z początku szeroki i obwarowany kilkoma skałkami, szybko zamienił się w wąski korytarz o wysokich ścianach. Purrhos pędził tak długo, aż dyszenie za plecami ustało.

Spojrzał w tył. Zalany czarną krwią, poraniony i wściekły *basiliskos* utknął między kamieniami. Nie mógł ruszyć w przód, bo przesmyk zbyt się już zwęził. Drogę odwrotu zablokowały mu pojedyncze skałki, kamienne kleszcze trzymające jego ogon i łapy w mocarnym uścisku.

Czerwony demon skoczył do góry. Wbijając pazury w szczeliny, wdrapał się na górę, na szczyt zbocza.

Gdy dostrzegł trzy wielkie głazy leżące tuż na skraju przepaści, zrozumiał, jak na zawsze uciszyć szamoczącego się na dole cesarza węży...

* * *

Strategos Józef Tarchaneiotes był krępyim człkiem niskiego wzrostu, wygolonym na tyso, zaś jego twarz zdobił sumiasty wąs niczym u Turczyzna. Teraz spod tego wása wydobył się niechętny pomruk.

– Panie, to nie jest dobra decyzja. To znaczy... No to nie o to chodzi, żebyś śmiał podawać w wątpliwość... Tyś *basileus*, Bogu równy, i tobie podejmować decyzje. Ale chodzi o ludzi. To prości żołnierze, rwą się na Seldżuka, bitwy im się śnią, łupy, mord, pożoga... Trudno ich tu utrzymać w zamkniętym obozie, gdzie walą mieczami jeno w kukły drewniane. Ich morale upada, a i umiejętności, choć wyuczone, wymagają bardziej namacalnego potwierdzenia. W boju.

Władca niewzruszony słowami Tarchaneiotesa ubódł konia piętami i skierował się na plac manewrowy, skąd dochodził szcęk broni i turkot bojowych rydwanów.

Strategos popędził wierzchowca, jadąc za *basileusem*.

– Drogi Józefie, jesteś moim najlepszym generałem, wiele razem przeszliśmy. Zwyciężyliśmy pod Manzikert, toczyliśmy udane boje na Sycylii i w Bułgarii, pokonaliśmy setki wrogów. Jak dotąd wychodziliśmy z tego bez szwanku, a nawet z laurem zwycięzcy. Toteż po co teraz zadajesz pytania, w których nie ma ni sensu, ni logiki?

– Ludzie marnieją, krwi im trzeba!

– Cóż byś chciał? Gdy zima idzie, przez góry prowadzić dziesięć tysięcy ludzi, konie, wozy, cały tabor...? Walczyć chcesz, gdy wysoko w górach, na przełęczach zalega śnieg, a koloni, miast dostarczać prowiant dla wojska, dojadają resztki w oczekiwaniu na wiosnę? Chcesz, by twoich ludzi wystawić nie tylko na tureckie szable, ale także na głód i chłód?

Dojechali do placu. Tam setki wojów ściągniętych z najdalszych zakątków imperium,

z Bułgarii, Macedonii, Sycylii, Armenii, toczyły swoje pozorowane bitwy, wściekle bijąc mieczami. Lecz choć bitwy były udawane, a broń tępa, co i raz któryś z żołnierzy padał, brocząc krwią.

– Panie... Mówisz o zimie, jakbyśmy mieli na Ruś jechać. Ale wiesz, że w Antiochii zimy lekkie. W Syrii śniegu nie uświadczysz.

– W górach, na przełęczach... Jest śnieg.

– Jest przez tydzień i to na grubość podeszew w butach. To żadna przeszkoda dla armii. Ja wiem, panie! Ty masz swój koncept jakiś. Zwlekasz z wymarszem z całkiem innej przyczyny. Gadają, że każesz tu nam czekać, by tamci się wykrwawili. Wystawieni na śmierć mają oczyścić przedpole i osłabić główne siły przeciwnika.

– Kto gada? – syknął Diogenes. – Podaż mi ich imiona?

Józef przeklął się w myślach za swój niewyparzony język.

– Nie moi! Nie znam. Jacyś przy winie przy ognisku.

– Nie wierzę w te żalosne wykręty, ale niech tam! Powinni się cieszyć, że są tu, a nie tam. Tak się rwą do tego, by dać szyje pod seldzuckie szable?

Pośród walczących zawrzało. Trzech Greków zbrojnych w krótkie machairy napało na rosłego Syryjczyka wysokiego na siedem stóp albo i więcej. Ten dzierżył w garści maczugę na długim stylisku. Wywijał nią, aż buczało. Grecy biegali wokół niego jak mrówki, którym ktoś rozdeptał kopiec. Dwa szybkie ciosy dryblasą i już jeden z napastników leżał na ziemi, wyjąc z bólu.

– Ten jest dobry – przyznał z aprobatą *basileus*. – Co to za jeden?

Strategos ściągnął w namyśle brwi.

– To jest... Zwą go... Anicet Bestia. Syryjczyk.

– Silne bydle.

– I szybkie jak na takiego dryblasą.

– Podoba mi się. Przyrowadź go do mnie.

W tym momencie Anicet Bestia zwałił z nóg trzeciego Greka. Wtedy naprzeciw stanął czwarty. Z łukiem. Napiął cięciwę. Puścił.

Strzała wbiła się Syryjczykowi w oko. Grot przebił czaszkę i wyszedł z tyłu głowy. Wielkolud nawet nie ryknął – padł jak kłoda, a z rany pociekł mózg wymieszany z krwią.

– Za późno – skonstatował spokojnie władca. – Może i masz rację, Józefie. Marnują się tu strasznie. Dlatego nie będziemy czekać do wiosny. Wyruszymy wcześniej: gdy nadejdzie *fewruarios*.

Czekać tu jeszcze do lutego?! Toż gotowi bunt podnieść! – pomyślał Tarchaneiotes, ale na głos nie wypowiedział już ani słowa.

ROZDZIAŁ 9

Kalikst jednym ruchem nadgarstka skręcił kotu kark. Jazgot i drapanie pazurami ustały. Trzy krótkie cięcia nożem i na bruk spłynęły wnętrzności zwierzęcia.

– A tego nie szamamy? – zapytał z nutką zawodu Nicetas.

Belzebub popatrzył na parujące flaki. Pokręcił głową.

– Lepiej nie tykać. Gdyby tak z bydłęcia jakiegoś, z wołu czy coś, to by się dało poszamać, nie mówiąc już o polewce. Ale wiadomo, gdzie to lata i co żre?

Dryblas podrapał się po brzuchu.

– Ale mało – jęknął, patrząc na chudą tuszkę kota.

– No skoroś taki niedożarty, to se zbierz, ale ja tego nie tknę. Tylko mięso.

Mówiąc to, Kalikst odwrócił się na pięcie i ruszył na mury. Tam już Żmudzini grzali wodę na polewkę.

Wielka Pięść machnął ręką i poszedł za kompanem.

– Zobaczymy, jak będziesz gadał, jak zabraknie kotów. Wtedy pozostaną nam tylko szczury. Ale będziemy je szamać całe.

– Bredzisz. Jeszcze kilka dni i to się skończy. Mówię ci.

– He, he, he – zarechotał Nicetas. – Słyszę to już od czterech miesięcy. Jeszcze powiedz, że lada dzień i nadejdzie *basileus*. Że przyjdzie i pobije Seldżuków.

Co racja, to racja. Takie nadzieje towarzyszyły im od początku jesieni, kiedy tu przybyli. Najpierw zdobywali miasto, byle zdążyć przed nadejściem armii z Konstantynopola. Żeby więcej wina wychlać, więcej złota nabrać, więcej dziewczek wychędożyć. Później, gdy hordy *atabega* Mas'uda zamknęły ich w murach miasta, pojawił się nowy ton. Przyjdzie *basileus* z mocą zbrojnych i rozniesie dzikusów w pył. Nie przyszedł i nie rozniósł.

Gdy stali pod miastem, zastanawiając się, jak wejść do środka, był koniec lata. Minęła jesień, nadeszła zima. Słońce zbladło i grzało słabo jak rozdmuchane przez wiatr ognisko. W nocy woda w kałużach pokrywała się cienką inkrustacją lodu.

Wraz z zimą przyszedł głód.

Najpierw obrońcy Antiochii zjedli wszystko, co zostało w spichrzach, magazynach, w domowych spiżarniach i składach. Wtedy jeszcze nikt nie czuł strachu. Prawdziwy głód, a wraz z nim lęk, nadszedł wtedy, gdy wojacy zjedli ostatnie placki upieczone z ostatnich

garści mąki.

Później doszło do bitwy o konie. Najemnicy de Bailleula swoje zarżnęli i zjedli wcześniej. Normanowie nie czuli zbyt wielkiego przywiązania do wierzchowców, zwyczajni także walczyć jako piechota. Inaczej kawalerzyści Komnena. Ci przyjechali na swych najlepszych koniach z wybranego chowu, rasy północnej, a więc większych i silniejszych. *Klibanophoroi* nie chcieli ich dać na zatrącenie.

Zbrojna banda ogniowców wybiła im głupotę z głowy, mordując kilku kawalerzystów. Tak dla przykładu. Resztę spętano lub obito, a najczęściej i jedno, i drugie. Rzeź koni trwała całą noc. Przez dwa tygodnie było co do ust włożyć.

Później przyszedł czas na psy i koty. Wściekle szajki grasowały po domostwach umierających z głodu mieszkańców Antiochii, przetrząsając ich podwórka i piwnice w poszukiwaniu zwierząt.

Szybko stały się nie lada frykasem. Niektórzy, inaczej niż Kalikst, nie wzgardziliby kocimi flakami.

– Nie chcę tu dłużej tkwić – warknął Belzebub, gdy w końcu uliczki zamajaczyła smukła sylwetka chronionej przez nich baszty.

– A co? Dasz nogę za mur, gdy się ściemni? Tak jak wtedy, co żeś chciał *atabega* udziabać puginałem w środku nocy?

Belzebub wydał wściekle usta na wspomnienie nieudanej wyprawy.

– Ma zbyt dobrą ochronę i za lekki sen. Zbudził się i wiać trza było. Ledwom z życiem uszedł, bo tych Saracenów się tam zbiegła chyba z setka. Ale teraz... Teraz to mam inszy plan.

Weszli po schodkach na mur, a po nim do baszty. Już tam czekał Wit Wodnik z bratem. Żmudzini podsycali ogień pod kociołkiem, w którym bulgotała woda i trochę liści.

– Macie kota, to go zróbcie...

– Chudy coś – jęknął Waldemar.

– To se znajdź tłustszego! Na polewkę starczy. Za kilka dni wyjdziemy z miasta. Nie tylko wyjdziemy, ale przegonimy psubratów spod murów raz na zawsze.

Tak Kalikst gadał, ale prawda wyglądała zgoła inaczej. Raz już próbował zmienić układ sił. Myślał, że przynosząc głowę Mas'uda i osadzając ją na drągu, osłabi ducha bojowego wśród Seldżuków, a wznieci wojenny zapal wśród *Rhomaioi*. Niestety, misterny plan przeniknięcia do obozu wroga i zabicia *atabega* to była zupełna głupota.

Z drugiej strony Belzebub wiedział, że tędy droga. Siorbiąc gorącą polewkę z kota, patrzył w dal na skłębione pod murami wojska tureckie. Kilka nieudanych szturmów odpartych dzięki ogniom greckim i coraz wyraźniej dająca się we znaki zima ostudziły zapal Seldżuków. I jeszcze coś: podczas krótkiej wizyty w obozie wroga Belzebub był świadkiem awantury między Turkami a Saracenami z Arabii. Nie rozumiał, o co poszło, ale pokaleczone zwłoki z wypatroszonymi żołądkami i zmiażdżonymi głowami świadczyły, że ktoś w cichości

wykańczył żołnierzy *atabega* jednego po drugim pod osłoną nocy. Domyślał się, czyja to sprawka.

Turecko-saraceńska zbieranina coraz mniej przypominała regularne wojsko i coraz bardziej niszczyły ją strach, zniechęcenie i niepewność. Taka armia nie powinna być trudna do pokonania. Sęk w tym, że obrońców Antiochii również ogarnęły czarne myśli. Nie zamierzali wychylać się poza bramy dalej niż na długość ostrza miecza.

Kalikst spił resztki polewki z michy. Zupa nie była aż tak zła. Mało tłusta, trochę gorzka, ale ciepła i pożywna. Nalał sobie jeszcze, wyławiając chochlą kawałki kocięgo mięsa.

Mieszkańcy miasta mieli jeszcze inny sposób na głód. Gotowali skórzane stroje i buty z dodatkiem kory z drzew. To jednak nie wystarczało – marli jak muchy. Co dzień przez miasto ciągnęły ponure konduktory żałobne – kilka wychudłych postaci wlokących terkoczący wózek z ciałem owiniętym całunem. Śmierć zbierała coraz większe plony, toteż pod katedrą św. Piotra, największą świątynią Antiochii, nieustannie kłębił się tłum rozmodlonych Armeńczyków, Syryjczyków i *Rhomaioi*. Łotry z Konstantynopola i Cezarei, które niedawno kpiły z Boga i piekła, teraz klepały pacierze, całując medaliki i krzyżyki pozawieszane na szyjach.

Do katedry przychodzili także Normanowie, choć rzymscy heretycy. Stali z boku, modląc się po swojemu, bluźniąc w swej barbarzyńskiej mowie: *Wierzę w Ducha Świętego, Pana i Ożywiciela, który od Ojca i Syna pochodzi...* Teraz jednak nikt nie baczył na apostazję, najemnicy mogli sobie wywodzić Ducha Świętego także od Syna Bożego, wszyscy mieli większe zmartwienia niż ekskomunika, jaką już lata temu nałożył na cały łaciński Kościół patriarcha Michał Cerulariusz.

Kalikst patrzył na tę rozmodloną zbieraninę i powoli zaczął mu świtać pomysł. Myśl kiełkowała, choć nie wiadomo było, co z niej jeszcze wyrośnie: kolczasty chwast czy drzewo.

Wyszedł z katedry, kierując się w stronę cytadeli. Odkąd stanął tam mur odcinający dostęp do bramy, Seldzucy zaprzestali już wypadów z twierdzy. Kilku strażników z syfonami *igró pyr* tkwiło w głodowym otępieniu, patrząc niewidzącym wzrokiem w dal. Gdyby teraz Turcy przypuścili szturm, niemrawi obrońcy nie mieliby szans. Tamci najwidoczniej uznali jednak, że nie warto narażać ludzi. Czekali, aż głód wszystkich wykończy.

Nagle wzrok Belzebuba padł na stertę śmieci pod murem cytadeli. Szkielet konia, stare szmaty, deski, z których cieśle ustawili pomost, ludzkie i zwierzęce kości porozrzucane w bezładzie, pęknięte na pół miecze. Wszystko przysypane ziemią.

Na samym szczycie cuchnącej sterty tkwił ułomek włóczni wbity drzewcem do dołu. Na zatknięto tkwił przegniły, częściowo spalony łeb, na który ktoś nasadził brudne strzępy turbanu.

Jednym kopnięciem Kalikst strącił trupią głowę i wyszarpnął włócznię. Złamana w pół i przerdzewiała z pozoru do niczego nie mogła się już nadać.

Chyba że do rozgromienia Seldzuców koczujących pod murami Antiochii...

* * *

Tryfon Szachista popatrzył na boki, czy nikt go nie śledzi. Cisza. Tamci śpią. Basztę spowijał mrok, tylko księżyc skrzył się na murach i dachach.

Zbiegł po stopniach na wąską uliczkę obok muru i przemknął między domy. Szedł szybkim krokiem tak długo, aż miał pewność, że żaden z jego kompanów nie wlecze się za nim.

Pogłaskał delikatnie zgrubienie pod płaszczem.

Kto ma łeb na karku i trochę zręczności w rękach, nie będzie głodował – pomyślał. – Trzeba tylko znaleźć dobre miejsce na ucztę.

Od czasu gdy Makary miał go za swoją zabawkę, Tryfon bardzo się zmienił. Złamany kilka razy nos i wybite zęby nadały jego twarzy groźniejszy wygląd, zaś z oczu wзираła złość i chytrość.

Nie dam się już więcej nikomu poniżyć – postanowił sobie Szachista. – Nie będę popychadłem dla nikogo, choćby miał pięści jak arbuzy. Przeciw pięściom: siła umysłu. Przeciw tępej sile: mój spryt.

Wspomniawszy nauki Atanazego. *Twoja mądrość i skłonność do filozofowania nie ochroni cię w bitkach z rozbójnikami* – mawiał mistrz. I słusznie. Sama mądrość i filozofowanie na nic się nie zda w takich warunkach. Ale mądrość połączona ze zręcznością w dłoniach, starannie ćwiczoną, może przynieść owoce. Gdy przyszły pierwsze dni głodu, Tryfon spostrzegł, że na murach i górnych piętrach baszt lubią siadać gołębie. Bały się ludzi i skrzydlatych drapieżników, jednak przywabiało je ziarno rozsypane na parapetach. Po niezbyt długiej obserwacji Szachista poczynił kolejne spostrzeżenie – ptaki miały swoje ulubione miejsca, gdzie najchętniej siadały, spływając na odpoczynek z podniebnych szlaków. W tych miejscach Tryfon ustawił pułapki, które sam klecił ze sznurków i desek. Były to konstrukcje dalekie od doskonałości, zawodne, jednak z pięciu miejsc choć raz dziennie udawało się schwytać chociaż jednego. Wystarczyło, by przeżyć.

Zdobycz niewielka, lecz pewna. Szachista wiedział, że ta nędzna porcja mięsa wystarczy, by uchronić go od śmierci głodowej, jednak rozdana kompanom, tylko wielu narobi smaku, a nie przyniesie nijakiego pożytku. Musiał stłumić naturalny dla siebie odruch braterstwa, który w lepszych czasach nakazałby mu podzielić się dobrem z ziomkami. To była jedna z nauk, które dała mu Antiochia. Niech każdy myśli o sobie. Kto zje, ten przeżyje. Jest wojna, a na wojnie nie ma litości.

Powtarzając te proste prawdy, każdej nocy wymykał się z przydzielonej mu baszty, by w spokoju pochłonąć upolowanego za dnia gołębia. Inaczej, niż zwykli to czynić inni hultaje, nie buszował po domostwach. Tych wciąż zamieszkałych broniły desperackie niedobitki Armeńczyków czy Syryjczyków. Natomiast w opustoszałych zbyt często grasowali

wygłodniali najemnicy w nadziei, że znajdą w piwniczce worek mąki, płat suszonego mięsa albo i zapomniany dzban wina. Z reguły nie znajdowali nic, ale z tym większą gorliwością przetrząsali kolejne kwartały miasta.

Tryfon odkrył pewniejsze miejsce, gdzie nikt go nie nachodził – obrócony w zgliszcza kościół św. Ignacego Antiocheńskiego. Wycofujący się Seldzucy podłożyli pod niego ogień, teraz święta budowla straszyla wypalonymi, częściowo zrujnowanymi ścianami. Straszyla na tyle skutecznie, że nikt nie widział potrzeby, by zaglądać do wnętrza. Poczerniałe twarze aniołów na rzeźbach straszyla niczym demony. Wszędzie swąd spalenizny. *Opuszczone piekło* – tak właśnie Szachista myślał o tym miejscu.

Rozejrzał się uważnie po okolicy i gdy miał już pewność, że nikt go nie obserwuje ani nie śledzi, przemknął przez rumowisko kamieni do środka budowli. Trzymając dłoń przy ścianie, doszedł do bocznej nawy. Wybrał kilka szczap z przygotowanej zawczasu sterty i ułożył z nich niewielki kopczyk.

Po trzech pacierzach siedział, grzejąc się przy ogniu. Nadziany na miecz gołąb, wcześniej wypatroszony i oskubany z piór, skwierczał cicho, a kropelki roztopionego tłuszczu z sykiem kapały w ogień.

Szachista wpadł w błogi nastrój przed ucztą, choć kawałek mięsiwa, jaki sobie szykował, wyglądał nader żałośnie. Jednak to i tak był lepszy posiłek niż to, co spożywali jego kompani. Tamci gryźli korę i zagryzali pierwszym śniegiem.

Nagle zeszytniał. W oddali dostrzegł światełko. Jeden płochy ognik migający gdzieś pośrodku kościoła.

– Najemnicy... – szepnął i w panice jął gasić płomienie. Cicho odłożył miecz z gołębiem na bok, butem rozrzucając drewna. Na niewiele się to zdało, więc zerwał z grzbietu płaszcz i narzucił go na ognisko, dusząc płomienie. Co tam! Płaszcz się jakiś znajdzie, ten i tak dziurawy i postrzępiony, za to obiadu nie odbierze mu nikt! I nikt nie pozna jego kryjówki.

Naiwne było to myślenie. Gdyby do kościoła rzeczywiście weszli Normanowie, żalosa szamotanina Tryfona tylko wzbudziłaby ich rehot. Jednak to nie byli najemnicy. Dopiero po chwili dojrzał, że pełgający ognik błyska na knocie wielkiej świecy. Ledwie to zrozumiał, klika kroków dalej zapłonęła następna. A zaraz po niej kolejna, i jeszcze następna, aż nagle pośrodku spalonej świątyni zaśnił żółtopomarańczowy krąg płomyków.

Szachista wstał, otwierając usta z przestachu. Nim jednak zdążył wydać okrzyk przerażenia, jakiś tubalny głos przemówił:

– Tryfonie...

Przerażony postąpił krok w tył, padając na tłący się płaszcz. Zawył z bólu i podskoczył, waląc łbem o sterczącą belkę. Przeklął szpetnie.

– Nie bluźnij, Tryfonie... – posłyszał znów. Chociaż Szachista próbował przebić wzrokiem ciemność, widział jedynie chybotliwe ogniki.

– Kim... Czym... Jesteś...? – wybełkotał, przezwyciężając strach.

– Jam jest święty Ignacy Antiocheński, patron tej spalonej świątyni...

Tryfon opadł na kolana.

– Jezu Chryste, Panie mój, wybac mi moje grzechy...

– Nie wzywaj imienia Pana nadaremno. I nie bluźnij, bom ani ja, ani nasz Pan nie przyszedł cię sądzić. Nie jest to twój czas, by z Bogiem się złączyć.

Myśli Szachisty trzepotały jak chwywane gołębie: *Święty Ignacy Antiocheński? Ale dlaczego? Gdzie? Dlaczego go nie widzę? Dlaczego do mnie? Czy nadchodzi moja śmierć? Powiedział, że nie, ale co w takim razie? Czy jednak umrę? Ale dlaczego nic nie widzę? Nie widzę świętego...?*

– Pewnie masz wiele pytań, Tryfonie Szachisto. Nie musisz się lękać, powtarzam. Nie widzisz mnie? To chodź tu bliżej, a poznasz me oblicze.

Wstał z klęczek i drobnymi krokami ruszył w stronę świec. Rozglądał się na boki, jednak nikogo nie dostrzegł. Dopiero gdy dotarł za krąg ogników, spostrzegł, że otaczają one kamienną rzeźbę ustawioną we wnęce po przeciwnej stronie ołtarza. Figura przedstawiała brodatego starca z długimi włosami, w biskupich szatach, z księgą w dłoni.

Znów padł na kolana.

A rzeźba przemówiła:

– Nie lękaj się, powiadam. Przybyłem tu, do świątyni naszego Pana, która nosi moje imię, by ci dać słowa otuchy i poprowadzić cię ku drodze zbawienia.

– Święty Ignacy, czy i mnie czeka męczeńska śmierć? Czy i ja mam pójść na śmierć jak Pan Nasz Jezus Chrystus? – Szachista nie do końca wiedział, co mówi, jednak czuł, że tak powinien.

Rzeźba szybko wyprowadziła go z błędu.

– Zamilcz, Tryfonie i słuchaj! – nakazała.

Tryfon zamilkł i słuchał.

– Od czterech miesięcy pod murami miasta stoi armia pogan, plugawych wyznawców herezji Mahometa. Otoczyli Antiochię, odcięli drogi, zdobyli też port nieopodal, pilnują szlaków wiodących przez góry. *Basileus* daleko, nikt nie przyjdzie wam z pomocą, zanim nie nadejdzie wiosna.

– Biada nam – jęknął Tryfon.

– Zginiecie z głodu – potwierdził święty Ignacy. – Ale... – dodał po chwili – jest dla was jeszcze jedna szansa. Nie wszystko jeszcze stracone! Musicie tylko odnaleźć relikwię!

– Relikwię? Gdzie? Jaką?

– Świętą Włócznię, którą kaci przebili bok Pana Naszego, Jezusa Chrystusa, gdy cierpiał kaźń na krzyżu. Włócznia jest tu, w Antiochii! Znajdziesz ją pod podłogą katedry Świętego Piotra. Musisz kopać!

– W którym miejscu? Katedra jest ogromna!

– Pośrodku! Szukaj! Szukaj wszędzie! Kop! A jak już znajdziesz Świętą Włócznię, to

Bóg wyśle wam do pomocy armię aniołów, z której pomocą pokonacie saraceńską zarazę, plugastwo Mahometowej herezji. Seldżucki *atabeg* umknie niczym zając, jego horda pójdzie w rozsypkę, a wy zapomnicie, co to głód i zimno. Na chwałę Pana, idź, odszukaj Świętą Włócznię!

Tryfonowi cisnęły się na usta liczne pytania, lecz nagle spostrzegł, że świece wokół posągu świętego zaczynają powoli gasnąć. Po chwili zapadła ciemność.

Zapach zduszonych knotów delikatnie drażnił jego nos. Szachista podszedł do rzeźby i wyciągnął dłoń.

– Święta Włócznia... – wyszeptał.

* * *

– Wierzysz mi, panie? – spytał Roussel de Bailleul, szybkimi ruchami odkrawając z pieczonego łba końskiego wąskie paski mięsa. Chude ścięgna były całkowicie pozbawione tłuszczowej otoczki. Zwierzę przed ubiciem również głodowało.

Strategos ucałował srebrny krzyż zawieszony na szyi. Już to wystarczyło za odpowiedź.

– A ty nie wierzysz w Pana Naszego, najemniku? Nie wierzysz w mękę Pańską? Powiadasz, że śmierć Jezusa Chrystusa na krzyżu była jeno pozorna, a Pan Nasz stworzył iluzję swej śmierci... jak to głoszą wszyscy plugawi heretycy?!

Norman obruszył się.

– Ja plugawym heretykiem?! Nic takiego nie głoszę! To ty głosisz... panie – wykrztusił de Bailleul, z trudem zachowując spokój.

Chciał być uprzejmy, mając świadomość, że napięta sytuacja, w jakiej się znaleźli, może w każdej chwili doprowadzić do wzajemnej rzezi. Stosunek sił też nie działał na jego korzyść. Ale zarzucać mu herezję?! O, Grecy lubili obnosić się z pobożnością jak nie żołnierze, ale jacyś pokutnicy. Jednak w duszy wszyscy byli przewrotni jak sam diabeł. Norman nie dowierzał żadnemu z nich.

– Ten tu jednak łachmyta nie wygląda mi na świętego – podjął – lecz na wydrwigrosza. Bo sam powiedz, panie, skąd on jest? Złodziejaszek pewnie, z Cezarei albo nawet z Konstantynopola. Skazany na śmierć w boju tak jak i my wszyscy...

Aleksy jakby nie usłyszał tych słów.

– Czy wątpisz, że święty Ignacy Antiocheński oddał życie za wiarę? Że zginął śmiercią męczeńską niczym Pan nasz? Chcesz powiedzieć, że święty Ignacy Antiocheński nie mógł objawić się żołnierzowi walczącemu na chwałę Boga w szeregach *basileusa*, które także Bożymi są szeregami?

Najemnik zaklął cicho.

– W nic już nie wątpię. Dobrze! Dobrze, niech będzie! Ale nie wszystkich przekonasz. Niewielu przekonasz.

– Brak wam wiary, łacinnicy. Brak wam wiary...

Strategos nalał sobie wody z dzbana i długo pił. Gdy odstawił naczynie, sięgnął po puginał. Wbił jego koniec w koński łeb. Po chwili pokręcił głową.

– Wydobędziemy tę włócznię spod podłogi katedry Świętego Piotra, tak jak było w widzeniu. Niech on kopie. Tak długo, aż się dokopie. Wtedy pójdziemy na Seldżuków.

* * *

– Bóg dał nam znak! Bóg chce, żebyśmy bez lęku wyszli przeciw Saracenom i rozsiekali, i spalili ich plugawe hordy! Do katedry! Święty rzekł do mnie tymi słowy: *Znajdź Świętą Włócznię, a ześle ci do pomocy armię aniołów, z której pomocą pokonasz saraceńską zarazę, Mahometową herezję plugawą.* Tak rzekł do mnie święty, a głos miał tubalny jak pomruk burzy, zaś z oczu strzelały mu skry! Twarz jego srebrzyła się niczym szlachetny metal, a wokół głowy świeciła aureola. Bił od niej taki blask, że zajaśniało jak w południe, choć to był przecie środek nocy. Skrzyła się jak żywe złoto, jak korona *basileusa*, tylko po stokroć razy mocniej! Później święty Ignacy Antiocheński powiedział tak: *Jesteś wybrańcem, tobie powierzam tę misję, którą jest wielkie zwycięstwo prawdziwej wiary nad gnijącą herezją saraceńskiego pastucha!*

Nikt z dawnych kompanów nie poznałby Trytona krzyczącego do tłumu z dzikim blaskiem w oczach. Szachista odziany w białą powłóczystą szatę na podobieństwo mnicha lub kapłana trząśł wychudzoną dłonią, w której dzierżył Pismo Święte.

Tłum podchwycił jego słowa.

– Spalić meczety! Wyrznąć Seldżuków! Powiesić Saracenów!

– Przeca meczety spalone, a Saraceny zaciukane... – zauważył ktoś przytomnie.

– Spalić! I spalić Armeńczyków, bo to zdrajcy i saraceńskie parobki!

Tryfon skierował te emocje na właściwą drogę.

– Pan nasz chce, żebyśmy odnaleźli Świętą Włócznię! Ona będzie znakiem naszej jedności i zwycięstwa. Relikwia poprowadzi nas do zwycięstwa!

– Na Saracenów! Bij!

Byli jednak tacy, co wątpili.

– Musi dobrać się gdzieś w piwniczce do zapomnianego dzbana wina, bo gada jak głupek! U nas w Nicei to w tawernach każdy takie miał widzenie. Jak popił więcej wina, to i świętych widział.

– A dlaczego jemu miał ukazać się święty! A kim on jest? *Koproskilo* dupowaty! Dlaczego jemu się miał ukazywać, a nie mnie...

– Obić mu ryja, to przestanie brednie rozpowiadać!

Do rękoczynów jednak nie doszło. Kalikst Belzebub wskoczył na pustą beczkę i wrzasnął jak przystało na *hekatontarchosa*:

– Co wy, ciury z ośle dupy?! Co wy, zafajdani *malakas*, co się wam, synom kurew i półgłówków, nie podoba, co?! Święty człowiek do was przemawia, o widzeniu swoim opowiada, o tym, jak Pan Nasz z niebios posłańca tu nam wysłał, dobrą nowinę wam niesie, a wy co?! Żarty se robicie, kpiny urządzacie, heretyki!

Wagę swych słów podkreślił, dobywając miecza. Złe szepty zaraz ucichły – nikt nie chciał zaczynać niepotrzebnej bitki z setnikiem ogniowców.

Wkrótce nastąpiły dwa wydarzenia, które potwierdziły słowa Tryfona Szachisty. Podczas mszy w katedrze, choć drzwi były zamknięte, zerwał się wiatr, widać z samych Niebios, i zaczął targać kartami Pisma Świętego. Zaraz też wierni posłyszeli szept dochodzący gdzieś z mrocznego kąta.

– Szukajcie... Szukajcie... Zwycięstwo jest bliskie...

Jeden odważny poszedł zajrzeć, co się tam kryje, czy ktoś kpin nie robi, jednak nikogo nie znalazł. To musiał być sam święty.

A gdy spojrzeli do Pisma Świętego, spostrzegli że księga otworzyła się na słowach: *Przyszli tedy żołnierze, a pierwszego złamali golenie i drugiego, który z nim był ukrzyżowan. Lecz przyszedłszy do Jezusa, gdy go ujrzeli już umarłego, nie łamali goleni jego. Ale jeden z żołnierzów włócznią otworzył bok jego, a natychmiast wyszła krew i woda. A który widział, wydał świadectwo, i prawdziwe jest świadectwo jego, a on wie, iż prawdę powiada, abyście i wy wierzyli.**

Wkrótce pojawił się inny znak, potwierdzający słowa Tryfona Szachisty. Święty Ignacy Antiocheński przyszedł we śnie do Charytona Scholara i powiedział te same słowa: *A gdy znajdziecie Świętą Włócznię, Bóg wyśle wam do pomocy armię aniołów, z której pomocą pokonacie saraceńską zarazę...*

Nikt już nie wątpił w prawdziwość tego proroctwa, chociaż Charyton Scholar wciąż zachodził w głowę, kogo przypomina mu głos świętego Ignacego rozbrzmiewający z mroku nawet wówczas, gdy się już zbudził...

* * *

– Kopcie! Kopcie dalej! – pokrzykiwał Tryfon Szachista ogarnięty świętym uniesieniem.
– Czuję, że ona jest tuż. Jeszcze dwie stopy i znajdziemy relikwię!

Teraz nikt już nie wątpił w jego słowa, a przynajmniej nie mówił tego na głos. Aleksy Komnen, gdy usłyszał opowieść Charytona o nocnych głosach, tylko utwierdził się w przekonaniu, że Święta Włócznia przyniesie zwycięstwo. Poleciał wybrać spośród mieszkańców miasta najsilniejszych chłopów, dał im kilofy i łopaty i nakazał kopać. Pobożni Armeńczycy i Syryjczycy, słysząc w czym rzecz, ochoczo wzięli się do pracy, zaś Tryfonowe pohukiwanie było im w zasadzie zbędne.

* Ewangelia św. Jana 19, 32-35, Biblia w przekładzie ks. Jakuba Wujka.

Tak minął pierwszy dzień. Święta Włócznia się nie znalazła, więc ludzie małej wiary jęli sarkać, że Szachista bajdurzył i wszystko zmyślił.

Entuzjazm większości nie słabł też drugiego dnia. Dziura w podłodze katedry sięgała teraz aż po sam ołtarz. Rzekłby ktoś – im dłużej kopią, tym mniej widać relikwię. A jednak nie. Podniecenie rosło, pracowici kopacze, panowie, żołnierze i zwykli gapie czuli, że już zaraz ziemia wyda im święty grot, który przebił bok Jezusa Chrystusa. Szepty modlitw objęły się o sklepienie świątyni.

Tryfon nie tracił animuszu.

– I rzekł do mnie Pan Jezus: *Kopcie! Kopcie tak długo, aż znajdziecie włócznię, którą rzymski żołdak przebił me płuco, a wtedy nadejdzie zwycięstwo nad plugawym Mahometem. Sto tysięcy aniołów w karnych hufcach pójdzie naprzeciw seldzuckiej zarazie, zmiażdży ich, zaleje ogniem, a później usiecze lodowym gradem. Ich nędzne dusze pójda do najniższego kręgu piekieł, gdzie będą skwierczeć na wrzącym oleju, błagając o przebaczenie. Kopcie i nie traćcie wiary!*

Niestety mimo tych nawoływań, mimo szczerego zapału i przelanego potu, mimo rozbitej i rozoranej podłogi w katedrze, relikwii jak nie było, tak nie było.

* * *

Gdy zapadła noc, Belzebub wymknął się z baszty i cichaczem pobiegł do swojej nowej kryjówki – ruin kościoła Świętego Ignacego Antiocheńskiego. Teraz pozostawała już zawsze pusta. Odkąd Tryfon usłyszał głos świętego, żył tylko nadzieją i uniesieniem. Nie polował na gołębice, nie piekł ich w opuszczonych murach.

Kalikst pogrzebał w stercie gruzu, po czym, kryjąc coś pod płaszczem, przemknął w kierunku katedry. Gdy doszedł w pobliże świątyni, przystanął i jął obserwować okolicę. Chociaż *Strategos* Aleksy również uległ świętemu uniesieniu, wciąż myślał trzeźwo i wiedział, że nie wszyscy dobrze mu życzą i wielu nie wierzy Szachiście. Toteż przed wejściem do katedry wystawił swoje najlepsze strażę, które miały zakaz wpuszczania kogokolwiek, nawet duchownych. Uzbrojeni po zęby *klibanophoroi* patrolowali najbliższe uliczki wokół świątyni rozjaśnione latarniami i pochodniami.

Ale Belzebub nie musiał się tym przejmować.

– Ściągnij własną siłą mrok – powtarzał słowa swojej modlitwy. – Przywołaj ciemność, niech okryje cię niczym skrzydła. Niech noc stanie się tobą, a ty stań się nocą. Niech szara godzina obejmie twoje dłonie, twoje ramiona, pierś i całe ciało. Niech czarne pióra zakryją cię, a wtedy znikniesz w cieniu osłonięty od ludzkich spojrzeń.

Ciemność przysłała i osłoniła go. Niezauważony minął wojaków przemierzających uliczki wokół katedry, przeszedł obok strażników stojących u jej wejścia, po czym wniknął do wnętrza.

Tam, okazało się, tkwiło jeszcze dwóch zbrojnych, którzy stali obok dziury w podłodze świątyni. Zatknięte w żelaznych stelażach pochodnie oświetlały ściany budowli, rzucając migotliwe blaski na blade figury świętych.

– *Gamoto* – zaklął cicho Kalikst. Liczył na to, że jednak wewnątrz nie będzie nikogo. To komplikowało jego plany, ale nie aż tak bardzo, by nie dopiął swego.

Cicho niczym skrzat minął strażników i zasadził się w cieniu. Jeden ze zbrojnych spał na stojąco – kiwał się oparty o kolumnę, pochrapując od czasu do czasu. Drugi zachował czujność, jednak nie na tyle, by zwracać uwagę na to, co dzieje się na dnie wykopu. Belzebub wybrał takie miejsce, gdzie padał cień i strażnicy nie mogli go zauważyć.

Powoli, ostrożnie jął drążyć ziemię, posługując się puginałem. Podważał ostrzem niewielkie grudki, po czym wybierał je rękami. Podłoże było twarde i zimne, czubek noża kilka razy ze zgrzytem zawadził o niewielkie kamienie.

– Hejże! Co tam! – krzyknął nagle jeden ze strażników. – Kto tu?

Wyjął pochodnię ze wspornika na ścianie i energicznym krokiem podszedł do brzegów wykopu. Poświecił.

Jednak czuwają... – Kalikst skulił się, w myślach powtarzając swoją modlitwę: – *Przywołaj ciemność, niech okryje cię niczym skrzydła. Niech noc stanie się tobą...*

Wtedy ocknął się drzemiący zbrojny.

– No, no co tam się dzieje, Nicefor?

– Nie wiem, słyszałem... Pewnikiem złodziej. Takie skrobanie jakieś.

– Że niby relikwię chce pokraść? A na co tu złodziejowi relikwia?

– No sprzedać może. Ty wiesz, ile można za taką Świętą Włócznię od łacinnickich handlarzy dostać? Oni to łasi są na takie cuda.

Odeszli, ale Belzebub wciąż słyszał niespokojne dyszenie żołdaka. Drugi szybko znów zapadł w drzemkę, jednak Kalikst wolał odczekać. Przywarł do ziemi i przed kwadrans nawet się nie poruszył.

Wznowił pracę, ale tym razem był ostrożniejszy. Garść po garści wydobywał kolejne grudki ziemi, aż wreszcie dziura sięgała już na długość ramienia. Wtedy wyjął z zanadru włócznię i ostrożnie umieścił ją na dnie jamy. Dla pewności przysypał to miejsce ziemią wybraną przez kopaczy. Znów ubił i wymknął się z dziury.

Zbrojni niczego nie spostrzegli. Oparci o kolumny katedry tkwili w półśnie.

ROZDZIAŁ 10

– *Rumowie już zdychają z głodu, rozumiesz to, Süleyman? Nie pociągną długo, Allah da, to oddadzą miasto, nim nastanie *dżumada al-ahira*. Będzie nasze, już czuję zapach krwi.*

Nasir odciął z różna pasmo jagnięciny i nieśpiesznie wpakował je do ust. Przeżuwał powoli, patrząc na górującą nad miastem wieżę katedry.

– *Al-ahira? Jeszcze jeden miesiąc? Nie, mój przyjacielu. Ja tu nie zniosę ani chwili dłużej. Rumy uparte są i głupie, prawdziwej wiary się boją, strach im wyjść na ostrza sług Allaha. Nie oddadzą miasta, prędzej zdechną.*

– Głód ich wygoni – stwierdził Nasir. Obrócił rożen, nadstawiając nad płomienie drugi bok tuszki. Mięso powoli nabierało koloru złota. Dym wokół niego wił się cudownym aromatem.

– Tak musi pachnąć szóste niebo... – mruknął z rozmarzeniem.

– Szóste? A dlaczego szóste? – Süleymana ogarniało coraz większe rozdrażnienie. Gadanie jego kompana było jako ta mucha brzęcząca nad głową podczas snu.

– W szóstym pachnie pieczona jagnięcina i duszony patlican jak na dobry obiad. Tam możesz najeść się do woli, zaspokajając głód i gasząc pragnienie najczystsą wodą z anielskich źródeł i niebiańskim winem. W siódmym, tam gdzie podnózek tronu Najwyższego, wije się zapach wanilii i sezamu jak na deser podczas sułtańskiej uczy. Tam już głód pozostaje wspomnieniem, kuszą cię za to słodkie aromaty i tęskny śpiew dziewczec.

– Głupiś, Nasir. Gadasz jak nędzny wierszokleta z Damaszku. Gdzie mnie tam o niebie sądzić, jak tkwimy na ziemi szejtana otoczeni *Rumami* i Arabajami. Arabaje wredne, oby Allah przeklął ich dzieci i żony, braci i siostry. Arabaje zdrajcy, im ufać nie należy. Naszych mordują pod osłoną nocy, cichaczem podrzynają gardła i wypruwają wątroby.

– Też gardzę Arabajami, tymi tchórzami i mięczakami i nie pojmuję, czemu *atabeg* ciągnie ich za sobą. To seldżucka sprawa zdobycie Antiochii. Ale, trzeba oddać im sprawiedliwość, to nie Arabaje rzną naszych po nocy. To bestia! Turan ją widział. Widział bestię! Mówił, że jest na dziesięć stóp wysoka, ma pięć głów i skrzydła jak iblis z piekiel. Jej czerwona skóra...

Zamilkł.

Ze zdziwieniem patrzył na strzałę, która znienacka trafiła Süleymana w sam czubek

głowy. Jego kompan nawet nie jęknął. Siedział jak i wprzód, tylko oczy zachodziły mu mgłą.

Zaraz obok spadła następna strzała. A za nią trzecia, piąta, cały rój. Nasir spojrzął w kierunku Antiochii. Pierwsze, co zobaczył, to tłum ludzkich szkieletów wylewający się ze wschodniej bramy miasta. Za pierwszym szeregiem, osłoniętym tarczami, zbrojnym w miecze i włócznie, szli łucznicy, równo szyjąc między seldzuckie namioty.

Drugie, co spostrzegł, to wychudzonego imama w porwanej szacie niesionego na ramionach żołnierzy. Musiał to być imam czy jak tam ich zwali w mowie *Rumów*, bo darł się jak opętany:

– Oto Bóg miłosierny dał nam znak! Święta Relikwia, włócznia, która przebiła bok Pana Naszego, Jezusa Chrystusa, dała nam siłę i odwagę. Z nią, niesieni wiarą i słusznym pragnieniem zemsty, pobijemy mahmuckich apostatów czczących fałszywą księgę przyniesioną na rogach białego byka. Pan Nasz dał nam znak, dał nam do ręki cudowną broń. Z nią zadamy ból, ogień i krew! Bóg przemówił do mnie! Sam Pan Bóg do mnie rzekł tymi słowy: *Znajdź Relikwię, znajdź ją w katedrze, a zwycięstwo będzie twoje i chwała będzie twoja, a złote miasto Antiochia ocaleje*. I oto niosę przed wami Świętą Włócznię, i oto idziemy walczyć na chwałę Bożą i po zwycięstwo Chrystusa!

Tym słowom towarzyszył triumfalny ryk i bicie mieczy o tarcze. *Rumowie* szli, jakby niosła ich anielska siła, jakby rzeczywiście Bóg dał im moc.

Trzecią i ostatnią rzeczą, jaką dostrzegł oniemiały Nasir, był grot strzały zbliżający się do jego szeroko rozdziawionych ust. Nim zdążył je zamknąć, pocisk przebił mu szyję.

* * *

Zaskoczenie zrobiło swoje. Turcy, których namioty stały najbliżej murów miasta, z niedowierzaniem patrzyli na sunącą w ich stronę armię wymizerowanych *Rumów*. Ci, którzy swe schronienie mieli dalej, pierwiej nie baczili nawet na dobiegające ich hałasy. Mogło to być wszystko, ale przecie nie atak umierających w Antiochii poddanych *basileusa*.

Prawda dotarła do nich wraz z okrzykami paniki i wyciem mordowanych. W obozie zapanował chaos, Seldzucy przekrzykiwali się z Arabajami, wodzowie wydawali sprzeczne rozkazy. Nikt się nie bronił, a jeżeli już, to beładnie, bez zbroi, bez koni, idąc na samobójcze zatracenie w sam środek zawieruchy. Ten czy ów ciął celnie, raniąc wroga, jednak natychmiast padał rozsieczony ostrzami rozmodlonych szkieletów.

– Bóg z nami! Bić ich, kurwichsynów Turczynów! – ryczeli ogarnięci narastającym szałem chrześcijańscy wojownicy.

– Morduj! Zabij! Rżnij! Chrystus Panem! Chrystus pokazał nam drogę!

Pierwsze szeregi uzbrojone w miecze weszły między namioty, podkładając pod nie ogień. Łucznicy nie przerywali ostrzału – szyli równo w głąb obozowiska, aż strzał im zbrakło.

Wtedy porzucili łuki i dołączyli do rzezi, chwytając za szable, machairy, czekany, toporki i co tam kto miał, czym potrafił zadać śmierć.

W awangardzie atakujących ciężko człapał Nicetas Wielka Pięść. W garści dzierżył ogromny dwuostrzowy perski czekan ze złotymi kutasikami dyndającymi pośrodku długiego stylistka. Nie była to broń dobra do kotłowaniny w bitewnym tłumie, jednak drab wywijał nią, jakby trzymał w łapie lekką szablę. Spłoszeni Turcy uciekali już na sam widok jego zaciętej gęby i błyskających śmiercią ostrzy. Szerokie zamachy Nicetasa padały więc w próżnię, jeżeli nie liczyć namiotów, wozów i drzew. Wszystko inne, co żywe i miało nogi, uciekało. Tu jednak z pomocą szli Żmudzini – Wit Wodnik wywijał mieczem niczym oliwną gałązką, lekko i figlarnie jak dzieciak. Rękawy nałożonej pod kolczugę siermiężnej tuniki z płótna nasiąkły krwią zarzynanych Seldżuków. Po prawicy Nicetasa szedł Waldemar Jałmużnik. Ten dla odmiany uzbroił się w niewielką maczugę o głowicy z dwunastoma guzami. Walił nią z namysłem, oszczędnie, ale co grzmotnął, to trup.

– Za moje grające kiszki! – mówił zabijającym. – Za to, cośmy tam tkwili za murami! Chrystus dał znak: wysiec Seldżuków! Ciąć i nie pytać!

Nieco dalej w cichości sunął Muhammad. Milczący Saracen uzbrojony w dwie zakrzywione szable ciął szybkimi jak ważka ruchami, odkrawając dłonie z uniesionymi mieczami, ramiona, uszy, nosy, a zdarzało się, że i całe głowy.

Krew, wycie mordowanych, kotłowanina. Tak było.

Jednak gdy dzielni obrońcy Antiochii doszli do drugiej linii tureckich namiotów, stracili swą najmocniejszą broń – zaskoczenie. Została im tylko wiara i nagie ostrza.

Seldżucy zaczęli zbierać się do kupy.

– Na koń! Na koń i jazda na skrzydła! Ostawić obóz w tyle – jął wydawać rozkazy *atabeg* Mas'ud.

Jego nawoływania przyniosły pewien skutek. Ci, którzy stali najbliżej, wskoczyli na grzbiety wierzchowców i unikając walki, ruszyli do manewru. Wódz dołączył do nich, mknąc na małym, ale rączym gniadoszu.

– Na skrzydła! Opuścić obóz!

Atabeg wiedział, co robi. Nie było już sensu bronić namiotów – podpalanych, sieczonych, zalanych krwią dzieci Allaha. Tu chciwość i żądza łupów, z jakiej słynęli barbarzyńcy z Zachodu, musiała zrobić swoje.

Niech wejdą i zajmą swą uwagę plądrowaniem – myślał. – Niech przetrząsają zgliszczą w poszukiwaniu złota, cennych kamieni i pulad, ostrzy ze stali, jakiej nigdy nie nauczą się kuć. Gdy już do reszty poświęcą się grabieży, my wejdziemy na powrót, uderzając w sam środek ich hordy.

Rumowie szli do przodu ze śpiewem, modlitwą i radosnym wyciem, nie myśląc jednak o rabunku. Parli w ślad za Turkami. Doborowe wojska Aleksego Komnena, normańscy najemnicy Roussele de Bailleul i pospolita czerń z portów Konstantynopola i przedmieść

Cezarei – oddział łotrów-straceńców. Maszerowali ramię w ramię niesieni natchnionymi słowy Tryfona Szachisty:

– Rzekł wtedy Pan: *A kto we mnie uwierzy, kto usłucha mych słów, nie mając w sercu wątpienia, zwycięży i do niego należeć będzie królestwo moje. Święta Włócznia jest mym znakiem, znakiem triumfu tych, co wierzą, i znakiem śmierci dla zaprzańców, którzy wyparli się jedynej wiary.* Tak Pan Nasz mówił i wskazał, jak pobić Turka! Aniołowie są z nami! Czy słyszycie ten szum? To skrzydła aniołów, które prowadzą nas w bój. Dalej! Dalej, krwi!

Tylko jedna *hekatontarchia* przerwała swój marsz, odbijając w prawo. Na jej czele szedł Kalikst Belzebub.

– Tam! – wskazał czubkiem miecza. – I tam dalej, za drzewami. Konie! Mus nam połąpać te, których jeszcze Seldżuki nie zajmowały. Albo nie padły od zawieruchy. Nuże, hultaje!

Dopadli pierwszej zagrody – tu stłoczone były na oko ze dwie dziesiątki wierzchowców z kwikiem depczących po trupach zwierząt padłych od strzał.

– Brać je i do miasta! I zaprzęgać wozy! A reszta za mną! Do drugiej zagrody!

Nim główne siły doszły do końca obozu, w stronę Antiochii gnało już pięć dziesiątek jeźdźców.

– Małe te konie – krzyknął Piąchulec wczepiony palcami w grzywę. – Do wozów się nie zdadzą. One do wierzchu, nie do zaprzęgu.

– Małe konie, ale silne – odparł Belzebub. – Nie do zaprzęgu, ale my je i tak zaprzęgniemy. Jak będzie trzeba, to po trzy.

– Bredzenie – mruknął Tyberiusz. – Połamią kulasy, ledwo z miasta wyjadą.

Kalikst udał, że nie słyszy. Nie zamierzał teraz strzępić języka po próżnicy i z przegranym nieudacznikiem Piąchulcem wdawać się w głupie gadki.

– Zaprzęgać! – krzyknął tylko, gdy wpadli za mury miasta.

W tym czasie obrońcy miasta prowadzeni przez święte nawoływanie Tryfona Szachisty wyszli spośród płonących namiotów i nie zamierzali się zatrzymywać. Zacięte, wychudzone twarze pokryte brudem i krwią, dzikie błyski w oczach, postawione na sztorc ostrza – nie, tych wojów nie skusiło plądrowanie. Szli, bo wołał ich Bóg. Szli, by zabić ostatniego Seldżuka i zatknąć jego głowę na tyczce wbitej przed główną bramą Antiochii.

Widać Seldżucy zrozumieli w czym rzecz, bo rzucili się do bezładnej ucieczki. Ci, którzy umykali chyżo, uszli z życiem. Przemknęli dalej na wschód, w stronę Aleppo. Ci opieszali, którym roilo się w głowach bohaterstwo i dzielna walka, szybko postradali żywota, a ich odcięte łby tonęły w błocie.

* * *

W pobliskim lasku w cieniu niewysokich drzewek cyprysowych siedział Purrhos. Demon mlaskał z ukontentowaniem, bo nim nadeszli ludzie z miasta, posilił się wątrobami trzech

strażników, którym nieopatrznie przyszło do głów przetrząsać okolice obozu.

Czerwona bestia przyczajona syciła wzrok obrazami śmierci, rzezią i krwią wsiąkającą w bagno. Znać było, że nadchodzą lepsze dni.

* * *

– Jazda, brać te konie! Zaprzęgamy!

Kalikst wskoczył na pierwszy rydwan. Zwycięstwo pod murami Antiochii było zbyt łatwe. Wręcz nierealne. Po prostu wylegli z miasta ze śpiewem i modlitwą na ustach i rozbili w puch obozowisko dzikusów ze stepów. Jakby ćwiczyli manewry, jakby to była zabawa i podchody, a nie prawdziwa wojaczka. Owszem, krew się lała, odrąbywane członki leciały na boki, ale w tym nie było prawdziwego ognia walki.

Prawdziwy ogień walki był tylko, gdy na pole wyjeżdżały rydwany z *igró pyr*.

– Zaprzęgać konie i jedziemy w drugą stronę. Przez miasto, Bramę Świętego Jerzego i do portu. Musimy odzyskać Saint-Simeon!

I tu miał rację. W zniszczonym obozie Seldżuków było jądło, nowa broń, trochę kosztowności, jednak nikt nie wiedział, jakie siły wroga czyhają na syryjskiej ziemi. W głębi kraju, na wschodzie niechybnie przetaczały się po stokroć większe hordy Turczynów. Port był gwarancją, że do Antiochii wkrótce dotrą posiłki. A w razie niepowodzenia pozwalał szybko uciec z tej niegościnnej ziemi.

– Ruszamy! – zakomenderował Belzebub, gdy już drugi rydwan został zaprzężony do zdobycznych koni. Trochę miał racji Piąchulec: koniki były nikczemne. Co z tego, że silne? Silne, gdy wiozły na sobie Seldżuków, ale przy wozach bojowych...

Jednak dały radę. Kalikst, pohukując na zwierzęta, okładając je batem, skierował rydwany przez środek miasta do zachodniej bramy. Za nim z turkotem potoczyły się następne wozy.

– Ogień! Śmierć! Kara Boska! – krzyczał w uniesieniu Charyton Scholar. Mistrz *igró pyr* zadbał o to, by na rydwanach znalazły się syfony pełne najwyższej jakości mieszanki ognistej.

Minęli z łomotem Bramę Świętego Jerzego i wypadli na trakt wiodący do portu. Nie była to najkrótsza droga – szybciej dotarliby do celu przez ufortyfikowany most w północnej części miasta. Tamtejszy szlak prowadził bezpośrednio do Saint-Simeon. A tak musieli jechać po nierównych wertepach i zboczach, nim dotarli do nieco szerszego traktu dochodzącego do mostu.

Głupi jest – myślał z mściwą satysfakcją Tyberiusz Piąchulec. – *Bo po co tak, skoro tamtędy lepiej? Mostu przy porcie na pewno lepiej pilnują niż traktu. Nie przejdzie go tak łatwo. Toż łatwiej przelecieć po prostej drodze do celu.*

Belzebub jednak dobrze wiedział, w czym rzecz. Nim zdobyli miasto, poznał okolicę i drogi dojazdowe. Na głównym szlaku było zbyt wiele miejsc wymarzonych na zasadzkę.

Tam na pewno czekali Seldzucy, na otwartym polu, gotowi by uderzyć szeroką ławą, spychając rydwany do bagien. Po tej stronie mostu nikt się nie spodziewał ataku.

Wozy z chrzęstem toczyły się po kamienistej drodze, poganiane konie cicho parskwały, wypuszczając spod chrap białe obłoczki. Było zimno.

– Lipaj, na moście pusto! Nie może to być! – rzekł Nicetas, gdy dojeżdżali do przeprawy przez rzekę.

A jednak tak było. Rydwany przeleciały z turkotem na drugi brzeg. Naprzeciwko mieli już tylko Saint-Simeon.

– Co to znaczy? – mruknął Kalikst do Wielkiej Pięści. – Nikt przy zdrowych zmysłach nie odpuściłby takiego miejsca.

Powiedział to w złym momencie. Gdy oddział dojeżdżał do kolejnego zakrętu drogi, spomiędzy pobliskich wzgórz wyjechała seldzucka konnica.

– *Gamoto!* – zaklął Belzebub.

Teraz zrozumiał: to było jeszcze lepsze miejsce na zasadzkę niż most. Z lewej strony mieli rzekę, z prawej – łagodne stoki gór Amanos porośnięte karłowatymi drzewkami. Niewielkie cyprysy pozwalały skryć się zaczajonym jeźdźcom, jednak nie stanowiły przeszkody podczas ataku.

– *Alla! Alla! Alla!* – wyli Turcy, gnając z góry prosto na rydwany *Rhomaioi*. Z nieba posypał się rój strzał. Stalowe groty zabębniły na burtach wozów. Z miejsca padło kilka koni, kilku ludzi jęczało, umierając. Łucznicy mierzyli celnie.

– Stać! Z wozów! Kryć się! – komenderował Kalikst, jednak nikt nie baczył na jego słowa. Woźnice wpadli w panikę, każdy parł w swoją stronę, z rykiem popędzając konie. Jedni chcieli jechać dalej, by jak najszybciej przemknąć przez zasadzkę. Inni uznali, że lepiej zawrócić. Później było jeszcze gorzej. Dwa wozy zderzyły się pośrodku drogi, syfony z *igró pyr* bryznęły ogniem, sprowadzając na ziemię istne piekło. Płonąca maź chlusnęła na konie, zamieniając je w żywe pochodnie. W bitewnym pośpiechu nikt nie pomyślał, by przykryć zwierzęta kolczugami osłoniętymi warstwą mokrej skóry bydlęcej, jak zwykle się to czynić. Zdobywcze wierzchowce kilkoma szarpnięciami wyzwoliły się z uprzęży i z przejmującym wizgiem i rzeniem pognały na wszystkie strony świata, trając ludzi i wozy.

Grecki ogień spadł też na ludzi, ci jednak zawczasu osłonili ramiona i głowy skórzanymi płaszczami z kapturami. Wystarczył jeden ruch, by pozbyć się płonącej kapoty, palącej jak Herkulesowa koszula.

I cóż z tego, skoro zaraz spadły na nich strzały tureckich łuczników?! Dwóch dokończyło żywota na miejscu, dwóch innych, lekko rannych, kryło się pod szczątkami wozów. Reszta próbowała uciekać, lecz niewiele to dało. Seldzucka jazda wpadła na drogę, siekąc szablami wszystko, co się ruszało.

Kalikst ogarnął wzrokiem okolicę. Nie było szans, by przeć dalej, a dzicy wojownicy ze stepów zdawali się zlatywać ze wzgórz niczym lawina.

– Na most! Wracamy na most! – zakrzyknął.

To było jedyne miejsce, gdzie mogli jeszcze stawić opór. Zresztą bez rozkazu Belzebuba ci, co przeżyli i utrzymali swoje rydwany w ruchu, gnali właśnie w tamtą stronę. Dwa wozy potoczyły się drogą prosto do Antiochii, jednak reszta skręciła na prawo. Ci co przejechali za rzekę, jęli ustawiać zaporę z wozów, szepiając ich tyły. Lufy syfonów z *igró pyr* łypały złowrogo, czekając na turecki atak.

Nie wszystko więc było stracone. Kalikst kazał Nicetasowi dobić do reszty. Dryblas poganiał konie, kuląc się pod grotami strzał bębniącymi po deskach wozu.

Za nimi gnała dzika horda jeźdźców. I... Belzebub nie dowierzał własnym oczom – z tyłu toczył się też wóz Piąchulca. Co on tam robił?

– Wy tam! Szybciej – wrzasnął do niego. – Turki! Turki za wami! Na most.

Rydwan Tyberiusza przyspieszył i wkrótce znalazł się tuż za ich plecami. Jeszcze chwila i bezlitośnie chłostane batem konie wyciągnęły wóz dawnego *hekatontarchosa* w przód, zjeżdżając przy tym na skraj drogi. Obydwa zaprzęgi zrównały się.

– He, he... – zarechotał Nicetas. – Tym nie potrzeba zachęty! Rwą do tyłu, że im konie zaraz padną!

– Niech rwą. Przepuść ich! Niech jadą pierwsi – zakomenderował Belzebub i krzyknął do Tyberiusza: – Jazda przodem! Na most! I blokujcie jak tamci! Tylko dla nas przejazd!

Piąchulec kiwnął głową, zaraz jednak Kalikst dojrzał coś niepokojącego. Na twarzy starego żołnierza wykwitł chytry uśmieszek, w rękę pojawił się łuk. Z grotem strzały skierowanym w ich stronę.

– Co jest?! Co...?!

Gdyby nie pęd rydwanów i podskakujące koła, pocisk byłby celny – tak musnął tylko turban Muhammada. Ten zareagował błyskawicznie – wyszarpnął łuk z pokrowca, chwycił strzałę, nałożył na cięciwę...

Nie zdążył jej wypuścić.

Włócznia ciśnięta przez kompana Tyberiusza zwanego Hyginem Chytrusem przebiła mu pierś i wyrzuciła za burtę wozu. Muhammad nawet nie jęknął, z ciężkim łomotem spadł na pobocze drogi. Zaraz przykrył go kurz wyrzucany spod kół.

– Zabił! Zabił go! – jęknął Kalikst.

W tej samej chwili następna włócznia poleciała w jego stronę. Uskoczył w bok, ale i tak ciężki grot rozorał mu pierś, po czym wszedł głęboko w udo.

Belzebub zawył z bólu.

– Ty kurwi pomocie! Co ty myślałeś?! – krzyknął Piąchulec. – Że będziesz *hekatontarchosem*? Że będziesz rządził mną ty, byle łachmyta, syn kurwy i złodzieja? Że będziesz mnie miał na rozkazy? Mnie, starego wojaka?! To już koniec, rozumiesz?!

Trzeciej włóczni już nie mieli, toteż Hygin złapał za łuk i starannie wymierzył. Wypuścił strzałę. Kalikstem wstrząsnęło silne uderzenie w ramię, pociekła ciepła krew. Nie czuł już

bólu.

Nicetas też oberwał. Dostał w plecy i w lewe ramię. Mimo to wciąż poganiał konia, kierując rydwan w stronę mostu.

– Ha! Haa! Jazdaaa!

Obejrzał się na chwilę. Turcy w wyciem pędzili dwadzieścia kroków za nimi.

Tyberiusz uniósł koniec syfonu i skierował go na Kaliksta.

– Płoń, kurwi bękarcie! Zdychaj, szumowino!

To mówiąc, wypuścił z lufy strumień płonącej lawy, kierując rurę w przód, tak by pęd powietrza zepchnął *igró pyr* na głowę Belzebuba. Dobrze wymierzył. Rozpalona smuga galaretowatej substancji ze skwierczeniem zamieniła rydwan w pojazd samego diabła. Płonęły konie. Płonął wóz. Płonęli Nicetas i Kalikst.

– Ha, ha, ha! – zarżał dziko Piąchulec. – Pozdrów w piekle Belzebuba, Belzebubie!

– Do... rzeki... Nicetas! Kieruj do wody... – wyjąkał Kalikst. Gdy to mówił, poczuł jeszcze uderzenie stalowego grotu. Dostał w brzuch. Kolczuga pękła, jednak wstrzymała uderzenie. Ostrze weszło w ciało na trzy palce. Resztką sił wycharczał: – Do wody, ratuj nas...

Wielka Pięść już wcześniej zamierzał tak zrobić, nie miał jednak gdzie zjechać. Wzdłuż drogi rosły poskręcane cyprysy, pełno było dziur i skał. Wreszcie dojrzał prześwit. Szarpnął wodze, obracając zaprzęg na prawo. Płonący rydwan wpadł w pas wysuszonych krzaków. Gałęzie natychmiast zajęły się ogniem, odgradzając wóz od goniących ich Turków.

Od rzeki dzieliło ich pięćdziesiąt kroków kamienistej, porośniętej trawą ziemi. Gdyby przemknęli ten niewielki odcinek... Niestety, jedno z płonących zwierząt nie strzymało. Padło jak ścięte, waląc się z rumorem pod koła wozu. Nadpalona uprząż pękła, uwalniając drugiego z koni, a trzeci zahaczył kopytami o koła i dzikim kwikiem runął pod wóz.

Wtedy wybuchł syfon z *igró pyr*, który dotąd jakimś cudem wytrzymał gorąco.

Kalikst poczuł, jak liże go wielki jęzor wrzącej lawy, jak zdziera z niego skórzany płaszcz i resztki pękniętej kolczugi, jak pali mu włosy i skórę, a potem...

* * *

– Panie, twój zabójca, zabójca z przyszłości, nie żyje! Nic ci już nie grozi!

Roman IV Diogenes sieknął mieczem, odrąbując łeb kukle. Słomiany wiecheć osadzony na drągu i uformowany na kształt ludzkiej głowy poleciał pięć kroków w tył i opadł z cichym pacnięciem. *Basileus* zadał jeszcze kilka pozorowanych ciosów, wreszcie wbił ostrze w ziemię i obrócił się do Italosa.

– Doprawdy, filozofie? Masz pewność?

– Władco mój! Gdyby było inaczej, nie zawracałbym ci głowy. Nocny skrytobójca, którego widziałeś w wizji, którego ja widziałem w wizji, smaży się w piekle, a diabli każdego

ranka, w południe i po zmroku wbijają mu rozpalony puginał w serce jako karę za grzechy. Za te, które ma na sumieniu i za te, które chciał popełnić.

– Dopiero teraz? Tyle dni musiało przeminąć? Tyle czekania, by ta twoja gadzina zabiła chłystka w czarnym stroju? No, ale lepiej późno niż wcale. To miejsce doprowadza mnie do szału. Zobacz, filozofie, co robi z nudów autokrator, *basileus Rhomaión*, pogromca Seldżuków. Wali ćwiczebnym mieczem w drewnianą kukłę jak pierwszy lepszy rekrut, który nie poznał jeszcze smaku krwi. Więc powiadasz: martwy?

– Tak, panie! *Basiliskos* zrobił swoje. Tak jak zapowiadałem. Przed tą bestią nikt nie może ująć z życiem.

Prawdę mówiąc, Jan Italos nie miał bladego pojęcia, jakie były losy skrytobójcy i czy chodził po ziemi, czy też w rzeczy samej dokonał nędznego żywota. Nie miał pojęcia, jednak nie mógł już dłużej tego ciągnąć. *Italosie, czyżby twój potwór zgubił drogę? Nie wie, którędy do Antiochii?* – *Panie, trzeba okazać cierpliwość. Cesarz węży połknie lotrzyka niczym kurczaka na śniadanie.* – *Italosie, zaczynam nabierać podejrzeń, że kpisz ze mnie i wykorzystujesz mój szacunek dla ludzi nauki. Mam wrażenie, że twoja magia jest warta tyle co sierść wylinialej kozy.* – *Panie, mylisz się i wyciągasz pochopne wnioski. Jeszcze kilka dni i spostrzeżesz, że miał rację. Bestia rozszarpie twoich wrogów.* Ciągłe te same pytania i te same odpowiedzi – gdyby nie były coraz bardziej niebezpieczne dla reputacji i życia *Konsula Filozofów*, to zanudziłyby go na śmierć.

Codziennie mędrzec ze wstydem spuszczał wzrok coraz niżej. Władca patrzył nań z politowaniem, uśmiechał się dobrotliwie, z lekką kpina, jednak Italos czuł, że narasta w nim gniew, buzuje niczym lawa w trzewiach wulkanu i przyjdzie dzień, że eksploduje. Uczony czuł, że igra z ogniem, że stoi na skraju przepaści.

Dlatego też tego dnia postanowił przedstawić Diogenesowi dobrą nowinę. Mierzwiąc brodę, bezwiednie zasłaniał usta.

– Widziałem panie, widziałem, jak to było, a prawdę ukazał mi niebieski płomień. Opryszek ostrzył właśnie swój skrytobójczy nóż i polerował jego powierzchnię, patrząc na blask promieni słońca wędrujący po metalu. *Basiliskos* najpierw oderwał mu zdradzieckie ramię, to, którym miał zadać cios w twe serce. Później przygwoździł go swoim paraliżującym spojrzeniem, a gdy skrytobójca zeszywniał, bestia oderwała mu kłami drugie ramię, rozorała pazurami flaki, a na koniec jednym kłapinięciem paszczy zmiażdżyła głowę. Widziałem to, panie, i zapewniam, że z mordercy została jeno miazga. Nigdy już ci nie zagrozi.

Basileus rzekł tylko:

– To dobrze. To dobrze, mój filozofie.

Co tam, nie widziałem tego, ale inaczej być nie mogło – rozmyślał gorączkowo Italos. – *Człek z nożem, nawet najsprytniejszy opryszek, nie ma takiej mocy, by ubić cesarza węży. A że nie było wizji? A że nie wróciła bestia? Cóż, to w końcu dzikie stworzenie, któż wie, gdzie teraz się czai. Pewnie rozszarpuje wszystkich skrytobójców, jacy trafiają się po drodze.*

– Dobre są też wieści z Antiochii – powiedział władca. – Miasto obronione, oblężenie rozbite, port odzyskany. Co prawda moi pozostali wrogowie cudem uszli z tego z życiem, Komnen i ten normański najemnik. Ale nic to! Gdy dotrzemy do Antiochii, wydam im rozkaz, by szli dalej. Zdobywali następne miasta: Aleppo, Laodyceę... Aż wypłenimy seldżucką zarazę z Syrii i z Ziemi Świętej. I tak długo, aż oddadzą życie Bogu, walcząc za sprawę cesarstwa.

– Czy to znaczy, że wyruszamy?

– Dość już tkwienia tutaj, Italosie. Wojsko i lud przestanie mnie szanować, jeżeli osobiście nie zdobędę Syrii. A brak szacunku rodzi spiskowców i skrytobójców. Czas pokazać, kto tu jest panem.

ROZDZIAŁ 11

A potem otworzyło się przed nim piekło. Piekło było mokre i zimne, piekło było rzeką przetaczającą wody w mroczną otchłań. Piekło miało smak zakrzepłej krwi, spalonej skóry, czarnego piasku, żalu, bólu, rozpaczy.

Rozwarł szerzej oczy i usłyszał ten dźwięk. Ohydne mlaskanie i chrzęst łamanych kości. Nie chciał wiedzieć kto, a może co to było. Czym mlaskało, czyje kości łamało. Nie chciał tego widzieć, jednak duszny smród, który przemocą wdarł się do jego piersi, dźgnął zardzewiałą szpilą w mózg i nakazał podnieść oczy.

Znał ten fetor. Znał ten obmierzły zapach rybich trupów.

Znał czerwoną, kostropatą skórę bestii. Purrhos. Dwugłowy demon rwał na strzępy ludzkiego trupa. Z traskiem łamał żebra i miednicę, próbując niezgrabnymi łapami dostać się do wątroby.

Kalikst nie chciał dłużej czekać. O czymkolwiek roiała bestia, jakiegokolwiek miała zamiary, nie chciał jej dłużej widzieć, słyszeć i czuć. Odepchnął się od mokrego piasku, pozwalając, by porwał go czarny nurt rzeki.

* * *

Gdy się ocknął, był już ranek. Leżał z twarzą wtuloną w piersi kobiety. Zielonej od wielodniowego dryfowania w wodzie, bez oczu, włosów i jednej ręki. Jej pierś też nie była właściwie piersią, lecz gnijącą nabrzmiąłą purchawką. Trup cuchnął nie gorzej niż Purrhos.

Belzebub szarpnął się z obrzydzenia, zaraz jednak sparaliżował go ból ledwie zasklepiionych, a teraz znów otwartych ran. Wcześniej ich nie czuł, teraz odezwały się z podwójnym, poczwórnym pulsowaniem. Na udzie, ramieniu, brzuchu. Na całym ciele, spalonym jak mięso, które zbyt długo leżało na ruszcie. Poczul łomotanie w czaszce, na szczęście zemdlał, nim rozsadziło mu głowę.

Woda zniosła go bezwładnego na następną łachę. Tam również leżały trupy, jednako świeższe i mniej cuchnące, okryte kolczugami, oblepione błotem.

* * *

– A że czego?

– Ten to nie trup! Dycha jeszcze.

– Nie może to być. Patrzże no, toż on cały posiekany, truchło znaczy.

– Ale dycha!

– To, rozumisz, trupie gazy. Robacy, co gryzą trupa, jak się nażrą, to pierdzą. Zupełnie jak człek po misce bobu. Pierdzą i tam, gdzie wyżrą trupa, to się te ich gazy zbierają. Jak ruszysz takiego, to puf! Pierdy robaków ruszają truchłem, ale to nie znaczy, że on dycha.

– No ta! Kiedy ci mówię, głupoto. Nie gazy, tylko rusza gębą i powietrze wciąga, i wydychuje. Jak żywy. No sam popatrz!

– A dajże mi spokój! Co będę jakimś strupieszalym Saracenom na ryło się gapił? Dorżnij go!

– Ale to nie Saracen. To tak jakby cesarski.

– Znaczy z armii *basileusa*? Czekajże, no! Zara popatrzę na niego, tylko... temu tutaj... echh... ma dobrą szablę, Turczyn plugawy... echh... nie mogę, za sztywny, psi syn!

– Czekaj, pomogę. Nie tak trza! Prościej pierw odrąbać rękę. Znaczy samą dłoń. O tak. Jeb! I już.

– Ale żeś zrobił, durnoto! To tera jeszcze trudniej ściągnąć, bo nie ma za co ułapić. Co ja mam tera, zębami mu te paluchy oderwać?!

– Walnij w nie! Mocniej! No jeszcze! No i widzisz... Taka graba to same kości i skóra, to nie ma co trzymać.

– No, ale szablisko jak się patrzy! Saraceny ładnie potrafią wykuć ostrze. Zobacz, jaka brzytewka!

– Temu coś nie pomogła, psiemu synu.

– Bo to trzeba jeszcze bić się umić. Samo ostrze nie starczy.

– A z tym cesarskim co robim? W łeb czy jak?

– Weźmy go do wielebnego Zachariasza. On uradzi.

* * *

Wielebny Zachariasz wznosił dłonie do nieba. Na jego twarzy pojawił się wyraz nieopisanego szczęścia.

– Bóg wysłuchał naszych modlitw! Bóg chce, abyśmy szli dalej i krzewili prawdziwą wiarę jako prawdziwi synowie Jezusa Chrystusa, Pana Naszego! Mamy nowego *Strategosa* Boga!

– *Strategos... Strategos...* – rozległy się szepty.

Zakapturzone postaci – w dziurawych kolczugach, w pikowanych kubrakach, za dużych zbrojach, w łańcach niedobrych, pewnie skradzionych lub zwleczonych z trupów –

z nadzieją i niepokojem patrzyły na poranionego wojaka znalezionego na łasze pośrodku rzeki Orontes.

– Była przepowiednia – ciągnął Zachariasz. – *Gdy wody przybiorą barwę krwi, gdy zapłonie miasto, gdy staną naprzeciw siebie wielcy królowie, gdy ptacy będą żywić się oczyma trupów leżących w lasach i na polach, gdy szczęk krzyżowanych ostrzy będzie niósł się po górach i dolinach, wtedy nadejdzie Strategos. Znakiem jego będą żywioły. Ogień! Woda! Ziemia! Powietrze!* Powiadam! Oto zjawił się *Strategos* Boga, który poprowadzi nas ku chwale!

Jeden z zebranych, czarniawy brodac w pikowanym kaftanie, spod którego wystawała brudna, postrzępiona tunika, nie krył swojego niedowierzania. Oparł się na drzewcu maczugi i burknął:

– Znaczy gdzie te żywioły? Jaśniej praw, Zachariasz, bo od tych prorocstw we łbie się miesza.

– Żywioły! Cztery żywioły są i one znakiem *Strategosa* Boga!

Zarośnięty niedowiarek, a zwał się on Walentyn Kudłacz, sapnął ze zniecierpliwieniem:

– Ja tam żadnych żywiołów tu nie widzę. Gdzie one, pokażże!

Wielebny rzucił nań niechętnie spojrzenie przekrwionych ze zmęczenia oczu. Opuścił ramiona i roztrącając zebranych, podszedł do leżącego.

– Ogień! Skórę ma poparzoną, kubrak spalony, włosy spalone. Oto znak żywiołu ognia! Woda! Znalezionej został w wodzie, w rzece Orontes. Widać, że żywioł wody powstrzymał go przed śmiercią od żywiołu ognia! Patrzaj: ziemia! Woda zabrałaby go, ale znalezionej został na łasze, na ziemi pośród nurtu rzeki. Znać na nim ślady błota. To ziemia, która walczyła z żywiołem wody. I powietrze.

Zapadła cisza. Zachariasz uniósł twarz i potoczył triumfującym wzrokiem po zebranych. Jednak Kudłacz dalej sarkał:

– No co z tym powietrzem? Tu się twoja wyliczanka nie trzyma kupy, wielebny!

– Wiatr! Nie czujesz, jak wieje? Nie czujesz powietrza, które przewraca drzewa i wznieca na wodzie fale wysokie na pięć stóp? Od miesiąca powietrze stało, nawet tam, hen na morzu. W dniu, gdy znaleźliśmy *Strategosa* Boga, żywioł obudził się. Wzburzył rzekę, czyniąc fale i spychając jego nieprzytomne ciało na ziemię. Oto czwarty znak!

Rzeczywiście, od rana duł wicher, zupełnie inaczej niż w ostatnich dniach. Jednak niedowierzanie Walentyna udzieliło się też innym.

– Ano wieje, ale żywiołu ziemi nie pokonał. Wieje, ale czy bardziej niż każdego dnia? – gadali.

– Wodę pokonał.

– Wodę pokonała ziemia. Powietrze winno w takim razie teraz pokonać ziemię.

Wielebny Zachariasz uciął tę czczą gadaninę:

– Nie zawsze żywioły są przeciw sobie. Nieraz bywa, że wespół idą. Ogień nic by nie

znaczył, gdyby nie wiatr rozdmuchujący płomień. Woda z ziemią, czyli bagno, uśmierci nawet najsilniejszego konia, wciągając go w głąbie mułu. Temu sama woda ani sama ziemia, by podołała. Innym razem ogień, powietrze i ziemia idą razem na rozpalonej do żaru pustyni, gdy karawanę zabija burza piaskowa. Zatem powiadam: wszystkie cztery żywioły, jako głosi proroctwo, zwiastują nadejście nowego *Strategosa* Boga! Ja, Zachariasz Wielki, wielbny zakonu Braci Krzyżowych, potwierdzam i daję świadectwo! Nasza krucjata przeciwko Allaszej herezji podąża z Bożą pomocą do ostatecznego zwycięstwa.

* * *

Czuł się jak... Nie, to trudno opisać prostymi porównaniami. Daleki był od stanu błogości, ale też nie cierpiał tak, jak powinien człek ranion w trzech miejscach, w tym raz masywnym ostrzem włóczni. Na plecach, brzuchu, udzie i na ramieniu – tam gdzie dostał, czuł delikatne swędzenie, jakby muskanie trawki lub dotyk skrzydeł motyla. Jego ciało wolne było od bólu, jednak obrażenia, jakie odniósł podczas walki, w dwójnasób paliły mu duszę, a przynajmniej to, co z niej zostało.

– Wody?

Uniósł lekko głowę. Ramię otulał mu opatrunek z białej szmaty, długi zawój ciągnący się od łokcia aż po pachy. Taki sam dostrzegł na udzie, na brzuchu... Na piersiach i na plecach. Był okręcony materią jak umarły przed złożeniem do grobu.

– *Strategosie*, chcesz wody?

To było jego ciało, ale nijak nie pasowało do duszy. Dusza umierała. Dusza cierpiała. Cierpiała od ran, wstydu i poniżenia. Cierpiała od zdrady. *Płoń, kurwi bękaracie! Zdychaj, szumowino!* – słowa Piąchulca huczały mu w głowie niby dźwięk dzwonu w katedrze.

– Boski *Strategosie*, oto woda. Zechciej skosztować. Wielbny Zachariasz zalecił, byś pił wodę jak najczęściej.

Belzebub oderwał wzrok od białych zawojów. Przy nim stał mnich chudy jak tyka podtrzymująca winne grona. Odziany w prosty, wyszarzały habit. W ręku dzierżył gliniany kubek.

– Wina bym wolał.

– Nie lza wina. Woda. Wody kazał pić dużo nasz wielbny.

– A tyś kto?

– Jestem brat Rościsław. Z Rusi jestem.

– Gdzie ja? Co to za miejsce?

– W zamku Baghras. Nieopodal Antiochii.

– Wiem. Ale skąd...? Dlaczego?

– Znaleźliśmy cię, *Strategosie*.

– Że kto? Kto znalazł?

– No nasi ludzie. Naszli cię umierającego na stercie trupów. W rzece, na wyspie, broczącego krwią. Umierającego. Woda cię tam wyniosła, a ziemia zatrzymała, jak mówiło proroctwo. Wielebny Zachariasz siedm dni wcześniej wizję miał, w której obaczył, że nadejdiesz. Wszystko zgodziło się.

Kalikst opadł ciężko na posłanie. Dopiero teraz dostrzegł kolejny szczegół – spoczywał w szerokiej łożnicy z baldachimem niczym wielmoża, jak sam *basileus* w przestronnej komnacie ozdobionej na ścianach gobelinami. Podłogę wyścielał dywan w saraceńskie wzory.

– Wody, panie?

– Dajże spokój z tą wodą! Wina przynieś, bo przecie tego nie będę brał do ust. Woda to dla koni. Dla ludzi jest wino.

– Teraz dopiero ja wiżu, że słusznie prawisz, *Strategosie*. Wino ma przecie w sobie i wodę, bez której zginie każde boskie stworzenie, ma też substancję życiową, *spiritus*, ma też insze ingrediencje miłe dla człeka, poprawiające jego zdrowie i nastrój. Tak, niezwłocznie doniosę wina.

Gdy wrócił, Belzebub wychylił naraz pół dzbana. Od razu poczuł się lepiej. Ustał ból ran, który czuł w duszy. Ustało swędzenie ran na ciele. Szum w uszach ustąpił, powieki przestały ciążyć jak młyńskie kamienie.

– Dobra, mnichu czy kim ty tam jesteś...

– Zaiste, jestem mnichem. Moje imię to Rościsław.

– Tak, Rościsław. No więc, Rościsław, nawijaj. Co to za chryja? Dlaczego ja tu jestem? Kim jest Zachariasz i dlaczego mówisz do mnie *Strategos*.

Chudzielec w habicie ożywił się. W jego oczach zaślniły ogniki, na twarzy wykwitł rumieniec.

– Jesteśmy zakonem Braci Krzyżowych. Inaczej zwą nas krzyżowcami. Idziemy do Ziemi Świętej, by zgnieść Allahowe plugastwo, fałszywą religię heretyka Mahometa, dzikiego pastucha ze stepów. Idziemy, by wypalić ich ogniem, wyrznąć mieczem, a gdy ich krew wsiąknie w ziemię, odbudować Boże Królestwo. Wielebny Zachariasz, gdy tylko posłyszał, że *basileus* Roman idzie na Seldżuków, padł krzyżem w bazylice Hagia Sophia i siedem dni modlił się do Pana Boga. Na siódmy dzień Pan przysłał swego anioła, a też rzekł: *Zbierz ludzi, wszystkich dobrych chrześcijan, biednych i bogatych, niskiego stanu i wysokiego, zawołaj ich i każ iść na bój do Ziemi Świętej. Albowiem nie zazna spokoju w raju nikt, którego strach odwiedzie od szlachetnej walki w imię Jezusa Chrystusa*. Jesteśmy ubodzy, skromni i prawi. Nie oddamy Saracenom najmniejszego spłachetka ziemi.

– Wielu was? – zapytał Kalikst, z trudem powstrzymując się od śmiechu. Tak, istotnie, ta zbieranina nie odda Seldżukom ani spłachetka ziemi. Seldżucy akurat będą ich pytać!

– Z Konstantynopola wyruszyło nas dziesięć tysięcy. Boży lud ze wszystkich zakątków cesarstwa, także z Rusi, z Italii, z ziem Franków, nawet z Germanii. W drodze dołączały do nas dalsze szeregi wiernych. Teraz jest nas dwadzieścia tysięcy.

– To więcej niż ma armia Komnena...

– Rycerze Aleksego Komnena poszli już na Aleppo. My zaś ubiegniemy ich i *basileusa*.

– *Basileusa*? A gdzie jest *basileus*, mówże, mnichu!

– Wielki władca z Konstantynopola idzie już przez przełęcz w górach Amanos. Idzie na Antiochię. Zanim nadejdzie, my pójdziemy na Ma'arrat.

Belzebub chciwie pociągnął kilka głębokich łyków wina.

– Dwadzieścia tysięcy... To straszna siła. I gdzie oni teraz?

– W Antiochii, a gdzieżby? Odkąd Komnen odszedł na Aleppo, my zdobywamy miasto.

– Zdobywacie? Jakże to?

– Spójrz, *Strategosie*. Wyjrzyj przez okno.

Z wysiłkiem ruszył się z łoża i przeszedł przez pokój. Nie czuł bólu, jednak widać brakowało mu sił. Opadł na parapet. Miasta nie było stąd widać, przysłaniały je okoliczne wzgórza porośnięte cyprysami. Jednak czarny słup dymu idący aż po samo niebo dokładnie wskazywał, gdzie leży Antiochia.

– Zdobywacie...

– Pienimy plugastwo. Ogniem wypalamy zarazę heretycką, Allaszą, bijem niewiernych. Tak jak kazał nam Jezus Chrystus, przysyłając swego anioła do wielbnego Zachariasza. A gdy odzyskamy Antiochię, trzeba będzie bronić innych miast przed upadkiem w herezję. A ty, *Strategosie*, poprowadzisz nas do zwycięstw.

– Ja *Strategosem*?

– Tak, *Strategosem* Boga. Jezus Chrystus wskazał cię, byś szedł na czele Braci Krzyżowych, prowadząc krucjatę. Wielbny Zachariasz miał widzenie. Gdy cię znaleźli, kazał cię tu przynieść i opatrzyć. Uzdrowił cię, opatrując ci rany śliną aniołów. Inaczej byś nie wyżył. Pełne siły wrócą ci za dwa, trzy dni.

– Daj no mi jeszcze wina, to zaraz mi wrócą. *Strategos* Boga, powiadasz...

* * *

Nazajutrz Kalikst poczuł się na tyle dobrze, że nie bacząc na biadolenie Rościsława, kazał sobie przynieść czyste odzienie, broń i osiodłać konia. Mnich zniknął na dłuższą chwilę. Wrócił, niosąc czarną riasę, skórzany kubrak i zdobny hełm stożkowy z kolczugą na bokach. Wszystko niedobrane, jakby zdarte z trzech trupów.

– Tą kleszą szmatę zabieraj! I przynieś mi tunikę. Krótką! I portki jakies – rzekł Belzebub, odrzucając czarny strój.

– Wszyscy chodzimy tak odziani. Zakonni jesteśmy, a nie dworscy strojnisi. Umiar i cichość. Oto nasze zasady.

– Co ty gadasz, starcze?! Czy ja wyglądam na dworskiego strojnisia? Przecie nie będę laził jak klecha. Zaraz się zaplączę w tę sukienkę i już po mnie! Nuże! Dawaj coś

żołnierskiego. Portki dawaj!

Rościsław bez słowa wyszedł z komnaty. Tym razem uwinął się w try miga. W garści trzymał strój najwyraźniej zdarty z jakiegoś Saracena. Jeszcze znać było rude plamy krwi. Jednak Kalikst nie narzekał. Odział się i sięgnął po szablę.

– Moja! To dobrze! Lubię ją!

– Ścisłałeś ją, panie, jakbyś się z nią zroś!

– A konia jakiegoś dostanę?

Mnich powiódł go na dół, gdzie inny z krzyżowców czekał już nań z białym arabem, z siodłem jak dla *basileusa*: czerwoną skórę przetykały złote nici.

– He, he – zaśmiał się bezwiednie Kalikst. Wyglądało na to, że mnisi-głupole traktowali go jak swojego władcę.

Wskoczył na grzbiet wierzchowca i niezatrzymywany przez nikogo pognął w stronę Antiochii.

Strażnicy przy bramie doprowadzili go do Zachariasza. Starzec zajmował miejsce w biesiadnej sali cesarskiego pałacu, nieco zrujnowanego i splądrowanego jeszcze podczas pierwszej bitwy o Antiochię. Siedział przy stole, żłowiąc wino z wielkiego dzbana, a przed nim na srebrnej paterze leżał barani udziec.

– Umiar i cichość – mruknął Belzebub.

Wielebny przywitał go z przesadną wylewnością.

– *Strategosie!* Więc jużes doszedł do sił! Bóg ma cię w opiece, to widać. Nikt inny nie wstałby tak szybko. Zajmij miejsce i posil się!

Kalikst ciężko klapnął na końcu stołu – tam gdzie zwykli siadać suwereni – i chwycił naczynie z trunkiem. Pił tak długo, aż ukazało się dno.

Zachariasz tylko kiwał głową z życzliwością. Obok niego siedział Walentyn Kudłacz z brodą umazaną tłuszczem oraz wygolony na łyso oprych z nosem jak kartofel.

– To Fabian Sycylijczyk – przedstawił go wielebny. – Będzie twoim przybocznym razem z Kudłaczem. To teraz twoi ludzie, *Strategosie*.

Drab z pijackim kinolem uśmiechnął się szelmowsko i pokiwał głową. Kudłacz wznosił dzban do góry i głosem zdradzającym nadmiar trunku we krwi wybełkotał:

– Twe zdrowie pijem, wodzu!

To mi się podoba – pomyślał Kalikst. – *Lepiej niż w Konstantynopolu. Ziomki są, jest heca, będzie dobrze.* Starzec postanowił rozwiać jego wątpliwości:

– Zdobyliśmy Antiochię. Tak, my zdobyliśmy, bo wielmoże *basileusa* niby w mieście byli, ale nie potrafili zaprowadzić tu porządku. Spójrz po murach, *Strategosie*. Zobaczysz trupy Turczynów, psubratów Allasznych, których ukaralim za głoszenie plugawej wiary. Żaden Saracen się nie uchował. Zawisli wszyscy, a kto nie zawisł, tego spalilim. Cytadela także poszła z dymem. Tam były jakieś Turki, aleśmy ich wyrznęli. Syryjczyków też, bo to zdrajcy i tchórze. No, chyba że się do nas przyłączyli, przysięgając wierność. I Armeńczyków żeśmy

wyrznęli, bo to naród chytry i podstępny. Teraz miasto jest nasze. Zatem, *Strategosie*, czekamy dalszych rozkazów. Czy mamy tutaj, w Antiochii, się obwarować i tu mieć swoje królestwo? Czy iść dalej, zdobywać kolejne grody na chwałę Pana?

– A gdzie wojska *basileusa*? – zapytał Kalikst. – Gdzie oddziały Komnena i normańscy najemnicy? Przecie oni tu byli.

– Poszli dalej, jak nas obaczyli. Miasto oddali, gadając, że i tak tu zaraz przyjdzie Diogenes i zrobi z nami porządek. Poszli dalej, na Aleppo. Tam teraz toczą krew. Chociaż tutaj nie zrobili jeszcze porządku. Dopiero my, krzyżowcy, pokazaliśmy, jak ma być.

Belzebub przeżuł mięsiwo i skinął, żeby mu donieśli wina.

– Jeżeli mnie pytacie... – zamyślił się – to już mam dość tego miasta. Żem tu spędził długie miesiące i powiem wam, że nic tak mnie nie mierzi, jak widok murów Antiochii. To miasto kojarzy mi się z głodem, nędzą i brakiem nadziei. Tu już nic nie ma. Jeno pogorzelisko i trupy.

– Dobrze prawi *Strategos*! – ryknął Walentyn Kudłacz. – Złota nie ma, miasto złupione, trza nam dalej!

– Czyli Aleppo? – Kalikst nagle poczuł ogarniającą go błogość. Po miesiącach głodówki baranina i wino zamroczyły go niemal natychmiast.

– W Aleppo cesarscy, *Strategosie* – tłumaczył Fabian. – Lepiej nam iść na południe, do Ma'arrat. To wielka twierdza. Jak ja zdobędziemy, zyskamy panowanie nad całą Syrią. A wtedy już żadne miasto nam się nie oprze.

Belzebub wspomniął głupią gębę zdrajcy Piąchulca. Jego pogardliwy rechot, gdy wysyłał go na śmierć. Kpinę w głosie i oczach, ten triumf i radość, że jego znów na wierzchu. Nie! Tego nie można było puścić płazem! Nie, nie, nie! I jeszcze raz nie!

– To idziemy na Aleppo – zdecydował Kalikst. – Za cesarskimi.

– Ale powiadają, że Ma'arrat...

– Głupis! Ma'arrat to solidna twierdza, bez machin oblężniczych jej nie zdobędziemy! Wyginie wielu naszych, a... a Pan Nasz nie chce przecie, aby dobrzy chrześcijanie ginęli na próżno! Lepiej podążać w ślad za zbrojnymi Komnena. Posłużymy się nimi jak narzędziem. Oni w gruz obrócą mury, wyłamią kraty i stępią zęby seldzuckiej hydry. My, idąc za nimi, dobijemy ją! Zadamy jej śmiertelny cios, sami nie roniąc ni kropli krwi! A potem zajmiemy miasto. Wszystkie skarby Aleppo będą nasze, zagarniemy je, nim *basileusowi* wojacy zdążą cokolwiek tknąć.

Wielebny podrapał się po skroni. Sapał, z wyraźnym wysiłkiem roztrząsając to, co rzekł *Strategos*.

– Dobrze gada! – zawyrokował w końcu. – Po co mamy marnować naszych! Znać, że przepowiednia się nie myliła. Oto wódz, jak się patrzy! Wie, jak dużo zdobyć, niewiele tracąc!

W tej chwili z hukiem rozwarły się drzwi. Wbiegło dwóch krzyżowców, prowadząc na

postronku Saracena. Musiał być to ktoś znaczny: turban miał biały, a na nim lśniący klejnot. Jego kolczuga lśniła brązem i złotem. Na nogach nosił buty z pięknej skóry zdobione srebrną nicią.

– Patrzcie go, jaki cudak! – wrzasnął Kudłacz. – Toż to ani chybi sam sułtan!

– Okup będzie, kupa złota! – krzyknął radośnie Sycylińczyk.

Draby podskoczyły do jeńca i jęły go szarpać za brodę.

– Mówże! Coś za jeden?!

– Saraceński król!

– Cesarz Seldżuków!

– Chodźta mu brodę urżniem! Razem z łbem!

– A później nabijemy na szpicę i będzie straszyl wrony!

Wtedy wstał Zachariasz i powiedział:

– Zaraz, zaraz! Nie tak szybko. Weźmiem go na męki, niech śpiewa, gdzie Seldżuki, gdzie Saraceny, jakie siły mają i co knują. A skąd on tu?

– Krył się w cytadeli – wyjaśnił jeden z mnichów. – W podziemiach jak szczur. Tam jeno śmieci były i puste beczki. Znać, że chciał przeczekać. Byśmy wyszli z miasta, a on myk! I tyle byśmy go widzieli! Do swoich by uciek!

Wielebny zatarł ręce z radości.

– Wybornie! Zaraz go damy na męki, powie nam, gdzie iść. Gdzie słabsze siły. W Laodycei czy może w Ma'arrat. Trze mu będzie dupę przypiec, to zdradzi swych kompanów w jeden pacierz.

Kalikst chlapnął do dna potężny haust wina, odsunął z hukiem ławę i burknął:

– Jaka Laodycea? Jakie Ma'arrat? Rzekłem przecie! I postanowiłem, a ja jestem *Strategosem*! Aleppo! Idziemy tam, gdzie Komnen i jego banda! Za nimi idziem!

Wino szumiało mu w głowie. Trunek oraz sute jadło, jakiego dawno nie miał w ustach, pobudziło jego zmysły i ożywiło skrytego demona.

– Nie! Nie będzie żadnych tam. Żadnych, mówię, odpytywań i jakichś tam okupów! Co mi tam złoto?! Sami przecie gadacie, że jesteście bracia ubodzy i cisi. I że służba Bogu, zwalczanie herezji i Allaszej religii to wasze... hep... nasze, powołanie i psi obowiązek, i powinność.

Przerwał na dwa łyki i prawil dalej:

– Kto nie doświadczył głodu, kto nie znał udręki, nie mając w ustach wina i mięsiwa smakowitego, nie wie, co jest ważne w życiu. Na nic błyskotki, na nic drogocenne klejnoty! Doczesne bogactwo nic nie znaczy, bo po nim zostaje jeno pył i nicość. Nijakiego też nie będzie pożytku ze słów heretyka, Mahometowego dzikusy, co ze stepów przybył i ogłupił lud. Tak samo będzie ogłupiał was ten oto tu Saracen.

Krzyżowcy ucichli. Patrzyli po sobie zdeorientowani, wzruszając ramionami. Wreszcie nieśmiało odezwał się Zachariasz:

– Prawdę rzekł *Strategos*! Widać, że Bóg przemawia jego ustami. Nie myliła się przepowiednia. To święty człek! I nas, grzesznych, na dobrą drogę prowadzi i wskaże, co słuszne, a co grzechem jest!

Po tych słowach nikt się nie odezwał. Belzebub rwał zębami mięsiwo, rozglądając się za chlebem i oliwkami do przegryzki. Mlaskał ukontentowany, w końcu wytarł palce w kubrak.

– Znaczy, co ma być? – przerwał milczenie Fabian. – Co z tym panicykiem z Saracenów?

– Jak co? Zaraz ci pokażę!

To mówiąc, Kalikst skoczył ku jeńcowi. Dobył szabli, uniósł ją do góry i krzyknął:

– Jak ciachnę raz go przez łeb, to przetnę na pół?

– Tak od razu? Znaczy jednym walnięciem?

– Nie da rady. Nie ma takiej siły.

Natura łotrów natychmiast podszeptała im szybkie odpowiedzi, choć nie zastanowili się na sensie tego, co gadają. Dopiero po chwili... Dłuższej chwili...

– Eee, znaczy co? Ubić go mamy?

Zamiast odpowiedzieć, Belzebub skoczył na stół, roztrącając misy i dzbany. Połało się wino, bryzgając na biesiadników. Resztki mięsiwa prysły na twarze krzyżowców.

– *Skata!* – zaklął któryś po grecku, choć z facjaty był to raczej Rus czy inny Słowianin. – No co to ma być?!

Ucichł szybko, widząc, że Kalikst podnosi swą szablę. Całkowicie zaniemówił, gdy ich nowy *Strategos* wybił się w górę, skacząc na Saracena.

A później...

A później patrzyli z rozdziawionymi gębami, jak jednym uderzeniem rozcina strojnego wyznawcę Allaha od łba po pachwinę. Rozkrojony niczym wół w rzeźni Saracen, a może Seldżuk, kto go tam wie, padł rozplątany na dwa krwawe strzępy. Krew chlusnęła na podłogę, rozlewając się w wielką kałużę.

Walentyn splunął i pokręcił głową z niedowierzaniem.

– Na rany Jezusa Chrystusa, Pana Naszego! Takiego czegoś to żem jeszcze nie widział! To jest coś, *Strategos*!

– No przecie... – westchnął Fabian. – Ty byś tak, Kudłacz, nie umiał. Nie? Tak jednym cięciem... Ciach! I już mamy dwóch sułtanów, he, he...

– A ty byś potrafił?! Akurat... Łba byś mu nawet za jednym razem nie odciął.

Tę próżną gadaninę uciął Zachariasz:

– Pan nam daje nowy znak, że oto nadszedł nasz *Strategos* Boga! Zatem idziem na Aleppo!

– Na Aleppo! – zakrzyknęli chórem krzyżowcy.

* * *

Rankiem wyruszyli w dalszą drogę. Najpierw zwiadowcy na rączych koniach z Arabii. Kalikst, korzystając z pełni władzy, posłał ich w ślad za wojskiem Komnena. Później uformował jeszcze trzy grupy szpiegów. Jedna poszła ku góróm, w stronę przełęczy, z której miał nadejść *basileus*. Drugiej nakazał jechać do portu Saint-Simeon. Słuchać, co gadają tamtejsi, kto przy pływa, a kto wypływa. Trzeci oddział ruszył na południe, by śledzić ruchy hord Seldżuków. Czy szykują się do kolejnych bitew? A może uchodzą, zostawiając puste miasta?

Dopiero po opuszczeniu Antiochii Belzebub zrozumiał, jak wielką armią przyszło mu dowodzić. Krzyżowcy odziani w złachane habity i postrzępione riasy, okryci zdartymi z trupów kolczugami, kaftanami i zbrojami zalewali całą dolinę rzeki Ororites. Kolejne szeregi zakonników ciągnęły się aż po horyzont, nawet gdy miasto znikło już z oczu.

A jacy oni tam zakonnicy?! – myślał z drwiną Kalikst. – Banda, oprychy, szumowiny! Plugawe zabijaki, zbóje i złodzieje jako ci, którymi dowodziłem. Ubrali się w suknie świętych, belkoczę o Bogu i Chrystusie, bredzą o swej misji, a naprawdę to tylko jedno im w głowie... Gardła podrzynać, dziewczki gwałcić i brać łupy. A po sobie pozostawić tylko zgliszcza, płonące ruiny i siwy dym... I za to ich lubię!

Zaśmiał się do swoich myśli. Iść na czele takiej hałastry to najlepsze, co mogło mu skapnąć z nieba.

– *Hekatontarchos*, he, he – mruknął pod nosem. – A ja żem myślał, że to już wyżej nie da rady wejść. A tu proszę... *Strategos* Boga... Ha, ha, ha! Tośmy teraz z Komnenem jak kamraty...

Rechotał upojony szczęściem i winem pociągany z bukłaka, który zdawał się nie mieć dna, jakby Pan Nasz po raz wtóry powtórzył cud z Kany Galilejskiej.

* * *

Obudził go smród ryb i głośnie mlaskanie. Otworzył oczy.

Nad sobą obaczył ohydny mordę Purrhosa. Dwugłowy demon pluł cuchnącą pianą niczym wściekły pies. Lewą łapę czy rękę, jak to zwać, oparł na piersi Kaliksta. Prawą położył na jego gardle, jakby chciał pokazać, że gdy zechce – zadusi go jednym ruchem.

Obydwa łby wisiały tuż nad czołem Belzebuba. Ten z paszczą ział smrodem. Ten z oczami świdrował go wzrokiem.

Kalikst szarpnął się, by zrzucić z siebie obrzydłe członki demona. Na nic. Czerwona bestia trzymała mocno.

– Dhhh... Ghhh – wycharczała.

Pomocy! Weźcie tę ohydę ze mnie! Zatłuczcie to!

Tak pomyślał, ale nie mógł wydobyć głosu. Popatrzył na boki. Strażnicy przed namiotem

najwyraźniej spali schlani wywleczonym nie wiedzieć skąd winem.

– Phom... Phomm – wystękał tylko, jednak zaraz Purrhos zdusił jego słowa.

– Dhh... – odpowiedział mu demon. – Dhjo... Dhjoog... Dhjooo-gee-eenhes!

Diogenes! – zrozumiał Kalikst. – *To potrafi mówić? Ten obmierzły stwór gada!*

– Dhjooo-geenhes – charczała mu nad głową bestia. – Zhaaa... Zhaaa... Zhaaa...

Tego słowa czerwony potwór już nie umiał wymówić.

– Zhabić – wyskrzeczwał za niego Belzebub. – Zabić! Zabić Diogenesa!

– Zhabić! – potwierdził Purrhos i splunął na twarz Kaliksta żółtą flegmą.

A potem zniknął w mroku. Tylko smród pozostał.

– Miałem zabić Diogenesa – szeptał Belzebub. Kręciło mu się w głowie. – Pan mój kazał mi zatopić pugińał w sercu uzurpatora. I wydobyć jego krew. Zabić! Krew!

Powtarzał te słowa, trzęsąc się z zimna.

– Zabić *basileusa*... Zabić... – bełkotał, jakby się szaleju najadł.

Nie mógł już zasnąć do brzasku, dręcząc się myślą, że jego pan nie okaże ani krzty litości. Nie będzie miał zrozumienia dla niepokornego sługi.

I choć gdzieś tam, w zakamarkach jego postrzępionej duszy odezwał się cichy głos szepczący: *Nie masz pana nad sobą, sam jesteś sobie władcą, królem, basileusem, nie musisz słuchać szalonego starca*, to zaraz przyszło otrzeźwienie.

– Gdy tylko dopadnę uzurpatora, mam zatopić w jego sercu pugińał – wymamrotał w otępieniu. – Jest to specjalny nóż. Wewnątrz ostrza ma kanalik połączony ze zbiorniczkiem w rękojeści. Gdy wbiję pugińał w serce Diogenesa...

Wciąż snujący się w powietrzu fetor demona odebrał mu dech. Pozostały tylko niespokojne myśli.

ROZDZIAŁ 12

– Krzyżowcy, powiadasz? – Roman Diogenes wałnął pięścią w stół. Puchar z winem zatrząsł się, rozlewając kilka kropli trunku na mapę. – A co to za jedni?

– Dicz z Zachodu, panie. – Józef Tarchaneiotes starł rękawem płamę z pergaminu i stuknął palcem, pokazując Aleppo. – Są teraz tu! Weszli do miasta, gdy tylko nasze wojska ruszyły na Ma'arrat. Mordują bez litości, nawet starców i dzieci, kobiety gwałcą, a potem zarzynają. Mężczyzn nabijają na pale, obdzierają żywcem ze skóry lub rozdzierają na strzępy końmi dla uciechy.

– Jakże to? Przecież seldzuckich obrońców Aleppo ludzie Komnena wycięli w pień! Kto tam się mógł ostać?

– Widać nie robi im różnicy, czy kto do Boga się modli, czy do bałwana saraceńskiego, Allaha. Cóż się dziwić? To zbieranina najgorszych szumowin z całej Europy. Z Italii, z ziem Franków, nawet z Rusi. No i ze wszystkich zakątków Cesarstwa. Zwą się zakonem Braci Krzyżowych lub krzyżowcami, jakby śluby boże poczynili, jednak to zwykli zbóje i rzezimieszki.

– Ha! To jak banda, którą prowadzi na przedzie Komnen. A wielu ich? Jakie mają uzbrojenie?

Tarchaneiotes oderwał wzrok od mapy i zaczął przechadzać się wokół stołu.

– Są słabo uzbrojeni – rzekł. – To znaczy mają to, co znajdą po drodze, co złupią i ukradną. Ale siła ich, powiadają, że nawet dwie dziesiątki tysięcy ich ciągną. Giną jak gzy, ale zaraz nowi do nich dochodzą. Nie wiedzieć skąd i jakim psim zmysłem. Jakby cała Europa pozbywała się swego najplugawszego robactwa.

– A dowódca? Kto nimi kieruje?

– Zwą go *Strategosem* Boga, iście po naszymu. Ale kto zacz i jakie ma zamiary, to nikt nie wie. Wysłałem do Aleppo swoich szpiegów, ale jeszcze nie wrócili i wiem tyle, co ludzie gadają. Jedno jest pewne: nie są groźni dla nas.

Basileus podniósł ze stołu miecz, który dociskał brzegi mapy i patrzył długo na błyski kaganków pelzające po ostrzu.

– Że nie są groźni, to oczywiste. Uzbrojona w kije hałastra nie może się równać z najlepszymi wojskami Cesarstwa Rzymskiego. Pytanie: czy my możemy tę dich okiełznać

i użyć do swoich celów?

Władca oderwał wzrok od klingi i spojrział na swego generała. Wyraz jego twarzy wystarczył za odpowiedź.

– W takim razie, póki trwa wojna, niech robią, co chcą – zdecydował Diogenes. – Gdy wybijemy Seldżuków, rozgonię tę bandę na cztery wiatry, a prowodyrów każę stracić. Krzyżowcy... Dobrze sobie!

* * *

– Krzyżowcy? Czy jak tam gadasz o nich? – Nicetas Wielka Pięść z wysiłkiem sięgnął do michy z mięsem. Syknął z bólu: rana na plecach wciąż się jątrzyła. Złapał ociekający tłuszczem udziec barani i wbił w niego zęby.

Wit Wodnik popijał tylko wino. Przytaknął:

– Ano krzyżowcy. Naszło się wiary z Zachodu i zewsząd. Wodzów nad sobą nie mają, tylko gwałcą, mordują i rabują. Wolni są. Korzystają z życia.

– Mhmmm – mruknął z pełną gębą dryblas. – A to blatnie. Czyli kiedy? Dziś w nocy?

– Nie, musisz się jeszcze wykurować. Przecie ty ledwo mięcho w łapie trzymasz. Myślisz, że co? Że nie widać, jak krzywisz gębę z bólu? Że nie słychać, jak syczysz, gdy cię kto lekko tylko w ramię klepnie? Ty się, chłopie, nie łap za nic cięższego niż ten udziec i dzban wina.

– My się już tym zajmiemy – poparł brata Waldemar Jałmużnik. – Ty se tu tylko żryj żarełko, chleję winko, siedź wygodnie, a my se damy radę z resztą.

Nicetas popatrzył nań jak na wiejskiego przygłupa, nie okazując jednak ani cienia złości. Otarł tłuszcz ciekący po brodzie i rzekł:

– Co ty mi tu, *koproskilo*, wciskasz za bzdury? Myślisz, że co? Żem ja baba, co pod pierzyną dupę będzie grzać i patrzeć, jak inni robią dobrą robotę? Powiem wam coś, ryże przygłupy. Teraz jest ostatnia chwila. *Basileus* rozłożył nieopodal obóz, pół dnia drogi od naszego. Rychło ruszymy, by zdobywać Laodyceę. Pierw my, za nami władca. *Strategosi* Diogenesa wejdą nam na głowę i diabeł jeno wie, gdzie nas pošlą i co nam każą. A może pozbyć się będą chcieli? Wtrącą do lochów albo w niewolę oddadzą Saracenom jako okup za jakiegoś dupowatego paniczka, co miecz by chciał za ostrze chwytać, bo nawet nie wie, gdzie rękojeść. Co teraz będzie, to nikt nie wie. Niepewny jest nasz los i jak mamy to zrobić, to teraz, nie ma co czekać.

Oderwał zębami wielki kawał mięsa i żując, z pełnymi ustami zakończył swoją tyradę:

– Oczywiście pozwolę wam zająć się robotą, a co tam! Tylko róbcie tak, żebym ja mógł to wszystko zakończyć po mojemu. Ale nic beze mnie, ryże przygłupy!

Wodnik wetknął palec do nosa. Dłubał w nim zawzięcie, rozmyślając z widocznym wysiłkiem.

– Ano dobra, niech tam ci będzie. My będziemy twoimi rękami. Masz łapy słabe jeszcze, to my ci naszych użyjemy.

Waldemar wszedł mu w słowo:

– Idzie o to, że masz dziurę w plerach, ranę nad łokciem, a do tego mordę poparzoną, jakby cię na ruszt zamiast prosiaka wzięli. Kozika do patroszenia ryb nie potrafisz chwycić, to nie strugaj herosa. Nie mówię już nic o tym kulasiu szpotawym, co ci się jeszcze nie zrosł.

Dryblas nie dał się przekonać.

– Ano mam gębę poparzoną i dziurę w plecach. Więc dlatego muszę to być ja, a nie ty i brat. Wy możecie, owszem, trochę pomóc, ale przecie sami gównem zrobicie. Jedną łapę mam obolałą, ale drugą sprawną i ta jedna jest jak was dwóch razem wziętych, ryże kurduple!

Jałmużnik splunął pod nogi i machnął ręką.

– Jak tam sobie chcesz. Ale jak cię połamię do cna, to my nie będziemy czekać. Krzyżowcy też nie będą się oglądać na takiego tępego ćwoka jak ty.

– Aaa, braciszku krzyżowi... – zamruczał Wielka Pięść, puszczając mimo uszu przytyki Żmudzina. – Coraz bardziej mi to podchodzi. Bo tutaj, mówię ja wam, będzie tak, że się żyć w ogóle nie da.

* * *

Wieczorem rozpoczęli przygotowania. Najpierw ryży bracia poszli za obóz, z trudem przekonując Nicetasa, by został. Nie tylko z powodu ran. Tak wielkie chłopisko po prostu zbyt zwracało na siebie uwagę.

Wit z Waldemarem chwilę kręcili się po obozie, zagadując do siedzących przy ogniskach wojaków. Tu wypili kilka łyków wina, tam uszczknęli trochę mięsiwa z rożna, temu coś rzekli, z innym pożartowali i nagle znikli w mroku.

Wyłonili się z niego po drugiej stronie obozowiska, tam gdzie stali ponurzy *klibanophoroi*. Uzbrojeni po uszy strażnicy pilnowali niewielkiego wgłębienia w skale obudowanego drągami i osłoniętego grubym płótnem żaglowym.

Żmudzini przekradli się w pobliże wnęki i przywarli do ziemi. Obserwowali okolicę.

– Widzisz jakiegoś? – szepnął Waldemar.

– Jednego. Tam jest, o widzisz, ten cień. Gdzieś jeszcze drugi być musi, wczoraj ich dwóch tu było. No i trzeci dalej.

– To ilu w końcu?

– Trzech.

– Ale teraz widzisz dwóch?

– Nie, teraz to jednego.

– *Gamoto!* Z tobą tak zawsze! Idziemy i kończymy ich.

– Czeka! A mleko?

– Ano tak. Dawaj.

Wodnik sięgnął do zawiniątka przytroczonego do pasa. Odwinął skórzany zwój, wyciągając z niego cztery strzałki z mlekiem czarownic. Dwie podał bratu.

– Wiesz, ile chodzenia było za tym? Saraceny naszego dekoktu nie znają. Ani Syryjczyki. No ale trafiłem takiego jednego kupca z Laodycei. Antymos go zwał. Gada, że go ta wojna zrujnowała i nie idzie normalny handel. To się zabrał za towar, którego próżno szukać na straganach Konstantynopola. Mleko czarownic, trucizny, nawet *al-haszisz*, co go Saraceny zjadają, żeby do walki mieć większy zapas. Trzyma się z dala od bitew, ale teraz jest tu w takiej wiosce niedaleko. Broń też ma niezgorszą, lepszą niż to, co można na Turkach zdobyć...

– Óóó... Zawrzyj mordę! Co mnie jakiś handlarz obchodzi?! Trzymaj strzałki i idziemy!

Zakradli się bliżej składziku. Stali poza kręgiem mdłego światła rzucanego przez pochodnię zatkniętą na drągu. Obserwowali.

– Ty bierz tego tutaj. Ja tamtego.

– A ten trzeci?

– Strzałek może nie starczyć.

– To trzeba go będzie uciszyć inszym sposobem.

Na ich szczęście zbrojni padli po małej dawce mleka czarownic, która zwykle nie wystarczała na dorosłego chłopca. Albo towar, którym handlował Antymos, był lepszej jakości niż w stolicy, albo kupiec nie wiedział, że dekokał łatwo rozrzedzić zwykłym kozim mlekiem.

Dość, że strażnikom wystarczyło po jednej strzałce. Usnęli cicho jak dziecięta i nim narobili rumoru, waląc się z całym okrywającym ich żelastwem na plecy, Żmudzini uciszyli trzeciego.

Wpadli do składziku, nie dbając już o pozory. Mieli przy tym więcej szczęścia niż pomyślunku. Gdyby w okolicy znalazł się jeszcze jeden strażnik, raczej nie uszliby z tej przygody z życiem. Pięćdziesiąt kroków dalej siedziało przy ognisku ośmiu zbrojnych.

Wytoczyli ze skalnego wgłębienia niewielką beczułkę. Wit skradał się przodem, bacząc, czy droga czysta. Waldemar człapał za nim, posapując z wysiłku. Narzucił ładunek na plecy. Ledwie trzymał się na nogach.

– A niech... – wydyszał. – Trza było wziąć Nicetasa. Z dziurą czy bez, lepiej by sobie z tym poradził.

Szli ślamazarnie, jednak jakimś cudem udało im się ominąć zbrojnych Aleksego Komnena. Gdy dotarli z powrotem między ogniska swoich kompanów, nikt nie zwracał na nich uwagi. Wszyscy byli zbyt pijani.

Żmudzini łatwo opuścili obóz. Potoczyli beczułkę daleko w kamienną pustynię, między skały i wąwozy.

* * *

Basileus rzucił wściekłe spojrzenie na twarz Roussela de Bailleul. Najemnik poczynił sobie zbyt śmiało.

– Zdobyliśmy Antiochię, jak było w umowie – powiedział. – Jednak złota nie nabraliśmy tyle, by wyrównać nasze rachunki. Albo miasto było już wcześniej splądrowane przez Seldżuków, albo też kronikarze łgali, opisując jego bogactwa. Toteż przypominam o umowie i proszę o zwrot długu.

Roman Diogenes zerwał się z krzesła. Długimi krokami przechadzał się po namiocie, wreszcie stanął przed Normanem i wydyszał:

– A to już nie moja wina, że nie potrafiłeś w najbogatszym mieście pogranicza zebrać dla siebie i swoich ludzi tyle złota, by stało się zadość. Nie jestem twą niańką, de Bailleul, i twa niezaradność mnie nie interesuje.

Najemnik udawał obojętność. W środku jednak buzował. Po raz kolejny potwierdziły się jego podejrzenia, że władca Konstantynopola chciał ich jeno wykorzystać w swych wojennych rozradach. I nie zamierzał płacić.

– Panie, ale nie taka była umowa. Ja się nie skarżę, że łupy z Antiochii niezbyt mnie usatysfakcjonowały, choć przyznam, że liczyłem na więcej. Ale dałeś słowo, panie, że zdobywszy miasto, będziemy mogli odejść, zabierając nie tylko to, co znajdziemy za jego murami, ale także złoto, które winien nam jesteś jeszcze z dawnych czasów.

– Wojna wciąż trwa...

– Ale my w niej nie będziemy uczestniczyć. Ja wiem, panie! Liczyłeś, że wyginiemy wszyscy albo przynajmniej ja i moi najbardziej zaufani ludzie, i nigdy nie zgłosimy się po należność. A jednak przeżyliśmy i teraz domagam się zwrotu solidów.

Basileus z rezygnacją opadł na krzesło. Cała złość nagle mu odeszła.

– Dobrze, de Bailleul... Oddam ci to złoto, ile tam chcesz. Chociaż przychodzisz w złej chwili. Trwa wojna i czeka nas najważniejsza bitwa o główny port tego wybrzeża. Złoto potrzebne jest na inne wydatki, a co więcej, nie mam go tu aż tyle. Swoje solidy odbierzesz w Cezarei, gdzie przenieśliśmy tymczasem dwór z Konstantynopola. Tam też zgromadziłem zapasy złota niezbędne do prowadzenia wszelkich działań wojennych. Zarządza nimi, wedle moich dyspozycji, logoteta *ton oikeiakon*. On wypłaci ci wszystkie należności co do *nummi*.

Roussel de Bailleul spojrział zdziwiony na Diogenesa. *Co ta szczywana hiena znowuż planuje? Jaki fortel obmyśliła?* – zastanawiał się.

– Panie, rad jestem, że doszliśmy do porozumienia. Ale wnoszę, że twa nagła łaskawość nie bierze się znikąd...

– Owszem, masz słuszość, Rousselu. Otrzymasz ode mnie stosowny glejt i pismo dla logotety, jednak dopiero gdy zdobędziemy Laodyceę. Nie mogę pozbywać się swych najdzielniejszych oddziałów w przededniu tak ważnej bitwy. Zdobycie drugiego portu pozwoli mi umocnić panowanie na morzu. Nadejdą nowe posiłki i nie będę musiał was już

dłużej przetrzymywać. Będziecie wolni.

– Ale to oznacza dodatkowe koszty. Zdobycie Antiochii, Aleppo, Ma'arrat i teraz Laodycei... Stawka rośnie. Mając w pamięci twoje kilkuletnie problemy ze spłaceniem długów, z oddaniem nam naszych pieniędzy, mogę podejrzewać, że i tym razem coś się nie powiedzie. Wybacz, panie, ale moi ludzie przestali już ci ufać.

– Ale ufają jeszcze tobie, a ty ich przekonasz, że warto podjąć ostatnią walkę.

– Skąd taka pewność, panie? Nie jestem twym poddanym, czoło chyłem przed tobą tylko dla zachowania dworskiej etykiety, ale nie jako wasal.

Basileus zniecierpliwiony machnął ręką, jakby opędzał się od muchy.

– Nuż już mnie twoje buńczuczne słowa, za które powinienem nabić cię na pal. O wcześniejszych problemach z wypłatą należności możesz zapomnieć. Wtedy były lata chude, gdyśmy scalali rozdzierane cesarstwo. Teraz jesteśmy na wojnie. Na wojnie zdobyczej i zwycięskiej. Słusznej politycznie i opłacalnej pod każdym innym względem. Złota nie zabraknie dla nikogo. Kto jest z nami, może tylko zyskać.

Najemnik zacisnął usta. Wściekłość walczyła w nim z chciwością. Diogenes pomógł wygrać tej drugiej.

– Rozliczymy się po bitwie, masz na to moje słowo! Oddam wszelkie należności i nie będę trzymał cię dłużej w szeregach mej armii. A teraz, Roussele, udaj się z powrotem do swego obozu, byś zdążył przed zmrokiem.

* * *

Przez cały dzień snuli się bez celu, czekając wieczora. Nicetas od południa stosował przyspieszoną kurację, pochłaniając kolejne dzbany kwaskowatego wina, jedyne, jakie zostało po złupieniu twierdzy Ma'arrat. Trunek nie był dozwolony, jednak *Strategosi* przymykali na to oko. Dopóki wojacy nie brali się między sobą za łby i nie było trupów, wódzów nie obchodziło pijaństwo. Zwłaszcza na trzy dni przed kolejną bitwą.

Dryblas kurował się z tak wielkim zapałem, że gdyby to miało trwać dalej, wieczorem nie trafiłby o własnych siłach nawet do kloaki. Wit Wodnik załatwił sprawę jak doświadczony medyk, który wie, że różnym dawkowaniem leku osiąga się różne cele. Dolewał mu wina tak ochoczo, że Wielka Pięść wkrótce spadł pod ławę całkowicie zamroczony.

– Coby tylko zdążył podnieść dupsko przed północą – mruknął Waldemar, gdy wyciągali go spod nóg pozostałych biesiadników.

– Ma osiem godzin z okładem. Akurat się wyśpi i będzie jak noworodek. Trzeźwy i niewinny. Znasz go przecie. Ma wprawę.

Fortel Wodnika nie zawiódł. Nicetas chrapał cały dzień przy ognisku rozciągnięty jak kłoda, lecz gdy nadeszła noc i zrobiło się trochę chłodniej, skoczył dziarsko na nogi. Potoczył wokół wzrokiem, ochlapał twarz wodą z wiadra i wychrypiął:

– No, to chodu! Ukręcimy gnidzie jaja!

* * *

To nie było jednak takie proste. Tyberiusz Piąchulec nigdzie nie ruszał się bez swojej świty. Zbrojni towarzyszyli mu, gdy chodził po obozie, zaś jego przyboczny – Hygin Chytrus – nie opuszczał go także podczas narad w namiocie. Krzykliwy entuzjizm Nicetasa niewiele tu pomagał – trzeba było czekać na dobrą okazję.

Trójka przyjaciół cierpliwie śledziła swego *hekatontarchosa*. Ten nie przemęczał się specjalnie. Tuż po zmroku obszedł okolicę, bacząc, czy wszystko jest, jak być powinno. I było: strażnicy pilnowali wejścia do obozu, oprychowaci żołnierze spokojnie chlali wino, a na niebie świecił księżyc. Zadowolony Piąchulec zdał raport *Strategosowi* Komnenowi i dziarskim krokiem pomaszerował do swojego namiotu, by tam oddać się rozkoszom pijaństwa.

– No i co? Teraz będzie przelewał z pełnego w próżne, znaczy z dzbana w swe gardło, a my, zamiast robić to samo, całą noc spędzimy z dupą w gównie – narzekał Wielka Pięść.

Zaiste, pięć kroków za namiotem *hekatontarchosa* rósł cyprys, pod którym podpici wojacy załatwiali swe potrzeby. Hultaje nie zadawały sobie trudu, by chodzić do odległej kloaki. Dowódcy za sranie pod namiotem byli gotowi wbić na pał, ale nie mogli pilnować każdego i w każdym miejscu obozu.

Jakąś godzinę po północy Piąchulec wytoczył się ze swego namiotu. Chwiejnym krokiem poczłapał w stronę drzewa.

Tam, ledwie opuścił portki, nadział się na koniuszek pugińału Jałmużnika. Aż obryzgał sobie nogi z wrażenia. Chciał krzyknąć, ale zaraz spadła mu na usta ciężka łapa Nicetasa, a Wodnik przydzwonił Tyberiuszowi w łeb kawałkiem drąga. Setnik padł na twarz, ryjąc nosem we własne szczyny.

Nim zdolali go skrępować i odciągnąć w bok, z namiotu wychynął Hygin.

– Panie, cóż tam? Czy wszys...?

Umilkł nagle, bo strzałka z mlekiem czarownic rzucona przez Wita wbiła mu się w oko. Tylko jęknął z bólu i zaraz padł.

Skoczyli w przód z odkrytymi nożami pewni, że zaraz z namiotu wysypią się pozostali kompani *hekatontarchosa*. Jednak nie. Tamci byli już na tyle zamroczeni, że łoskot walącego się Chytrusa nie zrobił na nich wrażenia.

– To co teraz?

– No co? Hygina damy w krzaki, tam za drzewem. A tego zabieramy.

– Nie – zaprotestował Nicetas. – Bierzemy obu.

Przed oczami stanęła mu scena, gdy pędzili z Kalikstem rydwanem, uchodząc przed pościgiem Seldżuków. Głupia, roześmiana gęba Chytrusa, te jego pogardliwe, kaprawe oczka

i włócznia, która przeszła pierś Muhammada... Nie, Hyginowi też się należało.

– Nie damy rady! Dwóch nie dźwigniemy!

– Wy weźcie Piąchulca. Ja zajmę się tą gnidą.

– Nie podołasz – protestował Wodnik. – Przecież jesteś podziurawiony jak...

Wielka Pięść nie dał mu dokończyć. Zarzucił Chytrusa na plecy niczym worek z pszenicą. Nie słuchając, co mają w tej sprawie do powiedzenia bliźniacy, zagłębił się między namioty. Nawet nie syknął z bólu.

* * *

Kamienna pustynia, skalne wąwozy. Suchy wiatr i zacinający w oczy kurz. Błede światło księżyca.

– Gdzie teraz? – zapytał Nicetas. – *Gamoto*, którędy dalej? Konie zaraz nogi połamią w tych dziurach.

– Nie bój nic. Znamy drogę – zapewnił Wodnik, jednak trochę zwolnił, uważniej patrząc pod nogi. Klucząc wśród ostrych głazów i rozpadlin, prowadził za uzdę wierzchowca ze spętanym Piąchulcem przewieszonym przez siodło. Za nim szedł Jałmużnik. Ten wioził na grzbiecie swojego zwierzęcia Hygina, zaś na końcu jechał Wielka Pięść.

– Idziemy na samą górę – tłumaczył Wit. – Tam jest taki skalny jęzor wysunięty w stronę obozu. Będą mieli co podziwiać, jak nie teraz, to rano. Nie dopadną nas, bo nie znają drogi, za ciemno na szybki pościg. A my w tym czasie damy nogę w drugą stronę. Zjedziemy z gór drogą na północ. I tyle nas będą widzieć!

– I do krzyżowców!

– Tak, stamtąd pojedziemy prosto do braciszków. Wolność, ziomek! Będziemy wolni!

Na te słowa Nicetas zawył z radości, aż echo poszło.

– Haaa! Woolność! Haaa!

– Zawrzyj mordę, jeszcześmy za blisko obozu! Posłyszają nas!

Na dole nikt nie zwrócił jednak na to uwagi. Za to ocknął się Chytrus.

– Co...? Co jest...? Czego...? – bełkotał. – Kto wy? Wypuście!

Waldemar uciszył go jednym mocnym ciosem w ucho.

* * *

Na szczycie wzniesienia obaj więźniowie się ocknęli. Tym razem jednak Żmudzini pozwolili im na wybuchy strachu i nienawiści.

– Co to ma być, *koproskilo*?! Co wy tu...? *Skata!* – kłął wściekle Piąchulec, gdy obalili go z siodła na ziemię. Szarpał się, próbując zerwać więzy. – Kurwiesyny, co to za błażństwa?! Rozwiązać mnie!

– To nie błazeństwa, Tyberiusz! Mamy pewne rachunki do wyrównania. Nie będzie ci do śmiechu, o nie! My się za to trochę pośmiejemy!

Hekatontarchos ryknął wściekle i przeturlał się w bok. Jednym szarpnięciem związane na plecach ręce przełożył do przodu, po czym chwycił za strzemień konia, na którym go przywieźli. Dał susa w górę i po chwili siedział już w siodle z nogami zwieszonymi z boku niczym niewiasta. Zanim jednak zdołał umknąć, dostał w łeb maczugą od Waldemara. Spadł z wierzchowca zalany krwią.

– Widzieliście go, jak na konika wskoczył? Na nic te cyrkowe sztuczki, Piąchulec. Nie uciekniesz sprawiedliwości.

Hygin Chytrus, widząc to wszystko, tylko mełł przekleństwa, jednak nie próbował ucieczki. Nie do końca rozumiał, co się dzieje. Wiedział jedno – jest źle. To nie zakończy się zwykłym obiciem mordy.

Przezucie go nie myliło. Ryży bracia zaciągnęli skrępowanego wojaka na skraj przepaści. Nie, nie zrzucili w dół. Zaczęli przykuwać łańcuchami do skały.

– To na nic, zaraz złamię ci rękę – pogroził Wit, gdy Chytrus próbował się wyrwać. Nie poskutkowało. Więc Wodnik uczynił, co obiecał.

Wycie Hygina obudziło nieprzytomnego Tyberiusza. On też zawisł na skale z ramionami wyciągniętymi na boki jak skazaniec na krzyżu. Łańcuchy trzymały mocno. Mogli tylko pluć z wściekłością i rzucać puste groźby.

– Kurwiesyny! Niech no tylko moi was dopadną! Zdrajcy! Nabiją was na pal. W dupska wam wrażą kołki, takie cienkie, żeby was za szybko nie rozerwało. Żebyście kwiczeli jak cioty, gdy im dogodzić, *koproskilo!* Będziecie zdychać przez miesiąc!

Nicetas podsunął mu swą wielgachną pięchę pod sam nos.

– Nikt nas nie dopadnie, a nawet jeżeli, to ty już tego nie zobaczysz. Samżeś zdrajca! Pamiętasz, co było nad Orontes? Pamiętasz, jak zabiłeś Muhammada? A potem jak chciałeś ubić mnie? Wspomnisz, jak zdradziłeś Kaliksta i jak zginął!

– *Skata!* Wy męty! Szumowiny! Śmieci!

– Pamiętasz... A jak nie, to zaraz sobie przypomnisz. Zginiesz tak jak on – zapowiedział dryblas i skinął na Żmudzinów.

Ci już czekali z beczułką *igró pyr* i zapaloną pochodnią. Waldemar odbił korek, po czym uniósł baryłkę nad głowę Piąchulca. Oleista ciecz spłynęła po twarzy i piersi skazańca. Wsiąkła w odzienie, ściekła po nogach do butów.

– Nie żałuj mu, lej hojnie, niech nasiąknie!

– Dla drugiego musi starczyć – odparł Jałmużnik, wskazując brodą Hygina. – Zresztą jak mniej, to lepiej. Nie zdechnie tak od razu! Będzie powoli się smażył jak mięsko na ruszcie.

– Nieee! Nie rób tego!!! – wrzeszczał Piąchulec. – Nie zabijesz chyba swojego *hekatontarchosa?! Nie dopuścisz się takiej zdrady! Nie zrobisz tego, kurwisynu!*

– A ty co? Samżeś rękę przyłożył do zdrady. Kalikst Belzebub był twoim

hekatontarchosem. A tyś go zdradził i zabił. Wodnik, dawaj pochodnię!

Strażnicy w obozie dostrzegli nagły wybuch ognia w górach na horyzoncie. Nie słyszeli jednak wycia umierających, ich przeraźliwego skowytu, nie czuli swądu palonych ciał.

Nie rozumieli, cóż znaczą płomienie. *Strategos* Komnen kazał wyruszyć zwiadowcom, a reszcie wojska przygotować się do odparcia ataku Seldżuków.

Ten jednak nie nastąpił. Wkrótce ogień na skałach dogasł, a zwiadowcy wrócili z wieściami.

Nikogo nie ma. Turków ani widu, ani słyhu.

Zwęglone zwłoki Piąchulca i Chytrusa odkryli dopiero przed południem, gdy dotarli na miejsce kaźni.

Nicetas, Wit i Waldemar pędzili w tym czasie do Aleppo.

* * *

Starzec w czerwonej riasie jęknął z bólu. Zatoczył się w tył i upadł na plecy. Ostre krańce kamieni poszarpały szatę szybko nasiąkającą krwią.

Eremita zasłonił dłońmi oczy. Choć był ślepy, widział. Teraz widział to najgorsze. To, czego nie chciałby nigdy zobaczyć, nawet za cenę odzyskania wzroku. Obrazy, jakie wymalowało słońce na jego przykrytych bielmem oczach, były niczym puginał raniący jego serce, jak maczuga łamiąca jego kości. Jak trucizna wypalająca żyły.

– Nie... Odejdź... Precz... – wycharczał resztką sił, przekręcając się na bok. Złapał rękami za kolana i tak tkwił ogarnięty gorączką, chociaż słońce grzało najmocniej jak mogło o tej porze roku.

Gdy zaczęło powoli chylić się ku zachodowi, starzec zebrał siły. Wstał i nie zważając na pieczenie otartych pleców, ruszył w stronę swojej samotni.

– Już czas... Już nadszedł czas.

Macając kijem, szybko zszedł na dół wzgórza. Minął przełęcz z wyschniętym jeziorkiem i kamiennymi okruchami skał, aż dotarł do znajomej już ścieżyny, która wiodła na szczyt góry Throni.

Gdy dotarł do celu, przystanął z twarzą obróconą na wschód. Zimny wiatr szarpał jego brodą i strzępami szkarłatnej riasy.

Starzec uniósł ramiona i zawołał:

– Już czas... Przybywajcie! Już nadeszła ta chwila.

Zaraz posłyszał łopot skrzydeł. Jastrzębie zataczały coraz ciaśniejsze koła, zlatując niżej z krzykiem, czując, że dzieje się coś nowego, nienaturalnego, aż wreszcie przysiadły na wyciągniętych nadgarstkach pustelnika.

Tym razem eremita nie miał ze sobą skórzanych rękawów, które chroniłyby go przed ostrymi pazurami ptaków. Nie dbał o to. Czując ciepłą krew ciekącą po łokciach,

wyskrzeczwał pełen ekscytacji:

– Powstrzymajcie plugawego sługę Satanaela! Uratujcie chłopaka! Już! Teraz! Lećcie! Na wschód! Laodycea! Tam! Lećcie! Pies Satanaela musi wreszcie oddać żywot. Na wschód!

Powtarzał to jeszcze długo, nawet gdy łopot ptasich skrzydeł umilkł w oddali.

ROZDZIAŁ 13

– Patrz no! – rzekł Sycylińczyk, trzęsąc odciętą głową kilkuletniego dzieciaka. – Seldzucki pomiot! Dziabnąć mnie chciał! Nożykiem! Tom mu łeb urznął!

Fabian rżał z uciechy, jednak Kaliksta jakoś to nie bawiło. Czerwony demon nękał go co noc, plując smrodliwą śliną, obezwładniając fetorem śniętych ryb. I powtarzał to swoje *Dhjooo-geenhes*. Nijak nie szło się od bestii uwolnić. Nawet w murach Aleppo Purrhos potrafił znaleźć drogę do komnaty Belzebuba. Przypominał o powinności wobec jego pana.

Kalikst nie mógł przez to spać.

– Zabić Diogenesa... – mruknął, nie kontrolując już tego, co mówi.

– Co? Kogo zabić? – zdziwił się Sycylińczyk. – Bachor chciał mnie ubić, ot co!

– *Gamiso malaka!* Zabierz to ode mnie! Co mnie jakiś gnój obchodzi?! Po co mi łeb jakiego osranego szczyla! Precz mi stąd, głąbie!

Fabian zmył się jak niepyszny, mamrocząc przekleństwa.

Aleppo gorzało. Odkąd miasto opuściły wojska Aleksego Komnena, panowanie w nim objęli krzyżowcy. *Aleppo odzyskane* – jak to mówili między sobą, dziwując się, że ludzie *basileusa* okazali taką lekkomyślność: nie wyplenili seldzuckiego ani saraceńskiego robactwa. Dzielni mnisi-biedacy ochoczo zabrali się do pracy, wypełniając obowiązki, którym nie podołali *Rhomaioi*. Uliczki Aleppo spłynęły czerwienią: dzielni bojownicy Boga nie patrzyli, czy to Saracen, czy Syryjczyk. Pod nóż poszli Armeńczycy, Żydzi, chrześcijanie i wyznawcy Allaszej herezji. Wszyscy zasłużyli na śmierć – toż tu sami zdrajcy, spiskowcy i kaci!

Belzebuba to jednak nie radowało. Dawniej znalazłby w tym najprzedniejszą zabawę. Teraz jednak, dręczony przez czerwonego śmierdziela z dwiema głowami, nie potrafił odnaleźć już dawnej radości.

Szedł uliczkami ogarniętego piekłem Aleppo. Wojska Komnena wraz z najemnikami i bandziorami z karnych *hekatontarchii*, zdobywając miasto, dokonały już swego: gdy krzyżowcy weszli za mury, przywitał ich trupi smród, tureckie głowy zatknięte na tyczkach, zrujnowane mury i płonące domostwa. *Zniszczenie i pożoga* – pomyślał wtedy Kalikst, jednak prawdziwe pandemonium ujrzał dopiero wtedy, gdy Walentyn, Fabian i reszta kompanii ruszyła, by czyścić miasto z plugastwa.

– Naprzód, bracia! Bierzta ich! Seldzuka palić i mordować, i zdrajców Armeńczyków razem z nimi! Naprzód, bracia! Nuże! – nawoływał Belzebub.

A jednocześnie czuł, że to wcale nie on komenderuje, to nie jego ludzie z rzeniem i rehotem biegają za każdą żywą duszą, jaka się uchowała w Aleppo. Patrzył na to wszystko jak na zdobną mozaikę w domu jakiegoś wielmoży. Widział płomienie, widział miecze w rękach walczących, widział płacz, gwałt i snujący się wokół czarny dym. Jednakowoż wszystko to było nierealne, odległe, jakby ułożone z kolorowych kamyczków.

Myślał tylko o jednym. Nie, już wyrzucił z głowy chęć zemsty na Piąchulcu. Cały czas nienawidził bydlaka, śmiał się na myśl, że będzie przypiekał mu stopy, że wylupie oczy, odrąbie ręce i nogi, a potem zostawi okaleczonego kadłubka na pastwę losu i zdziczałych kundli. Takie wizje nachodziły go niekiedy, jednakowoż co innego wypełniało jego duszę. Czy też to, co z niej zostało.

Czerwona bestia, cuchnący demon nie dawał mu spokoju. Budził go w środku nocy, gdy Kalikst leżał zamroczony winem w objęciach miejscowych dziwek ocalonych przez braciszków z uwagi na ich jakże pożyteczny fach. Purrhos rozprawał kobietom brzuchy, odrywał głowy, a potem pochylony nad Belzebubem cedził z charkotem:

– Dhjooo-geenhessss... Dhjooo-geenhes!

Raz Kalikst skoczył na demona z szablą, tnąc – jak mu się zdało – prosto w szyję z oczami i nosem. Czerwony stwór sprytnie umknął. A potem łupnął go mocarną łapą, orząc policzki pazurami. Belzebub padł zalany krwią, z dzwonieniem w uchu.

– Zhaaa... Zhabić! – powtarzał cuchnący potwór. Znikał, gdy nadbiegali strażnicy chroniący *Strategosa*.

Zakonnicy-biedacy wkrótce spostrzegli, że z ich wodzem dzieją się dziwne rzeczy. Raz, że zamiast chędożyć, krwawo rżnie dziwki i odcina im głowy. To jeszcze nie budziło zdziwienia, w końcu rzecz zwyczajna, jedni lubią na łożu, drudzy na stojaka... Ale dla jakiej przyczyny przywódca jest potem taki roztrzęsiony?! Telepała nim gorączka, bełkotał coś nieskładnie, oczy mu lśniły niczym wilkowi ze stepu. Wokół ust toczyła się piana.

– *Strategos* postradał rozum – zaczęli szeptać między sobą.

– Ja to tam żem od początku gadał, że on jakiś taki... Nie jest nasz, to obcy.

– Wielebny się mylił? To nie jego wskazywało prorocstwo?

– Musi, że się pomylił. Zwiódł go szatan. No jak inaczej? Turków i zdrajców Syryjczyków z Armeńczykami pospołu nie chce w boju rezać. Ale z kurwami w łożnicy rozprawia się, jakby bitwę na śmierć i życie toczył. A kurwów nie ma dużo, inni też by chcieli poswawolić. Co to za wódz, co swym żołnierzom dziwek nie da, chociaż sam już skorzystał?

– Pewnikiem masz rację. To było fałszywe prorocstwo. Tak gadali zrazu cicho, niepewnie, później coraz głośniej. Wreszcie Walentyn się zniecierpliwił:

– Co jest, *Strategos*? Choryś? Zara znajdziem ci medyka. Saraceny są w tym biegle, co jak co...

– Znajdziecie medyka? Ha, ha, ha! Gdzie, jak żeście wszystkich żywych stałą po gardle potraktowali?! Gdzie tu chcesz, głąbie, najść jakiegoś medyka, ha?

Kudłacz wzruszył ramionami.

– No to Rościsława zawołamy. On też zna się na zdrowotnych miksturach i ziołach. Ranę umie opatrzyć i gorączkę zbić.

– Nie trza mi Rościsława – warknął wściekle Belzebub. – Nie trza mi żadnego medyka, choćby i biegłego Saracena!

– To co, *Strategos*? Czemu nie prowadzisz nas na chwałę Boga do następnej bitwy? Czemu dziwkom brzuchy rozpruwasz, a nie chcesz dalej wieść krucjaty w imię Pana?

Kalikst nie miał dłużej do niego cierpliwości.

– Precz mi z oczu, durna beko sadła! I tak nie zrozumiesz, szkoda nawet na ciebie języka strzępić!

A gdy Walentyn zamarł zdziwiony, sądząc że to żart, Belzebub wyrwał z pochwy szablę i ciął tamtemu nad głową. Kudłacz z sapaniem i gniewnym mručeniem poszedł w swoją stronę.

* * *

Tej nocy Kaliksta znów dopadł demon. Obudził fetorem ryb, ale z zaślinionej gardzieli nie wydobył się żaden dźwięk. Purrhos cicho poświstywał przez nos, smutno patrząc na swego Pana. W łapach tulił niczym dziecię zakrwawioną wątrobę wyszarpniętą komuś to z trzewi.

– Czego chcesz?... Czego...? – wymamrotał Belzebub. Po tym wszystkim widok i zapach demona przestał budzić w nim obrzydzenie i strach. Przygniatały go tylko zmęczenie i rezygnacja.

Zwłókł się z łoża i trąc powieki, doczłapał do fotela w rogu komnaty. Niegdyś ten pokój musiał zajmować nie lada wielmoża. Syryjczyk lub Seldżuk, dobrze postawiony, bo opływał w zbytki. Ściany pokryte kilimami, zdobione tace, dzban na wino, kielichy z wielkimi jak pięść rubinami, szable ze złotymi rękojeściami zawieszzone na ścianie. No i ten baldachim spływający barwnym jedwabiem.

I krew na suficie.

– Czego chcesz, śmierdzielu?! Będziesz długo mnie dręczył?...

Czerwony demon nie wydał nawet jęknięcia. Wpatrywał się szklanym wzrokiem w Belzebuba i tylko cicho fukał, oddychając, jakby mu brakło powietrza.

– Wiem, tak, wiem... Mam zabić uzurpatora. Wiem. Pamiętam. Ale dlaczego właśnie teraz? Dlaczego teraz mnie nachodzisz co noc i dręczysz swoim smrodem? Dlaczego nie miesiąc temu ani dwa?

Bo dopiero teraz Diogenes ruszył na wojnę i nie chronią go barbarzyńskie demony –

przemówił niespodziewanie stwór. A właściwie nie tyle przemówił, co Belzebub usłyszał go w myślach. Głos bestii rozbrzmiewał mu wewnątrz głowy basowym tonem niczym ryk bawołu. – *Dopiero teraz możesz go zabić.*

– *Gamoto! Ty potrafisz mówić?! Jak człowiek?* – Kalikst mało nie spadł z łoża.

Mogę i nie mogę. Mogę w myślach twych, nie mogę w dźwiękach. Ty zabij. Zabij!

– *Dlaczego...? Dlaczego dopiero teraz do mnie mówisz?*

Wcześniej nie było o czym... Wcześniej Diogenes schowany za ochronnym kręgiem demonów, nie mogłeś go zabić. Teraz możesz. Teraz jest już w Antiochii. Jest tu niedaleko. Musisz porzucić ich. Porzucić tych... Iść. Musisz iść, wracać do Antiochii i zabić uzurpatorów. Pan każe... Paaan!

Belzebub bezwiednie przytaknął: *Tak, tak, masz racje, demonie. Przecież Pan mi kazał. Mym zadaniem jest zabić basileusa i jego krew wessać do kanalików puginahu. Tak, jak polecił Pan. Taki wydał mi rozkaz, a ja jestem temu posłuszny.*

Zaraz jednak przyszła inna myśl: *Czarny Mnich, kim on jest? Kim jest i czego ode mnie chce? Teraz ja jestem panem, ja tu rządzę, a na moje rozkazy są dwie dziesiątki tysięcy gotowych na wszystko krzyżowców, dzielnych wojowników za wiarę. Dlaczegoż mam się wysługiwać jakiemuś mnichowi z dalekiej krainy, który nie ma nade mną żadnej władzy? Nie ma nic... poza tym demonem.*

Purrhos jakby słyszał te myśli. Wbił się Kalikstowi w głowę swoim widmowym zawodzeniem:

Pan dał ci czas, byś mógł odnaleźć nowego siebie i przygotować się do swej misji. Teraz nie ma odwrotu, Teraz nadszedł czas, a ty nie masz drogi ucieczki. Zabić Diogenesa masz. Zabić. Uciekać nie możesz. Twoja armia nie pomoże. Zabiję ja ciebie.

Demon opuścił wzrok i spojrzał na trzymany w łapach strzęp ludzkiego ciała. W nagłym ataku głodu wgrzyzł się w wątrobę, tryskając na boki krwią. Gdy skończył posiłek, bez jednego dźwięku ruszył ku wyjściu. Nim Belzebub zdążył wykonać choćby ruch ręką, zniknął w mroku nocy.

Kalikst skoczył w ślad za nim. Rozwarł szeroko drzwi.

Za progiem na podłodze leżało zmasakrowane ciało Rościsława.

* * *

Nazajutrz, gdy Belzebub raczył się na śniadanie przednim winem z Cypru, przyszedł Walentyn.

– *Strategos* – rzekł – ja muszę z tobą dwa słowa zamienić.

Kalikst rzucił mu niechętnie spojrzenie. Nieśpiesznie odgryzał małe kęski z baraniego udźca. Popijał chłodnym trunkiem o żółtawej barwie.

– To jest bardzo ważna rozmowa. Muszę z tobą jedno wyjaśnić. Zdradzić ci pewną

tajemnice – zachęcał Kudłacz, roztaczając wokół woń zjełczałego tłuszczu i winne wyziewy.

– No czego?

Tamten rozejrzył się nerwowo, podrapał po brodzie i szepnął:

– Nie tu. Chodźmy stąd, gdzie indziej... Przejdźmy się po mieście. Złe uszy słuchają. A to ważna rzecz.

Belzebub ledwie się powstrzymał, by nie zrzucić go ze schodów. Ostatnio wszyscy coś od niego chcieli. Nakłaniali do rzeczy, na które nie miał ochoty. Jednak ruszył niechętnie, otarłszy palce w jedwabny obrus.

– Pamiętasz, *Strategosie*, proroctwa? Cztery znaki, po których wielebny Zachariasz rozpoznał, że to ciebie dotyczy przepowiednia?

– Ogień, woda, ziemia, powietrze... Tak, takie było proroctwo. I cóż z tym?

– Ano się wielebny skapował, że to nie ty.

Kalikst spojrzał gniewnie na Walentyna. Czuł naciągające problemy wdzierające się w jego nowe życie niczym hałaśliwa horda ze Wschodu.

– Jak nie ja? Przecie to ja!

– Toż ja nie gadam nic o proroctwach. Jestem tylko prosty człek, miecz wiem, jak trzymać i jak nim śmierć zadawać. O boskich znakach i wyroczniach nie mnie sądzić. To wielebnego przeznaczenie. Tyle, że to właśnie wielebny teraz prawi, że się omylił. Żeś ty nie jest naszym *Strategosem* z przepowiedni. Bo ledwie żeśmy weszli do Aleppo, to miast na rzeź nas prowadzić i do boju porwać, chodzisz, jakbyś rozum postradał. No i ten Rościśław...

– Przecie mówiłem. Nie jam go ubił. To czerwony demon o dwóch głowach go posiekał, rozszarpał, by zasiać we mnie strach. Wielebny najlepiej powinien wiedzieć, że i Pana Naszego demon kusił, a cóż mnie dopiero!

– Gadają, że żadnego demona nie było. Nikt go nie widział. Mówią, że to tyś naszego brata pomordował, choć on nawet miecza nie nosi. Zaczęli nasi różne rzeczy głądzić.

– Ciekawe nader... No i co z tym teraz?

Niby od niechcienia oparł dłoń na rękojeści szabli. Ta rozmowa podobała mu się coraz mniej. A więc mówią, że nie jest już *Strategosem* Boga?

– Ja tam nie wiem. Widzę, żeś chwat, co się zowie, i potrafisz wzbudzić w ludziach zapał do walki o słuszną sprawę. Wiem, że umiesz mieczem wywijać i niestraszny ci ogień walki. A dla mnie to najważniejsze, nie tam jakieś proroctwa czy inne klesze wydumanki. No widzę, żeś swój chłop. Tylko że...

Belzebub zaśmiał się nerwowo. Naprawdę niewiele brakowało, by wyszarpnął szablę i odciął ten brodaty, kudłaty łeb bełkoczący coś na jego temat. *A kim ty jesteś, koproskilo, by oceniać mnie, Strategosa Boga, Kaliksta Belzebuba!?* – miał na końcu języka.

Jednak nie. Powstrzymał złe myśli. W końcu Walentyn nie okazywał – póki co – wrogich zamiarów.

– No mów, skoro żeś zaczął!

– ...Tylko że jakeśmy zdobyli Aleppo, to niektórzy zaczęli gadać, że nie ma w tobie wiary ani zapału. Że nie rzniesz saraceńskich pomiotów jak przystało na chrześcijanina, że brzydzisz się krwią Seldzuka, jakbyś nie na *Strategosa* Boga był stworzon, tylko na jaśnie wielmożę jakiegoś, co do bitwy o słuszną sprawę nie stanie, bo jest za miękki i strach go ogarnia.

– Łgarstwa! Któż tak twierdzi?! Mówże! – Kalikst złapał tamtego za brodę, przyparł do muru mijanej rezydencji i zaczął szarpać, aż oczy Walentyna nabiegły krwią. Drugą ręką ułapił za gardło i dusił. *Giń, gnido!* – buzowało mu w głowie w rytm krwi tętniącej w nabrzmiąłych żyłach na skroni. – *Zdychaj zdrajco, judaszu! Znam cię! Judasz! Zdrajca!*

– Sthra... tegos, przhe... stań... – wycharczał Kudłacz. – Ja... szecie z thobą... thrzyma...

Poluzował uścisk, ale dalej przyciskał Walentyna do ściany domu.

– No więc czego?

– Wielebny gada, że musi znowuż poddać cię próbie i przekonać się, czy to chodziło o ciebie, czy nie. Chce cię poddać próbie żywiołów. Ognia, wody... Po kolei. Jak wyżyjesz, znaczy, żeś nasz.

Belzebub cisnął Kudłaczem o bruk. Nim chłopisko zdołało się pozbierać, przywalił mu pięścią prosto w nos. Chrupnęły kości, na twarz Walentyna spłynęła ciepła posoka.

– Co, pętaku? Co ty, éwoku, chcesz powiedzieć? O co ci w ogóle chodzi?

– *Strategos*, przestań...

– Jaki masz w tym interes, żeby mi o tym wszystkim gadać, co?

– No przecież właśnie mówię... A ty walisz po mordzie, jakby nie wiem co.

– Wstawaj. I nawijaj!

Kudłacz niemrawo dźwignął się z kupy błota, rozcierając krwawiący nos. W oczach błyskały mu złe ognie, jednak mówił spokojnie:

– Chodzi o to... Twój poprzednik, zwał się on Eulaliusz Paschalis, zginął bohatersko w boju już dobrych kilka miesięcy temu. Ubili go, gdyśmy jeszcze nie mieli takiej siły. Gdyśmy ogniem tępili herezję i niewiarę wśród Serbów. Ci plugawcy, choć wiarę heretycką jakąś wyznają, siłę w sobie mają niecodzienną, musi diabelską, do bitki są skorzy i w niej wprawni. No i ubili nam wodza w pułapce w górach. Miast wybrać najsilniejszego spośród nas, wielebny czekał na znak. No i po miesiącu przyszło objawienie.

Przerwał, ocierając krew. Zaklął pod nosem i mruknął:

– Wina byśmy wypili, coby nie gadać tak po próznicy. Gwałtownyś, *Strategos*, bijesz bez opamiętania. Widać, żeś nasz pan.

Kalikst cierpliwie wysłuchał biadoleń Kudłacza, w końcu jednak doszedł do wniosku, że nic nie osiągnie, waląc go po mordzie i rzucając w błoto.

– Dobra, otworzymy w tawernie bukłak.

Jakiś kwadrans później Walentyn opowiadał dalej już nieco udobruchany:

– Przyszło objawienie. Bóg zjawił się w nocy wielebnemu i powiedział, po jakich

znakach rozpoznać nowego wodza.

– Woda, ogień, ziemia, powietrze. Już to wiem, co dalej?

– Od pół roku, miast iść naprzód i zdobywać miasta, błąkamy się w poszukiwaniu nowego wodza. Najpierw to wszyscy chodzili jak święci, w uniesieniu, pewni, że zara jakiś cud nastąpi, niebiosa się otworzą i na chmurze spłynie nasz nowy *Strategos*. No ale później... Nic nie było, mijał miesiąc za miesiącem. Bracia poczuli się buntować, były bitki i mordy między nami. Wielu odeszło, by złączyć się z innymi zakonami.

– To są jeszcze jakieś inne?

– Ano pewno, że są! Jest Zakon Jezusa Króla, co chcą nawracać modlitwą i ogniem, są też Prawi i Sprawiedliwi, którzy powiadają, że to wszystko spisek wiadomych sił. Inni też są, a wszyscy ciągną do Ziemi Świętej. Im więcej nas, tym lepiej, ale musimy być jednością, a nie drzeć koty ze sobą i tworzyć nowe bractwa tylko po to, by później walczyć o wpływy.

Kalikst sapnął z niedowierzaniem. Prostak i cham, jakim się jawił Kudłacz, teraz pod wpływem wina potrafił zdobyć się na niegłupie myśli.

– No i potem, jakeśmy cię znaleźli, to wszystkim było za jedno, czyś ty ten z wizji, czy przybłąda jakiś. Byłeś mógł nas poprowadzić. Chcieli wszyscy, coby wielebny przestał gonić za wiatrem i brał to, co Bóg daje, czyli ciebie. Pierw gadał Zachariasz, że tyś nie jest boskim wybrańcem, bo powietrza zabrakło, znaczy czwartego żywiołu. Aleśmy go przekonali, że powietrze to wiatr, co wiał mocno od tygodni. Na to wielebny rzekł, że owszem, wicher duje, ale żywiołu ziemi nie pokonał, co znaczyć miało, że się nie liczy. I dalej mówił, żeś nie nasz. Ale jam go przekonał, *Strategos*. Bo przecie nie zawsze żywioły walczą przeciw sobie. Czasem wspólnie idą. Koniec był taki, że wielebny uznał cię za naszego posłańca od Boga. Za wodza.

– Zaiste, nie błdził dłużej – pokiwał głową Belzebub, uważnie przyglądając się Walentynowi, czy czasem nie łże. Wyglądało jednak, że mówił prawdę.

– Ano. Ale teraz znów go naszło. Gada tak: *Trzeba go poddać próbie jeszcze raz*. Znaczy najpierw ogień...

Kudłacz zawiesił znacząco głos. Rozejrzał się na boki jakby w obawie, że ktoś będzie podsłuchiwał. Że później doniesie.

– I co z tym ogniem? – Kalikst napełnił mu kubek winem. Stuknęli się.

– Ogień, *Strategos*. Ogień! Rozumiesz? Zachariasz każe cię poddać próbie ognia. To jest tajemnica, więc sza! Ja ci tego nie mówiłem! Ale będzie tak: wyciągną cię w nocy z łóża i powiodą na stos. Podpalą. Jak wyżyjesz, to będzie następna próba. Wody. A później ziemi. I powietrza. Wszystkie cztery, jak było w majakach wielebnego.

Belzebub zrozumiał. Zachariasz zawsze zdawał mu się niespełna rozumu, ale teraz jego szaleństwo osiągnęło apogeum. Próba ognia na stosie... Tego nikt nie mógł przetrwać.

– Kiedy to będzie?

– W nocy. Dziś w nocy przyjdą po ciebie. Spętają i powiodą na stos. Podpalą. A jak

przeżyjesz, będzie próba wody...

– Ha, ha! Jak przeżyję, powiadasz?

– Tak, *Strategos*. Mnie też się to wydaje uciészne. Myślę sobie, że czyś ty od Boga przyszedł, czy też nie, chyba nikomu by taka próba na zdrowie nie wyszła.

– Dobrze gadasz. Nawet Jezus Chrystus był tylko człowiekiem i na krzyżu żywota dokonał. Co tam dopiero na stosie!

– Zatem jest tylko jedno wyjście z tej sytuacji.

Kalikst podrapał się po brodzie.

– Jakoś nic mi nie przychodzi do głowy. Nic takiego, co by mi się podobało.

– To może się nie podobać, ale to jedyny sposób. Musisz zabić wielebnego. Zabić go, nim nastanie północ. Bo inaczej on zabije ciebie. Musisz go zabić tak, by wszyscy bracia nie mieli wątpliwości, że to gniew Boży. A ty to potrafisz, *Strategos*. Znasz takie sztuczki.

– Ano znam – przyznał Belzebub.

* * *

– Znam ja te sztuczki – mruknął, zatapiając się w mroku. Słońce zachodziło za murami Aleppo, zalewając ulice miasta czerwienią. Czerwień lała się też skądinąd: dzielnym krzyżowcom jeszcze mało było uciech. Rznęli Saracenów, wyciągając ich z najgłębszych dziur i piwniczek. Przy czym znaczenie słowo *Saracen* zyskało już dawno całkiem nowe znaczenie: mógł nim być wyznawca Allaha, Syryjczyk, Armeńczyk, nawet Żyd czy chrześcijanin, który nie należał do bractwa i w złej godzinie znalazł się w złym miejscu.

– Ściągnij swą siłą mrok. Przywołaj ciemność, niech okryje cię niczym skrzydła. Niech noc stanie się tobą, a ty stań się nocą – ciągnął swą recytację Kalikst. Biegł po wąskich uliczkach Aleppo owiewany chłodnym powiewem nadchodzącej nocy. Skryty pod płaszczem nocy, niewidzialny dla ludzi.

Musisz zabić wielebnego. Zabić go, nim nastanie północ – te słowa brzęczały mu w uszach jak ponure memento. Ścisnął mocniej rękojeść puginału. Jak odebrać życie szalonemu Zachariaszowi, nie budząc podejrzeń jego popleczników? Nie... To niewykonalne. Za mało czasu. Trzeba poczekać na lepszą sposobność. A nagłe ruchy, nerwowe działania do niczego nie prowadzą. Niecierpliwi przegrywają.

Saraceński pałacyk, który zajmował wielebny, umiejscowiony był w południowej części miasta, nieco na uboczu, z dala od zgiełku śmierci. Niegdyś musiał żyć tam znaczny pan. Za wysokimi murami z białego kamienia rozciągał się pachnący kwieciami, pełen zieleni park. Za nim – rezydencja z różowych kostek granitu ozdobiona zielonymi i czarnymi kostkami, zwieńczona fantazyjną wieżyczką niczym minaret. Zachariasz szybko polubił to miejsce, zapominając o cnocie ubóstwa, którą głosił. Dostępu do pałacyku pilnowali zbrojni o ponurych gębach, z nagimi mieczami lśniącymi w blasku zachodzącego słońca.

Belzebub wbiegł w bramę do ogrodu, niemal depcząc po palcach strażnikom. Ci go, rzecz jasna, nie widzieli. Szybkimi krokami dopadł gęstwy krzaków dzikiej róży i tam przywarł do ziemi, nasłuchując.

Po parku kręciło się kilku zbrojnych. Braciszkwowie, cicho rozprawiając między sobą, przemierzali ogrodowe alejki bez żadnego planu ani rytmu, znać, że fach strażnika był im jednak obcy. To miało swe dobre i złe strony. Dobre, bo łatwo było ich przechytrzyć, nie wiedzieli, do czego jest zdolny sprytny złodziej. Złe – bo nie znali rutyny i diabli wiedzą, co im mogło nagle strzelić do łbów.

Obserwując ich, Kalikst zyskiwał coraz większą pewność siebie. Nie, te zapite łajzy w niczym nie mogły mu zagrozić. Oni tylko patrzyli. Nie mieli czujnego ucha, więc nie słyszeli, jak Belzebub stąpa główną aleją w stronę wejścia do pałacyku. Dla nich był jeno wiatrem szumiącym pośród liści.

Oparł dłoń na zdobnym uchwycie podwójnych drzwi. Nasłuchiwał. Wewnątrz panowała cisza.

I wtedy zawrócił. Puścił się biegiem ku bramie, nie dbając już o pozory. Drobne kamyczki, którymi wyłożone były alejki, zgrzytały mu pod stopami. Wyskoczył na ulicę.

– Zabiłbym cię, wielebny, z niewysłowioną rozkoszą – mruknął do siebie. – Tak bez powodu, bo w sumie nie mam nic do ciebie. Ale na to przyjdzie jeszcze czas...

Teraz biegł z powrotem do miasta. Po trzech klepsydrach dotarł już na miejsce: do starej cytadeli Qal'at Halab. Wieczór był parny, wygrzane za dnia kamienie promieniowały ciepłem, w dali sennie grały cykady, jednak pomiędzy murami ponurej fortecy ogarniał go narastający chłód. Tu mieli swoją siedzibę bracia krzyżowcy. Także Walentyn i Fabian. Ci, jako zaufani wielebnego, zajęli najlepsze komnaty – na ostatniej kondygnacji, wybudowane z myślą o dowódcach.

Jednak wieczorem łatwiej było ich spotkać w sali biesiadnej trzy piętra niżej. Mdle światło kaganków i ogień buzujący na palenisku rzucały niemrawe światło, w pomieszczeniu panował półmrok. Belzebub zakradł się do stołu, przy którym obaj raczyli się winem. Niewidzialny słuchał, o czym prawią.

– *Basileus* bije Seldżuka, jakby mu diabeł sprzyjał – bełkotał Sycylijczyk. – Ja tam swoje wiem, on duszę zaprzedał albo co.

– Głupiś! – skarcił go Kudłacz. – Armię silną zebrał, samych wyszkolonych ludzi, dobrze uzbrojonych. Solidów nie żałował na wyprawę. A i jeszcze ma tych najemników, ciężką jazdę i te oddziały straceńców siejące popłoch ciekłym ogniem *igró pyr*. Głupie Turki nie wiedzą, co to, i pierzchają, jakby im ktoś w tyłki gorące żelazo wraził. Najemniki i straceńcy czyszczą mu przedpole, a cesarz dobija tych, co się ostali. Ot i cała tajemnica.

– Twierdzą Marre zdobyli, jakby to wioska jakaś była broniona przez pastuchów. A nie umocnione miasto! Musi jakaś magia tu być. Diabelstwo. Gadają, że to ten szarlatan z Kalabrii... Że to on dał moc Diogenesowi, przez to *basileus* tylko se idzie i wycina w pień

Turków. No a teraz Laodyceę zdobywa. Tam się Seldżuki najsilniej umocniły, to przecie ich port najważniejszy. Dam se obie łapy uciąć, postawię jeszcze dwa worki złota, że zdobędzie je magią z marszu, nim Turki głupie zrozumią, co się dzieje.

Walentyń odrzucił w kąt obgryzioną kość barania. Wziął łyk wina i przeciągle beknął.

– No i bardzo dobrze! Diabły czy magia, i cóż po tym? Toż dla nas lepiej. Pójdą wojaki *basileusa*, przyjdziemy my i odbierzemy, co nam należne. Ja tu nie widzę nijakiego zmartwienia. Weselić nam się trza. Jeszcze trochę, a to wszystko będzie nasze. Jak Aleppo. No źle ci tu?

– Morza brak... – rzekł markotnie Sycylińczyk. – No a ta pustynia dookoła... To jest gorsze niżli piekło. Gorąco, duszno, to nie jest miejsce dla ludzi.

Kudłacz wzruszył ramionami. Z Fabiana wychodził czasem mięczak, jakby go z wosku ulepili.

– Chłopie, weź się w garść. Chlapij wina, przekąś i przestań bredzić. Mówię ci, będzie dobrze. Pierw Diogenes pogoni Seldżuków z Laodycei. Później ruszy dalej, a miasto zostawi nam. Weźmiemy miasto, cesarscy nie podejną, bo nas więcej. Morze będzie nasze, tylko port oddamy *basileusowi*, coby wiedział, że ma w nas przyjaciół, nie wrogów. Zresztą i tak by nas wykurzyli wcześniej czy później. Mogli se odpuścić twierdze w Aleppo, ale port to zupełnie inna sprawa. Tak czy inaczej, w Laodycei se poczekamy. Ostaniemy na dłużej.

– Wielebny nie dozwoli. Będzie kazał iść dalej.

– He, he, wielebny nie będzie miał nic już do gadania. Jeżeli *Strategos* nie skrewi.

Nagle do sali wparowała nowa gromada krzyżowców. Rechocząc, zajęli miejsca przy najbliższym stole. Zaraz wylądowały na nim misy z baraniną i dzbany pełne wina. Oraz lampki oliwne. Nagle zrobiło się jasno. Zbyt jasno. Kalikst cofnął się w cień pod oknem. W kącie cuchnęło rzygowinami i moczem, jednak nie mógł ryzykować, że straci osłonę skrzydeł mroku.

Teraz jednak słabiej słyszał, o czym gadają tamci.

– ...*Strategosa*, jak mu rzekłem o próbie ognia, to... – perorował Walentyń. – Nic nie podejrzewa... załatwiona... zabije...

Kalikst postanowił jednak zaryzykować. Wszedł zza kotary i postąpił dwa kroki w stronę stołu. Zamarł skulony, nadstawiając uszu.

– *Strategos* nie jest taki głupi – przytomnie zauważył Sycylińczyk. – On jest... No jakiś dziwny... Nigdy nie wiadomo, co myśli. Nie wiem, czy tak łatwo uwierzył w twoje bajki.

– Ty się nie martw, ja wiem, że to połknął. Próba ognia to brzmi tak, że każdy by się zestruchał.

Fabian zerknął niespokojnie na boki i szepnął:

– Zabije wielebnego?

– Dziś. Ma dziś to zrobić, tak go podpuściłem. Kiedy już zadźga starego, moi ludzie wyskoczą z ukrycia i go przyskrzynią. Nie wywinie się. Upieczemy dwie pieczenie na jednym

ogniu. Najpierw załatwimy Zachariasza, a później usuniemy z drogi *Strategosa*. Powieszę go na najbliższym drzewie za morderstwo wielebnego. A później...

– Tego jeszcze żeśmy nie ustalili – wszedł mu w słowo Sycylijczyk. – O tym, kto stanie na czele bractwa...

Kudłacz trzasnął go pięścią w szczękę. Fabian runął w tył, zalewając się krwią.

Nikt nie zwrócił na to uwagi.

– Myślałem, że już sobie to wyjaśniliśmy...

Belzebub nie słuchał wściekłych przekleństw Sycylijczyka. Sunąc wzdłuż ściany, ruszył ku wyjściu. Nikt go nie zauważył.

* * *

Noc zapadła na dobre i nie musiał się już kryć w załomach murów. Biegł środkiem ulicy złączony duszą i ciałem z mrokiem, niewidoczny, cichy jak nietoperz. Gdy mijał zduszonych strażników w bramie pałacyku wielebnego, brakowało dwóch godzin do północy. Ścisnął rękojęść pugiinału i przemknął do wejścia.

Odsłonił skrzydła ciemności, stając przed drzwiami komnaty Zachariasza.

– Zabiłeś... Za... Ale... – bełkotał starzec, gdy usłyszał, co ma do powiedzenia Belzebub.

– Tak, wielebny. Zabiłem Walentyna Kudłacza i Fabiana Sycylijczyka. Jednego po drugim. Pierwszemu poderżnąłem gardło, gdy szedł do dziwki upojony winem. Śpiewał jakąś sprośną piosenkę o chędożeniu, ale jej nie dokończył, bo krew go zalała, ha, ha, ha! Sycylijczyka ubiłem prościej, wsuwając mu ostrze pugiinału pod zębra. Poszedł szukać swego kompana. Znalazł go i w tej samej chwili powędrował do piekła. Dwa zimne trupy!

Kalikst wyszarpnął zza pazuchy nóż i błysnął ostrzem przed nosem Zachariasza.

– Przypatr się dobrze, starcze! Tym zabiłem Fabiana. Mam jeszcze drugie ostrze, moją umiłowaną szablę saraceńską. Nią przeciąłem gardło Walentyna.

Wielebny cofnął się w głąb komnaty. Ze strachu dłonie drżały mu niczym liście na wietrze, oczy lśniły jak kaganki oliwne.

– Przestań! – krzyknął, oblizując spierzchnięte usta. – Po co... Po co mi to mówisz?! Czego chcesz?! Zawołam...

– Swoje straże? Nie zawołasz, bo ci tutaj, co pilnowali piętra, leżą bez czucia skrępowani jak barany wiezione na rzeź. Tamci na dworze nie usłyszą twoich jęków. Jesteś zdany na mnie.

– Chcesz mnie... zabić? Ty, *Strategos* Boga?

– Tak, te dwa ostrza przygotowane zostały dla ciebie, wielebny. Nim nadejdzie północ...

Zachariasz z niespodziewaną jak na swój wiek siłą odepchnął Kaliksta i rzucił się do wyjścia. Szarpnąwszy rzeźbiony uchwyt, jednym ruchem otworzył drzwi.

– Starcze, ty nigdzie nie idziesz! – Belzebub złapał wielebnego za włosy i obalił na

ziemię. – Powiem ci, jak jest. Owszem, chciałem cię zabić. Bo nie jestem twoim *Strategosem* Boga. Bo wasza święta krucjata nic mnie nie obchodzi, nie dbam o to, czy was wyrzną Saraceny, czy to wy ich wybijecie. Tyś mnie namaścił na wodza, na Bożego posłańca, ale myliłeś się. Zacznie. Com použíwał, to moje. Nie narzekam. To rozkoszne uczucie pławić się we władzy. Korzystać z uroków życia niczym *basileus*.

– Co ty mówisz?... Przecież prorocstwo...

– Nie przerywaj mi! Słuchaj! Władza, którą mi oddałeś, straciła swój smak, gdy przyszedł do mnie zdrajca. Walentyń. Tak. On. Rzekł mi, że chcesz poddać mnie próbie ognia, a później wody, powietrza i tak dalej. By sprawdzić, czy na pewno zesłał mnie Bóg.

– Znaki były czytelne. Raz okazane nie pozostawiają wątpliwości. Próba? Próba ognia, mówisz? Nie, ja nic takiego...

– Wiem – przerwał mu Kalikst. – Teraz już to wiem. Podśluchałem zdrajców. Walentyńa i Fabiana. Chcieli, żebym zabił ciebie. O tak! Powiem szczerze, miałem na to ochotę, bo wiedziałem, że przyjdzie czas, gdy odkryjesz, że nie jestem wybrańcem Boga.

– Nie, prorocstwo... Prorocstwo wskazało na ciebie.

– Ja tam nie wiem. Nie czuję się żadnym *Strategosem* Boga. Ale co tam... Gdybym nie miał nic inszego do zrobienia... – Przed oczami Kaliksta zamajaczyły dwa łby Purrhosa. Aż poczuł smród demona i posłyszał jego słowa: *Zaaabiiij*. – Gdybym nie miał ważniejszej roboty, tobym se dalej używał życia jako wasz wódz. Tylko żalosne spiski tych dwóch pokazały mi, że nic tu po mnie. Opuszczam więc to miejsce, zostawiam was, krzyżowcy. Musicie znaleźć sobie lepszego *Strategosa*. Prawdziwego, jeżeli w ogóle ktoś taki istnieje.

Starzec słuchał Belzebuba, powoli uspokajając oddech. Opadł ciężko w fotel i wbił wzrok w podłogę.

– Nie zostawiaj nas. Tyle miesięcy szukaliśmy wodza, który będzie w stanie nas zagrozić do czynów. Poprowadzić do zwycięstwa. Bez ciebie znów nadejdzie czas niepewności, lęku i strachu. Musisz z nami zostać. Jesteś *Strategosem* Boga, cokolwiek by nie mówiły prorocstwa. Nie znajdę nikogo lepszego.

Kalikst zaczął się domyślać.

– Zatem od początku wiedziałeś, że przepowiednia nie dotyczy mnie. Że nie jestem wybrańcem Boga.

– Wiedziałem i co z tego?... Najważniejsza jest wiara, a ci dzielni chwaci wierzyli, że jesteś Bożym posłańcem. To ich czyniło lepszymi. Miesiące po śmierci twego poprzednika Eulaliusza Paschalisa były czasem zwątpienia i chaosu. Bracia tracili wiarę, jęły nimi kierować najniższe pobudki, zapominali o Bogu... Zapominali o słusznej walce w imię Pana. I wtedy natrafiliśmy na ciebie. Prorocstwo nie zostało do końca wypełnione, ale któż by o to dbał?! Ja wiedziałem... Wiedziałem. Musisz więc zostać z nami. Musisz dalej prowadzić nas do walki z Saracenami! Tyle miast jeszcze czeka...

– Żegnaj, wielbny. Odchodzę.

Starzec nie zatrzymywał go.
Kalikst ruszył o świcie.

* * *

Zapach wojny ciągnął się po całej Syrii. Opuściwszy Aleppo, Belzebub skierował się drogą na południe, w stronę Ma'arrat. Znać było, że przeszły tędy wojska, że toczyły się bitwy. Puszczane z dymem wioski, splądrowane poletka, trupy pieczone przez rozpalone słońce pustyni. Nieliczni wieśniacy, widząc zbrojnego jeźdźca, kryli się pośród osmalonych dymem zgliszczy.

A przecież przez tę okolicę miała przetoczyć się jeszcze gorsza szarańcza – krzyżowcy. Ci nie zostawią za sobą ani żywej duszy, obrócą w ruinę wszystko, co ulegnie sile miecza i ognia. Ta kraina nie poznała jeszcze smaku piekła. To miało dopiero nadejść.

Gdy minął twierdzę, w zapachu dymu i zniszczenia pojawiła się nowa nutka, coraz wyraźniejsza. Smród śniętych ryb. Purrhos.

Wkrótce go dojrzał z dala od drogi. Czerwony demon sadził wielkimi susami, utrzymując równe tempo z koniem Kaliksta. Belzebub nie widział jego mordy, jednak przysięgłby – cuchnąca bestia uśmiecha się zadowolona, że oto nadchodzi TA chwila.

Chwila, dla której Purrhos został stworzony.

ROZDZIAŁ 14

Trzeciego dnia fetor zgniłych ryb nie wywoływał już w jego brzuchu sztormów, nie dusił w gardle, nie wyciskał łez z oczu. Kalikst wciąż jednak okręcał twarz zawojem i starał się płytko oddychać.

– Dhjooo-geenhes... Zhaaabi... – Czerwony demon nie odstępował go ani na krok. Czaił się w cieniu skał, chowając łby przed światłem wiosennego słońca, i tylko sycząc, powtarzał swoje zaklęcie: – Zhaabiiić, zhaaa...!

– Już ty lepiej przymknij mordę, co?... – powtarzał znudzony Belzebub.

Obserwował obóz *basileusa*. Przed sobą miał przepaść głęboką na jakieś sto stóp, dalej szeroki pas pustynnego stepu urozmaiconego jeno zżeranymi przez wiatr i słońce skałkami. Wojska cesarza stacjonowały na łagodnym wzniesieniu pokrytym kilkunastoma suchymi drzewkami. Między namiotami kręcili się strażnicy, jednak większość zbrojnych chroniła się przed coraz silniejszym upałem w cieniu, siedząc lub pólżąc pod osłoną płóciennych baldachimów. Nie znać było, że nadciąga największa bitwa, jaka miała spustoszyć te ziemie.

Ten pozorny bezruch niepokoił Belzebuba. Wiedział, że władca jest dobrze chroniony, nawet jeżeli wyglądało to inaczej. Długo nie mógł dojść, gdzie odpoczywa Diogenes. Największy i najbardziej zdobny namiot lśniący w promieniach słońca od drogich kamieni i złotych nici, był w istocie miejscem, gdzie władca zwykł naradzać się ze swymi *Strategosami*. Dopiero z czasem wypatrzył, gdzie *basileus* chodził na nocny spoczynek. Jego namiot nie różnił się od tych, w których spali prości żołnierze, jednak został umieszczony w środku koła wyznaczanego przez krąg z wozów bojowych. Tam też kręciło się najwięcej zbrojnych.

Kalikst obserwował więc wszystkie drogi dojścia i ucieczki. Patrzył, którędy chodziły patrole i kiedy Roman IV opuszczał swe schronienie. Spojrzał dalej, na linię horyzontu. Z tego, co już zdołał ustalić, o jakieś pół dnia drogi, jadąc w kierunku Laodycei, rozciągał się drugi obóz, dowodzony przez Aleksego Komnena. A w nim kompani Belzebuba – Wit Wodnik i Waldemar Jałmużnik, o ile przeżyli i nie dołączyli w zaświatach do Muhammada i Nicetasa. No i ten zdrajca, Tyberiusz Piąchulec... Belzebub splunął na myśl o nim. Każdej nocy zasypiał, śniąc o katuszach, jakie będzie zadawał setnikowi, gdy już go dopadnie. Nikczemnik nie zginie zbyt szybko. Jego śmierć trwać będzie cała dobę albo dłużej!

Najpierw jednak czekało ważniejsze zadanie: zabić uzurpatora Diogenesa.

Oderwał wzrok od falującej w słońcu pustyni i wycofał się między skały, tam gdzie rozbił swoje obozowisko. Za dnia bał się palić ogień, by dym nie zwabił ludzi *basileusa*, musiał więc zadowolić się resztkami wczorajszego posiłku – mięsem chudej kozy, którą dwa dni wcześniej ukradł w jednej z wiosek. Było łykowate, a do popicia miał tylko mętną wodę, jednak nie narzekał. Ogryzł kości do ostatniego włókienka, opróżnił bukłak i ułożywszy się pod skałą, czekał, aż zapadnie mrok.

* * *

Wieczór przyniósł nagłe ochłodzenie. Ziemia i kamienie szybko traciły ciepło zebrane za dnia, a od morza ciągnął zimny podmuch. Kalikst zerwał się z legowiska i przez dłuższą chwilę skakał, przywracając żywsze krążenie krwi. Rozciągnął mięśnie, a potem pochylił się nad wygasłym ogniskiem. Wygarnął z popiołu kawałki spalonego drzewa. Startł je na kamieniu, po czym przyczernił twarz i wierzchy dłoni. Musiał być gotów na każdą sytuację, nie zawsze i nie wszędzie mogły go chronić skrzydła cienia.

Z niechęcią skrył między skały swoją ulubioną szablę. Ta broń towarzyszyła mu nieprzerwanie od początku, gdy stał się nowym człowiekiem... Od monasteru Czarnego Mnicha. Przeszedł z nią wszystkie bitwy i potyczki, nie zgubił jej nawet wtedy, gdy zdrajca Piąchulec wydał go na śmierć. Trudno, teraz nie mogła mu w niczym pomóc. Tylko przeszkodzić w cichej robocie skrytobójcy.

Zabrał więc puginał, ten z kanalikiem na krew Diogenesa, noszony jak relikwia w skórzanym pokrowcu zawieszonym na piersi, oraz dwa inne noże. Okręcił się w pasie liną i ruszył w dół zboczem. Wąski sierp księżycy ledwie oświetlał drogę, niekiedy nikił za chmurami.

Rybi fetor z nieustanną siłą drażniący nozdrza, sugerował, że Purrhos wlecze się gdzieś za nim. Kalikst przystanął.

– Trzymaj się ode mnie z daleka! Czuć cię na sto kroków, a to mi nie pomoże. Ja przywykłem już, owszem. Ale strażnicy uzurpatora od razu zwąchają, że coś jest nie tak. A więc zostańże tu czy gdziekolwiek! Nie leż za mną!

Czerwony demon posłuchał. Smród opadł. Kalikst puścił się lekkim biegiem do obozu Romana IV.

* * *

Wieczór rozpałił w obozie dziesiątki ognisk, odszpuntował beczki z winem, nabił na rożny mięsiwa. Rozbrzmiewał głosami tysięcy wojów krzepiących się w ostatnią spokojną noc przed bitwą. Osłonięty skrzydłami mroku Belzebub przeniknął przez pierwszą linię

posterunków straży.

Diogenes znów posłuży się Komnenem i naszymi ludźmi – myślał Kalikst, przemykając między ogniskami. – Puści ich w przód, a sam będzie oglądał bitwę z daleka. Wejdzie dopiero na dymiące zgliszcza...

Przebiegł jeszcze kilka kroków i padł na ziemię, bo szli strażnicy. Nie widzieli, go, ale wolał nie kusić losu. Blask ognisk odbierał mu niewidzialną osłonę.

– Turki są głupie i tchórzliwe – perorował z przekonaniem jeden z wojów, chrzescząc zbroją. – Jak *basileus* ich wykurzy z portu, to cała północna Syria będzie nasza. A ja mówię, że oni od razu czmychną do Saraceni, tam na wschód daleko, bo wojownicy z nich żadni. Wojna się skończy.

– Głupis – rzekł na to drugi. – Teraz się dopiero zacznie wojna. Co z tego, że oddali kilka miast? Nie mieli tu zebranych sił, a posiłki *atabega* z Mosulu to jedna drobina tego żywiołu. Oni są jak piasek zasypujący pustynię. Będzie ich więcej i więcej, bez końca...

Strażnicy przeszli, niczego nie spostrzegając, a Kalikst, lawirując między kolejnymi patrolami, dobiegł do wewnętrznego kręgu namiotów. Pośrodku znajdowało się schronienie cesarza. Na razie jednak panowała tu cisza, nienaturalna cisza.

Upewniwszy się, że w pobliżu nikogo nie ma i nie czeka go żadna niespodzianka, wskoczył na jeden z wozów. Wypełniały go beczki ze świeżą wodą dla władcy i z trudem udało mu się wcisnąć tak, by nikt go nie dojrzał. Naciągnął zawój głębiej na twarz, oparł łokcie na kolanach i zamarł bez ruchu.

Musiał doczekać, aż ucichną głosy w obozie, a Diogenes uda się na spoczynek.

* * *

Nim wyszedł z ukrycia, minęło pół nocy. Księżyc przewędrował po nieboskłonie, tnąc na pół Drogę Mleczną. Kalikst przywołał słowa swej modlitwy do mroku, by na nowo otulić się skrzydłami cienia.

Niewidzialny przeszedł na palcach w stronę namiotu *basileusa*. Przed wejściem tkwili dwaj warescy gwardziści. Z tyłu dostrzegł sylwetki dwóch kolejnych. Pilnowali, by do władcy nie przedarł się żaden intruz. Byli gorliwcami i wiernymi psami Diogenesa i to nieco komplikowało plany Kaliksta.

W tej sytuacji miał dwie możliwości. Podkraść się z boku i po cichu wykroić dziurę w namiocie. Lub też wniknąć od frontu, przeciskając się między wojami, licząc, że go nie wyczują. Po zastanowieniu się, wybrał jednak ten pierwszy pomysł. Padł na ziemię i powoli czołgał się w stronę namiotu. Stopa po stopie, piędź po piędzi.

A później nóż. Krótkie cięcie, otwór długi na łokieć. Nikt nie usłyszał dźwięku rozdieranej materii. Nikt nie widział – bo nie mógł – jak wślizguje się do wnętrza namiotu *basileusa*.

W środku było jeszcze ciemniej niż na zewnątrz. Kalikst odczekał, aż wzrok przywyknie do czerni. Wkrótce zaczął rozróżniać kształty przedmiotów. Pośrodku stało wysokie łoże.

Basileus spał spokojnie, leżąc na wznak z ramionami rozrzuconymi na boki. Z lekko rozchylonych ust wydobywał się chrapliwy warkot.

Nic prostsze – pomyślał Belzebub. – *Mogę go zarżnąć jak głupiego baranka.*

To wzbudziło w nim podejrzenia. Wszystko poszło zbyt łatwo. Zbliżył się na palcach do wyjścia z namiotu i spojrzał przez poły. Waredzy stali nieruchomo niczym skalne posągi.

To nie jest Diogenes – przyszło mu nagle do głowy. – *Jakiegoś dziadka podstawili, coby zwieść na manowce skrytobójców i zamachowców.*

Przyjrzał się uważnie twarzy śpiącego. W mroku niewiele widział, tylko kształty. Czy starzec miał tę bliznę na skroni, pamiątkę po ranie zadanej przed laty podczas wojny w Bułgarii? I tę drugą, na ramieniu, źle zasklepioną ranę po strzale z tureckiego łuku? Kalikst, upewniwszy się, że mężczyzna śpi głęboko i nie obudzi go dotyk, musnął jego twarz. Tak, miał bliznę, wyraźnie wyczuwalne zgrubienie.

Był też ślad po seldżuckim grocie na ręku. To jednak leżał przed nim Roman IV Diogenes, *basileus Rhomaiôn* we własnej osobie.

Belzebub nie tracił już więcej czasu. Sięgnął po pugiinał Czarnego Mnicha. Delikatnie przejechał palcami po ostrzu. Głownia o węzowatym kształcie pokryta była płaskimi rytami. Przekręcił pierścień u nasady rękojeści, wtedy odblokowała się wewnętrzna zapadka, otwierając kanalik na krew.

Chwyił mocno broń i wznosił rękę do ciosu.

– Diogenes, uzurpatorze... – szepnął. – Pozdrów diabulosów w piekle.

Naraz posłyszał nad głową szum ptasich skrzydeł. Para jastrzębi zataczała wąskie koła, trąc piórami o płótno namiotu.

– Cóż to? Sowa się kołacze?... – mruknął jeden ze strażników.

– To nie sowa... Patrz, to jastrzębie!

– Jastrzębie po nocy? Czary jakież?

Ptaki zniżyły lot, bijąc pazurami o płótno.

– Kjek, kjek, kjek! – rozległ się nagle wrzask drapieżnika. Chrapliwy i ostry. Zaraz odpowiedział mu drugi ptak, samiczka:

– Kje-ek, kje-ek, kje-ek!

Jej głos był cichszy, za to bardziej melodyjny.

Kalikst wypuścił pugiinał i złapał się za głowę. Poczuł nagły ból, jakby ktoś wlał mu pod czaszkę rozgrzany ołów. W uszach załomotała lawina spadających głązów. Przed oczami zalśniły czerwone i fioletowe kręgi.

Ten głos! Skrzek tego ptaka! Było w nim coś znajomego. Nazbyt znajomego! Krzyk jastrzębia obudził w Belzebubie jakieś odległe wspomnienie... Nie wiedział czego. Nie pamiętał. Nie rozumiał.

– Co...? Co się dzieje?... – wybełkotał z wysiłkiem.

– Kjek, kjek, kjek! – wrzasnął znowu jastrząb, a wtedy Kalikst padł z charkotem na kolana. Poczł nagle, że traci pewność siebie, tę nienawiść i złość, która dotąd nim kierowała.

Na zewnątrz zrobił się jeszcze większy harmider.

– Ptaki... Dwa... Nie, to nie sowy... Jastrzębie albo orły! Co z tego, że w nocy nie latają?! Te latają! Coby tylko się *basileus* nie zbudził... – mówili do siebie Waredzy.

Wkrótce przyszl ci z tyłu zwabieni dziwowiskiem, po nich następni dwaj stojący wcześniej za wozem z wodą.

– Kjek, kjek, kjek!

Czerwono-fioletowe kręgi pojaśniały, nagle Belzebub zaczął rozróżniać nowe kształty. Widział jakieś ciemne lochy jakby w zamku... Nie! To była jaskinia! A w niej on ze swoją szablą. I dziewczyna rozpięta na krzyżu z grubych bali. Widział, jak płacze. Słyszał, jak go błaga. Przeważenie w jej oczach i gasnąca miłość. A później błysk ostrza, okrutny śmiech, JEGO śmiech i koniec.

– Zoe... – wyszeptał. – Zoe...

Za chwilę zobaczył inne obrazy. Była noc. Konstantynopol. Szli na robotę ubrani w czarne złodziejskie stroje. Biegli w cieniu domów, kryjąc się pod drzewami aż wreszcie dotarli do wysokiego muru. Rezydencja bogatego kupca italskiego, który zbił fortunę, handlując bronią przewożoną między Genuą, Konstantynopolem a Lewantem. Tego dnia dostali zlecenie od konkurenta, który uprawiał ten sam proceder, tyle że z mniejszą skutecznością. Powiedział tylko: *Kradnijcie dla siebie, ile zdołacie unieść: złoto, papiery przewozowe, co tam chcecie. A czego nie dacie rady wynieść, zniszczcie, podpalcie, rozsypcie... Żeby drań poznał smak niepewności i wiedział, co to strach.*

Stanęli pod murem. I wtedy... Zamiast wspiąć się po linie i przeskoczyć na drugą stronę, Zoe przywarła do niego, obejmując go ramionami. Poczł jej usta – wilgotne, pełne miłości, wiecznie niespełnione. Jej dłonie błędzące pod fałdami tuniki, gwałtowne bicie serca i krótki, urywany oddech. Odwzajemnił jej pocałunki, spijając z nich całą słodycz i czułość.

Nagle go odepchnęła, śmiejąc się.

– Mamy robotę, mój demonie miłości... Nie możemy się tak obściskować jak wieśniacy w pszenicy. Skacz przez mur, a ja za tobą!

Zoe! Zoe! Zoe!

To wspomnienie spadło na niego jak pękające niebo. Poczł uścisk na sercu, tracił dech.

A później znowu: widział jak ją zabija, jak dźga jej kształtną pierś zimnym ostrzem szabli. Jak rechoce uradowany jej nieszczęściem.

– Zoe! Zoe, przebac mi! – krzyknął, nie dbając już o nic.

– Kjek, kjek, kjek! – wrzasnął jakby w odpowiedzi jastrząb i zaraz zawtórowała mu samiczka: – Kje-ek, kje-ek, kje-ek!

– Hola! Kto tu?! – Waredzy wpadli do namiotu władcy. Zalśniły pochodnie. Szczęknęły

miecze. – Skrytobójca! Łapać go! Zabić!

Padł zemdlony. Pugiwał z demonicznymi rytami leżał daleko wbity w ziemię.

Od śmierci pod mieczami Waregów uratował go *basileus*.

– Pochwyćcie go – rzekł, zeskakując z łoża. – Skujcie go łańcuchami. Chcę wiedzieć, co to za jeden i kto go nasłał.

* * *

– Chcę wiedzieć, co to za jeden i kto go nasłał – powtórzył podniesionym głosem Roman Diogenes swojemu doradcy, wbijając weń wściekle spojrzenie. – Bo przecież nie jest to TEN skrytobójca, o którym tyle słyszałem. Przecie on już oddał ducha Bogu, czyż nie?

Konsul Filozofów poczerwieniał. Odwrócił twarz, by władca nie widział zmieszania i paniki wykrzywiającej jego spokojne oblicze. Zakaszłał i rzucił półgębkiem.

– Kto go tam wie...

– Co mówisz, Italosie? Głośniej, nie słyszę, co tam mamrociesz!

Starzec czuł narastający niepokój ciężący niczym kamienna kula zawieszona u szyi. Władca był rozsierdzony jak nigdy, a jemu przed oczami stanęły te lata poniewierki, gdy patriarcha Kosma i jego ludzie za punkt honoru postawili sobie skazać *barbarzyńcę z Zachodu* na wygnanie lub śmierć.

– Panie... – wymamrotał filozof. – To w istocie jest ów zabójca, który przysporzył nam tylu kłopotów.

– Ten, którego rozszarpał twój *basiliskos*? Ten, którego śmierć widziałeś w swoich magicznych ognikach?

– Panie, ja wiem! Ja rozumiem! Raczysz teraz sobie ze mnie kpić i jak na to spojrzeć tak za boku, to owszem, masz rację. Bo uważasz, żem skłamał.

– A nie skłamałeś? Miał nie żyć! A żyje!

Mędrzec powoli odyskiwał rezon. Bardzo chciał powiedzieć: *Ołgałem cię, panie, bom już dłużej nie mógł znieść, że kryjesz się za moimi prorocztwami jak zajac. Że boisz się stawić czoła zagrożeniom, na mnie zrzucając kwestię swego bezpieczeństwa. Żeś ode mnie uzależnił losy swojego cesarstwa, a me słowa winny być dla cię jeno wskazówką, a nie wyrocznią. Poświadczyłem nieprawdę, bo nie chciałem, by strach dłużej krępował cię pętami niemocy.*

Tego rzecz nie mógł, bo nawet najbardziej dobrotliwy władca nie zdzierzyłby takiej zniewagi. Zachował więc te przemyślenia dla siebie i postanowił skierować uwagę Romana Diogenesa w inną stronę.

– Mój panie! Ten człek nie jest zwykłym opryskiem. Jest ogarnięty władzą demona i to demon daje mu witalną siłę, która przywraca go do życia po śmierci!

Italos przerwał, chcąc nadać swym słowom większej mocy. Skrzywił się teatralnie, by władca nie miał wątpliwości, że mają do czynienia z siłami nieczystymi.

– Mów dalej – rozkazał *basileus*. – I nie rób scen jak kuglarz na hipodromie. Tłumacz!

– Pamiętasz, ilekroć go oglądałeś w wizjach, czerpiąc siłę z magicznego ognia, zawsze otaczała go mroczna aura. Nigdy nie mogliśmy dojrzeć jego twarzy ani usłyszeć prawdziwego głosu jego mocodawców. Nieraz byliśmy już na jego tropie, już niemal wiedzieliśmy, kto zacy i jak go zabić. Zawsze jednak ktoś, a może coś, jakaś siła, stawiała nam na drodze. Kto przywrócił skrytobójcę do życia? Jaki demon nim włada? A zresztą to nieważne! Co innego jest ważne!

– Kto chce mojej śmierci? Kto go nasłał?

– Tak, panie! Tylko to się teraz liczy. Wierzę, że uda nam się z niego wydobyć całą prawdę torturami. A później wydać katu. Najpierw odciąć głowę. Później poćwiartować, członek po członku. Każdy z nich następnie spalić w innym miejscu, w osobnym ognisku. Po tym demon już się nie odrodzi, a twój zabójca nie będzie ci więcej zagrażał.

– Dobrze, zatem niech śpiewa ptaszek. Chcę wiedzieć, kto stoi za spiskiem.

* * *

Siedział skuty kajdanami jak galernik, zamknięty w klatce dla dzikich bestii z Afryki. Było mu to obojętne. Duchem błąkał się z dala od tego miejsca.

W głowie wciąż słyszał wrzask jastrzębia: *Kjek, kjek, kjek!* Ptasi głos dźgał go gdzieś w sam środek serca jak mały puginał. Zatrzuwał krew, nie pozwalał zebrać myśli.

Co to za ptak? – nieustannie powtarzał sobie to pytanie. – *Dlaczego mnie nęka? Dlaczego jego krzyk wydaje mi się tak znajomy...?*

Do klatki podszedł *basileus* Diogenes.

– Panie, ostrożnie – ostrzegł go Italos. – Jest skuty, ale wciąż może rzucić na ciebie zły urok. Wystarczy mu złe spojrzenie...

– Nie wygląda mi na takiego... Coście mu za miksturę zadali? Trzęsie nim, jakby miał zaraz wypluć język.

– Nic, panie. To musi być zła magia, która teraz z niego uchodzi. Nie radzę się zbliżać.

To jeszcze bardziej rozochociło władcę. Sięgnął po szablę i wsadził jej koniec między pręty. Drasnął jeńca w ramię. Ten nawet nie jęknął. Toczył rozbieganym wzrokiem, jakby w ogóle nie dostrzegał, co się dzieje.

– Mówże! Kimże jest twój pan? Z czyjego działasz zlecenia?

Mój pan?... – myślał Belzebub. – *Kim jest mój pan, no właśnie?...*

Nie pamiętał. Nie wiedział. Czaiło się w nim niejasne wspomnienie mrocznej mocy, siły potężnej jak głębia morza, bezkres oceanu, wyniosłej jak najwyższe szczyty pokryte czapami śniegu. W zakamarkach pamięci przechowywał wspomnienie strachu i niepewności, jakie wiązały się z obcowaniem z cieniem, z jego głębią i zimnem. Z kim? Z czym? Odkąd usłyszał wrzask nocnego jastrzębia, nie mógł sobie przypomnieć. Nie wiedział, kim jest, kim był,

dokąd podążał.

Z czasem wygrzebał z otchłani zapomnienia jakieś strzępy. Konstantynopol... Gildia złodziei... Wtedy nie miał żadnego pana nad sobą. Był lojalny wobec organizacji, wykonywał pewne zadania, ale nikt nie był dysponentem jego woli. Mógł robić, co uznał za stosowne i warte uwagi.

Mistrz Atanazy? Nicetas? Zoe?

Tak! Piękna Zoe! Jego wierna towarzyszka, jego najlepszy przyjaciel, jego... kochanka.

Powoli wracała mu świadomość dawnych chwil. Obrazy z przeszłości uderzały w niego niczym kamienna lawina, rozbudzając ukryte wspomnienia.

– Zoe... – wyszeptał. – Zoe, ja cię zabiłem... Kochana... To nie może być! Ja cię zabiłem!

– Zoe? – czujnie podchwycił *basileus*. – Kim jest Zoe? Czy to twój mocodawca? Oj, chyba nie... Mówże! Co kryjesz?

– Ja... Ja nic nie pamiętam... – wybełkotał Kalikst. – Nie wiem, kim jestem. Te ptaki...

– O co, do diabła, chodzi z tymi ptakami? Dlaczego w nocy zaatakowały mój namiot dwa oszalałe jastrzębie? I dlaczego ten idiota teraz o tym bredzi? To nie ma sensu! Italosie!

– Tak, mój panie!

– Taki jesteś mądry! *Konsulem Filozofów* się mienisz! Zatem przedstaw mi logiczne wytłumaczenie tej sytuacji! Dlaczego ten głupiec chciał mnie zabić? Dlaczego bełkocze coś bez sensu, miast wydać swego zleceniodawcę i iść na ugodę? I o co, zaprawdę, chodzi z tymi jastrzębiami? Dlaczego te ptaki latają nocą?

Italos bezradnie rozłożył ręce.

– Musi to być...

– Tak tak, wiem. Jakaś ciemna magia! Dość już mam twych kłamliwych słów, które nic nie wyjaśniają, ale mają sprawić wrażenie, że coś wiesz. A ty nie wiesz nic. Więc teraz już zamilcz!

Mędrzec cofnął się, chowając dłonie w połach szaty. Roman Diogenes odrzucił szablę. Wsunął dłoń przez szpary klatki, złapał jeńca za tunikę i rzekł:

– To dzięki tobie Komnen zdobył Antiochię. Ty jesteś tym cichym bohaterem, który wdarł się do miasta i wprowadził tam moich ludzi. Przez wzgląd na to jestem skłonny pójść na pewne ustępstwo. Zapomnę, że cię znaleźli z puginałem przy moim łożu. Żeś prawie spełnił swe zadanie i zatopił ostrze w moim sercu. Chcę tylko jedno wiedzieć: kto chce moje śmierci, kto cię przysłał? Wyjaw to, a daruję ci życie. Zostaniesz wygnany na tereny wroga. Jeżeli przeżyjesz, uchodząc od szabel Saracenów, to twój zysk. Zatem gadaj! Kto!

Kalikst długą chwilę walczył jeszcze z mrokiem niepamięci, próbując wydobyć z jej bezmiaru coś, co byłoby prawdą, a nie kolejną uludą.

– Nie pamiętam... Nic nie wiem! – krzyknął rozwścieczony. – Dajcie mi spokój! Dajcie mi umrzeć, skoro i tak chcecie mnie zabić! Nic nie wiem! Nie pamiętam!

Wtedy nagle znów posłyszał krzyk jastrzębia:

– Kjek, kjek, kjek!

– Tylko nie to... – wyszeptał.

– Znowu te ptaki – powiedział Roman IV. – Co to ma znaczyć?...

– Kjek, kjek, kjek!

– Dlaczego... – bełkotał Kalikst. Poczł pulsujący ból pod skroniami. – Co... Co się znów dzieje?!

Nagle zaczęły spływać na niego niekontrolowane obrazy, chaotyczne, bezsensowne, nieuporządkowane, jednak powoli wydobywał z tego coraz wyraźniejsze wspomnienia. Krzyk jastrzębia podziałał najpierw jak salwa z *igró pyr*, później stał się lodowatym górskim potokiem.

Przypomniał sobie, kto go zniewolił. Powrócił ból, który odczuwał, wisząc w klatce nad przepaścią. Narastała w nim rozpacz i tęsknota za Zoe.

– Dobrze... – wystękał, trzęsąc się jak w febrze. – Dobrze, cesarzu. Powiem ci, co wiem... Zdradzę ci, kto chciał być moim panem i uczynił mnie swym niewolnikiem. Słuchaj więc uważnie, bo więcej tego nie powtórzę.

* * *

Basileus skinął na *Italosa*.

– Wiesz, co robić?

– Tak, panie. Żadnej litości. Jeszcze dziś pošlę ludzi, by załatwili sprawę.

Diogenes rozejrzał się dyskretnie wokół siebie. Obóz tętnił życiem, trwały przygotowania do bitwy. Plotkę o nocnych wydarzeniach w namiocie władcy przyćmiły wieści spod *Laodycei*. Oddziały *Komnena* wraz z normańskimi najemnikami zamknęły miasto żelaznym pierścieniem. Szpiedzy donosili, że *Seldzucy* nie mieli szans, by utrzymać się zbyt długo. Widok wież obłężniczych obłożonych mokrymi skórami, plujących ogniem greckim przerażał ich niczym szatani z piekła. Konstrukcje pchane przez sprytnych *Rhomaioi* przypominały im jakieś ogromne dzikie zwierzęta, potwory z siódmego kręgu piekła strzykające płomieniami spomiędzy zębów. Rzecz jasna, zdawali sobie sprawę, że to tylko narzędzia bojowe *Rumów*, jednak dusze niewiernych ogarniał narastający lęk. Lęk przed tym, co nieuchronne. A nie wiedzieli jeszcze, że wkrótce nadciągną większe siły prowadzone przez samego *basileusa*.

Mimo harmidru, jaki panował w obozie, Roman IV wolał odciągnąć filozofa na bok. Tej rozmowy nie mógł nikt słyszeć, a zacisze namiotu przestało już być tak bezpieczne.

– Chodź ze mną i posłuchaj uważnie. Chcę, żeby ta sprawa była załatwiona perfekcyjnie.

Mędrzec posłusznie ruszył za władcą, który dziarskim krokiem wszedł między namioty. Gestem nakazał ochraniającym go *Waregom* trzymać się z dala. Ignorując pozdrowienia oficerów i pełne szacunku okrzyki swych żołnierzy, poprowadził swego doradcę poza obóz. Dopiero gdy stanął na szczycie niewielkiego wzgórza nieopodal, uznał za stosowne wyjaśnić,

w czym rzecz.

– Italosie, to sprawa delikatna i nikt się nie może o tym dowiedzieć. Nie w tym rzecz, że mam jakieś obiekcje natury ogólnej. Prawdę mówiąc, wręcz powinienem dokonać tutaj pokazowej egzekucji, co by polepszyło morale dworu oraz powstrzymało innych spiskowców. Jednak przez wzgląd na *basilissę* Eudoksję muszę schować dumę i zaprzestać myśli o pokazowej karze. No dobrze, chodzi o *basilissę* oraz rody, które mogłyby wykorzystać taki pretekst do wzniesienia buntu.

Filozof pokiwał głową. Zerwał suchą trawkę i żując jej łądygę, stwierdził:

– Rozumiem, panie. Gdybyśmy byli w Konstantynopolu, moglibyśmy trzymać rody na krótkiej smyczy. Tam by do żadnych buntów nie doszło i taka pokazowa egzekucja utrzymałaby w ryzach spiskowców. Jednak tutaj, z dala od szerokiej perspektywy, jaką daje Konstantynopol, z dala od pałacu, swych logotetów, skarbcza i gwardii pałacowej, z dala od ustalonego porządku, który od setek lat jest gwarantem trwania cesarstwa, tutaj musisz zachować pewną powściągliwość, panie.

– Słusznie prawisz, mój wierny Italosie. – Cesarz był wyraźnie ukontentowany, że jego doradca tak dobrze zrozumiał go w tej delikatnej kwestii. – Otóż całkowicie masz rację i aż mnie korci, by odłożyć karę na później i nałożyć ją już po zwycięskiej kampanii w świetle dnia.

– Ale któż wie, czego dopuściliby się zdrajcy, nim nadeszłaby ta chwila? Nie wolno im pobbłażać, czyż nie tak, panie?

– Nie możemy tam posłać nikogo z naszych ludzi. Nawet nikogo z tych, którzy znają naszych ludzi i winni im są przysługę. To musi być ktoś, kogo będę mógł wykorzystać do zlikwidowania niewygodnych spiskowców, a później, gdy skończy się wojna, przykładowie ukarać na otarcie łez Eudoksji.

– To najlepsze rozwiązanie i mam już kogoś na oku. Obiecałem im pełne ułaskawienie w twoim imieniu, panie, oraz adekwatne do wagi sprawy wynagrodzenie w złotych solidach.

Basileus popatrzył z niepokojem na swojego doradcę.

– Ułaskawienie? Zaraz! Ty nie mówisz o tych oberwańcach, którzy uciekli Komnenowi? O tym kuternodze i dwóch rzyżych braciach?

– O nich właśnie mówię.

– Oszalałeś, zdradzą nas jak inni! Uciekną, nie wykonają roboty albo później rozpuszczą złe języki po pijanemu.

– Panie, to są opryszki z Konstantynopola. Będą wdzięczni, gdy zwrócimy im wolność i pozwolimy wrócić do miasta w zamian za pewną przysługę. Będą trzymać gęby na kłódkę, tego jestem pewien. Usta zamknie im wisząca nad nimi zemsta rodu, a jak się nawet wygadają w pijackich majakach, to i tak nikt nie da wiary ich historiom. A jak da, to jakby własnymi rękami sobie stryczki ukręcili. Nie mają powodów, by gadać. Zresztą jest na to jeszcze inny sposób. Pozbędziemy się ich, nie brudząc sobie rąk. Mam już wszystko przygotowane.

– Twoje gierki mnie niepokoją, Italosie. Skąd pewność, że we trzech dadzą radę? Lepiej dobrać im jeszcze kilku ludzi, tych tam oberwańców i łajdaków. Będzie z tego jakiś pożytek.

Konsul Filozofów pokręcił głową. Szarpiąc brodę, popatrzył podejrzliwie na boki.

– Nie możemy, panie. To się wyda! Zważ na jedno: tych trzech uciekło z twej służby. To zdrajcy i tchórze, którzy nie chcieli oddać życia za cesarstwo i świętą wiarę chrześcijańską. A do tego, wyobraź teraz sobie, uciekając z armii Aleksego Komnena, dokonali rabunku i mordu na mieszkańcach przypadkowego domostwa. Dziwnym trafem zaszlachtowali dobrze urodzonych. Dla złota. Ale duży oddział, cała wyprawa już nieco burzy ten mit. Ludzie zaczną gadać, że *basileus* szykował wielką wyprawę. Powstaną plotki. Ludzie będą snuć domysły, dlaczego skazańcy nagle odzyskali wolność i to w trakcie wojny.

– Słusznie prawisz, ale cały czas nie przekonałeś mnie, jak ci trzech mają podołać zadaniu.

– To wyuczeni złodzieje. Skraść czyjeś życie to dla nich jak przywłaszczyć sobie mieszek z solidami. To musi być cicha robota. Pod osłoną nocy, z puginałem w dłoni, a nie najazd z mieczami i pochodniami. A o to, by tych trzech poradziło sobie nie gorzej, niż cała *hekatontarchia*, zadbam już ja. Dam tym opryszkom coś, co w nocy zapewni im przewagę. Widzenie sowy. Z pewnym małym dodatkiem. Tym samym sposobem rozwiążemy też problem gadatliwości. Nim dotrą do Konstantynopola, wyplują z krwią swoje własne płuca.

– Trucizna?

– Działająca bardzo powoli, ale skutecznie.

Władca rozmyślał długą chwilę, patrząc na smugi dymu wijące się nad obozem. Wreszcie obdarzył Italosa wzrokiem pełnym niechęci i rzekł:

– Dobrze... Niech zatem będzie, jak mówisz. Uwolnij tych łajdaków, tylko dyskretnie. Upozoruj ucieczkę, później puścimy za nimi pościg, ale w innym kierunku. I wykorzystaj ich dla sprawy. Zadbaj, żeby tym razem wszystko poszło jak należy.

– Tak będzie! Już tak to rozegram, że wyjdzie na nasze. Powiedz mi jeszcze, panie, co uczynimy z tym niedoszłym skrytobójcą? Każesz go nabić na pal?

Basileus w zamyśleniu targał brodę.

– Nie – postanowił wreszcie. – Wydał swoich mocodawców, wcześniej wykazał się męstwem podczas zdobywania Antiochii. Nie mogę go w tej sytuacji tak po prostu nabić jak owcę na rożen. To by podkopało morale moich żołnierzy. Dlatego kara będzie inna. Znajdź mi kata. Niech publicznie zetnie mu głowę.

ROZDZIAŁ 15

Dwa dni później ogniowe oddziały Aleksego Komnena poczyniły wyłom w murze obronnym Laodycei. Natychmiast wdarli się tam najemnicy, a gdy wschodnia brama stała się otworem, do miasta wjechali *klibanophoroi*. Tureccy obrońcy, którzy osobiście doświadczyli zawziętości i męstwa *Rumów* oraz ich piekielnego ognia *igró pyr*, nie zwlekali. Gdy tylko posłyszeli tętent kopyt cesarskiej jazdy, rzucili się w panicznej ucieczce do portu, by skorzystać z ostatniej szansy na uratowanie głów. Starzy mieszkańcy Laodycei zatrząskiwali z łomotem drzwi i okiennice domostw, licząc na to, że zdobywcy nie puszczą ich dobytku z dymem. Byli jednak tacy, którzy zdecydowali się podjąć walkę, wspierając seldzuckie oddziały ulokowane wewnątrz miasta. Rozgorzało tam prawdziwe piekło.

Kiedy szpiedzy donieśli *basileusowi* najnowsze wieści z pola bitwy, ten zaraz wydał rozkaz wymarszu. Gdy prowadzone przezeń oddziały dotarły pod mury Laodycei, wciąż trwały jeszcze walki.

Ustały wieczorem. Łuny płonących domów i statków w porcie rozświetlały noc, zdaloby się, że to zachód słońca wciąż trwa i trwa mimo nadchodzącej północy.

Przez ten czas Kalikst tkwił za kratami zakuty w łańcuchy. Jego klatka została wciągnięta na wóz, a czterech ponurych kawalerzystów pilnowało, by jeniec bezpiecznie dotarł na miejsce przeznaczenia – do miejskich lochów.

Dopiero w Laodycei przestał słyszeć jazgot pary jastrzębi. Ptaki, które wcześniej cały czas towarzyszyły mu ze swoim *kjek, kjek, kjek*, teraz szybowały wysoko ponad zasnutymi dymem dachami budynków. Ich nawoływania ginęły w zgiełku miasta, w wyciu zarzynanych ofiar, w trzasku palonych domów.

Strażnicy powlekli go do przysadzistej wieży w pobliżu portu. Pociągnęli krętymi schodami w dół, nie szczędząc razów i grubych słów. Wiezienie było puste, choć kamienną podłogę znaczyły długie ślady krwi, a w pomieszczeniu cuchnęło śmiercią i strachem.

Dostał zimną cełę, w której smród rozkładu i kałuże krwi były jeszcze większe. Strażnicy nie zdjęli mu jednak łańcuchów.

– Ej, wy tam, gady! – warknął Belzebub. – Co jest? Bransoletki to se zabierzcie, co!

– Milcz, bydlę! – ryknął ich dowódca. – Zostaniesz skuty, jak jesteś. Aż do egzekucji. I zawrzyj gębę, radzę ci. Chyba że chcesz, żebym ja to zrobił tym... – Strażnik znacząco

uniósł wielką maczugę nabijaną kolcami.

– Do egzekucji... – szepnął Kalikst i już więcej się nie odzywał. Leżał na gnijącej kupie siana, próbując zebrać myśli.

Później zapadł w męczący sen.

Obudził się z kłującym uczuciem niepokoju. Co gorsza, niezbyt pamiętał wydarzenia ostatnich dni. No tak – zamach na uzurpatora się nie powiódł. Tyle wiedział. Ale co było przyczyną porażki? Co powstrzymało go przed zatopieniem puginału w sercu Diogenesa? Był przecież tak blisko! To pamiętał doskonale! Przypominał sobie, jak muskał ryty na głównej noża, jak przekręcał ukryty pierścień w rękojeści. Był tak bliski wykonania zdania. Ale co mu przeszkodziło?... Tego nie pamiętał.

Podpełzł do krat. W głębi korytarza dojrzał nieruchome sylwetki strażników podobnych do rzeźb. Nie, nie wyglądali na takich, których można przegadać i przekupić.

– *Gamoto!* – zaklął cicho. – Jak ja was, gady, nienawidzę! Jak ja bym wam te głupie łby porozbijał... Gdyby nie te łańcuchy, inaczej byśmy pogadali.

Na górze zdobywcy miasta dogaszali ostatnie pożary i dobijali rannych. Laodycea była zdobyta!

* * *

Następnego dnia strażnicy gdzieś znikli, a pobitewny zgiełk ucichł. Gdy ze skwierczeniem zgasła ostatnia pochodnia, lochy ogarnęły ciemności. Z zewnątrz nie docierały tu żadne dźwięki, Belzebub słyszał tylko kapanie wody ściekającej po ścianie, szelest wiatru w szparach, czasami w któreś z cel pisnął szczur.

Najpierw tylko leżał, próbując przebić wzrokiem ciemności. Galopujące myśli pędziły w bezkresną czerń jak bojowy rydwan ciągnięty przez oszalałe z bólu konie. Z czasem mdłe światło przenikające przez niewielkie okienko w końcu korytarza przywróciło naturalne kształty kratom i grubo ciosanym kamieniom ścian.

Wstał i pobrzękując łańcuchami, doczłapał do krat.

– Ejże! Jest tam kto?! Gady!

Chwycił za pręty i zaczął szarpać kratę. Poruszyła się o włos, wyrobiony kamień zazgrzytał, jednak po jakimś kwadransie szarpaniny więzień zdał sobie sprawę, że nic z tego. Widać przez lata futryna się nieco obluźowała, ale właśnie tyle – lata – musiałby trząść żelaznymi prętami, by odzyskać wolność.

Ruszył więc w drugą stronę, na koniec celi. Obmacywał ściany, szukając obluźowanych kamieni. Sekretne przejście wykute i wykopane przez innych więźniów, zamaskowane granitowym blokiem? Szybko zdał sobie sprawę, że to głupota. Opadł więc zrezygnowany w kącie, opierając policzek o zimną powierzchnię muru.

Do wieczora niewiele się zmieniło. Gdy zaszło słońce, znikła też ta drobina światła

sącząca się przez jedyne na tym poziomie okienko. Wtedy na dobre zatracił rachubę czasu, a pomieszczenie znów zalała ciemność, którą niespokojny umysł mógł zapełniać dowolnymi kształtami.

Rydwan myśli pędził z łoskotem ku niewidocznej przepaści...

Później zasnął. Obudziło go łomotanie w kratę. Gad przyniósł jedzenie.

– Masz tu, żryj! Żebyś nie padł za wcześnie...

– Co przyniosłaś, szynkareczko? – zaczepnie zapytał Kalikst. – Wina bym jeszcze popił, ino lekko schłodzonego, tak jak zwykle!

– Ja ci, *malaka*, dam! Naszczać ci mogę do miski, będziesz miał wino!

Strażnik wsunął naczynie w szparę pod kratą i podzwaniając mieczem, poszedł na górę. Tyle dobrego, że zostawił nową pochodnię.

Belzebub sięgnął do miski. Rozgotowana i nieco zatęchła kasza polana tłuszczem. To i tak więcej, niż mógł oczekiwać. Wylizał naczynie do dna.

Wkrótce pochodnia zgasła, a po strażnikach nie było ani śladu. Kalikst leżał, słuchając kapania wody w celi obok.

Nazajutrz koło południa usłyszał chrzęst zbroi i dziarskie kroki kilku strażników. Szli, niosąc pochodnie, prosto do jego celi.

Ten, który przyniósł mu wcześniej kaszę, otworzył kratę i pierwszy wszedł do środka.

– A gdzie wino? Przecie zamawiałem – zachichotał Kalikst.

– Morda! – ryknął gad i kopnął go w twarz. – Zaraz odechce ci się żartów. Idziesz spotkać się z katem! Bierzemy go!

Zbrojni wywlekli go na korytarz i powiedli krętymi schodkami w górę. Gdy wyszli z więzienia, aż się zachwiał – światło dnia boleśnie wbiło mu igły pod powieki. Zamknął oczy i pozwolił prowadzić się jak baran na rzeź, nie wiedząc wcale, dokąd go wiodą.

Spotkać się z katem – tyle powiedzieli...

W końcu rozchylił ostrożnie powieki. Mrugając, przyzwyczyił oczy do słonecznego blasku. Wprowadzili go na plac pełen rozochoconej gawiedzi.

– Idzie! Wiodą go! – darła się tłuszcza.

– Czarownik! Zdrajca! Morderca!

– Szybciej! Co się guzdrzą?! Jak sami nie umita, dajta go nam!

Belzebub popatrzył po wykrzywionych nienawiścią twarzach. Byli tu miejscowi Syryjczycy, którzy mieszkali w Laodycei, zanim jeszcze przyszli Turcy. Byli Armeńczycy, byli Żydzi, byli *Rhomaioi*. Byli także wojacy z oddziałów cesarza, dojrzał nawet kilka znajomych twarzy ze swojej *hekatontarchii*. Widowisko przyciągnęło wszelkiej maści włóczęgów, opryszków, bandziorów i oberwańców ogałacających trupy na polach bitew. Teraz cała ta szumowina spłynęła do miasta zwabiona czymś nowym – egzekucją.

Wojna rozlała tyle krwi, zostawiła za sobą tyle trupów, że kolejna śmierć nie powinna budzić już większych emocji. Każdego dnia ginęła w mękach setka niewinnych, jeżeli nie

tysiąc. Odbierano im życie na wszelkie możliwe sposoby, daleko bardziej okrutne niż katowskie ścięcie. Odrąbywano głowy, odcinano ramiona, nogi, palono, sieczono mieczami, przebijano włóczniami i szpikowano strzałami.

To jednak była wojenna codzienność. A oprawca, katowski topór, pieniek ustawiony na środku miejskiego placu – o, tego dawno nie oglądano! No i – jak pomyślał Kalikst w przyływie wisielczego humoru – to był *znak pokoju*. Wspomnienie tego, że nie zawsze będą toczyć się tu bitwy i oblężenia. Egzekucja za najdrobniejszą choćby przewinę była dla wielu obietnicą, że wojna odejdzie i znów nastaną lepsze czasy. Takie widowisko było równie miłe, co przejazd *basileusa* rozrzucającego tłuszczy solidy ze swej przepastnej sakiewki.

Strażnicy poprowadzili Belzebuba w stronę drewnianego podwyższenia, pięściami i pałkami torując sobie drogę wśród wyjącego z uciechy tłumu. Gawiedź najchętniej rozszarpałaby skazańca już tu, zanim dojdzie do miejsca kaźni. Zbrojni ledwie uchronili go przed pięściami i pałkami, nie byli jednak w stanie powstrzymać lecących kamieni. Kalikst osłonił głowę ramionami.

– Morderca! Spiskowiec! Zdrajca!

Patrząc na twarze poczerwieniałe z ekscytacji, na rozszerzone z nienawiści oczy, na krzywe zęby i złamane nosy, nie miał wątpliwości. Gawiedź przyszła tu bynajmniej nie z miłości do *basileusa*. Bo jakież uczucia wobec konstantynopolitańskiego władcy mógł żywić syryjski sprzedawca ryb, który przez lata płacił podatki Fatymidom, później był ograbiany przez Seldżuków, a teraz zobaczył nowego pana – Romana IV. Umęczony wojną motłoch pożądał igrzysk. A kogo ścinają i za co, to już furda. Bez znaczenia, byle było widowisko, *theatron*. Nic to, że wokół trup ściele się jak piasek na plaży, że krew niewinnych znaczy wszystkie drogi do i z Laodycei. Tamto rzecz zwyczajna – jakiś żołnierz zabija drugiego albo morduje miejscowego chłopca, bo jest głodny i napiłby się wina. Któż by widział w tym jakąkolwiek przyjemność?! Ale publiczne ścięcie skrytobójcy, który zamierzył się na wielkiego pana? O, to są prawdziwe igrzyska!

Kalikst obserwował okolicę. Na tarasie okazałej rezydencji położonej w północnej części placu siedział sam *basileus* w towarzystwie swoich *Strategosów*, logotetów, sług i osobistej gwardii Waregów.

Chociaż na placu było wielu żołnierzy z jego *hekatontarchii*, nie dojrzał nigdzie ryżych Żmudzinów. Nikogo ze swych najlepszych ziomków.

Pewno wszyscy zginęli jak Nicetas... – westchnął. A *przecież* w głębi duszy tliła mu się iskierka nadziei, że kompani wyratują go z opresji. Zorganizują ucieczkę, odbiją, ocala... Ale nic z tego. Starzy przyjaciele zawiedli.

– He, he, widzisz, zdrajco? – zagadnął strażnik, dowódca oddziału, który przywłókł go na stracenie. – Widzisz ten motłoch? Każden jeden by ci gardło własnoręcznie poderznął. I jeżeli liczysz na cud, to zapomnij. Cudu nie będzie, nikt cię nie uratuje. He, he!

Gad nie kłamał. Gdyby miała nadejść pomoc, stałoby się to już. Patrzył nerwowo na boki,

jednak nic, po ziomkach ani śladu.

– Może czekają na ostatnią chwilę... – mruknął. – Może chcą wybrać lepszy moment...

Czuł jednak, że się oszukuje. Że jak pająk snuje pajęczynę, pajęczynę złudzeń i miraży. A później sam w nią wpada, szamocząc się niczym mucha.

– Oprawco! Nie zwlekaj! Utnij mu łeb i rzuć na pożarcie psom!

Zobaczył go: spodziewał się odzianej na czarno postaci z twarzą ocienioną kapturem. Miast tego ujrział Saracena rosłego na jakieś siedem stóp, w czerwonych portkach wyszywanych złotą nicią, w białej koszuli i narzuconym na nią zielonym kubraku. Jego twarz porastała krótka, misternie wycięta broda, spod nosa zwisały fantazyjnie zawinięte, natłuszczone wąsy. Na wygolonej do skóry czaszce zbierały się kropelki potu.

– *Gamoto!* Co to za cudak? – jęknął Kalikst. Saracen trzymał w ręku długi, prosty miecz o kunsztownie zdobionej rękojeści, na której błyszczał zielony, lśniący kamień.

* * *

– Jezu Chryste, a co to za przebieraniec?! – wystękał Italos. – To on ma dokonać egzekucji?

– Ha, ha, ha! Dobry jest, czyż nie? – *Basileus* był w wysmienitym humorze. Skinął na sługę, by ten przesunął nieco baldachim chroniący władcę przed słońcem. W tym czasie drugi z pacholków nalał chłodnego białego wina i podsunął tacę z oliwkami, małżami i wędzonymi sardynkami. – To jest, mój drogi filozofie, seldżucki sułtan Mehmet Mustafa. Do niedawna był tu panem i władcą, rzekłbyś nawet, srogim bogiem jak jakiś Zeus.

– On to raczej jakiś Allah.

– Niech będzie Allah! Więc był tu niczym Allah albo drugi po nim. Jak mi doniesiono, podczas oblężenia, owszem, starał się i zmyślnie kierował swoimi wojskami, a gdyśmy się wdarli do miasta, uciekał jako jeden z ostatnich. Pierw chciałem go ubić albo skazać na jakieś wymyślne tortury i śmierć. Spalić żywcem na przykład. Ale później pomyślałem, niech weźmie udział w moim przedstawieniu, za to daruję mu życie.

– Gdyby nie okoliczności, rzekłbym, że winno być na odwrót. Schwytanego seldżuckiego dowódcę ścina nasz bohater... Szkoda tylko, że nasz bohater okazał się również zdrajcą.

Italos patrzył na podest. Saracen ostrzył swoje narzędzie spokojnymi, długimi ruchami. Tłum ryczał w zniecierpliwieniu.

– Kacie! Nie zwlekaj! Utnij mu łeb i rzuć na pożarcie psom!

– Zabij go! Nie ostrz, tylko już zabij!

Nagle mędrzec uświadomił sobie, że widział tę scenę! To przecież ta wizja, którą miał po donosie Jeroboama, pomocnika żydowskiego kupca! Ale przecie wtedy wyglądało to zgoła inaczej. Według tamtego objawienia, złodziejasek miał być skazany już parę dobrych tygodni temu. Łeb miał mu odciąć nie turecki sułtan, tylko kat w czerni, anonimowy i cichy,

w milczeniu zadający śmierć. Gdyby wtedy lepiej oszacował czas i miejsce, nie pomyliłby się w ocenie sytuacji, a *basileus* pojmałby skrytobójcę już wcześniej!

– Jak mogłem się tak pomylić... – szepnął, skubiąc brodę. – To mogło kosztować życie nie tylko władcę, ale także i mnie.

– Co mówisz, Italosie?

– Ten Czarny Mnich, panie... Nie wiem, kto to jest, ale udało mu się kilka razy pokrzyżować nam plany. Wciąż nie wiemy, kto to jest i jakie ma zamiary. Może nam jeszcze nastreczyć sporo kłopotów. Cały czas nas zwodził i boję się, że jeszcze się nie poddał.

Basileus gestem nakazał mu zamilknąć. Na podest wyszedł logoteta odziany w białą tunikę z zielono-złotą lamówką, strojny i oficjalny, tak jakby znajdował się na dworze w Konstantynopolu, a nie w szarej od dymów pożarów Laodycei. Wyciągnął rękę ponad tłum i o dziwo – gawiedź umilkła nieco, dzięki czemu urzędnik mógł odczytać wyrok:

– Z woli Bożej miłosiernie nam panujący autokrator *basileus Rhomaión, hagios, niketes*, Roman IV Diogenes, władca Cesarstwa Rzymskiego, zdobywca Armenii, Bułgarii, Serbii, Sycylii i Syrii, przez Bogaznaczony do panowania nad ludem chrześcijańskim, na mocy prawa i protokołu skazał obecnego tu Kaliksta zwanego Belzebubem, do niedawna żołnierza, którego obowiązkiem była walka w imię *basileusa*, którego powinnością było oddanie żywota, gdy tylko zaszłaby taka potrzeba. Jednakże ów Kalikst Belzebub z podkuszania szatana, z inspiracji odwiecznych wrogów cesarstwa podniósł był zbrojną rękę na naszego pana, *basileusa Rhomaión* Romana IV Diogenesa. Za ten czyn winien zdrajca ponieść powolną i bolesną śmierć na palu, by w cierpieniu miał czas zrozumieć ogrom swej zbrodni i ukorzyć się przed Bogiem. Jednakże mając na względzie wcześniejsze zasługi Kaliksta Belzebuba...

Nazbyt długa przemowa zaczęła już nużyć tłum, który i tak nader cierpliwie czekał na obiecane widowisko. Szum wzmógł się, poleciały obelgi i przekleństwa.

– *Malaka!* Wal się!

– Kończ już!

– Kacie, do roboty!

– Niech kat go obraca!

Basileus rzucił w ciżbę wściekłe spojrzenie. Wstał, potoczył gniewnym wzrokiem po placu.

– Widać, że to wschód, Italosie. Że te prowincje nie zostały jeszcze należycie nauczone szacunku dla majestatu. Patrz! Nawet nie dadzą logotecie odczytać wyroku. Czasami nachodzi mnie myśl, że lepiej było ostawić te ziemie Saracenom, Seldżukom, Żydom... Niechby się sami tu tłukli i wyrzynali, bo nigdy nie będą należeć do świata rzymskiej, europejskiej kultury.

– Warto mieć te prowincje w posiadaniu, panie. Dają dostęp do dróg handlowych na całym wschodzie...

– Nie musisz mi przypominać, filozofie! Właśnie po to ruszyłem na tę wojnę. Jednak spójrz na te wrzeszczące gęby. Na te skudłane brody, brudne turbany i mycki. Jakżeż ci ludzie różnią się od mieszkańców Konstantynopola...

Logoteta zakończył swą mowę, co gawiedź przywitała gardłowym wyciem i jeszcze gorętszymi okrzykami zachęty, by już natychmiast dokonać egzekucji.

Mehmet Mustafa zakończył ostrzenie miecza.

* * *

Kalikst cicho klął pod nosem. Wyglądało na to, że nie miał co liczyć na ziomków. Żywi czy martwi nie zamierzali go uratować, a teraz już było za późno. Pomocnicy kata przykuli skazańca do stalowego pierścienia na podłodze podestu, osobno każdą rękę i nogę. Klęczał więc z twarzą przy pieńku rozciągnięty jak rozgwiazda.

Wtedy po drewnianych stopniach weszła nowa postać – prezbiter odziany w białą riasę, na która narzucony miał czarny *phelonion* ze złotym krzyżem wyhaftowanym na plecach.

– Błogosławiony Bóg nasz w każdym czasie, teraz i zawsze, i na wieki wieków – rozpoczął swą modlitwę kapłan. – Królu Niebieski, Pocieszycielu, Duchu Prawdy. Który wszędzie jesteś i wszystko wypełniasz, Skarbie Dobra i Życia Dawco, przyjdź i zamieszkać w nas, i oczyść nas od wszelkiej zmyzy, i zbaw, o Dobry, dusze nasze...

Belzebub przerwał pienia duchownego:

– Jeżeli myślisz, że mnie naciągniesz na te swe spowiedzi, klecho, to lepiej daj se spokój. Twój Bóg jakoś nigdy mi nie pomagał, to i ja teraz nic nie mam do niego.

– Błuznisz, synu! W godzinie śmierci winieneś okazać pokorę i strach przed Bogiem, wyznać grzechy i prosić o przebaczenie.

– Odejdź, klecho! Nikomu nie jestem nic winien, o nic nie będę prosił.

Saraceński kat złapał Kaliksta za poszarpaną tunikę i pchnął do przodu, przyginając mu kark do pnia. Pomocnicy naciągnęli łańcuchy, niemal wykręcając stawy Belzebuba.

– *Koproskilo*, boicie się, co?! – zawołał do nich skazaniec. – Że wam nawieję spod miecza tej cioty wystrojonej? Tylu was na jednego!...

Kat stanął w szerokim rozkroku i podniósł miecz.

Wtedy Kalikst usłyszał krzyk jastrzębia.

– Kjek, kjek, kjek! – ponad płacem rozniósł się chrapliwy wrzask drapieżnika. – Kjek! Kjek!

Zaraz zawtórował mu drugi ptak, nieco ciszej:

– Kje-ek, kje-ek, kje-ek!

Belzebubowi zakręciło się w głowie. Zapomniane, wypierane z pamięci obrazy wróciły z siłą rozzłoszczonego byka. Przeniknął go ból, jakby zwierzę uderzyło go i poniosło bezbronny na swych rogach, a później zrzuciło w błoto i tratowało racicami.

– Kim ja jestem?... – wystękał Kalikst. – Co się dzieje? Co to za przeklęte ptaki?

Ostry głos jastrzębia przywołał z mroku kolejne obrazy.

– Zdradziłem Czarnego Mnicha... – szeptał do siebie skazaniec. – Zdradziłem Dukasów... Wyjawilem wszystko *basileusowi*. Jestem zdrajcą? Zdrajcą? Nie! To przecież oni! To przecież oni zabili Zoe! Ja zabiłem Zoe! Przez nich! Przez czarnego szarlatana! I miałem zabić autokratora. Co się dzieje? Co jest z moją głową?

Nieprzyjemny szum narastał. Oczy Kaliksta zaszyły łzami, jakby dusił go dym. Sęczki w deskach podestu zapłonęły czerwienią, później fioletem, następnie zzieleniały. Pulsowały kolorami, a pod czaszką Belzebub słyszał łoskot fal rozbijających się o cypel Saragikos.

– Krrek, krrek, krrek! – Głos ptaka zyskał nagle jakąś zgrzytliwą nutę. Kalikst czuł, jakby mu po głowie przeskakiwały ząbki piły.

Wtedy Belzebub poczuł nagle smród śniętych ryb. Fetor był tak intensywny, że zakotłowało mu się w żołądku. Wnętrznosci podeszły do gardła, naraz jednak przyszło otrzeźwienie. Kolorowe blaski przed oczami znikły, tarcie piły ustąpiło, uspokoił myśli.

Usłyszał gardłowy ryk Purrhosa. Kątem oka spojrzał w tył.

Czerwony demon wdarł się na podest. Jednym skokiem dopadł Saracena. Ten, wciąż stojąc z mieczem uniesionym do ciosu, wyprowadził uderzenie w jeden z łbów potwora. Żelazo zaświszczało, przecinając powietrze – bestia w porę uskoczyła. Mehmet Mustafa dopiero wówczas uświadomił sobie, co za stworzenie go atakuje. Źrenice oczu powiększyły mu się do rozmiarów złotego solida. Rozdziawił gębę i z brzękiem opuścił miecz.

Stał tak przerażony i bezbronny. A Purrhos machnął łapskiem, odrywając pazurami dłoń Saracena – tę, w której trzymał miecz. Drugi cios wyrwał mu z twarzy szczękę. Seldzucki sułtan z charkotem padł na deski. Z krwawej rany na twarzy wydobywały się różowe bańki.

Demon podbiegł do pieńka. Kilkoma szybkimi szarpnięciami zerwał łańcuchy, uwalniając skazańca. Pochwycił jeden ze stalowych warkoczy i wzięwszy szeroki zamach, uderzył nim na odlew w tył.

Tym ciosem skosił dwóch nadbiegających strażników. Uderzenie było tak silne, że wyrwało zbrojnym miecze z rąk i obaliło ich na podłogę. Skamieniały ze strachu prezbiter stał niczym posąg, mamrocząc słowa modlitwy.

– Królu Niebieski, Pocieszycielu... – Wyciągnął zeszywniałą dłoń, w której dzierzył pozłacany krucyfiks.

Czerwona bestia nie okazała cienia strachu przed krzyżem. Rzuciła się na duchownego i jednym kłapnięciem paszczy oderwała mu głowę. Czaszka chrupnęła, a spomiędzy warg demona pociekł mózg zabarwiony krwią. Widać jednak ta przekąska nie była w smak Purrhosowi. Zaraz wypluł głowę prezbitera i rozstawił szeroko ramiona, by odeprzeć atak nadbiegających strażników.

W tłumie zebrany na placu wybuchła panika. Gawiedź, niedawno jeszcze tak spragniona krwawego widowiska, teraz z okrzykami przerażenia szukała najszybszej drogi

ucieczki. Wokół podestu nagle zrobiło się pusto. Najbliższe szeregi zaczęły napierać na tych, co stali dalej. Tamtych blokowali jednak gapie, którzy przybyli na miejsce kaźni jako ostatni. Dotychczasowe okrzyki zachęcające kata zastąpiły teraz jęki rannych i zdeptywanych na śmierć ludzi.

Na taras zajmowany dotąd przez *basileusa* wyszli łucznicy. Nim jednak zdążyli napiąć cięciwy, Kalikst skoczył w tłum, mieszając się z gawiedzią. Przebiegł kilka kroków i utknął.

Poleciała pierwsza chmura strzał. Groty zadudniły w deski podestu, kilka dosięgło Purrhosa. Demon wyrwał je z ciała, a wokół rozeszła się nowa fala rybiego smrodu. Zawył, pokazując łucznikom, że ich pociski nie są mu straszne.

Nim łucznicy zdążyli znów napiąć cięciwy, czerwona bestia pognała za Kalikstem. Przeskoczyła nad jego głową i zaczęła torować mu drogę, machając łapskami, jakby przedzierała się przez gęste zielsko na dzikiej łące. Jednak zamiast liści i łodyg traw na boki leciały krwawe ludzkie strzępy. Dłonie, nogi, głowy...

Belzebub wykorzystał zamieszanie. Kilkoma szybkimi ruchami omotał wokół dłoni i nóg majtające się kawałki łańcucha, by nie przeszkadzały mu w biegu.

Przerażeni ludzie wrzeszczeli, pędząc przed siebie jak oszalałe bydło.

– Sam diabolos! Koniec świata!

– Matkobosko, święty Klemensie, święty Pantaleonie, ratujcie nas!

– Mordują! Saraceni! Uciekać!

Kalikst pomknął za nimi, pokrzykując:

– Piekło się rozwarło! Armagedon! Sąd Boży nadchodzi! Szatani mordują chrześcijan! Uciekać!

Niesiony ludzką falą, dopłynął do wąskiego zaułka. Dalej nie dało się już iść – wybuchła bijatyka, ludzie okładali się pięściami, deskami, wyrwanymi skądś drągami. Ktoś sięgnął po nóż, pociekła krew. Belzebub nie czekał, aż awantura ucichnie. Wdrapał się na ramiona osiłka przed sobą. Nim ten zdążył go strząsnąć, przeskoczył na plecy jakiejś grubej baby. Ta nawet nic nie poczuła – przerażona rozpychała obfitym biustem skotłowaną gawieź blokującą przejście. I w ten sposób przemknął do wylotu uliczki. Zeskoczył między tłukących się obwiesiów i schylony dotarł do następnego zaułka. Skręcił w prawo.

Nagle poczuł szarpnięcie. I drugie, które posłało go na bruk.

– To ty jesteś! Co mieli cię ściąć!

Nad nim stał krępy bandzior gładko wygolony na łbie. Chytre oczka biegały na boki, jego umięśnione łapy ścisnęły koniec łańcucha przy nodze Kaliksta.

– To teraz będziesz mój, znaczy złapałem cię.

Mówił po grecku, ale nie trzeba było wprawnego ucha, by wychwycić słowiański akcent. Serb albo Bułgar, diabli go nadali!

– Wstawaj! Zawiodę cię tera prościutko do cesarza, to i nagrodę dostanę.

Belzebub szarpnął nogą, jednak na próżno, to bydlę miało mięśnie równie mocne co

stalowe okowy pozostałe na jego przegubach i kostkach.

– To jak mam wstać, jak trzymasz? – spytał Kalikst. – Łańcuch za krótki, musisz puścić.

– Takiś sprytny? Połóżnię, a ty wtedy nawiejesz? He, he, nic z tego! Leż! A teraz odkręć obydwaj łańcuchy z ramion i dawaj ręce na plecy.

Zrobił, jak rozkazał oprych. Odwinął długie na łokieć metalowe warkocze i ułożył wzdłuż tułowia.

– Dobra, teraz mordę do kamienia i ani ruchu.

Krępy osilek puścił łańcuch i skoczył mu na kark. Nim jednak zdołał pochwycić Belzebuba w zapaśniczym uścisku, ten wywinął się błyskawicznie. Napastnik był jednak czujny – w jednej chwili powrócił do pozycji stojącej, zacisnął pięść i z obrotu wyprowadził cios wymierzony w szczękę Belzebuba.

Prawie mu się udało. Kalikst poczuł muśnięcie powietrza, gdy sękaty kułak przeleciał o włos od jego nosa. Nie czekał, aż oprych poprawi drugim uderzeniem. Zdzielił go pod oko swobodnym końcem łańcucha. Poprawił drugim, waląc w środek czaszki. Krępy z charkotem upadł na kamienie, z rozciętego łba poleciała krew.

– Za cienki jesteś, przyjacielu – syknął Belzebub. Okręcił z powrotem łańcuchy wokół przegubów i zdjął z Serba, a może Bułgara, pas z przytroczonym dwustronnym czekaniem. Po namyśle zdarł z rannego skórzany kubrak. Był poprzecierany, porozdzierany, ale i tak lepszy niż brudne strzępy tuniki. – Nagiego odziałeś, Bóg zapłać! – rzucił zbirowi na odchodne.

Biegł tak długo, aż ucichła wrzawa wywołana przez atak demona. Wkrótce dotarł do dzielnicy portowej, niegdyś zapewne pełnej gwaru i ruchu, dziś zasnutej dymami, cichej. Tu toczyły się ostatnie walki, gdy uciekające na okręty niedobitki Seldżuków odpierały ataki żołnierzy *basileusa*. Po starciach pozostały zmasakrowane trupy ludzkie i końskie oraz ruiny kilku domów puszczonych z dymem przez Turków dla zmylenia pościgu i spotęgowania bałaganu. W zatoce portowej wciąż jeszcze płonęły maszty kupieckiej galery zbyt wolnej, by uciec przed zapalającymi strzałami *Rhomaioi*.

Kalikst nie wiedział, co robić. Powinien uciekać jak najszybciej, nie miał nawet butów, nie mówiąc już o koniu, zaś zamiast solidami w mieszku, pobrzękiwał zerwanymi kajdanami u rąk i nóg. Czekać do nocy? Wtedy byłoby łatwiej umknąć, skryć się w cieniu i po cichu opuścić miasto, a potem uciekać byle dalej. Ale któż wie, co jeszcze wydarzy się przed nadejściem nocy?! Cesarz wysłał wojsko na miasto, by stłumić panikę, zamknie wszystkie bramy, obsadzi mury żołnierzami, a innych puści w pogoń za zbiegiem. Żeby chociaż mógł pozbyć się tych pierścieni z metalowymi ogniwo!

Pobiegł wzdłuż nabrzeża w naiwnej wierze, że gdzieś znajdzie jakąś zapomnianą łódź... Woda pokryta była grubą warstwą połamanych i nadpalonych desek, zdechłych ryb i śmieci, pośród tego wszystkiego dryfowały trupy. Nie znalazł nic, co nadawałoby się do pływania.

Ruszył z powrotem do miasta w stronę pełnej kramów uliczki przechodzącej – co odkrył dopiero później – w suk. W tej części miasta nie było już tak spokojnie jak w porcie. Wśród

zrujnowanych sklepików, ograbionych składów i poprzewracanych straganów grasowały miejskie złodziejaski plądrujące wszystko, co się jeszcze ostało po bitwie o miasto. Belzebub nie wchodził im w drogę. Tamci też przemykali chyłkiem w obawie, że zaraz wmaszerują tu strażnicy, by zrobić porządek.

W jednym z domostw przylegających do suku znalazł trochę wędzonych ryb. Zeschły niemal na wiór, ale Kalikst złapał jedną i począł ją chciwie to ssać, to podgryzać. Oszukawszy nieco głód, ruszył na dalsze poszukiwania.

Najważniejsze – pozbyć się żelastwa u nóg i na rękach. Gdzieś tu musiał być jakiś warsztat, kuźnia albo chociażby narzędzia, którymi mógłby wybić nity z kajdan. Z tą myślą przemierzył kilka następných uliczek, jednak nic nie znalazł.

Nagle usłyszał głosy nadchodzących żołnierzy. Gdyby to przynajmniej byli jego kamraci z oddziału bojowego! Ale nie, to była piechota *basileusa* przetrząsająca miasto i wyłapująca niedobitki Seldżuków. Gdyby odnaleźli Kaliksta, natychmiast dowlekliby go przed oblicze władcy. Umknął więc w najbliższą bramę, niegdyś broniącą dostępu do okazałej rezydencji.

Roztrzaskane wierzeje i wszechobecny bałagan wskazywały na to, że dom już wcześniej został doszczętnie splądrowany. Mimo to Belzebub wkrótce odkrył prawdziwy skarb: skrzynię pełną odzienia. Najwidoczniej należała do jednego ze sług, sądząc po gatunku i fakturze materiału. Zrzucił z siebie kubrak zabrany zbirowi, potem zdarł resztki swojego ubrania. Podarł na pasy koszulę z cienkiego płótna i owinął nimi przeguby, zakrywając kajdany, jak też zwisające ogniwa łańcucha. Teraz wyglądało to niczym opatrunek nałożony na opuchnięte ręce. Tak samo zasłonił żelastwo na nogach, po czym przypasał miecz i naciągnął na siebie długą tunikę do ziemi, białą z niebieskim wzorem ozdabiającym brzegi rękawów. Na to narzucił lekki burnus z białej wełny. Zakrył twarz kapturem i upewniwszy się, że żołnierze już przeszli, ruszył w stronę bram miasta.

Liczył na to, że idąc spokojnie, odziany w czyste szaty, nie wzbudzi niczyich podejrzeń. Wyglądał jak jeden z miejscowych, Syryjczyk albo Armeńczyk, sługa wysłany przez swego pana po sprawunki. Długi czas przemierzał puste ulice, lawirując między trupami i stertami śmieci. Wkrótce dotarł do miejsca, w którym zniszczeń wojennych było mniej, za to więcej ludzi. Nie widać już było oznak paniki albo też kręcący się tu mieszkańcy miasta nie wiedzieli nic o ataku czerwonego demona zajęci codziennymi sprawami. Obecność w Laodycei samego *basileusa* gwarantowała im, że unikną zwyczajnych żołdeckich rzezi, gwałtów i podpaleń. Pierwszym edyktem Romana Diogenesa po zdobyciu miasta było przyznanie rodowitym mieszkańcom miasta praw i gwarancji nietykalności. Nie bez przyczyny. Władcy zależało, by Laodycea – ważny port i ośrodek handlu – jak najszybciej odzyskała dawną świetność i umożliwiła regularne dostawy towarów z Seleucji i Konstantynopola.

Na jednym z przewróconych straganów Kalikst znalazł wiklinowy kosz. Wziął go, by jeszcze bardziej upodobnić się do mieszkańców podążających za swoimi sprawunkami. Kilka

razy miały go patrole żołnierzy, jednak nie wzbudził niczyich podejrzeń.

Chwilę grozy przeżył przy bramie miejskiej, gdzie strażnicy uważnie lustrowali każdego wchodzącego i wychodzącego. Było dosyć gorąco, więc ich podejrzliwość wzbudził kaptur burnusa, pod którym Belzebub krył twarz.

– Ty! Coś za jeden? Pokaż głowę! – rozkazał jeden z żołdaków, zastępując mu drogę. – Możesz ty Turek?! Zdejmuj to!

Kalikst nieśpiesznie odsłonił twarz i śmiało spojrział w oczy strażnika.

– Hm, no na Seldzuka to ty mi nie wyglądasz... – mruknął tamten. – Ale czekaj! Ja cię skądś znam! Skąd ja cię znam?

– Tego nie wiem, panie. Zapewne widziałeś mnie wcześniej, bo przechodziłem przez tę bramę już nieraz – odparł spokojnie Belzebub, jednocześnie kładąc dłoń na rękojeści ukrytego miecza. – Mój pan posyła mnie w interesach, dziś już przemierzałem tę drogę dwa razy.

– Nie, ja cię gdzieś indziej widziałem – upierał się strażnik i zawołał do swych kompanów: – *Gamoto!* No skąd ja znam tę głowę, niech mi ktoś powie.

Kompani tylko pokręcili głowami.

– A po co ci właściwie ten koszyk?

– Pan mi nakazał nzbierać ziół zdrowotnych na okłady. Rosną za miastem niedaleko pod drzewami. Pan mój, znany i szanowany obywatel Laodycei, został ranny, gdy bronił domu przed seldzucką dziczą, która uciekając w popłochu, chciała wzniecić pożar. Pan mój dobył miecza i poprowadził nas do boju, by pomoc *basileusowi*. Stąd tyle ran na moim ciele, ale, chwalić Boga, nic mi nie dolega. Zaś mój pan nie miał tyle szczęścia. Dostał..

– Dobra, idź już zbierać te zioła! – machnął ręką znudzony tą przemową zbrojny.

Belzebub naciągnął kaptur i wszedł w bramę.

ROZDZIAŁ 16

Dwieście kroków za miastem pozbył się koszyka i zaczął iść szybszym krokiem. Po godzinie marszu przeklął własny pośpiech, który nakazał mu opuścić miasto bez konia. Może dałby żołdakom *basileusa* więcej okazji do pojmania, jednak teraz, człapiąc w pełnym słońcu z nogami poobcieranymi przez kajdany, był w takim samym stopniu narażony na wpadkę. Rozglądał się wokół, oczekując, że już zaraz zza tej tam skały albo zza tamtej kępy drzew wyskoczy oddział zbrojnych, którym wyraźnie przykazano: *Ma być żywy, cały nie musi*.

Zamiast pościgu dojrzał wkrótce parkę jastrzębi. Szybowały w oddali spokojne i wolne. Nie słyszał ich głosów, jednak już same sylwetki ptaków wzbudziły w nim to dziwne uczucie bezwładu. W głowie narastał szum, przed oczami migały kolorowe płatki.

– Co się ze mną dzieje?... – wyszeptał. Po suszonych rybach teraz czuł pragnienie potęgowane przez narastający skwar, jednak nie to było przyczyną osłabienia.

Wiedział jedno – musi uciekać byle dalej na północ, w stronę Aleppo, tam szybciej znajdzie pomoc. A później – do Konstantynopola. Wspomnienie rodzinnego miasta podziałało nań jak dzban wina wypity kilkoma szybkimi łykami. Zabić cesarza? Zabić Czarnego Mnicha? Iść na wojnę z Seldżukami? Mścić się za upodlenie, niewolę i śmierć Zoe? Myśli przelatywały przez głowę Kaliksta, tłukąc się pod czaszką jak spłoszone nietoperze.

Przystanął. Wpatrzony w wirującą na niebie parkę drapieżników opadł na kolana.

– Co się ze mną dzieje?... – wymamrotał, walcząc z pulsującym szumem rozsadzającym czaszkę. Zakrył uszy dłońmi, jednak to tylko wzmocniło hałas. – Dość już! Co to jest?

– To twoja dusza – usłyszał cichy głos.

– Boże... – wyszeptał Belzebub. – Ja chyba umieram. Czy to głosy z piekła... Co to jest?...

– To twoja dusza – znów odparł ten sam głos.

Kalikst z wysiłkiem podniósł wzrok. Jakies dziesięć kroków przed nim majaczyła czerwona drgająca plama. Potarł oczy, zamrugał. Gorące powietrze falowało, zniekształcając obraz.

– Co... Co to jest? Kim jesteś? Czym?

– Moje imię nic ci nie powie – usłyszał. – Zwą mnie Czerwonym Pustelnikiem. Nieważne. Nie ma na to czasu.

– Kim jesteś? Gdzie ty jesteś?

– Jestem... pustelnikiem. Gdzie jestem? Daleko. To nie jest w tej chwili najważniejsze. Teraz widzisz jeno odbicie mojej sylwetki niczym miraż na pustyni. Me ciało znajduje się daleko stąd, a ja nie mam zbyt wiele czasu, by wszystko ci tłumaczyć. Posłuchaj!

Belzebub wstał i zrobił kilka kroków w przód. Rozmyty kształt nabrał ostrości – ujrzał przed sobą ślepego starca w szkarłatnej riasie.

– Zapewne zadajesz sobie pytanie, skąd ten szum w twojej głowie, gdy tylko na niebie pojawią się te dwa jastrzębie. Ten większy, o bardziej chrapliwym głosie, przechowuje w sobie część twojej duszy. Ten ptak to w pewnym sensie ty. Można tak powiedzieć.

– On to ja?

– Pamiętasz Czarnego Mnicha? Co ja się zresztą pytam, przecież to twój pan i twoje przekleństwo, zależnie od tego, jakie siły na ciebie działają! Ten heretyk dokonał okrutnego czynu na twojej nieśmiertelnej duszy. Rozbił ją na dwoje, odrzucając to, co dobre. Zostawił to, co najbardziej pasowało do jego zamiarów. Wyrwał z ciebie twą dobroć, miłość, uczciwość. Po to, byś był mu ślepo posłuszny. Po to, by mógł cię wysłać ze skrytobójczą misją.

– Co? O czym ty mówisz? Przecież ja żyję! Nikt mi duszy nie odebrał. Nie jestem trupem! – Kalikst postąpił jeszcze trzy kroki do przodu. Widział zmarszczki na twarzy starca, ale jego sylwetka wciąż pozostawała niewyraźna, jakby utkana z czerwonej mgły.

– Żyjesz... I nie żyjesz zarazem... To, co zostało w tobie, to, co zwiesz duszą, jest wszystkim, co w tobie najgorsze. Odbierając ci dobro i uczciwość, Czarny Mnich uczynił cię tępym narzędziem mordu. Nie był jednak w stanie zrobić jednego: zabić odebranej ci części duszy. Umieścił ją w tym ptaku, w jastrzębiu, licząc na jego rychłą śmierć. Ale ja go uratowałem. Gdy krąży ci nad głową, odzywa się w tobie utracone jestestwo. Zaczynasz przypominać sobie rzeczy, które heretyk wypalił torturami i cierpieniem. Ty i jastrząb na tę krótką chwilę łączycie się połówkami duszy, stając się jedną istotą, chociaż w dwóch ciałach.

Belzebub przykucnął, podniósł z ziemi kamień i cisnął nim w kierunku starca.

– Precz, maro! Precz, diabolosie! Czego chcesz?

Pocisk przeleciał przez widmowe ciało eremity i spadł w oddali, wzniecając kłęby kurzu.

– Nie wierzysz moim słowom albo nie rozumiesz ich. Nic w tym dziwnego, więc nie będę teraz wszystkiego ci tłumaczył. Wyciągnij tylko ramię i pozwól, by usiadł na nim jastrząb. Wtedy pojmiesz, w czym rzecz.

Kalikst niechętnie uczynił, czego chciała zjawa. Zaraz usłyszał zgrzytliwe *krrek, krrek, krrek!* i jastrząb, zatoczywszy kilka coraz mniejszych kręgów, łagodnie przysiadł na przedramieniu Belzebuba. Mimo łańcucha i owijającego go płótna pazury ptaka lekko drasnęły skórę, wyciskając z niej drobne kropelki krwi.

– Musisz postarać się o skórzany rękaw, by lepiej chronił cię przed szponami jastrzębia – powiedział starzec, jednak Kalikst już go nie słyszał. Dotknięcie ptaka przeniosło go wstecz w czasie i na inne miejsce. To już nie były niejasne wspomnienia wywoływane przez krzyki

parki drapieżników. Nagle zrobiło się ciemno. Czuł stęchły zapach tufowego monastynu, smród trupich braciszków i śmierci.

Znów zobaczył Zoe. Wisiała rozpięta na krzyżu z grubych bali. Naga i pokrwawiona, zardzewiałe warkocze łańcuchów do krwi oplatały jej ramiona i uda. Mimo strupów i zaschniętych śladów czerwieni, mimo czarnych, posklejanych brudem włosów wciąż emanowało z niej piękno.

– To ty... – wyszeptała Zoe. – Teraz wiem, że to ty. Prawdziwy. Kochany...

– Przecież mówiłem – usłyszał Kalikst własny głos. – To ja jestem.

Wtedy z mroku wyłoniła się jeszcze jedna postać.

– Dość tych gruchań – rozkazał nagle Czarny Mnich. – Zabij ją!

A po chwili rzekł z jeszcze większym naciskiem:

– Nuże! Zabij ją! Nie zwlekaj, bo goście radzi obejrzeć widowisko. – Odwrócił się do kogoś skrytego w cieniu. – Jak widzisz, panie, mamy tu przykład bezgranicznej, ślepej miłości. Ale miłość to uczucie przegranych, miłość to słabość człowiecza, a więc trzeba się jej wyzbyć, by osiągnąć swój cel. Miłość jest ślepa, więc ten, co ją odczuwa, również jest ślepcem. Nasz urodzony zabójca nie może czuć miłości. Jak się jej ostatecznie wyzbędzie, będzie gotów... Nuże, no zadaj jej cios i zakończ to przedstawienie!

Nie od razu spełnił ten rozkaz, ale bynajmniej nie z litości... I to było jeszcze gorsze niż samo morderstwo... Wreszcie klinga Belzebuba weszła głęboko, aż po jelec, w środek brzucha dziewczyny. Z rany jęła sączyć się krew.

Szarpnął ją za włosy. Zoe zawyła rozdzierająco, jednak zaraz umilkła. Z ust pociekła jej spieniona czerwień.

– Dlhaczego?... – wycharczała dziewczyna. – Khoch... Khochałam cię... Dlhaczego mnie zabijasz...?

Dlaczego ją zabiłem? Dlaczego? Zabiłem! Zabiłem! – powtarzał w myślach. Pod czaszką poczuł łupanie, ogarnęła go oślepiająca fala jasności, która wkrótce zaczęła stopniowo przygasać. Później już była tylko ciemność. Ocknął się po kilku klepsydrach z twarzą przy ziemi. Jastrząb krążył mu nad głową, cicho pokrzykując.

– Ona żyje – usłyszał nagle.

Z wysiłkiem uniósł głowę. Widmowy starzec wciąż stał na drodze utkany z czerwonego dymu.

– Co...?

– Ona wciąż żyje. Zoe. Nie zabiłeś jej.

Belzebub zerwał się na równe nogi. Podbiegł do pustelnika. Chciał pochwycić go za ramiona, lecz jego dłonie przeniknęły przez miraż.

– Gadaj! O czym ty mówisz? Przecież pamiętam! Wbiłem jej szablę! A potem skręciłem kark.

– Nie ma czasu na wyjaśnienia. Nie teraz. Mogą cię pojmać w każdej chwili. Jeżeli

chcesz ujść pogoni i przywrócić to, co utraciłeś, przywrócić swoje dawne życie, musisz dotrzeć do mojej pustelni.

– Gdzie?

– Na Cyprze. W górach Troodos.

– Jak mam się tam dostać?

– Zawróć do miasta. Jeszcze dziś do portu w Laodycei zawinie kupiecki statek z Famagusty. Idź tam i zaokrętaj się. Statek wypłynie w rejs powrotny jutro rano. Gdy już będziesz w Famaguście, musisz kierować się do środka wyspy, w stronę wzgórza Throni.

– Złapią mnie. Jestem zbiegiem.

Starzec w szkarłatnej riasie rozcapierzył palce i powoli zacisnął dłoń w pięść. Kalikst poczuł, że kajdany obejmujące jego przeguby i kostki, pękają.

– Odwiń szmaty i pozbądź się żelastwa – nakazał pustelnik. – Zawróć do miasta, jednak zanim do niego wejdiesz, weź kosz, który porzuciłeś za murami. Gdy skierujesz się jakieś tysiąc kroków boczną drogą idącą od bramy, dojdiesz do niewielkiego jeziora, dużej kałuży właściwie. Na jego brzegach rosną zioła, bardzo aromatyczne. To jest ostrowonka, poznasz na pewno. Wypełnij nimi kosz i wracaj do miasta. Pamiętaj: jesteś sługą swojego pana. Nikt cię nie zaczepi.

Belzebub zaczął odwijać płótno z przegubów. Stalowe obręcze wyglądały tak, jakby ktoś je rozłupał równo na dwie części. Nie wyglądał już jak zbieg, raczej jak zabiegany chłopiec na posyłki.

– Tym zmylisz żołdaków *basileusa*, ale nie oszukasz Purrhosa. Bestia będzie podążać za tobą krok w krok. Chociaż teraz uratowała cię od śmierci, wkrótce obróci się przeciwko tobie. Gdy zaczniesz uciekać, oddalając się od Diogenesa, gdy stanie się jasne, że nie wykonasz zadania, dwugłowy demon zabije cię.

– To co robić?

– Nie mam dość mocy, by przenieść cię do mojego eremu, ani sam nie mogę pokonać drogi do ciebie przez mrok bezczasu. Mogę ci jednak pomóc w inny sposób: weź to!

Starzec wyciągnął dłoń, w której błysnął srebrny łańcuch z zawieszonym na jego końcu równoramiennym krzyżem. Perłowa masa zabarwiona na błękitno zaślniła w świetle słońca.

– To jest amulet, który powstrzyma Purrhosa – wyjaśnił pustelnik, wypuszczając łańcuch spomiędzy palców. – Nie będzie mógł cię zabić. Pamiętaj jednak, że krzyż nie uchroni przed pazurami i kłami bestii innych ludzi, którzy znajdą się blisko ciebie.

Belzebub podniósł talizman. Ramiona krzyża pulsowały różnymi odcieniami błękitu niczym falujące morze lub niebo, na którym wiatr przepędza chmury. Pośrodku skrzyły się złote litery, jednak Kalikst nie potrafił ich rozczytać. Nie była to greka ani łacina, ani nawet ruska cyrylica. Symbole nie przypominały żadnego z alfabetów, jakich używały chrześcijańskie narody.

– Zawracaj do miasta i jak najszybciej dostań się na Cypr – rozkazał starzec. – Zostawiam

ci jastrzębia jako towarzysza niedoli. Będzie ci przypominał, kim jesteś i jaki jest twój cel. Dbaj o niego. Jeśli podróż się przedłuży, musisz zapewnić mu pożywienie, bo sam nic nie upoluje. Gdy zginie, na zawsze pozostaniesz tylko cieniem siebie samego. Żywym trupem pozbawionym najpiękniejszych części duszy. Bestią, która potrafi tylko nienawidzić.

Drugi z ptaków zniżył lot.

– Kjek! Kjek! Kjek! – zawołał śpiewnie, przeleciawszy nad głową Belzebuba. Rozpoznał głos samicy.

– Ją zabieram – rzekł starzec. – Gdyby nie jej pomoc, jastrząb z twoją duszą dawno już by zdechł. Ale teraz będzie pomagać mnie. Będzie moimi oczami w górach.

To powiedziawszy, eremita w szkarłatnej riasie zniknął. Kalikst chwilę stał, wpatrując się w miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą widział sylwetkę starca.

To miraż – pomyślał. – Omam zesłany przez słońce, głód i zmęczenie.

Zimny dotyk srebrnego łańcucha z błękitnym krzyżem przekonał go, że to nie był sen na jawie.

* * *

– A! To znowu ty! Co tam masz? – zapytał żołdak przy bramie.

– Zioła. Takie, jak mi nakazał pozbierać mój pan.

– Pokaż! Co to za zielsko?

– To jest... hmm... ostrowonka.

– Na okłady?

– Na okłady. I nie tylko. Mówią, że od tego przyrodzenie sterczy lepiej niż u byka, a twardsze jest niż kamień. Można heblować całą noc, a sił nie ubędzie.

– Ha, ha, ha! To takie rzeczy twemu panu na myśli! No dobrze, idźże. Bo pan pewnie czeka u wrót swego haremu i nogami przebiera, he, he. Ech, te Syryjczyki, Saraceny... Tylko jedno im w głowie.

W mieście zapanował już spokój. Trupy gapiów rozszarpanych przez Purrhosa uprzątnięto, ci, co ocaleli, rozeszli się, opowiadając znajomkom, czego byli świadkami. Pewnie na trzech słuchaczy zrazu jeden uwierzył, dopiero za kilka dni ludzie zaczną się zastanawiać, czy czasem ta sama pogłoska powtórzona przez dziesięciu ludzi nie jest jednak prawdą. Teraz najważniejsze było uprzątnąć swoje domostwa, zebrać dobra, które ocalały, otworzyć sklepy i rozstawić kramy. Na roztrząsanie, ile jest racji w opowieści o demonie, przyjdzie czas wieczorem, w tawernie przy dzbanie wina.

W porcie niewiele się zmieniło. Fale miały połamanymi deskami i zdechłymi rybami, pośród których dryfowały trupy. Morze musiało je przynieść z głębszej wody – na drugim końcu nabrzeża Kalikst dostrzegł wóz grabarzy, zbierających zwłoki poległych. Będą mieli tutaj jeszcze kilka dni roboty.

Dalej zobaczył statek, o którym mówił pustelnik. Był to okręt wojenny przebudowany na jednostkę kupiecką. Pokład dromony aż dudnił od stóp tragarzy wynoszących z ładowni worki ze zbożem, beczki z winem i paki ze skórami. Belzebub pokręcił się między nimi, wreszcie wypatrzył kapitana.

– Ludzi do pracy wam nie trzeba?

– Widzisz tego grubego z czerwoną głową? To Konstantyn. Dowodzi tragarzami. Może coś będzie miał.

– Chcę płynąć na Cypr. Zabrać się na pokład.

– A umiesz coś? – Wilk morski tasował go pogardliwym spojrzeniem. – Wyglądasz mi na chudziaka.

– Różnych rzeczy się w życiu miałem. Dam se radę z każdą robotą.

– Pływałeś kiedyś? Znasz się na marynarskiej robocie? Do tego trzeba mieć krzepę i nie bać się wody.

– Dam radę.

– A niech tam! I tak nie mamy dość ludzi. Kilku poszło na służbę do *basileusa*, ledwośmy przybili do Laodycei. Skusiły ich łupy wojenne. Jakby nie wiedzieli, że najlepsza robota podczas wojny to handel. Ale nie płacę dużo! Dostaniesz strawę, dzban wina i sto *nummi* na dzień.

– Niech będzie. Chcę tylko dopłynąć do Famagusty.

– Wyruszamy jutro rano, tuż po wschodzie słońca. Nie pętaj się bez potrzeby, nie zachlej, nie chodź na dziwki, bo nie będziemy czekać.

Kalikst spojrział w niebo. Wysoko, pomiędzy lekkimi chmurkami szybował jastrząb. Lepsza część jego duszy.

* * *

Dopiero gdy port rozmył się w oddali skryty za mokrą bryzą, Belzebuba opuścił skurcz żołądka, który towarzyszył mu od chwili, gdy wrócił do miasta. Strój sługi chronił go przed przypadkowym zatrzymaniem, szybko jednak zauważył, że po Laodycei krążą patrole, które ani chybi mają za zadanie pochwycić go i z powrotem zawlec na ścięcie. Śmiał się w duchu z naiwności żołdaków *basileusa*. Nawet gdyby postawili na nogi wszystkich zbrojnych, którzy ruszyli na wojnę z Seldżukami, po zmroku nie mieliby szans. Skryty pod skrzydłami cienia prześlizgnąłby się na mury, a z nich zszedł po linie tak jak to robił już nieraz. Z drugiej strony musiał jakoś dotrzeć do wieczora i te dłużące się chwile napawały go nieustannym niepokojem. W nocy nie wyzbył się obaw – siedział w kącie tawerny, obserwując spode łba pijących marynarzy i węszących wszędzie żołnierzy. Później poszedł spać do wspólnej izby, bo osobne zajęli kupcy i oficerowie ze statku. Leżąc pomiędzy sapiącymi, chrapiącymi, burczącymi i pierdzącymi majtkami ze statku, cuchnącymi starym potem i wypitymi

trunkami, nasłuchiwał, czy nie nadchodzą gady, by z powrotem zabrać go za kraty.

Nic jednak się nie zdarzyło. Noc minęła spokojnie, nie licząc mordobicia, jakie miało miejsce tuż pod oknami tawerny. Doszło do niego między rabusiami zwabionymi przybyciem dromony a żołnierzami pilnującymi statku. Pobite opryszki szybko uciekły, jeden tylko został, wypuszczając czerwone bąbelki z rozharatanego gardła.

Na morzu Kalikst zapomniał o strachach Laodycei. Słuchał huku fal, łopotu żagli, jęczenia wiosł w dulkach i odległego, ale wciąż wyraźnego wrzasku jastrzębia. Ptak szybował nad statkiem, a wtedy Belzebuba nachodziły wspomnienia. Złe wspomnienia. Ból i rozpacz w oczach Zoe, rehotliwy śmiech czarnego heretyka...

Jak to możliwe, że Zoe żyje? A może widmowy starzec kłamał, by dać mu nadzieję?

Zatopiony w myślach nie spostrzegł nawet, gdy dłonie z całej siły zaciskane na linach żagli zamieniły się w krwawą miazgę. Wrzeszczenie bosmana plującego najgorszymi przekleństwami brzęczało mu w uszach jak mucha. Coś, na co się nie zwraca uwagi, przynajmniej dopóki owad nie lata nad głową. Machinalnie wykonywał polecenia, a w zasadzie naśladował ruchy innych, bo nie rozumiał zupełnie, czego właściwie chce ryczący bosman.

– Wybieraj grota szot! Ruchy, *adelfi*, ruchy! *Gamoto!*

Belzebub robił, co mógł, jednak nie szło mu to za dobrze. W głowie rozbijały się wspomnienia, serce kłuła tęsknota. Lina coraz boleśniej parzyła dłonie. Upadł na deski, ciągnąc za sobą resztę majtków.

Stary wyga podskoczył do nich i ryknął:

– Do kurwiej nędzy! Co to ma być, *adelfi*? Do dupy z taką robotą! *Gamo!* Widać, że świeżynka! Pływałeś kiedyś? – zwrócił się do Kaliksta. – Znasz choć trochę marynarską robotę?

– Noo... prawdę mówiąc, statki widziałem tylko w porcie. W Konstantynopolu.

Twarz bosmana zalała czerwień wściekłości. Otworzył usta, by ryknąć i wyrzucić z siebie następny potok przekleństw, nagle jednak machnął ręką i wskazał na maszt.

– Wejdźże na górę. Siedź tam i patrz na boki. Nie chcę cię widzieć ani słyszeć. Chyba że dojrzysz okręt piratów. Wtedy drzyj mordę, ile dasz radę.

– Pewnie. To umiem robić. – Zmęczony Belzebub uśmiechnął się głupkowato.

– Precz stąd! Na górę!

Kalikst nie zwlekał. Złapał za linę i zaczął się wspinać po maszcie ze zręcznością, która zadziwiła marynarzy.

– A jednak! Jednak coś umie! Skacze lepiej niżli małpa.

Na szczycie masztu znajdowała się niewielka poprzeczna belka z podczepioną u spodu siecią. Nie było to zbyt wygodne miejsce, jednak Kalikst, nie myśląc długo, objął nogami reję, przewiązał się w pasie liną i tkwił tam, patrząc na jednostajne morze.

Gdzie nie spojrział – skłębione fale, na których tańczyły słoneczne refleksy. W oddali

majaczyła Syria ledwo widoczna jako wąski szary pasek. Wkrótce dojrzał jeszcze coś – czarny punkcik zbliżający się szybkim lotem do ich statku. Jastrząb! Kaliksta znów ogarnęły zawroty głowy, jednak znacznie słabsze niż dotąd. Utracona część duszy, teraz niesiona na ptasich skrzydłach, boleśnie wdzierала się do jego serca, jednak za każdym razem cierpienie było mniejsze. Zamknął oczy, starając się uspokoić ściśnięty żołądek.

Nagle poczuł, że spada. Że leci z szeroko rozłożonymi ramionami prosto na pokład, na głowy pracujących majtków. Przerażony otworzył oczy i krzyknął:

– Kjek! Kjek! Kjek!

Zobaczył wtedy siebie siedzącego na rei, obwiązanego linami. Przytulonego do masztu z głową opuszczoną na piersi. Wtedy zrozumiał. Widział oczami jastrzębia! Czuł jego skrzydła, jego lekkość podczas swobodnego lotu pod chmurami. Nie wiedział, skąd ten dar i czy to coś dobrego, czy też zły omen, przekleństwo rozbicia duszy między człowieka i ptaka. Radować się czy rozpaczać? Nie myślał o tym. Tylko znów wrzasnął:

– Kjek! Kjek! Kjek!

Za chwilę był już sobą. Podniósł głowę, ciągnąc wzrokiem za odlatującym drapieżnikiem.

Wiatr od morza zaciął lekkim chłodem. Belzebub naciągnął kaptur burnusa. Ubranie, niegdyś lśniące bielą, teraz przypominało łach zebraka, jednak dawało ochronę przed wichrem. Przyłożył głowę do masztu i słuchał monotonnego łoskotu fal i furkotu żagli. Nawet nie spostrzegł, gdy zapadł w drzemkę.

Znów widział scenę, gdy zabija Zoe. Ostrze szabli wdzierające się w brzuch dziewczyny i ohydny rechot Czarnego Mnicha. Cierpienie i rozpacz utraconej miłości w gasnących oczach jego ukochanej.

– Nie... – mamrotał. – Nie zabiłem cię, Zoe. Nie! Przebacz!

Obudził go znajomy fetor gnijących ryb. I ryk jak łoskot lawiny.

Purrhos wisiał na szczycie masztu, ściskając olinowanie żagla. Większy łeb, ten z paszczą, wisiał Kalikstowi nad uchem, paraliżując hałasem i smrodem. Mniejsza główka, osadzona na ruchliwej szyi, wiła się niczym wąż, w jej ślepkach płonęła furia, nozdrza dyszały wściekle.

Liny żagla zaczęły pękać, więc czerwony demon złapał za maszt. Drewno zatrzeszczało złowroźnie.

– Dhjooo-geenhessss... Dhjooo-geenhes!

Belzebub szarpnął linę, która utrzymywała go na rei. Na próżno. Pod wpływem obciążenia węzły zacisnęły się na kamień. Nie było ucieczki od stwora, wisiał jak kurczak spętany na straganie handlarza drobiem.

Co gorsza, z pasa, który od wejścia na pokład nosił pod burnusem, znikła jego nowa broń – dwustronny czekan odebrany opryszkowi z Laodycei.

– Dhjooo-geenhessss... Zaaabijjj! Terrrasss!

Wściekle oczka świdrowały Kaliksta niczym rozpalone do białości stalowe wiertła.

– Zabiję... – wycedził w odpowiedzi, starając się nie wciągać powietrza nosem – ale twojego stwórcę i pana. Tego cuchnącego heretyka kryjącego twarz przed słońcem. Zabiję go jak nic!

Dwugłowy ryknął, plując żółtawą śliną. Maszt huśtał się jak trzcina na wietrze, trzeszcząc przy tym coraz bardziej niepokojąco.

– Zhabijj! To roskas, Paanaa...

Przeklęte sznury! Teraz Belzebub przeklinał swoją głupotę, że poza czekaniem nie zabrał ze sobą noża. Chociażby małego kozika do strugania patyków! Wszystkie skarby świata za kozik do strugania patyków!

– Roskass... Zhabić! Pan kazał!

– To nie jest mój pan, bestio! Idź precz i powiedz temu staremu capowi, że przyjdę i poderżnę mu gardło.

– Nie.

– Co nie?

– Nie poderzniesz – wydyszał całkiem wyraźnie, po ludzku Purrhos i sięgnął łapą ku gardłu Kaliksta. – Ja cię teraz uduszę.

Rozcapierzył paluchy pokryte jakąś dziwną czerwonoszarą mazią. Nagle je cofnął i zawył, jakby go palili żywym ogniem.

– Ból! Skąd? Co to?

Kalikst dopiero teraz sobie przypomniał – to ten krzyż, który dał mu starzec! Wyszarpnął łańcuch spod koszuli i mocno ścisnął połyskujący talizman, by bestia nie wyrwała mu go z ręki. Pamiętał przecie, jak łatwo rozprawiła się z łańcuchami, kiedy mieli go ścinać.

– Ból! Co to? Skąd masz? – Demon odchylił większy łeb i świstał cicho przez zęby w niespokojnym oddechu. W oczach małej główki pojawił się strach. Kalikst dostrzegł to.

– Ha! A więc boisz się! Dobrze gadał starzec!

Stwór chuchnął, niemal pozbawiając Belzebuba przytomności. Kalikst na chwilę oślepl.

– Wynocha, czerwony śmierdzielu! – wystękał. – Do swego pana, precz!

Kolejne chuchnięcie jak wybuch wulkanu. I gniewny charkot. Dwugłowa bestia wyciągnęła łapę, by pazurami wydrapać mu oczy, wyszarpnąć język, a na koniec zgruchotać czaszkę.

Belzebub zasłonił się krzyżem. W Purrhosa jakby piorun strzelił. Bestia zaskrzeczała krótko, zwolniła uchwyt i machając długimi ramionami, poleciała w dół. Za chwilę rozległ się tam trzask drewna i przeciągłe wycie.

Zapadła niepokojąca cisza. Kalikst nie słyszał ani ryków potwora, ani wrzasku załogi biegnącej z nagimi ostrzami, by posiekać bestię na strzępy. Morze szumiało, wiatr kotłował białe fale, ale w tej wodnej muzyce brakowało jednego tonu. Wiosła! Wiosła galery zwisały smętnie jak skrzydła rannego ptaka.

Z trudem zdołał rozsupłać węzły – zajęło mu to jakieś pół kwadransa, jednak przez ten

czas z dołu nie doszedł go żaden głos. Gdzie załoga? Dlaczego nie czyni rechwachu jak zawsze?

Schodząc na pokład, zaczął powoli rozumieć. Marynarze leżeli na pokładzie zwaleni na deski niczym wory, tkwili nieruchomo, jakby zapadli w ciężki sen. Ani śladu krwi, żadnych oderwanych członków, rozwłóczonych flaków...

A jednak nie żyli. Wszyscy. Belzebub chodził od ciała do ciała, szukając w nich jakichkolwiek oznak życia czy chociażby oznak wewnętrznej walki, oporu, cierpienia. Nie. Majtkowie nie oddychali, ich serca nie biły, krew nie pulsowała w żyłach.

Bosmana znalazł na rufie kilka kroków od stanowiska sterników. Leżał na plecach z martwym wzrokiem skierowanym w niebo. Na jego twarzy wciąż widniał gniewny mars, jakby nawet oddawszy ducha diabłu, poganiał swych majtków w rejsie do piekła. Rozłupana na pół czaszka zalewała pokład szaroczerwoną mazią.

Jak umarli? Im dłużej Kalikst oglądał ciała, tym mniej miał pomysłów. Trucizna? Nie, mieli spokojne oblicza, ani śladu cierpienia. Cios puginału w serce, uderzenie mieczem przez głowę? Nie, nie było krwi. Uduśzeni? Żadnych oznak, karki też całe – nikt ich nie skręcił.

Pośrodku tego trupowiska leżał Purrhos. Ten dla odmiany wciąż dychał, tkwiąc nieruchomo w dziurze, jaką wybił w pokładzie, spadając z masztu. Belzebub przyjrzał mu się bliżej. Większa głowa stwora wpadła do szczeliny między deskami i tkwiła w niej całkowicie schowana. Szyja małego łebka zgięta nienaturalnie w trzech miejscach przypominała węża nasyconego połkniętym prosiakiem.

Zostawił Purrhosa i pobiegł do wejścia pod pokład. Gdzieś musi być choć jeden żywy człowiek! Kapitan, kupcy, ich pomocnicy, skazańcy przy wiosłach!

Wszędzie, gdzie tylko zajrzał, widział ten sam obraz: nieruchome ciała pogrążone w wiecznym śnie. Bez śladów cierpienia, bez oznak walki. Kapitan siedział przy stole w swej kajucie z twarzą opartą o blat wyłożony mapami. Kupcy także martwi.

Zszedł niżej, na pokład galerników. Z trudem otworzył drzwi – blokowało je wielkie cielsko nadzorcy z batem w garści. Wewnątrz przywitał go duszący smród fekaliów i dwieście nagich ciał wiszących na nieruchomych wiosłach. Zatykając nos, obszedł całe pomieszczenie galeryjką strażników. Nawet tu nie dostrzegł śladów walki, jakby Bóg zlitował się nad skazańcami i jednym ruchem dłoni odebrał im dusze i oddał na pokutę Szatanowi. Nie ma wątpliwości, że po galerze tortury w piekle mogły być jeno wybawieniem.

Wrócił na górę. Dusilo go narastające przerażenie na myśl, że został sam na pokładzie dromony z nieprzytomnym, ale wciąż żywym i morderczym demonem, oraz kilkoma setkami cichych trupów. Co dalej? Jak dotrzeć na Cypr? Jak dotrzeć na jakikolwiek suchy ląd?

Dopiero teraz spostrzegł, że statek pchany łagodnymi, ale stanowczymi podmuchami wiatru, powoli płynie w stronę słońca. Nie wiedział, jaka była pora dnia, ale oceniając położenie żółtej kuli na niebie, wywnioskował, że galera zboczyła na południe, obierając kurs na opanowaną przez Seldżuków Palestynę. To nie było miejsce, do którego chciał się dostać.

Już lepiej pójść na dno razem z galerą, trupami marynarzy i czerwoną hydrą.

– Zhaabić... – doszło go nagle z tyłu stłumione burczenie. Podskoczył, jakby mu ktoś przyłożył rozpalonym prętem w pięty. Demon się obudził!

Pobiegł w jego stronę, chwytając po drodze swój czekan. Wziął zamach, spodziewając się ataku bestii, jednak dwugłowy dalej leżał z głową między połamanymi deskami.

Mamrocze bez przytomności – odetchnął z ulgą Kalikst. – *Zaraz się jednak obudzi i wtedy krzyż może już nie wystarczyć do obrony.*

– Jakżeś ty się tu dostał, demonie?... – wyszeptał. Czy czerwony śmierdziel potrafił pływać jak delfin, czy też sprytnie przyczaił się w ładowni między pakami towarów wiezionych przez kupców do Famagusty?

Podszedł na prawą burtę. Szalupa ratunkowa! Niewielka łódź zawieszona na obitych stałą wysięgnikach. Zajrzał do środka – trzy ławki, dwie pary wiosł. Mogło się tam zmieścić najwyżej osiem osób, może dziesięć. Licząc z łajbą z lewej burty, w sumie nie więcej niż dwadzieścia osób. Kupcy, kapitan, oficerowie, może jeszcze ktoś... Zwykli majtkowie i galernicy w razie katastrofy mieli iść na dno i gnić tam jako pokarm dla ryb.

Obejrzał dokładnie mechanizm wysięgnika. Do opuszczenia łodzi potrzebne były dwie osoby. Pięknie! Postanowił jednak zaryzykować. Poluzował blokadę z jednej strony. Łańcuch zaczął przesuwać się z terkotem, łódka poszła w dół. Zbyt szybko! Ledwo zdołał z powrotem wsunąć klin na miejsce. Teraz na drugą stronę. I to samo. Zdjął blokadę, opuścił łańcuch, po chwili unieruchomił. Szalupa zjechała kilka stóp poniżej linii pokładu, jednak jej dziób wisiał za wysoko. Po kilku takich próbach wreszcie obniżył łódź tuż nad powierzchnię morza.

W końcu opadła na grzbiety fal. Zaryła rufą w toń, hojnie nabierając wody niczym chochła zupy.

– *Gamoto!* – zaklął, biegnąc do drugiego łańcucha. Zwolnił klin i dno łodzi z głuchym pacnięciem opadło na morze. Co najmniej w czwartej części szalupę zalało.

Opuścił więc na dół wiadro, którego majtkowie używali do szorowania pokładu. Przetrzęsnąwszy całą galerę, przyniósł też kolejne łupy: beczułkę ze słodką wodą, trochę suszonego mięsa, flaszkę wina, gruby koc i dwa zakrzywione noże. Wcisnął to wszystko do skórzanego worka podróznego z kajuty kapitana i zrzucił do szalupy.

Z zabitego żołnierza, jednego ze strzelców stanowiących ochronę statku, zdjął łuk i sajdak. Zebrał też strzały od jego kompanów i umieścił w łodzi.

Zszedł pod pokład.

Nie było go niecały kwadrans.

Wybiegł w pośpiechu. Wskoczył do drugiej szalupy i kilkoma mocarnymi uderzeniami toporka rozłupał jej poszycie.

– Teraz czas zająć się śmierdzielem – mruknął. Chwycił mocniej rękojeść czekana i stanął nad wciąż nieprzytomnym Purrhosem. *Gdzie to bydlę ma serce?* – zastanawiał się. – *Parę ciosów i sprawa załatwiona. Tylko gdzie walić?*

W końcu rąbnął demona w mały łeppek, tak by strzaskać nos i oczy.

Jak nie będzie widział i czuł, to już połowa sukcesu.

Ostrze rozcięło skórę bestii i ześlizgnąwszy się, wbiło w deski pokładu.

– *Gamo...* – jęknął tylko Kalikst.

W tej samej chwili czerwony stwór zaryczał rozdzierająco i skoczył na równe nogi. Krew zalewała mu czoło, jednak rana była niewielka.

Przecież takim ciosem rozłupałbym czaszkę wołu – przemknęło Belzebubowi przez myśl.

– *A jego tylko drasnęło!*

Purrhos otarł wierzchem łapska krew z czoła. Wydał z siebie gniewne wycie i skoczył na Belzebuba.

Ten jednak trzymał już pulsujący błękitnym światłem krzyż.

– Precz, szkarado! Precz ode mnie!

Demon wściekle wywijał ramionami, jednak bał się zbliżyć. Syczał i pluł, ryczał i charczał, ale nie podszedł do swojego wroga bliżej niż na cztery kroki.

Cofając się, Kalikst dotarł do burty. Dwugłowy potwór człapał za nim krok w krok. Nie mógł zaatakować, jednak jakaś szczątkowa inteligencja mówiła mu, że wciąż jest w stanie pokrzyżować plany Belzebuba.

– Zhaabić! Dhiogenesisa! Ty...!

– Sam zabij, skoro tak! Już swoim fetorem możesz wyrzeć mu ducha! Precz ode mnie!

Nim Purrhos cokolwiek powiedział, Kalikst jednym uderzeniem czekana odciął linę, do której była przywiązana łódź. Skoczył przez burtę, mając nadzieję, że nie wyląduje na pokładzie szalupy, tylko tuż obok niej. Ta łódka nie wyglądała na zbyt stabilną, zwłaszcza że nabrała sporo wody.

Morze było chłodniejsze, niż myślał. Jakby zima wciąż jeszcze nie odeszła!

Młócił ramionami, by jak najszybciej dopędzić szalupę unoszoną przez falę i by się rozgrzać.

Za sobą posłyszał ryk demona. Jednak odwrócił głowę dopiero wtedy, gdy już wpełzł na łódź. Nie zwlekając, wyciągnął wiosła, umieścił je w dulkach i jął jak szalony nimi obracać.

Krypa była ciężka i niezgrabna, a woda, która wlała się do niej podczas niefortunnego opuszczania, zalała dno powyżej kostek.

– Nie będzie lekko – wysapał.

Nieraz pływał łodzią po Złotym Rogu, ot chociażby po to, by okraść statki Italczyków w Galacie. Tyle że wówczas zazwyczaj deskami machał Nicetas! Wiosłował jednak dalej, by jak najszybciej oddalić się od dromony.

Gdy spojrzął w tył, już płonęła. Chciwe języki ognia wysunięte z otworów na pokładzie galerników lizały burty, a nadbudówkę na pokładzie otaczała czapa czarnego dymu. Z głośnym trzaskiem pękały skrzynie z jedwabiem, przyprawami i olejkami z dalekiego Hindu. Drogocenny towar uzyskany przez kupca w zamian za broń i żywność dla wojska

zadziałał niczym *igró pyr* – nagle środkowa część pokładu eksplodowała, wyrzucając pod niebo płomień długi jak pół masztu. Zaraz zajęły się od niego żagle. Wiatr rozniósł ogień na nietknięte jeszcze części statku. Dromona w mgnieniu oka zamieniła się w gorejącą kulę powoli osuwającą się w morską toń.

– Gdzie jesteś?... – spytał cicho Kalikst.

Dwugłowa sylwetka mignęła na tle płomieni, słychać było wycie potwora, później jednak czerwony demon zniknął i ucichł. Pochłonał go pożar? Skoczył w fale? A może za sprawą jakiejś magii przeniósł się na bezpieczny ląd? Belzebub zadrżał na tę ostatnią myśl. Magia! To by tłumaczyło niespodziewaną obecność śmierdzącego na pokładzie galery!

– Przeklęty czarny szarlatan! – mruknął Kalikst. – Gdzieżeś teraz przeniósł tę swoją hydrę? Czeka na mnie na Cyprze? A może płynie pode mną jak ryba i tylko patrzy, by uderzyć od dołu?

Poobcierane dłonie paliły go od ściskania wiosł, ramiona i plecy pulsowały narastającym bólem, który z każdą minutą odbierał mu nadzieję, że ta przygoda będzie miała swój dobry koniec. W przerwach próbował wylać wodę chlupoczącą mu pod nogami na dnie szalupy, jednak mimo wszystkich wysiłków wciąż było mokro.

Gdy słońce zaróżowiło niebo nad horyzontem, całkowicie opadł z sił. Nie wiedział, dokąd płynąć – gdzie nie spojrzeć, szaroniebieska toń kotłowana przez zimne poddmuchy wiatru. Żadnego lądu. Nawet najmniejszej wysepki! Nic. Zległ na dnie łodzi i okrywszy się pledem, pozwolił, by szalupę niosły fale. Wreszcie zasnął.

Zapadła noc. Od południa wiał mocny wiatr, pchając łódkę w dal, zdałoby się – na skraj świata. A Belzebub w sennych marach wciąż uciekał przed Purrhosem.

Gdy się przebudził, świtało. Wichur ustał, a morze było płaskie niczym ława w tawernie.

Na dziobie siedział jastrząb.

– Kjek! – powiedział tylko.

– Kjek, kjek... – odparł zrezygnowany Kalikst, rzucając przed siebie kawał suszonego mięsa. – Lepiej byś mi drogę pokazał.

Ptak pochwycił kąsek, jednak nie zjadł go od razu. Najpierw trzymał w dziobie, później upuścił pod nogi i przytrzymując pazurami, wyszarpywał niewielkie kawałeczki.

– Wiem, że nie jesz ludzkiego żarcia, tylko surowe. Nie mam nic lepszego.

Jastrząb zdawał się rozumieć. Szarpał mięso z takim zapalem, jakby trzymał w szponach jeszcze żywego królika.

Belzebub też zjadł odrobinę, popijając resztką wody z beczułki. Cały dzień wiosłowania pobudził jego pragnienie, ale wiedział, że kolejnego już nie przeżyje.

– Znajdź ląd, powiedz, gdzie mam płynąć...

Jego skrzydlaty towarzysz niedoli skinął łbem w niepokojąco ludzkim geście. Zerwał się do lotu i poszybował w dal. Belzebub poczuł nagłą falę ciepła, jednak tuż po niej przyszedł niespodziewany chłód, który pokrył jego ramiona gęsią skórą.

Wtedy spojrział na świat oczami ptaka. Nic, tylko niebieskoszara toń, miejscami wręcz czarna. Po kwadransie lotu ogarnęło go znużenie, głowę wypełniał mu monotony szum. Nie wiedział już, czy śni, czy majaczy, czy dalej mknie pod niebem.

Nagle serce zabiło mu mocniej. Okręt! Smukła dromona średniej wielkości. Niebieskie żagle, niebieski kadłub – tak malowane były jednostki pływające we flocie *basileusa*. Płynęła na Cypr? Do Seleucji? A może do Laodycei? To bez znaczenia, niech płynie nawet do jaskini Iwa, do samego Diogenesa. Lepsze to niż dryfowanie w łupince bez celu i kierunku.

Nawieję w porcie, zanim się połapią, co i jak – przemknęło Kalikstowi przez myśl. – Do Famagusty dotrę następnym statkiem.

Pozwolił, by ptak swobodnie opadł niżej, tuż nad wierzchołki masztów. Przyjrzał się bliżej załodze niebieskiej dromony. Poczul falę gorąca.

To nie byli *Rhomaioi*. Turbany, zawoje, szerokie portki, zakrzywione szable... Śniade gęby ponure jak najczarniejsza noc, z utęsknieniem wypatrujące samotnych żagli na morzu. Piraci. Seldżycy! Po nich Kalikst nie mógł się spodziewać ratunku.

Jastrząb cicho wzleciał ponad dromonę, a potem wyżej i wyżej. Zawrócił i zataczając szerokie koła, dalej piął się ku chmurom. Belzebub, patrząc jego oczami, starał się odnaleźć choć niewielki skrawek lądu.

Tylko spienione fale, postrzępione chmurki w oddali i mewy pierzchające na widok drapieżnika. Wyglądało na to, że bestia zaatakowała dromonę w miejscu, z którego do wszystkich portów było równie daleko.

Nagły huk przerwał obserwację oczami jastrzębia. Przeciągły łoskot rozdieranego drewna był niczym chrzęst łamanej kości, równie bolesny i nieprzyjemny. Później Kalikst poczuł uderzenie w tył głowy. I zabrał go mrok.

ROZDZIAŁ 17

– To ten dom – Wit Wodnik wyciągnął ramię, wskazując na budynki otoczone zielenią. – Rezydencja Dukasów.

– Niczego sobie – przyznał z podziwem jego brat.

Dołączył do nich Nicetas. Podczołgał się na brzeg wzgórza i spojrzał w dół.

– Obłowimy się i to całkiem nieźle. Czuję to.

Leżeli tak skryci między trawami w cieniu kapeluszowatej skały o barwie tłęcego się popiołu.

Wiosna w Kapadocji pokryła okolicę soczystą zielenią, gdzieniegdzie sypiąc białym kwieciem. O tej porze roku nawet w południe słońce nie piekło zbyt mocno, nie tak jak wtedy, gdy żar późnego lata zamieniał tę krainę w pustynię. Lekkie powiewy wiatru znad gór niosły ze sobą zapach świeżych ziół. Na polach i łąkach pracowali koloni, udrażniając kanały doprowadzające wodę, doglądając kiełkującego zboża i wiodąc bydło na pastwiska. Wioski rozbrzmiewały stukotem narzędzi, brzęczeniem owczych dzwoneczków, szczekaniem psów.

Tylko wokół siedziby Dukasów panowała cisza. Rezydencja położona z dala od najbliższej wsi – zdawało się – zastygła w oczekiwaniu tak samo jak trójka złodziei.

– Zobaczcie – szepnął Waldemar. – Brama zamknięta. I nikogo nie widać. Pochowali się.

– Czyli wiedzą. Zaczaili się na nas. Wiedzą, że przyjdziemy.

Jałmużnik potwierdził skinieniem.

– Musimy poczekać do wieczora – zdecydował i wymacał pod kaftanem niewielką buteleczkę z grubego szkła wypełnioną żółtopomarańczowym płynem. Oleista ciecz chlupotała cicho. – Starzec dał nam tyle widzenia sowy, że starczy na nas trzech na całą noc. Wtedy pójdziemy obaczyć, co i jak. Bo teraz, jak się tylko ruszymy, to nas wezmą na strzały. Widzicie te otwory wokół bramy? Tam na pewno tkwią łucznicy gotowi posłać nam kilka grotów w tyłek.

– Popatrz na dach – zwrócił uwagę Wodnik. – Za tymi płaskorzeźbami, tam też są stanowiska. Mogą prowadzić ostrzał, nawet gdy wejdziemy za bramę.

Wielka Pięść wskazał końcem noża niewielki gaj oliwny otaczający od północy mury posiadłości.

– Zobaczcie tam! Drzewa idą niemal od tych wzgórz aż do samej rezydencji. Możemy

tamtędy się przekraść i polipać z bliska. Trzeba objechać szczyt z drugiej strony i zejść zboczem.

To był dobry plan, więc odczołgali się z powrotem do koni. Niecałe dwa kwadranse później cicho stąpali po miękkiej trawie w zagajniku. Gdy doszli na jego skraj, przywarli do pni. Dostrzegli z tyłu domostwa stajnie, jednak niezbyt wielkie, na kilkadziesiąt koni najwyżej, co oznaczało, że straż pilnującą rezydencji stanowili głównie piesi i łucznicy. To ułatwiało ucieczkę, jednak nie rozwiązywało najważniejszego problemu: jak wejść do środka?

Za stajniami wypatrzyli niewidoczne na pierwszy rzut oka koszary. Otaczał je osobny mur od strony rezydencji opleciony winoroślą. Wzdłuż niego rosły przycięte przez ogrodnika cedry. Widać Michał Dukas lubił spokój i odosobnienie, jednak nie zaniedbywał bezpieczeństwa. Nie chciał mieć swych zbrojnych stale na widoku, ale mimo to zawsze pod ręką.

– Ani żywej duszy – stwierdził Wit. – Nie podoba mi się to.

– Mur jebutnie wysoki. Z każdej mańki – poparł go brat. – Zanim przejdziem, naszpikuj nas z ukrycia żelazem. Trudna sprawa.

– Dlatego mamy widzenie sowy – przypomniał Wielka Pięść. – Czekajmy do zmroku. Wtedy oni będą musieli się bać nas. A nie my ich.

– Zapalą pochodnie na dziedzińcu. Będzie jasno jak w dzień. Wtedy żadne magiczne oleje nam nic nie pomogą.

Czekali więc. Siedzieli na skraju gaju oliwnego, wypatrując zbrojnych albo i kogokolwiek. Tak minęło pół dnia.

Pierwszy zniecierpliwił się Nicetas. Nim Żmudzini spostrzegli w czym rzecz, dryblas ruszył w dół z nagim mieczem, jakby szedł na wojnę.

– Gruby! A ty gdzie?! – wołał go półgłosem Wit. Jednak nie odważył się pobiec w ślad za nim. Brat Wodnika tylko klepał się w czoło w wymownym geście i mrucał:

– Ogłupiał do reszty, *koproskilo*. No ogłupiał, przecie go ubijają jak nie!

Patrzyli obaj, jak Wielka Pięść spokojnie dochodzi do muru, idzie w jego cieniu aż do samego końca – do rogu, za którym znajdował się plac przed główną bramą. Później zniknął im z oczu. Panowała cisza, jakby nigdy nic się nie działo.

Nie czekali kwadransa, gdy Nicetas znów się pojawił. Nie zważając na chromą nogę, biegł podekscytowany i coś wołał. Czy raczej próbował coś wyartykułować, jednak bezskutecznie.

– Brama... Ech! Łuczników... Koszary... Uff! Gada...

Żmudzini przypatrywali mu się ze zdziwieniem.

– Rozumiesz coś z tej jego paplaniny? – zapytał Waldemar.

– Dostał w dupsko z łuku! Skopali go strażnicy! A teraz biegnie po pomoc.

Jednak dryblas przyniósł inne rewelacje. Gdy już złapał oddech i pociągnął kilka potężnych łyków z bukłaka, rzekł spokojnie:

– Brama jest tylko przymknięta, ale niezaryglowana. Nie ma żadnych łuczników, nikogo! Ani jednego gada! Koszary puste.

Jałmużnik wydał usta w wyrazie politowania. Zaczął tłumaczyć:

– Widać wszyscy schronili się w domu. Podejź bliżej, to łucznicy zrobią ci z dupy jeża.

To wzbudziło wątpliwości Wita.

– Jak mu mogą zrobić z dupy jeża, skoro będzie szedł przodem? Znaczą dupę będzie miał z tyłu...

Wielka Pięść złapał ich za karki i tryknął czołami, by przestali pleść bzdury. Pomogło. Nicetas mógł wreszcie opowiedzieć, co widział:

– Zajrzałem w każdy kąt, do koszar, na bramę, za dom. Żadnych gadów nie ma. Ani jednego konia w stajni. Do domu nie wchodziłem, ale wygląda, jakby nikogo w środku nie było. Patrzcie, nie ma dymu! Nie ma psów na obejściu. Ta rezydencja jest opuszczona.

– Czyli... zaraza?

– Nie... Nie widziałem znaków. Wygląda to tak, jakby wszystkie Dukasy spakowały dobytek i ruszyły hen. Zresztą chodźcie za mną! Zobaczycie sami.

Rzeczywiście, za bramą panowała absolutna cisza i porządek. Nie było też żadnych śladów moru – świeżych mogił, popiołu z ognisk, w których palono szmaty i naczynia używane przez chorych, nic z tych rzeczy. Dziedziniec wyglądał tak, jakby pan opuścił swe włości, wybierając się w daleką podróż. Tylko dlaczego nie zostawił sług ani straży, a na bramie nie założono rygli? Szybko odkryli, że również dom jest otwarty i pusty. Przetrzęsali go komnata po komnacie, nie mogąc uwierzyć, że Dukasowie nie zostawili ani jednego zbrojnego, który miał strzec ich dóbr. Wyzbyli się obaw, gdy dotarli do piwniczki i wytoczyli pękata bekę z czerwonym winem.

* * *

– Pany nawiały, my mamy ich dom, czego chcieć więcej! – rechotał Nicetas, sadowiąc się na wielkim, misternie zdobionym krześle, osadzonym na okrągłej płycie z czerwonego porfiru. – Patrzcie na mnie! Jestem *basileus*! Wydaję wam rozkaz: macie pić!

Pili więc, jak kazał cesarz Wielka Pięść. Jednak Waldemar nie miał tak doskonałego humoru.

– Zapominasz o jednym. Mieliśmy zabić Michała i Andronika Dukasów, a ich rezydencję podpalić. Nakraść przy tym ile się da. Te dwie rzeczy są do zrobienia, ale co z Dukasami? Żeby dostać pełne ułaskawienie, mieli my posłać wielmożów na ucztę do piekła. A tak Diogenes wciąż ma nas w garści. Jak złapie, nie popuści.

– A ty dajesz wiarę tym jego obietnicom? – zapytał dryblas między jednym a drugim łykiem wina. – Ułaskawienie? Wolność? Coś ty, bracie, nie znasz dworskich? Zawsze cię okantują. Ja tam w żadne ułaskawienia nie wierzę.

– To po coś tu dupę targał?

– A co, źle jest? Powiedzieli, gdzie jest bogato, ilu gadów będzie, któredy wejść. Jeszcze dali widzenie sowy na blatną robotę. To co, miałem nie iść, jak złoto samo w łapy wpada?

– Co racja, to racja...

– No właśnie.

* * *

– To znowu ty, starcze – warknął wściekle Belzebub. Złość rozpalająca jego serce tłumiała ból rozbitej głowy, poobcieranych ramion i stłuczonych kolan. Patrzył na szczątki łodzi i na skały. – Co ja tu właściwie robię? Kim ty w ogóle jesteś?

Mnich w czerwonej riasie stał na postrzępionej skale uformowanej przez wodę i wiatr na podobieństwo wielkiej pięści zaciśniętej do ciosu. Bryza rozwiewała szatę eremity, furkocząc materiałem w rytm szumu morza.

Nie odpowiedział na pytanie Kaliksta, jakby nie tylko postradał zmysł wzroku, ale także słuch.

– Ej, ślepcze! Kim ty w ogóle jesteś? Co to za miejsce? – Belzebub za plecami miał spienioną toń wściekle bijącą o kamienie. Fale rozlewały się również po bokach i tylko z przodu, za skałą starca, rozciągało się wąskie pasmo lądu. – Do diabła, mówże! Co to za przeklęta pustynia?!

Pustelnik uczynił znak krzyża, po czym bez słowa odwrócił się i pewnie krocząc po kamieniach, ruszył w głąb cypla. Czy wyspy. Czy cokolwiek to było.

– Wracaj tu, stary capie! Jeszcze nie skończyliśmy gadki! – Kalikst pomacał się po pasie. Nóż! Wyszarpnął ostrze i sycząc z bólu, pognął za szkarłatnym mnichem.

Ten, o dziwo, mimo że ślepy, radził sobie, jakby całe życie spędził na tych skałach. Okrywszy siwą głowę kapturem, kroczył wąską ścieżyną, lawirując między zębiastymi skałami.

Jego obojętność i milczenie jeszcze bardziej rozsierdziło Belzebuba.

– Zabiję! Serce wydrę i rzucę rybom na pożarcie! Stój, ty stare próchno! *Gamoto!*

Biegł, starając się zapomnieć o pieczeniu ran. Sól coraz silniej gryzła jego porozdzierane członki, co tym bardziej nasilało wściekłość i nienawiść.

Mnich wyszedł już spomiędzy skał. Wciąż idąc dziarskim krokiem, zagłębił się między kolczaste krzaki wyrastające tym gęściej, im dalej byli od brzegu. A więc to nie wyspa! A przynajmniej nie skupisko postrzępionych skał pośród morza, lecz większy ląd, na którym zieleniły się krzewy, ba!, nawet drzewa – co Kalikst dojrzał w oddali. Nie myślał jednak o tym zbyt długo. Wyspa czy ląd, to nie miało teraz znaczenia! Ważne jest jedno! Dopaść starego capa i poderżnąć mu gardło!

– Co, pękasz?! Chodu dajesz, dziadek! *Gamo, gamo, Gamotooo!*

Mnich w czerwonej riasie zagłębił się pomiędzy niewysokie cyprysy zniekształcone od sztormów i nadmorskich burz. Gdy Belzebub wyszedł spomiędzy skał, puścił się biegiem w jego kierunku.

– Kjek! Kjek! Kjek!

Krzyk jastrzębia był dlań jak cios w łeb. Jakby świat stanął do góry nogami i zwałił mu się na głowę. Migająca między gałęziami szkarłatna szata eremity nagle przybrała kształt płomienia. A później Kalikst posłyszał huk. Błysk ognia powalił go na ziemię.

– Kjek! Kjek! Kjek! – zawołał jeszcze raz jastrząb, a Belzebub poczuł, że nagle cała wściekłość, nienawiść i ból duszy uchodzi zeń jak powietrze z dziurawego rybiego pęcherza.

– Pomocy... – wystękał i znów zapadł w mrok.

* * *

– Masz! Pij!

– Co...?

– Pij!

Posłuchał. Przyłgnął ustami do bukłaka i chciwie sączył wodę, która zdawała mu się teraz lepsza niżli wszystko wino, jakie wychlał w życiu. Pił tak długo, aż osuszył skórzany worek, wtedy zamknął oczy, oswajając otaczające go dźwięki.

Turkot wozu i stukot kopyt. A fale morskie? Nie! Morze pozostało już tylko wspomnieniem. Słyszać było za to krzyk ptaka stłumiony przez chmury i wiatr. Słuchał tego z niezrozumiałą dla siebie rozkoszą, wreszcie uniósł powieki.

– Ptak poleciał za daleko.

– Co...? – Belzebub skierował wzrok na starca. – O czym ty... Czekaj! Pamiętam! Byłeś tam, na skałach! A łódź...

– Łódź się rozbiła, kiedy widziałeś oczami jastrzębia. Ale powiadam: ptak poleciał za daleko, a ty, miast patrzeć, gdzie płyniesz, dałeś się ponieść pod niebo. Cóż, nie ma w tym nic dziwnego, wiem aż nazbyt dobrze, jak to jest patrzeć oczami innej istoty. Jastrząb odleciał daleko, hen na północ, niemal do wybrzeży Anatolii, ty zaś rozbiłeś swoją szalupę o brzeg.

– Jaki...? Jaki brzeg, gdzie jestem?

– Na Cyprze, oczywiście. Dotarłeś tu, gdzie wiodło cię twoje przeznaczenie, chociaż nie najłatwiejszą drogą. Początkowo czekałem na cię w Famaguście.

Kalikst dźwignął się wyżej. Niewielką dwukółkę, na której leżał, ciągnął czarny osioł. Powoził, stojąc, ślepy mnich w szkarłatnej riasie. Jechali przez opustoszałe kamieniste równiny porośnięte bladozielonymi drzewkami oliwnymi, zdziczałymi, jakby od pokoleń nie dotknęła ich ludzka ręka.

– Ptak odleciał za daleko i nie tylko straciłeś panowanie nad łodzią, ale także spojenie z dobrą częścią swojej duszy. Byłeś jak dawniej: opanowała cię żądza mordy i pragnienie

śmiec. Ale ta słabość minie. Jeszcze trochę czasu i będziesz potrafił utrzymać jedność z jastrzębiem nawet wówczas, gdy odleci na drugi kraniec świata. Będziesz potrafił widzieć jego oczami, nie tracąc przy tym panowania nad własnym ciałem.

– Kim jesteś?

– Już zadałeś mi to pytanie. A ja ci wtedy odpowiedziałem. Moje imię nie ma znaczenia, bom swoje życie i swoje jestestwo poświęcił Bogu. Mówią na mnie Czerwony Pustelnik. Tak też możesz nazywać mnie w myślach.

– Jesteś ślepy!

– Ślepy, cóż to znaczy? Nie widzę oczami, którymi Bóg mnie obdarzył przy narodzinach. Taka jednak była wola Pana. Teraz widzę oczami wszelkiego stworzenia, ot, chociażby tego osła. Stąd nie lękaj się, bo widzę, dokąd prowadzi ta droga. Nie wpadniemy w górską przepaść, nawet gdy będziemy podążać jej skrajem.

Belzebub w zamyśleniu sączył wodę.

– Co z Zoe?! Teraz już możesz mi powiedzieć, w czym rzecz. Czy to możliwe, że jej nie zabiłem?

Starzec milczał chwilę, jakby wypróbując cierpliwość Kaliksta.

– Nie zabiłeś – rzekł w końcu. – Przynajmniej nie jej ciało i nie jej duszę.

– Co ty gadasz, starcze?! Żyje czy nie?

– Byłeś gotowy ją zabić i zrobiłeś to, w swoim mniemaniu. Nie zawahałeś się, nic nie wstrzymało twojej ręki, gdy wbijałeś ostrze pod pierś ukochanej. Patrząc zatem z tej perspektywy, dokonałeś tego czynu i ona nie żyje. Bo dopuściłeś się zabójstwa w swej duszy.

– Na świętego Mikołaja, patrona złodziei! Co to ma wszystko znaczyć? Dlaczego gadasz tak pokrętnie jak pijany tragarz wykopany z tawerny?

– Chcę, byś zrozumiał wszelkie aspekty swych czynów. Owszem, Zoe żyje, gdy spojrzymy na to z punktu widzenia wszystkich poza tobą. Bo nie przebiłeś swą szablą Zoe, lecz jej sobowtóra, pozbawioną duszy postać stworzoną na jej podobieństwo.

– Jak mój bliźniak!

– Jak twój bliźniak, a właściwie bliźniacy. Czarny szarlatan stworzył ich co najmniej sześciu, a śmierć połowy z nich mogłeś oglądać zawieszony w swej klatce. Pozostałych zabijał na oczach Zoe, utrzymując ją w przekonaniu, że to ty cierpisz i giniesz. Myślisz, że ktokolwiek przeżyłby takie katusze? Nawet golem ulepiony z ludzkich zwłok.

– Czyli zabiłem golema Zoe?! – Serce Kaliksta wypełniła radość, jakby duszkiem wypił dzban słodkiego wina z Gruzji. – Ale przecież...

Starzec nie dał mu dokończyć.

– Nie wiedziałeś o tym, że to nie jest Zoe. Gdyby miał jej sobowtóra szarlatan przykuł do krzyża prawdziwą Zoe, zabiłbyś ją tak samo jak golema. Nie zawahałbyś się ani przez jeden oddech. Dlatego powiadam: jesteś zabójcą Zoe, choć jej nie zabiłeś. Chcę, żebyś o tym pamiętał.

– Co z nią jest?

– Czarny szarlatan przetrzymuje ją w swym upiornym monasterze. W klatce, tak jak ciebie niegdyś więził. Tyle że w innej sali.

– Torturuje ją...?

– Nie tak jak ciebie. Choć nie wątpię, że już sama niewola jest dla niej wystarczającą katuszą.

Belzebub wrócił wspomnieniami do tej chwili, gdy śmiejąc się, zanurzył koniec lśniącego ostrza w powabnym ciele dziewczyny. Nie, wtedy tak o tym nie myślał. Nie istniało dlań piękno ani miłosne pożądanie, tylko zwierzęca chuć. Znał tylko jedno uczucie – nienawiść. Więc to nie była Zoe? Ale skąd w takim razie pamiętała tyle szczegółów z ich życia? Przecież odpytywała go, sprawdzając, czy nie jest kolejnym golemem.

Czerwony eremita zapytany o to tylko wzruszył ramionami.

– Cieleśne podobieństwo to tylko jeden z elementów szatańskiej układanki. Równie ważna jest mimika, wypowiedane słowa, a przede wszystkim pamięć. Nie stałbyś się zabójcą idealnym, gdybyś nie miał pełnego przekonania, że zabijasz Zoe.

Chrzęst kół wozu i stukot oślich kopyt usypiał. Słońce grzało teraz najsilniej jak mogło, pośród listowia leniwie grały cykady. Kalikst starł zmęczenie z oczu. Dopił resztkę wody i zwiesił nogi z dwukółki, niemal szurając stopami o kamienie.

– Nie rozumiem jednak, po co to wszystko. Po co Czarny Mnich tworzył sobowtóra Zoe? I dlaczego kazał mi zabić jego, a nie prawdziwą Zoe? Po co się tak trudził?

– Na te pytania, mam nadzieję, sam wkrótce znajdziesz odpowiedzi. Mogę się tylko domyślać, że golemy Zoe zostały stworzone w tym samym celu co twoje. Najpierw rozdierał twą duszę widokiem mordowanych bliźniaków. Gdyby to nie wystarczyło, rozpoczęłyby inne przedstawienie. Codzienne dręczenie Zoe. Aż do skutku, by rozerwać w tobie to, co dobre, i to, co złe.

Po zastanowieniu, starzec szepnął jeszcze:

– Albo też... – Albo?

– Albo też chciał wyuczyć Zoe sztuki bezwzględnego i cichego zabijania jak ciebie. Na wypadek, gdybyś ty zawiódł. A zawiódłeś.

– Zawiodłem...

– Toteż już sam nie wiem, co gorsze. Może ten pomiot Satanaela już wie, że nie wykonałeś zadania, że nie zabiłeś *basileusa*. Dlatego może posłać dziewczynę, by to ona wbiła puginał w serce władcy Konstantynopola.

– Muszę ją uratować – postanowił Kalikst. – I to natychmiast!

– Musisz naprawić wiele błędów, jakie popełniłeś. Odpokutować za wiele krzywd, do jakich się przyczyniłeś. Ale najpierw musisz mi towarzyszyć w drodze do mej pustelni. Tam powiem ci, jak pokonać szarlatana w czarnym habicie.

* * *

Nadszedł wieczór, a po nim noc. Mnich w czerwonej szacie ani na chwilę nie zatrzymał dwukółki. Przeciwnie, jeszcze przyspieszył, bijąc lejcami biednego osiołka, który powinien już dawno paść od nadmiernego wysiłku.

– Starcze, zmrok zapadł. Nie widać drogi, nawet księżyc skryty za chmurami...

Eremita zachichotał cicho.

– Wciąż zapominasz, że jestem ślepcem. Światło dla mnie nic nie znaczy. Jest jak opowieść w nieznanym języku, nie ma dla mnie żadnej treści.

– Ale osioł! Osioł przecież nic nie widzi, więc i ty nie możesz kierować wozem jego oczami. Tylko patrzeć, jak głupie bydle wciągnie wóz w przepaść.

– Teraz to ja go prowadzę! W nocy nie trzeba oczu, wystarczy dobrze słuchać. A tej zdolności mnie dobry Bóg jeszcze nie pozbawił, przeciwnie, wyostrzył ją. Po zmroku, gdy świat usypia, słyszę, jakbym widział.

I jakby na dowód swych słów mocniej strzelił lejcami, zmuszając osiołka do szybszego galopu. Zwierzę przebierało kopytkami w takim pędzie, że aż wóz zaczął podskakiwać na kamieniach.

Kalikst zsunął się na brzeg platformy, gotów, by w każdej chwili zeskoczyć, nim dwukółka spadnie w przepaść.

Mijały jednak godziny, a katastrofa nie nastąpiła. Zmęczenie zamykało Belzebubowi powieki, usta bezwiednie otwierały mu się do ziewania. W końcu uległ temu uczuciu. Wciągnął nogi do wozu i przytulił twarz do desek.

Obudziły go pierwsze promienie słońca, ledwie przebijające się zza linii szczytów w oddali. Mnich stał nieporuszony z głową oświetloną pierwszym blaskiem dnia niczym Helios na swym rydwanie. Nie okazywał najmniejszych oznak zmęczenia podobnie jak osioł dzielnie stukoczący kopytami.

– *Diabolos* nie *onos* – mruknął Kalikst, patrząc z podejrzliwością na niezmordowane zwierzę. Pierwsze promienie słońca kładły się na jego czarnej sierści ognistą czerwienią. – Każdy inny by padł. I to jeszcze przed nocą.

– Każdy inny, ale nie ten – odparł starzec.

– Jest silniejszy niż para koni... Macie tu takich więcej, starcze?

– Jest tylko ten jeden – uciał mnich.

Belzebub wzruszył ramionami. Gdy słońce śmieiej wyjrzało zza skał, zaczął uważnie rozglądać się po okolicy. Droga szła teraz krętym szlakiem, pnąc się do góry między łagodnymi szarymi zboczami.

– Czy to już? Dojeżdżamy?

– To dopiero góry Pentadaktylos. Do Troodos jeszcze daleko.

– Ile?

– Dzień i noc jazdy.

– Jeszcze cały dzień mam się telepać dwukółką zaprzęzoną w czarnego osła?!

– Tak, cały dzień i całą noc.

– Starcze, po co ty mnie właściwie wiesziesz do tych swoich Troodos?! To nie zbliża nas ani na krok do Czarnego Mnicha. A Zoe? Muszę ratować Zoe, szkoda czasu na modły w twojej pustelni.

– Jest kilka powodów, by jechać do Troodos. Mógłbym wymienić wszystkie po kolei. Ale wystarczy, byś wiedział, że jeden z nich właśnie biegnie za nami.

Belzebub skoczył na równe nogi, wpatrując się w kamienistą dróżkę. Nie dostrzegł nic, świat ledwie budził się do życia. Czy to miała być jakaś zagadka słowna, których tak chętnie używał eremita w szkarłatnej riasie?

– Nic nie widzę!

– Polegaj na innym zmyśle.

– Słuch? Słyszeć też nic nie słyszę...

– Poczuj zapach...

Teraz zrozumiał. Mogło chodzić tylko o jedno. Purrhos!

Tak też było w istocie. Jednak nim Kalikst poczuł tak znajomy fetor gnijących ryb, minęły bodajże jeszcze ze dwa kwadransy.

– Już czas – uznał mnich i ściągnął wodze. Osioł zwolnił, wreszcie przystanął. Starzec zeskoczył z wozu dziarsko niczym młodzik, ściskając w rękę swój kostur. Stał pośrodku drogi, czekając, aż nadejdzie dwugłowa bestia. Belzebub po krótkim zastanowieniu ścisnął nóż i stanął obok mnicha.

Purrhos zaatakował, wyskakując z przepaści, jakby był ptakiem, a nie dwugłowym demonem o człecznych kształtach. Podbiegł do starca, szerokim łukiem omijając Kaliksta. Już jego słodkawy, mdlący smród wystarczył, by uśmiercić *hekatontarchię* najdzielniejszych wojów Diogenesa. Po policzkach Belzebuba spłynęły łzy. Żołądek podchodził mu do gardła.

– Boże... On z każdym dniem śmierdzi coraz silniej – wystękał.

– Chroni cię medalion – przypomniał eremita. – Odejdź w tył! Nie podejdź do ciebie. Ja się z nim rozprawię.

Starzec uniósł ramiona i rozcapierzył palce. Szepnął coś w nieznaną Kalikstowi mowę. Powtarzał obce słowa jak modlitwę, miarowo i coraz głośniej:

– Pâta-nô tbishyañtat pairi mazdâsca ârmaitishca speñtasca, nase daêvî drixsh nase daêvô-cithre nase daêvô-fracarshte nase daêvô-fracaraiti...

Demon zrazu nic sobie z tego nie robił. Stał trzy kroki przed eremitą, plując cuchnącą śliną. Spojrzał na Belzebuba, po jego mordzie przemknął grymas wściekłości. Medalion! Bestia nie mogła mu nic zrobić, więc obróciła wzrok na starca. Przykucnęła, szykując się do skoku.

– Apa drixsh nase apa drixsh dvâra apa drixsh vînase apâxedhre apa-nasyehe mâ

mereñcainîsh gaêthâ astvaitîsh ashahe, nemascâ yâ ârmaitish îzhâcâ. Ashem vohû...

Nagle czerwony stwór znieruchomiał. Później skulił się, osłaniając mniejszy łeb dłońmi. Drugą głowę opuścił na pierś, jakby nie było już w niej życia. Z rozchylonych warg ciekła żółtawa ślina.

– Pâtâ-nô tbishyañtat pairi mazdâsca...^{*} – powtarzał mnich swe dziwne słowa.

Purrhos jął się powoli cofać, jego małe oczka krzyczały z bólu, nozdrza drgały, z wściekłością wypuszczając powietrze.

Belzebub pomyślał, że to dobry moment, by zejść demona od tyłu i korzystając z jego nieuwagi, rozbić łby jeden po drugim. A później je odciąć, rozszarpać całe ciało, spalić, by już nigdy więcej nie czuć za plecami oddechu cuchnącego fetorem śniętych ryb.

Wtedy jednak stwór zaczął się cofać, jakby przeczuwał, co go czeka. Plując na boki, przeczłapał kilka kroków w tył, wreszcie oderwał łapy od łba i ruszył pędem w dół drogi. Znikł tak szybko, jak się pojawił.

– Panie, wybac mi to... – mruknął mnich. – Tobie tylko ufam...

– Co to za dziwne zaklęcia, którym odstraszyłeś bestię? Słyszałem już kiedyś takie słowa. Tak mówił czarny szarlatan. Tak samo...

– Nie tak samo. A teraz chodź, jedziemy dalej. Demon został przepędzony, ale jeszcze wróci. Następnym razem nie będzie tak łatwo. Musimy unieszkodliwić go raz na zawsze, bo inaczej nigdy cię nie opuści. Medalion może nie wystarczyć.

* * *

– I co?

– I nic. Przejechali. A u ciebie?

– Czysto.

– Szybko dałeś nogę. Coś za szybko. Wracaj i lipaj dalej, czy kogo nie ostawili.

– Nie ostawili, przeciwnie widział dobrze! Przyśpieszyli jeszcze, jakby sami pękali, że ktoś na nich filuje.

– Więc to nie Dukasy. Jakieś insze paniska, skoro żaden nawet na bramę nie spojrział.

Patrzyli, jak przez drogę wiodącą obok rezydencji przetacza się oddział zbrojnych. Żołnierze prowadzeni przez trzech dumnych jak pawie wielmożów eskortowali dwa wyładowane po brzegi wozy. Co wieźli, tego nie sposób było określić – ładunek szczelnie okrywały wielkie płachty żaglowego płótna. Konie zaprzężone parami z wysiłkiem ciągnęły tajemnicze dobro, kopyta ciężko zapadały się w piaszczystym trakcie. Konwój otaczała rzędząca chmura kurzu, długa i siwa niczym broda starca.

^{*} Święta księga Awesta, fragment egzorcyzmu Kem-Na Mazda w swobodnym tłumaczeniu autora: *Chrońcie nas przed złym, Ahura Mazda i Amesza Spenta! Giń, diabelski demonie kłamstwa! Giń, potomstwo diabła! Giń, stworzenie diabła! Giń, słowo diabła! Przepadnij, demonie kłamstwa! Precz stąd, demonie kłamstwa! Przepadnij, demonie kłamstwa! Precz na północ, trzymaj się z dala od świata Prawości.*

– I nam by się taka fura przydała – sapnął Nicetas.

– Mamy dwukółkę.

– Dwukółka za mała. I nie na te piachy na drodze... Na dwóch kołach nie przejedziesz.

A gdzie twój brat?

Waldemar wzruszył ramionami i splunął.

– A co, ja jego niańka jestem?!

– Głupiś! – ryknął Wielka Pięść. – Miał pilnować rezydencji od strony ogrodu. Ci zbrojni tacy sztywni, niby na nic nie zwracają uwagi, a tam może szpiegi podchodzą od tyłu między drzewami, dla niepoznaki obierając najtrudniejsze wejście.

Kurzawa ciągnąca się za orszakiem zdążyła już opaść. I zobaczyli jedynie ogony wierzchowców tylnej straży falujące w szybkim klusie. Żmudzin lekceważąco machnął dłonią.

– Eee, co by mieli tak cudować! Byli, pojechali i tyle...

Dryblas długo rozglądał się po dziedzińcu i po żółtych łąkach okalających mur posiadłości. Gdy zdobył pewność, że kolumna wojskowych na dobre znikła za wzgórzami, zakomenderował:

– Skoro tak, to dymaj po braciszka, a ja zejdem do piwniczki i przytacham beczułkę. Minęło południe, czas przepłukać gardło i zaznać trochę ochłody w cieniu.

* * *

– Dobrze, mój chłopcze. Weź osła. Idź tą drogą obok wielkiej skały w dół aż do granicy lasu. Na jego skraju jest wioska. Odszukaj gospodarza, którego zwą Zenon Mały. Powiedz, że przysła cię mnich z Throni i poproś o wóz. Płaski, na czterech kołach. Jedź do lasu. Tam zetniesz...

Przerwał mu śmiech Kaliksta.

– Ha, ha, starcze! Czyżbyś już całkiem odszedł od zmysłów? Nie przyjechałem tu jako parobek do pomocy w twoich pracach domowych. Miałeś mi pomóc odzyskać Zoe i wykończyć czarnego obłąkańca!

Mnich skierował na niego swe przykryte bielmem oczy z takim wyrazem twarzy, jakby wciąż widział. Belzebub poczuł się nieswojo. Odwrócił wzrok w stronę chmur, gdzie coraz to śmigał czarny cień jastrzębia. Towarzyszyła mu płowa samiczka.

– Przecież właśnie ci pomagam... – rzekł cicho eremita. – Parobka, wbrew temu co myślisz, mnie nie potrzeba. A jakbym potrzebował, to nie musiałbym dwie doby powozić bez snu i jada, by akurat ciebie ściągnąć z nadmorskich skał. Mam tu wiejskich chłopaków. Tobie pomagam, więc teraz siadaj na wóz i jedź.

Zamilkł, nie spuszczać jednak z Kaliksta niewidomego spojrzenia. Belzebub przysięgłby, że starzec w tej chwili widział go doskonale, i już milczał gotowy spełnić

polecenie. Niepokojącą ciszę gór mącił tylko krzyk ptaków. Nawet wiatr ucichł.

– Skąd ten drugi jastrząb? Ten mniejszy? – zapytał po dłuższej chwili Kalikst.

– Przywołałem go. To samica... Ona sprawiła, że ptak, w którym szarlatan z Kapadocji uwięził część twojej duszy, nie padł z głodu. Przyznam też, że stała się moim wiernym towarzyszem, przynosząc jadło dla nas obu. Myślę, że zostanie ze mną, gdy się to wszystko zakończy.

– Gdy się zakończy... Dobrze, starcze. Niech ci będzie. Nawiozę tego drewna. To jeszcze raz powiedz mi, gdzie znajdę tego wieśniaka...

* * *

Gdy wrócił z wozem wyładowanym drągami, starzec wskazał mu miejsce nieopodal swej pustelni. Dał do ręki łopatę i rozkazał:

– Tutaj. Kop.

W Belzebubie aż się zagotowało. Warknął wściekle, obracając w myślach najplugawsze przekleństwa. Jednak martwe spojrzenie mnicha nagle ostudziło jego złość. Tylko splunął, wyrzucając z siebie całą nienawiść, po czym w milczeniu jął ryc ziemię.

– Nie wygląda to zbyt dobrze, ale zaufaj mi. I gdy dokopiesz się na głębokość pasa, obwiąż się liną, której koniec przytwierdź do tej skały, tam – starzec bezbłędnie wskazał odgięty do tyłu głaz w kształcie sterczącego w górę zęba.

– I niby po co mam kopać?

– Nie pytaj głupio, tylko rób, co każę!

Kalikst machnął ręką.

Ostrze łopaty zgrzytało na kamieniach, szczerbiąc się na brzegach.

– Kilof by się przydał...

– Nie mam takiego narzędzia. Chyba że chcesz iść po nie do wsi. Tam mają na pewno.

– To już wolę tym...

Gdy przebił się przez wierzchnią warstwę kamieni, o dziwo poszło mu już łatwiej. Niżej leżał pokład zbitej ziemi zmieszanej z piaskiem. Nim słońce weszło na szczyt swej wędrówki, stał już w wykopie po brzuch.

– Lina... – przypomniał sobie. – *Gamoto!* Miałem się nią obwiązać już wcześniej! Ciekawe tylko po co...

Ledwie wypowiedział te słowa, poczuł, że grunt usuwa mu się spod nóg. Ledwie zdążył wyskoczyć na brzeg rowu, wbijając pazury w ziemię. Usłyszał huk, ogarnęła go chmura kurzu, a gdy opadła, spojrzął pod nogi. Wisiał nad ciemną jamą bez dna.

– Nie posłuchałeś mych słów... – zauważył ze spokojem mnich. – A ostrzegąłem.

– Skąd wiedziałeś?

– Zadajesz zbyt wiele pytań... To, co musisz wiedzieć, zostanie ci w odpowiedniej chwili

przekazane. Ale nie to i nie teraz. Teraz lepiej wyjdź stamtąd, jeżeli nie chcesz skręcić sobie karku.

Belzebub wygramolił się na skraj przepastnej studni i spojrzał w dół. Słońce nie sięgało dna jamy, co tam dna – ledwie lizało wylot! Kalikst wrzucił do środka kamyk. Spadał długo, zbyt długo, aż stuknął z cichym echem.

– Podziemna jaskinia. Na dole wąska jak komin, jednak bliżej powierzchni jej szerokość wynosi tyle, co dwa wozy ustawione jeden za drugim. Ściany są gładkie, nie ma bocznych korytarzy...

– Już rozumiem, o co ci chodzi. Ale nie rozumiem, jak chcesz to zrobić. Coś mi podpowiada, że znów będę musiał robić jakieś głupie rzeczy, nie zadając pytań.

– Powiem ci, co masz zrobić. Ale najpierw poszerz dziurę, tak byś miał z każdej strony po pięć kroków. Jak skończysz, przyjdź do mnie, to powiem, w czym rzecz.

* * *

Kiedy odrzucił w bok swój medalion, kiedy stał przywiązany liną do skalnego zęba, kiedy mnich zatrzasnął na głucho drzwi swej pustelni, pozostały mu jeno wątpliwości. Węszył zdradę i podstęp.

– Ale po kiego...? – przekonywał się w myślach. – Po kiego starzec miałby robić takie sztuczki, no po kiego?

Na to pytanie nie potrafił znaleźć odpowiedzi, jednak niepokój pozostał. Stał odziany w lichą tunikę, bezbronny, wznosząc modły, by liche poszycie okrywające jamę nie rozerwało się pod jego ciężarem.

Purrhos wypełził zza kępy krzewów porastających zbocze. Stapał powoli, nasłuchując i węsząc.

– Powinieneś zdechnąć od swojego własnego smrodu – mruknął Kalikst, łapiąc się za nos. – No nuże, dawaj tu, bo nie będę tak stał jak *kariola* w porcie. No dawaj!

Demon skradał się, rzucając na boki krótkie spojrzenia. Szukał mnicha. Widać, że egzorcyzmy w nieznanym Belzebubowi języku wypaliły w bestii piętno strachu.

Teraz więc bali się obaj, Kalikst i Purrhos.

Strach czerwonego stwora rychło jednak ustąpił. Gdy demon nie dostrzegł nigdzie starca, ruszył z nieludzkim, diablím rechetem ku swojej ofierze.

Lecz kiedy tylko stanął na zapadni, poszycie się zerwało. Kalikst i Purrhos polecili w dół, wrzeszcząc wniebogłosey – pierwszy z przerażenia, drugi z wściekłości.

Belzebub przeleciał trzy kroki w głąb dziury i poczuł szarpnięcie, które odebrało mu dech. Bestia spadła na samo dno pułapki, wałąc łbami o kamienie.

Dał się słyszeć głuchy łoskot, a później zapadła cisza.

– No i po strachu. Potwora mamy z głowy – rzekł mnich, wyciągając Belzebuba.

– Jakim znowu strachu, starcze?! Myślisz, że mnie taka śmierdząca ryba hydra może ot tak przeląć? Nie takie rzeczy widziałem, nie takie potwory pokonywałem, nie na takie roboty się chodziło w starych, dobrych czasach w Konstantynopolu. Raz kiedyś...

Starzec przerwał te przechwałki.

– Jak powiadam, potwora mamy z głowy. Pierw jednak, póki tamten leży nieprzytomny po upadku, pogłęb dziury pod kratę. Wsuń w nie drągi, a później umocnij je kamieniami i ziemią. Nie chcesz chyba, żeby twój cuchnący cień wyskoczył na powierzchnię.

– Przecie siedzi w dziurze! Głęboka na dziesięciu chłopa albo i więcej. Ścian nie ułapi, to jak ma wyleźć na zewnątrz?

– Ułapi, nie ułapi... Bestia ma w sobie spryt, którego umysł ludzki nie ogarnia. To diabelski spryt, więc nigdy nie wiesz, czego się spodziewać.

– A właściwie czemuż go nie ubijemy? – zapytał Kalikst, strząsając w czeluść kamień wielkości arbuza. Skała leciała długą chwilę, wreszcie spadła ze szczękiem na dno jaskini. – Jak mu zrzucimy lawinę na łeb...

– Myślisz, że po co wysyłałem cię do wsi po wóz, a później do lasu? – przerwał mu pustelnik. – Po com kazał ci ciąć drągi, jaki był cel w kopaniu tej pułapki właśnie tu i aż tak głęboko? Toć mogliśmy go zrzucić w przepaść, gdyby tylko chodziło o zabicie demona. Znam tu parę takich rozpadlin, wypełniają je kości zwierząt i ludzi zebrane chyba od dnia, gdy Pan stworzył ten świat. Nie, przyjacielu! On mi jest potrzebny.

Kalikst tylko pokręcił głową. Nie mówiąc ani słowa, zaczął umacniać kraty nad skalną studnią.

ROZDZIAŁ 18

Czarny Mnich zatrzęsł się ze śmiechu.

– Głupcy – mruknął z mściwą satysfakcją. – Głupcy łapią się na lep władzy, zaszczytów i Pan wie jeszcze czego. A teraz nadeszła chwila, by ich wszystkich upokorzyć. By odebrać im moc i powitać Satanaela!

Odwrócił się, wtedy podszedł doń jeden z trupich braciszków. Szkielet skryty pod spłowiałym habitem o barwie nocy dzierżył w swych kościstych dłoniach poczerniałą drewnianą tacę, na której leżały dwa identyczne puginały o rzeźbionej rękojeści.

– Taaak! – rzekł w uniesieniu mnich. – Ha, ha! Głupcy! Gdyby nie wasza dążność za nikczemnymi zaszczytami tego świata, miałbym na głowie o wiele więcej zmartwień! Pieniądze, władza, doczesne rozkosze... Małość i nikczemność. A ja to wykorzystam ku chwale Pana!

Pochylił się nad kamiennym katafalkiem. Z namaszczeniem odsłonił materię spowijającą czarną deskę, matową i naznaczoną żarłocznymi kłami czasu.

Czarną Ikonę.

Nie przypominała obrazów malowanych w natchnieniu przez oddanych Bogu geniuszy. Nie licząc warstwy pyłu i brudu, jej powierzchnia była jednolita, pozbawiona najmniejszego śladu pędzla artysty.

Upiorny starzec sięgnął po pierwszy puginał i uniósł go do oczu.

– Oto jest... Krew największego władcy pośród śmiertelników. Krew cesarza, który swą władzę utrzymał, igrając z siłami mroku. To stąd jego moc. Nie wzięła się z męstwa ani mądrości. Wzięła się z wiedzy tajemnej. Nie jego wiedzy, ale przezeń wykorzystanej.

Przekręcił guzek umieszczony w górnej części rękojeści. Na czarną deskę spłynął wąski strumyczek krwi. Zalśniła w świetle pochodni, po czym wtopiła się w kurz.

– Dobrze... Taaak... – mruknął mnich. Przesunął ręką ponad powierzchnią ikony, rozcierając wilgotną czerwień po drewnie.

Wyciągnął dłoń po drugi puginał.

– A teraz krew zdrajcy. Zdrajcy i prawdziwego władcy zarazem. Gdyby nie magia Diogenesa, to on siedziałby dziś na tronie w Konstantynopolu. Nie ten jednak wygrywa, komu przeznaczenie pisane, lecz ten, kto potrafi owo przeznaczenie pochwycić...

Na ikonę spadły leniwe krople krwi. Kapały powoli, z cichym pluskiem. Starzec sycił się tym dźwiękiem, pochylając głowę nad deską.

Roztarł szkarłat po drewnie i odrzucił pugnał w tył. Ostrze z brzękiem przetoczyło się po kamieniach i spadło poza krawędź skalnego języka. Długo leciało w dół, w mroczną czeluść, ze zgrzytaniem tłukąc o ściany rozpadliny.

* * *

– Klasztor w Kapadocji, który już poznałeś, był niegdyś siedzibą naszego bractwa. W tym odosobnionym miejscu poświęcaliśmy się modłom i pracy, żyjąc zgodnie z naukami naszego ojca duchowego Bogomiła.

– Aaa, to ta sekta... – syknął z niechęcią Belzebub. – Bogomili! Czciecie diabła i przeczycie, że Chrystus zmarł na krzyżu. No i chędożycie owce. Tak klechy w Konstantynopolu gadają, no i ludzie w tawernach.

Starzec tylko pokręcił głową. Szurając sandałami, podszedł do krzywego stolika i sięgnął po dzban z wodą. Napełnił kubek.

– To kalumnie, rzucane z rozmysłem przez biskupów – rzekł, zaspokoivszy pragnienie. – Tworzone po to, żeby pijana gawiedź w gospodach, żłopiąc wino, mogła w sobie podsycać nienawiść do nas, innych. Nie bez przyczyny: nie uznawaliśmy tego, co stanowi fundament zniewolenia was przez hierarchów. Święte obrazy, ikony, sakramenty, pogańskie w swej istocie święta oddalające lud od esencji wiary. To prawda, nie uznajemy krzyża, bo to narzędzie mordy, a Jezus, czyli Logos, nie umarł ukrzyżowany. Śmierć jego była pozorna, on jeno uwolnił się od doczesnego ciała, pokazując nam, że materia stworzona przez Satanaela to marność. Bogomił nauczył nas, że to nie Bóg Ojciec stworzył materię, a z niej cały świat i człowieka, lecz jego wyrodny syn Satanael. To z materii bierze się wszelkie zło i plugastwo, a jego przeciwieństwem jest duch. Logos przybył na ziemię, by głosić nam dobrą nowinę, że prawdziwe życie, to życie duchowe w Bogu...

Przerwało mu głośnie siorbanie. To Kalikst nalał sobie wody i zasysał ją jak odpływ przepelnionego akweduktu. Wypił pół kubka, resztę wypluł na ziemię.

– Ohyda, wina bym się napił! Siadłbym w jakiejś tawernie, by snuć opowieści o plugawcach z kapadockich bezdroży.

– Czyżbyś znów utracił duchowe połączenie z jastrzębiem? Twe słowa kryją w sobie złość i nienawiść.

Belzebub skrzywił usta i cisnął kubkiem w kąt.

– Lata gdzieś tu, czuję. Chociaż sam nie wiem, czy nie lepiej, jakby przestał mnie dręczyć swoim jazgotem. No a ty, starcze, mów do rzeczy. Co z tym szarlatanem z Kapadocji? Nie musisz mnie nawracać na swoją herezję, ja tam z Bogiem po swojemu gadam i wiem, że klechy to takie same złodzieje jak my.

– Nie nawracam cię, to próżny trud. By odbudować twoją duchowość, potrzebowałbym lat, a nie czas ku temu. Twa biedna dusza musi jeszcze pozostać w ciemności...

Przerwał, słysząc niecierpliwe sapanie Kaliksta.

– No już dobrze. Mówię, o co chodzi, ale ty mi nie przerywaj. A więc... Mieszkaliśmy w kapadockich jaskiniach skromnie, biednie i cicho, nikomu nie wadząc. Klasztor, który wykuliśmy w tufowych skałach, oddalony był od wszelkich osad ludzkich. Żyliśmy w nim zgodnie z naukami Bogomiła. Rzadko widywaliśmy wędrowców, ludzie omijali ten zakątek. On przybył pod koniec lata, gdy słońce zmieniło Kapadocję w rozpaloną pustynię. Nikt nie znał jego prawdziwego imienia, a wstępując do naszego bractwa, przyjął imię Tarazjusz. Do zimy tamtego roku Tarazjusz żył godnie razem z innymi mnichami, zgłębiając pisma i traktaty filozofów. Z czasem jednak zaczął się od nas duchowo oddalać. Zanegował nasze przekonanie o marności materii, twierdząc, że to nie tylko przyczyna powstania ludzkości, ale także dar dla niej, dar Syna Bożego, z którego trzeba należycie korzystać. Miał oddawać się modłom i zgłębianiu nauk naszych ojców duchowych, rył w zakamarkach klasztoru korytarze, nie wiadomo jak długie i dokąd prowadzące. Miękka skała poddawała się jego narzędziom, odkrywając nieznane nikomu skalne szczeliny i jaskinie. To pozwoliło mu z zaskakującą łatwością tworzyć podziemne struktury, do których nikt z nas nie miał odwagi się zapuścić. Wtedy zyskał przydomek Mroczny, bo krył się w ciemnościach swych labiryntów. Tarazjusz Mroczny.

Starzec przerwał, wskazując ręką na dzban. Belzebub bez słowa, bez najmniejszego grymasu zniecierpliwienia napełnił mu kubek wodą.

– Pewnego dnia Tarazjusz zaginął. Niektórzy bracia mówili, że zabłądził w podziemnych korytarzach. Że wszedł tak głęboko, iż nie wiedział, jak wrócić.

– Mogło tak być – wtrącił Kalikst. – Ja coś o tym wiem. Ledwom sam kopyt tam nie wyciągnął.

Mnich pokręcił głową.

– Jednak tak nie było. Tarazjusz Mroczny wrócił po miesiącu, wiodąc ze sobą bestię. Golema złożonego niepojętą, ciemną mocą z człowieka ciała i kozła, którego łeb osadził na ludzkich ramionach. Nadszedł nocą, gdy większość z nas spała. Razem ze stworem dokonał rzezi naszych braci, podrzynając im gardła we śnie. Tych, którzy zdołali zbiec, dopadał człowiek-koziół i wyszarpywał im wnętrzności. Był bardzo szybki, o wiele szybszy, niżbyś się spodziewał. I okrutny jak nikt. Bracia umierali w bólu. Tylko ja przeżyłem. Gdy rozpoczęła się rzeź, miał uciekać w stronę wyjścia z klasztoru, pobiegłem korytarzem wykutym przez Tarazjusza. Tam odkryłem całą prawdę. Bóg mnie ocalił, kierując me kroki w inną stronę. Mordercy nie sądzili, że ktoś odważy się wejść w ich labirynt, a dobry Pan uspił ich zmysły i zwiódł pogoń. Bóg ukazał mi też, co kryło się w podziemiach.

Przerwał, trąc ze zmęczenia zasłonięte bielmem oczy. Ciężko dysząc, oparłszy dłonie na kosturze, wyszedł przed swą samotnię. Skierował twarz ku słońcu, szepecząc niezrozumiałe

dla Kaliksta słowa.

– Wtedy straciłem wzrok – przemówił wreszcie. – W kazamatach tego szaleńca spędziłem rok. Całe dwanaście miesięcy w ciemnościach, chłodzie i tufowym pyłe sypiącym się ze skał. Przeżyłem, pijąc wodę spływającą po ścianach jaskiń. Żywiłem się porostami, mchami i robactwem, które lgnęło do złego, do tego, co robił tam Tarazjusz. Wiem, zaraz zapytasz, dlaczego nie uciekłem. Nie mogłem. Szaleniec odciął mi drogę, jakby wyczuwał moją obecność. Posługując się mroczną magią, ożywił trupy wymordowanych braciszków, czyniąc z nich swą straż i sługi. Ciała pozbawione dusz podniesione do nędznego półżywota... To było pierwsze z jego dalszych plugastw. Umarłacy nie tylko pilnowali wyjścia, ale jęli jeszcze bardziej pogłębiać labirynt, budując pod klasztorem prawdziwe podziemne miasto. Moje dwanaście miesięcy spędzonych w tym miejscu naznaczone było nieustanną ucieczką.

W górze rozległ się wrzask jastrzębia. Przysłaniając oczy dłońmi, Kalikst obserwował jego lot, wreszcie wyciągnął ramię, zachęcając ptaka, by usiadł. Gdy jastrząb to zrobił, pogłaskał go po piórach. Dał czas starcowi na zebranie sił do dalszej opowieści.

– Błąkałem się tam tak długo, aż odkryłem w jednym z nowych korytarzy wąską szczelinę. Szło od niej powietrze, w którym wyczuwałem zapach suchych traw, słyszałem szum wiatru i nawoływania ptaków. Pewnej nocy wybiłem tam dziurę i wyczołgałem się na zewnątrz. Nadszedł ranek, ale dla mnie słońce przestało już znaczyć to, co znaczyło wcześniej...

– A Czarna Ikona? Co z tym obrazem, który wszyscy tak chcieli zwinąć? – Belzebub wypuścił jastrzębia, z uśmiechem patrząc na jego szerokie skrzydła.

Twarz mnicha na chwilę rozjaśniała.

– Zaraz do tego dojdziemy. Pewno sobie zadajesz pytanie, co kierowało Tarazjuszem? Czy tylko szaleństwo, czy jednak coś więcej? Szaleństwo może też... Ale to nie wyjaśnia wszystkiego. Czuliśmy Logosa jako Bożego posłańca, który miał poprowadzić ludzkość do świata duchowego. Tarazjusz przeszedł na drugą stronę. Uznał, że materia jest równoważna duchowi, zaś czyn Satanaela, który obdarzył anioły ludzkimi ciałami i w ten sposób stworzył pierwszych ludzi, to czyn wielki i dokonany z woli i na polecenie Boga Ojca. Z czasem całkowicie odrzucił nauki Logosa, twierdząc, że młodszy brat czuł zawiść z powodu wielkiego dzieła Satanaela i chciał uwieść ludzkość, odebrać ją Demiurgowi. Czarny Mnich, w którym nie było już nic z dawnego Tarazjusza, całkowicie oddał swą duszę Satanaelowi, próbując go naśladować. Lepił swoje golemy i demony, za budulec biorąc ludzkie ciała. Nadawał im najdziwniejsze kształty.

– Hmm, wiem coś o tym... – Belzebub aż się zatrzęsł na wspomnienie bestii, którą spotkał w podziemiach na swej drodze do klasztoru.

– Wiele z nich nie przeżywało dnia, jednak były i takie, które egzystowały na tym świecie miesiącami i żyją do dziś.

– O tym również wiem...

– Skoro wiesz, to teraz czas na poznanie czegoś nowego – zdecydował nagle starzec. – Idź ćwiczyć z jastrzębiem.

– Ale... Miałeś mi powiedzieć, co z tym fantem... No, z Czarną Ikoną.

– Nie teraz. Musisz poznać zgubioną część swojej duszy. By na zawsze związać ją z tym, co zostało w twoim ciele. I żeby nigdy więcej...

* * *

– I żeby nigdy więcej nie zdarzyła ci się taka przygoda jak wtedy na morzu, gdy straciłeś łódź – mrucał Kalikst, przedrzeźniając gderanie mnicha, wiedział jednak, że stary człowiek ma rację.

Ćwiczył każdego dnia. W świetle słońca i o zmroku. Gdy żółta kula rozjaśniła świat, wydobywając z najgłębszych zakamarków kształty i kolory, ptak chętnie poddawał się woli człowieka, jednak wieczorne i nocne loty były wbrew jego naturze. Z początku jastrzęb stawiał duży opór, kiedy Belzebub podrywał go pod chmury w świetle księżyca. Z czasem jednak przywykł, polegając wówczas tylko na słuchu.

– Posmakuj, czym jest ślepotą – mówił później mnich, kiwając głową. – Ta wiedza i ta umiejętność może kiedyś ci się przydać. I uratować życie.

Jastrzęb i człowiek spleceni jedną duszą... Kalikst szybko nauczył się kierować skrzydłami ptaka, używać jego zmysłów. To dawało mu poczucie euforii. Już nie tylko mknął pod niebiosami niesiony przez jastrzębia jak jeździec na koniu. Teraz sam był ptakiem. W tych chwilach czuł, jak palce niemal zamieniają mu się w pióra, czuł pod nimi opór powietrza, wiatr szarpiący chmurami ponad ziemią. Sam też dał cenny dar zwierzęciu. Przywrócił mu umiejętność samodzielnego polowania. Słaba, czująca wstręt do przemocy część duszy Belzebuba już nie miała nad nim takiej władzy. I ptak sycił głód, łapiąc zające, wiewiórki i gołębie. Kalikstem wstrząsały niepokojące dreszcze, gdy rozrywał dziobem jastrzębia świeże mięso, gdy rozbryzgiwał krew i łamał drobne kostki.

Zaczynali od kręgów zataczanych nad okolicznymi wzgórzami, jednak każdego dnia ptak wykonywał coraz dalsze loty. Jak powtarzał mnich, cała sztuka polegała na tym, by widzieć oczami jastrzębia, ale nie tracić też kontaktu z tym, co się działo na ziemi.

– Wtedy, na łodzi dałeś się ponieść – tłumaczył starzec. – Skończyło się jeno na jej rozbiciu. Jednak pomyśl, co będzie, gdy podczas zespolenia ktoś zada ci cios puginałem w serce.

Ale nie to stanowiło najpoważniejsze zagrożenie i Kalikst z dnia na dzień coraz wyraźniej zdawał sobie z tego sprawę. Musiał utrzymać duchową więź z oddzieloną częścią swej duszy, by znów nie stać się bezrozumnym skrytobójcą na usługach Czarnego Mnicha. W pierwszych dniach spędzonych w górach Troodos to nieustanne poczucie istnienia gdzieś obok drugiego jestestwa powodowało w nim ataki wściekłości. Odszczekiwał się wtedy swojemu

gospodarzowi i uciekał na samotne wędrówki po górach.

Pewnego dnia coś w nim pękło. Tłamszona złość na świat, na mnicha, na ptaka, na góry, na Zoe, na Nicetasa, czająca się tuż obok nienawiść, żądza krwi i awantur – wszystko to ustąpiło, złagodniało, ulatując z jego duszy jak dym rozwiany przez ciepły cyprijski wiatr. Mknąc pod chmurami zespolony z jastrzębiem, czuł spokój i szczęście. Wtedy wracał myślami do Konstantynopola, do beztroskich dni z Zoe, wspólnych wypraw nad zatokę i nocnych pijaństw w portowych zaułkach z Nicetase.

Po dwóch tygodniach ćwiczeń potrafił utrzymać więź z jastrzębiem, gdy ten miał za sobą pół dnia lotu. Już nie tylko patrzył z góry na pobliską wioskę, z której pożyczał wóz od Zenona Małego. Szybko odkrył, że nieopodal jest druga wioska, a za nią szeroki trakt wiodący z gór w dół, w stronę morza. Droga prowadziła między migdałowymi sadami obsypanymi różowym kwieciem, gajami oliwnymi, winnicami.

Tego dnia dotarł daleko... Dojrzał nawet spokojną sinoniebieską toń. Wtedy zawrócił.

* * *

Starzec stał nad więzieniem Purrhosa i nasłuchiwał.

– Ciekawe... Już tyle dni nie dajemy mu pożywienia, a on nic sobie z tego nie robi. Co prawda nie cuchnie już tak ohydnie jak wówczas, gdy szedł naszym tropem, jednak wciąż wyczuwam w nim witalną siłę, która utrzymuje go przy życiu.

Belzebub z trudem powstrzymał mdłości.

– Mniej cuchnie? Chyba na odwrót! Wali od niego jak nigdy, aż mnie skręca!

– To jego odchody i jego zapach, który wsiąkł w ziemię. Ale on sam, a czuję to, zatracca już swą woń.

– Czy możemy powrócić do ważniejszych spraw? Mija kolejny dzień, a ty, starcze, nie odsłoniłeś przede mną całej tajemnicy. Chcę wiedzieć, co jeszcze nikczemnego uczynił Czarny Mnich! Chcę wiedzieć, jak go pokonać!

Z dołu usłyszeli basowy pomruk demona. Kalikst zakrztusił się od smrodu, jednak na mnichu nie zrobiło to najmniejszego wrażenia.

– Chodźmy więc – rzekł eremita.

Ruszył dziarskim krokiem w stronę cienia.

– Dziwisz się, że dawkuje ci wiedzę o twym wrogu – powiedział, gdy spoczął na kamiennej ławie przed swą samotnią. – Robię to nie bez przyczyny. Musisz dojrzeć duchowo do prawdy. Musisz nauczyć się więcej, by ją w pełni pojąć i zrozumieć czego od ciebie oczekuję.

Z pełnym rezygnacji westchnieniem Belzebub usiadł obok mnicha.

– Ja to rozumiem. Gdy patrzę na świat oczami jastrzębia, poznaję prawdziwego siebie i inaczej spoglądam na to, co było. Ale... – zerwał się i podniósł głos. – Ale na miły Bóg, Zoe

w niewoli! Muszę ją ratować! Przecież sam mówiłeś, że ten satanaelski szaleniec może jej użyć niczym narzędzia, jak wcześniej mnie! Kto wie, czy już nie rozerwał jej duszy i nie posłał w ślad za *basileusem*.

– Tego nikt nie wie. Chciałbym zdjąć z twych barków niepokój o losy ukochanej, ale dopóki nie będziesz gotów, niewiele wskórasz. Owszem, mógłbym posłać cię wprost przed oblicze plugawego apostaty. Zapewniam cię jednak, że w dwa oddechy znów trafiłbyś do klatki zawieszanej nad czeluścią.

Kalikst musiał przyznać mu rację. W bezpośrednim starciu z Czarnym Mnichem nie miał najmniejszych szans. Choć od czasu, gdy w kapadockim monasterze pojмали go trupi braciszki, na jego ciele i duszy pojawiło się wiele nowych blizn, to wciąż pozostawał tym samym drobnym złodziejaszkiem z Konstantynopola.

– Dla ciebie wszystko zaczęło się od ikony... – stary człowiek podjął swą opowieść. – Zwą ją Ikoną Satanaela, choć gdybyś ją ujrzał, nie dostrzegłbyś na niej żadnego malowidła. Tylko czarną powierzchnię naznaczoną warstwą brudu.

– Tak. To pokazałeś mi w tej wizji...

– Nie jest to jednak brud, lecz krew! W ten obraz wsiąkła krew wszystkich czy niemal wszystkich ofiar szarlatana. Najpierw byli moi bracia z klasztoru zarżnięci jak bydło z pomocą człowieka-kozła. Tutaj muszę ci wyjaśnić, czym naprawdę jest Czarna Ikona. Trzy wieki temu w Anatolii i Armenii istniał kult Ikony Chrystusa Pantokratora z Tephrike. Pierwsze cudowne uzdrowienie, jakie się dokonało dzięki temu obrazowi, miało miejsce w 746 roku. Od tego czasu, jak wieść niesie, dzięki pocałunkom wiernych złożonym na malowidło co kilka lat dochodziło do kolejnych niezwykłych przypadków, czyjaś choroba cofała się albo nawet ustępowała zupełnie. Podług nas, bogomiłów, te cuda były sprawką Satanaela, który pogłębiając u wiernych kult ikon i bałwochwalstwo, oddalał ich od prawdziwej wiary. Lud kochał kawałek deski, a nie Logosa, i tylko upadły syn Boga Ojca znajdował w tym radość. Dwie dekady temu ikona Chrystusa Pantokratora z Tephrike zaginęła w tajemniczych okolicznościach. Pojawiła się na powrót, nie wiedzieć skąd, w rękach Tarazjusza!

– Zajumał cud-ikonę! No to niezły z niego złodziej!

Starzec zgromił Belzebuba wzrokiem. Opowiadał dalej:

– Po rzezi w naszym monasterze sługa Satanaela zlał krew zabitych do wielkiego kotła i zaczął powoli gotować w niej ikonę. Warzył tak długo, aż wizerunek Pantokratora się rozmył. Każdej następnej ofierze szaleniec toczył krew, którą kropił na powierzchnię ikony. Ale nie to jest najstraszniejsze! Ikona, teraz czarna i pozbawiona jakiegokolwiek malowidła, skropiona krwią ofiar w odpowiednim momencie ujawni wizerunek Satanaela. Wtedy też zyska swą największą moc, tak jak chciał Tarazjusz.

Kalikst przypomniał sobie tę chwilę, gdy tkwił schowany nad kopułą podziemnej kryjówki gildii złodziei. To od tego się wszystko zaczęło! Gdy podsłuchiwał słowa mistrza

Atanazego. Gdy wyruszył na wariacką wyprawę, by udowodnić nie wiadomo co i nie wiadomo komu.

– Nie jest to obraz ani nic, co mogłoby cieszyć oko jakiegoś bogatego próżniaka, a jednak... – powiedział w zamyśleniu – Jednak komuś zależało na zdobyciu tego odrażającego przedmiotu.

– Myślisz o tym zleceniodawcy, który zwrócił się do konstantynopolitańskich złodziei? Belzebub poderwał się i chwycił eremitę za rękaw.

– *Gamoto!* O to się właśnie rozchodzi! Kto to był i czego chciał?!

Stary mnich pomarkotniał. Długo nic nie mówił, wreszcie szepnął:

– To byłem ja...

– Ty?! Jakże to? Atanazy mówił, że jakiś bogaty paniczyk czy ktoś tam! Nie gadał nic o ślepcu żywiącym się korzonkami i resztkami mięsa niedojedzonymi przez jastrzębia!

– Eh... Tak to wyglądało... Tak on to widział, więc mówił prawdę. Można pan obiecujący skrzynie złota...

– Wyglądało?! – Kalikst szarpał rękaw riasy eremity, a w oczach zapłonęły mu ognie. – Starcze, mów, co wiesz!

Musiałbym ci więcej powiedzieć, niż chcesz usłyszeć – pomyślał mnich w czerwonej szacie. – Musiałbym ci powiedzieć, jak zdradziecki karzeł Metody zabił Atanazego na polecenie Eutymiusza. Musiałbym ci powiedzieć, jak doprowadziłem do upadku gildię złodziei, zbyt powierzchownie patrząc w przyszłość, którą sam stworzyłem. Powiem ci, na pewno! Jestem ci to winien. Ale nie teraz. Gdy się to już wszystko skończy, poznasz ostatnie chwile Atanazego i wrócisz do Konstantynopola go pomścić.

– No więc?! Gadaj, starcze!

Ślepy eremita westchnął ciężko.

– Atanazy, jak mówię, widział możnego pana, który przedstawił mu się jako Manuel Orestes z Pafos. Młody, postawny, dostatnio odziany, z dumnym, pewnym siebie spojrzeniem. Ów człek obiecał Atanazemu dziesięć skrzyń złota i drogich kamieni w zamian za zdobycie Czarnej Ikony. Nie naciskał zbytnio na szybkie podjęcie zlecenia, lecz zostawił szkic planu, który pozwalał na wstępne obmyślenie strategii wyprawy. To niezwykle pobudziło wyobraźnię mistrza, można rzec, zaślepiło go. Widzisz, patrząc na to z punktu widzenia gildii, to jednak rację miał Eutymiusz. Zlecenie Manuela Orestesa wikało konstantynopolitańskich złodziei w pokrętną politykę, która ich przerastała. Jednak gdyby wszystko przebiegło, jak to zaplanowałem, kradzież Czarnej Ikony mogłaby się udać. Niestety po drodze musiał się w to wmieszać pewien średnio zdolny złodziejaszek...

– Średnio zdolny, tak?...

– Palce ma zręczne, jednak w umyśle chlupotało mu więcej wina niż oleju – z uśmiechem pokiwał głową pustelnik. – Porwał się z grabiami na słońce, jakby to był zgniły arbuz.

– Dobra, dość już tego! Mów, co to za Manuel! Skąd go nająłeś?

– Manuela nigdy nie było. Pojawił się jedynie w umyśle Atanazego jako wspomnienie, które naprawdę nigdy nie istniało. Zaszczepiłem je w pamięci mistrza, gdy spał. Rano, budząc się, przypominał sobie spotkanie i rozmowę, do której nigdy nie doszło. Za pierwszym razem na stoliku znalazł mapę podziemnych przejść do monasteru Czarnego Mnicha. Ta istniała, bo nakreśliłem ją ręką Atanazego przy jego całkowitej nieświadomości, gdy spał. Tyle mogę... Stwarzać iluzje, zsyłać obrazy i tylko niekiedy przenosić niewielkie przedmioty jak ten talizman, który uchronił cię przed atakiem cuchnącego demona. Atanazy poddał się iluzji. Cały czas sądził, że w rzeczy samej odwiedził go majętny pan z dziwną, acz korzystną propozycją.

Belzebub zawył z wściekłości. Zacisnął pięść i ledwie powstrzymał się, by nie rozkwasić starcowi twarzy.

– Więc to ty! To ty jesteś wszystkiemu winien! Ty ołgałeś mistrza, a i ja się na to nabrałem! Iluzja! Czary!

– Rozumiem twą złość, ale nie miałem innej sposobności, by zachęcić mistrza do podjęcia się tego zadania. Jestem zbyt stary, by podróżować tak daleko. Jednak pomijając formę, treść odpowiadała prawdzie. Nie kłamałem co do szczegółów zlecenia.

– Ha, ha, ha! A skrzynie ze złotem? Gdzie je masz?! Jak chciałeś je przekazać po udanej złodziejskiej robocie naszej gildii? Łżesz, starcze! Łżesz! I powiem ci coś! Twój plan co do mnie tyle mnie ciekawi, co łajno twojego osła! Opuszczam cię! Nie dam się dłużej mamić!

Mnich w czerwonej riasie wstał gwałtownie, odpychając Kaliksta. Jego twarz wykrzywił grymas zniecierpliwienia. Szczupła sylwetka urosła nagle, jakby ubyło mu ze trzydzieści lat. Dyszał niczym rozszierzony lew.

– Stój! I zamilcz! – ryknął. – Dość tego! Nic się nie nauczyłeś! Nic nie rozumiesz! Zawsze byłeś drobnym pętakiem niezdolnym do niczego wielkiego, bo brak ci cierpliwości i nie potrafisz na pewne rzeczy spojrzeć z boku! Dość! Zamknij gębę i słuchaj!

Ten niespodziewany wybuch wściekłości starego mnicha zaskoczył Belzebuba. Opadł na ławę z ustami otwartymi ze zdziwienia.

– Skrzynie ze złotem były, są i będą. Będą tak długo, dopóki ktoś, może ty, ich nie zabierze. Owszem, przyznaję, nie mam złota tutaj. Ale tak stanowiła umowa z Atanazym! Powiedziałem mu, że gdy ukradnie Czarną Ikone, wskażę mu miejsce, gdzie seldzucki pirat Tzachas skrył swe łupy zebrane podczas morskich wypraw przeciwko italskim kupcom. Tzachas ma dziesiątki takich sezamów, o większości nie wie nikt poza nim. Mnie udało się poznać tajemnicę jednego z nich. Umiejscowiony jest na wybrzeżu Morza Czarnego o dzień drogi od Konstantynopola. Blisko, choć został ukryty tak przemyślnie, że jeszcze przez tysiące lat nie znajdzie go nikt, chyba że będzie wiedział, gdzie szukać.

– Tyle że pirat wcześniej zgarnie, co jego! – burknął Kalikst.

– Nie. Właśnie nie! Odkąd *basileus* Diogenes poszedł na wojnę z Seldżukami, Tzachas trzyma się z dala od Konstantynopola i północnych wybrzeży cesarstwa. Na Morze Czarne

tym bardziej nie wpływa, bo zbyt łatwo może nadzieć się na bojowe dromony Romana IV uzbrojone po czubki masztów, które płyną, by zaprowadzić porządek na wodach wokół Syrii, Palestyny i Egiptu. To złoto cały czas tam jest i można je zdobyć! Nie kłamałem Atanazemu! To on ukrył fakt, że zdobycie złota wymagało następnej wyprawy. Inna rzecz, że byłby to po prostu spokojny rejs po łupy. I tyle. Żadnego ryzyka, więc i wspominać nie było warto. Więc pomyśl: jeżeli nie Atanazy, to ty możesz jeszcze zdobyć to złoto. Dziesięć skrzyń...

– Chcesz mnie kupić? Uspokoić moją wściekłość, że zdradziłeś Atanazego i mnie popchnąłeś do zdrady?! To jest... – Belzebub szukał słowa, ale każde znane mu przekleństwo zdawało się za mało plugawe.

– Gra toczy się o coś ważniejszego niż skrzynie z błyskotkami! A za to, że masz w tym udział, możesz winić tylko siebie. Odkąd podsłuchiłeś mistrzów w podziemnej kryjówce w Konstantynopolu, wpadłeś w sidła Czarnego Mnicha. To był właśnie ten moment. Wszedłeś w drogę temu szarlatanowi, a on wykorzystał cię do własnych celów. By zdobyć to, co dla niego było najbardziej cenne.

Ta prawda długo nie docierała do Kaliksta. Cóż było cenne dla Czarnego Mnicha? Co miał właściwie zdobyć? Wreszcie przypomniał sobie.

– Krew *basileusa* Diogenesa! – wykrzyknął.

– Tak. Krew *basileusa*, którą miałeś mu przynieść w kanalikach specjalnie przygotowanego pugiinału.

– Nie rozumiem. Po co to wszystko?

– Jesteś pewien, że chcesz to teraz słyszeć? To długa opowieść i lepiej, byś przemyślał to, co ci rzekłem.

– Chcę wiedzieć!

– Cesarz Roman IV Diogenes za sprawą swojego doradcy i maga posiadał i użył cząstki tej samej wiedzy, którą pozyskał Czarny Mnich... I muszę przyznać, że również i ja. To wiedza, którą znali starożytni, wiedza pochodząca od pierwszych ludzi: aniołów uwięzionych w ciałach, które zlepił Satanael. Dzięki tej niemal zapomnianej, dawnej sztuce Roman Diogenes wielokrotnie uszedł śmierci. I przez to zmienił dzieje świata, bo to nie tylko swój los.

Zza kamiennej ściany pustelni wyjrzało słońce, rzucając rozpalone promienie na twarz starca. Ten mrugnął zniecierpliwiony. Gestem nakazał przesunąć się Belzebubowi głębiej w cień. Sam też się w nim skrył.

I ciągnął opowieść:

– Pierwszy raz *basileus* miał ponieść śmierć w 1072 roku dziesięć miesięcy po bitwie pod Manzikert. Jeden z jego generałów, Andronik Dukas, miał go wtedy zdradzić. Gdyby ten plan się powiódł, Diogenes poniósłby klęskę w walce z Turkami, a później trafiłby w ręce sułtana Arp Arslana. Ten przyjąłby go godnie i po krótkiej niewoli wypuścił. Jednak zdrajcy pochwyciliby go, oślepiłi i doprowadzili do śmierci od ran. Podła i nikczemna śmierć, jednak

Roman IV zdołał temu zapobiec. To był, jak mówię, pierwszy, ale nie ostatni raz. Śmierć miała dopaść Diogenesa na Sycylii, w Bułgarii, w Serbii, w Konstantynopolu, zawsze jednak udawało mu się wyrwać z jej szponów. Igrając ze swym przeznaczeniem, został nie tylko najpotężniejszym człowiekiem na ziemi, ale także wpłynął na bieg dziejów.

Wtedy Kalikst znów mu przerwał. Warknął z chytrym uśmieszkiem:

– Ha, mędrze! A powiedz, co mi jest sądzone? Jakie jest moje przeznaczenie? Może na próżno się staram, bo i tak pisana mi rychła śmierć, co? Uratuję Zoe czy tamten szaleniec obedrze mnie ze skóry?

Mnich uciszył go gestem dłoni.

– Tu nie chodzi o przeznaczenie! Rzekłbym nawet: nie ma nic takiego jak przeznaczenie. Twój żywot może potoczyć się taką drogą, na jaką go skierujesz. Tyle że na nasze wybory wpływa nasza niewiedza. Nie wiesz, co będzie jutro, więc nie spęta cię strach przed tym, co nieuchronne. *Basileus* posiadał wiedzę o przyszłości, której nie zdobył nikt pośród ludzi.

– Oprócz Czarnego Mnicha i ciebie.

– Tak, również oprócz mnie. Przyznałem to już.

– Czyli wiesz, co szykuje mi los?

– Wyobraź sobie przyszłość jako gałęzie drzewa, które wyrastają z jednolitego pnia terażniejszości. Nie wiesz, która gałąź uschnie, a która wyda owoce. Wskażesz najsilniejszą, a jutro uderzy w nią piorun i rozłamie na pół. Roman Diogenes zawsze wiedział, których gałęzi unikać. Wiedział, które nie wydadzą owoców. Przez to wpływał nie tylko na swoje losy, ale także na przyszłe dzieje całego cesarstwa. Uchodząc wielokroć śmierci, wygrywając bitwy, podejmując określone decyzje, zyskał potęgę nie z tego świata. Stał się niczym serafin stojący na czele hufca aniołów. Jakże inaczej wyglądałby świat, gdyby nie podszepty cesarskiego maga z Kalabrii, Jana Italosa... Gdyby nie wiedza Diogenesa o drzewie czasu. Dziś na tronie w Konstantynopolu siedziałby Nicefor Botaniates. Przed nim przez siedem lat cesarzem byłby Michał Dukas. Seldżycy, miast cofać się w głąb Azji, pustoszyliby Anatolię, na zgliszczach świata chrześcijan budując nowe państwo.

– Dukas? To przecież...

– Tak, to brat Andronika wygnany z Konstantynopola. Spiskowiec, który knował z Czarnym Mnichem. Ten sam, którego spotkałeś w monasterze. Jego niepowstrzymana żądza władzy zadecydowała także o twoim losie. To on potrzebował oddanego, pozbawionego skrupułów zabójcy, który nie zawaha się przed skróceniem żywota Romana Diogenesa.

Na wspomnienie tej chwili, gdy Andronik cedził: *Zaiste, panie. Raczysz nas nie lada widowiskiem*, w Belzebubie zawrzała krew. Pamiętał ów dzień doskonale – brat zdrajcy Dukasa kryjący się w półmroku i Czarny Mnich stojący nad dymiącymi od świeżej krwi zwłokami sobowtóra Kaliksta. Wtedy nie zwrócił uwagi na tę konwersację, nie zastanawiał się nad słowami, które padły, teraz jednak znaczenie tamtej sceny uderzyło go z całą mocą.

Wtedy nim handlowano niczym bydłem na targu, jak niewolnikiem. *Będzie zdolny zabić czy też nie* – to jedyne kryterium oceny towaru. Wiele by dał, by cofnąć czas do tego dnia. Jego szabla weszłaby głęboko w serce Dukasa. Czarnego szarlatana zostawiłby sobie na koniec.

– Nie pojmuję jednego – powiedział. – Bracia Dukasowie mieli powód, by nająć skrytobójcę. Ale jaki interes miał w tym szalony mnich? O solidy nie dbał, tego jestem pewien...

– Krew...

– Co? Co masz na myśli?

– On potrzebował krwi do swych niecznych celów. Nie krwi jakiegokolwiek, lecz krwi płynącej w żyłach najpotężniejszego człowieka na doczesnym padole. Cesarza Romana Diogenesa.

– Ach, rozumiem! Niebieska krew szlachetnie urodzonych...

– Nie żartuj! Tu chodzi o co innego. O krew człowieka, który zmienił bieg dziejów, korzystając z wiedzy niedostępnej dla zwykłych śmiertelników.

– Dalej nie rozumiem.

– Czarna Ikona jest czymś więcej niż tylko obrazem. Jest...

– Bramą do piekła, przez którą przeleje się lawa z diabelskich kotłów i zaleje ziemię. Tak gadali, słyszałem!

– Nie przerywaj mi! Żadna brama, żadne kotły! W ten kawałek drewna umaczany we krwi wsiąkło tyle bólu, cierpienia, łez i rozpacz, że zawarte jest w nim całe zło świata, całe bluźnierstwo przeciwko Bogu, zaprzeczenie tego, co przyniósł nam Logos. Gdy w Czarną Ikonę wsiąknie krew *basileusa* Diogenesa jako ostateczny czynnik Satanael objawi się Czarnemu Mnichowi, a następnie wniknie w jego ciało, tak jak Logos wniknął w ciało Jezusa, syna Maryi z plemienia Judy.

Zamilkł na chwilę, trąc czoło, jakby szukał najlepszych słów, którymi mógłby wyrazić powagę sytuacji.

– Czarny Mnich stanie się Antychrystem, człowieczym wcieleniem Satanaela. Będzie krzewił w ludziach zło pochodzące od zdrajcy swego Ojca i Boga. Nikt go nie pokona, nic nie będzie w stanie powstrzymać hord demonów tworzonych przezeń z ludzkich zwłok. Będzie nieśmiertelny, a za cel postawi sobie odebranie ludzkości Logosowi. Nauki głoszone przez Jezusa Chrystusa, zostaną wzgardzone, wyszydzone, wreszcie zapomniane. Ludzie cisi, słabi, uczciwi zginą pod nożami łotrów i szubrawców albo pójdą w ich niewolę, by służyć im jak psy. Bo Satanael stworzył ludzi na swoje podobieństwo i takimi chce ich na wieki utrzymać. Nie chce ludzi Logosa przepelnionych miłością, praworządnych, godnie pracujących na swój kawałek chleba.

Belzebub zwiesił ze smutkiem głowę.

– Jestem złodziejem... A teraz do tego skrytobójcą. Kradnę i zabijam, nie jestem cichy,

nie jestem uczciwy i praworządny. To stawia mnie po tej drugiej stronie, nie po twojej.

Starzec wstał z kamiennej ławy i chwycił młodego towarzysza za ramię. Ścisnął je i cicho rzekł:

– Ty nic o sobie nie wiesz. Nie wiesz, co zrobisz, gdy życie podda cię prawdziwej próbie. Wstań i spójrz w słońce. Zamknij oczy, a później pozwól, by jasność idąca z nieba ukazała ci twoją przyszłość.

* * *

Turecki nadzorca niewolników kopnął miskę. Cienka polewka ugotowana z podgniętej rzepy chlusnęła Kalikstowi na nogi. Gliniane naczynie głośno potoczyło się po bruku i pękło, uderzywszy o niewysoką podmurówkę.

– Dostyc obżarstwa! Do roboty, świnię! Ładować, ładować! – darł się łamaną greką Seldżuk, nerwowo szarpiąc wąsa. Z żółtawych oczu tryskała nienawiść i nieskrywana złość.

Jego pan, genueński kupiec, nakazał mu uwinąć się z robotą do wieczora. Statek miał być załadowany, nim zajdzie słońce, a o świcie ruszyć w rejs. Ale jak wypełnić polecenia, skoro niewolników zdziesiątkowała zaraza, a ci, co przetrwali, ruszali się jak szarańcza w miodzie?

Łoił ich po grzbietach batem, aż krew tryskała, jednak na niewiele się to zdało. Było zbyt gorąco i przemęczeni, skatowani ludzie popadli w otępienie. Pałace uderzenia bicia traktowali jak coś oczywistego niczym ukąszenia gzów.

Konstantynopol płonął. Wielki pałac *basileusów* zasnęła gruba kołdra dymu i choć ostatnie dobra rozkradzione ze skarbcza, zerwane ze ścian razem z lśniącym porfirem już dawno zdobiły rezydencje wielmożów w Genui i Wenecji, to z dawnej siedziby władcy wciąż dochodził stukot młotów i odgłos burzonych murów. Wszak i różowe, błękitne czy też zielone marmury z podłóg przedstawiały jakąś wartość.

W porcie trwał gorączkowy załadunek. Z północy nadciągała dzika horda cara Bułgarów zwanego Iwanem Grekobójcą. W jego wojskach szli też Rusowie, Armeńczycy, Turcy z północy... Śpieszyli, by odbić dla siebie Konstantynopol z rąk krwawej armii seldżucko-italskiej.

Kalikst zacisnął usta i uciekając spod bata, ruszył wraz z innymi na rampę załadunkową. Ramię rozharatane w ulicznej bójce wciąż krwawiło. Brudna rana pulsowała bólem, strużka cuchnącej ropy sączyła się na jego zgrubiałe palce dłoni. Dotąd jakoś sobie radził, jednak gdy nadzorca zwiększył tempo prac, znosił to coraz gorzej. Widok przysłańiały mu czarne motyle, pod czaszką słyszał szum tysięcy skrzydełek, czuł ich muśnięcia na twarzy i na całym ciele.

Chwycił skrzynię i dał znak Nicetasowi. Poderwali ładunek, przenosząc go na szerokie rzemieńne pasy. Teraz na pokład galery, a później...

Nagle poczuł rozdzierający ból w łokciu. Ramię zwiotczało jak odcięta gałąź, a skrzynia zjechała ze skórzanych pasów na bruk. Pękła. Ze środka wysypały się złocone talerze

inkrystowane rubinami...

Turek wpadł w szal. Cisnął w bok swój bat, zamiast niego chwytając grubą maczugę nabijaną kamieniami. Dосkoczył do Belzebuba i walił go po plecach tak długo, aż niewolnik znieruchomiał w kałuży krwi.

* * *

– To jest moja przyszłość? – wyszeptał, wodząc skołowaciałym językiem po wysuszonym podniebieniu. – Niewolnik w Konstantynopolu łupionym przez obce armie barbarzyńców?

Eremita w czerwonej riasie pociągnął go w cień i nakazał sięść na kamiennej ławie. Sam poczłapał do wnętrza swej samotni. Po chwili przyniósł dzban i kubek.

– To jeden z możliwych wariantów – tłumaczył, gdy Kalikst łapczywie wlewał w siebie wodę. – Jak już rzekłem, twe losy mogą potoczyć się różnymi drogami. Gdybym nie ocalał dobrej części twej duszy, to być może ty rozdawałbyś bity w płonącej stolicy upadłego imperium. Tak, wtedy bez wątplenia odnalazłbyś się ze swym złem w tym chaosie, wpływając zawsze na wierzch. Jednak pomyśl o innych. O swoim przyjacielu Nicetasie...

– On już nie żyje – przerwał mnichowi Belzebub. – Byliśmy razem na rydwanie, kiedy...
– Urwał i głośno przełknął ślinę. – Biedak nie żyje na pewno.

– Być może, ale skąd w tobie taka pewność? Zoe też uważałaś za martwą... Właśnie, a Zoe?... Czy ona poradziłaby sobie w takim świecie? Nie, i tego akurat możesz być pewien, umieć żyć wśród takiego zła to nie zależy tylko od ciała, ale w większej części od duszy. Chyba zaczynasz to rozumieć, bo przecież odzyskałaś swą duszę. Prawie odzyskałaś, w każdym razie nie jesteś już tym samym zabójcą jak miesiąc temu. Więc gdy zlekceważysz Czarnego Mnicha i jego plany, taka przyszłość, jaką widziałeś, może się dla ciebie wypełnić, jest najbardziej prawdopodobna.

– Ale nie jedyna...

– Chcesz zobaczyć inną przyszłość? Taką, w której jesteś galernikiem na okręcie egipskiego pirata? A co powiesz na żywot beznogiego żebraka pełzającego w ryszotkach Filipopolu?...

– Dość! Wystarczy! – Belzebub uniósł ręce, jakby w ten sposób chciał powstrzymać napór słów starca. – Cóż zatem zrobić?

– Wyruszysz jutro. Tylko strzeż się podstępów wiwerny...

ROZDZIAŁ 19

Droga urwała się jak skórzany pas przecięty krótkim uderzeniem topora. Belzebub przystanął zdeorientowany. Nie, szlak nie zbaczał nigdzie ani też nie przysypała go lawina. Nie podmył strumień i nie zarósł trawą. Po prostu kamienisty trakt dochodził do ostrego zbocza porośniętego karłowatymi drzewkami i ginął przygnieciony górą.

– *Gamoto* – wyszeptał zrezygnowany.

Owszem, starzec mówił, że musi wejść w tę część gór Troodos, której nigdy nie skalala ludzka stopa. Że będzie musiał wdrapać się w miejsce, którego unikały nawet zwierzęta. Potraktował te słowa jako miejscową przypowieść – ot, tutejsi górale wydeptali drogę do kamieniołomu, z którego brali marmur do budowy chlewików. A że dalej nie potrafili się przedrzeć, stworzyli opowieść o szczytach sięgających ponad chmury i przepaściach bez dna. I czających się tam potworach. Teraz jednak dostrzegł w tym źdźbło prawdy – po prostu nie wiedział, gdzie dalej iść.

Kieruj się na północ, najdalej jak się da – mówił mu starzec. – *A gdy zwątpisz, to idź dalej, nie wahając się.*

Co to znaczy? – pytał. – *Dlaczego tak kręcisz i nie powiesz wszystkiego wprost?*

Musisz mi zaufać. I zaufać sobie samemu. Nie pytaj, tylko ruszaj w drogę.

Czerwony mnich szczędził słowa. Nie chciał zdradzić tajemnicy. A może po prostu jej nie znał? W końcu był jeno ślepcem...

Belzebub wdrapał się na zbocze, raniąc dłonie o ostre krawędzie kamieni. Słońce leniwie sunęło po bladym niebie, zalewając Troodos oślepiającą bielą.

Świetlne igielki ukłuły go w źrenice. Opuścił powieki.

I wtem na szyi poczuł chłodny dotyk ostrza.

– Nie ruszaj się... – usłyszał szept.

Nie ruszał się. Nawet nie otworzył oczu.

– Chcesz ją zabić? – To był głos kobiety. Wtedy spojrzał.

Ciemne włosy związane w gruby warkocz, oliwkowa skóra, lekko skośne oczy. Nie była stąd, to jasne. Saracenka? Nie, za ciemna. Nubijka? Kitajka? Nie, nie przypominała żadnej z tych nacji, których przedstawiciele przecierali szlaki imperium. Również jej strój wskazywał na obce pochodzenie. Czarny kaftan ze skóry ciasno opinał jej kształtne piersi.

Nogi wojowniczkę tylko częściowo osłaniała spódniczka do kolan, zaś jej łydki okrywały sznurowane cholewy wysokich butów.

– Kim jesteś? – wyrwało mu się głupie pytanie, jednak nie dostał odpowiedzi.

Docisnęła mocniej sztych miecza, aż spłynęła krew.

– To ja pytam – powiedziała ostro. – Mów! Chcesz ją zabić?!

– Niby kogo? Tę przerośniętą jaszczurkę?

Sapnęła wściekle:

– To jest wiwerna. Rozumiesz? Wiwerna!

– Cokolwiek powiesz! Tak długo, jak trzymasz mi ten nożyk przy gardle, będę z tobą zgodny.

– Czyli przybyłeś ją zabić, co?

Na pół oddechu nacisk jej miecza osłabł. Wykorzystał tę chwilę, jak potrafił najlepiej. Odchylił się w tył, schodząc z linii ostrza. Potem skoczył w bok, przetaczając się po kamieniach i nim zdążyła rozplatać mu głowę, zaatakował ją puginałem od dołu. Lewą ręką przytrzymał uniesione do ciosu ramię dziewczyny, prawą przytknął jej nóż do policzka.

– No, królowo! Nie ruszaj się, bo stracisz nieco na urodzie. I od razu odrzuć swój miecz.

Posłuchała. Klinga zazgrzytała po kamieniach.

– Doskonale. A teraz odpowiem ci na twoje pytanie. I sam zadam. Nie, nie chcę zabić przerośniętej jaszczurki.

– Wiwerny.

– Teraz ja cię mam na ostrzu, nie zauważyłaś?

– Wszystko jedno. To jest wiwerna.

– Że jak? Wierna czy niewierna? – sam zaśmiał się ze swojego żartu. – Nie chcę jej zabić, ale ty, rozumiem, masz taki zamiar.

Opadło w niej napięcie. W skośnych oczach zaśniły weselsze iskierki.

– Jeżeli mówisz prawdę, to dobrze... Dobrze, że nie chcesz jej zabić. Ale czego tu właściwie szukasz?

Belzebub opuścił puginał i patrzył w zdumieniu na dziewczynę.

– Czego ja tutaj szukam? Szwendam się po górach, zaglądam tu i tam. Jak to często robią takie chwaty jak ja. Nic nadzwyczajnego. Ale bardziej ciekawi mnie, co ty tutaj robisz? Czyżbyś nawiała z saraceńskiego haremu? Co tu robi taka sztuka jak ty? Sama! I jeszcze z jakiej przyczyny napada innych wędrowców?

Spojrzała na niego ze zdziwieniem. Wesole iskierki w jej oczach zgasły.

– Chyba już czas na mnie – mruknęła. Podniosła miecz, schowała go za pas i ruszyła w dół zbocza.

– Hej, królowo! Jakże to tak?! – zawołał za nią Kalikst. – A ty gdzie? Ledwośmy się poznali, a ty już uciekasz? Co z tą wiwerną?

Przystanąła na chwilę, jednak nie odwróciła głowy.

– Zabiję ją! Po to tutaj przyszedłem! Twoja wiwerna nie dożyje świtu. Wracaj!

Wzruszyła ramionami i dalej szła w dół z bocza.

Chciał biec za nią, jednak nagle znów oślepiło go słońce. Zasłonił oczy dłońmi i mrugał, aż spod powiek znikły kolorowe płatki.

Gdy spojrział w dół, skośnookiej już nie było.

* * *

Dalsza droga biegła łysym grzbietem skalnym porośniętym na bokach pokrzywionymi drzewkami. Szedł, wspominając słowa starca w czerwonej riasie.

Jeżeli zadawałeś sobie kiedyś pytanie, dlaczego założyłem pustelnię na Cyprze, w górach Troodos, to już znasz odpowiedź – tłumaczył mu eremita. – Tak, chodziło, rzecz jasna, o Czarnego Mnicha. Po tym, jak ledwie uszedłem z życiem z rzezi, którą urządził w naszym monasterze, poprzysiągłem mu zemstę. Później, Bóg dał, wyrzuciłem ze swego serca nienawiść, a z nią myśl o zemście, lecz nie zmieniło się jedno: przekonanie, wręcz pewność, że muszę powstrzymać plugawego sługę Satanaela. Długo nie znałem jego sekretu. Snulem domysły i kolejne plany, pytałem Logosa i Boga Ojca o to, jak pokonać Czarnego Mnicha. Wreszcie poznałem prawdę. Wtedy opuściłem Kapadocję i znalazłem swoje miejsce tu, w cypryjskich górach.

Wkrótce Kalikst dotarł do końca kamiennego grzbietu. By iść dalej, musiał wdrapać się na drzewo i po gałęziach na położoną wyżej półkę skalną. U jej stóp po drugiej stronie ujrzał łagodną przełęcz przeciętą wąską ścieżyną wydeptaną, jak sądził, przez zwierzynę.

Zeskakując po skałkach, dobiegł do dróżki. Ruszył nią, kierując swe kroki na północ. Szedł tak przez trzy kwadransy, wreszcie przystanął.

– Dziwne – mruknął. – Tu już chyba byłem...

Potoczył wzrokiem po niedalekich szczytach. Ta góra w kształcie przewróconego dzbana, gęsto porośnięta dzikimi drzewkami oliwnymi, i ta druga, niczym ścięty na końcu grot strzały... To miejsce wyglądało zbyt znajomo.

– To tylko mi się zdaje – przekonywał sam siebie. – Nie może być inaczej. Tu podobne są wszystkie szczyty, doliny, stare gaje i przełęcze. To nie Konstantynopol, gdzie każdą uliczkę znaczą inne wspomnienia...

Znajdując otuchę w tych tłumaczeniach, powędrował dalej, jednak po kolejnym kwadransie przystanął bezradny. Drożyna znikła gdzieś pośrodku niewielkiej łączki, zaś przed nim wyrosło strome zbocze inkrustowane szarymi skałkami o ostrych krawędziach. Popatrzył na boki. Nie, tam nie było drogi. Łąka opadała w dół aż na skraj urwiska. Musiał więc drapać się do góry.

Ruszył, nie tracąc czasu. Słońce na niebie powoli wędrowało na zachód, szukając miejsca, w którym skryje się przed nadchodzącą nocą.

– Nigdy tam nie dojdę – jęknął, zlizując krew z dłoni rozharatanej o krawędź skały. Osuwające się za nim kamyczki ciągnęły warkocze kurzu. – Przeklęte miejsce, gdzie ja w ogóle jestem? Po co ja tam idę?

Opadł zrezygnowany, kryjąc twarz w dłoniach. Wylał na język ostatnie kropelki wody z bukłaka i zlecił bez sił, kryjąc głowę w cieniu.

– Kjek, kjek, kjek – posłyszał odległy krzyk jastrzębia. Ptak sunął po niebie opromieniony blaskiem niezmiennie gorącej ognistej kuli.

– Ja cię kiedyś zabiję – burknął Belzebub.

Wołanie skrzydlatego towarzysza podróży szło echem po przepaściach. Zwielokrotniony przez góry wrzask tylko nasilał poczucie beznadziei Kaliksta. Jak nigdy dotąd czuł, że wciąż pozostawał mieszcuchem, dzieckiem Konstantynopola. W wąskich uliczkach portowych pełnych bocznych zaułków i niskich dachów czuł się najlepiej. Znał na pamięć wszystkie przesmyki między rozległymi placami, akweduktami, między rezydencjami otoczonymi wysokimi murami z kamienia. Wiedział, jak przemknąć przez miasto, unikając straży i szajek pijanych zbirów szukających zwady. Ale tu, w Troodos, tracił orientację, gdy tylko mijane wzgórze odsłaniało niewidoczny dotąd grzbiet, zmieniało swój kształt, a łagodne zbocza urywały się nad bezdenną czeluścią.

Przyłożył czoło do kamienia, wspominając nie tak odległe przecież chwile. Myślał o Zoe: *Gdzie teraz jesteś, jak cię uratować?*

– Kjeeeeek! – tym razem jastrząb zawył mu nad samą głową, jakby podsuwając odpowiedź.

– Tak, muszę iść. Przecież wiem, dokąd i po co...

Dźwignął się, sycząc z bólu. Rana na dłoni puchła w oczach jak bochen chleba wypiekany o świcie. Mimo to poczłapał do góry, bo cóż mu pozostało?

Wspinaczka na szczyt zajęła mu jakieś sześć kwadransów. Wrażenie, że znał to miejsce, pogłębiło się. Minął rząd pachnących migdałowców i wyszedł na szeroki trakt.

– Nie... Albo już oszalałem ze szczętem.

Na wprost niego znajdowała się pustelnia mnicha w czerwonej riasie.

– Ha, ha, ha – trząśł się ze śmiechu starzec. – A więc jesteś!

– To nie jest śmieszne – wyskrzecztał Kalikst. – Daj mi lepiej coś do picia, bo padnę zaraz i nie wstanę.

Eremita sięgnął po bukłak wypełniony świeżą wodą źródlaną. Wiedział, o co poprosi skołowany wędrowiec.

– Co, to też wypatrzyłeś w swoich wizjach? – mruknął Belzebub. – Że przyjdę zmordowany jak stara chabeta po całym dniu orki? Wysuszony jak rozgwiazda wyrzucona przez morze na kamienie?

– Woda to w tych górach najcenniejsze dobro, przynajmniej dla tych, którzy nie znają drogi i nie wiedzą, dokąd iść.

Kaliksta ogarnęła nagła furia. Ryknął na eremity:

– Starcze, ty sobie ze mnie żarty stroisz! Kazałeś iść szlakiem, który robi wielkie koło i zawraca na tył twojej pustelni. Poszedłem i co? Stoję tu, a Zoe umiera dręczona przez bestię w czarnym habicie. Chcesz, żeby umarła, a ja razem z nią?

Pustelnik tylko wzruszył ramionami i zawrócił do swojego eremu. Belzebub pobiegł za nim.

– Odpowiedz mi! Co to za gra?

– Przecież ostrzegłem cię. To ona, wiwerna. Będzie tak kierować twoimi krokami, że nigdy nie odnajdziesz jej jaskini. Zawsze powrócisz tu, skąd przyszedłeś.

– Zawsze? Czyli nigdy jej nie dorwę?! To co mam robić?

– Będzie wpływać na twój umysł tak długo, jak długo będzie czuć w tobie nienawiść i nieokiełznane pragnienie zemsty.

Usiedli na kamiennej ławie przed pustelnią. Mnich przemył ranę Kaliksta i obłożył ją kompresem z rozmoczonych ziół. Dziwne, ale ból szybko ustąpił. Tylko delikatne mrowienie między palcami przypominało mu o ostrych skałach na zboczu.

– Powiedz mi, co widziałeś, słyszałeś, czułeś. Dokładnie! Odkąd znikł ci z oczu dach mojej samotni...

Gdy Kalikst skończył mówić, starzec pokiwał głową i stwierdził:

– To ona.

– Ta czarna panna? Zmieniła postać? Znaczą się to była wiwerna?

– Tak. I zarazem nie. Nie do końca.

– Czy to jakiś nowy wykład z twojej heretyckiej filozofii? To w końcu tak czy nie? Nie może coś być i nie być zarazem.

– Może czy nie może, to inna dyskusja. Ludowe bajania mówią o tym, że wiwerny potrafią przybrać postać człowieczą, że tak zmienione wchodzą do wsi i miast, by tam szukać swoich ofiar. Nie, zapomnij o tych bujdach rodem z przydrożnej karczmy! To, co widziałeś, to emanacja umysłu wiwerny. Gdybyśmy mówili o człowieku, rzekłbym: to była jej dusza, duchowa postać zwykle skryta w ciele czarnego gada.

Dalszą opowieść przerwał mu rechot Kaliksta.

– Duchowa? Starcze, ładnie mi tu nawijasz swoje mowy mędrca, ale ja wiem, jak było. To nie był żaden duch! Przyłożyła mi ostrze pod brodę! Ktoś mniej cwany ode mnie już leżałby tam z rozdartym gardłem zimny i martwy jak gruda lodu!

– Szkoda, że nie byłeś tak cwany, gdy zawróciłeś z właściwej drogi, miałeś iść dalej w góry... Powiadają, ona gra w twoim umyśle. Gra twoim strachem, niepewnością, czasem wściekłością, ale też i tęsknotą. Niewiasta, którą spotkałeś na swej drodze, to wytwór twojego umysłu.

– Ale... Rozmawiałem z nią! Była prawdziwa!

– Na ten temat mógłbyś poprowadzić dysputę z Platonem. Tak, ten filozof zgodziłby się,

że duchowa emanacja umysłu wiwerny, czarna wojowniczką o skośnych oczach to prawdziwy byt, idea, a reszta to jeno odbicie idei. Jednak w twoim wypadku platońska ontologia nieco zwodzi: musisz zmierzyć się z duchową emanacją, by dotrzeć do jej materialnej postaci. Co więcej, winienes zlekceważyć ducha, by odnaleźć ciało.

– Platon dostał kosę we flaki zeszłej wiosny – powiedział z przekonaniem Belzebub. – Głęboko mu weszła, nikt by nie przeżył. Ale o duchach to nigdy nie gadał.

– Chyba mówimy o innym Platonie...

– Platon Pokrak, złodziej z Blacherny. Dobry chłopak był, tylko głupi. Po co się rwał do mordobicia z Armeńczykami, kiedy był sam, a ich pięciu?

Starzec nie był jednak ciekaw rewelacji z Konstantynopola. Wstał, otrzepując riasę z kurzu.

– Lepiej wypocznij, bo jutro o świcie wyruszasz w dalszą drogę – rzekł, wchodząc do swej pustelni. – I pamiętaj, że tym razem twoja podróż może skończyć się znacznie gorzej niż tylko pobłędzeniem w górach.

* * *

– Kalikst! Tutaj jestem! Ratuj mnie!

Przystanął oniemiały. Zoe kurczowo obejmowała pochylony nad przepaścią konar steranego życiem cedru. Odslonięte przez lawinę korzenie drzewa chwytaly kamienisty skraj urwiska niczym chciwa dłoń syryjskiego kupca złote solidy.

– Tutaj! Pomóż mi!

Dziewczyna bujała się na gałęzi, wprawiając pień w niebezpieczne drzenie. Chmury suchego pyłu i drobiny skał sunęły w dół niczym piasek w klepsydrze. Jeszcze kilka oddechów, a się przesypie, kończąc żywot tak rośliny, jak i człowieka.

– Co się gapisz?! Przecież to zaraz spadnie!

– Zoe? Co ty tu robisz?

– Najpierw mnie ratuj, później będziesz zadawać pytania.

Wiedział, że wiwerna znów płata mu figle, bawiąc się jego wspomnieniami. Że znów chce sprowadzić go z właściwej drogi. To jasne, gadzina liczyła na to, że skoczy na ratunek dziewczynie i przeciąży pień cedru. I że spadnie w przepaść, ciągnąc za sobą lawinę.

Z drugiej strony jednak... Już raz wydał Zoe na śmierć, już raz ją zdradził, a teraz... Teraz chciał ją odzyskać. Pochwycić w ramiona i już nigdy nie puścić. Być z nią zawsze. Aż do śmierci. Patrzył na dziewczynę podrygującą na konarze. Ta sama buzia aniołka, te same żywe iskierki w oczach, krótkie czarne włosy. Męski strój, w jakim widział ją ostatnio...

– Skąd ty się tu w ogóle wzięłaś?

– *Gamoto!* Będziesz zadawał głupie pytania, aż spadnę?!

– Odpowiedz mi, to cię zdejmę.

– Uciekłam z niewoli Czarnego Mnicha. Udało mi się otworzyć klatkę, a potem nawiałam do podziemi. A teraz jestem tu, by ci pomoc, najdroższy...

– Jesteś tu... By mi pomóc... – powtórzył powoli, smakując każde słowo.

– Tak, musimy razem go pokonać. A teraz zdejmij mnie! Szybko!

Nie mógł przestać się na nią gapić. Tak, to ona! Zoe, którą już raz zawiódł. Zoe, która uratowała mu życie, posyłając do piekła dwóch oprychów z anatolijskiego gościńca. Która poszła za nim do ponurego monasteru, bo tak kazała jej miłość.

Z nią mógłbym uciec gdzieś na koniec świata – pomyślał. – Co mi tam Czarny Mnich, Czerwony Mnich, co mi tam mnichy we wszystkich kolorach i ich heretyckie bajania... To bajdurzenie bez krzty sensu! Z Zoe dam nogę do Italii albo jeszcze dalej, do Franków. Zapomnę o heretykach, o basileusie, o czarnej wiwernie...

– Zaraz ci pomogę. Tylko powiedz mi jedno! Jak się tu dostałaś? Jak dotarłaś z Kapadocji w cypryjskie góry?

– No wiesz... Nawiałam z monasteru. I jestem tu...

– Wiesz co, ja cię chyba tu zostawię. Chętnie bym popatrzył, jak spadasz, ale muszę już iść!

– Kalikst! Znow chcesz mnie zdradzić? Znow chcesz mnie porzucić?

– Żegnam.

– Co ty robisz? Oszalałeś?! Ratuj mnie!

Odwrócił się na pięcie i ruszył w dalszą drogę. Nie patrząc w tył, puszczając mimo uszu przekleństwa i błagania dziewczyny, zaczął wspinaczkę na kolejne wzgórze. Wkrótce zgięty nad przepaścią cedr znikł mu z oczu.

Wtedy przysiadł na skale i odczekał dłuższą chwilę. Gdy wrócił na skraj urwiska, po Zoe nie było już śladu. Ale drzewo pozostało samotnie zapatrzona w skalną czelusć.

Zaśmiał się triumfalnie, choć tak naprawdę, w głębi duszy czuł żal, smutek i niepewność.

A jeżeli tam naprawdę była Zoe? Prawdziwa...

* * *

Szybko wyzbył się swych wątpliwości. Następnym razem spotkał Zoe, gdy przechodził wąską ścieżyną biegnącą skrajem wąwozu, na którego dnie płynął strumień. Tym razem dziewczyna nie wzywała pomocy. Stała na linowym moście zawieszonym nad przepaścią, rzucając mu promienne uśmiechy.

– Kalikst... Chodź do mnie! Pokażę ci lepszą drogę!

Przyśpieszył kroku, puszczając jej słowa mimo uszu. Gdy się obejrzał, mostu ani Zoe już nie było. Tylko poryty ostrymi kamieniami wąwóz.

Później kusiła go dzbanem wina, widokiem nagich piersi, ostrzegając przed nadciągającą lawiną.

Belzebub nie reagował na jej zaczepki. Mruczał tylko:

– Nie nabierzesz mnie. Wiem, że jak cię posłucham, to ta lawina spadnie mi na łeb.

Starał się koncentrować na celu swej wędrówki. Tym razem częściej korzystał ze wzroku jastrzębia. Przed wspinaczką wlatywał na jego skrzydłach i patrzył, co jest po drugiej stronie. Nim zszedł z głównej drogi, skręcając w boczną ścieżynę, posyłał ptaka, by pokazał mu, dokąd prowadzi nowy szlak.

Swojej ukochanej już więcej nie zobaczył. Za to na jego drodze stanął Nicetas.

– Zabiłeś ją... Zabiłeś Zoe! – ryczał, ściskając wielgachną maczugę nabijaną stalowymi guzami. Z jego oczu były pioruny. – Ja to wiem! Wszystko wiem! Wbiłeś jej szablę pod serce! A później gadałeś, że nie wiesz, o co chodzi.

Kalikst chciał go zignorować, ale namolny ton i oskarżenia Wielkiej Pięści wzbudziły w nim wściekłość. Na kilka chwil usunął w cień świadomość tego, że rozmawia z wytworem własnej wyobraźni.

– Nie zabiłem! Co ty możesz wiedzieć, przygłupie!

– Łżesz! Zarznąłeś ją jak prosiaka, zgwałciłeś, gdy wydawała swe ostatnie tchnienie, a potem jeszcze rznąłeś głupa. *Nie mam pojęcia, gdzie jest Zoe, pewnie wróciła do miasta...* Tak nawijałeś, a jam ci wierzył! Myślałem, żeś przyjaciel! A ty zwykłym zdrajcą jesteś!

Te słowa jeszcze bardziej rozżłościły Belzebuba. Chwycił za rękojęść czekana i uniósł broń do góry w znaczącym geście.

– Zamilcz! Nie tak było! Gównu wiesz i nie tobie mnie osądzać!

– A co? Nie zabiłeś jej? Gdyby zamiast bliźniaczej Zoe była ona prawdziwa, też byś ją ubił!

– Gadasz jak ten starzec! Precz mi z oczu! Przecież nie istniejesz! Jesteś iluzją!

Dryblas walnął maczugą w skałę. Kamienna bryła zadrżała, po czym pękła z rumorem, wzniesając kupę kurzu.

– Nie istnieję? Ten głaz też tak do mnie powiedział! Zobacz, co z niego zostało!

Przekłeta gadzino! – pomyślał Kalikst. – *Zwodzisz mnie, wyciągasz z zakamarków mojej pamięci to, co najbardziej wstydlive, podle i zdradzieckie. Za to mam ochotę cię zabić, wręcz powinienem to zrobić, ale nie dam ci tej satysfakcji. Wiedz jedno: nie dam się zwieść!*

– Ha, ha, ha! Tchórz i zdrajca! Oto, kim jesteś! – darł się Nicetas. – Gardzę tobą, *koproskilo!* Zawsze traktowałeś mnie jak matoła! Myślałeś sobie: *wielki, silny i głupi, takie pocziwe bydlę, z którym można pójść na wino, obić komuś mordę, ale któremu nigdy nie mówi się prawdy.* No przyznaj, czy nie tak było? Czy nie tak jest nadal? A ja zawsze uważałem cię za prawdziwego przyjaciela! A ty jesteś nic niewart! Śmieć! Już teraz rozumiem, dlaczego Żmudzini tak na ciebie psioczyli! Widzieli z boku to, na co ja byłem ślepy!

Tego już Belzebub nie zdzierzył. Rzucił się z wyciem w stronę Wielkiej Pięści, mierząc weń swoim czekanem.

Wiwerna tylko na to czekała. Miraż Nicetasa wykonał nagły zwrot w tył i pomknął pędem ile sił w nogach.

Kalikst za nim.

Dopiero po kilku krokach spostrzegł, że nogi dryblasza młóć powietrze, zaś pod nimi rozciąga się przepaść. Jakby wielkie chłopisko biegło po niewidzialnym moście.

Tyle że żadnego mostu tam nie było. Jedyne czeluść głęboka na jakieś siedemdziesiąt stóp. Nim Belzebub się zorientował, było już za późno. Stracił grunt pod nogami i zjechał po stromym kamienistym zboczu w dół.

Od niechybnej śmierci uchroniła go natura złodzieja i czekan gorączkowo ściskany w prawej dłoni. Czując, że grunt usuwa mu się spod nóg, w ostatnim odruchu desperacji sieknął na oślep ostrzem w nadziei, że o coś zaczepi.

Zawisł na nieco spróchniałym pniu zwałonego drzewa. Toporek rozorał korę, uwalniając chmurę popielatego pyłu, po czym zarył się w ocalałym kawałku twardego drewna. Belzebub zacisnął wargi, modląc się w duchu do Logosa, Satanaela i Boga Ojca, by kłoda utrzymała ciężar jego ciała. Jego błagania zostały wysłuchane – przez kogo, tego już nie chciał dociekać. Z wysiłkiem wypełził na brzeg urwiska, ryjąc kolanami, stopami i lewą dłonią w kamienistej ziemi.

Długo leżał, aż wyrównał oddech. Wtedy wstał i nie patrząc za siebie, pobiegł w dalszą drogę.

– Zdrajca! Bydlę! Tchórz! – posłyszał za sobą wściekły ryk Nicetasa, jednak nie zwracał już nań uwagi.

W duchu przeklinał wiwernę, eremity w czerwonej riasie i Czarnego Mnicha.

* * *

Wędrował ostrożnie, z rozwagą, nie pozwalając, by miraż zwiodył go z właściwego szlaku. Nieraz przystawał, wysyłając jastrzębia na wszystkie strony świata, by ujrzeć, co kryją przed nim góry. Gdy skrzydlaty drapieznik wracał, Kalikst nakazywał mu lecieć jeszcze raz, by mieć pewność, że wiwerna nie ma fałszywymi obrazami również ptaka. Jak się okazało, nie był to nadmiar ostrożności. Tę jedyną drogę odnajdywał zawsze tam, gdzie wcześniej straszyla osłonięta cieniem rozpadlina, gdzie oczy skrzydlatego drapieznika wypatrzyły gęstwę karłowatych drzewek, wreszcie tam, gdzie była wcześniej lita skała niedostępna niczym mur obronny otaczający Antiochię.

Dzięki tej przezorności nie zablądził, jednak wędrowka przebiegała nad wyraz powoli. Belzebub nawet nie spostrzegł, gdy sczerwieniaste słońce zaszło za szczyty, a góry Troodos przykrył płaszcz ciemności.

Gdy zapadł zmrok, postanowił rozbić obóz. Wyszukał wgłębienie pod spiętrzoną stertą wielkich jak domy głazów. Zebrał kilka naręczy suchych gałązek, położył je od dziennego żaru

liście i trawy, po czym skrzesał niewielki ogień. Wyrzebał z podróżnego tobołka dwa kawałki suszonego mięsa. Zjadł jeden, drugi rzucił jastrzębiowi.

– Nie chcesz tego szamać, co? – mruknął, patrząc jak ptak bez zapalu dziobie twarde płaty. Jakby miał do czynienia z podeszwą starego buta, a nie z baraniną. – Ale przecież sam nic nie upolujesz, więc wcinaj, bo nic innego nie mam.

Skrzydlaty drapieżnik przekrzywił łeb, jakby chciał powiedzieć: *Gdyby nie część twojej duszy, jadałbym lepiej od ciebie. Nie starą baraninę, ale to zajączka, to gołębica, to młoda koziczka.*

Belzebub tylko wzruszył ramionami. Dobył z worka płaszcz i okrywszy się nim, natychmiast zapadł w sen.

Obudził się, gdy do świtu brakowało jeszcze dobrych czterech godzin. Ściślej rzecz biorąc – obudziło go dźwięczenie miecza w policzek. I słony smak krwi ściekającej mu na usta.

Ciemnowłosa wojowniczką. Ona. Wiwerna. W rtęciowym świetle księżycy wyglądała jeszcze mniej realnie niż za dnia.

– Jesteś... Znów... – szepnął, ścierając nadgarstkiem resztki snu z powiek.

– Jestem... Znów... Tym razem, by cię zabić.

– Ha, ha! Nie zabijesz mnie.

– Kalikst Belzebub z Konstantynopola. Zginął zaszlachtowany w górach Troodos. Zresztą co ja mówię! O takiej nędznej szumowinie nikt nie będzie pamiętał. Po prostu znikniesz. Zniknie twój duch i pamięć o tobie.

– Królowo, ty jak zawsze pięknymi strofami do mnie gadasz! Ale powiem ci coś!

Zacisnął dłoń na klindze i odepchnął ostrze od twarzy. Spod jego palców zaczął się sączyć wąski strumyczek krwi.

– Piękne, ale mnie na to nie nabierzesz. – Uniósł rękę przed oczy. – Wiem, że ty to ona. Wiem, że jesteś... Emi... emo... emonacją czy jak to tam. Starzec mi wszystko wytłumaczył. Ty jesteś wiwerną. Jej duchem. I zsyłasz na mnie fałszywe obrazy. I zwodzisz na drogi, które są przepaściami.

Skośnooka wojowniczką odjęła miecz i schowała go za pas. Rana na dłoni Kaliksta znikła.

– Czego chcesz i po tu idziesz? – zapytała szorstko.

– Jakby ci to powiedzieć...

– Jeżeli twoim celem jest jad z ogona wiwerny, możesz być pewien, że otrzymasz ów rzadki specyfik. Prosto w serce, gdy tylko zbliżysz się do niej bliżej niż na sto kroków.

– Ha, ha! Doprawdy? A dlaczego od razu nie przylecisz tu do mnie i nie rozszarpiesz mnie jak sowa mysz skrytą w trawie? Ja, powiem szczerze, nie wahałbym się ani chwili. Jak możesz zabić wroga, to zabij go teraz, bo jutro może być za późno.

Wstał i podszedł do dziewczyny, tak że niemal czuł jej oddech. Pachniała kwiatem migdału, trawą rozgrzaną przez słońce i mokrą ziemią. W świetle księżycy jej oczy lśniły

niczym dwa złote solidy.

– Udajesz, że ty to nie ona, a ona to nie ty? Dalej próbujesz mnie omamić i skierować mą drogę w przepaść? Chyba już wystarczy tego. Dałem się nabrać raz czy drugi, teraz jestem mądrzejszy o te kilka guzów i rozharataną łapę. Rozharataną na skale, nie o twój miecz – zaznaczył.

Czarnowłosa powtórzyła tylko:

– Czego chcesz?!

Belzebub sięgnął do pasa. Wyjął zza niego czekan i rzucił pod nogi wojowniczkę.

– Nie jestem łowcą gadzich ogonów. Nie wiem nawet, co to za jad, o którym mówisz. Nie chcę z tobą walczyć. Prawdę mówiąc, nie chciałem się też drapać po tych opustoszałych górach. Niosę tę broń nie przeciw tobie, lecz dla obrony.

– Próbujesz mnie zwieść słowami. Nie mam tyle cierpliwości, by tego słuchać.

Chociaż noc ścisnęła góry chłodem potęgowanym przez długie powiewy wyjącego wiatru, Kalikst cały się spocił. Otarł ciepłą wilgoć z czoła i zamrugał, przepędzając spod powiek pstrokate płatki barwne niczym kwiecie na targu w Konstantynopolu.

Gdy rozejrzał się, wojowniczkę już nie było.

– Przekłeta gadzina... – mruknął.

* * *

Przed południem dotarł do góry, którą starzec opisał jako *śpiącego olbrzyma wspartego na maczudze*. Patrząc na szczyt, Kalikst zastanawiał się, skąd ślepy eremita tak dobrze znał to miejsce, chociaż nigdy tu nie był, nawet nie potrafił dokładnie wskazać drogi. Kazał Belzebubowi kierować się przeczuciami i badać teren wzrokiem jastrzębia. Czyżby i mnich odbywał loty w umyśle ptaka? Może więc wiedział znacznie więcej, niż ujawnił? Może teraz wszystko obserwował skryty w blasku słońca pod niebem?

Śpiący olbrzym w rzeczy samej przypominał giganta opierającego swój brodaty łeb na potężnym drągu nabijanym kamiennymi kolcami. Na szczyt, gdzie miała znajdować się jaskinia wiwerny, prowadziła wąska ścieżyna zagubiona wśród cyprysowej gęstwy. Ruszył nią, karczując gałęzie zwisające niczym ramiona upiorów. Na pniach drzew znać było ślady ognia, ich skręcone konary wiły się w niemym cierpieniu. Chwytały Kaliksta, znacząc powierzchnię jego skóry drobnymi ukłuciami, jakby do życia potrzebowały nie słońca i wody, lecz kropelek ludzkiej krwi.

Im bardziej siekł w nie czekanem, z tym większą furią dźgały go swymi igielkami. Dopiero gdy wdrapał się wyżej, karłowate cyprysy ustąpiły miejsca suchym trawom i szarym kamieniom. Tuż za linią lasu czekała na niego wojowniczka.

– Nie mogę cię zabić tutaj – syknęła wściekle. – Wiem, że o tym wiesz. Ale podejdź wyżej... Zbliź się tylko, a rozszarpie cię bez litości.

Wtedy Kalikst powiedział coś, co pozbawiło ją pewności siebie.

– Kiedy to się stało?

Rzuciła mu pytające spojrzenie i fuknęła ze złością.

– Kiedy przestałaś być sobą – ciągnął – bo coś wdarło się do twojej duszy i odmieniło cię jak nigdy? Rok temu czy półtora? Coś odebrało ci zdolność do kierowania swoim losem. Coś podszyło cię lękiem, niepokojem, zabiło w tobie dumną, wolną wiwerkę, panią gór Troodos.

Skośnooka spojrzała nań uważnie z iskierką zainteresowania, ale wciąż nie wyrzekła ani słowa.

– Może nie pamiętasz tego dnia – mówił dalej Belzebub. – Może nawet nie wiesz, że teraz nie jesteś tak wolna jak kiedyś.

– Czego chcesz? – przerwała mu ostro. – Po co mi to mówisz? Chcesz mnie zwieść i urzec swoimi słowami, w których brak sensu i prawdy? Nie uda ci się to!

Westchnął ciężko i odwrócił wzrok ku niebu, jakby tam szukał natchnienia. Wiedział, że gdy wejdzie do jaskini gadziny, będzie tak, jak mu groziła. Jej pazury rozniosą go w krwawy strzęp, nim zdąży wypowiedzieć imię ukochanej. A może nie? Może to, co w niej tkwiło obcego, pozbawiło ją prawdziwej siły i tylko słowa jej zostały, tylko pogrożki rzucane w nadziei, że lęk zawróci go z tej drogi.

Spojrzał ponownie w ciemne oczy dziewczyny i powoli powiedział:

– Jesteśmy podobni... Trochę. Ty boisz się, że wejdę do twej jaskini i będę chciał odciąć twój ogon, by zdobyć cenną truciznę. Ja... Ja też mam swoje obawy... No i połączył nas jeszcze ktoś. Pewien człowiek, którego zła wola może na zawsze pogrzyżyć nas jeszcze bardziej.

Podszedł do wojowniczkę. Stał przed nią na wyciągnięcie ręki.

– Potrafisz czytać w moich myślach, dostrzegając obrazy, których nawet ja już nie pamiętam. Nie widzisz jednak moich prawdziwych intencji i stąd twój strach.

– Strach... Ha, ha... Nie staraj się zasiać go we mnie! – prychnęła.

– Nie dostrzegasz tego, co jest we mnie naprawdę, więc wejdź jeszcze raz i ujrzyj wszystko. Wejdź do mojej duszy, nie będę się bronił. Wejdź i zobacz, po co tu naprawdę przyszedłem. Otwieram dla ciebie swoją duszę. Podaję jak na tacy.

Najpierw na jej twarzy zobaczył kpiący uśmiech. Później spoważniała. Nagle Kalikst usłyszał szum szybko przechodzący w ryk i ogarnęła go ciemność.

* * *

– Nie rozumiem... Kim on jest?...

Łoskot spadających głązów rozsadał mu czaszkę od środka. Żołądek pulsował, wypychając do gardła kolejną porcję żółci. Wypluł ją, trzęsąc się od kaszlu. I jeszcze raz.

Teraz dopiero pojął, że dotąd wiwerka zaledwie głaskała powierzchnię jego umysłu, tylko

muskała duszę, nie decydując się wejść głębiej. Gdy jednak na to pozwolił, poczuł pełnię jej siły. I wołałby drugi raz tego nie doświadczyć.

Dopiero po piątym ataku bólu zaczął cokolwiek widzieć. Długo tarł oczy kufakami.

Skośnooka wojowniczką zdawała się tego nie dostrzegać.

– Kim on jest, powiedz mi – powtarzała.

– Przeklęty satanaelski szarlatan... – wystękał. – Czarny Mnich... A w tobie jest część jego duszy.

Nagle osłabienie odeszło jak pod wpływem magicznego balsamu. Stanął prosto i wyrzucił z siebie wszystko to, co chciał jej powiedzieć.

– Ta bestia w ludzkiej skórze wyrwała część mojej duszy, by uczynić ze mnie zabójcę. Idealnego mordercę, który nie ma skrupułów, który nie czuje lęku, którego nigdy nie dręczą wyrzuty sumienia. Rozbił moją duszę niczym dzban! Wyrwał z mojego serca nie tylko lęk przed śmiercią, ale także miłość, przyjaźń, lojalność, honor i wierność. Posłał mnie ze śmiertelnym zadaniem, by na zawsze zmienić losy świata. Widziałas to w mojej głowie, widziałas każdy mój dzień. Każdy dzień udręki i upokorzeń, niewoli i upodlenia.

Na nieboskłonie dryfowały białe chmury. Nagle zgęstniały i przybrały barwę wulkanicznego pyłu. Słońce straciło swój blask, a Troodos ogarnął niespodziewany chłód.

– Czarny Mnich nie był zły do cna – mówił dalej Kalikst. – Sumienie i wiara, w której żył przez lata, powstrzymywały go przed największymi zbrodniami. Jednak by się tego wyrzec, sam na sobie dokonał okrutnego czynu: rozbił swą duszę, wyrывая ludzką część, zostawiając diabelstwo, które poświęcił Satanaelowi. Rozbił swą duszę, tak samo jak uczynił to mnie z pomocą swoich trupich braciszków. Człowieczeństwo Czarnego Mnicha jest w tobie... Albo gdzieś obok ciebie... Bo żadna istota na tym świecie nie ma tyle mocy, by zabić duszę. Może zabić ciało, ale nie duszę. Może ją jedynie roztrzaskać, rozedrzeć na strzępy. Dlatego też Czarny Mnich ukrył swoje człowieczeństwo w tobie, górskiej wiwernie z Troodos. Dlaczego w tobie, a nie w płochym króliku? Gdyby królika rozszarpał jastrząb, ta część jego duszy odeszłaby na zawsze, znikła, może nawet umarła, czyli spełniłoby się jego marzenie o tym, czego sam nie był w stanie dokonać. A może jednak nie był tak do końca przeświadczony, że powinien spalić za sobą wszystkie mosty?

– Łańcuch – powiedziała niespodziewanie wojowniczką.

– Co?

– Jego rozbita dusza jest moim łańcuchem. Jestem nim przykuta do skały i nie mogę się uwolnić. Nie potrafię go rozerwać, niewoli mnie i trzyma w tym jednym miejscu na szczycie góry.

– Łańcuch... – szepnął Belzebub. To niezbyt pasowało do tego, co opowiadał mu eremita w czerwonej riasie, nie pokrywało się też z jego własnymi doświadczeniami.

– Mija już dwudziesty miesiąc, odkąd nie mogłam rozprostować skrzydeł ponad szczytami... Już prawie nie pamiętam, cóż to znaczy unosić się nad chmurami, pod samym

słońcem, patrząc z wysokości na góry, cyprysowe lasy, ludzkie wioski... Jego dusza, jak mówisz, spętała mnie w mej jaskini niczym w najgłębszym lochu skazańców. Ale z jakiej przyczyny to zrobił, po co...

Z jej twarzy znikł grymas wściekłości, w oczach wojowniczkę zalsniły smutek i tęsknota.

– Pewnej ciemnej, bezksiężycowej nocy góra, na której właśnie stoisz, zadrzała, a moją jaskinię wypełnił łoskot i ogień. Poczułam oparzenie na karku. Ból był tak silny, że straciłam świadomość. Przebudziłam się, gdy wokół panowała już cisza. Z łańcuchem na szyi. Do dziś nie wiedziałam, czyja to sprawa, kto mi to uczynił i dlaczego...

Zadrzała, gdy czekan Kaliksta przeciął ze świstem powietrze tuż nad jej głową.

– To teraz już wiesz. A ja przyszedłem, żeby to zakończyć. Przetnę łańcuch i uwolnię cię od strzępów duszy Czarnego Mnicha.

Popatrzyła na niego bez nadziei. Złożyła usta w dzióbek, po czym odwróciła się i wskazała kłębowisko pogiętych przez wiatr krzewów.

– Idź tą drogą, nie zbaczając z niej, aż dojdiesz do mej jaskini. Tam będę na ciebie czekać.

Karłowate krzaczki jak na komendę przechyliły się, odsłaniając wąską, krętą ścieżynę prowadzącą w górę zbocza. Belzebub ruszył nią, lecz po chwili coś sobie przypomniał. Przystanął.

– Jednego nie rozumiem. Kiedy... – zaczął, jednak gdy spojrzał za siebie, skośnookiej już nie było.

ROZDZIAŁ 20

Słodki smród gnijącej padliny odebrał mu dech, jakby wielka pięść łomotała go pod żebra. W ustach poczuł gorzki posmak, tym mocniejszy, im bardziej próbował połknąć go wraz ze śliną. Stał oparty o skałę, zgięty wpół, czekając, aż pulsowanie żołądka ustanie, a sprzed oczu znikną różnobarwne drobinki.

Wreszcie przemógł się i ruszył ku wejściu do jaskini. Stopy zachrząściły na stercie połamanych zwierzęcych kości oblepionych strzępami mięsa, zjełczałego tłuszczu i płatami porozrywanej skóry.

Tylko tak mogę zaspokoić głód – posłyszał w myślach. – Łańcuch trzyma mnie na uwięzi, więc jak mam polować? Przywabiam siłą woli zwierzęta, które znajdują się w pobliżu przełęczy. Drobne gryzonie, węże, żaby, przelatujące nad górami ptaki... Większych zwierząt nie uświadczysz. Tylko raz zbląkała się tu kozica... Kiedyś wzgardziłabym takim pokarmem, dziś tylko te stworzenia utrzymują mnie przy życiu. Wypluwam ich szczątki jak najdalej od legowiska. Przez miesiące moja jaskinia stała się cmentarzyskiem, a musisz wiedzieć, że ten fetor jest dla mnie równie bolesny, jak dla ciebie.

Kalikst nic nie powiedział. Wstrzymując dech, przebrnął przez stertę odpadków. Ogarnął go półmrok i dopiero po kilkunastu oddechach zaczął cokolwiek dostrzegać w ciemności.

W głębi zamajaczyły coraz bardziej wyraźne kształty. Długa szyja połyskująca w półmroku równym rzędem łusek. Na niej osadzony był płaski łeb jaszczurki, wielkiej jaszczurki, która jednym kłapnięciem szczęki mogłaby połknąć cielę. Gdy jego oczy na dobre przywykły do cienia, dostrzegł parę mocno umięśnionych nóg, które podtrzymywały wychudłe ciało osłonięte zwisającymi smętnie skrzydłami. Skóra wiwerny była niczym smoła, na jej powierzchni odbijały się niewyraźnym blaskiem promienie słońca przemykające do wnętrza jaskini.

Otworzył usta, by wypowiedzieć słowa powitania, wtedy jednak ujrzał coś, co odebrało mu pewność siebie. Ogon, długi i giętki niczym wąż, zawisł na wyciągnięciu ramienia od jego twarzy. Mimo smrodu zwierzęcych truchel wyraźnie poczuł siarkowy zapach trucizny, skroplonej na kolcu o kształcie puginału.

Wiwerna z hałasem wypuściła przez nos powietrze, wzniecając chmurę pyłu. Załomotała ciężkimi łapami i powiedziała do Belzebuba w myślach:

Jeżeli przybywasz tylko po to, by zdobyć truciznę z mojego ogona, dam ci ją natychmiast. Nim zdążysz mrugnąć, wbiję ci kolec w oko. Nim zdążysz poczuć ból, jad sparaliżuje twe członki i oślepniesz. Nim zdążysz otworzyć usta do krzyku, twa dusza opuści ciało.

Zaniemówił. Choć przeżył takie rzeczy, które niejednego przemieniłyby w bełkoczącego szaleńca, dopiero teraz poczuł, czym jest prawdziwy strach. Zdrętwiały mu nogi, a w kolanach poczuł dziwną miękkość. O wiwernach słyszał niejedną pijacką opowieść, gdy upojeni winem oberwańcy przechwalali się w karczmach swoimi przygodami z dzikich krain. Kwitował to kpiącym śmiechem, myśląc: *Ubił wieśniak grabiami wyrosniętą jaszczurkę i teraz bajdurzy.* Inni przytaczali także legendy o smokach – wielkich jak domy, plujących ogniem. Nie wierzył w te bajdy, spodziewając się, że gdyby przyszło mu walczyć, wiwerna z gór Troodos nie sprawi większego problemu niż stado wściekłych kundli buszujących w śmietniku na tyłach portowego targu. Jednak w lśniącym czernią kolcu zwisającym nad jego głową dojrzał coś więcej niż tylko śmierć...

– Nie... – wymamrotał. – Nie przybyłem, by cię skrzywdzić. Przecież rzekłem. Prawdę powiedziałem. Zabierz to ode mnie! – Po chwili zastanowienia wydusił jeszcze jedno słowo: – Proszę...

Bestia posłuchała. Cofnęła się krok w tył, opierając ogon na rumowisku drobnych kamieni wyścielających jaskinię. Jej skrzydła płasko przylgnęły do łuskowatego ciała. Kalikst nie potrafił powstrzymać głośnego oddechu ulgi.

– Ty naprawdę istniejesz... – mruknął, przełykając ślinę. – A myślałem, że to jeno kolejna iluzja. Że to miraż i sen na jawie... Że będziesz jak ta wojowniczką ze skośnymi oczami, kolejna zjawa, która znika prędzej, niż zdążyłbym mrugnąć...

Z nozdrzy wiwerny wydobył się obłok siarkowego oddechu.

Wiele jest jeszcze rzeczy, których rasa ludzka nie objęła swym wzrokiem, słuchem ani umysłem. Wybacz jednak, że nie będę opisywać ci całej złożoności świata i odkrywać przed tobą jego kolejnych tajemnic. Zrób to, co obiecałeś. Przetnij mój łańcuch i uwolnij mnie.

Belzebub mocniej ścisnął rękojęść czekana i postąpił trzy kroki naprzód.

* * *

Józef Tarchaneiotes rozwinął na stole mapę. Przez dwie klepsydry wpatrywał się w linie wykreślone na planie, kiwając z zadowoleniem głową. Wreszcie podniósł wzrok i gestem zaprosił *basileusa*.

– Panie, zechciej spojrzeć. Naniósłem na papier linie wyznaczające nasze ostatnie sukcesy. Seldżycy nie będą długo się opierać. Jutro, jak Bóg da, zdobędziemy Baalbek. Gibelet, Bejrut, Sydon nasze. Plugawi wyznawcy Mahometa nie mają już żadnej twierdzy aż do Damaszku. Twoi szpiedzy donoszą, panie, że nasi sprzymierzeńcy Fatymidzi są bliscy zdobycia Hebronu. Kleszcze wokół Seldżuka zaciskają się.

Roman Diogenes w milczeniu pokiwał głową, muskając opuszkami palców granice nowych ziem cesarstwa, jednak zmarszczył czoło, gdy spojrział niżej, na Palestynę.

– Nasi egipscy przyjaciele dopiero oblegają Hebron? To nie zaszli daleko przez te miesiące. Kalif gra na zwłokę, szczeni żołnierzy... – Cesarz sięgnął po chleb i kilka oliwek. Przekąsił i odruchowo wyciągnął rękę w stronę kielicha. Powstrzymał się jednak, widząc, że służba nie doniosła jeszcze napełnionej amfory. – Ale z drugiej strony odwołanie przez kalifa marszu na Palestynę grozi mu utratą kontroli nad tym krajem. Czy zamierza zdobyć Jerozolimę, czy to również pozostawia nam?

Strateg uderzył palcem w zwoje rozłożone na stole.

– Panie, jakkolwiek by nie było, widać dla nas nową sposobność. Kalif nie kwapi się z wprowadzeniem swoich wojsk do Palestyny, choć nie wiemy, czy ze słabości, czy z rozmysłu. Cokolwiek nie knuje, pozwala nam to z większą śmiałością spojrzeć na przyszłą mapę świata. Jest to mapa, w której Palestyna stanowi część cesarstwa, jak za Justyniana.

– Hm, taką właśnie mapę zawsze chciałem wyrysować – stwierdził z zadowoleniem *basileus*.

Zaraz inna myśl zaczęła zaprzętać jego uwagę: *Boże, przecież to już było! Już te słowa kiedyś wypowiedziałem. Tarchaneioty, jego mapa, Fatymidzi pod Hebronem... To już było! Ale kiedy?!*

– Duszno jest! – rzekł głośno. – Podajcie mi coś do picia!

Po chwili trzymał w dłoniach kielich wypełniony lekko schłodzonym białym winem. Wtedy sobie przypomniał.

To przecież ten obraz pokazał mi Italos w swoich wizjach! Tak, pamiętam dokładnie! Wtedy, w jego ponurej wieży, w Konstantynopolu! Pokazywał mi różne sceny z przyszłości w świetle kolorowych ogników świec... Świec o kształtach demonów. Jednak to było przed moją śmiercią. Skrytobójca z pugiuałem mierzący w me serce pojawił się w kolejnym obrazie. A więc teraz na odwrót, zmieniłem swe przeznaczenie! A może nie? Może wciąż grozi mi śmierć?

Zapytany o to Jan Italos pokręcił głową z uśmiechem.

– Obrazy nie muszą układać się chronologicznie – tłumaczył. – To strzępy wizji tego, co może być albo będzie wcześniej czy później. Widziałeś dwa obrazy. Jeden się nie spełnił, drugi tak.

– Nie spełnił? – wycedził Diogenes. – Masz na myśli ten z mapą?

Konsul Filozofów jakby zmalął.

– Nie, wiesz dobrze, panie, że mówię o tym z zabójcą. Ten się nie spełnił.

– Czy nie wznosił na mnie zatrutego ostrza? Czy nie zamierzył się, by przynieść mi śmierć?

– Wznosił, ale nie opuścił. – Italos niechętnie mówił na ten temat.

Jego fatalna pomyłka i kłamstwo, jakoby *basiliskos* rozszarpał spiskowca, wciąż były

powodem przytyków władcy. Cesarz nie marnował żadnej okazji, by wypomnieć mu błędy. Kto wie, może cierpliwość Romana IV wyczerpie się i jednak po czasie uzna, że między złą radą a spiskiem niewielka różnica?

– Zebraliśmy już wszystkie kamyczki tworzące tę mozaikę magii, przeznaczenia i spełnienia – powiedział z emfazą mędrzec, by odwrócić uwagę *basileusa*. – Już wiemy, że niebezpieczeństwo minęło, a ty, panie, jesteś na najlepszej drodze do zwycięstwa! Jutro zdobędziesz Baalbek, a już wkrótce zapanujesz nad całą Palestyną. Fatymidzi ustępują pola, co daje ci boskie prawo, by zająć te ziemie i uczynić Jerozolimę stolicą nowej prowincji cesarstwa. To będzie cesarstwo jak za Justyniana... Roman Diogenes nie dał się zwieść.

– Ładnie mi tu kadzisz, filozofie. Pamiętam jednak, że w twojej samotnej wieży na Saragikos dym z diabelskich świeczek pokazał mi kolejną scenę, w której cesarzem jest Michał Dukas. Nie ja! Więc się pytam: gdzie jest teraz Michał Dukas?! Dlaczego nie mam jego głowy na srebrnej tacy?! Gdzie twoje zuchy, ten kuternoga i dwaj ryży bracia, którzy mieli wyrównać moje rachunki ze zdrajcami? Dlaczego jeszcze nie słyszę o tragicznej śmierci Dukasów? Mówże, Italosie!

Konsul Filozofów odwrócił wzrok. Nie znał odpowiedzi na te pytania.

* * *

– Tylko gdzie jest teraz Michał Dukas?... No gdzie ta menda w złotej tuniczce przyczała dupę?! – grzmiał Nicetas, groźnie machając pochodnią.

Wit Wodnik w odpowiedzi tylko smarknął w palce. Płomienie malowały na jego ryżej gębie pomarańczowe zygzaki.

– A co tam! – burknął Waldemar. – A co tam Dukas! Nie ma go, pewnie kipnął. Zbóje go może napadli albo co. Myśmy swoje zrobili. Chałupę żeśmy splądrowali, nabrali co cenne, resztę spalili...

Płonąca żagiew ciśnięta ręką Nicetasa pociągnęła za sobą sznur iskier i wąski warkocz dymu. Spadła na ostatnią stertę suchego drewna przetkanego sianem. Języki ognia wzbily się ku niebu jak głodne smoki i ogarnęły żarem puste stajnie i pomieszczenia straży.

Posiadłość Dukasów otułały coraz gęstsze kłęby dymu. Płomienie sięgnęły już pierwszego piętra pałacyku, zdobne mozaiki sypały się z głośnym chrzęstem ze ścian jak kamienie w górskiej lawinie.

– Głupie głąby jesteście! – warknął Wielka Pięść. – Nie kumacie, o co się rozchodzi? Teraz jesteśmy jak rozpalona do czerwoności podkowa położona na kowadle. Za to, żeśmy nie ubili po cichu Dukasów, *basileus* każe ubić nas, bo wiemy za dużo. A Dukasy, jak się zwiedzą, kto im na chałupę czerwonego kura puścił, też nam nie darują. Teraz chcą nas wydymać od tyłu i od przodu.

Smagnął konie ciągnące rydwan. Dwukółka aż po same brzegi wyladowana była

złożonymi świecznikami, srebrnymi kielichami i talerzami, ozdobnymi mieczami i tarczami nabijanymi szmaragdami, rubinami i pokrytymi macią perłową. Wszystko to spoczywało zawinięte we wzorzyste jedwabie. Tyle udało im się wynieść.

– Głupoty gadasz! – skwitował Wodnik. – Myślisz, że rzeź Dukasów uszłaby nam na sucho? *Basileus* puściłby za nami swoich zbrojnych, a później dał katu. *Oto mordercy mojego przyjaciela Michała Dukasa* – tak by nawijał, patrząc, jak mistrz ostrzy na nas swój miecz. Poświęcili nas na żer, rzucili jak mięso lwom. Co nie zrobimy, i tak jesteśmy w rzyci. Więc lepiej chodu stąd! Opylimy fanty, gdzie się tylko da, a potem do Konstantynopola! Tam się schowany, może przeżyjemy...

Głośne siorbanie było znakiem, że w ostatnim dzbanie wina z piwniczki Dukasów widać już dno. Nicetas cisnął puste naczynie na trakt. Pękło z głośnym brzękiem.

– Wiesz co, ziomek? Ty masz chyba rację. Utrudziliśmy się, a dupa i tak z tyłu... Pany tylko łżą i nas motają w swoje sprawy. Więc noga stąd i tyle nas widzieli...

* * *

Czekan wypadł mu z dłoni.

– *Gamoto...* – mruknął, patrząc na smukłą szyję wiwerny.

Tnij! Czemu zwlekasz? Uwolnij mnie wreszcie! – usłyszał w myślach niecierpliwe nalegania skrzydlatej gadziny.

Podniósł toporek i wcisnął go za pas. Zachichotał i pokręcił z niedowierzaniem głową. To tylko rozzłościło bestię. Uniosła skrzydła i jęła nimi wachlować, wznosząc z dna jaskini chmurę szarego pyłu, aż Kalikst zatrząsł się od kaszlu i skrył głowę w ramionach.

Nie zwlekaj, bo to kres mej cierpliwości! Czego rżysz jak osioł?! Chwytaj ostrze i tnij!

– Nie ma czego – wykrztusił, walcząc z kurzem w płucach. – Ty nie masz żadnego łańcucha. Na twojej szyi nie ma ani kawałka stali. Nie ma nic, co można przeciąć moim czekanem.

Łzesz! Przecież czuję ucisk żelaznych pierścieni! Obcierają mnie do krwi i pętają moje ruchy! Nie mogę opuścić jaskini ani wzbic się ku niebu, by z góry patrzeć na świat, jak zawsze to czyniłam! Już! Bierz się do roboty!

Pokręcił głową. Jak jej to wytłumaczyć? Nie chce słuchać, nie chce słyszeć.

– Czy ty masz jakieś imię? – zapytał, uświadamiając sobie, że w myślach nazywa ją *jaszczurkę*.

To jeszcze bardziej rozsierdziło wiwernę. Zaczęła mocniej machać skrzydłami.

Za kogo ty się masz?! – usłyszał w myślach jej ryk. – Chcesz znać moje imię? Niedoczekanie! Nie wiesz, że imię wiwerny może poznać tylko ktoś naprawdę wyjątkowy? To nie jest wiedza przeznaczona dla pierwszego z brzegu pętaczyny! To jest wiedza, którą mogę zdobyć jedynie wybrańcy! Ty, kpiąc ze mnie, tylko potwierdzasz, że jesteś ludzkim robakiem,

który nie zasługuje na taki zaszczyt!

– *Gamo...* – stęknął. – Chciałem tylko wiedzieć, jak do ciebie gadać. No wiesz, coby wygodniej było niż *jaszczurka*. Ale skoro ty wolisz *jaszczurka* albo *gadzina*, to dobrze.

Precz stąd, człowiecza gnido!

– Gnido? To wiwerny też mają problemy z gnidami? Ha, ha! Gdzie wam się lęgną?

Wyszarpnął zza pasa toporek, uniósł go znacząco nad głowę i warknął:

– A teraz posłuchaj, skrzydlata jaszczurko! Powtórzę po raz kolejny wolno, głośno i wyraźnie, żebyś dokładnie zrozumiała każde moje słowo! Na twojej szyi nie ma żadnego łańcucha! Nie widzę go, nie słyszę, ale jeżeli pozwolisz mi podejść bliżej, to powiem ci, czy czuję go pod palcami. Ale coś mi mówi, że nic z tego...

Wiwerna zamilkła i znieruchomiła. Wreszcie rzekła w myślach:

Może jest niewidzialny i niewyczuwalny?... Ale jest.

– Być może... Ale w takim razie mój czekan niewiele tutaj zdziała. Podług mnie, ten łańcuch, dusza Czarnego Mnicha, niewoli cię tylko w twoim umyśle. Nie istnieje tak naprawdę... I tyle.

Słyszając to, skrzydlata pani gór Troodos pozwoliła dokonać ostatniej próby. Belzebub przesunął ręką po jej szyi – była szorstka i sucha w dotyku – jednak nie natrafił na nic, co mogłoby krępować jej ruchy. Później usiadł na kamieniach przed wejściem do jaskini i sącząc powoli wodę z bukłaka, pozwolił wiwernie oswoić się z tą prawdą.

No cóż, jaszczurko – myślał z mściwą satysfakcją, ale też ze smutkiem. – *Dalaś się omamić cwaniem szarlatanowi, jesteś w jego niewoli spętana jak baran niesiony do rzeźnika, tyle że magię. A i ja siedzę po szyję w gównie, bo jak się z tego wyplątać?!*

Spojrzał przez ramię na gadzinę. Znieruchomiła, tkwiąc nieporuszenie niczym kamienna figura w cesarskim ogrodzie w Konstantynopolu. Nie spodziewał się, by istniał jakiś sposób na jej uwolnienie – skrzydlata pani gór, mimo ciała bestii, każdym swym zdaniem i gestem ujawniała, że jest stworzeniem o kruchej konstrukcji duchowej i bynajmniej nie ma w sobie odpowiedniej siły, by stanąć przeciw Czernemu Mnichowi. Widać jego rozbita dusza odebrała drapieżnej wiwernie prawdziwą naturę, zabiła w niej dzikie zwierzę i zamieniła w wątplącego wyznawcę chrześcijańskiej herezji.

Gdy tak patrzył na bezsilną bestię, przyszedł mu do głowy nowy pomysł.

– Te... Jaszczurka... – zaczął. – A spróbuj ty naprężyć ten swój łańcuch nie-łańcuch najmocniej jak się da. Znaczy pokaz, ile możesz przejść i kiedy cię zatrzyma.

Długo nie reagowała na te słowa, więc dodał złośliwe:

– A może ty tak wolisz? Mieć łańcuch, być w niewoli, mieć swojego pana, który wydaje rozkazy... Ludzie gadają, że wiwerny to dumne drapieżniki, a to bardziej potulne niż owca...

Nie trudź się... Nie złapiesz mnie na tak marną przynętę. Myślisz, że jak człowiek jestem próżna, głupia i oczekuję poklasku? Mylisz się. Wiem, kim jestem, znam swoją wartość i nie muszę szukać jej potwierdzenia w oczach człowieka. Wiem, że mogłabym oderwać ci łeb

jednym kłapnięciem szczęki, rozedrzeć cię na pół jednym pociągnięciem pazura... Więc zamilcz, jeżeli nie masz nic do powiedzenia.

Wstał i znów pochwycił swój czekan.

– To jak mam cię zmusić? Jak mam cię zmusić do tego, żebyś ruszyła dupsko z tej sterty cuchnącego ścierwa i chociaż spróbowała wyrwać się z plugawych łap szarlatana?! Prośby, groźby, nic nie pomaga, więc widocznie to kochasz! Mam to gdzieś, nie dbam o ciebie, ale muszę uwolnić z twego ciała strzęp duszy tej kanalii, bo tylko tak mogę go pokonać! Inaczej pozostanie zbyt silny w swej nienawiści, nie ugnie się, nie zawaha, choćby na pół oddechu. Oddając mu część jego duszy, uczynię go na nowo zbłąkanym eremita i nikim więcej. A ty mi w tym przeszkadzasz!

Wiwerna nie czekała, aż skończy. Rzuciła się w przód z dzikim blaskiem w oczach, z niskim gulgotem wyrzucanym z głębi płuc. Rozpostarła skrzydła, rozcapierzyła palce, błyskając pazurami.

Przeleciała nad stertą kości i gnijącego mięsa. Już zdawało się, że pomknie z wiatrem między chmury, gdy nagle niewidzialny łańcuch szarpnął ją w tył. Szyja wiwerny wygięła się ku wnętrzu pieczary, za nią poleciała reszta cielska. Czarnoskóra gadzina zatoczyła wielkie koło w powietrzu, waląc łbem o sklepienie jaskini, i padła między gnijące truchła. Spazmatycznie łapała powietrze.

– Czyli jednak coś cię trzyma – mruknął Belzebub. – Ale mój czekan na to zmartwienie nie pomoże. Tu by trzeba magii albo egzorcyzmu.

Może wezwać czerwonego eremita? – pomyślał, jednak zaraz się zreflektował. – Przecież starzec dlatego wysłał mnie, żebym to ja się z tym uporał. Jak on to gadał? »Kiedy zawiedzie cię twoje ostrze, użyj tego, czego nikt ci nie odbierze«. Czyli czego nikt mi nie odbierze? Ha, sprytu! Tak gadał stary, ale co właściwie...

– Chyba wiem, co powinienem zrobić... – mruknął. Nie czekając, aż wiwerna wyjdzie z oszołomienia, ścisnął mocniej rękojeść czekanu i skoczył w głąb jaskini.

Ciął z całej siły w koniec ogona gadziny. Odrąbany kolec zatoczył w powietrzu łuk, tryskając na boki jadem. Unoszący się w grocie smród zgnilizny przytłumiła intensywna woń siarki kręcąca w nosie i wyciskająca łzy z oczu.

Kalikst nie czekał, co będzie dalej. Pognał do wyjścia, a potem zaczął uciekać w dół zbocza. Byle dalej od okaleczonej pani gór Troodos.

Gonił go ryk wściekłości wiwerny. Jaskinia wręcz eksplodowała jej furią. Brzmiało to tak, jakby śpiąca od wieków góra ocknęła się w bólu i zawyla basowo, strząsając ze szczytu lawinę kamieni i pyłu.

Rwał więc w dół ile sił w nogach, czując drgania spadających głazów. Wizg rozsierdzonej bestii świdrował w uszach, wkręcał się głęboko pod czaszkę. Hałas był tak dotkliwy, że na kilka chwil Kalikst stracił poczucie przestrzeni i czasu.

Padł na ziemię, trąc łokciami o kamienie. Szybko jednak skoczył na nogi i pędził dalej,

nie czując bólu poharatanych przedramion. Nad głową przelatywały mu spadające odłamki skał. Gałęzie cyprysów i suche trawy chwytaly go za kolana, jakby całe góry Troodos stanęły przeciw niemu w obronie swej skrzydlatej pani.

Nagle szczyt zatrząsł się drugi raz, a Kalikst poczuł na plecach gorący podmuch, jakby gdzieś tam w zakamarkach jaskini wybuchł tajny skład *igró pyr*, największy wojenny zapas ognia greckiego. Belzebub runął na ziemię, waląc twarzą w ubity piach i kamienie. Głową wyrznął w skałę.

Leżał nieprzytomny jakieś dwa kwadransy. Najpierw poczuł rozsadzający czaszkę ból głowy, później pieczenie otartej skóry. Z wysiłkiem otworzył oczy.

Światło słońca przysłoniły mu szerokie skrzydła wiwerny. Gadzina falowała w powietrzu niepewnie jak ptak, który dopiero wyfrunął z rodzinnego gniazda. Wygięła szyję ku dołowi, chroniąc oczy przed nadmiarem jasności bijącej z nieba.

Sycząc z bólu, przetoczył się na bok i uniósł w górę czekan gotów do walki na śmierć i życie.

Czekał na cios pazurów bestii. Zamiast tego usłyszał w myślach:

Zerwałam go! Zerwałam łańcuch! To dzięki tobie!

Spojrzał na nią oszołomiony. Nie wierzył, by wszystko mogło pójść aż tak łatwo. To na pewno podstęp jaszczurki! Zaraz skoczy na niego i rozszarpie!

Jestem wolna! Dusza mego prześladowcy opuściła mnie, czuję to, czuję się jak dawniej! Koniec niewoli!

Zatrzepotała mocno skrzydłami i wzniosła się ponad szczyt góry. Kalikst patrzył, jak mknie niczym jastrzęb, rozbijając kłębki chmur na niebie. Jej ruchy nabierały coraz większej gracji, szyja wyciągnęła się ku słońcu, ogon sterczał sztywno niczym włócznia jeźdźca *klibanophoroi*. Na dłuższą chwilę znikła mu z oczu, więc wstał i otrząpał ubranie z kurzu. Dopiero teraz dostrzegł rozległe rany i obtarcia na swoim ciele.

Usiadł w cieniu i wysiorbał ostatnie krople wody z bukłaka. Wtedy wiwerna powróciła. Wisząc kilka stóp nad głową Belzebuba, pomyślała do niego:

Uwolniła mnie wściekłość i ból, które we mnie wzbudziłeś. Tak, moją pierwszą myślą było zabić ciebie. Rozszarpać za kłamstwo, za to, że przyszedłeś tylko po jad z mojego ogona. Ale ty przecież nawet nie spojrzaleś na odcięty kolec, chociaż miałeś czas, by go pochwycić. Gdy uderzyło we mnie ostre światło słońca, gdy poczułam, że nie mam już nad sobą wilgotnego sklepienia jaskini, tylko niebo i pierzaste chmury, zrozumiałam. Widzę to teraz w twojej duszy, widzę twój strach i obawy. Nie ma w tobie złych myśli, nie chcesz mnie oszukać.

– To dobrze – wychrypiał, starając się zapomnieć o bólu. – Dobrze, że widzisz. Bo inaczej... Byłaby całkowicie niepotrzebna bijatyka. Życia bym łatwo nie oddał... No a jak tam twój ogon?

Rana się zasklepi, a kolec odrośnie, jak odrastają pazury starte o kamienie. Przez najbliższe tygodnie, może miesiące, nie będę miała jadu, ale wciąż potrafię polować na inne

sposoby.

Odwróciła szyję w stronę jaskini. Wpatrywała się długo w mroczne wnętrze.

Przez lata to było moje gniazdo... Później już tylko więzienie. Już tam nie wrócę. Poszukam innego miejsca. Gdzieś tu, w górach Troodos. Są jeszcze inne grotty.

Kalikst przetarł resztką wody największą ranę na łokciu.

– Nie tak szybko, moja pani! – powiedział. – Potem sobie uwijesz nowe gniazdko! Teraz czeka nas ostatnie zadanie!

Ostatnie zadanie?!

– Zabić Czarnego Mnicha!

Zemsta! Ach, słodka zemsta!

Zaprzeczył gwałtownym ruchem głowy.

– *Gamoto!* – zaklął. – Nie chodzi tylko o zemstę. Szarlatana trzeba powstrzymać raz na zawsze. Żeby już nigdy nikomu nie odebrał duszy.

Czego ode mnie oczekujesz w takim razie?

– Wiesz, którądy lecieć do Kapadocji?

Kraina na północy, za morzem? Wiem...

– To blatnie! A uniesiesz mnie na grzbiecie?

* * *

Uniosła, choć nie było to takie proste. Wiwerna miała dosyć siły, by lecieć z człowiekiem usadowionym między skrzydłami niczym Bellerofont na grzbiecie pegaza, jednak szybko okazało się, że potrzebna będzie uprząż. Po pierwszym, krótkim locie Kalikst padł obolały na ziemię.

– Nie utrzymam się – jęknął. – Tam w górze wieje bardziej niż na morzu podczas sztormu. Jak będę cię trzymał za szyję, to spadnę, zanim opuścimy góry. Lećmy do starca, on coś poradzi.

Eremita na ich widok nie okazał najmniejszego zdziwienia. Najpierw opatrzył rany Belzebuba, kładąc na nie ciepłą papkę z ziół. Ból szybko przeszedł.

Później samotny mnich pokazał uprząż, którą zszył z pasów baraniej skóry. Zapiął ją na szyi i grzbiecie wiwerny.

– Ejże, to mi wygląda na robotę na miarę! – zdziwił się Belzebub. – Pasuje blatnie, jakbyś wcześniej wiedział, co i jak dziargać!

– Może tak było – szepnął tajemniczo eremita i były to jedyne słowa, jakie wypowiedział tego dnia.

Zabrawszy zapasy, Kalikst wskoczył na grzbiet wiwerny. Wsunął nogi w skórzane obejmy, zacisnął pas trzymający go na kłębie gadziny i oparł na nim dłonie.

– Jak to? A gdzie jakieś cugle? A jak mam prowadzić?

Ha, ha, dobrze uczynił twój stary przyjaciel! Ty jesteś ładunkiem, a nie jeźdźcem. To ja decyduję, którądy lecimy.

– Mam nadzieję, że się nie spłoszysz i nie poniesiesz – mruknął z przekąsem Belzebub, machając na pożegnanie mędrcom w czerwonej riasie.

Wkrótce mknęli już pośród chmur wysoko nad górami Troodos. W ślad za nimi w bezpiecznej odległości sunął na szeroko rozłożonych skrzydłach jastrząb.

ROZDZIAŁ 21

– Przekłete miejsce!... – krzyknął, starając się przebić słowami przez wiatr. – To tutaj! Ląduj!

Wiwerna zatoczyła krąg nad wąwozem i zniżyła lot. Belzebub patrzył na zdobne galeryjki monastyru, na trupa bramę z zaschniętymi ciałami nieszczęśników zwiedzionych mirażem wielkich skarbów i meł w ustach najplugawsze przekleństwa. Odruchowo ścisnął uprzęż i wierzgnął piętami.

Nie jestem koniem – usłyszał w myślach. – Nie poganiaj mnie, bo cię zrzucę razem z twoim siodłem. I trzymaj się mocno, bo schodzę na dno tego jaru. Niewiele tam miejsca, więc będzie ostro.

Zaczęła pikować w dół jak drapieżny ptak polujący na mysz skrytą w polnej trawie. Kalikst odruchowo zamknął oczy i przylgnął do grzbietu wiwerny, nawet nie kryjąc swojego strachu. Żołądek podszedł mu do gardła, w uszach poczuł dudnienie. Nim zrozumiał, co się dzieje, skrzydlata gadzina z impetem osiadła na dnie wąwozu. Czując ziemię pod stopami, odetchnął.

W pustym wąwozie smętnie zawodził wiatr. Drożynę prowadzącą przez jar do monastyru pokrywała gruba warstwa pyłu naniesionego z okolicznych wzgórz. Tak jakby od wielu dni nikt tędy nie chodził.

Belzebub ostrożnie, zerkając na boki, postąpił kilka kroków w stronę wejścia do upiornej świątyni. Ścisnął mocniej rękojeść toporka, spodziewając się zasadzki truposzów.

– Nie ma ich – mruknął zdziwiony. – Nawet nie czuć ich smrodu. Jeżeli się zaczaili, to nie tu. Idę do środka. A ty?

Ja się przecież nie zmieszczę... Te krecie korytarze to nie dla mnie.

– Nie ma z ciebie żadnego pożytku, jaszczurko. Ale na szczęście mam jeszcze jednego pomocnika.

Przywołał jastrzębia dotąd spokojnie szybującego ponad kapeluszowatymi skalami Kapadocji. Ptak nadleciał z dzikim wrzaskiem. Tak jak wiwerna nie przejawiał chęci, by zagłębiać się w zakamarki monastyru.

– Wiem, wiem – szepnął do niego Kalikst. – Gdybyśmy nie musieli, nikt z nas by tam nie wlaził. To przekłete miejsce, pełne śmierci i cierpienia. Ale tylko ty możesz nas ostrzec przed

pułapką.

– Kjeek-kjeek-kjeek! – odpowiedział mu skrzydlaty drapieźnik i pomknął w górę ponad fasadę monasteru. Omijając skalne występy, wleciał nad wewnętrzny dziedziniec z czterech stron otoczony wybitymi w tufie galeryjkami.

Wewnątrz również zalegał kurz – co Belzebub widział oczami ptaka – jakby satanaelską świątynię opuścili wszyscy upiorni wyznawcy wraz ze swoim mistrzem. Jastrząb pokazał Kalikstowi kolejne zakamarki monasteru: schody prowadzące do sali modlitewnej ze świetlikiem wybitym w suficie, a także szerokie przejście do podziemi. Na widok tego miejsca Belzebub zadrżał. Wspomnienia były zbyt żywe: to przecież tam pojмали go zakonnicy-umarłacy i powlekli do klatki zawieszanej nad kamienną przepaścią. Jednak teraz korytarze plugawej świątyni ziały pustką.

– Wchodzę, widzę, że tu nikogo! – zawyrokował Kalikst. – Pochowały się satanaelskie ścierwa, muszą być niżej, w podziemiach. Tam jastrząb już nie wleci.

Skoro tak... to ja cię nie zatrzymuję. Zaczekam tutaj.

Ogarnięty półmrokiem korytarz wypełniała zawiesina kurzu. Stąpając, wzbijał kolejne kłębuszki pyłu igrające z wąskimi promieniami słońca, które przenikały przez wybite w skale otwory okienne. Z początku co chwilę zerkał na boki, oczekując niespodziewanego ataku, jednak wkrótce całe napięcie uszło zeń jak woda z dziurawego bukłaka. Kołatanie serca ustało, jakiś głos podpowiadał, że nic mu nie grozi, że to on jest panem sytuacji i kto inny powinien czuć strach.

Tak, bez wątpienia wiele zmieniło się, od czasu gdy widział to miejsce ostatnim razem.

– Gdzie jesteś, *koproskilo*, heretycki psie? – zapytał donośnie, lecz odpowiedziało mu jeno echo obijające się o białoszare ściany. – Ha, ha, dałeś nogę jak ostatnia ciura, pękasz jak arbus u Bułgara na targu. Mam cię, łajzo!

Wtedy naszła go myśl o Zoe. Jeżeli starzec z Cypru nie mylił się ani nie łgał, dziewczyna musiała być gdzieś tuż. Może w tej komnacie? Może w tamtej? Gdzie?! Tu nie! Tam? Rzucił się pędem, jak oszalały zaglądając do kolejnych pomieszczeń, jednak nie znalazł nic poza stertami zetłanych szmat, ludzkimi czaszkami, piszczelami...

– Truposzkowie... Braciszkwowie-truposzkowie leżą już jak na truchła przystało – mruknął.

Narastała w nim euforia. Upiorny klasztor stracił swą diabelską aurę, był tylko cmentarzyskiem. Zniknął nawet wszechobecny dotąd smród gnijącej śmierci, rozkładu... Wszędzie jeno kurz, starość... Bagienny fetor uleciał wyprażony przez słońce, zasypyany przez tufowy kurz.

Wbiegł po schodkach na pierwszą galeryjkę monasteru, później na drugą i jeszcze wyżej, aż zobaczył korytarz prowadzący w głąb opuszczonego eremu. Idąc nim, dotarł do wewnętrznego dziedzińca otoczonego z czterech stron misternie rzeźbionymi krużgankami. Pomiędzy nimi na samym środku placyku ujrzał wiwerne.

– A ty tu czego, jaszczurko? – burknął zdziwiony.

Pomyślałam, że jednak nie mogę cię zostawić samego. Tyle opowiadałeś o tych strupieszalnych zakonnikach i o innych niebezpieczeństwach czyhających na ciebie w tych labiryntach... To mi przypomniało, po co tu jestem. Chcę poznać słodki smak zemsty. Nic więcej.

– Błatnie! Ale jakżeś tu wleciała? Tam na górze przecie jest wąsko, skały sterczą jak miecze tureckiej piechoty.

Wiwerna prychnęła głośno, wzbijając z kamiennych płyt dziedzińca kłęby kurzu. Zatrzepotała skrzydłami i uniosła ogon zagięty na końcu niczym harpun.

Przecież jestem jaszczurką, jak sam powiadasz! Widziałeś gdzieś jaszczurkę zaklinowaną między skałami?

– Nooo... W sumie dobrze nawijasz. Nie widziałem. No to za mną!

Gadzina złożyła skrzydła, przyciskając je płasko do grzbietu. Wyciągnęła szyję, a jej ogon wił się z tyłu niczym wąż. Zaiste, przypominała jedno z tych małych, zwinnych zwierzątek o zielonej, czarnej lub szarej skórze, które na widok człowieka umykają z kamieni.

Kalikst i jego towarzyszka dotarli do ostatniego rozwidlenia. Stąd prowadziły dwie drogi. Na górę, gdzie zapewne znajdowały się komnaty odrażających braciszków, oraz w dół, do kazamat, lochów i mrocznych jaskiń. Belzebub wspominał słowa mnicha w czerwonej riasie. Według starca, na najwyższej kondygnacji monasteru powinna być niewielka sala modlitewna z przylegającą doń biblioteką. Tam też należało szukać plugawej Czarnej Ikony. Co znajdowało się w kazamatach, Kalikst dobrze wiedział. Nie wahał się długo – gdzieś na dole musiała być Zoe. Czy jeszcze żyła? Czy mroczny czciciel Satanaela nie uczynił jej krzywdy?

W podziemnych korytarzach panowała cisza.

– Nie podoba mi się to – mruknął. – Jaszczurko, słyszysz coś, czego nie chwytam uszami? Czujesz coś? Zapach? Czyjeś kroki?

Mrghh.

– Co?

Mrghh, nie jaszczurka. To moje imię.

– Święty Mikołaju, patronie złodziei! A cóż to za imię? Jak to wymówić?

Tak jak słyszysz: Mrghh.

– Mrghh... – spróbował.

Ooo, tak! I nie mów już do mnie jaszczurko.

– Czyli już stałem się dla ciebie kimś naprawę wyjątkowym, jak to rzekłaś? I już ujawniłaś mi swe imię?

Nie. Dalej uważam cię za pętaka. Ale znudziło mnie to twoje »jaszczurko to, jaszczurko tamto«...

Zdało mu się, że w jej myślach słyszy wyraźną kpinę, jakby brała odwet za te jego drobne złośliwości.

– Mmm... Mrghh... – powtórzył jednak, nie okazując złości. – Co to w ogóle znaczy? W jakim to języku?

Aż tak dobrze jeszcze się nie poznaliśmy. Znaczenie imienia wiewerny mogą poznać szczególnie wyjątkowi ludzie, rzekłabym nawet: wybrańcy, którzy przychodzą na świat raz na sto lat.

Machnął tylko na to ręką.

– Niech ci będzie... Mrghh... Słyszysz jakieś głosy?

Nic. Cicho tu jak w zapomnianym grobowcu. Tylko kamienie, zetlałe kości i zatęchłe powietrze. Nic więcej.

– Jakże to? Co ty gadasz? A Zoe?

Przerywasz mi. Nie słyszę, ale czuć czuję... jeżeli pójdziemy trzecim tunelem na lewo, a później cały czas w dół, to...

Przerwała, głośno wypuszczając powietrze przez nos.

– Co? Co tam jest?

On. On tam jest.

– A Zoe? Gdzie jest Zoe?!

Nie czekając na odpowiedź, rzucił się pędem w głąb korytarza.

* * *

Drewniane drzwi zgrzytnęły cicho, z wnętrza buchnęło rozgrzanym i stęchłym powietrzem. Kalikst wkroczył do jaskini, tuż za nim, rozsadzając swym ciałem zbyt wąską futrynę, wparowała wiewerna.

Przywitało ich odległe jęczenie łańcuchów, las rozpalonych pochodni i kręcący w nosie smród. Niewiele się tu zmieniło od zeszłego lata, gdy tkwił w żelaznej klatce zawieszanej nad przepaścią. Choć wewnątrz panowało gorąco, poczuł dreszcze, a w palcach chłód. Ścisnął mocniej swój czekan i powstrzymując oddech, zaczął rozglądać się na boki.

Klatki wisiały teraz niżej, niemal tuż, na wyciągnięcie ręki. Były puste, pokrywał je delikatny nalot rdzy. A może zakrzepłej krwi? Jednak co innego przykuło uwagę Belzebuba. Na końcu skalnego języka otoczonego z trzech stron bezdenną otchłanią, nad kamiennym katafalkiem, gdzie wtedy podobne do psów, wielkie jak woły czarnowłose demony rozszarpywały sobowtóra Kaliksta, wisiały trzy wyschnięte ciała. Podszedł bliżej. Trupy wyglądały jak skórzane worki, puste i zeszywniałe. Belzebub dźgnął najbliższego końcem toporka, by spojrzeć mu w twarz.

To był Andronik Dukas!

Cofnął się zaskoczony, uderzając plecami o łeb wiewerny.

Znasz tego... tego truposza? – zapytała Mrghh. – To jakiś twój... jak ty to mówisz... ziomek?

– Znam... Tego też znam – powiedział, unosząc za włosy łeb drugiego umarlaka. – Bardzo dobrze znam, choć nigdy nie zamieniłem z nimi ani słowa. Ten tutaj to Michał Dukas, zdrajca, który nastawał na życie i tron *basileusa* Diogenesa. To także jego sprawka, że plugawy mnich zamienił mnie w bezrozumne narzędzie. Ten tu obok to jego młodszy brat, tylko trochę mniej nikczemny. A tamten trzeci to... Jak go tam zwali... Symeon! Symeon Złe Oko. Ciekawe...

Na wysuszonych twarzach Dukasów wciąż malowała się rozpacz i strach. Wisieli nogami do góry, zaś kamienie pod nimi upstrzone były rudymi plamami.

Czarny Mnich spuścił z nich całą krew. Umierali, patrząc, jak powoli ucieka z nich życie...

Poruszone łańcuchy zajęczały cicho, obracając dokoła zbrązowiałe ciała. Kalikst odepchnął zwłoki Michała.

– Naciął im żyły na przegubach i za uszami. Tak się wykrwawili. Wcześniej połamał im kości i powyrywał stawy, więc nie mieli jak nawiać...

Po sklepieniu jaskini rozszedł się szyderczy śmiech.

– Tylko podziwiać! – posłyszał chrapliwy głos. – Tylko podziwiać takie znanstwo i kunszt. Widać, że opryszki w Konstantynopolu posiadły wiedzę, jak finezyjnie zadawać śmierć.

Belzebub nawet nie musiał patrzeć, kto wypowiedział te słowa. Powoli odwrócił się, kręcąc z niedowierzaniem głową.

Czarny Mnich krył twarz pod kapturem. Kroczył powoli od strony rozbitej futryny, jakby dopiero wszedł do jaskini.

– Gdzie jest Zoe? – wychrypiał Kalikst. – Gdzie ona jest, *koproskilo*?

– Zoe? Zoe...? – mruczał w udawanym zastanowieniu Czarny Mnich. – Ach, to małe kurwiątko... Zawiesiłem ją na łańcuchu w osobnej sali. Zdaje mi się, że jeszcze żyła trzy dni temu... Dynda sobie...

Nie mówi prawdy – pomyślała wiwerna, jednak Belzebub jej nie słuchał. Z wyciem wściekłości skoczył w przód, unosząc nad głowę czekan. Te kilkanaście kroków, jakie dzieliło go od wyznawcy Satanaela, pokonał w ciągu dwóch krótkich oddechów. W połowie trzeciego opuścił toporek w dół, mierząc w sam środek kaptura.

Chrzęstnęło, a na twarz Kaliksta bryzgnęła krew. Wziął kolejny zamach i uderzył jeszcze raz. I jeszcze. Walił tak zachłapany czerwienią, rycząc z wściekłości, aż człowiek skryty pod habitem zamienił się w cuchnącą śmiercią miazgę.

– Widzę, żeś nie wyniósł żadnej nauki od ostatniego razu – posłyszał za plecami pełne kpiny słowa. – Popelniasz te same błędy, co po raz setny dowodzi, że nie jesteś dla mnie godnym przeciwnikiem.

Drugi Czarny Mnich stał za katafalkiem. Skrzyżował ręce na ramionach i trząsł się ze śmiechu.

– Chcesz mi dorównać, łachmyto? – dodał. – Ty, byle chłystek z duszą rozbitą na szczątki? Ha, ha, ha!

Jego rechot zakończyły dwa uderzenia ogona wiwerny. Pierwsze złamało go w pół. Drugie zmiotło w przepaść.

– Sobowtór... – sapnął gniewnie Belzebub. – Więc znów te sztuczki...

– Nigdy mnie nie zabijesz – usłyszał. Tym razem apostata w czerni pojawił się na skalnym zrębie przy ścianie jaskini oddzielony bezpieczną czeluścią otchłani.

Mrghh uniosła skrzydła i ugięła nogi, by wybić się do lotu, jednak nagle poniechała tego zamiaru.

To nie on. Żaden z nich, nie jest tym, którego szukasz.

– Jak to *żaden z nich*? Przecież...

Spojrzał w tył, na bok i wyżej, gdzie przebiegała wąska ścieżyna przyklepiona do ścian jaskini... Wszędzie majaczyły czarne sylwetki z twarzami osłoniętymi głębokim kapturem.

– He, he, he – zarechotało kilkanaście gardeł naraz. – Nic nie powstrzyma Królestwa Satanaela. Ani człek, ani inne stworzenie nie ocali żywota... Śmierć! Śmierć dla wszystkich... Chyba że ukorzycie się przed Stwórcą!

– *Gamoto...*! Skąd was tyłu?... – Kalikst w oszołomieniu patrzył na kolejnych Czarnych Mnichów wynurzających się z cienia. Było ich już dziesięciu, nie, dwunastu, siedemnastu... Później przestał liczyć...

– Satanael! Pan nasz! Złóż hołd swemu Stwórcy! – przekrzykiwały się sobowtóry. – Oto nadchodzi królestwo Satanaela! Pierworodny syn Boży jest Demiurgiem, imię jego Satanael! Nadchodzi! Nadchodzi! Oddaj mu pokłon!

Wiwerna prychnęła z wściekłością. Machając skrzydłami i bijąc ogonem, strąciła w mroczną czeluść pięć czy sześć zakapturzonych postaci. Niewiele to dało – na ich miejsce natychmiast nadeszły następne.

– Mnożą się szybciej niżli króliki... Który z nich to prawdziwy Czarny Mnich?

Przecież ci powtarzam: żaden! Chwyć się mojej szyi, już wiem, gdzie jego kryjówka.

Zrobił, jak radziła. Ledwie wsunął nogi w uprząż i zapiął pas, Mrghh doskoczyła do krawędzi skalnego języka. Złożywszy do tyłu skrzydła, rzuciła się w przepaść. Ogarnęła go ciemność, uszy wypełnił mu ogłuszający świst powietrza. Skalne występy mijane w locie jeszcze wzmagały szum i dezorientację. Otworzył usta, by wykrzyknąć całe swoje przerażenie, jednak miast tego zaskrzeczał tylko:

– Choo...? Gdzie...?

Mrugał, by strząsnąć spod powiek łzy wyciśnięte przez pęd powietrza.

Nagle wiwerna rozpostarła szeroko skrzydła, tworząc z nich szeroki baldachim. Zatrzepotała kilka razy, wyrównując pozycję i wyraźnie zwalniając. Wizg rozdieranego powietrza ustał.

– Gdzie? Dokąd? – zapytał szybko. – Tam przepaść i śmierć!

A w przepaści następny korytarz. Zobacz!

Zmieniła kierunek i poszybowała w bok, ku ścianie przepaści. Podziemny lot doprowadził ich do wąskiego komina idącego lekkim skosem ku powierzchni.

Wiwerna, zawzięcie młócąc skrzydłami, pomknęła do góry. Nim Kalikst zdążył ochłonąć, wlecieli do następnej jaskini. Nieco mniejszej i tak samo przeciętej w połowie skalnym pomostem.

Mrok rozświetlał rząd pochodni zatkniętych na drągach. Między nimi...

Między nimi, ściskając zakrzywiony nóż z oksydowanej stali, stał Czarny Mnich. Ostrze broni dźgało szyję Zoe spętanej sznurami, brudnej i półnagiej, ale żywej.

– Zoe! – krzyknął Belzebub, nie potrafiąc skryć radości. Zalała go fala ciepła, nagle poczuł się jak po trzech wypitych duszkiem kubkach wina.

Gdy tylko Mrghh osiadła na skale, zeskoczył z jej grzbietu i pognał w stronę ukochanej.

Powstrzymał go znaczący ruch ręki upiornego zakonnika.

– Jeszcze krok, a wbiję jej ten nóż w gardło. Do końca, aż wyjdzie jej z tyłu głowy. Nie wiem, czy po takiej przygodzie będzie chciała się jeszcze z tobą całować...

To on. Czuję, to wreszcie jest on. Nie jego sobowtór... Już nas nie zwiedzie...

Dziewczyna zatrzepotała powiekami i zawyła ze strachu, jednak spod grubego knebla wydobył się tylko stłumiony jęk. Więzy ściśle oplatały jej ręce i nogi. Widać, że apostata zdążył dobrze poznać diabelski charakter młodej złodziejki – pewnie już nieraz próbowała nawiać.

– Zoe, moja Zoe... – szeptał Kalikst ogarnięty tęsknotą i niepokojem, jednakowo posłusznie przystanął. Rzucając spode łba wściekle spojrzenia, gładził rękajeść czekana.

Czarny Mnich dostrzegł ten gest.

– Rzuć to żelastwo, pętaku, albo twojej dziewczynce urznę łeb! No rzucaj, ale już!

Wiwerna uniosła ogon. Sapała gniewnie.

– He, he, ach to ty?! – zarechotał wyznawca Satanaela. – Udało ci się przerwać łańcuch? Ale widzę, że twoja broń jest nieco stępiona. Kto ci odciął żądełko, co? Bez swojego jadu możesz tym swoim chwostem najwyżej muchy odganiać. He, he...

Słyszę w jego słowach strach i niepewność. Nie daj się zwieść pozorom. On nie bez przyczyny pozbył się części swojej duszy. Te okruchy jego jestestwa, którymi spętał mnie w jaskini, powróciły i jak dawniej nękają go lękiem i wyrzutami sumienia... Widzę to, on się boi.

– A więc strach cię obleciał... Tarazjuszu Mroczny... Tak się zwałeś, gdyś wznosił modły do innego pana – powiedział Belzebub, nie wypuszczając broni. – Ja wiem, kiedy kto ma cykora. W zaułkach mego miasta, jak podrzywałem gardła, poznałem smak strachu. Tego strachu, gdy śmierć zagląda ci w oczy. – Kalikst teatralnie pociągnął nosem i wygiął usta w wyrazie obrzydzenia. – A fe! Czuję ten smród. Czuję go w tobie!

– Ugryzłeś rękę swego pana, kundlu! – wychrypiał Czarny Mnich, dżgając Zoe

w policzek. – Ale nie licz na to, że zdołasz wyżej podskoczyć! Nawet się nie łudź, że coś zdołasz, opowiadając bajędy ze swego nędznego życia. Ten monastyr to miejsce poświęcone Satanaelowi. On dał mi siłę, która pozwala rozrywać dusze, tworzyć golemy i przywoływać demony... Zdarzy się więc to, co zaplanował nasz pan, Demiurg, Stwórca ciebie i mnie, Satanael!

Kalikst zrobił trzy kroki w przód.

– Może niegdyś tak było... Ale dziś jesteś sam. Twój pan cię opuścił. Zbyt wiele w tobie z człowieka... Za mało jest w tobie bestii posłusznej Satanaelowi. Przerywając okowy wiwerny, uwolniliśmy także to, czego się najbardziej obawiasz. Tę część twej duszy, która wątpi w plugawą herezję. I teraz sam znów czujesz w głębi serca, że jest w niej jeno sprzeczność, zło i nienawiść.

Apostata tylko zatrząsł się od śmiechu.

– Cóż za naiwne słowa!... Nie sądzisz chyba, złodzieju, że moje oddanie panu naszemu Satanaelowi zależne jest od losów jakiejś skrzydlatej gadziny?! Tak, owszem, spętałem ją i uwięziłem, wyzbywając się tej części mojego ducha, która nie jest godna obcowania z Satanaelem. Każdy przyzna, że to wielkie dzieło spętać swym lękiem wiwernę żyjącą na odległej wyspie!

Jeszcze dwa kroki do przodu. Mnich w czarnym kapturze zdawał się tego nie dostrzegać.

– Powiedziałeś *spętać lękiem*. I zgadza się! – pokiwał głową Belzebub. – Ona była spętana. Teraz jednak ten lęk powrócił do ciebie! Siedzi w tobie! I ciebie pęta!

– Tak sądzisz, kundlu? A co powiesz, jeżeli twojej ukochanej obetnę nos? I uszy, by zachować większą symetrię? Wiesz, co to symetria?

Zoe zgięła się wpół i próbowała wywinąć z uścisku oprawcy, ten jednak, o dziwo, trzymał ją nadzwyczaj silnie. Grzmotnął dziewczynę dwa razy w tył głowy, a gdy straciła przytomność, złapał za nos. Przytknął nóż.

– Rzuć toporek i całe żelastwo, jakie tam chowasz! I ani kroku więcej!

Belzebub westchnął ciężko i cisnął czekan pod nogi apostaty. Odpiął też pas, zrzucił kolczugę.

– Czy portki też mam ściągnąć? – Tej drobnej uszczypliwości nie mógł sobie odmówić. – I tylek pokazać?

Mnich odburknął coś niezrozumiale, a później wydał rozkaz:

– A teraz cofnij się! Taaak, dobrze... Jeszcze! Pod ścianę. Znajdziesz tam łańcuchy i kajdany. Skuj nimi wiwernę...

– Jak niby mam to zrobić? Nie ma przecież rąk, a skrzydła są zbyt duże.

– Skuj jej nogi i szyję! Nuże! Nie próbuj mnie zwieść, łachmyto!

Mrghh nie stawiała oporu. Wręcz przeciwnie – posłusznie pochyliła łeb, by Kalikst mógł zarzucić jej na kark stalowe pęta, nadstawiła też łapy, na których po chwili zatrzasnęły się kleszcze kajdan.

Gdy włożył nity w otwory, apostata uniósł lewą dłoń i zacisnął palce. Sworznie ze szczękiem splaszczły się, jakby uderzył w nie niewidzialny młot, na dobre wiążąc skrzydlata gadzinę.

– Doskonale! – pochwalił Czarny Mnich. – A teraz skuj siebie samego. Nogi, ręce... I nie myśl, że mnie oszukasz. Każda obręcz ma ściśle oplatać tve przeguby i kostki u nóg, każdy nit ma być w otworze, tam gdzie jego miejsce.

Kalikst zrobił tak, jak nakazał mu heretyk. Mnich zaraz splaszczyl łby metalowych klinów i gdy upewnił się, że wszyscy jeńcy są już w jego mocy, odepchnął Zoe.

– He, he, he – rechotał obleśnie, postępując kilka kroków do przodu. – No to was mam! Wracamy do punktu wyjścia. Chociaż nie! Teraz mam nie tylko Kaliksta Belzebuba, drobnego opryszka z Konstantynopola, ale także jego wielką skrzydlatą jaszczurkę, na której grzbiecie przyfrunął przez morze, by ratować ukochaną. He, he, he! Wioskowe grajki mogą o tym śpiewać w tawernach!

Wywijając nożem, podszedł do Belzebuba. Przytknął mu koniec ostrza do podbródka.

– Tylko ciach i już nie żyjesz! Czy myślisz, że tak powinna zakończyć się ta historia? O czym będą śpiewać grajkowie w tawernach? Trzeba zadbać o jakieś tragiczne zakończenie! To będzie *tragos ode*! Tego nie wymyśliliby nawet satyrowie Dionizosa! Czy powinienem zmusić twą lubą, by zarznęła cię tak, jak ty ją wtedy, pamiętasz?... Czy jednak inaczej: nakłonić ciebie, żebyś po raz wtóry nadział ją na szablę, wychędożył, a potem skrzył kark? Jak myślisz, opryszku, co będzie bardziej tragiczne?

Jaskinia wypełniła się mściwym rechotem apostaty.

– Jednak teraz będzie inaczej! – dodał Czarny Mnich. – Teraz będzie prawdziwy Kalikst Belzebub i prawdziwa ulicznica Zoe! Żadnych golemów, o nie!

Nagle posłyszał za plecami zimne słowa:

– Nie będzie prawdziwego Belzebuba! On jest tu!

– Co?!

Nim zdążył się obrócić, dostał cios toporkiem przez łeb. Za lekki, by zabić, ale dość mocny, by powalić na kamienie. Dłoń wypuściła nóż, ostrze zazgrzytało na skalach.

Spod kaptura Czarnego Mnicha trysnęła krew.

– Choo.. Khtoo tu? Coś thy... za jeden?

Belzebub oparł stopę na jego szyi i przydusił. Dalsze słowa ugrzęzły w gardle apostaty.

– To ja, Kalikst! Twój pojętny uczeń! Pamiętasz?! Pokazałeś mi, jak kryć się w mroku! Taka prosta sztuczka, którą oszukiwałem strażników w obozie *basileusa*! Podstęp, którego używałem, by ołgać wzrok tych, którzy na zawsze pozostali tylko ludźmi. Teraz ty jesteś taki jako oni! Słaby i przepełniony lękiem.

Mnich jeszcze nie rozumiał, w czym rzecz. Zalany krwią leżał jak rozdeptany robak. Na darmo wyciągał rękę w stronę noża, plując różową śliną i niezrozumiałym bełkotem przekleństw.

– A moja przyjaciółka wiwerna – ciągnął Belzebub – ma inny dar, którego nie zawdzięcza tobie i którego ty nigdy nie mógłbyś jej odebrać: tworzenie iluzji! Tylko patrz!

Skuta kajdanami postać pod ścianą jaskini nagle znikła jak pustynny miraż, gdy powieje zimny wiatr od północy. Apostata ze zdziwieniem spostrzegł, że łańcuchy, którymi dopiero co byli skuci ten złodziejasek i skrzydlata jaszczurka, leżały na swoim miejscu w płaskim zagłębieniu – zardzewiałe, pokryte warstwą kurzu.

Wiwerna, wachlując łagodnie skrzydłami, sfrunęła ze skalnego występu pod sklepieniem grotu i z impetem osiadła tuż przed nosem mnicha.

Ja go przypilnuję. Ty idź, uwolnij swoją ukochaną!

Kalikstowi nie trzeba było powtarzać tego dwa razy.

* * *

Przydeptany łapą Mrghh Tarazjusz Mroczny całkowicie zmienił ton. Ocierając krew, skulony bełkotał:

– Przecież mnie nie zabijesz! Jestem ofiarą tak samo jak ty! Ofiarą Satanaela, który odebrał mi wolną wolę i nakazał czynić wszystkie te podłe występki. Musisz wiedzieć, że gdy przybyłem do tego monasteru, byłem zupełnie innym człowiekiem. Czciłem Logosa, syna Boga, który zszedł na ziemię głosić jedyną prawdę i wyzwolić uciśnioną ludzkość!

Kalikst łagodnie posadził wycieńczoną Zoe na skalnej posadzce i szepnął:

– Poczekaj, kochana. Póki on żyje, póki może jeszcze sączyć jad, nie będzie dla nas przyszłości. Więc odwróć wzrok i oszczędzaj siły. Zabiorę cię stąd, obiecuję!

Dziewczyna patrzyła na niego pełnym obłędu wzrokiem.

– Kalikst...? – zapytała ze ściśniętym gardłem. – Ile razy jeszcze będę cię oglądać?... Ile razy jeszcze będę widzieć, jak giniesz rozrywany na strzępy przez potwory?...

– Już nigdy! To nie byłem ja! To były moje sobowtóry, golemu pozbawione duszy...

Nie wyglądała na przekonaną.

– Precz! Znów chcesz mnie omamić! Zostaw mnie! – Osunęła się na kamienie i wyjęczała: – Chcę umrzeć... Już zabij mnie, ale nie dręcz dłużej.

Pogładził ją po zlepionych brudem kosmykach, otarł z policzków łzy zmieszane z kurzem i krwią.

– Nie, Zoe. Nie umrzesz. Nikt cię nie będzie już dręczył. Czarny Mnich zapłaci za twe cierpienia! To on będzie cierpiał, a ty będziesz patrzeć, jak umiera...

Apostata usłyszał te słowa i zawył:

– Co chcesz zrobić?! Przecież Czarny Mnich to nie ja! Nie jestem już nim! Jestem Tarazjuszem! Nie możesz mnie zabić! Odbierając mi duszę, staniesz po jego stronie! Po stronie Satanaela! On tego chce! Więc przegrasz! On opęta twoją duszę!

Nacisk cielska wiwerny odebrał mu dech i zatrzymał dalsze słowa w gardle.

– Co innego gadałeś przed chwilą! – zauważył Belzebub. – Dalej głosiliś swoje satanaelskie plugastwa! Pękasz, tchórze! Po co to mowa?

A później zrobił to, o czym marzył od dawna. Pochylił się nad mnichem i jednym zdecydowanym szarpnięciem zerwał mu kaptur z głowy.

Z odrazy aż go odrzuciło kilka kroków.

Apostata nie przypominał człowieka. Larwę raczej, wielkiego robaka o białej twarzy, wyłupiastych oczach i nagiej czaszce pokrytej różowymi plamami. Mały, starczy łepok osadzony na chudej, pełnej zmarszczek szyi kręcił się na boki, wił, unikając światła. Nie tak powinien wyglądać dumny pan monasteru, który tubalnym rechotem podkreślał swoją władzę nad życiem i śmiercią.

– Aleś ty obmierzły! – mruknął Kalikst. – Tyś człek czy jakiś demon, wielki robal czy co...? O Jezu... Ohyda!

Znać, że spędził lata w mroku, bez światła, stąd ta jego bladość. Ale nawet z punktu widzenia wiwerny muszę przyznać, że ta mleczna gęba jest odrażająca...

Widząc, że wyłupiaste, zaczerwienione oczy sługi Satanaela zaraz wyskoczą z orbit, Belzebub dał znak Mrghh, by nieco poluzowała ucisk. Wiwerna uniosła lekko łapę.

– Kchrr... Rrrr... – bełkotał mnich, z wysiłkiem łapiąc powietrze. – Tak, głosiłem plugastwa... Tak, nie mylisz się, co innego mówiłem przed chwilą... Ale to nie była prawda... Każdy na moim miejscu... zrobiłby wszystko, by się bronić. Przywracając mi część mojej duszy, przywróciliście mi człowieczeństwo. Cały ludzki strach i zagubienie. Opuściły mnie wszystkie demony. Tak! Gdy tylko powróciła słaba część mojej duszy, golem, które ulepiłem, rozpadły się w pył. Demony wezwane mocą moich modlitw z najmroczniejszych zakamarków piekieł odeszły, patrząc na mnie ze wzgardą i odrazą. Wtedy też pojąłem, że opuścił mnie Satanael, odrzucił jak bękart...

Słowa apostaty przeszły w zduszony charkot. Wiwerna znów przygięła go do kamieni.

Mieszka prawdę z kłamstwem, co wychodzi na jedno: łże. Zmienił się o tyle, że przeppełniła go słabość, sparaliżował lęk. Jednak nie wyzbył się podłości. Jest taki sam jak niegdyś.

Kalikst gestem poprosił ją, by zwolniła nacisk. Syknęła gniewnie, ale zrobiła to.

– O dzięki, dzięki! – skamlał zakonnik.

Belzebub patrzył na niego z odrazą i wspominał długie tygodnie spędzone w strachu i niepewności w klatce zawieszanej nad przepaścią. Przed oczami stanął mu ten dzień, a może ta noc, gdy Czarny Mnich gotował jego sobowtóra w oleju. Gdy najohydniejsze potwory o wynaturzonych kształtach rozrywały bliźniaka na strzępy... Wreszcie gdy on sam, Kalikst Belzebub, dźgał Zoe, piękną, słodką Zoe, szablą pod serce, a później przybił jej wciąż żywe ciało do krzyża i gwałcąc, odebrał ostatnie tchnienie. To ostatnie wspomnienie zbudziło w nim dziką furię, przyspieszyło bicie serca. Gdy jednak spojrział na skrzywioną w błagalnym grymasie bladą twarz człowieka-larwy, ogarnęło go znużenie i rezygnacja. W mgnieniu oka cała nienawiść spłynęła zeń jak brudna woda chlapiąca w konstantynopolańskich ściekach.

– Mrghh... nie mogę... Zabiłem w swoim życiu setki ludzi. Większość z nich po tym, gdy ten satanaelski robal odebrał mi część duszy. Ale teraz... Nie mam już siły... Nie chcę babrać się w jego krwi... Ty to zrób.

Wiwerna zatrzepotała skrzydłami. Cofnęła się, wypuszczając spod swych łap łkającego zakonnika.

Prawdę mówiąc... zabijanie ludzi nie jest moim ulubionym zajęciem... Przyznam się, że tak naprawdę... nie zabiłam nic większego niż owca. Niech będzie, raz się zdarzyło, że rozszarpałam jakiegoś wychudłego wołu, który uciekł wieśniakom i zbłądził na wyżynach... Ale do zabijania ludzi czuję jakąś odrazę. Nawet jeżeli wiem, że to plugawa bestia, a nie człowiek, to nie... Nie potrafię... Mogę mu połamać ręce i nogi... Jednakowoż, byś ty odebrał mu żywot, jeżeli tego pożądasz.

Cofnęła się pod ścianę jaskini i usiadła, zamykając oczy.

– *Gamoto!* – warknął gniewnie Belzebub. – Sądziłem, że będzie z ciebie jakiś pożytek! Jakże to, nie chcesz zemsty?! Przecież dla tej chwili, dla tej zemsty przyleciałaś tu ze mną! Nie chcę tego słyszeć nawet! Musisz to zrobić!

Sądziłam, że ty dokonasz zemsty za mnie i na moich oczach, a ja będę czerpać radość z twoich czynów.

Apostata najwyraźniej pojął doskonale, w czym rzecz. Z chytrym uśmieszkiem i dzikim błyskiem w oku skoczył na równe nogi i rzucił się pędem w drugi kąt jaskini. Nim Belzebub zdążył mrugnąć, Czarny Mnich wbiegł w ocieniony zakamarek na końcu skalnego pomostu i zniknął w osłoniętej mrokiem czeluści.

Zapadła cisza. Kompletnie zaskoczony Kalikst rozdziawił gębę i jęknął:

– Patrz, jaki kurwisyn... Wziął i nawiał... Tam pewno jakiś tunel... Dał chodu i tyle go widzieli!

Wiwerna również nie kryła zdziwienia. Fuknęła gniewnie i pomyślała:

Trzeba było go przygwoździć mocniej... I nie puszcząć. Ale ty sam chciałeś. Machałeś na mnie, żebym go nie dusiła.

Nagle z korytarza dobiegłyby niepokojące odgłosy szamotaniny. Jakby coś albo ktoś przeszkodził mnichowi w ucieczce.

Usłyszeli krótki wrzask, potem przeciągający się charkot, odgłosy cięcia, trzask kości. Wreszcie zapadła cisza.

Z tunelu wyszła Zoe. W prawej dłoni trzymała nóż upuszczony wcześniej przez Czarnego Mnicha.

Lewą dłonią podrzucała odcięty łeb apostaty. Krew bryzgała na boki, tworząc w powietrzu fantazyjne wzory niczym sznury koralu modnej damy na dworze *basileusa*.

– Chciał nawiać! – krzyknęła dziewczyna, dławiąc się od nerwowego śmiechu. – Tam chciał dać nogę! Do labiryntu, do podziemi! To go zatrzymałam! Teraz już nie zdoła wam uciec, co?

Szła, zonglując pobladłym czerepem.

– Hi, hi – zadrżała z uciechy – nie nawieje! Możecie wymierzyć mu sprawiedliwość. Tak jak chcieliście! A ja... A ja sobie odpocznę, bo bardzo chce mi się spać.

To mówiąc, cisnęła odciętą głowę w stronę Belzebuba i padła na kamienie bez sił i świadomości.

Nad słoneczną, suchą Kapadocją zaczęły zbierać się ponure chmury o barwie popiołu. W oddali narastał łoskot burzy.

* * *

Kalikst zdjął ze ściany pochodnię i zagłębił się w korytarz, do którego próbował uciec mnich. Przeszedł ledwie tuzin kroków, gdy natrafił na skręcone, stłamszone ciało apostaty. Wyglądało nędznie jak kupa starych szmat, na które ktoś wylał skwaśniałe wino.

Belzebub splunął na zabitego i powędrował dalej.

– Gdzieś ty wiał, psi odbycie? – mruczał pod nosem. – Jaką sztukę chciałeś wyciąć na koniec?

Poświecił po kamiennych ścianach. Lśniły, jakby pokrywał je śluz pozostawiony przez gigantycznego ślimaka. Dotknął dłonią mazi, powąchał palce. Gleja cuchnęła jak zaszcpany zaułek za tawerną w konstantynopolitańskim porcie. Otarł palce o portki.

Szedł długo. Już kilka razy naszła go myśl, że powinien zawrócić, lecz jakiś wewnętrzny głos wciąż mu powtarzał: *Dalej! Daaalej!!!*

Szedł więc dalej.

W końcu w bocznej ścianie tunelu dostrzegł niewielkie drzwi z poczerńskiego drewna. Pchnął je.

Tysiąc czarnych świec jaśniało blaskiem czerwonych płomieni. Belzebub poczuł ciarki wędrujące po plecach – nigdy nie widział, by ogień miał barwę krwi. Nigdy nie był w miejscu, w którym zło, ból i cierpienie byłyby tak namacalne.

– *Gamoto...* – wyszeptał. – Co tu...?

Zaraz zrozumiał.

Czarna Ikona. Obraz stał w kamiennej wnęce oparty o ścianę. Otaczał go wianuszek uciętych ludzkich rąk szerniałych ze starości i wyschniętych.

Kalikst skamieniał, patrząc jak zakłęty na szatański przedmiot, wreszcie przemógł się i wyciągnął dłoń. Myślał, że uderzy go płomień, że żar spopieli mu palce, że Satanael zagrzmie i ukarze świętokradcę, jednak nie... Nic się nie stało. Upiorny obraz był ciepły w dotyku, łagodnie pulsował ukrytą siłą.

Belzebub uniósł ikonę do twarzy. Na brudnej powierzchni, zakurzonej, zachlapanej zakrzepłą krwią nie dostrzegł najmniejszego śladu pędzla artysty. Jakby dzierżył w dłoniach kawałek zgniłego drewna wydobytego z bagien. Przetarł ręką chropowate zgrubienia i serce

podskoczyło mu do gardła.

Na desce zamajaczyły niewyraźne czerwone linie. Świeciły coraz silniej, układając się w kształt ludzkiej twarzy. Nie, nie ludzkiej! Z każdym oddechem Kalikst dostrzegał na powierzchni malowidła nowe szczegóły. Szpiczaste uszy, zakrzywiony nos, cztery, nie! – sześć spiralnie skręconych rogów wyrastających niczym grzebień koguta. Pociągła szczeka, trójkątna broda i oczy. Złe oczy lekko przymknięte, pulsujące nienawiścią.

Satanael? – pomyślał Belzebub i wrzasnął przerażony.

Z obrzydzeniem cisnął obraz w kąt, cofnął się trzy kroki. Patrzył, jak światło bijące z ikony narasta, błyszcząc niczym grzbiety fal podczas zachodu słońca. Ułapił rękojęść czekana i wy dobył go zza pasa, by roztrzaskać deskę. Wtedy jednak blask przygasł nieco. Wizerunek widoczny na malowidle powoli zniknął, a po chwili – gdy Kalikst znów wyciągnął rękę po obraz – trzymał w ręku jeno brudną czarną deskę.

* * *

Ołowiane chmury zasłoniły księżyc, jednak z chwili na chwilę robiło się jaśniej niż w dzień. Błyskawice przecinały niebo w coraz szybszym rytmie, zalewając okolicę upiorną bielą. Burza nacierała, lecz bez deszczu – tego niebo skąpiło Kapadocji, odkąd rodzaj ludzki sięgał pamięcią. Fantazyjne skały – w kształcie wielkich grzybów, zaciśniętych pięści, stożków i czego tam jeszcze – jak nigdy przypominały rzeźby wyciosane ręką samego Satanaela.

Kalikst objął Zoe ramieniem i zaczął ją uspokajająco głaskać. Dziewczyna wciąż jeszcze nie doszła do siebie. Oparłszy głowę o pierś Belzebuba, szeptała:

– Dręczył mnie... Każdego dnia pokazywał mi ciebie nie-ciebie, kogoś, kto wyglądał jak ty, i zabijał go tak okrutnie... Ja teraz wiem, że to nie byłeś ty. Żaden człowiek nie ma w sobie tyle krwi... Tyle jej utoczył. Ale co innego widzieć, a co innego czuć. Nigdy nie miałam pewności, że tym razem nie zabija ciebie. Wtedy dopiero zrozumiałam w pełni, jak bardzo mi na tobie zależy. Zrozumiałam, że...

Zasypał ją pocałunkami.

– Zrozumiałam, że ciebie kocham i nikogo innego!

– Zoe... Proszę... Nie teraz.

Jednak dziewczyna rozgadała się na dobre.

– Karmił mnie i poił. Jego umarlacy przynosili mi chleb, mięso i piwo... Naprawdę! Nie wiem skąd, ale wiem po co. Żebym dalej cierpiała, żebym miała siłę płakać i złorzeczyć. Żebym za szybko nie umarła...

Odepchnął ją łagodnym gestem, dając znak wiwernie, by się nią zaopiekowała.

– Pilnuj jej – przykazał Mrghh i wrócił do ciemnych korytarzy monasteru.

Oświetlając sobie drogę pochodnią, szybko dotarł do wewnętrznego dziedzińca wykutej

w skale świątyni. Cisnął Czarną Ikonę na stertę drewna zebranego ze wszystkich zakamarków tego plugawego miejsca.

Na wierzch rzucił żagiew i patrzył, jak malowidło Satanaela liżą języki ognia.

* * *

W Czarnej Ikonie musiała czaić się większa moc, niż przypuszczali. Ledwie wiwerna wyniosła ich ponad kapadockie wzgórza, niewielki z początku płomień buchnął jak strumień *igró pyr* wystrzelony przez wojaków Charytona Scholara. Słup ognia z trzaskiem i łoskotem uderzył w burzowe chmury i rozwiął je jak puch. Pioruny ucichły, błyskawice zbladły, wkrótce zaś na czystym czarnogranatowym niebie zajaśniał blady księżyc półgębkiem uśmiechający się do podróżników zagubionych w sercu Kapadocji.

Coś ty tam podłożył, podpalaczu? Przecie nie te parę starych desek! Taki żar wali w niebo, jakby pękło piekło i wylewało całą lawę z diabelskich kotłów... – pomyślała wiwerna.

– Ból, rozpacz i krew tysięcy ofiar szarlatana... – mruknął w zamyśleniu. – Czysty ogień uwolnił cierpiące dusze uwięzione w heretyckim obrazie. Teraz znajdą spokój, a po plugawej świątyni zostanie jeno pył.

Nagle z monasteru wydobył się huk idący echem po okolicznych wzgórzach. Świątynia pękła na dwoje, a spod ziemi wylały się języki ognia tak wielkie, jakby szatani otworzyli wszystkie bramy piekła. Ziemia zadrżała, zadrżało też powietrze, chmury, nawet księżyc.

Wiwerna z trudem utrzymywała lot, a kolejny silny powiew gorącego wichru zmusił ją do lądowania. Ukryci między skałami z bezpiecznej odległości obserwowali, jak klasztor apostatów obraca się w ruinę.

Później nastąpiła kolejna seria wybuchów – ogłuszających i oślepiających. Monastyr Czarnego Mnicha buchnął żywym ogniem jak wulkan, wypluwając ku niebu skały, żwir i pył. Ziemia zadrgała, zwiastując – zdałoby się – nadchodzący Koniec Świata i Dzień Sądu.

EPILOG

W tej samej chwili, gdy Kalikst, Zoe i Mrghh patrzyli z oddali na eksplodującą lawą ruiny monasteru, Nicetas Wielka Pięść wraz ze swoimi kompanami ze Żmudzi osuszała kolejny dzban wina. Siedzieli w „Bezgłowym Scycie”, swej ulubionej tawernie w konstantynopolitańskim porcie nad zatoką Złoty Róg. I chociaż o tej chwili marzyli jak o niczym innym, miny mieli nietęgą, a nastroje ponure. Niepokojące wieści z gildii złodziei zmroziły ich. Tajemnicza śmierć mistrza Atanazego, surowe rządy Eutymiusza, krwawe walki między nowymi frakcjami organizacji, zdrada, przekupstwo, układy z gadami... Nie tak wyglądała gildia w latach swej świetności.

Pięć dni później do Konstantynopola dotarł Kalikst wraz z Zoe, która powoli dochodziła już do siebie po miesiącach niewoli. Nad nimi pośród chmur spokojnym lotem sunął po niebie jastrząb, który już na zawsze miał pozostać towarzyszem Belzebuba. Radość ze spotkania starych przyjaciół mieszała się ze łzami, Nicetas długo ścisnął druha, ukradkiem trąc oczy.

– Ty żyjesz! – nie krył zdziwienia. – A myśmy myśleli, że cię spaliło, że już po tobie!

– A tyś jak skórę uratował? – pytał z niedowierzaniem Kalikst. – Toż ja ciebie mścić chciałem, byłem pewien, żeś skręcił kark, gdy konie padły i rydwan poszedł z ogniem.

Później do świtu gadali przy białym winie z Rodos. Kalikst w milczeniu słuchał najnowszych wieści z Konstantynopola. Gdy Nicetas przytaczał zasłyszane relacje o ostatnich chwilach Atanazego, w oczach Belzebuba załśniły złe ogniki, a usta ściągnął gniewny grymas.

Wiedział, że będzie musiał pomścić starego mistrza. Znaleźć winnych i wymierzyć sprawiedliwość.

Ale to już jest całkiem inna historia.

Po rozstaniu z Kalikstem wiwerna powróciła na Cypr, by wyszukać sobie nową jaskinię i w niej zamieszkać. Swój dom znalazła na skraju przepaści, blisko pustelni eremity w czerwonej szacie. Mnich nie mógł powstrzymać życzliwego uśmiechu, gdy szybowała ponad chmurami. Czuł jej obecność, słyszał jej myśli.

Starcze, ty zwróciłeś mi wolność – powiedziała raz. – Ty i ten sprytny złodziejaszek. Bądź więc pozdrowion i pamiętaj, że mam u ciebie dług.

– Dług nie dług... – machnął lekceważąco dłonią. – Jak chcesz się odwdziżyć, to pomóż

mi zasypać ten dół. Purrhosa diabli wzięli, gdy tylko jego pan oddał ducha. Jego szczątki gniją na dnie podziemnej jaskini. Trza by ją przysypać kamieniami, bo smród straszny idzie.

Trzy tygodnie po spotkaniu przyjaciół w Konstantynopolu *basileus* Roman IV Diogenes ostatecznie odbił Palestynę z rąk Seldżuków, przyłączając tę ziemię – przy aprobacie fatymidzkiego kalifa Al-Mustansira – do swojego cesarstwa. Jan Italos wypatrzył w swych wizjach, że to zwycięstwo na kilka setek lat oddali od chrześcijańskiej Europy zagrożenie ze strony tureckiego żywiołu.

Koniec tomu drugiego i ostatniego